

Hancock Ka

Tańcząc na rozbitym szkle



PROLOG

Śmierć spotkałam na pewnym przyjęciu. Były to dwunaste urodziny mojej siostry Priscilli, a ja miałam wtedy pięć lat. Nie była ona szczególnie przerażająca, owa śmierć, ale wcześniej powiedziano mi o niej wszystko, więc jej widok nie zrobił na mnie wielkiego wrażenia.

Dopóki nie uświadomiłam sobie, że przyszła po mojego tatę.

Jako dziewczynka uczestniczyłam w porannym rytuale ojca. Na początku słychać było szum wody w rurach i jękliwy zgrzyt kurka w kranie, gdy puszczał wodę. Nadal mieszkam w tym domu i również dzisiaj słyszę nad ranem podobne dźwięki. Wtedy jednak był to znak, że ojciec już się obudził.

Pamiętam, że wlokłam się po schodach, przecierając zaspane oczy i po omacku szukając w ciemnym korytarzu drogi, na której końcu znajdowały się zamknięte drzwi łazienki. Pukałam do drzwi, a ojciec śpiewnym tonem pytał: „Czy to moja księżniczka Lulu?”. Uwielbiałam tę chwilę, gdyż spowijała ona moje imię - Lucy - jakimś baśniowym nimbem, a to zawsze robi potężne wrażenie na pięcioletnim

dziecku. Ojciec otwierał na oścież drzwi, a ja zaczynałam czuć pod powiekami ukłucia światła palącego się w łazience, do której byłam wprowadzana niczym do świątyni, goszczącej tylko nas dwoje - mnie i mojego tatę. Łazienka była mała: wanna zajmowała całą ścianę, a umywalka kącik, w którym z trudem wystarczyło miejsca na przybory do golenia i kostkę mydła. Nawet teraz Mickey narzeka na to samo. Tak więc wdrapywałam się, mała kruszynka, na muszlę klozetową i otwierałam książkę. W końcu taki był mój rzekomy powód przebywania w tym miejscu: nauka czytania.

Tymczasem ojciec, stojąc nad zlewem, zaczynał się golić, a gdy jego twarz była zupełnie pokryta pianą, wykonywał manewr niczym samolot schodzący do lotu nurkowego, żeby dać mi buziaka, podczas gdy ja zanosłam się chichotem. Mam już trzydzieści trzy lata, lecz wciąż czuję zapach jego kremu do golenia, nadal też pamiętam własny śmiech.

Ojciec był wielkim chłopem. Jego brzuch praktycznie wlewał się do wypełnionej mydlinami umywalki. Czasem więc, przybliżywszy się do lustra, by dokonać oględzin jakiegoś szczegółu swego ciała, tato prostował się gwałtownie, stwierdzając, że do jego nagiego brzucha przywarła odrobina piany. „Patrz, Lu. Też mam w środku krem jak ciasteczko oreo” - mawiał wówczas. Po czym następował kolejny buziak i ponowny wybuch mojego chichotu.

Kiedy już skończył się myć, czesać, płukać gardło i spluwać, skrapiał twarz old spice'em, aż ten niezapomniany zapach wypełniał całą łazienkę. Nadal jestem fanką tej marki, ale nie pozwoliłabym Mickeyowi jej używać.

Pamiętam te poranki ze szczegółami. Począwszy od żółtych ręczników na podłodze, a skończywszy na pełnej mydlin umywalce, głosie Paula Harveya dobiegającym z radia gdzieś w tle i świeżo uprasowanym mundurze wiszącym z drugiej strony drzwi.

W naszym mieście, Brinley Township, ojciec znany był jako sierżant James Houston: Jim dla świata i Jimmy dla mojej mamy oraz swego partnera Deloya Rosenberga. Uwielbiałam obserwować przemianę mojego taty - zaspanego, zarośniętego i bez koszuli - w sierżanta Jamesa Houstona. Kiedy wychodził z łazienki w granatowych spodniach, które mama prasowała mu co wieczór, wydawał mi się niezwyciężony. Zupełnie nie mieściło mi się w głowie, że mogłoby go spotkać coś złego, a już na pewno nie śmierć od dwóch niepozornych kul. Myślałam, że taki właśnie musi być sierżant James Houston z Brinley Township - niezniszczalny.

Ale któregoś dnia pani Delacruz, moja przedszkolanka, powiedziała nam, że wszystko umiera. „Wszystko, bez wyjątku”, oznajmiła, a ja poczułam smutek. Jestem pewna, że musiałam o to zapytać tatę, choć nie przypominam sobie tego. Pamiętam tylko, jak któregoś wieczoru ukląkł przy moim łóżku, byśmy mogli omówić tę sprawę. Lily, która była o cztery lata starsza ode mnie, udawała na łóżku obok, że śpi, więc tata ku mojemu przerażeniu szeptem oznajmił mi, że owszem, pani Delacruz ma rację: wszystko umiera. Przypuszczam, że to z powodu zgrozy, która mnie wtedy ogarnęła, wziął mnie za rękę, pocałował ją i przesunął moją dłoń po swej kłującej brodzie.

- Ale nie musisz się bać śmierci, Lulu. Wiąza się z nią tajemnice, które nie każdy rozumie - powiedział, po czym jeszcze bardziej przybliżył twarz do mojej. - Chcesz wiedzieć, co to za tajemnice? - zapytał.

- Tajemnice? - powtórzyłam. Wydało mi się to nieco naciągane, ale ojciec nigdy nie kłamał, więc czekałam, co będzie dalej.

- Posłuchaj, Lulu. Jeśli chodzi o śmierć, to mogę ci obiecać trzy rzeczy. Obiecuję, że nie jest ona końcem wszystkiego. Wydaje się końcem - właśnie dlatego ludzie płaczą - ale nim nie jest. I nie boli. To następna bardzo ważna sprawa z nią związana. Ludzie tak się jej boją, bo nie rozumieją tego. Lecz śmierć nie boli. A wreszcie, Lu, jeśli nie boisz się śmierci, możesz jej wypatrywać i przygotować się na nią. Wierzysz mi?

Jego twarz była tak poważna i wzbudzała takie zaufanie, że tylko skinęłam głową.

- Jak wygląda śmierć?

- Nie jestem pewien, ale założę się, że jest piękna. - A czy jest miła?

- Bardzo. I bardzo delikatna.

W tym punkcie rozmowy ojciec wyjaśnił mi - a ja chłonełam każde jego słowo - że śmierć nie jest tym samym co umieranie. I że czasem umieranie rzeczywiście sprawia ból, lecz sama śmierć jest czymś magicznym, bo wraz z nią zapomina się o bólu, tak jakby go nigdy nie było. Z kolei ta uwaga wprowadziła nas w kolejny doniosły temat: omówienie różnych rodzajów chwalebnej śmierci, jaką można ponieść,

oraz tego, że zapomnienie o wszystkim musi być rzeczą cudowną. Najwyraźniej sprawiałam wrażenie nieprzekonanej, co jest dość dziwne, gdyż nie wątpiłam w to, co mówi.

- Lulu, pamiętasz swoje narodziny? - zapytał ojciec. Zastanowiłam się przez chwilę.

- Nie - odparłam. Ojciec skinął głową.

- No widzisz. Ze śmiercią jest tak samo. Po prostu zapominasz.

Byłam zdumiona. Tata miał rację. Zawsze miał rację. Nie pamiętam wszystkiego, co mi powiedział, przypominam jednak sobie, że tamtej nocy dzięki jego szczeremu spojrzeniu zagadka śmierci została dla mnie ostatecznie rozwikłana. Ufałam mu bezgranicznie, a jego słowa zapadły mi w serce i z czasem zamieniły się w niewzruszoną pewność. Oczywiście zdaję sobie sprawę, że były jedynie darem złożonym na ołtarzu mojej niewinności; były to słowa otuchy adresowane do małej dziewczynki, która nie mogła zasnąć. Ale kto mógł przypuszczać, że spokój, jakim natchnął mnie wtedy ojciec, nie opuści mnie pośród tylu trudów i będzie mi ukojeniem, gdy nieomal straciłam już wszelką nadzieję.

Bo przecież miał rację: śmierć czeka każdego. Jeśli jednak nie jest kresem, a poza tym nie sprawia bólu... to czegoż się obawiać? Zapewne taka właśnie była moja logika, gdy miałam pięć lat. Gdy więc śmierć pojawiła się na urodzinowym przyjęciu Priscilli, byłam zaintrygowana, lecz nie czułam przerażenia.

Impreza odbywała się na naszym podwórzu. Na ruszcie skwierczały hamburgery, schładzarki były pełne piwa i hawajskiego ponczu, a mama ustawiała świeczki na torcie. Oprócz połowy gimnazjum było też mnóstwo znajomych rodziców. Jan i Harry Batesowie z sąsiedztwa próbowali skłonić swego głupkowatego syna, by przestał gonić moją siostrę, strasząc ją fretką (oboje mieli po dziewięć lat, lecz ja już wtedy - tak jak i wszyscy inni - wiedziałam, że Lily wyjdzie za Rona Batesa). Byli tam również: doktor Barbee oraz Withersowie z domu pogrzebowego na naszej ulicy, koledzy mojego taty z policji, a nawet sam burmistrz.

Układałam właśnie papierowe tacki na stole, gdy nagle ją zauważyłam. Natychmiast ją rozpoznałam. Wcale nie wydała mi się aż tak groźna czy zła. Tak naprawdę robiła całkiem miłe wrażenie, choć potem zaczęłam w to wątpić. Nie sądzę, bym potrafiła ją opisać, bo i jak tu opisać emocje wywołane przez widmo? Teraz wydaje mi się, że było to coś w rodzaju przebłysku świadomości, przybierającego kształt i formę, które intuicyjnie rozpoznałam. Widywałam ją od tamtej pory, na własny użytek przyjmując - raczej pod wpływem przeczuć niż czegoś, co przypominałoby dowód - że jest płci żeńskiej. Tak czy owak, śmierć rozpoznam wszędzie.

Jej obecność wcale nie wzbudzała we mnie strachu. W rzeczywistości pamiętam, że odurzył mnie jej szept, który usłyszałam pośród zgiełku, choć nie dotarły do mnie poszczególne słowa. Przypatrywałam się, jak przepływa między naszymi gośćmi - równie nieuchwytna jak obłok.

W pewnej chwili nawet spojrzała na mnie, prosto w oczy, i myślę, że nawet gdyby ojciec nigdy mi o niej nie opowiedział, i tak bym wiedziała, kim jest. Było to skojarzenie nieodparte, zupełnie oczywiste. Ona również mnie rozpoznała. Uśmiechnęła się do mnie - do tej małej dziewczynki, jaką byłam - lecz ujrzała moją dorosłą duszę, która już rozumiała. Również i po mnie przyjdzie. Ale jeszcze nie teraz.

Przyszła po mego ojca. Tata musiał to czuć, wyczytałam to z jego oczu, gdy popatrzył na mnie z drugiego końca ogródka. Wciąż widzę jego twarz. „Nie bój się”, mówiło jego spojrzenie. On się nie bał.

Nadal uważałam, że jest zbyt potężnym mężczyzną, by mógł umrzeć; że jest zbyt masywny, by umrzeć z powodu upływu krwi. Ale dwie małe kule tego właśnie dokonały. Zabiły go. Zginął następnego dnia po owych dwunastych urodzinach Priscilli, kiedy próbował zatrzymać jakiegoś włóczęgę, który napadł na stację Arnie's Gas N'Go. Po matkę śmierć przyszła dwanaście lat później. I tak zostałyśmy same: Lily, Priscilla i ja.

ROZDZIAŁ 1

Doktor Barbie. Lunch z Lily. Zdjąć suche pranie. Potem do szpitala, do Mickeya. Leżałam na kozetce, marznąc i robiąc plany na ten dzień. Wyliczałam na palcach rzeczy do załatwienia i czekałam na lekarkę. Charlotte Barbie powiedziała, że zaraz wróci, tymczasem minęło już dobre kilka minut. Powtórnie rozpoczęłam wyliczanie. Lunch. Zdjąć suche pranie. Mickey. Było coś jeszcze, ale nie pamiętałam co takiego. W gruncie rzeczy nie byłam w stanie myśleć o niczym innym. Mickey leżał w szpitalu już od sześciu dni - choć oczywiście przez kilka nie był to dawny Mickey. Ale tego ranka brzmiał naprawdę nieźle, jakby już prawie wydobrzył.

Charlotte wpadła do gabinetu i zaczęła mnie przeproszać.

- Piekielne towarzystwo ubezpieczeniowe! Myślą, że nie mam nic lepszego do roboty... - wydyszała, po czym zaczerpnęła głęboko powietrza. - Na czym skończyliśmy, Lucy?

Natychmiast wróciłam do wcześniejszej pozycji, opierając boscie stopy na metalowych klamrach. Zmarzły mi tak jak reszta ciała.

- Dlaczego tu jest tak zimno? Nie masz dla mnie litości. Ponieważ nic na to nie odpowiedziała, uniosłam głowę

z poduszki i spojrzałam na jej twarz znajdującą się między moimi zgiętymi kolanami. Miała w ręku okrągłe płaskie szczytce, by lepiej przyjrzeć się czemuś, czego, w moim głębokim przekonaniu, nigdy nie powinno tam być.

- Jak w tym tygodniu czuje się Mickey? - spytała, nie przerywając badania i zupełnie lekceważąc moje skargi na temperaturę.

- Lepiej niż w zeszłym.

Oddychałam nierównomiernie, czując na ciele dotyk jej palców.

- Wciąż leży w szpitalu?

- Tak, ale w piątek wróci do domu, jeśli jego stan będzie dobry. Więc mam nadzieję, że jego stan jest dobry.

Na twarzy Charlotte Barbee pojawił się znaczący uśmiech.

- Od jak dawna jesteście małżeństwem?

- Prawie od jedenastu lat.

- Już tak długo? Ależ ten czas płynie! - stwierdziła. - A teraz kilka razy weź głęboki oddech.

Wykonałam polecenie, co sprawiło, że zaczęłam kaszleć, a wtedy sobie przypomniałam: mam kupić krople na kaszel.

Była to moja coroczna wizyta i Charlotte Barbee jak zwykle wykazywała niezwykłą sumienność. Wiedziała, czego szuka, i gdyby to znalazła, odczytałabym to na jej twarzy, tak jak poprzednio. Przypadkowy obserwator mógłby tę wizytę uznać za rutynowe badanie lekarskie, ale prawda była

bardziej skomplikowana. Przechodziłam badania pod kątem nawrotów raka. Pierwszy atak choroby nastąpił siedem lat temu, gdy miałam dwadzieścia sześć lat. Ta patologia sprawiła, że nie zakwalifikowano mnie poprzednio do grupy zdrowych dorosłych kobiet, lecz osób, które raka pokonały i są na niego bardziej narażone - pod warunkiem że w ciągu pięciu lat nie zostanie u nich stwierdzony nawrót choroby. Teraz czułam pewną ulgę, wiedząc, że trafię do grupy kobiet zdrowych razem z dwiema moimi siostrami. Ten sam rak, który zabił naszą mamę i babcię, zagrażał również Lily, Priscilli oraz mnie. A ponieważ nasza rodzina zależała od kaprysów genetyki, wszystkie byłyśmy naprawdę bardzo czujne, zwłaszcza doktor Barbee, której zaufałyśmy.

Lily zaproponowała, że będzie mi dziś towarzyszyć, zapewniając moralne wsparcie, ale ponieważ - szczerze mówiąc - moja siostra przeżywała te wizyty chyba bardziej niż ja, podziękowałam jej za to. Lily jest prawdziwym czarno-widzem, a wizja nawrotu mojej choroby to dla niej istna „suma wszystkich strachów”. W dni moich badań przygotowuje się na najgorszy scenariusz, cały czas modląc się, by usłyszeć magiczne i kojące słowa Charlotte: „Wszystko w porządku”. Stwierdzenie to za każdym razem jest niczym wygrana na loterii i dopóki Lily go nie usłyszy, dopóty jest przekonana, że zamartwianie się jakoś pomoże.

Jeśli chodzi o mnie, to po prostu spodziewam się, że będę miała jeszcze trochę czasu. Od pięciu lat jestem szczęśliwa, że podarowano mi życie w półrocznych ratach. Czerpię z niego pełnymi garściami, celebрую je w poczuciu, że

udało mi się przechytryć przeznaczenie. Jeżeli badania dowodzą, że jestem zdrowa, mój czas się wydłuża. Dzisiaj odbywam już drugą coroczną wizytę lekarską i muszę powiedzieć, że o niebo lepiej jest bywać na niej co dwanaście miesięcy niż co sześć. Mimo to zawsze zachowuję się tak samo - dostaję dobre wiadomości, składam dzięki Bogu i dalej idę przez życie tanecznym krokiem. Ale tylko do chwili, gdy nadchodzi czas, by przygotować się na kolejną wizytę, kiedy to ponownie zaczynam rozmyślać nad tym, na co wskazują statystyki. Te zaś są ponure. Jeśli rak powraca, zwykle czyni to ze zdwojoną siłą. A gdy w moje serce wkrada się strach, co zdarza się od czasu do czasu, walczę z nim, dodając sobie otuchy słowami mojego ojca, wypowiedzianymi tak dawno temu.

Zastanawiam się nieraz, czy mój ojciec domyślał się, że aż tak wezmę sobie do serca jego mądrość. To właśnie dzięki niej już pod koniec dnia śmierć jako taka w gruncie rzeczy mnie nie przeraża. Sporo jednak myślę o samym umieraniu. Już to zaliczyłam i nie byłam w tym zbyt dobra. Patrząc na ludzi, których kocham, widzieć przerażenie w oczach Mickeya... Każdego dnia dziękuję Bogu, że już to przerabialiśmy, ponieważ uświadomiłam sobie, że lepiej znoszę to, że umieram, niż obcowanie z cierpieniem tych, których mam opuścić.

- Muszę mieć jeszcze próbkę moczu, i na tym koniec - powiedziała Charlotte, z miejsca przywracając mnie do rzeczywistości.

- A więc jestem zdrowa?

Położyła swe silne, sprawne ręce na moich ramionach i spojrzała mi w oczy.

- Sądzę, że kiedy pošlemy twoje próbki do laboratorium, zadzwonią do mnie i powiedzą, że wszystko w porządku.

- Wiedziałam. Więc nie powinno mnie martwić to zmęczenie?

- Lucy, ja również je czuję. Nie masz monopolu na zmęczenie - ofuknęła mnie.

- A to lekkie łaskotanie w gardle?

- Otwórz usta.

Zbadała moje gardło szpatułką lekarską.

- Nie widzę tu nic niepokojącego. Powiedz mi jeszcze raz, od jak dawna kaszlesz.

- Sama nie wiem, może od kilku dni.

- Na wszelki wypadek zrobię wymaz, żeby sprawdzić, czy to nie angina.

Kiedy sięgnęła po próbkę, zamknęłam usta.

- Jesteś takim dobrym lekarzem.

- Staram się.

Kiedy skończyła, umieściła próbkę w plastikowym pojemniku i uśmiechnęła się do mnie.

- W porządku. A teraz narzuć tę koszulę i idź na koniec korytarza, żeby zrobić mammografię.

- Hurra - powiedziałam sarkastycznie.

Najcięższa część tej próby, której jestem poddawana, to zgniatanie moich drobnych piersi pleksiglasem i prześwietlanie ich promieniami rentgenowskimi, mającymi wykazać ewentualne mikroskopijne zmiany. Rak

zaczyna się w pojedynczej komórce, po czym atakuje sąsiednie, a wreszcie - całą tkankę. Kiedy na mammografu wyjdą choćby niewielkie zaciemnienia, oznacza to, że uszkodzenia są znaczne. Charlotte ujęła mnie za podbródek, uniosła go lekko i spojrzała na mnie, jakby czytała w moich myślach.

- Lucy, zadzwonię do ciebie, jeśli będziemy musiały porozmawiać. Ale nie ma powodów do obaw, więc nie zdziw się, jeżeli po prostu zadzwonię, żeby z tobą pogawędzić.

Skinęłam głową.

- W porządku. Wybierzmy się w przyszłym tygodniu na kolację.

Na drugim końcu korytarza już na badaniu starałam się niewiele mówić, podczas gdy Aretha miętosiła mi piersi, jakby ugniatała ciasto na chleb. Była jedyną osobą obsługującą mammograf w Brinley, znała więc wszystkie piersi w naszej małej społeczności, chyba nawet lepiej niż same badane. Była wysoką kobietą o nieco końskiej twarzy i teraz całkowicie koncentrowała się na swojej pracy, podczas gdy ja zastanawiałam się, co ona sobie myśli, kiedy widzi nas poza szpitalem, jak wiemy swoje zwykłe, normalne życie. Czy rozpoznaje klatkę piersiową, zanim jeszcze zidentyfikuje twarz?

Lubiłam Arethę. Jej syn Bennion był jednym z uczestników moich lekcji historii w Midlothian i wiedziałam, że Aretha sprawdza jego zadania domowe. Chciałam jej za to podziękować, ale jak już wspominałam, była bardzo zajęta. Za każdym razem, kiedy tu przychodziłam, prawie

nic do mnie nie mówiła, póki nie skończyła badania. Tym razem również nie uczyniła wyjątku.

- Już po wszystkim, Lucy. Zawsze miło cię widzieć. Benny bardzo lubi twoje zajęcia.

- Jest dobrym uczniem. Możesz być z niego dumna.

- Jestem.

Ubrałam się i przeczesalam włosy. Są długie, więc szczotkowałam je dobrą chwilę, patrząc w lustro i szukając jej. Robię to, ilekroć przychodzę do szpitala - to należy do rytuału. Szukam jakichkolwiek znaków, że śmierć gdzieś się przyczaiła albo że wychynie z zakamarków mojej świadomości. Ale nie zauważyłam niczego. I było to głęboko kojące - pomijając już magiczne słowa doktor Barbee.

Kiedy się ubrałam, wyruszyłam do Damiana, gdzie miałam zjeść lunch z Lily. Wspaniale było tak spacerować, wystawiając twarz na działanie promieni słonecznych i ciepłej bryzy. Uwielbiam tu mieszkać. Brinley w stanie Connecticut to małe miasto, które możesz przemierzyć wszerz i wzdłuż mniej więcej w kwadrans. Przystań dzielą od Loop - pełniącego w Brinley funkcję rynku - niemal dwie mile, a boczne ulice, z których składa się na nasze przedmieście, rozciągają się na kolejną milę w obie strony. Connecticut ma swoją historię i urok, ale dla mnie Brinley jest wszystkim, co najlepsze - szacowne osiedla, ulice z rzędami drzew, lokalna polityka typowa dla małych miast, jak naprędce zwoływane zebrania w Loop, żeby przedyskutować problem psich kup lub rozporządzeń dotyczących nawijarek do węży strażackich. Tego popołudnia mnóstwo

ludzi przebywało na zewnątrz i wydawało się, że nikt się nigdzie nie spieszy. Ale może to tylko ja nigdzie nie musiałam być o tej porze, bo szkoła była nieczynna w lecie, a ja wypuściłam w tym roku w świat stu siedemdziesięciu absolwentów.

Zobaczyłam moją sąsiadkę Dianę Dunleavy, odprowadzającą wnuczkę Millicent na zajęcia baletowe. Dziewczynka o figurze przypominającej żelka robiła piruety obok supermarketu Mosely. Była ubrana w jaskraworóżową spódniczkę. Diana pomachała mi ręką.

- Cały talent odziedziczyła po mnie! - krzyknęła przez ulicę.

Zaśmiałam się, widząc, jak Millie wpadła wprost na Deloya Rosenberga, który wychodził z Sandwich Shoppe zjedzeniem na wynos. Upuścił tekturową tackę i torebka spadła na ziemię, ale najwyraźniej nic się nie wysypało. Millie jednak była tak zawstydzona, że ukryła poczerwieniałą twarz w fałdach spódnicy Diany, aż w końcu szef policji w Brinley przestał ją pocieszać i odszedł ze swoim lunchem. Ilekroć widzę Deloya w mundurze, myślę o ojcu.

Po drugiej stronie ulicy zobaczyłam Lily i Jan, więc przeszłam przez jezdnię. Jan Bates, nasza najbliższa sąsiadka, w końcu rzeczywiście stała się teściową Lily, dokładnie tak jak przewidywałam, kiedy byłyśmy dziećmi. Nie wiedziałam wtedy, że również dla mnie stanie się jak matka.

Oscar Levine przybijał jakiś znak u wejścia do naszego niewielkiego parku. Kiedy ten kościsty człowieczek ujrzał mnie, opuścił młotek.

- Lucy, będziesz na Shad Bake w sobotę?! - zawołał do mnie.
- Oczywiście, że będzie - uprzedziła mnie Lily. Jan spiesznie mnie uścisnęła.

- Powiedz tylko, że tak - szepnęła mi na ucho.

- No pewnie. Za nic w świecie nie chciałabym stracić Shad Bake - odrzekłam. - A Mickey powinien już wtedy wrócić do domu, więc on również tam będzie.

- Dzielna dziewczyna.

Shad Bake było świętem w całej Connecticut River Valley, lecz my, brinleyczycy, obchodzimy je po swojemu. Oddajemy hołd podobno zagrożonym gatunkom ryb, przybijając ich przedstawicielki do dębowych desek wokół wgłębienia na ognisko, następnie obżeramy się nimi do oporu. To jedna z wielu rzeczy, które uwielbiam w Brinley.

- No to ja idę uczyć małych chłopców, jak się maluje sosny - rzuciła Jan ze śmiechem. - A wy, dziewczyny, nie pakuje się w żadne kłopoty.

Cmoknęła każdą z nas w policzek, po czym się oddaliła. Moja siostra obróciła się do mnie z nadmiernie szerokim uśmiechem, którym nie zdołała pokryć niepokoju.

- Więc jak poszło? - zapytała, obejmując mnie ramieniem.

- Dobrze. Charlotte nie widzi powodów do obaw. A Aretha powiedziała, że moje cycki wyglądają fantastycznie.

- Jasne, już w to wierzę.

- Cóż, tak naprawdę to powiedziała, że są ładniejsze niż twoje.

Lily się roześmiała.

- Teraz już wiem, że kłamiesz.

Moja siostra była piękna. Miała krótkie jasne włosy, jasną karnację jak mama, a w słońcu wyglądała, jakby była niemal przezroczysta.

- A więc wszystko dobrze? - zapytała, nagle poważniejąc.

- Wszystko dobrze - zapewniłam ją, odchrząknawszy. Przechyliwszy nieco głowę, dotknęła nią mojej. Wyczułam, jak przenika ją fala ulgi.

- Kłamczucha.

- Czemu?

- Wiem, że jest za wcześnie, by to wiedzieć na pewno.

- Może i tak, ale Charlotte ani przez chwilę nie wydawała się zaniepokojona, więc i ja nie zamierzam się martwić.

Lily zajrzała mi w oczy, jakby usiłowała dociec, czy czegoś nie ukrywam. Zawsze tak robiła.

- Jestem zdrowa, Lii. Czuję to.

Skinęła głową, wciąż nie spuszczać ze mnie wzroku.

- W porządku. Bo... wiesz, nie zamierzam cię grzebać, Lucy.

- Wiem - powiedziałam i ścisnęłam ją za rękę.

Na rogu George Thompson, właściciel jedynej kwiaciarni w mieście, ładował skrzynki z wiosennymi kwiatami do bagażnika swego cadillaca. Wymamrotał pozdrowienie, układając sadzonki z grymasem na pokrytej siwym zarostem twarzy.

- Jak się ma Trilby, George? - zapytała Lily, kiedy do niego podeszłyśmy. - Już lepiej?

- Ani trochę. I zrzedzi jak stara baba. Nie wiedzieć czemu to moja wina, że złamała nogę. Przecież to nie ja uprawiałem aerobik, na litość boską. Nie śmieję się, Lucy! - ofuknął mnie. - To nie jest wcale zabawne.

Lily chwyciła mnie pod ramię.

- Powiedz jej, że przyszło to staroświeckie lustro, które zamówiła - powiedziała. - Jak poczuje się lepiej, może je odebrać.

George znieruchomiał i wyprostował się. Wyglądał tak, jakby nic mu nie było wiadomo o żadnym lustrze. Sytuacja zaczynała robić się niezręczna, ale z oparów nieoczekiwanie wybawiła nas Muriel Piper.

- Witajcie, moje anioły! - zatrajkotała. - Wspaniały dzień, nieprawdaż? Wprost szaleję za kwiatami. - Rozległ się jej głęboki, gardłowy śmiech.

Muriel była najstarszą mieszkanką Brinley. Stuknęła jej bodajże dziewięćdziesiątka, choć się do tego nie przyznawała. Miała na sobie niebieskie dżinsy z zaprasowanymi zaszewkami, kaszmirową narzutkę z kapturem i diamentowe kolczyki w obwisłych płatkach uszu - z pewnością nie był to typowy ubiór do pracy w ogrodzie. Przycisnęła mnie do piersi z siłą zadającą kłam jej podeszłemu wiekowi.

- Lucy, jesteś za chuda. Musisz do mnie wpaść, ugotuję coś dla ciebie. Nigdy o sobie nie dbasz, kiedy z Mickeyem jest gorzej.

- Wraca do domu w piątek. A ja odżywiam się całkiem nieźle.

- Dopiero w piątek? A więc nie będzie go jutro na pogrzebie Celi.

Skinęłam głową.

- Cóż, przywieź go w ten weekend, żebym mogła go uściskać. Uwielbiam tego chłopaka. Twojego też! - zwróciła się do Lily. - Nie ma większego przystojniaka! Daję słowo!

- Przekażę mu twoje słowa, Muriel.

- Ani mi się waź! Wprawisz mnie w zakłopotanie! No dobrze, już czas na mnie. Te kwiatki same się nie posadzą.

Muriel pomachała do nas, po czym odjechała z bagażnikiem pełnym petunii i gerber.

Nagle zadzwonił mój telefon komórkowy. Sięgnęłam do kieszeni.

- Cześć, Priss - powiedziałam do słuchawki.

- Wszystko dobrze? - spytała moja najstarsza siostra bez żadnych wstępów.

- Charlotte stwierdziła, że najwyraźniej wszystko w porządku. Ale zadzwoni, kiedy zbadają w laboratorium moje próbki.

- To dobrze. Jadę na spotkanie, więc zadzwoń do mnie później. Chcę znać szczegóły. - Rozłączyła się.

Spojrzałam na Lily.

- Nic dziwnego, że jest tak świetną prawniczką.

- Chce się tylko upewnić, czy u ciebie okej. - Lily wzruszyła ramionami. - No więc - zaczęła, gdy weszliśmy do restauracji - Mickey wychodzi w piątek. Wiedział o twoim dzisiejszym badaniu?

Pokręciłam głową.

- Dopiero zaczął wracać do siebie, więc nie chciałam

mu o niczym mówić, póki nie będę miała samych dobrych wieści.

- Dobra z ciebie żona, Lu. Mic jest szczęściarzem, że ciebie ma.

Wzruszeniem ramion skwitowałam jej komplement, myśląc w duchu, że w istocie jest na odwrót. Po wszystkim, co razem przeszliśmy, wiedziałam, że dzisiaj Kocham Mickeya Chandlera jeszcze bardziej niż w dniu, w którym go poślubiłam.

ROZDZIAŁ 2

Dziennik = w trakcie leczenia = wgląd w siebie 7 czerwca 2011 - sesja z Gleasonem

Tym razem wydobyć się z dołka zajmuje mi aż tydzień. Ale przynajmniej, stojąc nad przepaścią, nie poddałem się i nie wpadłem w otchłań. Wiedziałem, że jestem w tarapatach, i balansowałem na krawędzi. Po raz kolejny wyobraziłem sobie, że mogę unieść stopę i wzbić się w powietrze -pikować, a potem wznieść się nad czeluścią, która - wiedziałem o tym - mogłaby mnie pochłonąć. Nieraz mi się to zdarzało. Na szczęście teraz nie.

Tak właśnie wygląda moje życie: nieustanne zbliżanie się do krawędzi przepaści i odsuwanie się od niej. Owa przepaść raz mnie fascynuje, a kiedy indziej przeraża - kryje się w niej to, co w danej chwili podsuwa mi moja chora wyobraźnia. Trzymanie się od niej na dystans to mój absolutny imperatyw, ale im bardziej się do niej zbliżam, tym lepiej się czuję. Albo tym gorzej. I to jest właśnie ironia losu, ponieważ czuję kompulsywny pociąg do niebezpieczeństwa:

im bardziej zbliżam się do otchłani, tym bliżej niej chcę się znaleźć. Czeluść skrywa jakąś niepojętą możliwość ucieczki - czasem to niewysłowiona radość, a kiedy indziej ból tak dotkliwy, że wymyka się próbom opisu. W obu wypadkach przepaść przyzywa mnie kłamstwami brzmiącymi jak obietnice. Łagodne, uwodzicielskie kłamstwa, którym nie zawsze potrafię się oprzeć.

Leki pomagają. One i regularna terapia. Moja własna siła woli też jest przydatna, jeśli tylko jestem w stanie ją w sobie znaleźć. Podobnie mój rozum, który ku mojemu zdumieniu nie do końca podlega regułom działania mego defektywnego mózgu. Osiągnąłem pełnię mądrości, jaką może dać osobiste doświadczenie. Niemal zawsze jestem świadom tego, co się ze mną dzieje, choć czasem niejako obserwuję to z dystansu, jak widz. Ale i tak zawsze usiłuję wdrożyć którąś z licznych strategii pozwalających uchronić się przed runięciem w otchłań. Nie zawsze z powodzeniem.

Największy wpływ ma na mnie moja żona. To dzięki niej z taką determinacją usiłuję zachować dystans do przepaści, choć nie zawsze mi się to udaje. Czasem, na przykład gdy ona choruje, krawędź zbliża się do mnie. Ale czasem dzieje się tak bez powodu. Czeluść rozszerza się w jakiś niewytłumaczalny sposób, nawet gdy od niej uciekam - kiedy uciekam, by ocalić życie - aż w końcu tracę grunt pod stopami i znowu jestem zgubiony mimo swych najszczerzych starań.

Większość ludzi w ogóle nie zauważa owej otchłani, ale dla tych, którzy cierpią na chorobę afektywną dwubiegunową, stanowi ona wielkie zagrożenie. Wiem, że mówię, jakbym był

uzależniony od narkotyków, ale żaden narkotyk nie wywołuje takich doznań, jakie wyzwała mania tuż przed tym, zanim poczujesz jej cios. Żaden też narkotyk nie wywołuje takiej rozpaczy, gdy się jest pod jego działaniem.

7 czerwca - później

Gdy po raz kolejny przeczytałem wprowadzenie do mojego dziennika, chciałem sprawdzić, czy nie ma tam charakterystycznych dla mnie bzdur, które sprawia, że mój psychiatra Gleason Webb podrze go i każe mi pisać od nowa. Ale nie widzę żadnych ustępów, w których bym przesadził. Jak na mnie jest to duże osiągnięcie. Myślę, że opisałem swoją sytuację całkiem nieźle jak na świra.

Na Lucy czekałem na frontowych schodach tego starego zakładu dla obłąkanych, który czasem jawi mi się jako mój drugi dom. Miałem dobry dzień, i to pod każdym względem. Czuję, jak znowu powoli, lecz nieuchronnie zaczyna się wylaniać moje zrównoważone ego. Muszę przyznać, że stęskniłem się za tym facetem. Cieszyłem się na jego powrót. Nie jest on zbyt ekscytujący, ale jest mi z nim dobrze. Mam poczucie bezpieczeństwa i mogę liczyć na bystrość jego umysłu.

Zerknąłem na zegarek, zastanawiając się, gdzie jest Lucy - mówiła, że o tej porze już tu będzie. Wstałem i zacząłem nerwowo chodzić wte i wewte, szybko jednak usiadłem z powrotem. Zjawia się, kiedy się zjawia, nie ma się czym denerwować. Zachichotałem, ponieważ tak po prostu zdałem sobie sprawę,

że moje lekarstwa działają. Byłem w stanie przeprowadzać analizy, więc się uśmiechnąłem... Psychotropy jednak czynią cuda. To uszczęśliwi Lucy - lubiła zrównoważonego gościa bardziej niż tego drugiego mnie. Nie, to nie do końca prawda. Kochała mnie - człowieka, który się składa z części wybrakowanych, nadmiarowych i wadliwych. Kochała je wszystkie. Mówiła, że nie ma wyboru, bo w przeciwnym razie jej miłość do mnie w ogóle nie miałaby sensu. Przysięgła to sobie przed laty i słowa dotrzymała. Dacie temu wiarę? Nie przestaję podziwiać tej kobiety. Zwłaszcza w takich okresach jak te, gdy pierwszą rzeczą, jaką widzę jasno, kiedy mój mózg uwalnia się od mgły zasnuwającej przepaść, jest jej miłość. Każdy świr powinien mieć takie szczęście.

Mickey czekał na mnie na schodach Szpitala Edgemont. W dzinsach i szarym podkoszulku ani trochę nie wyglądał na pacjenta. Gdy tylko przeszłam przez ulicę i mnie zobaczył, cały się rozpromienił. Miałam ochotę się roześmiać - wyglądał tak dobrze, tak zdrowo. Szerokie ramiona i długie nogi stanowiły jego znak rozpoznawczy. Uśmiech to u niego barometr zdrowia psychicznego i widząc go z pewnego oddalenia, można było odnieść wrażenie, że wszystko z nim w porządku. Wstał i włożył ciemne okulary na ciemne, nadal bujne włosy, a srebrna grzywka opadająca mu na oczy wciąż tak samo przykuwała wzrok jak w dniu, w którym go poznałam. Podszedł do mnie, a uśmiech z wolna rozpromienił jego twarz. Potem objął

mnie i staliśmy tak w bezruchu. Był to mocny, lecz nie spazmatyczny uścisk i zarazem dobry znak. Wydawało mi się nawet, że w tych ciemnych oczach, które zaledwie kilka dni temu były dzikie i nieobecne, potrafię dostrzec mojego dawnego Mickeya.

- Jak się masz?

Odsunął się nieco i pogłaskał mnie po włosach.

- Czuję się lepiej, Lu. Widziałem się dzisiaj rano z Gleasonem. Powiedział, że w piątek już na pewno będę mógł iść do domu.

Pocałowałam go.

- To dobrze. Cieszę się.

- Tak. - Przytulił mnie znowu. A więc to był on. Mój Mickey.

- Czemu tu siedzisz?

- Czekam na ciebie. Peony powiedziała, że będzie mnie mieć na oku.

Spojrzał w górę, a moje oczy powędrowały za jego wzrokiem. No tak, pielęgniarka Mickeya Peony Litman stała w oknie trzeciego piętra. Pogroziła mu palcem. Miała z siedemdziesiąt lat, jeśli nie więcej, i zgodnie ze swoją profesją była ubrana całkowicie na biało, nie wyłączając czepka.

- Powiedziała, że możemy pójść na spacer, jeśli weźmiesz za mnie odpowiedzialność.

Spojrzałam w górę i pomachałam do niej ręką. Staruszka uśmiechnęła się, a następnie również i mnie pogroziła palcem.

Edgemont to szpital kolonialny, który był już kilka razy remontowany. Z zewnątrz nadal prezentował się staroświecko, ale to właśnie tutaj trafiali pacjenci z Brinley i New Brinley. Placówka leżała na nienagannie wypielegnowanym terenie. Popołudnie było ciepłe i kilkoro pacjentów właśnie spacerowało. Uniosłam rękę Mickeya i położyłam ją sobie na ramieniu. Wciągałam w płuca łagodny zapach lilii i lawendy.

- Stęskniłem się za tobą, kochanie - powiedział.

- Ja też się stęskniłam.

- Tym razem przynajmniej nie wsiadłem do żadnego samolotu ani niczego nie ukradłem. Nie przekopałem podwórza.

-I całe szczęście.

W zeszłym tygodniu Mickey był chorobliwie pobudzony i miał olbrzymie pokłady energii. Zawsze tak się działo, kiedy sam sobie zaczynał dozować leki. Na tym właśnie polegał cały kłopot z Mickeyem - kontrolowanie oznak depresji, za pomocą na przykład prozacu, może doprowadzić do hipomanii - która zwykle wzbudzała w nim radość i z której niechętnie się leczył. Zawsze wydawało mu się, że potrafi gromadzić energię. Ale tym razem mimo usiłowań lekarza Mickey przestał sypiać. Gdyby nie medyczna interwencja, nastąpiłaby psychoza. Dzięki skorygowaniu dawek zażywanych przez Mickeya leków i jego hospitalizacji w Edgemont jego stan oscylował wokół tego, co reszta świata uznawała za normalność, a co sam Mickey nieszczęśliwie sobie cenił. Lecz z manii wychodził łatwiej niż z okresów depresji.

- Co porabiałeś?

- Niewiele. Po prostu starałem się wrócić do stabilnego stanu. A kiedy to mi się znudziło, liczyłem podbródki Peony.

- Nie wyżywaj się na niej. Wykonuje ciężką pracę, zajmując się tobą. Jared wpadał do ciebie?

- Dwa razy. Architekt się odezwał i Jared chciał mi pokazać plany. Są dobre. Myślę, że wywalimy ścianę przeciwległą względem baru i zrobimy miejsce na kilka dodatkowych stolików.

Mickey i jego partner biznesowy omawiali sprawę rozbudowy klubu już od roku. Miło byłoby zobaczyć, że w końcu coś się zaczyna dziać.

Mój mąż spojrzał na mnie.

- Muszę ci coś powiedzieć, Lu.

Przystanęłam. Te słowa zwykle stanowiły preludium do katastrofy, więc przygotowałam się na najgorsze. Czy kupił kolejny autobus na eBayu, zatrudnił jeszcze więcej imigrantów, żeby pomalowali nasz dom, a może pożyczył kozę, żeby oskubała nam trawnik?

- Słucham - oznajmiłam niepewnie.

- Nie obawiaj się. Chodzi tylko o to, Lucy, że cztery miesiące temu ja... czułem się wtedy dobrze i wykupiłem dla nas rejs.

Spojrzałam na niego ostro.

- Rejs?

- Chciałem cię zaskoczyć.

- W porządku, jestem zaskoczona. Kiedy wypływamy?

- Cóż, mieliśmy wypłynąć w ubiegły czwartek. Wiesz, w twój ostatni dzień szkoły.

- Ach tak - westchnęłam. - To byłoby nawet fajne. Dlaczego mi o tym nie powiedziałeś?

- Zamierzałem, ale chciałem, żeby to była niespodzianka.

- To słodkie.

- Staram się odzyskać pieniądze. Przynajmniej połowę, skoro była to nagła hospitalizacja. Przykro mi, kochanie.

- Mnie też! Wyobrażasz to sobie? Seks na plaży o północy, kąpiel na golasa w oceanie. Prawie żałuję, że mi powiedziałeś.

- Seks na plaży?

- Seks na plaży, Michael. I to częsty.

Mickey, mój uroczy mąż, sprawiający całkiem normalne wrażenie, nagle uśmiechnął się do mnie.

- A co byś powiedziała na coś takiego: wyprawa na Hawaje w twoje urodziny we wrześniu?

- Hmm...

- Mówię poważnie. Zdecydujemy się. To dobrze mi zrobi. Nie umiem stwierdzić, jak wiele podobnych planów nie

wypaliło - może zresztą nie aż tak wiele, jak mi się zdaje, zwłaszcza odkąd nauczyliśmy się, by za wiele nie planować. Mimo to pomysł z Hawajami wydawał się doskonały. Pocałowałam Mickeya w podbródek.

- Lucy, przysięgam, że się uda.

- A co powiesz na to? - powiedziałam do mojego zwariowanego męża. - Oszczędzamy pieniądze, rezerwujemy miejsca, kupuję strój kąpielowy, a za trzy miesiące, w moje urodziny, z tobą czy bez ciebie lecę na Hawaje.

- Och, ja również tam polecę. Nie wybierzesz się beze mnie.

- Wiem, że polecisz, ale mówię tak na wszelki wypadek... gdyby ci się nie udało... Nadal musisz dotrzymać obietnicy.

Objął mnie ramieniem i spacerowaliśmy po terenie otaczającym szpital, marząc i snując plany, aż w końcu na skutek działania leków Mickey zaczął odczuwać takie pragnienie, że nie mógł mówić. Kiedy wróciliśmy na trzecie piętro Oddziału Psychiatrii Ogólnej i Leczenia Uzależnień, Peony już na nas czekała.

- Lucy! Dobrze cię widzieć, kochanie. Jak się masz?

- Nieźle.

- Skończyłaś ze szkołą i masz wakacje?

- Tak, i dobrze mi z tym. Stara pielęgniarka zachichotała.

- Ludzie sądzą, że to ja mam ciężką pracę, ale nie zamieniłabym jej na nastolatki, nawet gdyby mi podwoili pensję.

Uśmiechnęłam się. Miałam podobne odczucia, jeśli chodzi o jej pracę. Podała Mickeyowi papierowy kubek z wodą i pigułki, po czym obserwowała, jak mój mąż je łyka. Potem sprawdziła, czy nie schował ich pod językiem. Ten drobny akt naruszenia prywatności zawsze mnie zaskakiwał. Mickey był inteligentnym i dowcipnym człowiekiem odnoszącym sukcesy w branży rozrywkowej. Łatwo dogadywał się z innymi, był rozmowny. Jeśli wracał do domu przede mną, gotował obiad. Marudził, kiedy prosiłam, żeby

polecał do Mosely po tampony. Zmieniał dla mnie opony w samochodzie i płacił rachunki za prąd. Gdy wychodził odświeżony spod prysznic, nie mogłam mu się oprzeć. Ale był także tym drugim facetem, który co jakiś czas tak dalece zbaczał z obranego kursu, że Peony musiała się upewniać, czy nie schował leków, zamiast je zażyć. Ścisnęłam go za rękę, a on w odpowiedzi chwycił mnie mocniej za ramię.

Po latach wytrwałych badań Gleason - doktor Gleason Webb - w końcu znalazł dający efekty zestaw leków na cyklofrenię Mickeya. Zestaw, który mój mąż czasem porzucał z powodów znanych tylko jemu, czego rezultatem był stopniowy nawrót choroby. Właśnie na tym etapie byliśmy obecnie. Aby Mickey zachował spokój, musiał codziennie zażywać małą garść pigułek. Brał leki na utrzymanie zrównoważonego nastroju, zwykły węglan litu, czasem depakote, a często jedno i drugie. Zażywał też risperdal, dzięki któremu nie słyszał głosów, neurontin, dzięki któremu nie miał drgawek po risperdalu, symmetrel, zwalczający symptomy podobne do symptomów choroby Parkinsona, które mogą się pojawić w następstwie zażywania depakote, propranolol zapobiegający drżeniu ciała i benadryl przeciwdziałający sztywnieniu mięśni, będącemu następstwem owego drżenia. Ponadto brał klonopin na uspokojenie, a na bezsenność ambien. Nie liczę antydepresantów, które włączano, kiedy zachodziła taka potrzeba. Wszystkie one działały niczym czarodziejska różdżka, sprawiając, że zachowanie, nastroje i reakcje Mickeya były całkiem normalne. Przynosiły jednak

taki efekt tylko wtedy, gdy Mickey brał je o wskazanych porach, co zdarzało się niezbyt często.

To podkład muzyczny naszego życia: czy Mickey zażywa leki? Gdybym była inną żoną, taką, która liczy i wydziela pigułki, i gdybym obserwowała, czy Mickey połyka je, jak zrobiła to przed chwilą pielęgniarka, odpowiedź brzmiałaby: jasne, że tak. Nie mogłam jednak pozbawiać go odpowiedzialności za siebie samego i jego godności, więc starałam się nigdy nie zachęcać go do tego, by był ode mnie zależny. W zdrowiu czy chorobie, chcę, żeby był samodzielny. Ale nie oznacza to, że go uważnie nie obserwuję i że nie zajmuję się wszystkim, kiedy odbija mu szajba. Muszę to robić, skoro kocham kogoś takiego jak Mickey.

Nie narzekam. Przecież mnie ostrzegano, że moje życie będzie tak wyglądało. Miałam wiele okazji, by się rozmyślić. Szczerze mówiąc, sędzę, że w pewien sposób pokochałam Mickeya już w chwili, gdy go ujrzałam. I dzięki Bogu, że tak się stało, bo teraz nie potrafię sobie już wyobrazić, że mogłabym pokochać kogokolwiek innego. Ani tego, że ktokolwiek inny kochałby mnie. Mimo kłopotów (a od czasu do czasu straconych opłaconych rejsów) wiem, że i dzisiaj bym go wybrała.

ROZDZIAŁ 3

8 września 1998

Dala mi swój numer telefonu, a choć wiedziałem, że nigdy do niej nie zadzwonię, i tak go zapamiętałem. Nic na to nie mogłem poradzić. Nikt nigdy nie patrzył we mnie tak jak ona. Wiem, że to brzmi dziwnie, ale patrzeć na mnie, a patrzeć we mnie to dwie różne rzeczy. Potrafię to odróżnić, gdyż przez większość mojego dorosłego życia kobiety - a też i niemało mężczyzn - tylko na mnie patrzyły. Miałem wrażenie, że Lucy nie postrzega mnie poprzez pryzmat atrakcyjności, jak większość młodych dziewcząt, lecz przypatruje mi się o wiele bardziej krytycznym okiem, surowiej i bardziej przenikliwie. Najpierw kompletnie mnie rozbroiła, kiedy flirtowałem z jej siostrą, która - muszę to przyznać - jest naprawdę niezła: blondynka, bystra i zdecydowanie interesująca, choć nie w moim typie. Kiedy w klubie zebrał się tłum ludzi, zgromadzonych z okazji przyjęcia urodzinowego, jej towarzystwo po prostu sprawiało mi przyjemność. Ale kiedy ta dziewczyna - i to jaka dziewczyna! - weszła do środka, nastrój natychmiast

się zmienił i zrobił się o wiele radośniejszy. Wszyscy ją znali i najwyraźniej przez wielu była adorowana. Wiem, że to truizm, ale gdy kręciła się po sali, nie mogłem oderwać od niej oczu. Ścisnęła wszystkich, raz po raz wybuchając śmiechem. Miała na sobie obcisły czarny sweterek, rozkloszowaną spódnicę i kozaki. Była istnym ucieleśnieniem mojego ideału piękna. Pomyślałem, że może zauważyła, jak się na nią gapię, więc kiedy w końcu podeszła i do naszej grupki, trochę się spiąłem. Ale to nie do mnie podeszła, lecz do dziewczyny, z którą flirtowałem. Myślałem, że spadnę z krzesła, dowiedziawszy się, że są siostrami. Uśmiechnęła się do mnie, otwarcie wyrażając sympatię, i przedstawiła się jako Lucy Houston. Zarówno to imię, jak i nazwisko doskonale do niej pasowały. Była niższa od siostry i miała niesamowite włosy w kolorze kasztanowym, których miałem ochotę dotknąć. Podczas gdy Priscilla przypominała modelkę - była piękna i widać było, że bardzo troszczy się o swój wygląd - Lucy przewyższała ją naturalnością i, wiercie mi, nie potrzebowała upiększeń: miała jedwabistą skórę, wielkie zielone oczy, drobny, odrobinę zadarty nosek i wydatne usta, jakby stworzone do pocałunków. A że była niezwykle sympatyczna, małej Lucy Houston wprost nie sposób było się oprzeć.

Okazało się, że to właśnie jej dwudzieste pierwsze urodziny świętowaliśmy w klubie, a zatem była dla mnie o wiele za młoda: miałem dwadzieścia dziewięć lat. Gdy jednak zjawiała się na scenie, zdarzyło się coś trudnego do przewidzenia. Starłem się zachowywać tak jak zwykle. Rzuciłem kilka żartów, wywołując śmiech wśród gości; po prostu robiłem, co do mnie należało.

Wywołałem ją, żeby się z nią trochę powyglupiać przed wszystkimi, a ona nie miała nic przeciwko temu. W pewnej chwili cały świat jak gdyby zniknął dla mnie. Została tylko ona. Nie wiem, co zrobiła, ale udało jej się zderzyć mi z twarzy starannie spreparowaną maskę, którą pokazywałem innym. Jakby nagle wejrzała w moją prawdziwą naturę. Inie wzdrygnęła się. Kiedy - ot tak, dla zabawy - ją pocałowałem, a ona odwzajemniła pocałunek, zdawało mi się, że odnalazłem ją w jakimś metafizycznym sensie, jakby stanowiła brakującą część mnie samego, podczas gdy ja sam nawet nie podejrzewałem, że jestem niekompletny. Nie wiem, czy coś takiego przytrafia się normalnym ludziom, ale dla mnie było to coś nieodpartego. Dla osoby, której niedane jest zakosztowanie szczęścia, było to doświadczenie szokujące tak dalece, że aż przerażające. I przeraziło mnie to niemal do zupełnego oglupienia. Wspaniała dziewczyna dała mi swój numer telefonu, a ja pozwoliłem jej odejść.

Poznałam Mickeya Chandlera w 1998 roku, kiedy byłam studentką Northeastern University w Bostonie. Lily zwabiła mnie do Brinley na moje dwudzieste pierwsze urodziny. Urządziła przyjęcie i zaprosiła wszystkich naszych znajomych. Być może faktycznie chodziło o moje urodziny, ale wiedziałam też, że moja siostra potrzebuje rozrywki; ona i jej mąż Ron właśnie mieli za sobą adopcję, która skończyła się bardzo źle.

Obawiałam się, że biedna Lily nigdy już nie dojdzie do siebie. Najpierw było owo niekończące się wyczekiwanie

na jakże cenne dla niej dziecko, które nazwała James Harrison po naszym tacie i ojcu Rona. Zresztą wszyscy byliśmy wprost zakochani w tym dużym, zdrowym, bezwłosym, uroczym malcu. A potem nieoczekiwanie go utraciliśmy, gdyż jego piętnastoletnia mama nagle zmieniła zdanie. Owa dziewczyna - wraz ze swoją głupią matką i adwokatem - któregoś dnia po prostu zapukała do drzwi Lily i zażądała zwrotu dziecka. Adekwatny termin prawniczy brzmi „unieważnienie adopcji” i według prawa obowiązującego w Nowym Jorku, z którego pochodziła matka, miała ona czterdzieści pięć dni na cofnięcie decyzji o zrzeczeniu się dziecka. I zjawiała się owego krytycznego, ostatniego dnia, a życie Lily zdominowała ziejąca pustka.

Już sądziłam, że moja siostra nigdy się z tym nie pogodzi. Poprzysięgła sobie, że więcej nie będzie się ubiegać o adopcję. I trudno było ją za to winić. Nie po tym, jak dwa razy poroniła, nie po uciążliwych staraniach, by rozwiązać swój problem - niewydolność szyjki macicy. A potem ta kolejna klęska! Przy pierwszej próbie adopcji matka zmieniła zdanie, jeszcze zanim dziecko się urodziło, więc dla Lily i to było trudne, lecz nie tak jak utrata Jamiego. To wtedy temat dzieci objęty został tabu. A później po prostu zniknął. Ja poprzysięgłam sobie, że nigdy nie będę ich mieć, a Priscilla poślubiła karierę i zaklinała się, że nie zamierza zakładać rodziny. Ron jednak tak usilnie pragnął pocieszyć Lily, że kupił jej w historycznym centrum Brinley stary dom w stylu wiktoriańskim, a ich „dzieckiem” stał się sklep z antykami, który nazwali Ghost in the Attic. Sfinalizowali kontrakt na dzień przed moimi dwudziestymi pierwszymi urodzinami, więc mój wielki wieczór również i dla nich stanowił okazję do świętowania.

Lily dołożyła wszelkich starań, by moje urodziny miały bajeczny przebieg. Wyszukała lokal i zleciła właścicielowi zorganizowanie imprezy. Następnie zaprosiła wszystkich moich przyjaciół, a nawet niektóre spośród moich matek zastępczych. A przez te wszystkie lata miałam ich kilka. Kiedy umarła nasza mama, kobiety z Brinley uznały, że mimo siedemnastu lat nie byłam jeszcze w pełni dorosła. Zwłaszcza trzy wzięły sobie do serca mój los i pojawiły się owej nocy na moim urodzinowym przyjęciu w Colby's. Były to: Jan Bates, Lainy Withers i Charlotte Barbee. Z całej trójki najsilniejsza więź łączyła mnie chyba z Jan. Była utalentowaną artystką, która kiedyś namalowała portret Lily, Priss i mój w towarzystwie naszego taty, czym sprawiła naszej mamie prawdziwą radość. Jan malowała nasze wizerunki ze zdjęć, na których byliśmy bardzo młode, ale nie sposób było odgadnąć, że nie pozowałyśmy jej osobiście. Obraz wisiał w sypialni mamy aż do jej śmierci, a teraz Lily miała go u siebie nad kominkiem. Jan i Harrison Batesowie byli najbliższymi przyjaciółmi mamy. Otoczyli nas prawdziwą miłością i byli dla nas wsparciem, jakbyśmy były ich rodzonymi córkami.

Lily wyswobodziła mnie z uścisku Jan i również mnie objęła, a ja odpowiedziałam jej tym samym. Moja siostra stała się ostatnio koścista, a wokół jej oczu pojawiły się

cienkie obwódki bólu, ale nader sprawnie umiała je ukryć, zwłaszcza kiedy Ron zaczął śpiewać *Happy Birthday* tak głośno, że niemal popekały nam bębni. Priscilla - nasz błyszczący klejnot - stała w kącie sali i obejmowała przystojnego mężczyznę, który sprawiał takie wrażenie, jakby wołał o ratunek. Podeszłam do nich, a Priscilla błysnęła do mnie w uśmiechu pięknymi zębami. Wyglądała niesamowicie w obcisłych dżinsach i jeszcze bardziej obcisłej koszulce w kolorze jabłek fuji. Flirtowała niczym kurtyzana i patrząc na nią w ów wieczór, nikt by nie odgadł, że z taką zaciętością wspinała się po szczeblach prawniczej kariery i potrafiła sprawić, że jej adwersarz tracił zdolność budowania pełnych zdań. Stanowiła potrójne zagrożenie w zabójczym opakowaniu: była piękna, błyskotliwa i zdeterminowana. Ale Priss miała swój czuły punkt, o którym poza mną i Lily wiedzieli tylko nieliczni.

- Cześć - przywitałam się z nią.

- Cześć - odrzekła, odrywając rękę od opalonego ramienia swojego przyjaciela, i uściskała mnie. - Wszystkiego najlepszego, Lu - wyszeptała mi spiesznie na ucho, po czym zajęła wcześniejszą pozycję u boku przystojnego towarzysza, który bacznie mi się przyglądał.

Uśmiechnęłam się do niego.

- Mam na imię Lucy.

Wstał. Był wysoki, miał bardzo szerokie ramiona i wąską talię. Ja z kolei jestem dosyć niska i mam raczej chłopięcą sylwetkę, więc musiałam podnieść wzrok, by spojrzeć mu w twarz. Wyciągnął do mnie rękę, którą uścisnęłam.

- To jest... cóż, szczerze mówiąc - Priss uśmiechnęła się - nie wiem nawet, jak masz na imię.

- Mickey.

Mężczyzna obdarzył mnie miłym uśmiechem, który zdawał się coś ukrywać. Zerknęłam na Priss, a jej spojrzenie ostrzegło mnie, że to jej zdobycz, co przyjął z żalem, gdyż nieznajomy był uroczy. Miał niezwykle włosy - ciemne, falujące. Na czoło opadał mu szpakowaty kosmyk, przez co trudno było odgadnąć jego wiek. Choć ja powiedziałabym, że ma około trzydziestki. Miał wspaniałe usta i piękne ciemne oczy, których nie odrywał ode mnie, odkąd spotkały się nasze spojrzenia. Pomyślałam sobie: mogłabym je widywać na co dzień. Nigdy jednak nie konkurowałam z Priscillą o facetów i nie zamierzałam robić tego teraz, więc szybko zabrałam rękę z jego dłoni.

- Miło mi cię poznać - powiedziałam po prostu. Nie przestawał się we mnie wpatrywać. Pomyślałam

sobie, że gdybym jednak postanowiła tym razem konkurować z Priss, moja starsza siostra miałaby problem. Najwyraźniej jednak Priss była w swoim żywiole, więc zostawiłam ją i zaczęłam obchód po sali, gawędząc z przyjaciółmi.

Colby's, klub w mieście sąsiadującym z Brinley, tej nocy rozbrzmiewał muzyką i gwarem, a piwo lało się strumieniami. Dobrze się bawiłam, natrafiwszy ponownie na mojego starego znajomego Chada Withersa, którego znałam od przedszkola, a który razem ze swoim ojcem prowadził jedyny zakład pogrzebowy w Brinley. Właśnie opowiadał

mi o swoim dosyć anemicznym życiu uczuciowym, kiedy ktoś przemówił przez trzeszczący mikrofon:

- Czy to w ogóle działa?

Rozmowy urwały się i uwaga wszystkich skierowała się na niewielką scenę w kącie sali. Domyśliłam się, że Ron dał właścicielom klubu instrukcje w związku z moimi urodzinami i że w którymś momencie przyczyna imprezy zostanie ujawniona. Ale ku mojemu zaskoczeniu okazało się, że to właśnie mocno zbudowany, uroczy przyjaciel Priscilli pełni honory gospodarza.

- Witajcie w Colby's! - powiedział. - Milo was wszystkich widzieć. Dobrze się bawicie? Jesteście wszyscy z Brinley, prawda?

Chad zagwizdał na palcach.

- To dobrze. Mówią, że ludzie z Brinley potrafią się bawić, chociaż wiem, że impreza tutaj nie umywa się do bingo w waszym ratuszu... - Mickey roześmiał się, po czym położył sobie rękę na sercu w udanym geście przeprosin. - Ja tylko żartowałem. Uwielbiam Brinley. Ludzie są tam naprawdę bardzo mili. Słyszałem również, że także bogaci, co chyba jest jeszcze lepsze... Nie krepujcie się więc i wydawajcie tu, ile wlezie. Howie robi naprawdę świetne drinki, a dzisiaj pracuje nad swoim nowym wynalazkiem, który na cześć naszego specjalnego gościa nazywa się „Lucy osiąga pełnoletność”.

W klubie dały się słyszeć wybuchy śmiechu, a ja poczułam, jak twarz oblewa mi fala gorąca.

- No tak. Strzeliło dziewczynie dwadzieścia jeden latek,

więc pijmy wraz, będę miał z czego zapłacić moją spóźnioną ratę. - Zachichotał i wsunął ręce do kieszeni, po czym wyjął je znowu. - Ale do rzeczy. Nazywam się Mickey Chandler, a tutaj w Colby's uwielbiamy specjalne okazje, zwłaszcza urodziny. Dzisiaj bierzemy w obroty Lucy Houston.

- Poklepał się ręką po kieszeni koszuli, po czym wydobył z niej kartkę papieru. - Chciałbym podziękować Lily, siostrze solenizantki, za wprowadzenie mnie we wszystkie niepiękne zakamarki życia jakże wyluuuzowanej Luuucy, jeśli wiecie, co mam na myśli. A tak w ogóle, to gdzie ona jest? Czy ktoś widział dziewczynę, która ma dzisiaj urodziny?

W ciemnym pomieszczeniu padł na mnie nagle snop światła. Skinęłam teatralnie głową, podczas gdy moi przyjaciele wznosili okrzyki na moją cześć. Mickey kilka razy klasnął w dłonie.

- Oto ona. Lucy ma już dwadzieścia jeden lat, więc dobrze wam radzę - uważajcie na nią. Przyjrzyjmy się jej... Jesteś studentką, prawda, skarbie?

Skinęłam głową.

- Studiujesz w Bostonie. Domyślam się, że dobrze się rozumiesz ze współlokatorkami. Pozwól, że cię o coś zapytam: czy wasza lodówka jest podzielona na części? Założę się, że podpisałaś nazwiskiem każdy kawałeczek sera i każde jajko, które do ciebie należą. Przyznaj się, Lucy

- zarechotał Mickey. - Faceci są zupełnie inni. Wszystko jest wspólne, no nie, chłopaki? Jedzenie, piwo, dziewczyny. Wystarczy wyciągnąć rękę. Mam rację?

Chad zagwizdał, jakby dobrze wiedział, o czym mówi Mickey, a ja śmiałam się tylko dlatego, że był taki uroczy! Ale co ważniejsze, Lily również chichotała, czego zresztą strasznie potrzebowała. Słowem: natychmiast stałam się fanką Mickeya.

- Lucy, chodź no tutaj - powiedział. - Pomóż mi, zanim wszystko sknocę, a ty obrazisz się i pójdziesz na bingo.

Nigdy nie należałam do specjalnie nieśmiałych, więc byłam w drodze, zanim skończył zdanie. Minęłam Priscillę. Wyglądała na odrobinę poirytowaną, ale nie mogłam nic na to poradzić. Mickey znowu się szczerzył w tym swoim uśmiechu, który niedawno zwrócił moją uwagę. A że w pobliżu nie było już siostry, która mi przesłaniała emanującą od niego aureę, cała się w niej po prostu zanurzyłam. Moje siostry to śliczne blondynki, ale to ja mam naprawdę piękne włosy, bujne, kasztanowe, odziedziczone po ojcu. Tamtej nocy miałam je rozpuszczone, a Mickey sięgnął do nich i przesunawszy po nich dłonią, zbliżył się, by im się lepiej przyjrzeć. Pachniał znakomicie.

- Jak to się stało, że nie jesteś blondynką jak siostry?

- powiedział z dala od mikrofonu, biorąc w palce duży pukiel. Szybko się jednak opamiętał i wypuścił go z dłoni.

- A więc... hmm... Lucy... dwadzieścia jeden lat. Co robią dziewczyny w wieku dwudziestu jeden lat, jeśli chcą się zabawić?

- Cóż, drogi panie Chandler, chyba mniej więcej to samo co podstarzali zbereźnicy.

- Czy to jakiś stary dowcip? Bo nie znam. Dźgnęłaś mnie

prosto w serce - powiedział z udawaną urazą. - Ale i ja ci zadam małe pchnięcie, skoro taka z ciebie gorąca mała.

- Cóż, dziękuję. Ty też jesteś całkiem niezły. Dotknęłam jego klatki piersiowej i poklepałam go po mięśniach, a kiedy to zrobiłam, wywrócił oczami w taki sposób, że nie chciałabym stracić tego widoku za żadne pieniądze. Szybko wziął się w garść.

- Czy można nie kochać studentek? Co, chłopaki? Młodych, zachwycających studentek? Ale musicie je łapać, póki czas. Chyba wiecie, o czym mówię. Są w pełnym rozkwicie, ale wciąż na tyle naiwne, żeby dać nam szansę. Potem zaczynają traktować życie poważnie, a wtedy zapomnijcie o sprawie. Dla takich facetów jak my to już koniec. No nie, Lucy?

- Mówisz o mnie czy tak w ogóle? Mickey teatralnie rozejrzał się wokoło.

- Nie widzę tu nikogo innego. - Następnie ponownie ujął w palce pukiel moich włosów. - Lepiej jeszcze raz sprawdzę, czy aby na pewno nie jesteś blondynką. Tak, o tobie mowa - powiedział, przysuwając się bliżej.

- No cóż, mogę cię zapewnić, że akurat ty miałbyś u mnie szansę.

Znowu wydał się odrobinę skołowany. Moi przyjaciele zaczęli go podpuszczać. Uśmiechnęłam się.

- To litość, prawda? - powiedział. - Ty, wyróżniająca się studentka, litujesz się nad facetem, który skończył jakieś tam studia bez wyróżnienia, a jego praca polega na tym, że odstawia komedię w klubie.

- Żartujesz sobie?! - wykrzyknęłam. - Komediant z dyplomem? Jestem pod wrażeniem!

Nie spuszczał ze mnie swoich śmiejących się oczu. Najwyraźniej zastanawiał się nad dalszym ciągiem.

- A więc dobrze! Do dzieła! - powiedział w końcu, po czym przyciągnął mnie do siebie i zainscenizował scenkę pod tytułem urodzinowy pocałunek z dziewczyną z college'u.

Zdaje się, że to miał być zupełnie niewinny całus, tyle że ja naprawdę przejęłam się rolą - wszak były to moje urodziny. Nasze języki i zęby zwały się. Było w tym coś jakby znajomego, wspaniałego - i nie miałam ochoty tego przerywać.

Kiedy w końcu odsunęliśmy się od siebie, byłam bez tchu i trochę zawstydzona. Wydawało się, że maska Mickeya ponownie opada mu z twarzy. Sprawiał wrażenie, jakby nie mógł uwierzyć w to, co się właśnie stało. Roześmiałam się i zesłam ze sceny przy ponownie chóralnie odśpiewanym *Happy Birthday*. W oczach pozostałych była to zwykła zabawa. Tylko Priss wyglądała na trochę zirytowaną. Ale ja niczego nie żałowałam. To był mój wieczór, Mickey występował na scenie dla mnie. Cały czas szukał mnie wzrokiem. Próbował też udawać nonszalancję, i to mnie cieszyło. Kiedy ruszyłam z powrotem do baru, Priss przecięła mi drogę.

- Co to było?

- Nic takiego. Zabawiliśmy się trochę.

- Wyglądało mi to na coś więcej - powiedziała urażonym tonem.

Roześmiałam się, zerkając na scenę, na której nadal stał Mickey Chandler, patrząc w moim kierunku i opowiadając jakąś

zabawną historię o parze psów i bankomacie. Staralam się spojrzeć na nas obie jego oczami. Wysoka, olśniewająca blond piękność Priscilla, o bujnych kształtach, jakby stworzonych dla mężczyzny, robi właśnie wymówki swojej drobniejszej młodszej siostrze, która - choć pozbawiona bujnych kształtów - prezentuje się w swej spódnicy i kozakach nader pociągająco, nawet bez oczywistej urody tamtej.

- Teraz szansa dla ciebie - powiedziałam, kiedy Mickey schodził ze sceny.

Priscilla przez chwilę się zastanawiała, zerkając mi przez ramię.

- Myślę o czymś innym. Potraktuj tego żartownisia jako mój prezent urodzinowy.

Odwróciłam się i zobaczyłam, że Trent Rosenberg wpatruje się w moją siostrę, jakby była jakąś smakowitą potrawą i jakby sam nie jadł już od roku. Trent był w liceum jej chłopakiem i razem z Priss stanowili obiekt chyba najstarszych plotek w Brinley. Chciałabym wierzyć, że moja siostra miała świadomość, że powinna dać sobie z nim spokój. Zwłaszcza że był żonaty i miał dzieci.

- Nie bądź głupia, Priss.

- Co? To nic wielkiego.

Powiedziałabym więcej, ale właśnie wtedy między nas wcisnęła się Lily, prosząc Rona, by zrobił nam zdjęcie. Ustawiła mnie przed sobą, objęła Priss i wszystkie

wyszczерzyłyśmy zęby w uśmiechu. Dziewczęta Houston pozujące do zdjęcia. Ja w objęciach dwóch starszych sióstr, a każda z nas obejmująca pozostałe. Potem za rękę chwycił mnie Chad.

- Chodź, Lu, leci nasza piosenka.

I rzeczywiście z szafy grającej popłynęła znajoma melodia zespołu Wang Chung, natychmiast przywołując wspomnienie naszego balu maturalnego.

Kiedy już niemal wszyscy zaczęli się rozchodzić, postanowiłam odszukać Mickeya Chandlera. Barman wskazał mi koniec korytarza, gdzie znalazłam gabinet z lekko uchylonymi drzwiami. Odchrząknęłam i zapukałam. Mickey Chandler podniósł wzrok znad komputera.

-Hej.

- Hej, chciałam ci podziękować za przyjęcie.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Uśmiechnął się.

Naskrobałam swój numer telefonu na serwetce, którą mu podałam, przywołując na twarz swój najbardziej uroczy uśmiech.

- Świetnie się bawiłam. Zdziwiony wziął serwetkę.

- Zachowywałaś się na scenie bardzo naturalnie - rzucił z uśmiechem, z którego przebijała pewność siebie. Ale potem nie odezwał się już ani słowem.

- No więc... jeszcze raz wielkie dzięki - powiedziałam, zanim sytuacja zrobiła się kłopotliwa, po czym obróciłam się na pięcie. Byłam zmieszana i trochę rozczarowana, ale jakoś nie chciało mi się wierzyć, że źle odczytałam jego intencje.

Mickey Chandler mnie zaintrygował. Przekomarzając się z nim na scenie, pod jego maską dostrzegłam przebłysk czegoś bardzo prawdziwego. Miał świadomość, że to zauważyłam, i pewnie nie wiedział, co ma o tym sądzić. Ale to właśnie owa widziana przez sekundę prawdziwa twarz człowieka,

chowającego się za maską błazna, tak bardzo mnie poruszyła. Staralam się zanadto w to nie wgłębiać, ale muszę przyznać, że w ciągu następnych ośmiu miesięcy kilka razy o nim myślałam.

Był koniec maja 1999 roku, gdy w moim mieszkaniu w kampusie o czwartej rano zjawiała się Priscilla. Otwarłam drzwi, ledwo widząc na oczy, ale obecność mojej siostry drżącej w progu zupełnie przywrócił mnie do przytomności. Miała mokre włosy.

- Priss? Co się dzieje?

- Musisz mnie odwieźć do domu - oświadczyła i weszła do środka. Nie miała na sobie butów. - Gdzie twoje kluczyki?

- Priscilla, co się stało?

- Możesz mnie tam zawieźć? - Zaczęła nerwowo chodzić po pokoju. - Gdzie, u diabła, są twoje kluczyki?

Chwyciłam ją za rękę. Usiłowała wyrwać się z uścisku, ale mocno ją trzymałam.

- Priscilla, uspokój się! Co się stało?

- Znalazłam guz! - wykrzyknęła, po czym już łagodniej dodała przerażonym głosem: - Znalazłam guz.

Patrzyłam na nią bez słowa. Zupełnie mnie zatkało.

- Błagam cię, Lucy. Możemy już jechać?

Obie w piżamach pojechałyśmy do Brinley. Priss milczała, ogarnięta paniką, a ja zastanawiałam się, czy coś mi umknęło. Widywałam siostrę dosyć często podczas pobytu w Bostonie, ale nigdy nie widziałam, by gdzieś w jej pobliżu czaiła się śmierć. Teraz bałam się podnieść oczy. Ponad połowę drogi pokonałyśmy w milczeniu. W końcu sięgnęłam po jej dłoń.

- Priss, powiedz coś.

Ścisnęła moją rękę, po czym puściła ją.

- Po prostu jedź, Lu.

Jeszcze tego samego ranka Charlotte kazała Priscilli zrobić biopsję. Potem czekałyśmy. Wszystkie byłyśmy w gabinecie, gdy nadeszły wyniki. Obie z Lily trzymałyśmy Priss za rękę. Na szczęście wieści nie były zatrważające. Guz był złośliwy, ale był tylko jeden i miał być usunięty w całości. Właściwie mógłby być to powód do świętowania, lecz otaczający go obszar należało dokładnie przebadać pod kątem występowania anormalnych komórek. Znalezienie ich byłoby nowym powodem do niepokoju. Tak więc Priss miała operację, a my znowu czekałyśmy. Przez cały ten jakże dłużyący się nam wszystkim dzień obie z Lily trzymałyśmy Priss za rękę.

- Nie mogę patrzeć, jak teraz ona przez to wszystko przechodzi - powtarzała w kółko Lily.

- Jest zbyt twarda, by mogło ją to załamać - odparłam. Późno w nocy poznałyśmy w końcu wynik badania - okazało się, że wszystkie otaczające komórki są zdrowe. Z ulgi niemal ugięły się pod nami nogi, zwłaszcza Lily bardzo to przeżywała. Około jedenastej w nocy Ron zabrał ją do domu, ale ja zostałam, bo Priscilla była bardzo niespokojna.

Zbliżała się północ, kiedy w końcu zasnęła - dzięki potężnej dawce demerolu. Musiałam odpocząć, poszłam więc do szpitalnej kawiarni czegoś się napić. Sala była słabo oświetlona i panowała w niej zupełna cisza. Większość krzeseł umieszczono na stołach, by dało się umyć podłogę. Tylko jeden mały człowieczek stał za ladą. Poprosiłam o frytki i colę. Rozejrzałam się wokół i nagle odkryłam, że prócz mnie jest w lokalu tylko dwóch lekarzy i jakiś samotny mężczyzna siedzący przy stoliku.

Natychmiast rozpoznałam tę falę szpakowatych włosów spływającą na czoło. Nasze spojrzenia spotkały się. Był to Mickey Chandler. Nie odwrócił wzroku, więc podeszłam do niego.

- Cześć, żartownisiu. Pamiętasz mnie? Patrzył na mnie, jakby widział ducha.

- To ty. Solenizantka. -Tak.

- Jak się miewasz?

- To był długi dzień, ale ogólnie nie najgorzej. A ty?

- Kwitnąco.

- Kwitnąco? - powtórzyłam. - Nigdy nie słyszałam, by jakiś chłopak tak mówił. Ty chyba naprawdę jesteś stary, co?

Tego wieczoru Mickey nie tryskał dowcipem. Jego uśmiech zniknął, a oczy przypominały oczy nawiedzonego. Odchrząknęłam.

- Cóż, miło było cię zobaczyć.

Kelner niósł mi już tackę z frytkami. Mickey nogą odsunął dla mnie krzesło.

- Może usiądziesz?

- Jesteś pewien? Nie chcę przeszkadzać w rozmyślaniach. Tym razem zachichotał.

- Pamiętam cię. Te twoje ciągłe riposty. Usiadłam, a mały kelner położył między nami ogromną porcję frytek.

- Głodna? - szydził Mickey.

- Ależ skąd. Zamówiłam je dla ciebie. Gadaliśmy o tym i owym: o północnym wschodzie, pogodzie w Bostonie, moich studiach.

- Co cię tu sprowadziło w środku nocy? - zapytał w pewnym momencie.

- Moja siostra jest na górze, miała operację. Pamiętasz ją? To Priscilla. Chciała cię zjeść na kolację.

- Ach, ta siostra. Jak się czuje?

- W porządku, dzięki Bogu. To ogromna ulga. To był rak, ale udało im się go usunąć.

- W takim razie to naprawdę dobra wiadomość. Skinęłam głową.

- Świetna. A pan, panie Chandler, co pan tu robi w środku nocy?

Rozejrzał się wokół, po czym znów utkwił we mnie wzrok.

- Wygląda na to, że po prostu siedzę tu sobie z uroczą małą studentką.

- Jasne. Nie czaruj. No więc?

- To zabawne. Po prostu przechodziłem i pomyślałem sobie: mogę się założyć, że dostanę stolik w szpitalnej kawiarni. Bez rezerwacji.

To był słaby dowcip, i on o tym wiedział. Czekałam na prawdziwą odpowiedź, ale milczał. Chrząknęłam.

- Mieszkasz w pobliżu?

- W East Haddam. Mam dom nad jeziorem. A ty?

- W Brinley. To znaczy... teraz nie. Jeszcze przez rok będę w Bostonie, ale chcę wrócić, jak tylko skończę studia. W tym domu nad jeziorem mieszkasz z żoną?

-Nie. -Nie? -Nie.

Uśmiechnęłam się i nagle w pełni odczułam, że ten dzień jest udany.

- Opowiedz mi o nim.

- Jest stary. W gruncie rzeczy to cholerna czarna dziura pochłaniająca góry pieniędzy. Od wielu lat jest własnością mojej rodziny. Mnóstwo oryginalnych elementów z drewna i szkła. Będę chciał go sprzedać, a teraz go remontuję. Lubię to. Praca fizyczna dobrze mi robi. Mogę ją wykonywać w nocy, jeśli mam ochotę.

Skinęłam głową. Uśmiechnął się. Nie szeroko, ale były w tym uśmiechu bezbronność, autentyzm i bezpretensjonalność. Nabrałam odwagi.

- Dlaczego nigdy do mnie nie zadzwoniłeś? Popatrzył na mnie z ukosa.

- Nie wiem.

- Nie wiesz? Pokręcił głową.

- Tamtego wieczoru dobrze się z tobą bawiłem, Lucy. Pamiętam to. - Jego spojrzenie powędrowało gdzieś ponad moje ramię. - Ale to nie jest tak. Nie jestem tamtym facetem.

- Co masz na myśli?

Jego wzrok znowu spoczął na mnie.

- Moja prawdziwa twarz nie spodobałaby ci się.

- Czyżby? Jesteś pewien, że nie da się znaleźć jakiegoś łatwiejszego wyjaśnienia? Na przykład, że jesteś już z kimś związany? Albo że jesteś gejem? Jesteś gejem?

- Nie. To nie dlatego.

- Cóż, to dobrze. A może pomyślałeś, że jesteś dla mnie za stary? Tak było?

- Nie pomyślałem o tym, ale teraz, kiedy o tym wspomniałaś, to owszem, myślę, że jestem dla ciebie za stary.

- A ile masz lat? Czterdziestkę?

- Ej, nie daj się zmylić włosom. Dopiero za miesiąc będę miał trzydziestkę.

- Trzydziestka to jeszcze nie najgorzej. Jesteś psychopatycznym mordercą?

- Jeszcze nie. - Uśmiechnął się.

Patrzyłam na tego niewiarygodnie przystojnego mężczyznę siedzącego naprzeciwko mnie w białym podkoszulku

i szpitalnej koszuli, którą nosił jak marynarkę. Zaraz, zaraz... Szpitalnej koszuli? Spojrzałam na jego twarz. Uderzył mnie bijący z niej smutek.

- Mówisz poważnie? Myślałeś, że cię nie polubię?

- Śmiertelnie poważnie.

- Ale dlaczego miałabym cię nie polubić? - Ponieważ nie odpowiadał, znowu zrobiłam się odważna. - Pytam tylko dlatego, że nadal jestem zainteresowana.

Usiłował zrobić speszoną minę, ale chyba nie miał na to siły. Splótł palce i utkwiał we mnie spokojny wzrok. Nie odwróciłam oczu, a on wpatrywał się we mnie w milczeniu. W końcu chrząknął.

- Mam wiele problemów, Lucy.

- Czyż wszyscy ich nie mamy? - zapytałam, zaczerpnąwszy łyk coli. Kiedy znowu nie odpowiedział, odstawiłam puszkę. - O czym my tu właściwie mówimy? O byłej żonie? Długach? Kartotece kryminalnej?

- Z tymi wszystkimi rzeczami dałoby się żyć.

- No właśnie. A więc o co chodzi?

- Zaczniemy od długiej historii choroby psychicznej. Przełknęłam ślinę. Z trudem. Choroba psychiczna?

- A więc o to chodzi. Jest coś jeszcze? - zapytałam drżącym głosem.

- To zupełnie wystarczy, uwierz mi. Powinnaś teraz zerwać się z miejsca i wiać gdzie pieprz rośnie.

Wyprostowałam się na krześle i założyłam ręce na piersiach.

- Będiesz tego żałować. - Mickey się roześmiał. - Jestem chorym człowiekiem.

Kiedy nie zareagowałam, uśmiech zniknął mu z twarzy. Mickey spuścił wzrok. Patrzył na swoje dłonie.

- Co to za choroba? - zapytałam łagodnym tonem. Pokręcił głową, ale nie uniósł wzroku.

- Jestem pacjentem. Na górze. Na psychiatrycznym. Zamarłam, ponieważ zupełnie mnie zaskoczył.

- Próbowalesz się zabić? - wykrztusiłam, by pokryć zmieszanie.

Popatrzył na mnie i ponownie pokręcił głową.

- Nie tym razem. Nie działałem wystarczająco racjonalnie, żeby móc na to liczyć.

Przetrawienie tego zajęło mi dłuższą chwilę. Jednocześnie przyjrzałam się lepiej wnętrzu lokalu - przytłumionemu oświetleniu, meblom przemysłowym, lekarzom omawiającym coś w rogu sali. Nie dostrzegłam nic poza tym. Żadnego znajomego widma przyczajonego w kącie. Spojrzałam w jego smutne oczy.

- Chcesz mi o tym opowiedzieć? Zaprzeczył.

- Naprawdę nie ma nic do opowiadania. Straciłem kontrolę nad lekami i zacząłem świrować. Koniec historii.

- Dlaczego?

- To skomplikowane.

- Jestem dość bystra. Mam pewność, że nadażę. Zachichotał.

- Ostry język, jak zwykle.

- Przepraszam. Jestem strasznie wścibska, co?

- Owszem, jesteś.

Zapadła niezręczna cisza, a ja pomyślałam, że to dobry moment, bym sobie poszła, ale właśnie wtedy Mickey Chandler wzbił we mnie wzrok.

- Naprawdę chcesz wiedzieć? Skinęłam głową.

- W porządku. Sprawa wygląda tak, że kiedy wstaję rano, nigdy nie wiem, kim będę, kim się stanę. Nienawidzę tego. Nienawidzę tego, że nie mogę liczyć na gościa, którego widzę w lustrze.

- Trudno cię o to obwiniać. Dlaczego tak jest?

- Problem ma związek z obecnością pewnych substancji chemicznych w mojej krwi lub też z ich brakiem. Muszę brać mnóstwo leków, by zachować równowagę psychiczną. Jeśli ich nie wezmę, nie mogę usiedzieć na miejscu. Jestem zrównoważony tylko pod ich wpływem, choć czasem nawet i one nie działają tak, jak powinny. - Spojrzał na swoje dłonie. - To mnie frustruje. Wtedy przestaję je brać, a choroba wybucha z nową siłą i ponownie kończę w szpitalu.

- Brzmi to poważnie. Ma to jakąś nazwę?

- Choroba afektywna dwubiegunowa.

- Od dawna ją masz?

Mickey skinął głową. Patrzyłam na niego bez słowa.

- Nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie, ale wyglądasz całkiem normalnie. Jak oni to leczą?

- Za pomocą terapii i farmakologii. W zależności od tego, jakie mam symptomy. Stosuje się węglan litu. Czasem leki przeciwpsychotyczne, ale najczęściej stabilizatory

nastroju, a rzadziej antydepresanty, ale z tym bywa różnie, bo wywołują u mnie manię. Zdarzają się okresy, że biorę wszystkie leki, które właśnie wymieniłem. Poza tym zażywam pigułki eliminujące efekty uboczne. Trochę ze mną eksperymentują, ponieważ występuje u mnie szybka zmiana faz

- błyskawicznie przechodzę od stanu euforii do depresji, a oni chcą, żebym znajdował się mniej więcej pośrodku.

- To jest twoja strefa bezpieczeństwa?

- Tak. Jest bezpieczna, ale też nudna. - Wzruszył ramionami. - Trudno to wyjaśnić, ale kiedy możesz czuć się niezwykczony i mieć tyle energii, że mógłbyś władać światem, bezpieczeństwo i równowaga po prostu nie wystarczają. Sam wtedy dawkuje sobie leki i poruszam się na krawędzi.

Skinęłam głową.

- Potrafię to zrozumieć.

- Naprawdę? Rozumiesz to?

- A czego tu nie rozumieć? Kto nie chce dobrze się czuć?

- No tak, ale moje „dobre samopoczucie” szybko wymyka się spod kontroli. Przestaję wtedy racjonalnie myśleć, nie biorę środków i wznoszę się coraz wyżej i wyżej. Nie jem, nie śpię, ćwiczę jak maniak, jestem podekscytowany, nie myślę racjonalnie i robię różne dziwne rzeczy, ponieważ przychodzą mi do głowy dziwne koncepcje. Potem następuje rozpad. - Kilka razy postukał palcami po stole.

- W końcu uświadamiam sobie, co zrobiłem, i wpadam z tego powodu w depresję. Wtedy zaczynam być jeszcze bardziej podekscytowany i zachowywać się jeszcze bardziej nieracjonalnie, a czasem, gdy jest naprawdę źle, chcę tylko...

chcę tylko, żeby to wszystko się skończyło. - Zaczerpnął głęboko powietrza i pokręcił głową. - Nie mogę uwierzyć, że siedzę tutaj i ci to wszystko mówię.

Miałam ochotę rozplakać się z litości. Był tak obnażony, tak bezbronny.

- Kto się tobą opiekuje? Kto pomaga ci brać leki i mówi ci, kiedy... sama nie wiem... kiedy coś niedobrego zaczyna się z tobą dziać? Kto cię zbiera do kupy, kiedy następuje rozpad?

- No cóż - wzruszył ramionami. - Mój lekarz Gleason Webb jest przy mnie po każdym ataku. Zwykle zwraca mi uwagę, kiedy nie robię tego, co powinienem. Ale tak ogólnie to jestem sam.

- Nie masz żadnej rodziny? Żadnej dziewczyny? Nikogo, kto by ci pomagał?

- Nie. To znaczy było ich trochę, ale zwykle się ulatniały, kiedy choroba zaczynała się ujawniać. - Westchnął. - Zanim zmądrzałem i kupiłem Colby's, występowałem w klubach i dostawałem solidne baty ze strony moich pracodawców, bo gdy następował rozpad, nie byłem zbyt śmieszny, a to jest dość ważne w tego rodzaju pracy. Dlatego też często ją traciłem. - Przesunął ręką po włosach. - Ale w fazie manii jestem dość zabawnym gościem, a to mnie upaja. Wtedy chcę być jeszcze bardziej produktywny, jeszcze zabawniejszy, lepszy, i to wszystko jest osiągalne, ale nie trwa zbyt długo. W końcu zawsze następuje katastrofa. I wiem, że ona nadchodzi, czuję to, lecz nie potrafię jej zapobiec.

To znaczy potrafię, zawsze jednak myślę, że mam jeszcze trochę czasu, aż w końcu zwykle jest za późno. Wtedy zaczynam spadać, i to błyskawicznie, a upadek jest bolesny. Rozczarowuję wszystkich wkoło. - Pokręcił głową. - Dlatego większość moich relacji z ludźmi jest krótkoterminowa. To bardzo niezrównoważony, chory, głupi styl życia.

- Nie wiem, co powiedzieć.

- Przeraziłem cię, co?

- Nie. No, może trochę. Po prostu nie mogę uwierzyć, że to musi tak wyglądać. Masz przecież rodzinę, prawda?

- Mam brata w Denver, ale nie jesteśmy z sobą zżyci. Raz na jakiś czas rozmawiam z ojcem, ale on od lat mieszka w Nowym Orleanie, a ja nieczęsto się tam zapuszczam. - Wzruszył ramionami.

- Twoja matka żyje?

- Nie. Zmarła, kiedy byłem dzieckiem.

- Skądś to znam - odrzekłam. - Ale ja mam siostry.

- Mam za to świetnego wspólnika w interesach. To niesamowity facet. Jest też Gleason, doktor Webb, mój psychiatra.

- A więc walczysz z tą swoją chorobą dwubiegunową właściwie zupełnie sam? Przez większą część życia?

- No tak.

- Uważam, że to niezwykle. Ty jesteś niezwykle. Pokręcił głową.

- Nie. To nie tak. Próbuję tylko grać tymi kartami, jakie mam. I może mi nie uwierzysz, ale poza tym, że jestem psychicznie chory, jest we mnie jeszcze wiele innych rzeczy.

Uśmiechnęłam się.

- Nie wątpię.

Mickey Chandler zapadł mi głęboko w serce. Staralam się jednak zachować dystans, ponieważ silna fascynacja kimś, kto jest pacjentem oddziału psychiatrycznego, nie była raczej niczym rozsądnym.

- No więc jak to jest? Wolno ci siedzieć tu, na dole, w środku nocy czy po prostu uciekłeś?

Mickey się uśmiechnął.

- Dzisiaj wieczorem czułem się dość dobrze, więc otrzymałem ten przywilej. I oto siedzę w kawiarni.

- Ach tak, w takim razie gratuluję dobrego zachowania. Roześmiał się, a ja złapałam się na tym, że teraz starałam się w tym uśmiechu znaleźć jakieś oznaki choroby psychicznej. Daremnie. Były w jego spojrzeniu, ale niewuśmiechu.

- Opowiedz mi o sobie, Lucy Houston.

- Och, jest już późno. Może innym razem. - Zaczęłam podnosić się z krzesła, ale Mickey chwycił mnie za nadgarstek. - Nie sądzę, panienko. Wywnętrzyłem się przed tobą, teraz twoja kolej.

Usiadłam z powrotem, wpatrując się w jego rękę. Nie chciałam, żeby puścił moją dłoń, ale odsunęłam się od niego.

- No dobrze - powiedziałam, przeczesując palcami włosy. - Wyjechałam na północny wschód, ale to już wiesz. Wiosną przyszłego roku skończę studia. Będę uczyła historii powszechnej. Mam dwie siostry, Lily i Priscillę. Poznałeś je. Urodziłam się tutaj, w Brinley, i chcę tu wrócić oraz pracować w Midlothian jako nauczycielka.

- A twoi rodzice?

- Miałam cudownych rodziców. Niestety, ojciec zginął, kiedy byłam małą. Był policjantem. Mama umarła, kiedy miałam siedemnaście lat. Na raka. Podobnie jak moja babcia i ciotka. Nowotwór pozbawił mnie wszystkich krewnych od strony mamy.

- Zabrzmiało to o wiele za lekko, więc spróbowałam przybrać stosowniejszy ton. - Stąd też obecność Priscilli w tym miejscu. Na szczęście zdiagnozowano raka i pomyślnie go usunięto, ale my, panny Houston, jesteśmy zawsze przygotowane na najgorsze.

Bawiłam się włosami, a zwykle robię to wtedy, gdy jestem zdenerwowana. Przestałam, zawstydzivszy się.

- To mój demon. Wielka niewiadoma, przed którą staję każdego ranka. Czy wciąż jestem zdrowa? A może moje komórki zostały zaatakowane, kiedy spałam? Może nastąpił jakiś bunt cytoplazmy, o którym powinnam wiedzieć? To prawdziwe piekło, wierz mi. I jest nawet gorsze od twojego, bo nie tylko muszę się martwić o siebie, ale też zmagać się ze strachem o moje siostry. To bardzo wyczerpujące, niespokojne i głupie życie.

Mickey Chandler roześmiał się, kiedy użyłam podobnych słów jak on. Ja również się zaśmiałam. Wcześniej nie zdawałam sobie nawet sprawy, jak bardzo tego potrzebuję, i ta chwila odprężenia sprawiła mi taką przyjemność, że aż tchu mi zabrakło. Mickey pochylił się ku mnie.

- Więc teraz przynajmniej już wiesz, dlaczego do ciebie nie zadzwoniłem.

- A powinieneś był.

Zlustrował mnie wzrokiem.

- Pamiętam wszystko, co zdarzyło się tamtej nocy. Nie mogłem uwierzyć, że naprawdę mnie pocałowałaś. Nie mogłem uwierzyć, że dałaś mi swój numer.

- Dlaczego? Spodobałeś mi się. Pokręcił głową, nagle poważniejąc.

- To o n ci się spodobał.

- Nieprawda. Właśnie że ty. Nadal mi się podobasz. Spojrzał na mnie przeciągle, a ja pomyślałam, że przez

całe życie nigdy nie poznałam kogoś takiego jak Mickey Chandler. Był człowiekiem z krwi i kości i miał poważne wady. Nie pragnął jednak jawić się jako chodzący ideał. Opakowanie było otwarte, uszkodzone; miałam je właśnie przed sobą. Wszystko to było dla mnie czymś zupełnie nowym, choć też i trochę przerażającym.

Pierwsza przerwałam nasz kontakt wzrokowy, zerkając na zegarek.

- Naprawdę muszę już wracać do siostry - powiedziałam, podsuwając Mickeyowi talerz z frytkami. - Będzie się denerwowała, jeśli po przebudzeniu stwierdzi, że nie ma mnie przy niej. - Wstałam i obdarzyłam go moim najserdeczniejszym uśmiechem. - A tak, gwoli ścisłości, drogi panie Chandler, to pan mnie pocałował pierwszy.

Nagle zapragnęłam wrócić do tamtej chwili - mimo tego wszystkiego, czego się właśnie dowiedziałam. Mickey się uśmiechnął.

- Nie przestraszyłeś mnie - oświadczyłam. - Chcę, żebyś o tym wiedział. Potrafię dostrzec, że mimo zdiagnozowanej

choroby jesteś dobrym człowiekiem. I widzę to tak: oboje mamy problemy - z rzeczami, które są poza naszą kontrolą, choć ty mógłbyś zażywać leki i bardziej nad wszystkim panować.

Nadal się uśmiechał.

- Nic zdrożnego nie widzę w tym - ciągnęłam - by dwoje ludzi obarczonych czymś, co w gruncie rzeczy sprowadza się do problemów zdrowotnych, zjadło czasem wspólnie pizzę. Jeśli dam ci ponownie swój numer...

- Znam twój numer, Lucy. Znam go na pamięć. Spojrzenie, jakie mi posłał, sprawiło, że przeszedł mnie

dreszcz. I choć miałam nadzieję, że tego po mnie nie widać, sekundę później pragnęłam, by to zobaczył.

- W takim razie zrób z niego kiedyś użytek - rzekłam. - Obiecuję, że powiem „tak”.

ROZDZIAŁ 4

4 czerwca 2011 - notatki z myślą o terapii grupowej

W mojej rodzinie istnieje genetyczne obciążenie chorobą afektywną dwubiegunową. Cierpiała na nią moja mama i ja również ją mam. Nie jestem pewien, jak jest w przypadku mojego brata. Zauważyłem, że niektórzy sądzą, że choroba wszystko wyjaśnia, wszystko usprawiedliwia lub przekreśla. To nie jest fair. Człowiek jest nieskończenie skomplikowany. Wolę myśleć o swojej chorobie psychicznej jako o pewnym dodatku do pozostałej części mej osoby, traktować ją jak coś w rodzaju emocjonalnej cukrzycy. Depakote to obecnie moja insulina, nastrój to mój poziom cukru we krwi. Jak wszyscy inni grzeczni cukrzyacy muszę dokładać starań, by zażywać właściwe leki o wskazanych porach. Jeśli tego nie zrobię, choruję.

By to zaburzenie okiełznać, trzeba mieć pewne sprawności. Trzeba mieć charakter, aby panować nad chorobą, w innym wypadku to ona przejmuje kontrolę nad twoim życiem. Czasem trzeba mieć przewodnika. W moim wypadku jest nim

przeznaczenie. A moje przeznaczenie to Lucy. Niezależnie od tego, czy kryję się w ciemnym kącie, czy stoję na płaskowyżu zalanym oślepiającym słońcem, moim celem zawsze jest powrót do niej. Gleason mawia, że tym właśnie różnię się od swojej matki - ona nie miała żadnych dążeń, nigdy nie istniało dla niej nic ważniejszego od jej choroby. Nie ufała niczemu poza nią. Ani mojemu ojcu, ani mnie czy mojemu bratu. Jej świat obracał się wokół jej bólu - ciemnego, gęstego, wszechobejmującego emocjonalnego bólu. To on ją definiował. Ja nie pozwalałam, by definiował mnie.

Ale znam taki ból. To dlatego oszukuję, przyjmując lekarstwa.

Peony Litman podała Mickeyowi tabletki, po czym pozwoliła nam się oddalić. Trzymając się za ręce, poszliśmy na przechadzkę.

- A więc - zaczął Mickey, obejmując mnie za ramię - co będziesz porabiać jutro? Będziesz mogła przyjść na moją sesję z Gleasonem?

- Przyszłabym, ale jutro jest pogrzeb Celi, pamiętasz?

- Ach tak, rzeczywiście. Jakże mógłbym zapomnieć. Widziałaś się z Nathanem?

Pokręciłam głową.

- Dzwoniłam do niego na początku tego tygodnia, ale nie odebrał telefonu.

Przez chwilę milczeliśmy, rozmyślając nad okrucieństwem losu kładącego kres życiu w sposób tak niespodziewany. Zeszłej

jesieni Celia Nash kibicowała synowi grającemu w meczu piłki nożnej, gdy została użądlna przez pszczołę. Użądlenie to ją zabiło. W owym czasie jej rodzina mieszkała w Phoenix, gdzie Nathan pracował jako ortopeda. Po śmierci Celi zdecydował, że wróci z dziećmi do rodzinnego miasta, żeby być bliżej swoich rodziców i rodziców Celi. A teraz, po upływie sześciu miesięcy rodzina zorganizowała mszę żałobną intencji Celi, której prochy miały zostać pogrzebane na cmentarzu River's Peace. Ścisnęłam Mickeya za ramię, przypomniawszy sobie, jak szczęśliwi byli z sobą Celia i Nathan.

Właśnie mieliśmy usiąść, gdy ktoś z laboratorium poprosił Mickeya, by poszedł na badanie stężenia depakote we krwi. Kiedy siedziałam, czekając na niego, zadzwoniła czyjaś komórka - dopiero po minucie zorientowałam się, że to moja. Nie zdążyłam odebrać. Na ekranie wyświetlił się numer Charlotte Barbee. Serce zaczęło mi bić odrobinę szybciej. Wyszłam z jej gabinetu zaledwie przed trzema godzinami. Trzy godziny to chyba za krótko, żeby wykryć, że coś jest nie w porządku... Kiedy siedziałam, zastanawiając się, czegoż to Charlotte może chcieć ode mnie, nadeszła Peony. Powiedziała, że ktoś do mnie dzwoni i że mogę odebrać telefon w dyżurce pielęgniarek.

To była doktor Barbee. Oświadczyła, że musi się ze mną zobaczyć.

Charlotte przyjmowała właśnie ostatniego pacjenta. Jej recepcjonistka Bev Lancaster zapewniła mnie, że to

nie potrwa długo. Bev widziała, że trochę się denerwuję, i robiła, co mogła, by mi dodać odwagi.

- Masz ochotę na cukierka, Lucy? - Wskazała kryształową kulę, stojącą przy telefonie.

Pokręciłam głową, ale w końcu wzięłam jedną czekoladkę. Bev знаła historię mojej choroby, więc najpewniej domyślała się przyczyny mego niepokoju.

- Powinna skończyć lada chwila - powiedziała, zbierając swoje rzeczy.

Była już siedemnasta i Bev szykowała się do wyjścia.

W szpitalu zostałam najdłużej, jak mogłam, przytakując wszystkiemu, co powiedział Mickey, lecz tak naprawdę go nie słuchałam. Pewnie dużo mówił o tym, jak to będzie, gdy pojedziemy razem na Hawaje. W końcu powiedziałam mu, że boli mnie głowa i że muszę wrócić do domu. Obiecałam, że zadzwonię później. A teraz siedziałam samotnie w luksusowej poczekalni przed gabinetem Charlotte, starając się nie ulec strachowi wywołanemu jej telefonem. Wychodząc, Bev ścisnęła mnie za ramię.

- Wszystko będzie dobrze, kochana. Zobaczysz.

- Jasne, że tak - odrzekłam, ale w moim głosie nie było pewności.

Zostałam sama. Rozejrzałam się wokół. Już samo urządzenie wnętrza miało działać kojąco: ciemne panele, trochę zbyt przytłaczające meble, łagodne światło lamp. Obiektywnie rzecz ujmując, poczekalnia Charlotte wcale nie robiła wrażenia ostatniego miejsca na ziemi, w którym chcielibyście się znaleźć. Ale takie właśnie miałam odczucie.

Siedziałam na krześle obitym kremowym i czarnym materiałem, na którym widniały francuskie damy pijące herbatę i prowadzące rozmowę - zapewne o swych kochankach z kiepskim uzębieniem. Nagle drzwi do gabinetu się otwały. Charlotte odprowadziła Elaine Withers do poczekalni.

- I pamiętaj, co powiedziałam - rzekła z ożywieniem. -
Odpoczywać i jeszcze raz odpoczywać.

Lainy spojrzała na mnie i wywróciła jasnoniebieskimi oczami.

- Wiesz, Lucy, ona jest taka apodyktyczna. Sama nie wiem, jak z nią wytrzymuję.

Wstałam i uśmiechnęłam się do niej. Lainy mieszkała w sąsiedztwie.

- Myślę, że wiesz, Lainy.

- Mam nadzieję, skarbie, że dla ciebie jest miłsza -
powiedziała jeszcze na odchodnym.

Patrzyłam, jak zamykają się za nią drzwi. Czekałam, aż Charlotte coś powie. Gdy to nie nastąpiło, zaczerpnęłam głęboko powietrza i obróciłam się w jej stronę. Zobaczyłam, że posyła mi matczyne spojrzenie. Uśmiechnęła się.

- Usiądźmy sobie, skarbie, w miejscu, w którym nie panuje atmosfera szpitala. O tam. - wskazała bufet. - Wszyscy już sobie poszli i jest całkiem cicho.

- Czy jest coś, czym powinnam się martwić?

- To zależy.

Usiadłam ostrożnie na środkowym krześle obok pijących herbatę, Charlotte zajęła miejsce naprzeciwko mnie. Serce zaczęło mi walić jak młotem. Byłyśmy jakby na krawędzi

rozmowy, którą wyobrażałam sobie wcześniej, i bardzo zaczęło mi to ciążyć. Wyczekująco patrzyłam prosto w oczy tej oddanej przyjaciółce mojej matki. Rysy twarzy Charlotte nagle wydały mi się piękne - takie subtelne i pełne matczynego ciepła. W jej ciemnych oczach nie widziałam współczucia, co bardzo mnie pokrzepiło.

- O co chodzi, Charlotte? Po co mnie wezwałaś? Wsparła twarz na rękę, przypatrując mi się bez słowa.

- To nie to, co myślisz, Lucy. Nie mam jeszcze wyników badań onkologicznych.

- A więc o co chodzi?

- O inne badania.

- Czy to coś poważnego?

Nadal wpatrywała się we mnie z uśmiechem.

- Lucy, jesteś w ciąży.

Mijały minuty, a może godziny. Co ona powiedziała? Widziałam, jak poruszają się jej usta. Słyszałam, jak wydostają się z nich jakieś dźwięki, ale jej słowa zamarły, gdy tylko je wypowiedziała, i tak naprawdę nigdy nie dotarły do mojego mózgu, więc nie mogła to być prawda.

Charlotte poruszyła głową.

- Dobrze się czujesz, kochanie?

- Chyba się przesłyszałam.

- Nie sądzę. Powiedziałam, że jesteś w ciąży. W ciąży.

Samo to wyrażenie wywołało we mnie wręcz fizjologiczną reakcję. Miałam wrażenie, że całe moje ciało płonie. W ciąży.

- To niemożliwe.

Kiedy Charlotte ponownie skinęła głową, wszystkie powody, dla których było to niemożliwe, uderzyły we mnie ze zdwojoną mocą: choroba psychiczna Mickeya, wrośnięty w moje drzewo genealogiczne rak, wszystkie te kobiety w mojej rodzinie pozbawione życia przez tę bezlitosną chorobę. Ja sama byłam tego bliska. Choć Mickey i ja chcieliśmy mieć rodzinę, już dawno pogodziliśmy się z faktami, podejmując najtrudniejszą decyzję naszego życia.

- Jak to możliwe, Charlotte? - Obraz przed oczami zamazał mi się nie z powodu łez, lecz dlatego że przez dłuższą chwilę nie byłam w stanie choćby zmrużyć powieki. - Sprawdź jeszcze raz, bo to po prostu niemożliwe. - Desperacko starałam się sobie przypomnieć, kiedy miałam ostatni okres. - Nie rozumiem. Przecież mam podwiązane jajowody...

Charlotte sięgnęła po moją dłoń i mocno ją ścisnęła.

- To się zdarza - powiedziała łagodnie. - Czasami. Wprawdzie bardzo rzadko, ale jednak. Jakiś niezłomny mały pływak przedostał się do celu swej wędrówki.

- Po tylu latach dowiaduję się, że moje jajowody są jednak drożne?

- Bywa, że samoistnie się udrażniają. Ciężko coś takiego przewidzieć, ale jest to możliwe.

-Charlotte...

Miałam mętlik w głowie. Sprawa była zbyt poważna. Od kiedy to nie miałam okresu? Moje miesiączki nie były regularne i nie przykładałam do tego nadmiernej wagi, ale, na miły Bóg, od jak dawna już go nie miałam?...

Charlotte uśmiechała się, próbując dodać mi otuchy, a ja siedziałam przed nią, potrząsając głową. Nie miałam pojęcia, co mam robić.

- Nie mogę sobie nawet przypomnieć, kiedy miałam ostatnią miesiączkę.

- Nieważne, Lucy. To i tak niczego nie zmienia.

- Dla mnie zmienia. I co ja teraz zrobię?

- A co byś powiedziała na to: nie rób nic? Przynajmniej dziś wieczór. Niech wszystko się toczy swoim torem. Jesteś kobietą, która robi to samo co inne. Jesteś w ciąży. To naturalne, piękne, normalne...

- To niewiarygodne. I chore.

- Nie dzisiejszego wieczoru, Lucy - powiedziała Charlotte spokojnie. - Dzisiaj po prostu nie rób nic. O wszystkich trudnościach będziemy myśleć jutro. To jeszcze nie koniec świata.

- Naprawdę?

Charlotte ponownie ścisnęła mnie za rękę.

- Naprawdę.

- Ale dlaczego teraz? Dlaczego po tak długim czasie? Co się stało?

Kłębiły się we mnie wszystkie emocje. Kiedy minął pierwszy szok, zdałam sobie sprawę, że czuję głęboką ulgę, gdyż nie usłyszałam, że znowu jestem chora. Ale te najnowsze wieści wypełniły mnie takim strachem i niepokojem, że dosłownie mnie zatkało. Lecz niepokoju towarzyszyła - jeśli mam być szczerą - nagła, niezrozumiała radość. Jestem w ciąży? Jestem w ciąży.

Gdy w końcu wyszłam z gabinetu Charlotte, przez jakiś czas krążyłam samochodem po okolicy, starając się zastosować do rady, jakiej mi udzieliła: po prostu bądź w ciąży. Nie martw się. Nie wyolbrzymiaj tej sprawy. To nic nie da. Pojechałam starą wiejską drogą, która łączyła Brinley z sąsiednim hrabstwem. Był właśnie jeden z owych zachodów słońca, które widywałam tysiące razy, i oto nagle poczułam, że zaraz się rozplaczę. I zaczęłam płakać, aż w końcu musiałam zjechać na pobocze.

Jestem w ciąży.

Powinnam była pójść na kolację z Charlotte, tak jak mi proponowała. Ale chciałam być sama. A teraz żałowałam, że jestem sama. W ciąży?

Mimo wszystko zaczęłam wyobrażać sobie rzeczy, których nie powinnam była sobie wyobrażać. Siebie jako mamę. Siebie z dzieckiem. Och, jak bardzo lubię zapach noworodków, te ich wielkie wspaniałe oczy i te ich małe ciała... Uczące się chodzić dziecko z kręconymi włoskami. Wyobrażałam sobie maleństwo, któremu przyśniło się coś złego, jak przywołuje mnie w środku nocy: „Mamo, mamo...”. Włączyłam silnik, potem radio i pojechałam do domu.

Wychowałam się w nim, a teraz mieszkałam tu z Mickeyem. Był to stary dom w stylu wiktoriańskim, otoczony przez potężne drzewa, zasadzone przez mego ojca jeszcze przed moim narodzeniem. Czasem, kiedy podciągam się na ich konarach, mam wrażenie, jakbym znów miała piętnaście lat, a moja silna, zdrowa mama czekała na mnie

w salonie o dwuspadowym suficie. Oddałabym wszystko, by móc mieć ją teraz przy sobie.

Opróżniłam skrzynkę pocztową i przejrzałam rachunki. Dla każdego, kto by na mnie spojrział, musiałam wyglądać, jakbym nie myślała o niczym innym jak tylko o trzymanyh w dłoni kopertach. Podniosłam gazetę i włożyłam klucz do zamka w drzwiach wejściowych. Stronę tytułową zdominował temat kradzieży w Nicklecade. Wyobraziłam sobie nagłówek: LUCY CHANDLER W CIAŻY! CO ONA SOBIE WYOBRAŻA? A wtedy znowu go usłyszałam-cichy płaczliwy głosik wołający: „Mamo, mamo...”. Pewnie miała zły sen... Ona?

Ledwie weszłam na górę i pod prysznic, gdyż emocje znowu wzięły górę. Były przy mnie, kiedy otwierałam puszkę z zupą pomidorową i kiedy całą jej zawartość wylewałam do zlewu. Dziecko. Mogłabym umieścić ją - z jakiegoś powodu jestem boleśnie przekonana, że to będzie ona, co tylko potęguje mój niepokój - w pokoju, który dawniej należał do Priscilli, a teraz pełnił funkcję magazynu; stała w nim bieżnia, komputer i całe sterty rzeczy do prasowania, wciąż odkładanego na później. To był najlepszy pokój ze wszystkich - tuż przy sypialni rodziców, z miejscem do siedzenia przy oknie i mnóstwem światła. Idealny dla małego dziecka.

Kiedy zostałyśmy same, ja i umierająca mama, stał się moim pokojem. Był na tyle blisko jej sypialni, że słyszałam jej wołanie, kiedy w środku nocy potrzebowała środków przeciwbólowych lub gdy musiała wyjść do łazienki. A teraz

z pewnością usłyszałabym, gdyby dziecko miało zły sen... Zaraz, zaraz... Co też mi przychodzi do głowy?! To się nie dzieje naprawdę.

Zadzwoił telefon i na ekranie wyświetliło się: „Szpital Edgemont”. Mickey. Nie mogłam z nim teraz rozmawiać. Jeszcze nie teraz. Nie w tej chwili. Mickey może się nadmiernie podekscytować tym nagłym przełomem. Zapomni o naszej umowie, naszej przysiędze, o powodach, dla których ją złożyliśmy. Tak bardzo by się cieszył, zostając ojcem! Choć miał tyle obowiązków, taka wiadomość by go uszczęśliwiła.

I w niczym by mi nie mógł w tym momencie pomóc.

Kiedy telefon zamilkł, podeszłam do starej szafy stojącej w naszej sypialni i otworzyłam ją. W wiszącym na ścianie lustrze ujrzałam swą zgnębiającą postać: splątane mokre włosy, stary podkoszulek Mickeya, w którym chodziłam, gdy nie było go w domu, i podpuchnięte oczy, w których wciąż było zdumienie. Na drugiej ścianie wisiała oprawiona w ramkę umowa zawarta między mną a moim mężem. To była nasza biblia, konwencja genewska naszego związku: zapisane atramentem w różnych odcieniach - gdyż przez wszystkie lata naszego małżeństwa pod wpływem okoliczności wciąż dorzucaliśmy nowe - postanowienia praktyczne, jakimi obwarowaliśmy nasze małżeństwo. Nie podlegały one dyskusji. Po tym, jak zachorowałam, dodaliśmy ponurą klauzulę: „Żadnych dzieci”.

Podjęliśmy tę jakże trudną decyzję po kilku szczególnie ciężkich załamaniach Mickeya, które sprawiły, że na siedem tygodni trafił do szpitala stanowego w Connecticut.

Nastąpiło to, gdy ja tkwiłam w samym środku piekła, dowiedziawszy się, że mam raka. Potem dopisaliśmy ten warunek do naszego kontraktu jasnoniebieskim atramentem. Żadnych dzieci. Podkreśliliśmy go i przypieczętowaliśmy łzami. Nigdy nie przyznałam się Mickeyowi, że znacznie później, gdy ów piekielny rok, kiedy to nieomal umarłam, dobiegł końca, a my wróciliśmy do siebie - miewałam w związku z tą decyzją pewne wątpliwości.

Sięgnęłam po ramkę i zdjęłam ją ze ściany. Sam fakt, że dziecko będzie miało rodziców potrzebujących pisemnego zabezpieczenia własnego małżeństwa, był przypuszczalnie dostatecznym powodem, by tego dziecka nie mieć. I co ona sobie pomyśli, gdy natknie się kiedyś na owe warunki naszej umowy?

Mickey Chandler zobowiązuje się, że nigdy nie uderzy swojej żony ani nie będzie stosował wobec niej przemocy w żadnej formie.

Mickey nigdy nie będzie miał z kimkolwiek innym jakiegokolwiek kontaktu natury seksualnej.

To samo dotyczy Lucy.

Mickey nie będzie brał niedozwolonych środków farmakologicznych. Będzie też się starał nie pić alkoholu.

Alkohol to czasem prawdziwe wyzwanie dla Mickeya podczas jego okresów niestabilności psychicznej. Po jednym szczególnie ostrym epizodzie manii dodał następujące postanowienie:

Dobrze, dołożę więcej starań, by nie pić alkoholu. Zwłaszcza gdy jestem wściekły i nie dostaję tego, na czym mi zależy. I zwłaszcza gdy coś tracę!

Mickey będzie podejmował nieustanne, nieśląbnące wysiłki, by zażywać leki... dokładnie według zalecenia lekarza. Postaraj się. Postaraj się. Postaraj się jeszcze bardziej!!! (Te trzy ostatnie uwagi dodał po trzech kolejnych sytuacjach, gdy miał z tym problem).

Lucy nie będzie naciskała na Mickeya, żeby zażywał leki.

Lucy i Mickey zgadzają się raz w tygodniu spotykać z terapeutą Mickeya, nawet jeśli Mickey ma się dobrze.

Lucy pójdzie na spotkanie z Gleasonem lub skontaktuje się z nim, ilekroć będzie chciała zrobić awanturę Mickeyowi.

Lucy obiecuje, że wykaże cierpliwość i nie będzie oczekiwała, że Mickey będzie idealny.

Lucy nie będzie nadmiernie brać sobie wszystkiego do serca.

Lucy nie podda się i nie zacznie Mickeya zdradzać ani szukać towarzystwa przystojnych facetów. Mickey dodał tę linijkę po dzikiej awanturze, jaka nastąpiła, gdy mu powiedziałam, że moim zdaniem Bruce Willis w filmach z serii Szklana pułapka jest całkiem niezły.

Lucy da sobie chwilę wytchnienia, kiedy Mickey zacznie ją przytłaczać. A kiedy będzie musiała dać upust emocjom lub wypłakać się na ramieniu Lily, Jan czy Charlotte, Mickey nie będzie sobie zanadto brał tego do serca.

Lucy zacznie stosować zasadę dziesięciu sekund, kiedy wścieknie się na Mickeya. Mickey może być sobie stuknięty, ale nie jest wredny.

Lucy nie będzie się unosić.

Lucy nie będzie obwiniać Mickeya o to, co wymyka mu się spod kontroli.

Mickey nie będzie udawał braku kontroli. Lucy nigdy nie będzie okrutna, jeśli chodzi o chorobę Mickeya.

Mój wzrok spoczął na ostatniej, jakże bolesnej linijce, ręcznie dopisanej po tym, gdy nieomal umarłam: *Nie będziemy mieli DZIECI!!!*

Z uwagi na okoliczności, na które nie mamy żadnego wpływu, oraz ze względu na wszystkich, których to dotyczy - a zwłaszcza dziecko - ustaliliśmy wspólnie, że nie będziemy mieli dzieci. Nie dlatego, byśmy nie mogli ich pokochać, ale dlatego że miłość w naszej sytuacji nie wystarcza. (Podwiązanie jajowodów w dniu, w którym skończyłam 26 lat. Wszystkiego dobrego, do cholery!).

Od tamtej pory nic się nie zmieniło. Kiedy jeszcze raz czytałam ostatni dodatek, łzy zaczęły mi skapywać na ramkę. Nic się nie zmieniło z wyjątkiem tego, że dzielny mały pływak przedostał się przez niedrożne jajowody. Rzuciłam się na łóżko, zastanawiając się, jak to się stało, że po tak długim czasie jednak zaszłam w ciążę.

ROZDZIAŁ 5

10 lipca 1999

Gleason Webb co drugi czwartek prowadzi otwartą terapię dla mężczyzn z Lower Connecticut River Valley dotkniętych chorobą afektywną dwubiegunową (z kobietami cierpiącymi na nią spotyka się w pozostałe czwartki). Kiedy tylko mogę, uczestniczę w terapii. Chodzę na nią od lat. Choć wszyscy różnimy się od siebie, tworzymy niezłą grupę - zbiór chorych psychicznie mężczyzn, z których część ma za sobą zniszczone małżeństwa - nie tylko własne - część skrzywdziła dzieci, aż te ich odepchnęły, niektórzy obrazili swoich rodziców, znęcali się nad przyjaciółmi, zawiedli pracodawców, kradli, kłamali i manipulowali innymi. Jedni obwiniają Boga za wszystkie swoje problemy, według pozostałych za wszystko winę ponosi ona. Są i tacy, którzy zrujnowali swoje kariery i roztrwonili fortuny. Część z nas to alkoholicy, ludzie uzależnieni, kompletnie splukani lub bezdomni. Niektórzy spalili za sobą wszystkie mosty łączące ich z bliskimi. Jednego tygodnia we wstrętny sposób dowodzą, że mają prawo do określonych zachowań

i są bez winy, a dwa tygodnie później dopadają ich wyrzuty sumienia i myśli samobójcze. Mnie również nie jest to obce. Wszyscy jesteśmy felerni i... dość interesujący.

W takim właśnie warunkach pracuje nasz terapeuta Gleason. Potrafi prowadzić dosyć brutalne konfrontacje i zawsze nas ostrzega, że jeśli mamy żyć mimo naszej diagnozy, musimy ją zrozumieć- to nasz podstawowy obowiązek. Musimy brać ją pod uwagę i pracować nad sobą. Poradził nam również, byśmy znaleźli sobie w życiu kogoś, komu możemy ufać i kto powie nam, kiedy zaczniemy schodzić z obranej drogi.

Nie mogę się wypowiadać w imieniu moich współtowarzyszy niedoli, ale sam zawsze uważałem, że odkrycie przed kimkolwiek naszych kart to duża sprawa, a szanse znalezienia kogoś, kto umiałby za fasadą symptomów choroby dostrzec prawdziwego człowieka, są bliskie zeru. Toteż gdybym miał powiedzieć, że Lucy Houston zupełnie mnie zaskoczyła, byłoby to stanowczo za mało.

Owej nocy zostawiłam Mickeya Chandlera samego w kawiarni, wyraźnie zachęcając go do wykonania pierwszego kroku. Nie myślałam jednak o tym za dużo. Do czasu. Zapewne byłoby najlepiej, gdyby nie zadzwonił. Mickey był chorym człowiekiem - psychicznie chorym, jeśli wierzyć temu, co mi powiedział. Nie potrafiłam tego dostrzec, ale nie wiedziałam przecież, jak ta choroba się objawia. Myślałam raczej o jego pięknych niebieskich oczach, kiedy wyznał: „I może mi nie uwierzysz, ale poza tym, że jestem

psychicznie chory, jest we mnie wiele innych rzeczy". To z powodu tych słów z każdym kolejnym dniem, jaki minął od naszego spotkania, myślałam o nim coraz częściej. Kilka tygodni później pakowałam właśnie do teczki swój referat na zajęcia z etyki, kiedy zadzwonił telefon. Nie rozpoznałam numeru, ale wiedziałam, że to on.

- Witaj, urodzinowa dziewczyno.

- A jednak... - stwierdziłam pewna, że w moim głosie słychać, że się uśmiecham.

- A jednak...

- Jak się masz?

- Świetnie - odrzekł. - A ty?

- Ja również - powiedziałam i rzeczywiście tak się poczułam.

- A więc... niejako wbrew sobie zastanawiam się, czy zechciałabyś się ze mną umówić.

- Hm... Nie wiem, czy ktoś już kiedyś proponował mi spotkanie w równie zachęcający sposób.

Zachichotał.

- Po tamtym wieczorze chyba wiesz, co mam na myśli.

- A co masz na myśli?

- To, że chyba jesteśmy na dobrej drodze, gdyż wiemy o sobie nawzajem co nieco. Ale nie wiem, czy lubisz niespodzianki, czy wolisz wiedzieć, czego się spodziewać...

- Uwielbiam niespodzianki.

- Świetnie! Co powiesz na czwartek?

Miałam w ten wieczór zajęcia, ale to nie miało znaczenia.

- Czwartek mi pasuje.

- Przyjadę po ciebie o szóstej. Będziemy przebywać na świeżym powietrzu. Może z początku będzie ciepło, ale potem może się oziębic, więc weź z sobą bluzę. Szpilki chyba się nie nadadzą.

- Bluza. Żadnych szpilek. W porządku.

Wyjaśniłam, jak dotrzeć do mojego mieszkania, i rozłączyłam się, czując lekki zawrót głowy i ignorując wyrzuty sumienia. Trzy dni później zjawił się dokładnie o umówionej porze. Wyglądał bardzo efektownie w dżinsach i koszuli. Okulary przeciwsłoneczne miał odsunięte na włosy. Zlustrował mnie wzrokiem. Moje dżinsy, biały podkoszulek i włosy spięte w koński ogon chyba zyskały jego aprobatę.

- Cześć - powiedziałam.

- Cześć.

- Wyglądasz świetnie. Jakbyś rzeczywiście czuł się o wiele lepiej - rzuciłam.

- Dzięki. Ty również dobrze wyglądasz.

- Trafiłeś bez problemów? - zapytałam.

- Prosto do celu.

- To dobrze.

- Wskazówki były dobre - odrzekł.

- To dobrze - powtórzyłam. Mickey pokręcił głową.

- To właśnie dlatego nie znoszę pierwszych randek.

- Ja też. Chodźmy już. - Chwyciłam kurtkę i klucz do mieszkania. - Powinam wziąć coś jeszcze?

- Nie sądzę.

Kiedy zamknęłam drzwi, zaśmiał się.

- Idzie jak z płatka. Kto by pomyślał.

Choć z początku rozmowa szła nam opornie, wkrótce się to zmieniło. W trakcie jazdy dowiedziałam się wszystkiego o pracy Mickeya. On i jego partner Jared Timmons byli właścicielami Colby's oraz dwóch innych klubów i szukali kolejnego.

- Jestem dużym farciarzem - mówił Mickey. - Jared znosi moją chorobę psychiczną, a ja radzę sobie z jego postanowieniem zaludniania świata. Ma troje dzieci, a jego żona znowu jest w ciąży.

Roześmiałam się.

- Zdaje się, że to świetny układ.

Mickey zaparkował samochód i spojrzał na mnie.

- Gotowa?

- Jasne.

Przyjechaliśmy nad Pemberton Point, przystań promów płynących do Boston Harbour Islands. Byłam podekscytowana, bo mieszkałam w Bostonie od trzech lat, a nigdy nie widziałam żadnej z wysp. Na pierwszym roku zostałam zaproszona na przyjęcie na wyspie Spectacle, ale się na nim nie pojawiłam, bo właśnie wtedy Lily wychodziła za mąż. Spojrzałam na Mickeya.

- Na razie bardzo mi się ta niespodzianka podoba! Uśmiechnął się i wziął mnie za rękę. Poszliśmy na prom.

Był ciepły czerwcowy wieczór. Stojąc przy balustradzie, czuliśmy na twarzach łagodną bryzę. Czułam się bezpiecznie, jakby Mickey otaczał mnie opieką, a jego mocne ramiona chroniły mnie od wiatru. Przyłapałam go na tym,

jak wpatrywał się we mnie tak samo jak wtedy, gdy go poznałam... W jego oczach było coś autentycznego, nieudawanego. Podobałam mu się, ale nie był pewien, czy może sobie na to pozwolić. Spojrzałam na wybrzeże.

- Uwielbiam wodę.

- Pływasz czasem żaglówką?

- Nie tak często, jak bym chciała. Moje siostry i ja odziedziczyłyśmy stary jacht. Catalinę. Pamiętam, jak pływaliśmy z ojcem, kiedy byłam mała. Zawsze to uwielbiałam.

- Musisz mi kiedyś ją pokazać.

Uniosłam brwi. „Kiedyś” wiązało się z tym, że będzie kolejny raz.

- A ty pływasz po Connecticut River?

- Kilka razy mi się zdarzyło. Ale więcej czasu spędzam na jeziorze Bashan. Często łowią ryby.

Uśmiechnęłam się.

- Uwielbiam łowić ryby.

- Nie wyglądasz mi na kogoś takiego. - Również się uśmiechnął.

- Jeszcze cię nieraz zaskoczę.

Prom przycumował do doku Georges Island. Wysiedliśmy, by poczekać na czółno. Byliśmy jedynymi pasażerami i kiedy obejrzałam się na Mickeya, na jego twarzy malowało się zadowolenie.

- Byłaś kiedyś na wyspie Bumpkin? -Nie. A ty?

Pokręcił głową.

- Wygląda na to, że odkryjemy ją razem.

- Słyszałam, że widać z niej światła Bostonu. Może będziemy mieli szczęście i zobaczymy zachód słońca.

- Może.

Gdy wysiedliśmy na wyspie, ruszyliśmy ścieżką prowadzącą pośród ostrężyn.

- Zerwijmy trochę jeżyn na kolację - zaproponował.

Nie byłam pewna, czy żartuje, ale tak czy inaczej wsunęłam sobie do ust wielki czarny owoc. Światła Bostonu zaczynały być widoczne na horyzoncie.

- Pięknie tu - rzuciłam.

- Owszem. Powinien tu gdzieś być stary dom z zagrodą... albo jego ruiny. Poszukajmy go.

Sięgnął po moją dłoń.

- Jest tu też stary szpital - odparłam, dając mu trochę jeżyn.

- Jesteś głodna? - zapytał.

- Odrobinę. Masz kanapki z masłem orzechowym w kieszeni? Roześmiał się.

- Mógłbym zdobyć twoje serce kanapkami z masłem orzechowym?

Nie chciałam mu się przyznawać, że najprawdopodobniej tak, więc tylko się uśmiechnęłam.

- Pójdzie jak z płatka, pamiętasz?

W półmroku znaleźliśmy ruiny, a zapadający zmrok przydawał im grozy. Przez chwilę się zastanawiałam, kto mógł mieszkać w takim miejscu. Obróciłam się do Mickeya, by coś powiedzieć, i zobaczyłam, że stoi z boku i przygląda

mi się. Kiedy pochwyciłam jego wzrok, poruszył się niespokojnie. Podeszłam do niego, zauważając równocześnie, że nad wybrzeżem pojawiają się pierwsze gwiazdy.

- Tak tu cicho.

- Może jesteśmy na całej tej wyspie tylko we dwoje, Lucy. Czy nie czujesz się nieswojo? - rzekł, wciąż nie odwracając ode mnie spojrzenia.

Stałam przed nim.

- Ani trochę.

Uśmiechnął się i pokręcił głową, a następnie chwycił mnie za rękę.

- Chodź, musimy zdażyć w pewne miejsce.

- Jakie?

Tuż przed zapadnięciem ciemności dotarliśmy do niespodzianki, którą przygotował Mickey. Pomógł mi zejść z nasypu, a po chwili znaleźliśmy się na polanie, na której stała altana ze stolikiem nakrytym dla dwóch osób z zapalonymi świecami. Osłupiałam. Stolik ten, na co dzień służący zapewne ludziom przyjeżdżającym tu na piknik, przykryty był białym obrusem. Znajdowały się na nim kieliszki, kwiaty i porcelana. A najlepszy był kelner. Kiedy usiadłam, rozłożył mi serwetę na kolanach. Spojrzałam na Mickeya i pokręciłam z niedowierzaniem głową.

- Dobry jesteś, nie ma co.

Zajął miejsce naprzeciwko mnie, rozpromieniony.

Kelner był jeszcze niemal dzieckiem, ale kiedy prezentował menu, zachowywał powagę: jagnięcina, młode ziemniaki, sałatka ze szpinaku i świeże owoce. Usunął

srebrne pokrywki z naszych talerzy, umieszczając między nami koszyczek z bułkami.

- A na deser świeże ciasto z Maria's. - Spojrzał na Mickeya. - Czy coś jeszcze, panie Chandler?

- Nie, wszystko jest idealnie, Ryan. Świetnie się spisałeś. Kiedy dzieciak zniknął w ciemnościach, spojrzałam na Mickeya, który nagle się nieco stropił.

- To najlepsza niespodzianka w całym moim życiu - oświadczyłam.

- Lepsza niż masło orzechowe?

- O niebo lepsza. Chyba masz zdolności parapsychiczne, bo to mój ulubiony zestaw.

- Och nie, mam tylko numer do twojej siostry.

- Rozmawiałaś z Lily?

- Jesteśmy starymi znajomymi. Zorganizowała przecież dla ciebie przyjęcie w moim klubie. Kiedy zwierzyłem się jej, o czym myślę, powiedziała, że do twojego serca można trafić przez żołądek. No więc skorzystałem z rady.

Patrzyłam na niego bez słowa.

- Nie wiem, co powiedzieć. Wspaniale.

Jedliśmy bez pośpiechu. Wszystko było wyśmienite. Oglądając zachód słońca, rozmawialiśmy o sztuce, a później o książkach, które uwielbiamy, i tych, których nie znosimy, a także o filmach, jakie widzieliśmy. W pewnym momencie Mickey zapytał, czy to prawda, że Priscilla jest prawniczką.

-Tak.

- Jest dobrą prawniczką czy świetną?

- Nie wiem. A co za różnica?

- Dobry prawnik zna się na prawie. Świetny prawnik zawsze zna sędziego.

Roześmiałam się.

- Och, spodobałoby jej się to. Mickey położył łokcie na stole.

- Wy dwie wydajecie się zupełnie od siebie różne. Trudno uwierzyć, że jesteście siostrami.

- Czasem same w to nie wierzymy - odparłam z uśmiechem. - Ale Priscilla zawsze ma moje wsparcie, moje i Lily. Niejako pełni funkcję rodzica - mamy i taty ucieleśnionych w postaci jednej dużej, złej i apodyktycznej siostry. Jest nakierowana na karierę, na sukces, a jest przy tym inteligentna i piękna. Oraz sympatyczna, ale tylko kiedy jest to konieczne.

- Pewnie dostaje zawsze to, czego chce.

- Mam nadzieję, że tak.

- A Lily? Wydaje się bardzo miła. Skinęłam głową.

- Och, Lily to mój kamień probierczy. Jesteśmy z sobą bardzo zżyte, jakbyśmy stanowiły część tej drugiej. Wprawdzie lubi się zamartwiać, ale nie wahałabym się powierzyć jej swojego życia. Wyszła za mąż za naszego sąsiada - poznałeś go, ma na imię Ron. Jest wspaniałym szwagrem. Mieszkają na przedmieściach Brinley i prowadzą skład z antykami. - Pochyliłam się nad stołem, zniżając głos do szeptu. - Lily zna wszystkie moje sekrety.

Mickey uśmiechnął się.

- A ja mam jej numer...

Tak dobrze czułam się w jego towarzystwie; nie musiałam potykać się o słowa, nie musiałam zastanawiać się, czy aby na pewno interesuje go to, co mówię.

- A teraz ty - rzekłam. - Powiedz mi o sobie coś, czego nie wiem.

- Patrzenie na ciebie w świetle świec sprawia mi olbrzymią przyjemność. - Puścił do mnie oko.

Z trudem przełknęłam ślinę.

- Czarujesz - rzuciłam, naprawdę tak myśląc.

W jego ciemnych oczach igrały ogniki, a malujący się na jego twarzy swobodny uśmiech mógłby przykuć moją uwagę na całą noc. Odchrząknęłam.

- Jakim byłeś dzieckiem?

- Wysokim. Byłem wysoki, szczupły, nieśmiały. Lubiłem czytać komiksy.

- Cóż, to wiele wyjaśnia.

- Pewnie tak. Śmiech mnie ratował, bo moje życie było bardzo mało zabawne.

- Dlaczego?

- Mama miała nieuleczalną depresję, a ojciec odreagowywał ją, za dużo pijąc. Nie życzyłbym tego żadnemu dziecku - powiedział Mickey rzeczowym tonem, w którym nie słychać było ani cienia uzalania się nad sobą.

- Przykro mi. Wzruszył ramionami.

- Masz szczęście, że masz siostry.

- Wiem. Odkąd zabrakło rodziców, bardzo się zbliżyliśmy.

Mickey pokiwał głową.

- Człowiek robi, co może, żeby wypełnić pustkę po stracie. Kilka tygodni temu miałem występ. Było to przyjęcie z okazji osiemdziesiątych piątych urodzin pewnej drobnej staruszki. Jej przyjaciółki - najmłodsza miała siedemdziesiąt dziewięć lat - znalazła mnie w Internecie i zatrudniły, żebym ją rozśmieszył. Niedawno straciła męża. Byli małżeństwem sześćdziesiąt siedem lat. On był sędzią sądu stanowego.

- Udało się ją rozbawić?

- Och, tak. Mnóstwo dowcipów o prawnikach. Tak świetnie bawiłem się z tymi paniami, że nie wziąłem od nich pieniędzy.

Pokręciłam głową.

- Pierwsze wrażenie, jakie na mnie zrobiłeś, Mickeyu Chandlerze, potwierdza się. Dobry z ciebie człowiek.

Przez chwilę milczeliśmy, następnie Mickey wstał i usiadł okrakiem na ławce, twarzą do mnie. Gdy na niego spojrzałam, serce zaczęło mi łomotać.

- Dzięki za wspaniały wieczór - powiedziałam.

Pocałowałam go delikatnie w policzek. Kiedy się odsunęłam, Mickey miał coś dodać, ale się rozmyślił. Sprawiał wrażenie trochę zakłopotanego, więc z zadowoleniem przyjął pojawienie się chłopca w roli kelnera, który zaczął sprzątać ze stołu. Wymownie spojrzał na zegarek.

- Czóło będzie tu za dwadzieścia minut, panie Chandler. Mickey skinął głową.

- Dzięki, Ryan.

- Ja również. Wszystko znakomicie się udało.

Chłopak cały aż promieniał, a Mickey wręczył mu kilka banknotów. Jeśli dobrze widziałam w bladym świetle świec, były to same setki. Następnie ujął moją dłoń, wziął od Ryana latarkę i ruszyliśmy w stronę brzegu.

Kiedy wróciliśmy pod mój dom, miałam ochotę zaprosić Mickeya do środka, co stanowiło pewnie wystarczający powód, by tego nie robić. Podniosłam na niego wzrok i ponownie mu podziękowałam.

- Świetnie się bawiłem, Lucy.

- Ja też. Mam nadzieję, że kiedyś to powtórzymy.

Spuścił wzrok, a ja zaczęłam doświadczać tych samych wibracji co za pierwszym razem, gdy myślałam, że oboje myślimy i czujemy to samo, choć tak nie było. Po jakiejś minucie spojrział mi w oczy. Dostrzegłam w nich ból.

- O co chodzi? Pokręcił głową.

- Nie jestem pewien.

- Czego?

- Tego ponownego spotkania. Przełknęłam ślinę.

- Ach tak. Serio? Sądziłam, że oboje dobrze spędziliśmy czas.

Czy źle coś odczytałam?

- Nie, nie. Chodzi o mnie. Zdaje się, że ja coś źle odczytałem.

- Nie rozumiem - stwierdziłam, czując ucisk w żołądku.

- Lucy, nie mam prawa tego robić.

- O czym ty mówisz?

Kolejny raz już miał coś powiedzieć, lecz znowu zrezygnował.

- Mickey, wiem, że mnie polubiłeś. Ja ciebie również. Więc na czym polega problem?

Pokręcił głową.

- Nie wiem, jak to przeprowadzić.

- Co przeprowadzić?

- Jestem dosyć powierzchownym facetem, Lucy. Przetrwałem tak długo tylko dlatego, że po prostu nauczyłem się cieszyć chwilą, bez zobowiązań. Nie sądzę, by z tobą było podobnie.

- Masz rację. Jestem raczej dziewczyną, która wchodzi w coś na sto procent albo wcale. Mój świat jest wypełniony facetami żyjącymi chwilą i muszę ci powiedzieć, że mam ich dosyć. Przez chwilę to nawet zabawne, ale na koniec okazuje się, że to jest wielkie nic, puste kalorie. Nie tego pragnę.

- A czego pragniesz?

- Chcę, by w moim życiu było coś ciekawego i prawdziwego. Chcę kogoś, kto nie udaje.

Był bardzo blisko mnie, a mnie wydawało się, że zatracę się w jego oczach.

- Ja nie jestem takim mężczyzną, Lucy - szepnął.

- Naprawdę? A mnie się wydaje, że jesteś. Pokręcił głową, a na jego twarzy pojawił się niewysłowiony smutek.

Miałam metr sześćdziesiąt wzrostu, podczas gdy on ponad metr dziewięćdziesiąt; ważyłam czterdzieści pięć kilogramów, a on dziewięćdziesiąt siedem - ale swoją małą

dłonią w jego dłoni czułam, że Mickey Chandler drży. Przysunęłam się bliżej i dotknęłam jego twarzy. Kiedy się nie poruszył, pocałowałam go - najpierw w jeden policzek, potem w drugi, a później delikatnie w usta.

- Jeśli chcesz jednak zaryzykować - powiedziałam miękko - to jestem do dyspozycji.

Przełknął ślinę.

- Obawiam się, że jesteś trochę naiwna, Lucy.

- Tak, to możliwe - odrzekłam, zjeżywszy się nagle.

- Nie chciałem sugerować...

- W porządku. Jestem młoda i pewnie masz rację. Jeśli o ciebie chodzi, mogę być trochę naiwna. Ale oto wiadomość z ostatniej chwili: może ty również jesteś naiwny. Nie mam żadnych gotowych odpowiedzi, a jeśli sądzisz, że ty je posiadasz, to moim zdaniem się mylisz. Nie wiem, czy chcę być z tobą, Mickey, ale uważam, że nie ma w tym nic złego, bym spróbowała się o tym przekonać. Tak więc... chyba musimy się zastanowić, czy warto taką próbę w ogóle podejmować. - Włożyłam klucz do zamka drzwi wejściowych mego domu. - Jeśli stwierdzisz, że owszem, warto, spotkamy się jutro na dachu mojego domu. Przynieś swoją odpowiedź. Ja zapewnię zachód słońca.

Otworzyłam drzwi i weszłam do środka, a kiedy się odwróciłam, w jego oczach było takie cierpienie, że nie wiedziałam, co jeszcze mogłabym powiedzieć.

- Zastanów się nad tym, Mickey.

Zamknęłam drzwi i serce zaczęło mi łomotać. Już wiedziałam, że go więcej nie zobaczę. Byłam po jedynej

wspaniałej randce mego życia i coś we mnie wołało, bym otwarła je i pobiegła za nim. Ale inna część mnie, ta nad wiek doświadczona i dojrzała, nie zapomniała, że Mickey jest człowiekiem z blizną, człowiekiem, który może budzić lęk. Mimo to nie mogłam zakwestionować rodzącej się między nami więzi. Może i byłam młoda, ale od dnia, w którym zachorowała moja mama, czułam się jak staruszka. Mickey był ode mnie znacznie starszy, lecz bardziej bezbronny. Oparłam się o drzwi, odczuwając potężną frustrację, gdyż wszystko to się nie liczyło i nie miało najmniejszego znaczenia - i tak nie miałam go już zobaczyć.

Nazajutrz robiłam wszystko zgodnie z planem dnia, ani przez chwilę nie zapominając o upływającym czasie. Ten dzień musiał się kiedyś skończyć, bym znów mogła żyć tak samo jak wcześniej, ale dopóki się nie skończył, dopóty istniała szansa. Jutro zaś zadzwonię do Lily i zjemy razem lunch. Opowiem jej o wspaniałej randce, w której maczała palce, a potem opiszę ze szczegółami, jak się to wszystko skończyło, i dopiero wtedy naprawdę dam sobie z tym spokój. Ale najpierw musi nastać jutrzejszy dzień.

Pod wieczór, dwadzieścia po siódmej, w krótkich spodenkach i boso wyszłam na dach. Rozciągał się z niego niesamowity widok na Boston i Cambridge znajdujące się po drugiej stronie rzeki. Na środku znajdowała się duża narzędziownia. Zewsząd wyrastały rury kominów. W jednym narożniku stał stolik i kilka ogrodowych krzeseł, ale ja poszłam do przeciwległego narożnika i usiadłam.

Byłam sama, co wkrótce mogło się zmienić, bo było to popularne miejsce podczas zachodów słońca. Usiadłam, zwieszając nogi z krawędzi. Patrzyłam, jak w miarę zapadania zmierzchu niebo traci swój niebieski kolor. Kilka razy wydawało mi się, że słyszę za sobą zgrzyt metalowych drzwi, ale odgłosy miasta sprawiały, że nie mogłam być tego pewna. Po prostu wiedziałam, że Mickey się nie pojawi. A kiedy w końcu zdałam sobie sprawę, że musi już być po dziewiątej, poddałam się i powitałam owo „jutro”. Tak pewnie było najlepiej. Wstałam i skierowałam się do wyjścia.

Już miałam sięgnąć po klamkę, gdy zobaczyłam, że ktoś siedzi przy stoliku. Wstał, lecz przez chwilę nie byłam pewna, czy to on. Kiedy jednak do mnie podszedł, zza chmury wychynął księżyc i moje wątpliwości się rozwiały. Jego oczy wbiły się we mnie, zrobił trzy olbrzymie kroki i już stał przy mnie. Na jego twarzy malowały się nadzieja i strach, palące i niewypowiedziane, ale bardzo wyraźne. Przez chwilę wpatrywaliśmy się w siebie w milczeniu.

I nagle Mickey przyciągnął mnie do siebie gwałtownie, odnalazł moje usta i pocałował mnie tak, jak chyba jeszcze żaden mężczyzna nie całował żadnej kobiety.

ROZDZIAŁ 6

8 czerwca 2011

Dzisiaj mój przyjaciel Nathan Nash pochowa żonę. Nie wiem, jak mu się udało nie załamać. Znam wszystkie kręgi piekła, ale wizja utraty żony jawi mi się jako niesłychane cierpienie. Nauczyłem się już, że rzeczywistość jest znacznie bardziej okrutna niż szaleństwo. Szaleństwo można leczyć, łagodzić środkami uspokajającymi, tłumić. Ale obserwowanie, jak Lucy znika, jak choroba pustoszy jej organizm, stanowiło ścianę, przez którą nie byłem w stanie się przebić. Nie mogłem robić absolutnie niczego poza trzymaniem jej w ramionach i oddychaniem, podczas gdy jej piękne włosy zostawały w mojej dłoni. Mogłem tylko oddychać, kiedy kładła głowę na moich kolanach, jęcząc, ponieważ trucizna, która miała ją ratować, tylko wypalała jej wnętrzności. Mogłem tylko i wyłącznie patrzeć, jak rak ostatecznie się poddał. Modlitwa została wysłuchana, wydarzył się cud. Lucy wydobrzała. I wtedy mi się pogorszyło. Ułga przeszła w manię, a potem w delirium. Ironia szaleństwa. Tak bardzo trzymałem się

przesyconej niepokojem nadziei, że kiedy już nie musiałem nią żyć, miałem wrażenie, że moja energia nie znajduje ujścia. Moment, w którym to się wydarzyło, został tak źle wybrany, że było to niewybaczalne. Moja żona powoli dochodziła do zdrowia beze mnie na oddziale onkologicznym, podczas gdy ja z wolna odzyskiwałem równowagę psychiczną z dala od niej, w szpitalu stanowym. Kiedy to wszystko się skończyło, byliśmy niemal innymi ludźmi niż przed rozłąką: zmienieni przez cierpienie i wycieńczeni z wdzięczności, niepewni, czy los da nam kolejną szansę. Zdaje się, że trzymaliśmy się w ramionach przez tydzień.

Obudziłam się z lękiem, uświadamiając sobie, że zasnęłam, przyciskając do piersi nasz kontrakt niczym portret utraconego ukochanego. Kiedy tak leżałam, zdałam sobie sprawę, że większa część nocy upłynęła mi na wspomnianiu historii naszego związku i wyobrażaniu sobie wspólnej przyszłości. Teraz doskonale rozumiem, co chciał wyrazić Mickey, mówiąc, że nie jest w stanie zapanować nad kłębiącymi się w mózgu myślami.

Tego ranka nie mogłam przestać myśleć o nas jako o rodzicach i o sobie samej jako matce. Oczyma wyobraźni widziałam, jak ścigam po korytarzu nagą i moką dziewczynkę, która uciekła z kąpieli. Widziałam, jak idziemy alejką w Mosely's Market, jak pcham ją siedzącą w wózku zakupowym, z którego zwieszają się jej nóżki w tenisówkach. Sznurowadło jednej z nich jest rozwiązane. Widziałam

siebie samą, jak tłumię śmiech, gdy moja córeczka usiłuje podciąć sobie grzywkę. Widziałam Mickeya, jak czyta jej przy wielkim oknie w jej pokoju. Nasza córka ma na sobie piżamkę-pajacyka z Kopciuszkiem, siedzi wtulona w ramię ojca i oboje zapatrzeni są w dużą dziecięcą książkę z obrazkami. I nagle doszłam do wniosku, że po prostu nie jestem na to wszystko przygotowana.

Z konieczności wiele lat temu przestałam liczyć się z tym, że mogłabym zostać matką. Mniej więcej w czasie gdy razem z Mickeyem publicznie przyznaliśmy, że podjęliśmy taką decyzję, a ja w końcu zdecydowałam się na podwiązanie jajowodów, pogodziłam się ze swoim losem, z taką determinacją postanawiając się nad sobą nie litować, że niemal mi się to udało. Ani przez chwilę nie wyobrażałam sobie, że zdeterminowany mały pływak może się przedostać do celu.

Ale ilekroć teraz myślałam o tym dziecku - o dziecku, którego wszak miało nie być - nabierało ono coraz realniejszych kształtów, tak że całe moje życie zaczęło jawić mi się w innej perspektywie.

Przy moim łóżku zadzwonił telefon. Wiedziałam, że to Mickey. Podniosłam słuchawkę.

- Cześć, jesteś zły? - zapytałam z niepokojem.

- Tak. Nie zadzwoniłaś.

- Wiem. Bardzo cię przepraszam. - Ziewnęłam, a potem zakaszlałam. - Chyba się gdzieś przeziębiam. Wróciłam do domu i od razu się położyłam.

- Zadzwoń do Charlotte.

- To nic takiego - powiedziałam, wstając. - Jak zobaczę się z nią dzisiaj na pogrzebie, to o tym wspomnę. Co będziesz dzisiaj robił?

- Lucy, co się dzieje? Po głosie poznaję, że coś jest nie tak. Powiedz mi.

- Wiesz, Mickey - odrzekłam, po raz kolejny zaskoczona, że mój mąż zawsze wyczuwa, kiedy coś się ze mną dzieje - sędzę, że to przez Celię - skłamałam. - Myślę o niej i żałuję, że nie będzie cię dzisiaj ze mną. To wszystko.

- Przykro mi, skarbie. Wiesz, że przyszedłbym, gdybym tylko mógł.

- Wiem... Ale piątek już za trzy dni.

- A Lily i Ron są dzisiaj z tobą, prawda?

- Tak, będą tam.

- Lu, będę o tobie myślał przez cały czas, robiąc karmnik dla ptaków z papier mache na zajęciach grupowych.

Mimo wszystko musiałam się roześmiać. On również wybuchnął gromkim, cudownie normalnym śmiechem.

- Wiem, że zaczynam dochodzić do siebie, skoro wszystko, co tu robię, nabiera dla mnie znaczenia.

- Tak, chyba naprawdę zdrowiejesz. I wracasz do domu. Będziemy mieli świetny weekend. - Mamy tyle do przegadania.

Wzięłam prysznic, wysuszyłam włosy i włożyłam czarną sukienkę - luźną, powłóczystą, z rękawami trzy czwarte. Kiedy stanęłam przed lustrem, pomyślałam, że całkiem nieźle mi w tym kolorze. Czerń podkreślała kasztanową barwę moich włosów, jasną karnację i zielone oczy. Ze wszystkich

trzech sióstr Houston to ja byłam najbardziej podobna do ojca. Choć krótko go znałam, nieco ponad pięć lat, zawsze byłam przekonana, że gdyby żył, bylibyśmy z sobą blisko. Wiem, że idealizuję go, skoro nie ma go w pobliżu, ale tak bardzo chciałabym móc porozmawiać z nim dzisiaj. Tak bardzo chciałabym być takim rodzicem jak on - jakim go zapamiętałam - udzielać na trudne pytania równie kapitalnych odpowiedzi, które pozostają w człowieku przez lata.

Nagle zrobiłam coś głupiego. Nie wiem, co sobie pomyślałam, ale wzięłam poduszkę z łóżka i włożyłam pod sukienkę. Na oko wyglądałam na piętnasty miesiąc ciąży. Mimo to spojrzałam w swoje odbicie i dosłownie aż mnie zatkało. Wyglądałam wcale nieźle. Wiedziałam, że tego nie planowaliśmy - robiliśmy, co w naszej mocy, by tego uniknąć, ale się nie udało. Tak, wyglądałabym dobrze. Bardzo bym na siebie uważała. Co miesiąc chodziłabym na wizyty do Charlotte. Gdyby cokolwiek zaczęło się dziać z moim organizmem, natychmiast byśmy to wyłapały. I kto wie? Może dziecko uleczyłoby Mickeya z cyklofrenii? Wszystko jest przecież możliwe. A Mickey niemal zawsze potrafił sprostać sytuacji. Mickey, mój cudowny Mickey byłby zdrowy. Ale to niekoniecznie oznaczało, że byłby wspomniałym ojcem, prawda?

Pogłaskałam poduszkę na brzuchu. Usłyszałam gwizd pociągu, na którym mogłam bardziej polegać niż na zegarku wiszącym w kuchni. Była dziesiąta trzydzieści. Spojrzałam ostatni raz na siebie w ciąży, po czym wyjęłam poduszkę spod sukienki i wróciłam do rzeczywistości.

Co Charlotte kazała mi robić? Po prostu być. Po prostu być w ciąży. Przeczesałam jeszcze raz włosy i wpatrzyłam się w swoje odbicie w lustrze. Jakoś to będzie, pomyślałam.

Zamykałam właśnie frontowe drzwi, kiedy przed mój dom zajechali Lily i Ron. Ron pomachał mi ręką.

- Leniwe z was mieszcuchy! - krzyknęłam. - Mieszkacie tuż za rogiem.

Ron wzruszył ramionami, a Lily wyskoczyła z samochodu.

- Ron zaczeka na nas na miejscu - powiedziała. - Muszę pożyczyć jakieś buty.

Moja siostra miała na sobie białą bluzkę, czarną spódnicę i rzeczywiście była boso.

- Mogę pożyczyć te spiczaste czerwone pantofle?

- Ciężko się w nich chodzi.

- Wcale nie. Już próbowałam.

Poszłyśmy na górę. Zaczekałam na swoim nieposłanym łóżku, aż Lily przeszuka moją garderobę. Wyszła z niej nie tylko w moich butach, ale i w moim ulubionym naszyjniku i kolczykach, które podarowała mi na święta. Podniosła nasz oprawiony w ramki kontrakt i spojrzała na mnie.

- O złamaniu której reguły myślisz, Lucy? Zastanawiałam się, kiedy powinnam powiedzieć jej

o wszystkim - i czy w ogóle powinnam. Ale oczywiście musiałam - byłyśmy z sobą tak blisko, że aż sama byłam zdziwiona, że wciąż jeszcze o tym nie wie. Lecz najpierw musiałam wyjawić wszystko Mickeyowi. Dlatego tylko obrzuciłam ją wzrokiem i wzruszyłam ramionami.

Cmentarz River's Peace znajduje się na granicy Brinley i Ivoryton. To mniej niż półtora kilometra od mojego domu. Był piękny dzień, więc Lily i ja poszłyśmy piechotą. Minąwszy dom w stylu Tudorów, w którym mieściła się siedziba firmy pogrzebowej Withers, zobaczyłyśmy Lainy Withers, która właśnie wyjeżdżała na ulicę. Uchyliła okno i zaproponowała, że nas podwiezie.

- Chcemy się przejść, Lainy - odparła Lily, która najwyraźniej próbowała dowieść, że miała rację, jeśli chodzi o buty. - Ale dzięki.

- Doktor Barbee mówi, że ja również powinnam spacerować! - krzyknęła Lainy. - Ale mnie się nie chce.

Roześmiałyśmy się, a ona pojechała dalej. Earl Withers i jego syn Chad najprawdopodobniej byli już na cmentarzu, odpowiadali bowiem za przebieg uroczystości. Withersowie zajmowali się większością pogrzebów w naszym miasteczku. Pochowali również moich rodziców.

Zaparkowane przy cmentarzu samochody wypełniły obie strony wąskiej drogi, prowadzącej do miejsca złożenia Celi do grobu. Na miejscu było już sporo ludzi, którzy przyszli złożyć kondolencje rodzinie, a teraz otaczali Nathana Nasha. Celia i Nathan wychowali się tu, pobrali i założyli rodzinę. W zeszłym roku przeprowadzili się do Arizony i nikt nie spodziewał się, że tak szybko znowu ich zobaczy. Zwłaszcza w takich okolicznościach. Celia Nash była kobietą pełną życia, a dzięki talentowi odniosła spory sukces. Wsławiła Brinley jako autorka bestsellerowych książek dla dzieci.

Zobaczyłam wysiadającą z cadillaca Muriel Piper. Wyglądała jak uosobienie staroświeckiej wytworności w lnianym kostiumie o barwie kości słoniowej i gustownej biżuterii. Była z zabawnym Oscarem Levine'em, jej amantem od ćwierć wieku. Oscar

również wyglądał bardzo elegancko w asocie z sygnaturką. Kiedy nas zobaczyli, pomachali w naszą stronę.

- Jak idzie sadzenie roślin? - zapytałam, kiedy się zbliżyliśmy. Muriel się zaśmiała.

- Moje kolana tego nie wytrzymują. Zatrudniłam bliźniaków Story, żeby skończyli za mnie robotę.

Pokręciłam głową, a Muriel uważnie mi się przyjrzała.

- Lucy, ta sukienka świetnie na tobie leży. To rzadkość, żeby kobiecie było do twarzy w czerni, ale ty z pewnością należysz do chlubnych wyjątków. A ty - zwróciła się do Lily - wyglądasz uroczo. Bardzo podobają mi się twoje buty.

- Och, dziękuję ci, Muriel - odrzekła Lily, trącając mnie łokciem.

Poszliśmy za nimi ścieżką w górę, gdzie Ron i Nathan rozmawiali z Earlem Withersem nieopodal prowizorycznego podium. Mąż Celi był przygaszony i chyba trochę przytłoczony. Stał kilka metrów od mosiężnej urny skrywającej prochy jego żony. Kiedy go objęłam, zadrżał.

- Dzięki, że przyszłaś, Lucy.

- Nie wyobrażam sobie, by mogło być inaczej - odszep-nęłam słabo.

- Mic jest z tobą?

,

- Niestety nie. Nadal jest w Edgemont.

- No tak, słyszałem - odrzekł Nathan. - Spotkajmy się, kiedy wydobrzeje.

Pocałowałam go w policzek.

- Jesteśmy umówieni.

Obok Nathana stali George i Trilby Thomsonowie z dużym koszykiem stokrotek afrykańskich. Kiedy umierał któryś z mieszkańców miasteczka, szorstki w obejściu stary George zawsze zamawiał najpiękniejsze rośliny sezonowe i wręczał każdemu po jednej na pamiątkę. Było tak od lat. Uścisnęłam Trilby.

- Słyszałam, że złamałaś nogę. Jak sobie radzisz?

- Och, to tylko zwichnięcie, ale przynajmniej oduczę się tańczyć po pokoju pełnym gratów.

- Proszę, Lucy - powiedział George, wręczając mi kwiat.

Wzięłam go, całując George'a w policzek. Kiedy się odwróciłam, moja sąsiadka Wanda Murphy wyciągnęła ręce i przycisnęła mnie do piersi miękkiej jak puchowa poduszka.

- Słyszałam, że twój Mickey dochodzi do zdrowia. Pomyślałam o mężu robiącym właśnie karmnik dla ptaków z papier mache.

- Tak, znów przez to przeszliśmy, Wando.

- Tak, skarbie.

Ścisnęłam ją za rękę, a Lily pociągnęła mnie w kierunku Jan, którą właśnie zauważyła. Jan Bates było do twarzy w czarnym kostiumie i z krótko ostrzyżonymi siwymi włosami. Pogłaskała nas po twarzach. Zauważyłam, że płacze. Razem z Lily uściskałyśmy ją.

- Jestem kompletnie rozbita - wyznała. - Wiedziałam, że odeszła, ale i tak...

- Och, Jan, to jasne, że to dla ciebie trudne - powiedziała Lily do teściowej.

Skinęłam głową, nie mogąc wydobyć z siebie głosu. Jan wykonywała ilustracje do wszystkich książek Celi. Były dobrymi przyjaciółkami. Przycisnęła nas mocniej do siebie.

- Na dodatek nie jestem w stanie nie myśleć w takim miejscu o waszych rodzicach.

Kiedy Lily i ja mijałyśmy ich nagrobki, pomyślałam o tym samym i instynktownie chwyciłyśmy się za ręce. Przez ramię Jan ujrzałam stojącą samotnie córkę Celi, Jessicę Nash. Miała włosy koloru marchewki, tak jak jej matka, i równie szeroko rozstawione oczy, w których teraz był smutek. Przeprosiłam Jan i Lily i poszłam do niej, uściskać ją.

- Kochanie - powiedziałam - nie ma na świecie nic gorszego, niż stracić mamę. Jestem pewna, że tęsknisz za nią codziennie.

Skinęła głową. Ponownie przemówiłam dopiero wtedy, gdy miałam pewność, że się nie rozpłaczę.

- Byłam od ciebie niewiele starsza, kiedy straciłam swoją.

- Czy umarła tak nieoczekiwanie jak moja?

- Nie. Chorowała i trwało to długo. Jessica opanowała emocje.

- Jak sądzisz, co jest gorsze?

- Sądzę, że straszne jest i jedno, i drugie. I ty, i ja nadal powinniśmy mieć nasze mamy.

Uroniłyśmy razem kilka łez, aż babcia Jessiki gestem przywołała ją w pobliże grobu. Podeszłam z powrotem do Lily. Nagle ogarnęła mnie fala wspomnień dotyczących mamy. Pociąg, który budził mnie w nocy, kiedy zasypiałam na krześle przy jej łóżku, jej spokojne zapadnięte oczy, w których nie było strachu, gdy mnie zapytała, czy jestem gotowa, jej gorące, gorące dłonie. Wsunęłam dłoń w rękę Lily. Obecność krzątających się ludzi ukołysa nieco mój smutek. Pamiętam, że również w trakcie pogrzebów członków mojej rodziny ogarniał mnie spokój. Byłam mała, gdy zmarł ojciec, i na jego pogrzebie, który odbył się w pełni lata, wykazałam zadziwiającą obojętność. Kiedy wszyscy zebraliśmy się w tym samym miejscu, żeby pożegnać mamę, byłam już nastolatką i przeżywałam to znacznie boleśniej. Ale pamiętam wszystko ze szczegółami, łącznie z poczuciem siły, jakie zawdzięczałam tym ludziom.

- Spójrz, jednak dotarła - zwróciła się do mnie Lily.

Podążyłam za jej wzrokiem. Na szczycie wzgórza zatrzymało się znajome bmw. Chwilę później z auta wynurzyły się długie nogi naszej siostry. Priscilla miała na sobie idealnie dopasowany czarny kostium i absurdalnie wysokie szpilki. Wolno zbliżała się w naszą stronę żwirową ścieżką. Kiedy dotarła do chodnika, pomachała do nas i podeszła do Nathana, wyraźnie wzruszonego jej przybyciem. Uścisnął Priss, a jego szerokie ramiona trzęsły się, kiedy zanurzył podbródek w jej blond włosach. Chodzili razem do szkoły. Nathan, Priss i Celia byli dobrymi przyjaciółmi. Moja siostra szepnęła mu coś na ucho i ponownie go objęła, po czym podeszła do nas, ocierając łzy płynące jej pod ciemnymi okularami. Lily i ja chwyciłyśmy ją za ręce, każda po jednej stronie, a ona każdą z nas ucałowała w policzek.

- Nie oddzwoniłaś - szepnęła do mnie Priscilla.

- Przepraszam - powiedziałam, stwierdzając z ulgą, że Nathan zaczyna przemawiać do zgromadzonych.

W wielce wyważonych słowach opowiedział o tym, co spotkało jego żonę, dodając, że szczególnie trudno jest znosić cierpienia z dala od przyjaciół.

- Bez niej - mówił - wszędzie będzie nam towarzyszyć poczucie samotności, ale ponieważ Celia należy do społeczności Brinley, pragnęłaby, byśmy tutaj powrócili. - Rozłożył ręce. - Jakoś sobie poradzimy, gdyż mamy was, drodzy przyjaciele. Dziękuję wam. Dziękuję wam za wszystko.

Uroczystość pogrzebowa była piękna, ale zupełnie pozbawiona duchowego pierwiastka, który odczuwałam, gdy umarli moi rodzice. Nie byliśmy religijni, ale kapłan wyraźnie twierdził, że Bóg istnieje i że to On sprawuje rządy nad światem. I już te słowa ukoiliły nieco naszą stratę, przynajmniej ja tak je odbierałam. Je oraz obietnicę mojego ojca.

Kiedy Natan zamilkł, Jan i Harry podeszli, by przywitać się z Priscillą, następnie moją siostrę dorwał Trent Rosenberg. Lata temu matka i Priss bardzo się posprzeczały o Trenta. Wiedziałam, że gdyby mama była tu dzisiaj z nami, nie byłaby szczęśliwa, widząc ich razem. Ale ja dałam sobie spokój z wiecznymi spekulacjami na temat łączącej ich relacji i ruszyłam w kierunku wielkiego dębu rozpościerającego gałęzie nad grobami moich rodziców.

W roku, w którym mój ojciec został pogrzebany, policja z Brinley - czterech funkcjonariuszy - ufundowała marmurową ławkę z jego nazwiskiem. Stała w cieniu potężnych drzew, liczących przypuszczalnie setki lat. Usiadłam i odetchnęłam rześkim powietrzem napływającym od zatoki. Było pięknie. Niebo miało barwę błękitną, podobnie jak rzeka Connecticut, której porywisty nurt z pluskiem obmywał brzeg kilka metrów ode mnie. Okolica bardzo nadawała się na miejsce wiecznego spoczynku. Na małym wzgórzu na dalekim końcu River's Peace, tuż nad brzegiem spokojnej Connecticut groby rodziców od innych grobów oddzielała żwirowa ścieżka.

Siedziałam przez chwilę w zadumie, kiedy nagle ujrzałam Charlotte. Miała na sobie jedwabny kostium w kolorze kawy, który falował na wietrze. Jej długie siwe włosy zwieszały się w luźnych puklach. Westchnęła, kiedy spojrzała na duży kamień nagrobny i wyryte na nim nazwisko mojej matki.

- Nadal codziennie mi jej brakuje - powiedziała, przysiadając się do mnie.

Skinęłam głową. Moja matka mawiała, że ona i Charlotte były przyjaciółkami, chyba jeszcze zanim wynaleziono coś takiego jak przyjaźń. A już na pewno, zanim ja się urodziłam.

- Trzymasz się jakoś? - zapytała mnie Charlotte.

- W porządku. Dzięki za wczoraj. Postąpiłam dokładnie tak, jak mi powiedziałaś. I poszło całkiem nieźle. Tyle że teraz ciągle wyobrażam sobie rzeczy, których najpewniej nie powinnam sobie wyobrażać.

- Na przykład?

- Nie mogę uwierzyć, że to dziecko, o którym dopiero co się dowiedziałam, tak niepodzielnie zawładnęło moim sercem. Jak to możliwe?

Charlotte się uśmiechnęła.

- Powiedziałaś już Mickeyowi?

- Jeszcze nie. Zrobię to w najbliższy weekend, kiedy wróci do domu. Na razie to moja mała tajemnica. - Pokręciłam głową. - Nie miałam pojęcia, że będę to tak przeżywać. Nie wiem, co robić.

Charlotte zdjęła okulary przeciwsłoneczne.

- Wiem, jaką decyzję podjęliście z Mickeyem, i rozumiem ją. Ze swojej strony zrobiłaś, co mogłaś, Lucy. Ale zdaje się, że żyje w tobie mały zdeterminowany zarodek.

Westchnęłam.

- A co powiedziałyby na to moja mama?

- Och, proszę cię! Nadałaby mu imię i z miejsca zaczęłaby szyć dla niego wyprawkę.

Niespodziewanie łzy napłynęły mi do oczu.

- Jesteś pewna? Nie sądzę. Gdyby tylko wiedziała o wszystkich obciążeniach, które ja i Mickey możemy mu przekazać.

- Możecie, ale nie musicie. - Charlotte poklepała mnie po ręce. - Lucy, mimo wszystkich swoich przewidywań i koszmarów nie wiesz, co przyniesie przyszłość.

- Wiem wystarczająco wiele. Spójrz tylko na mnie. Może ja już nigdy nie zachoruję. Ale co stanie się z nią? I nie zapominaj o Mickeyu zamkniętym na oddziale psychiatrycznym.

- Jest to jakiś dylemat, Lucy, nie kwestionuję tego. -Ale...

- Ale co, kochanie? Czy naprawdę sądzisz, że twoja mama postąpiłaby inaczej? Nawet gdyby wiedziała, że straci męża w taki a nie inny sposób lub że umrze, kiedy będzie wciąż jeszcze tak młoda - czy naprawdę uważasz, że mimo tej wiedzy postąpiłaby inaczej?

- To nie to samo, Charlotte. Ona nie wiedziała. Ja wiem.

- Skoro tak mówisz. Zakaszlałam, czując ucisk w gardle.

- To nigdy nie powinno było się wydarzyć. A teraz ja... Patrzyłam na nagrobek matki, rozmyślając o zagadkach

losu. Nie miałam już rodziców, za to miałam dziecko, którego mieć nie powinnam. Kolczyki Charlotte zaczęły pobrzękiwać na wietrze. Spojrzałam na nią. Była pogodna i piękna, a na jej lekko opalonej twarzy malowały się mądrość i wyrozumiałość.

- A więc to ona, co? Pokręciłam głową.

- To kolejna dziwna rzecz! Nie umiem powiedzieć, skąd to wiem, ale jestem pewna, że to dziewczynka. A z racji genów, które otrzyma, chłopczyk miałby o niebo lepiej. Ale to dziewczynka. Po prostu to wiem. - Spuściłam głowę i potarłam palcami skroń. - Charlotte, co ja robię najlepszego?

- Martwisz się tym, na co nie masz wpływu.

- Jakiś wpływ jednak mam.

- Czyżby? Skoro mówimy o aborcji, to zupełnie tego nie widzę.

- Ja też nie - westchnęłam. - Poza tym nic się nie zmieniło. Wszystkie powody, dla których nie chcieliśmy mieć dziecka, nadal istnieją.

Charlotte poklepała mnie po ręce.

- Wiem. Jak sądzisz, w jaki sposób Mickey zareaguje na wieść, że będzie miał córkę?

- Och, Charlotte, nie wiem, czy coś mogłoby go bardziej uszczęśliwić.

Zapatrzyłam się na rzekę i wyobraziłam sobie najbardziej prawdopodobną reakcję Mickeya. Nagle ujrzałyśmy nadchodzącą w naszym kierunku Priscillę. Wyglądała na zaniepokojoną.

- Co się dzieje? - spytała.

Pokręciłam głową z ulgą, że nie mogła nas usłyszeć.

- Nic takiego.

Priss podeszła, najwyraźniej nieprzekonana, a ja wyobraziłam sobie scenę, jaka ukazała się jej oczom: oto trzymam za rękę lekarkę, sprawiającą wrażenie dość ponurej, nazajutrz po moich badaniach. Charlotte wstała i objęła moją siostrę.

- Gawędziłyśmy sobie o waszych rodzicach.

- Serio? - Priss spojrzała na mnie, a ja skinęłam głową.

- Czas na mnie - rzuciła Charlotte. - Zawsze miło was widzieć, dziewczęta. Miejmy nadzieję, że następnym razem spotkamy się w przyjemniejszych okolicznościach.

Patrzyłyśmy, jak odchodzi. Gdy zniknęła, Priss usiadła przy mnie i wzięła mnie za rękę.

- Nie strasz mnie w ten sposób.

- Nie chciałam cię straszyć.

- Nie mogłaś oddzwonić?

- Przepraszam. Zapomniałam. A kiedy już sobie przypomniałam, zdałam sobie sprawę, że będziemy się dzisiaj widziały, więc doszłam do wniosku, że pogadamy osobiście.

- Nie mogłaś tego wiedzieć. Dziś rano nawet ja nie wiedziałam, że dotrę na pogrzeb. W pracy mam ostatnio straszny młyn.

- Cóż, cieszę się, że mimo to ci się udało. U mnie wszystko w porządku. Wszystko okej. Widzę, że Nathan ucieszył się na twój widok.

Priscilla pokręciła głową, a między jej brwiami pojawiła się głęboka zmarszczka.

- Szkoda, że podobne okazje do spotkań nie są rzadsze.

- To prawda.

Przez kilka minut milczaliśmy pogrążone we wspomnieniach. W końcu Priss westchnęła.

- Jak on się czuje?

- Wraca do zdrowia. W piątek będzie w domu. Skinęła głową.

- Nie wiem, jak ty to robisz.

- Owszem, wiesz - odrzekłam, ściskając ją za rękę. Pocałowała mnie w policzek.

- Zadzwoń do mnie, kiedy będziesz miała wyniki badań. Wstała i ruszyła ścieżką po zboczu.

Była dobrym człowiekiem, co jednak mógł stwierdzić tylko ten, kto przeniknął przez ścianę strachu, jaki ją wypełniał. Priscilla była bezbronna wobec niewielu rzeczy,

ale moje zdrowie było jedną z nich. Na czele zaś tej listy znajdowało się jej zdrowie. Choć niegdyś były to: jej zdrowie oraz mężczyzna. To było tej nocy, kiedy razem z Mickeyem przez kilka godzin rozmawialiśmy w szpitalnej kawiarni. Kiedy się z nim rozstałam, wróciłam na salę, w której leżała Priscilla. Moja siostra płakała.

- Co się dzieje, Priss? - zapytałam. - Boli cię? -Nie.

- Chcesz, żebym wyszła?

- Nie! Czekałam na ciebie.

- Więc o co chodzi? Czego potrzebujesz?

- Po prostu nie mogę być sama. Rozumiesz? - wykrztusiła.

Siedziałam w półmroku, słuchając, jak moja siostra pociąga nosem.

- Nie chodzi o raka, prawda, Priss? Charlotte powiedziała, że mamy najlepsze wieści z możliwych.

- Nie, nie chodzi o raka... Ale tak, to wielka ulga. Zamilkła na dłuższą chwilę, nie przestając płakać.

W końcu zaczęłam drażnić temat:

- Powiedz, Priss, co się stało.

Znów nastąpiła pauza, ale ostatecznie wydusiła to z siebie:

- On jest żonaty.

- Kto taki?

Przez chwilę myślałam, że mówi o Mickeyu; że zeszła po schodach, by mnie śledzić, i wie o nim coś, czego ja nie wiedziałam.

- Kto jest żonaty?

- Czy to naprawdę ma znaczenie, jak on się nazywa? Jest klientem naszej firmy, jest żonaty, a ze mnie jest kompletna idiotka. Jestem chodzącą trywialnością. - Jęknęła. - Jak mogłam być taka głupia?

- Priss, kochanie, o czym ty mówisz?

- Złamałam własną podstawową zasadę i zakochałam się w kliencie.

- Jak długo to trwa?

- Prawie od roku.

- Od roku? Kochasz go?

- Och, Lucy - westchnęła. - Kocham go tak bardzo, że bez niego nie istnieję. Nie wiem, co mam teraz zrobić.

Nie przypominam sobie podobnych słów padających z ust mojej siostry. Była ostatnią osobą, którą bym podejrzewała o to, że może dać się zranić mężczyźnie. Świat znał ją jako zdystansowaną, zawziętą, ambitną prawniczkę. Była najmłodszą w historii firmy kobietą mającą jej udziały. Przyjaciele wiedzieli, że uwielbia muzykę neoklasyczną i wierzy, że makrobiotyka zapewni jej młodość. Lily i ja zaś wiedziałyśmy, że nie znosi ćwiczeń na orbitreku, mimo to wykonuje je codziennie przez czterdzieści pięć minut. Wiedziałyśmy też, że robi ciasteczka tylko po to, żeby zjeść masę, i że trzyma mnóstwo kaszmiru, z którego, jak twierdziła, będzie kiedyś zrobić szale na swoich drogich bambusowych drutach. Ale dla Priss mężczyźni byli jak deser (na który rzadko sobie pozwalała), a to, co się zjadło na deser w zeszłym tygodniu lub miesiącu, zwykle nie jest warte najmniejszej wzmianki. Jak więc było możliwe, że ten jeden mężczyzna stał się dla niej tak ważny? W dodatku żonaty klient. Co ona sobie myślała?

Podciągnęłam się na łóżku i objęłam swoją siostrę, stwierdzając z zaskoczeniem, że nie zamierza mnie odepchnąć. Wypłakiwała mi się na ramieniu. O mało mi serce nie pękło.

- Zaczynj od początku - powiedziałam, kiedy się uspokoiła. - Mów powoli.

Żonaty klient nazywał się Kenneth Boatwright, w owym czasie miał czterdzieści jeden lat, a Priscilla dwadzieścia osiem. Poznała go, gdy wynajął jej firmę. Priss była szefową zespołu reprezentujących go prawników, a on miał złamane serce i był w trakcie wyjątkowo trudnej sprawy rozwodowej. No jasne, pomyślałam z przekąsem, ale wypowiedzenie tego na głos nie było najlepszym pomysłem. Priss opisała go jako faceta robiącego piorunujące wrażenie na innych, choć nie wbijało go to w nadmierną pychę - cokolwiek miałoby to znaczyć. Czterokrotnie rozmawiali przez telefon przez całą noc, zwykle na jego tematy - niewątpliwy znak, że siostra była zadurzona - zanim umówili się na pierwszą randkę. Po tym pierwszym spotkaniu nie mogli już bez siebie wytrzymać.

Jego firma miała biura w wielu miejscach, a on wciąż otwierał nowe siedziby, więc naturalnie musieli razem podróżować. Ich romans był czymś nieuniknionym. Podobnie jak koniec tego romansu, ponieważ jak tylu innych szlachetnych mężczyzn Kenneth Boatwright wciąż

był w trakcie sprawy rozwodowej i nie mógł dotrzeć na jej drugi brzeg, na którym stała Priss oczekująca rozpoczęcia ich wspólnego życia.

W ciągu ostatniej doby, gdy zdiagnozowano u niej raka, do mojej siostry dotarła w końcu cała prawda o jej sytuacji życiowej. Wystraszona i bezbronna - były to dwa zupełnie obce jej stany psychiczne - skontaktowała się z Kennethem przebywającym właśnie w domku wakacyjnym na Maui i poinformowała go o tym, co się wydarzyło, błagając, by przyjechał i już z nią został. Czarujący pan Boatwright wyraził głęboki żal z powodu tego wszystkiego, przez co musi przechodzić Priss, zwłaszcza zaś tego, że w niczym nie jest w stanie jej pomóc. Wiedział, że na takie oświadczenie wybiera niewłaściwy moment, ale wszelako powiadomił ją, że on i jego mała kobietka spróbują szczęścia jeszcze raz... dla dobra ich wspólnych dzieci. Jego chłopcy byli w wieku piętnastu i dwunastu lat.

Nigdy bym jej tego nie powiedziała, ale moja siostra miała rację. Była chodzącą trywialnością - facet okłamywał ją, wykorzystywał, a na koniec złamał jej serce i porzucił dla dobra dzieci.

- Przykro mi, Priss.

- On mnie kocha! - krzyknęła. - Jak mógł mi zrobić coś takiego?

- Już dobrze - rzekłam uspokajająco, głaszcząc ją po włosach.

Tamtej nocy miałam ochotę zabić Kennetha Boatwrighta. Zniszczył moją twardą, bystrą siostrę, a wedle mojej wiedzy

nikomu do tej pory to się nie udało. Teraz zaś patrzyłam, jak Priss żegna się z Nathanem Nashem u stóp wzniesienia. Pogłaskała go po twarzy i pocałowała w policzek, a on patrzył za nią, gdy odchodziła, zapewne postrzegając ją tak jak my wszyscy - jako kobietę piękną i niepokonaną. Tylko Lily i ja wiedziałyśmy o bliźnie, jaką nosiła w sercu. Nigdy więcej nie rozmawiałyśmy o Kennecie Boatwrightcie. W każdym razie nie na serio. Raz próbowałam, ale Priss rzuciła mi wymowne spojrzenie. Zdaje się, że zmieniła temat, rzucając jakiś komplement na temat mojej fryzury.

ROZDZIAŁ 7

1 października 1999

Lucy to niejako umowa wiązana. Wiedziałem o tym zapewne już tego wieczoru, w którym się poznaliśmy. Była jedną z trzech sióstr, które pilnowały się nawzajem - bywało, że zachowywały się niczym lwice u bram - toteż miałem pewność, że jeśli chcę stać się częścią jej życia, muszę zyskać aprobatę większości. Lity przetestowała mnie pierwsza. Trwało to kilka miesięcy, a ja już wtedy wiedziałem, że kocham Lucy. Pewnej nocy Lity zapukała do drzwi mojego domu. Jej widok mnie zaskoczył. Weszła do środka i nawet nie usiadła. „Lucy jest bliska zakochania się w tobie, Mickey” - oznajmiła. Skinąłem głową. Wtedy wyłożyła mi całą sprawę - chciała wiedzieć, co ja (to znaczy wariat) właściwie zamierzam. Gdy o to zapytała, drżała jej dolna warga. Wiedziałem, że moja odpowiedź poprawi moje notowania lub mnie pograży. Potrzebowałem wsparcia Lity. Mogłem poradzić sobie bez Priss, jeśli będzie trzeba, ale nie bez Lity. Powiedziałem jej, że ma wszelkie powody do zmartwień. Jeśli się nad tym zastanowić, prawdę mówiąc,

istny ze mnie koszmar - w pewnym sensie. Oznajmiła, że wie o tym. Nie miałem pojęcia, co innego mogę zrobić, jak tylko zapewnić ją, że moja cyklofrenia nie oznacza jeszcze, że nie mogę kochać jej siostry. Oczy Lity wypełniły się łzami i zaczęłam się bać, że powiedziałem coś nie tak. Oświadczyłem jej, że moja choroba nie oznacza, że nie dam Lucy tego wszystkiego, co mam do zaoferowania; zapewniłem też, że nigdy z rozmysłu nie skrzywdzę jej siostry. Powiedziałem jej to wszystko na jednym oddechu, szczegóły zachowując dla siebie. Nie poinformowałem Lity na przykład o tym, że pogrzebałem w sercu wiele marzeń - nie powiedziałem jej o porzuconej liście rzeczy, których zawsze pragnąłem. Byłem pewien, że ktoś taki jak ja nigdy ich nie dostanie. Nie powiedziałem jej, że w dniu, w którym umarła moja matka, zacząłem spisywać pragnienia, nadzieje, to wszystko, co było dla mnie nieosiągalne. Ale powiedziałem o nich Lucy pewnego wieczoru, gdy siedzieliśmy razem na huśtawce na ganku. Przegadaliśmy pół nocy i mieliśmy przegadać następną połowę. Bose stopy Lucy spoczywały na moich kolanach. Głaskałem ją po gładkich łydkach. Zdradziłem wtedy istnienie mojej listy i wyjaśniłem, jak doszło do jej powstania. Kiedy skończyłem, Lucy uśmiechnęła się do mnie, a jej oczy błyszczały w świetle księżyca.

- Zdajesz sobie sprawę, że nie masz już wyboru. Musisz mnie kochać, Michaelu Chandlerze - oznajmiła.

- A to dlaczego? Wtedy mnie pocałowała.

- Ponieważ potrafię dać ci każdą z rzeczy, które są na tej liście - szepnęła mi na ucho.

Przywołując w myślach ową chwilę, kiedy Lucy sprawiła, że w to uwierzyłem, na chwilę zamilkłem. Lily spytała, jak sobie wyobrażam naszą miłość. Cóż miałem odpowiedzieć? Czy można było wierzyć, że nie schrzanię wszystkiego? Nie, i cierpiałem z tego powodu. Ale zapewnilem Lily, że może zaufać mojej miłości do Lucy. To właśnie z tego powodu przeszedłem przez to wszystko: by tutaj zostać, właśnie tutaj, w życiu Lucy. Patrzyłem na Lily i starałem się panować nad sobą, ale nie w pełni mi się to udało. Lily podeszła do mnie i choć w jej oczach błyszczały łzy, tylko na mnie patrzyła, twardo, jakby szukała kłamstwa w mej twarzy. W końcu mnie objęła. „Nic dziwnego, że Lucy cię kocha, Mickey -powiedziała. - Obiecuj, że będziesz dla niej dobry”. Serdecznie ją uścisnąłem. „Jeśli będę takim szczęściarzem, że twoja siostra mnie zechce, obiecuję, że dam jej całego siebie”.

Dzięki takiej siostrze jak Lily, mam wrażenie, że idę przez życie, zerkając w lustro pokazujące tylko najlepszą część mnie. Byłabym szczęściarą, gdybym rzeczywiście była taka, za jaką uważa mnie moja siostra. Ale taka właśnie jest Lily. Kiedyś powiedziała mi, że gdy przyszłam na świat, uznała, że jestem prezentem, który podarowała jej mama; że jestem nową lalką, w którą będzie mogła przelać swą bezgraniczną miłość. A ja najwyraźniej byłam chętną i posłuszną zabawką. Legenda rodzinna głosi, że moja siostra ustawiała maskotki w kole, ze mną pośrodku, następnie uczyła tę niesforną klasę alfabetu, prostego dodawania, piosenek, liczb i wierszyków. Mama powiedziała mi, że kiedy poszłam do pierwszej klasy, umiałam już czytać. Zawdzięczałam to Lily, która z wielkim entuzjazmem wymawiała pojedyncze słowa i całe zdania, nalegając, bym je

powtarzała. Pamiętam o tym wszystkim, choć muszę do tego dodać również odbywane wczesnym rankiem ćwiczenia foniczne z tatą.

Zawsze sądziłam, że ja i Lily, jeśli chodzi o duchowe porozumienie, jesteśmy bliźniaczkami. Moja siostra zna mnie w jakiś niesamowity, trudny do wyjaśnienia sposób. Wyczuwa, kiedy jestem radosna, a kiedy niespokojna. Żyje moimi nadziejami, płacze moimi łzami, śmieje się moim śmiechem. Ja posiadam podobną wiedzę na jej temat. Widzę, w czym tkwi siła Lily, nawet jeśli ona się upiera, że tak nie jest.

Jako siostry razem przeżyłyśmy śmierć rodziców: nagłą i tragiczną ojca oraz długotrwałe i bolesne umieranie mamy. Potem Lily straciła dziecko, które tak bardzo pokochała. I nieomal straciła również mnie, gdy zachorowałam na raka. Lily nie cierpi rozmawiać o tych sprawach, a ja wiem, że czasami wręcz boi się oddychać. Ale jest w niej coś więcej niż tylko strach i poczucie utraty. Na dnie tego wszystkiego, co złe, jest też i to, co dobre: Ron, który był obecny w naszym życiu od zawsze.

Dobrze pamiętam ów wieczór w Święto Dziękczynienia, zaledwie trzy miesiące po śmierci mamy. Wszyscy byliśmy w sypialni rodziców. Lily właśnie wróciła do domu i zwała się na łóżko, na którym czytałam gazetę - dział ogłoszeń

w ogromnym dziale sprzedaży. Priss siedziała na fotelu taty i malowała sobie paznokcie u nóg, a Leno właśnie zaczął swój monolog w telewizji.

- Jak tam twoja randka? - zapytałam, zakreślając ogłoszenie o glinianym garnku, ewentualnym prezencie świątecznym dla Jan.

- Sama nie wiem - odparła Lily i zamyśliła się. - Ron ostatnio tak dziwnie się zachowuje. Jest nerwowy. Chyba się zastanawia, czy ze mną nie zerwać.

- Ron? Zerwać z tobą? Nie rozśmieszaj mnie - odrzekłam.

- To nie byłaby najgorsza rzecz na świecie - wtrąciła Priss. - Są jeszcze inni faceci.

- Umawiałam się już z innymi, Priscillo - warknęła Lily.

- A tak, zapomniałam o tym jednym roku próbnego chodzenia.

- Dzięki Bogu, że się skończył - mruknęła Lily. - Ale teraz Ron jest taki... - Wjej oczach pojawił się ból, który mnie zaskoczył.

-Lily...

- Może ma w szkole kogoś, do kogo chce wrócić. - Westchnęła głęboko i pokręciła głową. - Nie chcę dłużej o nim myśleć. O czym rozmawiałyście?

- O gwiazdce - odpowiedziałam.

- Nadal uważam, że możemy to sobie odpuścić. - Priss podjęła przerwana wcześniej rozmowę. - Niektóre rzeczy po prostu muszą się kiedyś skończyć.

- Nie ma mowy - oświadczyłam. - Ze zbyt wieloma sprawami pożegnałyśmy się w ten sposób. Tym razem nie możemy... przez wzgląd na mamę.

- Wiesz, Priss, tym razem muszę poprzeć Lu - powiedziała Lily nieobecny tonem. - To jest tradycja.

- Też mi wielka nowina - zachnęła się Priss, ale wiedziała, że to my mamy rację.

Kiedy moi rodzice przeprowadzili się do Brinley, mama była w ciąży z Priscillą, a tata dopiero co został zatrudniony w miasteczku jako drugi policjant w dwuosobowym składzie. Nikogo nie znali, więc postanowili, że będą prowadzili dom otwarty i zawrą znajomości, spraszając ludzi na święta. Od tamtej pory zawsze na gwiazdkę w naszym domu odbywało się przyjęcie, bez którego nie potrafiłam już sobie wyobrazić świąt. W gruncie rzeczy Priscillą nie mogła się nam w tej kwestii sprzeciwić, gdyż Brinley było całą jej przeszłością. Wszystko w jej życiu zaczęło się właśnie tutaj, w sercu tej społeczności. W końcu więc poddała się z ciężkim westchnieniem, a godzinę później wszystkie szczegóły były już ustalone. Wślizgnęłam się do łóżka mamy, a Lily włożyła piżamę i wsunęła się pod kołdrę obok mnie. Tylko Priss była autentycznie skupiona na serialu *Peny Mason*. Mimo to wszystkie usłyszałyśmy, jak na dole otworzyły się i zamknęły frontowe drzwi, a po kilku sekundach na schodach wiodących na piętro rozległy się kroki. Sięgnęłam po rękę Lily i utkwiałam wzrok w Priscilli, która sztywno podniosła się z miejsca. Podeszła do drzwi sypialni i wyjrzała przez szparę, po czym natychmiast się rozluźniła.

- Co ty tu, u diabła, robisz?

Do sypialni wszedł Ron Bates, którego twarz przybrała ziemistą barwę. Lily usiadła i zasłoniła twarz rękami.

- Co ty tu robisz? - zapytała przez palce.

- Lii... czy mogę... czy mógłbym z tobą porozmawiać? Sam na sam?

- Nie! To się nie dzieje naprawdę.

- Lily, proszę.

- Nigdzie z tobą nie pójde, Ronaldzie Bates! - krzyknęła. - Będziesz musiał zerwać ze mną tu, w obecności moich sióstr.

Priscilla założyła ramiona na piersiach, uniosła głowę i zaczęła wpatrywać się w Rona. Wydawał się zaskoczony.

- Nigdzie się nie wybieramy, ty sukinsynu, więc od razu zrywaj ze mną i spadaj! Próbujemy oglądać *Peny Masona*.

Ron był tak zdumiony, że aż otworzył usta.

- Wcale nie chcę z tobą zrywać, ty kretynko! Lily, ja chcę się z tobą ożenić!

Było niemal tak, jakby to mnie poprosił o rękę. Podskoczyłam na łóżku i zaczęłam krzyczeć, podczas gdy Ron całował już Lily. Priss zgłośniła telewizor.

Ron Bates kochał moją siostrę, odkąd byli dziećmi. Tak niewinna miłość była chyba marzeniem każdej znanej mi kobiety. W każdym razie Lily jej pragnęła i ja również. Więc kiedy coraz mocniej zakochiwałam się w Mickeyu, dzwoniłam do siostry i prawie o wszystkim jej opowiadałam. Szczegółowo opisywałam randki, a Lii okazywała wzorowe wprost zaciekawienie i cierpliwość. Mickey i ja nie mogliśmy widywać się zbyt często - nadal mieszkałam w Bostonie, a on

w Connecticut - ale kiedy już się spotykaliśmy, dokładał wszelkich starań, by były to chwile wyjątkowe, za co Lily nieodmiennie go chwaliła: czy to wówczas, gdy spędziliśmy cudowny dzień, żeglując po jeziorze Bashan, które nazywałam Jeziorem Mickeya, gdyż miał dom na brzegu, czy wówczas gdy zaskakiwał mnie biletami na występ orkiestry Boston Pops w Hatch Stell, czy wreszcie wtedy, gdy spotkawszy się na lotnisku, poleciliśmy do Nowego Jorku, bo Mickey zdobył bilety *mLetterman Show*. Słowem, starał się jak mógł. Pewnego razu wynajął całą salę kinową w Colchester, byśmy tylko we dwoje obejrzeliby *Lepiej być nie może*. W trakcie filmu, gdy postać grana przez Jacka Nicholsona wpadła w największe szaleństwo, a Helen Hunt wzniosła ręce, Mickey pochylił się do mnie i szepnął: „Tak będzie wyglądać nasze życie”. A gdy w końcu bohaterowie zostali razem, szepnęłam mu to samo.

Lily nazywała nas przesłodzonymi romantykami i zdaje się, że tacy byliśmy. Po prostu uwielbiałam przebywać z Mickeyem. Uwielbiałam jego błazenadę, tak samo jak lubiłam chwile, gdy się wyciszał. Chciałam dotrzymywać mu kroku. Jeździliśmy na rowerach, chodziliśmy po górach, łowiliśmy ryby i graliśmy w kręgle. On nie potrafił trafić rakietą w piłkę tenisową, a ja nie umiałam grać w golfa, ale poza tym pasowaliśmy do siebie. Uwielbiałam patrzeć na niego, gdy on na mnie patrzył. Uwielbiałam to, że moje uczucia do niego zdawały się napawać go grozą. Kochałam te urocze gesty, jakie wobec mnie wykonywał. Kiedy nie mogłam się z nim zobaczyć, gdyż przez cały weekend

pracowałam z grupą swych uczniów, zawsze zamawiał dla mnie jedzenie - pizza, ciasto, świeże kanapki, czasem nawet kwiaty. Podobało mi się, że ma tak bogatą osobowość, choć on upierał się przy tym, że to tylko rezultat choroby dwubiegunowej. Ale ja nie widziałam w tym cyklofrenii

- widziałam piękny arras rozwijający się przed moimi oczami. „Tylko bądź ostrożna, Lu”, mawiała moja siostra. To była dobra rada i Priss powtarzała mi ją przy każdej rozmowie

- prawie codziennie.

Mnie z kolei rzadko przychodziło do głowy, by zwierzać się jej z czegoś. Choć podobne wyznania, jakkolwiek to zabrzmie, nie były aż taką znowu rzadkością. Priscilla była, ogólnie rzecz biorąc, zupełnie inną osobą niż Lily. Gdy miała siedemnaście lat, opuściła Brinley - a wraz z nim Lily i mnie, i płaczącą matkę, z którą przez ostatni rok nieustannie się kłóciła. Ja miałam wtedy dziesięć lat, Lily

- czternaście. Odczułyśmy prawdziwą ulgę, kiedy Priss wyjechała. Bo już wtedy obie wiedziałyśmy, że my nigdy nie opuścimy Brinley. Priscilla na całego zaangażowała się w swą pracę w korporacji, w myśl słów „sukces albo śmierć” wiodła życie wypełnione walką, podejmując niezłomne postanowienie ucieczki jak najdalej od naszego miasta. Gdy Lily wyszła za chłopaka z sąsiedztwa, według niej całe życie siostry się skończyło. Ja jeszcze nie byłam stracona dla świata, gdyż Priscilla jakoś nie mogła uwierzyć, że naprawdę wrócę do Brinley, by na dobre zamieszkać w domu, w którym wszystkie się wychowałyśmy, i uczyć w liceum, które wszystkie ukończyłyśmy. Tymczasem właśnie

taki miałam plan. Priss kochała nas, ale my jej tego nie ułatwiałyśmy. Lubiła ekstrawagancję, wobec której ja i Lily zachowywałyśmy obojętność. A skoro miałyśmy z sobą tak mało wspólnego, trudno było sobie wyobrazić, by Priscilla interesowała się moim życiem uczuciowym. Tyle że moje życie uczuciowe wiązało się z Mickeyem Chandlerem.

Zdaje się, że nie zdobyłam się na to, by powiadomić ją o naszym związku, gdyż to właśnie Priss pierwsza zwróciła na niego uwagę. Choć ich znajomość nigdy się nie rozwinęła, byłam niemal pewna, że sama myśl o moim związku z nim nie wchodziła w grę. Nadal jednak wyobrażałam sobie, że nadejdzie taka chwila, kiedy zabiorę Priss na lunch, spędzę z nią godzinę na pogaduszkach, a następnie jak gdyby nigdy nic wspomnę, że spotykam się z Mickeyem. Opowiem wszystko zgodnie z prawdą, będę obstawać przy swoim i nie powiem wiele więcej ponad to, że zaczęłam się w Mickeyu zakochiwać.

Ale jakoś nigdy się na to nie zdobyłam, a kiedy sama się dowiedziała, nie było jej zbyt miło.

Stało się to na spotkaniu charytatywnym w Cambridge, oficjalnej uroczystości zorganizowanej na rzecz Greater Massachusetts Children's Aid Society. Mickey był jedną z osób zabawiających gości. Wyglądaliśmy fantastycznie - on we fraku, ja w sukience z szyfonu w kolorze czerwonego wina, długiej do ziemi i bez ramiączek, w biżuterii mieniącej się w świetle lamp. Mickey właśnie opowiadał na scenie o wynalazku, nad którym pracuje - ścianie zrobionej z rzepów, na którą można by rzucać dzieci, kiedy

człowiek chciał się ich pozbyć - gdy przy moim stoliku zmaterializowała się Priscilla w stalowoszarej sukni tak obcisłej, jakby skurczyła się na niej, szczelnie opinając jej kształty. Jej włosy były jaśniejsze, a opalenizna ciemniejsza niż wtedy, gdy widziałam ją ostatnim raz. Wyglądała jak z okładki czasopisma. Niezbyt grzecznego czasopisma. Zaskoczona tym, że widzi mnie na przyjęciu dla tak ekskluzywnego grona, pochyliła się, by cmoknąć powietrze tuż przy moim policzku i zapytać, co tu robię. Ale zanim zdążyłam odpowiedzieć, usiadła na krześle Mickeya, a scena całkowicie pochłonęła jej uwagę.

- Możesz w to uwierzyć, Lucy? Wiesz, kto to jest, prawda? Czyżby przeznaczenie? Kenny Boatwright może pocałować mnie w mój fantastyczny tyłek. Więc tym razem, Lucille - nasze oczy spotkały się i Priss posłała mi żartobliwie ostrzegawcze spojrzenie - nie wchodź mi w drogę.

- Priss, muszę ci coś powiedzieć.

Mickey właśnie skończył występ i rozległy się żywiołowe oklaski, a tłum wstał z miejsc. Priscilla szarpnęła za dolną część sukienki, wygładzając górę, a następnie odeszła, by poszukać swojej ofiary. Mojego chłopaka.

- Priscillo, naprawdę muszę ci coś powiedzieć! - krzyknęłam, ale zlekceważyła mnie machnięciem ręki.

Mickey zmierzał z powrotem do mojego stolika, ale jakiś pełen zachwytu fan zatrzymał go na chwilę. Wstrzymałam oddech, wiedząc, że nieuchronnie zbliża się katastrofa, a ja nie mogę jej zapobiec. Mickey nie przystanął, gdy zobaczył Priscillę. Po prostu minął ją i podszedł do mnie, po czym

pocałował mnie szybko w usta. Tłum nadal klaskał i Mickey lekko skłonił się w podzięcie.

Priscilla była zażenowana; widziałam to na jej twarzy. Jej oczy błyszczały z upokorzenia, doznanej krzywdy i z irytacji, ale nie potrafiłam orzec, czy było to spowodowane afrontem Mickeya, czy tym, że on jest ze mną. Puściłam dłoń Mickeya i ruszyłam ku niej. Wiem, że wolałaby odejść i zapomnieć, że w ogóle kiedykolwiek nas widziała, ale zanim zdążyła to zrobić, złapałam ją za ramię.

- Priscillo...

Mickey natychmiast znalazł się u mojego boku. Był zmieszany. -Hej...

- Mickey, pamiętasz moją siostrę... - powiedziałam, mocno ściskając go za rękę, by dać mu do zrozumienia, jak ważna jest jego odpowiedź.

Ale jego niewidzący wzrok to był ostateczny cios zadany porcelanowemu ego Priss, która skinęła głową, skrajnie rozsierdzona.

- Miło cię znowu widzieć, Mickey - oznajmiła i uśmiechnęła się sztywno. - Poznaliśmy się w zeszłym roku na urodzinowym przyjęciu Lucy.

Jeśli te słowa wywołały u Mickeya jakiś przebłysk wspomnienia - nie licząc tego, czego już zdążył się domyślić - to wyraz jego twarzy na to nie wskazywał.

- Oczywiście. Jak się masz? - zapytał uprzejmie.

- W porządku. A ty nadal jesteś bardzo zabawny. Priscilla odwróciła się na pięcie i odeszła, nie zaszczycając mnie ani jednym słowem.

- To jest twoja siostra?

- Jasne! Pamiętasz chyba Priscillę.

- Priscilla? Czy ona zawsze była tak jasną blondynką?

- Co takiego?

- Przepraszam, Lu. Nie wygląda jak dziewczyna z twojego przyjęcia. Przepraszam. Jestem taki głupi. Uraziłem ją, prawda? Co mogę zrobić?

Spojrzałam na Mickeya i niepokój zniknął, gdy zobaczyłam, że mówi szczerze. Naprawdę było mu przykro, że uraził moją siostrę. Nie stroił sobie z niej żartów, co mógłby zrobić na dziesiątki sposobów. Nie usiłował też się bronić. Po prostu przyznał się do tej niezręczności z uczciwością, na którą Priscilli nigdy by nie było stać, gdyby sytuacja była odwrotna. Uśmiechnęłam się do niego.

- Dlatego właśnie cię lubię, wiesz? Pocałowałam go, a on wyglądał na zakłopotanego. Nie miał pojęcia, o czym mówię.

Następnego dnia wreszcie wprowadziłam w życie mój plan podczas lunchu, choć było za późno, by poszło tak, jak chciałam. Siedziałam w Maggiano, a Priss spóźniała się już czterdzieści pięć minut. Zjadłam kanapki i piłam trzecią mrożoną herbatę. Wiedziałam jednak, że Priscilla w końcu się zjawi. Powiedziała mi, że może się spóźnić, co w jej języku oznaczało: „przyjdę, kiedy będę miała ochotę”.

Zjadłam już połowę sałatki cezar z kurczakiem, kiedy w końcu nadeszła. Zmierzyła wzrokiem mój talerz, zdjęła kurtkę i wygładziła spódnice.

- Jak miło, Lucy.

Spojrzałam na zegarek.

- Nie wstawiaj kitu, Priss.

Zamówiła sałatkę z dressingiem w osobnym naczyniu i wodę z lodem. Kiedy kelner odszedł, oparła się o krzesło, splotła ręce na piersi i zacisnęła szczęki.

Westchnęłam.

- Czy mogłabyś przestać traktować się tak poważnie?

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Owszem, wiesz.

- Jestem zajęta, Lucy. O czym chciałaś ze mną rozmawiać?

Odepchnęłam lunch na bok i pochyliłam się ku niej.

- Powinnam była zrobić to wcześniej. Przepraszam cię, Priss, ale jeśli chodzi o wczorajszy wieczór, to...

- To co?

- Cóż, jestem z Mickeyem Chandlerem. Spotykam się z nim od kilku miesięcy. Myślę, że go Kocham, i gdyby mi się dzisiaj oświadczył, pewnie zgodziłabym się wyjść za niego za mąż. - Kiedy jej twarz pozostała nieporuszo-na, nie miałam wyboru, jak tylko brnąć dalej: - Wiem, że wypatrzyłaś go z myślą o sobie... wczoraj wieczorem wyszło trochę niezręcznie... Przepraszam cię za to. Ale... tak to właśnie wygląda, a ja mam ci do powiedzenia coś ważnego, więc czy mogłybyśmy przejść nad tym wszystkim do porządku dziennego?

Priscilla wbiła we mnie wzrok.

- Przede wszystkim, Lucille, czemu uważasz, że mnie to obchodzi? - Oparłam się na krzesło i westchnęłam. - Poza tym... gratulacje.

- Dziękuję, Priss - odrzekam ostrożnie. Przyniesiono jej sałatkę. Priss uniosła widelec i powiedziała:

- Żeby wszystko było jasne: wczoraj wieczorem dokładnie mu się przyjrzałam i stwierdziłam, że nie jestem ani trochę zainteresowana.

- No to świetnie. W ten sposób wszystko staje się prostsze, prawda?

- Chyba tak. - Wzruszyła ramionami, zjadając pomidora. - A więc co takiego ważnego masz mi do powiedzenia na temat waszej dwójki?

Właśnie tej części się obawiałam, ale nie było sposobu, żeby ją pominąć. Odchrząknęłam.

- Słyszałaś kiedyś o chorobie afektywnej dwubiegunowej?

- Tak. Choroba psychiczna. Czemu pytasz?

- Ponieważ... sędzę, że powinnaś wiedzieć, że zdiagnozowano ją u Mickeya.

Przestała żuć i odłożyła widelec, ale nie odzywała się tak długo, że w końcu poczułam, iż powinnam czymś zapełnić tę ciszę. Powiedziałam jej o terapii Mickeya i o tym, jak leki wpływają na jego nastrój. Powiedziałam, jak bardzo jest produktywny, kiedy ma epizody manii. Ale słowem nie wspomniałam o depresjach ani myślach samobójczych, jakie miewał w przeszłości. Priscilla wysłuchiwała mnie, nie przerywając, a kiedy skończyłam, w milczeniu wpatrywała się we mnie przez całą minutę. Powinnam się była spodziewać tego, co teraz nastąpiło.

- Czy naprawdę jesteś aż tak zdesperowana?

- Co takiego?

- Mówię poważnie, Lucy. Jesteś aż tak zdesperowana? Bo jestem pewna, że gdybyś spróbowała, mogłabyś wpaść w oko zdrowemu, odpowiedniemu facetowi. Dlaczego w ogóle bierzesz coś takiego pod uwagę?

Spiorunowałam ją wzrokiem.

- Przestań, Priscillo. Ja nie żartuję. To mój wybór.

- No cóż, skarbie, będziesz musiała znaleźć sobie kogoś innego. Nic ci po nim.

Nie powiedziała tego jakimś szczególnie niemiłym tonem, ale jej słowa raniły. Pokręciłam głową.

- Pomyśl, co robisz, Lucy. I zastanów się, jak to skończyć. Stać cię na znacznie więcej. Jesteś warta czegoś lepszego.

Spojrzałam na nią twardo.

- Chyba już skończyłam. - Rzuciłam serwetkę na stół. - Nie muszę się przed tobą tłumaczyć, a ty nie masz prawa mnie krytykować.

- Słucham? - powiedziała moja siostra. Wyglądała na szczerze zdziwioną.

- Dobrze słyszałaś, Priss. To może być kość niezgody między nami. Musisz to zaakceptować i być miła, inaczej koniec z nami. Ty masz swoją karierę, poza tym nie mieszkasz w pobliżu, więc i tak nie robi ci to wielkiej różnicy. Jeśli tego właśnie chcesz... Ale jeśli chcesz nadal utrzymywać ze mną kontakt, będziesz musiała zaakceptować moje życie, nie wyłączając Mickeya. - Położyłam banknot dwudziestodolarowy na stole i wstałam.

- Dokąd się wybierasz? Jeszcze nie skończyliśmy.

- Powiedziałam już wszystko, co miałam do powiedzenia. Wychodzę, żebyś mogła sobie dobrze przemyśleć swój następny krok.

I wyszłam, o wiele bardziej zagniewana, niżbym chciała.

Wieczorem tego samego dnia Priscilla zjawiała się w moim mieszkaniu. Leżałam już w łóżku i choć Priscilla starała się tego nie okazywać, widać było po niej, że jest wyczerpana. Miała na sobie ten sam kostium co w trakcie lunchu, nadal jednak wyglądała dość świeżo, tylko jej bluzka nie była wciśnięta w spódnice.

- Pracowałaś? Jest druga nad ranem.

- Tak, pracowałam - warknęła. - To właśnie robię, pamiętasz jeszcze?

- Chcesz wejść?

Spojrzała na mnie surowo, ale zdradziły ją łzy.

- Do diabła! - syknęła.

- Chcesz usiąść?

- Nie, nie chcę usiąść!

- Priss, czemu przyszłaś?

Moja siostra potarła dłonią czoło i westchnęła.

- Jestem tu, bo... bo chcę, żeby między nami wszystko było w porządku.

-Co?

- Słyszałaś. Chcę, żeby między nami było w porządku, i jeśli już ma mi być przykro, to jest mi przykro, a jeśli mam siedzieć cicho w kwestii Mickeya, to, cóż, postaram się.

- Serio?

- Nie bądź taka zaskoczona - rzuciła. - Nie jestem aż taką suką bez serca, za jaką mnie uważasz.

Podeszłam do niej i objęłam ją.

- Owszem, jesteś. Ale i tak cię Kocham. Zaśmiała się cicho, po czym obie się popłakałyśmy.

Kiedy w końcu się od siebie oderwałyśmy, umalowana twarz Priscilli przedstawiała żaloszny widok.

- Masz ochotę się czegoś napić? Jadłaś kolację?

- Niczego mi nie trzeba. Idę do domu. Muszę wziąć prysznic. Muszę być tam z powrotem o piątej.

- Żartujesz. Wzruszyła ramionami.

- Tak czy inaczej, chciałam ci tylko powiedzieć, że wydaje się miły.

- Kto?

- Twój chłopak. Wysłał mi dwa tuziny róż. Dwukolorowych, białych i czerwonych.

- Mickey? Mickey wysłał ci róże?

- Naprawdę nie wiedziałaś? Nie namówiłaś go do tego?

- Nie. Ale może bym to zrobiła, gdyby mi to przyszło do głowy.

- Hm... w takim razie lubię go bardziej, niż myślałam. Priscilla wyciągnęła do mnie dłoń z jakąś kartką, ale szybko schowała ją z powrotem.

- Żeby było jasne, Lucy. Zawsze będę się martwić, że jesteś z wariatem, ale nie chciałabym, by to nas poróżniło.

- Nie zaczynaj, Priscillo. Chyba osiągnęłyśmy porozumienie.

W końcu podała mi tę kartkę. - Tak czy inaczej, ciężko uwierzyć, że on naprawdę jest tak szalony.

Rozprostowałam papier i rozpoznałam pismo Mickeya. *Droga Priscillo*

Chciałbym Cię przeprosić za to, że Cię nie poznałem wczorajszego wieczoru. Wstyd mi. Ale szczerze mówiąc, nie poznałem Cię dlatego, że jesteś jeszcze piękniejsza niż przed rokiem, gdy się poznaliśmy. Wyglądałaś znajomo, lecz kiedy podeszłaś, myślałem, że Lucy przedstawiła mnie swej kolejnej siostrze, nie tej, którą już kiedyś poznałem.

Kocham Twoją siostrę. A ponieważ tak właśnie się sprawy mają, nasze ścieżki mogą się jeszcze nieraz przeciąć. Ale zanim to nastąpi, chciałbym jakoś zadośćuczynić temu, że Cię obraziłem.

Przyjmij moje najszczerze przeprosiny, Michael Chandler

Priscilla zabrała mi kartkę i pocałowała mnie w policzek. - Proszę cię, bądź ostrożna - powiedziała i wyszła.

ROZDZIAŁ 8

10 czerwca 2011

Pożegnałem się z dziewczynami w dyżurce pielęgniarek, a Peony przepuściła mnie przez drzwi.

- Bądź już teraz grzeczny, Michael - powiedziała.

Zasalutowałem przed nią. W trakcie trwania mojego małżeństwa byłem hospitalizowany pięć razy, a cztery razy zanim się ożeniłem. Peony wie, że zrobię, co w mej mocy.

Lubię iść piechotą z Edgemont. Nie jest to długa droga, a ja lubię odwracać się plecami do szpitala. To symboliczne. Trafiłem tu w różnych stadiach zamętu psychicznego. Bywałem przerażony, a z czasem zaszedłem zbyt daleko, by odczuwać przerażenie. Zdarzało się, że byłem pogrążony w takim letargu, że nie mogłem ustać na nogach, albo tak nakręcony, że nie mogłem usiedzieć na miejscu. I choć zawsze otaczano mnie tu dobrą opieką, nadal myślę o pobycie w szpitalu z lekkim lękiem.

Pamiętam, że pewnego razu, kiedy byłem mały, moja mama była tam przez kilka tygodni - tak nam się przynajmniej

zdawało - a potem pojechaliśmy z tatą ją odebrać. Tata nie chciał, żebyśmy z bratem wchodzili do środka, więc zaczekaliśmy w samochodzie. David czytał komiks, a ja obserwowałem drzwi wejściowe w oczekiwaniu na rodziców.

- Wiesz, że oni przypiekają jej mózg, co? - powiedział do mnie David.

- Co to znaczy?

- Elektrowstrząsy. Sprawiają, że mózg zaczyna skwierczeć. Pewnie nie będzie nawet pamiętała naszych imion... więc nie oczekuj zbyt wiele.

David był ode mnie o pięć lat starszy i wierzyłem we wszystko, co mi mówił. Ale tym razem się mylił. Mama trochę zabawnie szła, jakby kręciło się jej w głowie. Tata jej pomagał. Lecz kiedy nas zobaczyła, rozpląkała się. Usiadła od razu na tylnym siedzeniu, przytuliła nas, ucałowała i dosłownie wyplakiwała sobie oczy. Pamiętała nasze imiona.

Nie rozpoznała naszego domu, ale nasze imiona pamiętała. ..

Wstałam wcześniej rano, czując przyływ niesamowitego optymizmu. Gdy zdałam sobie z tego sprawę, usiłowałam nad tym zapanować. Miałam przed sobą ważne wydarzenie - Mickey miał wrócić do domu. Tymczasem był piękny dzień i najcudowniej byłoby o wszystkim zapomnieć i popływać na żaglówce. Zadzwoiłam do Lily i zapytałam, czy ona i Ron zamierzają korzystać z łodzi. Powiedziała, że ma wyprzedaż w Ghost, która zajmie jej cały weekend, więc łódka jest do mojej dyspozycji. Zapytała też, czy widziałam się z Priscillą. Nagle pomyślałam, że to trochę dziwne, że moja siostra nie kontaktowała się ze mną od pogrzebu.

- Cóż, jeśli będziesz się z nią widzieć - powiedziałam do Lily - powiedz jej, że poszłam popływać.

- Dobrej zabawy - odrzekła Lily, ale zanim zdążyłam się rozłączyć, zaskoczyła mnie kolejnym pytaniem. - Miałaś jakieś wieści od Charlotte?

- Czemu pytasz? - odpowiedziałam pytaniem, w myślach przygotowując się do kłamstwa.

- Zastanawiam się tylko, czy przyszły wyniki.

- Ach, jeszcze nie. Ale powinny być lada dzień. Ani trochę się nie martwię.

- Cóż, w takim razie ja również nie będę.

- Grzeczna dziewczynka. Huraganu ludzi.

- A tobie wiatru w żagle - roześmiała się Lily.

Kiedy rozłączyłam się, usłyszałam gwizd pociągu. Wiedziałam, że Mickey lada chwila będzie w domu. Zawsze szedł z Edgemont piechotą, to zaledwie kilka przecznic stąd. Dla niego miało wielkie znaczenie, że opuszczał szpital na własnych nogach - jako wolny człowiek.

Czekałam na ganku, kiedy wychynał zza rogu z przewieszonym przez ramię plecakiem, ubrany w biały podkoszulek i džinsy. Widząc jego umięśnione ciało i swobodny uśmiech, nikt by nigdy nie odgadł, jakie demony w nim się kłębią.

Zobaczył mnie, uśmiechnął się, a ja nie mogłam się powstrzymać. Boso przebiegłam na drugą stronę ulicy i dosłownie wskoczyłam w jego wielkie ramiona, oplatając

go w pasie nogami. Wspaniale było znowu móc poczuć jego dotyk. Pocałował mnie mocno i znów wszystko było jak dawniej.

Potrafię odgadnąć stan zdrowia męża na podstawie sposobu, w jaki mnie całuje. Kiedy jest w fazie maniakalnej, robi to tak jakoś namiętnie, bardzo namiętnie, co nie zawsze jest złe. Po prostu wiem wtedy, że jest rozentuzjasmowany. Kiedy ma poważną depresję, jego wargi są niemal dosłownie pozbawione życia, przynajmniej początkowo. Nie ma w nich sprężystości, namiętności, a pocałunki stają się przerażająco desperackie. Kiedy popada w całkowite szaleństwo i ma urojenia, jego wargi nawet inaczej smakują. Ale kiedy układ gwiazd jest sprzyjający, tak jak teraz, osiągamy kosmiczny ideał, a nasze wargi, zęby i języki tworzą chrypliwą muzykę dobywającą się z naszych gardeł.

Na koniec Mickey obsypał pocałunkami mój podbródek i szyję. Już miałam zdjąć majtki, gdy przestał i się roześmiał.

- Stęskniłem się, skarbie.

- Ja też - odrzekłam, z trudem łapiąc oddech. Podniosłam jego plecak, owinęłam sobie wokół talii jego ramię i przeszliśmy przez ulicę.

- Co powiesz na to, żebyśmy popłynęli łódką i nigdy już nie wrócili do domu? - powiedziałam rozmarzona.

- Czy to dlatego, że nawaliłem z tamtym rejssem? Roześmiałam się, bo zdążyłam już o tym zapomnieć.

- Jasne.

- A co do przejażdżki łódką, brzmi świetnie.

Do przenośnej lodówki wstawialiśmy lód, napoje, kanapki z szynką, a do skórzanej torby ubrania na zmianę, na wypadek gdybyśmy zdecydowali się spędzić noc na jachcie. Podczas przygotowań gawędziliśmy o wszystkim, co się wydarzyło, kiedy Mickey był w szpitalu - o pogrzebie Celi, o Peony Litman, o rachunku telefonicznym i wyprzedaży w sklepie Lily. Miałam świadomość, że unikam rozmowy, którą i tak musieliśmy odbyć, a równocześnie niecierpliwie jej wyczekuję. Byłam podekscytowana wiadomością, jaką chciałam mu przekazać, choć racjonalna część mnie nie zapominała o trudnych stronach całej sprawy.

Ledwo panowałam nad pokusą, by nie spuszczać zeń wzroku. Ilekroć robił coś zwyczajnego, na przykład przeglądał rachunki lub wyciągał szklanę ze zmywarki, by nalać sobie mleka, albo kiedy mrugnął do mnie, złapawszy mnie na tym, że śledzę go wzrokiem, odczuwałam dziwne mrowienie, które chyba powinno już było minąć. Ale nie minęło. Daleko do tego.

- Mam dla ciebie prezent, Lu. Chcesz go dostać teraz?

- Jasne, że tak.

- Zamknij oczy.

Usłyszałam dźwięk rozpinania zamka w plecaku i jeszcze inny, jakby szelest papieru. Następnie poczułam na czole miękkie wargi Mickeya.

- W porządku, możesz otworzyć oczy.

Na dłoni trzymał karmnik pomalowany na te same stonowane kolory co nasz dom - szarozielony z blad różowymi akcentami. Roześmiałam się, ponieważ mieliśmy

już małą kolekcję podobnych drobiazgów. I każdy z nich symbolizował kolejną burzę, która nas nie zniszczyła, dlatego były takie ważne. Wnętrze karmnika zostało pieczołowicie wykonane i wyobrażało miniaturowy pokój, w którym właśnie przebywaliśmy: zbyt wiele czerwonych mebli, masywny regał z książkami, dwa okna sięgające od podłogi aż po sufit. Przyciągnęłam Mickeya do siebie i pocałowałam go z niezbyt niewinną intencją.

To moje ulubione chwile - gdy czuję na twarzy tchnienie świeżości po pobycie Mickeya w szpitalu. Nie jestem aż tak naiwna, by wyobrażać sobie, że został wyleczony, ale hospitalizacja sprawia, że Mickey znów zaczyna iść we właściwym kierunku. On to nazywa rozpoczynaniem wszystkiego od nowa. Po prostu pakujemy wszystko, co doprowadziło go do punktu krytycznego, i wyrzucamy za siebie. Gleason nas tego nauczył. Nauczył nas, że nic dobrego nie wynika z rozpamiętywania, że sprawy nie mają się inaczej. Nic dobrego nie przyjdzie też z obwiniania się albo żywienia urazy, nawet jeśli mamy wyraźne powody do jednego i drugiego. Tak więc zaczynamy od nowa, a przed nami czysta karta, wolna od obietnic i odnowionych zobowiązań. A na początku zawsze jest seks. Wiedziałam, że i tym razem tak się stanie, gdy tylko wypłyniemy z przystani.

Staliśmy na skrzyżowaniu Foster Pier i Main, czekając na zielone światło, gdy zobaczyłam jeepa cherokee Trenta Rosenberga. Mickey dostrzegł go w tym samym momencie. - Czy to aby nie twoja siostra z Trentem?

Stali na światłach po drugiej stronie skrzyżowania i byli pogrążeni w czymś, co wyglądało na poważną rozmowę. Kiedy światła się zmieniły, pomknęli obok, najwyraźniej nas nie zauważając. Spojrzałam na Mickeya.

- Biedna Shannon - powiedział.

Nie mając żadnych wieści od Priss, naiwnie liczyłam, że wróciła do Hartford. Widok jej teraz w towarzystwie Trenta jedynie mnie zasmucił. Co ona sobie wyobrażała? Shannon Rosenberg spodziewała się trzeciego dziecka. Cieszyłam się, że na łódce nie będę musiała o tym myśleć.

Minęła pierwsza, gdy dotarliśmy do przystani, a ponieważ był piątek i wielu turystów wybrało się w ten weekend za miasto, zajęło nam trochę czasu znalezienie miejsca, by zaparkować auto. Casey Noonan, pracownik przystani, pomógł nam zabrać się ze sprzętem i podczas gdy obaj z Mickeyem sprawdzali jacht, weszłam pod pokład. Już wiedziałam, gdzie Priss spędziła noc. Moja siostra zostawiła w małej kabinie kompletny rozgardiasz. Łóżko nie było posłane, a w koszu wałały się pusta butelka po winie i papierki po żywności. Torba z rzeczami i kosmetyki rozrzucone były na niewielkim kontuarze.

To właśnie cała Priscilla. Wpada do miasta i od razu pakuje się na łódkę, nie konsultując tego z nikim. Żadnego telefonu, rozmowy, po prostu od razu wchodzi do środka! Wyglądało na to, że jak tylko skończy - cokolwiek wyrabiała - zamierzała tu wrócić. Cóż, ma w takim razie pecha, pomyślałam. Posłałam łóżko i wrzuciłam jej rzeczy z powrotem do torby, a następnie poprosiłam Caseya, by przekazał ją Priss, gdy ją zobaczy.

Roześmiał się.

- Będzie wściekła, kiedy zobaczysz, że popłynęłaś łodzią.

- Pewnie tak. Jeśli chcesz, możesz jej ode mnie przekazać, że jest mi przykro. Możesz też powiedzieć, że dzięki krótkiej rozmowie można było tego wszystkiego uniknąć. - Zaśmiałam się. - Zresztą, mów jej, co chcesz, Casey. Wypływamy.

- Och, jasne. Powiem jej.

- Jesteś gotowy? - zapytałam Mickeya odrobinę zbyt ostrym tonem. - Chciałabym już wypłynąć.

- Nie warcz na mnie, Lucille. Uważam, że powinniśmy zostać w pobliżu. Zaczekać na awanturę z twoją siostrą. Będzie zabawnie.

Sarkastyczna uwaga Mickeya trochę mnie podbechtła, ale nie na tyle, bym zdecydowała się na ostrą konfrontację z siostrą. Zapisaliśmy w dzienniku pokładowym trasę rejsu i wypłynęliśmy. Kiedy opuszczaliśmy wybrzeże, a na horyzoncie nadal nie było ani śladu Priscilli, odetchnęłam z ulgą. Nie miałam nic przeciwko dużej kłótni z Priss. Po prostu dzisiaj nie byłam w nastroju - nie w tak piękny bezchmurny dzień.

Powietrze było tak czyste i łagodne, a woda tak niebieska, że myśli o Priscilli od razu mnie opuściły. Upajałam się każdym wspaniałym doznaniem, gdy tak płynęliśmy w górę rzeki Connecticut. Mickey stał u steru z włosami powiewającymi na wietrze. Kiedy skierowaliśmy się w stronę Hollis Cove, nasze troski zniknęły. W tej odizolowanej bańce czasu byliśmy po prostu dwojgiem zupełnie normalnych

ludzi: ja spodziewałam się przyjścia na świat dziewczynki o ciemnych włoskach i wielkich oczach, a mój mąż był zupełnie normalnym facetem, w którego mózgu synapsy działały tak jak w mózgach innych normalnych facetów. Objęłam Mickeya od tyłu, kiedy skierował łódkę w górę rzeki. Życie jest piękne, pomyślałam.

Gdy wpłynęliśmy do przystani w Hollis Cove, zaczęło już zmierzchać. Kochaliśmy się, zjedliśmy kanapki i znowu się kochaliśmy. Teraz siedziałam na dziobie łódki i patrzyłam, jak wschodzą gwiazdy. Czułam na skórze łagodne i ciepłe powietrze wieczoru. Mickey zarzucił kotwicę i usiadł przy mnie. Oparłam się o niego, a on objął mnie ramionami. Jego dłonie wślizgnęły się pod moją koszulę.

- Kocham cię, Lu - szepnął, sprawiając, że moje oczy zaszkłotały się łzami.

Wiedziałam, że mnie kocha. Nawet jeśli nie wiedziałam nic ponadto.

Patrzyłam na trzy czaple na brzegu, jak za pomocą lśniących sprawnych dziobów zapewniają sobie kolację. Przyciągnęłam twarz Mickeya do swojej szyi.

- Muszę ci coś powiedzieć - rzekłam.

- Dobra czy zła wiadomość?

- Nie jestem pewna.

- Powiedz, Lucille.

Obróciłam się, by widzieć jego twarz, jego oczy. Wiedziałam, że dojrzę w nich jego prawdziwą reakcję na moje słowa. Po rozważeniu wszystkiego doszłam do wniosku, że nie znajdę lepszego momentu.

- Kochanie, jestem w ciąży.

Mickey zaśmiał się szybko i swobodnie.

- Jasne.

- Naprawdę, Mic. Jestem w ciąży. Jego usta odrobinę się rozchyliły.

- Co takiego?

- Jestem w ciąży.

Byliśmy tak blisko, że niemal widziałam, jak chłonie moje słowa.

- Ja... nie rozumiem.

Wyprostowałam się i wygładziłam podkoszulek na piersiach, po czym spojrzałam na niego.

- Ja też nie, Mic. Charlotte mówi, że nie wie, jak to się stało, ale... - wzruszyłam ramionami - tak czy owak jestem w ciąży.

Wstrzymałam oddech, czekając na jego reakcję, gdy to do niego dotrze. W końcu przemówił:

- Jesteś pewna? Skinęłam głową. -1 co zrobimy?

- Nie wiem.

- Dziecko? Naprawdę?

Potwierdziłam. Nie wiedziałam, co sobie myśli, i to sprawiało, że byłam spięta. Powoli usiadł, ani przez chwilę nie odrywając ode mnie wzroku. Wpatrywał się we mnie przez dłuższą chwilę, a następnie objął wielkimi dłońmi moją twarz i pokręcił głową, jakby nie mógł znaleźć odpowiednich słów.

- Dobrze się czujesz? - zapytałam. - A ty?

Ani na chwilę nie przestawał kręcić głową.

- Nie wiem.

- Lucy, nie mogę w to uwierzyć - zniżył głos do szeptu.

- Ja również.

- Och, Lu.

- Wiem.

- Dziecko. Dziecko. Nie jestem pewien, czy kiedykolwiek na serio o nim myślałem. Spójrz na mnie. Po prostu nie wiem, co mam o tym myśleć.

Położył sobie moją rękę na piersi. Poczułam, jak wali mu serce.

- Wiem.

Kiedy powoli zaczął całować mnie po całej twarzy, w jego oczach była sama miłość.

- To chyba nie musi być nic niewłaściwego, prawda? Przez chwilę dałam się ponieść jego uczuciu, ale słowa

Mickeya były ciężkie jak kamienie.

- Oczywiście, że to coś niewłaściwego. Ale również i wspaniałego. Co teraz zrobimy?

- Wygląda na to, że będziemy mieli dziecko.

- Naprawdę? Mickey, przestań mnie wreszcie całować. - Odsunęłam się od niego. - Trzeba to przemyśleć. Musimy być poważni. Pamiętasz naszą umowę, nasz kontrakt? Jesteśmy chorzy, nie zapominaj o tym. Jakże możemy przyjąć to dziecko?

- Wygląda na to, że nie mamy wyboru, Lucille.

- Mickey...

- Nie. - Pokręcił głową. - To nie my. Poczulałam suchość w gardle.

- Jakże możemy się na nie zdecydować?

- Jak moglibyśmy się nie zdecydować? - I nagle, jak gdyby w pełni zrozumiał sens swego pytania, dodał: - Jak moglibyśmy postąpić inaczej? Nieważne, czy dobrze, czy źle się stało. To jest nasze dziecko. Ono już jest. I wszystko się jakoś ułoży. Dzięki nam.

- Mickey, przestań! Nigdy nie będzie tak łatwo. Nic się tak naprawdę nie zmieniło. Spójrz tylko, gdzie spędziłeś ostatni tydzień. A ja dopiero co miałam badania. Jeszcze nawet nie znam ich wyników. Wiem, że wszystko jest w porządku, ale tamto wisi nad nami jak miecz Damoklesa. To są powody, dla których mieliśmy się na to nigdy nie zdecydować.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś, że poszłaś do lekarza?

- Mówię ci teraz. - Mickey przyjrzał mi się ze sceptycyzmem.

- Kochanie, to tylko moje okresowe badania. Byłam w szpitalu. Nie chciałam cię martwić. Mówię ci teraz wszystko, co wiem. Jestem w ciąży i jestem z tego powodu odrobinę podenerwowana, ponieważ tak naprawdę chodzi o nas.

Mickey skinął głową.

- Rozumiem, Lucy. Tu chodzi o nas. I masz rację. Nigdy nie będzie w porządku, przez cały czas. Ale do tej pory jakoś to funkcjonowało.

- Mickey...

- Nie przerywaj. Zrobiliśmy, co mogliśmy, by temu zapobiec. Ale w końcu się stało. Nie sądzisz, że to coś znaczy?

- Co takiego? Co to może znaczyć?

- Że to dziecko miało przyjść na świat.

- Mickey...

- Mówię poważnie, Lu. To dziecko, nasze dziecko, miało się zjawić. Po prostu nie wierzę, że po tak długim czasie to zwykły przypadek.

Ku mojej irytacji argumenty Mickey a do mnie trafiały. Choć w gruncie rzeczy chciałam, żeby tak było.

- Chodź tu do mnie - powiedział łagodnie, przyciągając mnie do siebie.

Objął mnie i długo, bardzo długo trzymał w ramionach. Mocne bicie jego serca sprawiło, że zaczęłam wierzyć w cuda, czując się tak jak wtedy, gdy go poślubiłam - miałam wrażenie, że nam się uda i tym razem. Mickey miał rację. Udawało nam się prawie przez jedenaście lat. Najwyraźniej byliśmy silniejsi, niż sądziłam. A czyż „zdeteminowany mały pływak”, który zdołał przedostać się przez podwiązane jajowody, nie stanowił kolejnego dowodu siły naszych genów? Cóż, oczywiście, że tak było. Nie mogłam już myśleć o negatywnych aspektach całej sprawy. Wszystko zostało wyjawione: owa fantastyczna wiadomość wisząca między nami, tak piękna, a zarazem przerażająca. Byłam zbyt podekscytowana, by zgłaszać wątpliwości. A Mickey był obok mnie ze swym pełnym zachwytem uśmiechem i zaraźliwym optymizmem. Spodziewaliśmy się dziecka i teraz nie chciałam myśleć o niczym innym.

Zanim się zorientowałam, zrobiło się ciemno, a Mickey i ja nadal obejmowaliśmy się pod kocem na dziobie, snując plany dotyczące tego, w jaki sposób przerobimy pokój pełen rupieci na pokoik dziecięcy. Nigdy jeszcze nie widziałam męża tak poruszonego i tak pełnego pokory. Kiedy sądziłam, że już od dawna śpi, obróciłam się do niego twarzą i stwierdziłam, że błyszczącymi oczami patrzy w gwiazdy. Przyciągnął mnie bliżej. W końcu poszliśmy spać pod tym idealnym układem gwiazd, przywierając do siebie na kołyszącej się miarowo łodzi. Następnego ranka byliśmy już pełnoprawnymi uczestnikami tego fantastycznego marzenia, którym omamiło nas życie. Niezależnie od tego, czy to dobrze, czy źle, najwyraźniej to dziecko było nam pisane.

Tutaj też, w Hollis Cove, zakotwiczyliśmy pełni nadziei i pogardy dla statystyki. Zignorowaliśmy naszą przeszłość. I zdrowy rozsądek.

Nie po raz pierwszy w życiu.

ROZDZIAŁ 9

30 kwietnia 2000

Teoretycznie szaleńcowi trudno jest szaleć z miłości, ale... najwyraźniej nie jest to niemożliwe. Mówię o tym, ponieważ kiedy byłem z Lucy, nie wiedziałem, co się ze mną dzieje. Znałem mnóstwo kobiet, ale nie rozumiałem władzy, jaką ta dziewczyna roztoczyła nade mną nieomal w chwili, w której ją poznałem. Zastanawiałem się często, jak stan zakochania - mówię tu o prawdziwej miłości - wpływa na ludzi, którzy nie martwią się chorobą umysłową. Zapewne przede wszystkim nie muszą oni najpierw ze wszystkich sił, na jakie stać człowieka, starać się go wystrzegać. Nie myślą, że powinni odrzucić tę miłość, ponieważ nie można ufać uczuciom; nie muszą też sobie wyobrazić dotkliwego odrzucenia, nieuchronnego, kiedy choroba ujawni się w całej pełni. Ale ja byłem już stracony po naszej pierwszej randce... i przerażało mnie to. Bałem się o nią. Kiedy zaczęliśmy się stopniowo przed sobą odsłaniać, nie mogłem do końca uwierzyć, że jej nie odstręczam. Nigdy jeszcze nie otworzyłem się przed nikim aż do tego stopnia.

Nie chciałem. Ale Lucy tak bardzo pragnęła wniknąć w to, jaki jestem naprawdę, że nie mogłem się temu oprzeć.

Jej nieustraszeność trochę mnie przerażała. Ale być może to właśnie ją zyskuje człowiek, kiedy przydarzy mu się w życiu to, co najgorsze. Utrata rodziców sprawiała, że Lucy była niczym studnia - miała w sobie tak wiele niezwykłych cech. Ale czy mogłem temu zaufać? Albo ona?

Lucy autentycznie wierzyła, że potrafi poradzić sobie ze wszystkim, jeśli tylko wie, czego ma się spodziewać. Chciałaby znać wszystkie karty, tak by mogła opracować najwłaściwszą strategię. Nie wiedziała jednak, że w przypadku takiego faceta jak ja owa talia jest niczym zmieniający się za oknem krajobraz podatny na działanie żywiołów. Próbowałem ją ostrzec. I choć zaczynałem się w niej zakochiwać, wydało mi się to czymś niewłaściwym. Już sama myśl o zdobyciu Lucy, skrzywdzeniu jej, wystraszeniu czy jej utracie zupełnie mnie przytłaczała. Kilka razy usiłowałem uchronić ją przed życiem ze mną, ale jej przez cały ten czas nawet powieka nie drgnęła.

Nawet wtedy, gdy powinna.

Ów pierwszy rok mojego zakochiwania się w Mickeyu w niczym nie przypominał zwykłej idylli, o której marzy większość dziewcząt. Wśród burzy uczuć nierzadko starałam się zyskać dystans, by je przeanalizować. Czyżby to jakiś ukryty defekt osobowości kazał mi traktować Mickeya jako pewien projekt? Czy może wykorzystywałam go, by czymś wypełnić mrok, jaki był we mnie? Myślałam

o tym z bólem serca, ponieważ moje uczucie do niego było coraz głębsze.

Wiedziałam na pewno jedno: że zakochuję się w mężczyźnie, który już w swoje jedenaste urodziny stwierdził, że jest inny od reszty świata. W mężczyźnie, którego z czasem zaczęło przerażać to, jak działa jego umysł. Zakochiwałam się w mężczyźnie, który robił wszystko, bym zrozumiała, że czuje się czasem nieśmiertelny i że bywa bardzo ekspansywny, zaborczy i nieskory do skruchy. Czasem mnie to przerażało. Ale wtedy Mickey zawsze zostawiał mi pole do manewru. Pewnego wieczoru ujął moją twarz w dłonie, zmuszając mnie, bym spojrzała mu w oczy. „Nie ma nic złego w tym, że miewasz wątpliwości, Lucy. Bardzo trudno jest ze mną obcować, a ty musisz być pewna, że tego naprawdę chcesz”. To tylko intensyfikowało moje uczucia do niego. „Tak naprawdę nie możemy zaradzić temu, jak się czujemy - ciągnął. - Jeśli się boisz, to znaczy, że masz powody. To ty decydujesz, co z tym zrobisz. Widzę cię, Lucy. Widzę, kim jesteś. Jesteś silna i mądra. I potrafisz znieść wszystko, co przyniesie życie, jeśli tylko się tego spodziewasz”. Czuję się obnażona pod jego spojrzeniem, gdyż się nie mylił. „Chcę, żebyś dała sobie trochę czasu, by cała ta niepewność co do mnie, co do nas, zniknęła”. Pocałował mnie w nos i wyszedł.

Upłynął jeden dzień, podczas którego mogłam się przekonać, jak to jest nie widzieć się z nim i z nim nie rozmawiać ani go nie dotykać. Nie podobało mi się to. Wcale mi się to nie podobało. Miał rację - dobrze reagowałam na różne

sytuacje, jeśli tylko mogłam się na nie jakoś przygotować. Zgodnie z tym założeniem doszłam do wniosku, że być może coraz głębsze przywiązanie do człowieka chorego psychicznie ma przebieg inny niż zazwyczaj. Chciałam zrozumieć chorobę Mickeya. Chciałam ją pojąć z medycznego punktu widzenia. Zadzwoiłam więc do niego i zapytałam, czy mogłabym poznać jego psychiatrę. Miałam wrażenie, że Mickey odczuł wyraźną ulgę, że mu to proponuję.

Z miejsca polubiłam Gleasona Webba. Jego sposób z brzuszkim, łysiejący, skromny i serdeczny, a przy tym entuzjasta; ujął w swe pulchne dłonie moją dłoń.

- Rzadko mam przyjemność poznać kogoś takiego jak pani, Lucy. Mam wrażenie, jakbym znał panią od lat.

Kiedy wyjawiałam mu, dlaczego się tu zjawiłam, powiedział, że mądra ze mnie dziewczyna, skoro chcę sprawdzić, co kryje się pod powierzchnią. Zaśmiałam się, ale rozumiałam, że mówi poważnie, i już po owym pierwszym spotkaniu musieliśmy wziąć się do roboty. W gruncie rzeczy po tym pierwszym spotkaniu większość moich randek z Mickeyem zaczynała się w gabinecie Gleasona. Doktor Webb uważał, że przede wszystkim powinnam zrozumieć głębokie depresje, które całkowicie paraliżowały Mickeya. Dlatego rejestrował, kiedy Mickey zstępował do tego mrocznego piekła, gdzie z trudem mógł oddychać, kiedy to przestawało mu zależeć na tym, czy będzie dalej żył czy nie. Dołożył starań, bym zrozumiała, jak szybko hipomania może doprowadzić do załamania nerwowego. Wręczył mi książki dotyczące leków, tak że mogłam zgromadzić

jakaś wiedzę praktyczną na temat tych, jakie zażywał mój chłopak. Mickey dał mi swój dziennik, w którym opisywał swe stany maniakalno-depresyjne, bym mogła zrozumieć jego niezdolność do kontrolowania jego odlotów. Bardzo zależało mu na tym, bym pojęła jego chorobę. Wyjaśniał swą wynikającą z psychozy potrzebę wyścigu z samym sobą; starał się niejako wyprzedzić samego siebie, by potem wrócić do punktu wyjścia, dostrajając rzeczywistość do własnych pragnień.

Podczas owych terapeutycznych randek Mickey był niczym wycofany nauczyciel, wykładający naturę swej choroby w sposób empatyczny i obiektywny zarazem. Był całkowicie racjonalnym, zdolnym mówcą. Nie usprawiedliwiał siebie, a ja byłam do szaleństwa zakochana w tym człowieku objaśniającym człowieka. Ale oczywiście musiałam być pewna tej właśnie osoby, której dotyczył ów wykład. Podzieliłam się tą myślą z Gleasonem w jednej z naszych rozmów. Doradził mi, bym postarała się scalić wielość aspektów osobowości Mickeya w spójną całość, bym sporządziła diagram ich wszystkich - od magnetyzmu i uroku poprzez bezwzględność i płynącą z depresji potrzebę uczuć do irracjonalnej pewności siebie, będącej przejawem manii, delikatności i bezbronności. Powiedziałam wtedy Lily, że kiedy patrzę na te składowe, mam wrażenie, że spotykam się z całym zastępem mężczyzn.

W miarę jak Mickey coraz bardziej obnażał się przede mną, ogarniało go coraz większe zdumienie, że mogę go kochać. Przynajmniej raz odsunął się ode mnie, by mnie

przed sobą ocalić. Zniknął wtedy na dziesięć skrajnie trudnych dla mnie dni. Byłam na ostatnim etapie egzaminów końcowych i czekało mnie wręczenie dyplomów, więc byłam wściekła, że Mickey wybrał właśnie taką chwilę. Zaczęło mi się układać w życiu, byłam zakochana, miałam wrócić do domu, by zacząć pracę - kursy wakacyjne - tak więc ciężko odchorowywałam to jego wycofanie się i nasze rozmowy już wkrótce przerodziły się w dzikie awantury na moim ganku.

Stał tam, wygarniając mi wszystko, co leżało mu na sercu, jakby przygotowywał sobie tę przemowę od wielu tygodni.

- Lucy!!! - krzyczał. - Czy możesz choć spróbować rozumieć, jak to jest, kiedy człowiek ukrywa przed światem fakt, że jest wariatem? Czy możesz sobie wyobrazić człowieka, który nauczył się ukrywać przed wszystkimi własną odmienność? Ten człowiek to ja. Noszę maskę. Pod nią jestem szaleńcem, ale potrafię udawać kogoś zupełnie normalnego. Umiem kontrolować swoją potrzebę krzyku, obiecując sobie w takich chwilach, że wykrzyczę się później. Wiem, jak panować nad irytacją. Nadaję jej formy społecznie akceptowalne i powtarzam sobie, że pofolguję jej potem. Kiedy będą sam! Nie rozumiesz tego, Lucy? Jeśli się na to zdecydujemy, nigdy już nie będę sam! Zawsze ty będziesz ze mną. Będziesz obecna, gdy nie będę w stanie dłużej nad sobą panować. Wystraszę cię wtedy i mnie zostawisz.

- Nie zostawię.

- Nie możesz być tego pewna. Nie znasz mnie! - krzyczał.

Próbowałam go objąć, ale on odsunął się i zaczął od początku:

- Lucy, nie słuchasz mnie. Umiem udawać! Wiem, jak sprawiać wrażenie całkowicie zdrowego psychicznie, gdy jest to konieczne. Ale to nie trwa długo. I muszę wyrzucić to z siebie, kiedy jestem sam.

- No i co z tego? Wolisz być sam, niż radzić sobie ze mną? Widziałam, że moje pytanie zabolowało go, ale było już za późno, by mógł się zatrzymać.

- Tak, do cholery! Zdaje się, że to właśnie wolę! Przytaknęłam w milczeniu. Bolała mnie głowa i poczułam łzy w oczach.

- Zakochałam się w tobie. To, że stoisz tu i zachowujesz się jak ostatni idiota, już tego nie zmieni. Ale to ty musisz zdecydować. To ty próbujesz mnie wypchnąć ze swojego życia. Decyzja więc należy do ciebie. Nie potrafię zrobić nic więcej, by udowodnić, ile jestem warta. Jeśli to, kim jestem, ci nie wystarcza i naprawdę potrzebujesz samotności, to pewnie tak musi być.

Mickey wyglądał, jakbym go spoliczkowała, ale byłam już tak zmęczona i zła, że sama nie wiedziałam, jak jeszcze mam próbować.

- Idź do domu, Mickey. Idź do domu, bądź sam i oddawaj się swemu szaleństwu, jeśli tego właśnie potrzebujesz.

- Lucy...

Spojrzałam na niego i usilnie starałam się nie rozplakać. Nie do końca mi się to udało, ale podniosłam głowę i spojrzałam mu prosto w oczy.

- Mickey, naprawdę uważam, że każda osoba zasługuje na to, by mieć na tym szalonym świecie kogoś, kto będzie gotów o nią powalczyć. Nawet ja. Lecz nikt o mnie nie walczy. Dlatego jestem skończona.

Weszłam do domu, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Czułam w pulsującej głowie, jak wali mi serce. Zepchnęłam stertę notatek ze stołu i - rozlewając colę na blat - rzuciłam podręcznikiem do ćwiczeń o ścianę. A potem spojrzałam na rozgardiasz, którego byłam autorem, pomyślałam o egzaminie, który czekał mnie o siódmej trzydzieści rano i na który nie byłam przygotowana, i wybuchnęłam płaczem. Pękała mi głowa. Wzięłam trzy tabletki aspiryny i położyłam się do łóżka.

Jakoś przebrnęłam przez następny tydzień. Zdałam ostatni egzamin, odebrałam togę i biret, poinformowałam siostry, o której mają się zjawić w wyznaczonych miejscach następnego ranka, a później - jako że miałam przeprowadzić się z powrotem do Brinley - zabrałam się za pakowanie pudeł. Ilekroć pomyślałam o Mickeyu, musiałam włączyć radio. Wszystko, co powiedział, mówił chyba na serio, gdyż nie miałam od niego żadnych wieści.

Miałam zjawić się w Matthews Arena, ustawić się w kolejce do dziewiątej trzydzieści i wymaszerować ze wszystkimi o dziesiątej. Zmuszenie się do uczestnictwa w całej tej uroczystości wiele mnie kosztowało. Ciężko pracowałam i powinnam być podekscytowana. Poza tym kończyłam studia z wyróżnieniem. Powinnam więc skakać z radości, że mogę ustawić się w kolejce w olbrzymiej sali gimnastycznej

z marszem *Pomp and Circumstance* w tle. Tymczasem chciałam tylko tego, by wszystko jak najszybciej się skończyło.

Aula była ogromna, ja jednak byłam przekonana, że zdołam zlustrować wypełnioną po brzegi widownię i odnaleźć moją rodzinę. Myliłam się. Wywołania trwały bardzo krótko i nim się zorientowałam, staliśmy się absolwentami. W końcu i ja wstałam z miejsca. Przez większą część uroczystości tłum zachowywał się jak należy - rozległo się tylko kilka żywiołowych gwizdów i kilka dzwonek, przeważnie słyhać było okrzyki i oklaski szacownych, mających jak najlepsze intencje krewnych absolwentów, których rozpierała zrozumiała duma. Nareszcie usłyszałam: „Lucy Houston”. Zrobiłam jeden krok naprzód i doszły do mnie okrzyki moich sióstr i górujący nad nimi donośny męski głos: „Kocham cię, Lucy!”. Zatrzymałam się, oszłamiona, zwracając się w kierunku, z którego dobiegał ów głos, i stałam w bezruchu tak długo, że spowodowałam przerwę w rozdawaniu dyplomów, aż jakiś absolwent musiał mnie wyminąć. Odebrałam dyplom, sądząc, że ten głos był wytworem mojej fantazji, ale gdy dziekan mnie objął, znowu usłyszałam, tym razem jeszcze głośniej: KOCHAM CIĘ, LUCY! Szacowny dyrektor wydziału uśmiechnął się i powiedział: „Ktoś bardzo mocno panią kocha i wcale się z tym nie kryje, panno Houston. Gratuluję”.

W jakiś sposób udało mi się dotrzeć z powrotem na swoje miejsce. Opadłam na krzesło, nie podnosząc wzroku. Wiedziałam, że on na mnie patrzy - wyczuwałam to - i wszystkie emocje, które starałam się stłamsić, kiedy odszedł, wybuchły

niekontrolowane. Kilka razy zerknęłam w stronę, z której dobiegało wołanie, ale nie mogłam dostrzec Mickeya. Nie wiem, jak przetrwałam resztę uroczystości. Kiedy się skończyła, po prostu siedziałam na miejscu, odrętwiała i trochę wystraszona. Lily odnalazła mnie i objęła za szyję swymi szczupłymi rękami.

- Tak się cieszę.

- Dzięki, sama nie mogę uwierzyć, że mi się udało. Roześmiała się.

- Nie o to mi chodzi. Cieszę się w imieniu was obojga. On jest wspaniały.

Rozplakałam się. Wszystkie te łzy, które powstrzymywałam od czasu naszej kłótni, popłynęły mi teraz po twarzy. I wtedy zjawił się Mickey, a ja natychmiast wpadłam w jego ramiona. Całował mnie, a ja płakałam. Ron robił zdjęcia, a Priscilla kręciła głową, starając się nie okazywać, że się martwi.

Tamtego popołudnia zaręczyliśmy się na lunchu, na który poszliśmy z moimi siostrami i Ronem. Mickey poprosił mnie o rękę między sałatką a daniem głównym, zakładając mi frędzel z mojego biretu wokół palca na znak, że muszę wybrać prawdziwy pierścionek. Powiedział, że tak naprawdę nie mogę mu odmówić, skoro moja rodzina dała nam już swoje błogosławieństwo - najwyraźniej uzyskał je tego samego ranka na zatłoczonym parkingu samochodowym. Później oświadczył mi, że zakochanie się we mnie nie było li tylko jego przeznaczeniem: była to jego kruczata. Wziął sobie do serca to, co mu powiedziałam

o konieczności walki, i przez ostatnie dziesięć dni zmagał się ze swoimi demonami. Koniec końców wygrał. Byłam pewna, że uczynił wszystko, na co go było stać. I po drobiazgowej analizie jego dziwactw i zidentyfikowaniu wszystkich znanych mi stron jego osobowości po prostu nie mogłam znaleźć powodu, dla którego nie miałabym go kochać. Poprzysięgliśmy sobie miłość mimo wszystkich naszych ułomności, ślubując, że stworzymy coś, co przekracza nasze możliwości, w pełni przekonani, że potrafimy spełnić nasze marzenia.

Ogłosiliśmy zaręczyny tydzień później i zamówiliśmy srebrne obrączki. Zjechałam z powrotem do domu i zaczęłam pracę jako nauczycielka historii w szkole letniej. Byłam zakochana, moje życie było cudowne. Sądziłam, że wiem o Mickeyu wszystko, co powinnam, i że nawet jeśli czegoś nie wiem, nie może to mieć wielkiego znaczenia. Szybko się jednak przekonałam, że wiedzieć a doświadczać to dwie różne rzeczy. Nadal sklejałam w całość obraz mężczyzny, za którego miałam wyjść za mąż, i dopiero kilka miesięcy później miałam ujrzeć porażający stan jego ducha.

W którąś sobotę w pierwszej połowie czerwca wespół z Ronem i Lily zaplanowaliśmy odbycie wspólnego rejsu. Wraz z siostrami odziedziczyłyśmy po ojcu najcenniejszą dla niego rzecz: dziesięciometrowy jacht żaglowy typu catalina - na cześć naszej mamy nazwany Rose of Sharon. Kilka lat po jej śmierci oddałyśmy go do remontu, ale to głównie Ron zajmował się nim na stałe i pilnował, by był sprawny. Teraz Mickey miał mu w tym pomagać.

Mickey musiał wtedy zwolnić menedżera, a to oznaczało, że pracował jak szalony, by z jednej strony doprowadzić dom do odpowiedniego stanu i co wieczór rozkręcić imprezę w Colby's, więc kładł się do łóżka po drugiej nad ranem. Ja musiałam być w szkole na ósmą, dlatego widywaliśmy się głównie w weekendy. Przeważnie jednak udawało nam się zjeść razem kolację, nigdy też nie traciliśmy sesji z Gleasonem. Z wyjątkiem tego tygodnia, gdy Mickey odwołał spotkanie. Usiłował wykończyć klatkę schodową przed pokazaniem domu klientom, co miało nastąpić w kolejny czwartek, ale obiecywał, że stanie się to na tyle wcześnie, byśmy mogli jeszcze sobie pozełgować. Poza tym zapewniał mnie, że jest zakochany po uszy i wszystko ma pod kontrolą. Wybuchnęłam chichotem, nie poświęcając tej sprawie wiele myśli. A powinnam była.

Wypakowywałam właśnie zakupy po powrocie do domu, kiedy Mickey zadzwonił do mnie pięć razy w ciągu niespełna godziny. Najpierw tylko po to, żeby powiedzieć, że mnie kocha - wyglądało to tak, jakby mówił niemal na bezdechu - potem, by zapytać, gdzie są pędzle do malowania, o czym nie miałam pojęcia. Przy następnym telefonie bezustannie się śmiał, oświadczając, że zapomniał, po co dzwoni. Minutę później, by znowu mi przypomnieć, że wciąż nie może znaleźć swoich spodenek. Znowu? Ani razu jeszcze o tym nie wspomniał... Ostatni raz zadzwonił, prosząc z rozpaczą w głosie, bym przestała zamęczać go telefonami.

- Lucy, mówię poważnie. Usiłuję to skończyć... Co ty właściwie wyrabiasz?

- Mickey, to ty do mnie zadzwoniłeś - powiedziałam, czując przyspieszone bicie serca.

- Co takiego? Och, przepraszam. Nie, to niemożliwe.

- Mickey? Kochanie?

Nie odpowiedział. Upuścił telefon, a ja słyszałam jego jęk. A może śmiech. Tak czy inaczej brzmiało to histerycznie.

- Mickey! - krzyknęłam do słuchawki, po czym wrzuciłam mleko do lodówki, wsiadłam do auta i pojechałam prosto do niego, by sprawdzić, czy wszystko w porządku.

Kiedy byłam w trzeciej klasie, mieliśmy pożar, w którego wyniku spłonęła cała szkoła. Co miesiąc odbywaliśmy ćwiczenia w razie ogłoszenia podobnego alarmu, więc wiedzieliśmy, jak się zachować w takiej sytuacji, ale nigdy nie sądziliśmy, że pożar naprawdę może wybuchnąć. Tak właśnie czułam się w tej chwili - jakby wszystko, czego dowiedziałam się do tej pory, było swego rodzaju ćwiczeniami, choć rzeczywisty alarm nie miał nigdy wybrzmieć.

East Haddam było oddalone o dwadzieścia minut drogi, ale byłam zdeterminowana, by dojechać tam w dziesięć minut. Sądziłam, że jestem dosyć spokojna, póki nie wjechałam na Smith Road i nie zdałam sobie sprawy, że pędzę z prędkością ponad stu kilometrów na godzinę na obszarze, na którym obowiązuje ograniczenie do sześćdziesięciu. Cała się trzęsłam, ale udało mi się zwolnić. Dom Mickeya znajdował się na brzegu jeziora Bashan. Kupił go od swojej babci, gdy miał dwadzieścia pięć lat, dzięki czemu starowinka mogła się przenieść do domu spokojnej starości. Oczywiście babcia sporą część mu darowała, i ta część

kosztowała Mickeya ni mniej, ni więcej tylko zerwanie z bratem. Raz, kiedy zdzierał tapetę ze ściany w pokoju gościnnym, powiedział mi, że planował zaskoczyć Davida i dać mu w gotówce równowartość połowy nieruchomości, kiedy już ją sprzeda. Ale remont owego ogromnego domu z czasów kolonialnych to była studnia bez dna. Zwłaszcza hol i ogromna klatka schodowa, którą Mickey pieczołowicie odnowił, przywracając jej oryginalną barwę mahoni.

Moim oczom właśnie ukazał się dom Mickeya, kiedy we wstecznym lusterku zamigotało mi czerwono-niebieskie światło. Ścisnęłam kierownicę, ale się nie zatrzymałam. Przysięgam, że gdyby ktoś poza mną był na drodze, zatrzymałabym się, ale nie było żywej duszy, a ja musiałam dostać się do Mickeya, więc tylko dodałam gazu i - modląc się, by gliny nie zaczęły pościgu - skręciłam w żwirową alejkę i zatrzymałam się pod domem, po czym pobiegłam do drzwi wejściowych na jego tyłach. Były szeroko otwarte. I ani śladu Mickeya.

- Mickey?!

W przedsionku też go nie było.

- Mickey!

Również w kuchni, skąd jednak musiał wypaść przed momentem, gdyż panował tu nieopisany bałagan. Na stole i na podłodze leżało kilka zagryzmoonych gorączkowo kartek. Zebrałam je i zobaczyłam, że to list do mnie. Wtedy go usłyszałam.

- Gdzie jesteś, Mic?! - krzyknęłam, wpychając kartki do tylnych kieszeni spodni.

Puściłam się pędem korytarzem w stronę holu, gdzie Mickey od tygodni pracował nad schodami. Kiedy ukazał mi się z za rogu, chciało mi się płakać i krzyczeć jednocześnie. Chciałam też przebudzić się z tego koszmaru - bo to był koszmar, i to jeszcze jaki! Piękna podłoga, która w zeszłym tygodniu została pieczołowicie zabezpieczona papierem, była teraz odsłonięta i zachlapana niebieską farbą. Ściany utyłane były farbą pomarańczową, która ściekała z nich, tworząc kałuże przy listwach przypodłogowych. Na schodach, które Mickey pokrywał pokostem na najwyższy połysk, widniały świeże ślady stóp, a balustrady były w kilku miejscach umazane dającą fatalny efekt kombinacją kilku kolorów. U szczytu schodów tkwił sam Mickey, nagi i umorusany farbą.

Jęknęłam ze zgrozy.

- Co ty wyrabiasz?

Wstał spiesznie, wywracając puszkę z żółtą farbą, a ja wpatrywałam się zauroczona w żółty strumień spływający ze schodów w moją stronę. Dopiero śmiech Mickeya wyrwał mnie z odrętwienia. Nie był to śmiech, który słyszałam kiedykolwiek wcześniej.

- Wcześniej pani przychodzi! Proszę wejść. Jest pani z biura Realtor? Powiedziałem im, żeby pojawili się o trzeciej, ale cóż... - Teatralnym gestem wskazał swoje dzieło. - Sądzę, że chwyta pani mój zamysł. Przy wejściu powinien być jakiś mocny akcent, bo już od progu powinno się być pod wrażeniem, no nie? Ma pani może jakiś sok? Potrzebuję paliwa. Sok z winogron to świetny antyoksydant!

Oglądałem o tym program na kanale o zdrowiu. Na ten cholerny show przynieśli dwugłowe dziecko. Przysięgam! Jest pani sama czy przysłali całe biuro?

- Mickey, to ja. Lucy.

- Lucy? Tak ma na imię moja dziewczyna. Cholera, czy ja krwawię?

Najwyraźniej dopiero teraz zauważył, że jest pokryty czymś, co wyglądało na krew. Zaczął miotać się u szczytu schodów, usiłując znaleźć na swym ciele ranę. Popędziłam przez hol w jego stronę, starając się nie poślizgnąć w kałużach rozlanej farby.

- Mickey, kochanie, wszystko w porządku. To nie krew. Mickey, słyszysz mnie?

Okładał się teraz obiema rękami po twarzy. Bałam się, że straci równowagę i runie ze schodów. Kiedy się do niego zbliżyłam, próbowałam chwycić go za dłoń, ale była zbyt śliska.

- Co się dzieje? Nie, nie! Nie! - wykrzykiwał w narastającej panice. - Co to jest?

- Mickey! Kochanie!

Nie wiedziałam, co robić. Nie mogłam skupić na sobie jego uwagi i stałam po prostu, krzycząc na niego. Pobiełam do łazienki, chwyciłam ręcznik, który następnie narzuciłam mu na ramiona, mocno go obejmując.

- Mickey? Mickey! Spójrz na mnie, skarbie!

Trząsł się i wydawał dzikie pomruki, zupełnie jak jakieś zwierzę. Trzymałam go mocno, ale był silniejszy ode mnie, a jego strach - bez względu na to, co go wywoływało - tylko dodawał mu siły.

Usłyszałam na dole kroki i zaczęłam się zastanawiać, czy Mickey naprawdę zadzwonił do firmy Realtor. Ale to był policjant. Stał z dłonią na kolbie pistoletu.

- Zejdźcie na dół - powiedział, wydobywając broń z kabury.

Przez chwilę wydawało się, że Mickey się uspokoił. Już zupełnie tego nie ogarniałam. Nagle przypomniałam sobie migoczące światło policyjnego koguta i swą szaleńczą jazdę. Zapewne to właśnie temu policjantowi uciekłam w pełnym pędzie.

- Dzięki Bogu - ożywił się Mickey. - Proszę tylko na mnie spojrzeć! Krwawię jak zarżnięte prosię. Zostałem postrzelony. Pomyślałem, że przydałby mi się gliniarz, i oto pan jest! Co pan tu właściwie robi?! Nie umie pan pukać!? Nie możesz pan tak po prostu włamywać się do czyjegoś domu ze swoim pistolecikiem i odznaką. Mam swoje prawa! Na przykład: moja prawa ręka, moja prawa noga. Pan też pewnie masz swoje!

- Mickey, bądź cicho!

Zerknął na mnie dziko i zrzucił z siebie ręcznik.

- A tyś kto taka, kobieto?! Wynoś się z mojego domu!

- Panie władzo, teraz! - rzuciłam w stronę policjanta, który zrobił kilka kroków przez hol i usiłował piorunującym wzrokiem nakłonić Mickeya do współpracy, ale ten przybrał postawę kota gotującego się do skoku.

Zaczerpnęłam głęboko powietrza, starając się zignorować szalone bicie serca. Wyszłam przed Mickeya i powiedziałam do policjanta:

- Niech pan zadzwoni na 911. Mój narzeczony nie jest niebezpieczny. Jest tylko całkiem nagi, ma urojenia i trzeba go zabrać na szpitala. Czy może mi pan pomóc?

Policjant wciąż piorunował nas wzrokiem, więc dodałam:

- Niech pan posłucha. To właśnie dlatego tak szybko jechałam. Nazywam się Lucy Houston, a to jest Mickey Chandler. Mieszka tutaj. Może mnie pan później aresztować, ale w tej chwili on ma atak choroby psychicznej! Nie krwawi! Nie został postrzelony! Cierpi na cyklofrenię i - jak pan widzi - w tym momencie nie czuje się najlepiej! Bardzo pana proszę!! - Wykrzykiwałam to wszystko poprzez przekleństwa mamrotane przez Mickeya, który zdał sobie właśnie sprawę, że zrujnował balustrady.

Policjanta najwyraźniej przekonał mój racjonalny wywód, ponieważ opuścił broń i zadzwonił po karetkę.

- Dziękuję - powiedziałam, nagle uświadamiając sobie, że cała się trzęsę.

Godzinę później w tym samym szpitalu, w którym przed rokiem przegadaliśmy pół nocy, Mickey leżał przywiązany do łóżka, wciąż upačkany farbą, cały spocony, w stanie psychozy. Nie poznawał mnie. W świecie, w którym teraz przebywał, byłam obcą osobą. Wcześniej patrzyłam na stopniowe narastanie tego, co teraz wybuchło - kompletnie nieświadoma faktu, co widziałam. Naiwnie cieszyłam się niewyczerpaną energią Mickeya. Teraz byłam wstrząśnięta skutkami. W jakiś sposób Mickey zdołał ukryć to wszystko, co się w nim działo. Zdawało się, że pomimo jego obietnicy wciąż nosił maskę, o której tyle mi wcześniej opowiadał.

Zręczliwa pielęgniarka starała się przy Mickeyu jak mogła, ale on pluł na nią. Wykrzykiwał też nieprzyzwoite rzeczy, a żyły na jego szyi nabrzmiały niczym postronki. Wściekłość, przerażenie i desperacja dosłownie odebrały mi dech w piersiach. Pamiętam wrażenie, jakbym miała zemdleć; pamiętam, jak puściłam się pędem po schodach, przebywając trzy piętra, by odnaleźć miejsce, w którym będę mogła zaczerpnąć świeżego powietrza. Co ja, do cholery, robię z tym facetem?!

Gleason Webb zastał mnie siedzącą na ławce na zewnątrz szpitala. Nie zachęcał do wynurzeń, po prostu usiadł obok mnie i pokrzepiającym gestem położył mi dłoń na ramieniu. Siedzieliśmy tak przez kilka minut. W końcu spojrzałam na niego.

- Co się z nim dzieje? - zapytałam.

- Zachowuje się w ten sposób, kiedy mania wymyka się spod kontroli.

- Nie rozumiem.

- Mania na zaawansowanym etapie szybko zmienia się w psychozę. Mickey przekroczył granicę.

- Nie widziałam tej granicy. Coś ze mną nie tak?

- Nie wiedziałaś, czego szukać. A ja nie jestem pewien, czy sam Mickey ją rozpoznał. Potem zaś było już za późno. - Gleason wzruszył ramionami. - Jest tak szczęśliwy, odkąd cię poznał, Lucy, ale w jego przypadku granica między radością a euforią jest bardzo cienka. Przekroczenie jej może doprowadzić do czegoś takiego.

- Nie miałam pojęcia, że potrafi być taki. Nie wiem, czy jestem w stanie temu podołać.

Gleason spojrział na mnie badawczo.

- To może być dość przytłaczające. Ale tak to już jest, Lucy. Przebywał tu wcześniej i w przyszłości zapewne znowu tu trafi. Taka jest natura jego choroby.

- Ile razy był już w takim stanie?

- Kilka.

- I nie możemy nic zrobić, by mu pomóc?

- Nie mamy takiej mocy, Lucy. Tylko Mic ją ma. Chodzi o to, jak on sobie radzi z chorobą. Ostatecznie Mickey przede wszystkim chce się dobrze czuć - każdy tego chce - więc próbuje balansować na krawędzi, nie spadając z jej. Kiedy jest - lub myśli, że będzie - w depresji, sam dawkuje sobie leki w ten sposób, by do niej nie dopuścić, co tylko pogarsza sprawę. Mickey jest chronicznie chory, Lucy.

I nawet jeśli wszystko z pozoru dobrze wygląda, choroba czai się tuż pod powierzchnią.

- Dlaczego do tej pory tego nie widziałam?

- Poznanie kogoś takiego jak Mickey zajmuje dużo czasu. On jest jak wielka cebula: odkrywanie kolejnych warstw jego choroby, jego osobowości, jego charakteru to niecodzienne wyzwanie. - Gleason spojrział na mnie ponuro. - Nie możesz go uleczyć. Twoje wątpliwości są zupełnie zrozumiałe. - Zmarszczył swe gęste, siwe brwi, badawczo wpatrując się we mnie.

- Nie miałam o tym pojęcia.

- A więc dobrze, że w końcu to widzisz, Lucy. Następnym razem nie będziesz tak zaskoczona. Jeśli następnym razem w ogóle przy nim będziesz.

- Nie wiem, co mam robić.
- Wierzę.
- Gleason, boję się - powiedziałam, walcząc ze łzami. - Kocham go... ale...
- Strach jest zdrowym odruchem. - Poklepał mnie po ramieniu.
- Czy mógł mnie skrzywdzić? - spytałam po chwili ciszy.
- Nie umiem tego stwierdzić. W chwili ataku, gdyby nie był skrepowany, zapewne zraniłby pielęgniarkę. Ale to jest psychoza. Nauczysz się rozpoznawać sygnały, zanim to się powtórzy.

Przez dłuższy czas milczałam, zastanawiając się nad wszystkim. Gleason również nic nie mówił.

- Powiedz mi - poprosiłam w końcu - jak będzie wyglądało moje życie, jeśli za niego wyjdę.

Lekarz nad czymś się zastanawiał, następnie głęboko westchnął.

- Lucy, każde małżeństwo to taniec, czasem kłopotliwy, czasem dający wiele radości, a przez większość czasu po prostu spokojny. Z Mickeyem zaś czasami będziesz musiała tańczyć na rozbitym szkle. Pojawi się cierpienie. Pod jego wpływem albo się wycofasz, albo wzmocnisz uścisk, by kontynuować taniec, aż w końcu znów będzie wam łatwo.

Jego słowa zapadały mi w serce, podczas gdy po policzkach ciekły mi łzy.

- Nie potrafię sobie wyobrazić mojego życia, mojej przyszłości bez niego, ale... sama już nie wiem. - Otarłam łzy i przeczesalam dłonią włosy. - Masz rację, Gleason.

Dobrze, że zobaczyłam to właśnie teraz. - Spojrzałam na niego. - Sądysz, że jestem w stanie temu podołać?

- Tylko ty możesz odpowiedzieć na to pytanie, Lucy.

- Ale... mogę nauczyć się rozpoznawać granicę? Skinął głową.

- Mic ci pomoże. Jedną z pozytywnych rzeczy jest to, że on nie chce być chory. Nie chce, żeby choroba dyktowała mu to, kim jest. I przez większość czasu mu się to udaje. Ale kiedy się potknie, może się to - choć z pewnością nie musi - skończyć tak jak dzisiaj. - Gleason wpatrywał się we mnie badawczo. - Mimo tego wszystkiego, co sobie powiedzieliśmy, Lucy, nikt nie mógłby kochać cię bardziej niż on.

Próbowałam się uśmiechnąć.

- Dlaczego jesteś mu tak oddany? Z pewnością nie możesz do tego stopnia troszczyć się o wszystkich swoich pacjentów.

Webb wyglądał teraz na zasmuconego. Głęboko westchnął.

- Dawno temu straciłem pacjentkę. To było paskudne samobójstwo, jedno z najstraszniejszych w mojej karierze. - Pokręcił głową. - Po prostu nie potrafiłem jej uratować, i to mnie wyniszczało. Tak bardzo, że nieomal rzuciłem swoją pracę. Poszedłem na pogrzeb i pamiętam, jak stojąc gdzieś z tyłu, już się nad tym zacząłem zastanawiać, gdy odnalazł mnie jakiś chudy dzieciak. Po prostu usiadł tuż przy mnie na ławce i przez dłuższy czas milczał. Następnie spojrzał na mnie oczami po brzegi wypełnionymi wielkimi

łzami i powiedział: „To nie była pańska wina, doktorze Webb. Moja mama po prostu strasznie chciała umrzeć”. - Gleason pokiwał głową. - Dwa tygodnie później zjawiał się w moim gabinecie i poprosił mnie, bym sprawdził, czy nie jest wariatem. Powiedział, że gotów jest na wszystko: na poddanie się każdej operacji, zażywanie wszelkich możliwych pigułek, byle tylko nie skończyć jak jego matka. Był to dzień jego urodzin. Chłopak właśnie skończył dwanaście lat. - Na samo wspomnienie tej sceny Gleason pokręcił głową. - Od tamtej pory trzymamy się razem. Otarłam łzy z policzków.

- Nigdy mi o tym nie mówił.

- Kiedyś ci powie.

- On naprawdę jest niezwykły, prawda?

- Lucy, nie znałem nikogo, kto by się bardziej starał wyzdrowieć albo kto by ciężiej znosił przyływy swej choroby. Mickey jest niezwykłym człowiekiem, a tak się akurat złożyło, że jest też psychicznie chory. Gdybym miał ci coś radzić, to sugerowałbym, żebyś się skoncentrowała właśnie na tym Mickeyu.

Skinęłam głowę.

- Musisz zajrzeć pod powierzchnię. Jeśli pod warstwą tych wszystkich symptomów odnajdziesz człowieka, którego autentycznie kochasz, dobrze go sobie zapamiętaj. I miej świadomość, że czasem możesz go nie rozpoznawać.

Płakałam jak dziecko przez całą drogę do domu, wściekła, że miłość nie może rozwiązać mojego problemu. Kiedy szykowałam się do łóżka, z kieszeni wypadły mi kartki,

które znalazłam w domu Mickeya. Wygładziłam je. Nie rozpoznałam charakteru jego pisma: chaotyczne gryzmoły przypominały wytwór ręki dziecka, słowa rzucały się na papier w pośpiechu, może w desperacji. Nie było znaków przystankowych, a na końcu nie było już żadnych odstępów między słowami.

Moja Lucy,

Jestem na haju zrobiłem coś złego gdy zacząłem to zauważać nie powiedziałem nikomu nie powiedziałem Gleasonowi ani nikomu innemu bo wydawało mi się cudowne mieć tyle energii i tyle wiary czuję się niezwyciężony mam wrażenie że mogę zrobić wszystko Teraz idę za szybko żeby się samodzielnie zatrzymać i coś się wydarzy i chcę cię ostrzec żebyś się nie bała nigdy bym nie chciał żebyś się mnie bała umarłbym gdybym cię wystraszył Lucy jestem nerwowy i tracę wątek Nawet kiedy to piszę nie mogę spokojnie usiedzieć nie mogę przestać myśleć co zrobić żeby zatrzymać to uczucie wrócić do tego co było wczoraj to był dobry dzień i spojrzeć na dzień dzisiejszy który był jeszcze lepszym dniem aż do teraz Część mojego mózgu która jeszcze działa wie że się rozwalę że się rozwalam widzę jak rzeczy poruszają się a nie powinny się poruszać jestem w chmurze iona sięśmieje widzę jak coś spada cieknie szczelin To jest czerwone potem jest niebieskie wiem że nieprawdziwe Staram się spieszyć żeby Ci powiedzieć przepraszam To nie zdarzyło się od tak dawna że zapomniałem o tym by być ostrożnym Dzięki Tobie jestem taki radosny ale mojej radości nie można ufać Nie nietomialem na myśli Ty jesteś szczęściem Ty jesteś

wszystkim co radosne piękne wspaniale na świecie i tak bardzo się martwię że sprawię że zaczniesz mnie nienawidzić bo znowu nawaliłem i udawałem że czuję się dobrze kiedy obiecałem Ci że nie będę udawał Nie potrafię Ci wyjaśnić co się ze mną dzieje Nie chcesz wiedzieć że usiłuję trzymać się z daleka od krawędzi, ale nie potrafię Unoszę się nad krawędzią i spadnę Przepraszam Kocham Cię Kocham Cię Kocham Cię Gdyby moja miłość była doskonalsza utonęłabyś w jej odmęcie Taka jest wielka Nie przestrasz się mnie Proszę proszę proszę nie bój się mnie Cokolwiek nie powiem lub zrobię kiedy mnie następnym razem zobaczysz jestem pewien że nie mam tego na myśli Chyba że powiem Kocham Cię Bo to jedyna trwała niezachwiana rzecz którą mam jeśli zadzwonią do Ciebie żebyś przyjechała do szpitala nie przyjeżdżaj Proszę nieprzyjeżdżaj Nie chcę żebyś mnie widziała takiego nigdy nie chciałem żebyś mnie takiego widziała Zadzwonź do Gleasona on umie wyjaśnić zadzwonię do Ciebie kiedy znowu odzyskam głowę Kocham Cię Kocham Cię Mic.

Opadłam na kolana i po raz kolejny odcyfrowałam list. Czytając go, słyszałam głos Mickeya; głos, który przechodził pod koniec w krzyk. I wtedy go zobaczyłam. Oczami wyobraźni widziałam Mickeya, jak pisze do mnie, ścigając się z chorobą, usiłując chwycić każde słowo, nim pograży się w szaleństwie. W centrum obłędu Mickeya niczym w oku cyklonu ujrzałam nagle jego serce. Było tutaj, otwarte i przepełnione bólem. I było dla mnie. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, że mogłabym go nie kochać. I nie mogłam sobie wyobrazić, że on mnie nie kocha.

I wtedy zrozumiałam, że życie bez Mickeya Chandlera nie byłoby nic warte. Kochałam go całą sobą. Również wtedy, gdy był złamany i rozbity.

ROZDZIAŁ 10

12 czerwca 2011

Dziecko. Ta myśl przeniosła mnie w zupełnie nieznane mi miejsce. Miejsce, w którym potrafię sobie wyobrazić niewielki ciężar noworodka w ramionach kogokolwiek innego - wszystkich, tylko nie mnie. Mała głowa, maleńkie rączki i stopki, a wszystko to jakże obce moim dotychczasowym doświadczeniom! Dziecko. Rodzina. Nasza szansa na nieśmiertelność.

Zanim Lucy zachorowała na raka, rodzina stanowiła element naszego długofalowego planu, odkładany na czas nieokreślony, gdy w końcu osiągniemy stabilizację. Ale kiedy nowotwór zupełnie zdezorganizował nasze życie, doszliśmy do wniosku, że nasza przyszłość jest zbyt niepewna, byśmy mogli mieć dzieci. I tak wyeliminowaliśmy tę opcję. A przynajmniej tak nam się wydawało. Potem wydostaliśmy się z piekła, odzyskaliśmy grunt pod nogami, a nasze życie ponownie stało się małą, bezpieczną, choć dwuwymiarową przystanią. Aż do dzisiaj. Dzisiaj wydaje się czasem cudów.

Dziecko, mała rodzina - ta myśl przeniknęła mnie na wskroś i przepelniła strachem. Czy będę dobrym ojcem? Czy będę kochał to dziecko, chronił je i postępował jak inni dobrzy ojcowie? Pomyślałem o własnym ojcu - bywał zdystansowany, pochłonięty moją matką, pokonany przez zmartwienia. Wiem, że zrobił wszystko, co mógł. Kto mógłby wymagać jeszcze więcej? Jakże mógłbym być choć odrobinę lepszy od niego? Drżałem na myśl o tym, w ilu sprawach mogłem nawalić, ile rzeczy mógłbym zepsuć. Co ja najlepszego wyrabiałem?

Nadeszła Lucy i zobaczyła moje przerażenie. Wsunęła swoje ręce w moje. „Oboje na pewno będziemy popełniali błędy - powiedziała - ale też będziemy się nawzajem wspierać”. Następnie uspokoiła mnie słowami: „Będiesz wspaniałym ojcem. Każdego dnia, niezależnie od wszystkiego, będziesz powtarzał swemu dziecku, jak bardzo jest kochane. A ono będzie wierzyć twym słowom, gdyż będzie to prawda. Będzie nosiło tę prawdę głęboko w sercu, i to wystarczy, by wszystko inne nabrało sensu”.

Gdy wróciliśmy z rejsu w niedzielę wieczorem, na kuchennym kontuarze zastaliśmy liścik od Priscilli. Pisała w nim, że ponieważ wzięliśmy łódkę, przespaała się na kanapie. Zawarła też w nim coś w rodzaju przeprosin, że nie powiedziała nikomu, iż korzysta z żaglówki, co doceniłam, gdyż kajanie się nie było jej mocną stroną. Na koniec powiadamiała mnie, że skończyło mi się mleko. Myśląc o tym

wszystkim, doszłam do wniosku, że Priss mogła się bardziej zezłościć. Zadzwonię do niej jutro, pomyślałam.

Podczas gdy Mickey sprawdzał maile, zapaliłam świece i przygotowałam kąpiel. Właśnie kiedy zanurzyłam się w mydlinach, coś połaskotało mnie w gardle. Zaczęłam kaszleć. Szkoda, że nie pamiętałam, by przygotować sobie coś do picia. Ale nagle zjawił się Mickey z dwiema szklankami z lodem i z butelką wody. Powiedział, że wie, że wołałabym wino, ale nie mogę go pić, póki nie urodzi się dziecko. Następnie wszedł do wanny i moja kąpiel relaksująca stała się odrobinę mniej relaksująca, ale i tak nie mogłam narzekać.

Przez długi czas po prostu wylegiwaliśmy się w wodzie, kontynuując rozmowę zaczęta na jachcie. Byłam zaskoczona, że tak szybko myśl o dziecku zdominowała wszystkie inne, stając się nowym punktem odniesienia w naszym małżeństwie. Miałam przeczucie, że rozmowa zaczęta wczoraj będzie się toczyć przez resztę naszego życia. Zdaje się, że to właśnie znaczy stać się rodziną.

Następnego ranka obudziłam się w kiepskim stanie. Dokuczał mi żołądek i nie czułam najmniejszego apetytu. Chciałam, żeby Mickey mnie pocałował, ale kiedy spojrzałam na jego pogrążoną we śnie potężną postać, nie miałam serca go budzić. Tak właśnie sypiał, kiedy czuł się lepiej. Żadnego niepokoju, lęków. Oczywiście to wyższa dawka ambieny pomagała mu osiągnąć ten stan. Pocałowałam go w nos i wyszłam z łóżka.

Kiedy wstawiłam wodę na herbatę, zerknęłam na zmiany, jakie Gleason postanowił wprowadzić w liście leków Mickeya. Sięgnęłam do jego plecaka w poszukiwaniu psychotropów. Wyglądało na to, że zaczął znowu łykać tegretol. Dzięki Bogu brał to, co powinien, kiedy byliśmy na jachcie. Rozległ się gwizdek czajnika. Nalałam wrzątku i włożyłam do szklanki torebkę mięty. Miałam w planach zrobienie prania, gdy tylko poczuję się lepiej, a potem być może przygotowanie obfitego śniadania dla Mickeya, ale zaczęłam myśleć o czymś innym, aż w końcu złapałam się na tym, że stoję w naszej graciarni.

Rozglądałam się po starym pokoju Priscilli, skąpanym teraz we wpadających przez okno promieniach słońca, i - pijąc herbatę - zastanawiałam się, jak to, u licha, możliwe, że ktokolwiek mógł się tutaj budzić w złym humorze. Ale Priss jakoś się to udawało, i to dosyć często. Kiedy byłam mała, wywiesiła nawet na drzwiach kartkę z napisem: **KTOKOLWIEK WEJDZIE TU NIEPROSZONY, ZOSTANIE OPLUTY. JEŚLI NIE WIERZYSZ, SPRÓBUJ!!!**

Zaczęłam sobie wyobrażać, gdzie mogłabym ustawić łóżeczko, i zastanawiać się nad tym, jaki kolor ścian byłby najodpowiedniejszy dla dziewczynki. Może róż i ciemna zieleń, a może bladożółty i jasnopomarańczowy... Z kolei kołderka powinna być w kratkę i kwiaty. Może kiedy mała nieco dorośnie, mogłabym przywrócić do stanu używalności moje stare łóżko z baldachimem... Niebawem przeniosłam się myślami do czasów, gdy sama tu mieszkałam.

Priss dawno już się wyprowadziła, a Lily była w college'u, więc została tylko mama i ja. Zawsze zajmowałam mały pokój za kuchnią, ale podczas moich wakacji w Waszyngtonie przeniosła moje rzeczy do pokoju Priss. Pod moją nieobecność Harry i Jan wykleili ściany tapetą i rozłożyli dywan. Mama i Jan zrobiły dla mnie narzutę na łóżko, miałam też nowe miejsce do spania - łoże z baldachimem oraz toaletką. Wszystko to musiało dużo kosztować i nie jestem pewna, czy było nas na to stać. W każdym razie było pięknie. Kiedy tamtego dnia uściskałam mamę, po raz pierwszy w życiu jej postać wydała mi się drobna. Wiedziałam, że zaczyna chudnąć, że stopniowo mizernieje, ale aż do owej chwili nie miałam pojęcia, że coś z nią jest nie tak. W gruncie rzeczy nadal wszystkim zarządzała, a jej dziecko nie miało się czym martwić. Ale wyraźnie zapamiętałam sobie ów dzień jako ten, w którym moja matka zaczęła umierać. Cztery miesiące później, tuż po moich siedemnastych urodzinach, już nie żyła.

Wiedziałam, że przeniosła mnie do starego pokoju Priss, bo chciała, bym była blisko niej. Nie chciała być sama, ale nie sądzę też, by chciała, żebym miała tego świadomość. Pamiętam, że w ciągu owych czterech miesięcy nie przespałam w pełni ani jednej nocy. Aż w końcu zupełnie nie byłam w stanie zasnąć w swoim łóżku. Drzemałam na fotelu przy mamie, nawet gdy miała dobrą noc. Czasami, kiedy budziła się i zastawała mnie obok, rugała mnie, napominając, że przecież mam szkołę. Ale to były tylko słowa wydobywające się spomiędzy jej spierzchniętych warg.

Zamiast jej odpowiadać, podawałam coś do picia albo lód do ssania. Czasem sięgała po moją rękę i przyciągała mnie do siebie. Czułam wtedy, jak bardzo rozpalone jest jej ciało, choć mówiła, że jest jej zimno.

W pewnym sensie czułam się tak, jakbym była już mamą, odpowiedzialną za kogoś, kto we wszystkim zależy ode mnie. I oto siedząc na kanapie w oknie pokoju Priss i głaszcząc swój wciąż rozstrojony żołądek, zdałam sobie sprawę, że odbyłam już swoją lekcję macierzyństwa. Ciężką lekcję. Byłam przy mamie, kiedy Charlotte wypowiedziała te straszne, nieodwracalne słowa: rak, szybko postępujący, nieuleczalny, kiepskie rokowania. To po moją rękę sięgała mama, szukając pokrzepienia, kiedy - usłyszawszy owe straszne słowa - była bliska załamania. I to ja nie pozwoliłam sobie na łzy w jej obecności - w obawie że widząc je, mama poczuje się jeszcze gorzej.

Byłam tam sama, kiedy doktor Barbee mówiła mi, czego mam się spodziewać. I kiedy oświadczyła, że moje dzieciństwo oficjalnie dobiegło końca. „Praktycznie rzecz biorąc - oznajmiła - mimo swych szesnastu lat jesteś już w pełni dorosłą osobą działającą w świecie innych dorosłych”. Charlotte nauczyła mnie, jak opróżniać worek od cewnika i mierzyć, ile moczu mama wydalą. Powiedziała mi też, kiedy powinnam do niej zadzwonić, by przyszła podać kroplówkę. Nauczyła, jak robić zastrzyki, o które mama będzie prosić, kiedy ból stanie się nieznośny. „To ty jesteś opiekunką”, oświadczyła. To ja byłam szefem. Dojrzała ponad wiek, szeptali ludzie. Dorosła osoba w ciele dziewczynki. Ale tak

naprawdę jaki miałam wybór, jak tylko dorosnąć i przygotować się na jej odejście?

Nie mogłabym znieść tego wszystkiego, gdybym naprawdę nie wierzyła w to, co o śmierci powiedział mi ojciec, kiedy byłam małą. I nawet jeśli powiedział mi to przed laty tylko po to, by pocieszyć mnie - małą, wystraszoną dziewczynkę - to jego słowa spełniały swój cel również dwanaście lat później, gdy przygotowywałam się na śmierć, która upomniała się o moją matkę.

Rozmyślałam o tym wszystkim, również o życiu przyszłym, a tymczasem moja herbata zdążyła zupełnie wystygnąć. Życie w terażniejszości wymaga dyscypliny, skupiłam więc uwagę na planach dotyczących niezbędnych zmian w pokoju. Jakie kolory zasugerowałyby mama? Może czerwień i biel. Może żółty i niebieski. Zadzwonię do Wandy Murphy. Była prezeską Stowarzyszenia Szydełkujących w Brinley, na pewno ma świetne pomysły, pomyślałam. Ale wtedy zrugłam samą siebie. Nie mogłam powiedzieć nikomu o dziecku, zanim nie poinformuję o nim moich sióstr.

Było już prawie południe, gdy wkroczyłam do Ghost in the Attic. Lily stała za kontuarem ze słuchawką przy twarzy, zamawiając porcelanę dla jakiejś klientki, która czekała obok z przygotowaną kartą kredytową. Usiadłam w salonie i poczęstowałam się ciasteczkami nadziewanym dynią. Lily kupowała je u Matildy Hines, właścicielki piekarni Heavenly Hines Baked Goods, znajdującej się

dwa domy dalej. Zamawiała ciasteczka i umieszczała je na zdobionym w obsceniczne rysunki kredensie z okresu regencji, na którym stał również zestaw do herbaty Tuttle Silversmiths i dwanaście ręcznie zdobionych filiżanek.

Lily i Ron przekształcili ten podupadający dwupiętrowy dom w stylu wiktoriańskim w dobrze prosperujący interes. Każdy zakamarek wyglądał naprawdę zachęcająco, począwszy od salonu, a na poddaszu skończywszy. Ton wnętrzu nadawały ściany w kolorze czerwonego wina i dywan w kwiaty. Usiąść zaś można było przy mahoniowym stoliku do kawy na pięknej kanapie w stylu braci Adamów, krzesłach w stylu królowej Anny lub w fotelu - do karmienia niemowlęcia - w stylu wiktoriańskim. To tutaj Lily przechowywała swoje foldery. Jeśli jakiś poważny kolekcjoner chciał się przekonać, czy ceny, jakie oferowała Lily, są konkurencyjne, mógł sięgnąć po któryś z nich, a przy okazji poczęstować się ekierką. Żaden z mebli znajdujących się w tym pokoju nie był ponoć na sprzedaż, ale zmieniały się niemal co miesiąc. W salonie Lily bowiem panowała atmosfera, jaką ludzie chcieliby stworzyć we własnych domach. Byli oczarowani już od progu, po czym wpadali w sidła zastawione na nich w kolejnych czternastu pokojach, prezentujących tapety, obrazy, ceramikę i kryształy Lalique'a, meble i koronki. Teoria Lily brzmiała, że jeśli uda jej się sprawić, by wyprzedaż w Ghost stała się dla klientów prawdziwym wydarzeniem, ludzie będą tutaj wracać. I tak się stało - kupujący zjeżdżali się do siostry zewsząd, a Lily podtrzymywała z nimi kontakt, wysyłając kartki, zawsze

dziękując na piśmie za dokonanie zakupu i powiadamiając, kiedy pojawi się coś, co może odpowiadać ich gustom.

Patrzyłam, jak moja siostra żegna się z kobietą, która zakupiła porcelanę i która miała powiadomić ją telefonicznie natychmiast, jak tylko przyjdzie na świat wyczekiwany przez nią wnuczek. Rozpromieniona starowinka dała w tej kwestii słowo i wyszła ze sklepu. Lily sprawdziła coś na ekranie komputera stojącego na ladzie, po czym spojrzała na mnie.

- Pozwól, że zajrzę tylko na górę do klientek w dziale tekstylnym. Zaraz wracam.

Skończyłam jeść herbatnik, a że czułam się całkiem dobrze, sięgnęłam po ciastko czekoladowe. Dopiero teraz uświadomiłam sobie, że przecież miałam poranne nudności. Poczułam nagłą radość. Mój organizm zachowywał się dokładnie tak, jak powinien.

- Cóż to za uśmiech widzę na twojej twarzy? - spytała Lily, na powrót przekraczając próg salonu.

Jej nagłe wtargnięcie wystraszyło mnie i upuściłam ciastko. Lily naląła sobie gorącej wody do filiżanki i wycisnęła do niej ćwiartkę cytryny.

- Pamiętasz tę ohydną lampę, o której ci mówiłam - zapytała - i którą kupiłam za pięćset dolarów od tamtego dzieciaka w Woodbury?

Nie pamiętałam, więc tylko wzruszyłam ramionami.

- Okazuje się, że to Daum Nancy, warta około piętnastu tysięcy dolarów. I mam już na nią kupca. - Spojrzała na mnie. Jej zielone oczy, jedyna cecha łącząca mnie z obiema siostrami, dosłownie śmiały się w wyrazie triumfu. - Och,

przepraszam. Spójrz tylko na mnie, gadam i gadam. Nie zapytałam nawet, jak się miewasz. Spotkałaś się z Priss?

- W pewnym sensie. A ty?

- Nie. W niedzielę nagrała mi się na automatyczną sekretarkę, że wraca do Hartford i że jest jej przykro, że się rozminęłyśmy. A przecież w ogóle nie próbowała się ze mną spotkać. Przecież nigdzie się stąd nie ruszam. Zawsze tu jestem. I podobnie jak ty nie pojawiła się na Shad Bake.

- Przepraszam cię. Zostaliśmy na łódce i zupełnie o tym zapomniałam.

- Cóż, było świetnie, jak zawsze. A więc, co słyszeć? Rozejrzałam się, by mieć pewność, że nikt nam nie przeszkodzi, i zaczerpnęłam głęboko powietrza.

- O nie. Tylko nie to - powiedziała Lily, siadając. Na jej twarzy pojawił się wyraz paniki. - Miałaś wieści od Charlotte, prawda?

- Owszem. Ale to nie to, o czym myślisz. Lily drżącą ręką odstawiła filiżankę na stolik.

- A więc co? -Lii...

- Lucy, proszę cię! Nie owijaj w bawełnę.

- Jestem w ciąży.

Zaległa martwa cisza. Nie byłam nawet pewna, czy Lily oddycha.

- Co takiego? - zapytała w końcu. Mogłam tylko skinąć głową. Wpatrywała się we mnie z niedowierzaniem.

- Wiem - powiedziałam.

- Ty... w ciąży? Naprawdę? Och, Lucy.

A ponieważ Lily nie powiedziała nic więcej, musiałam zapytać:

- Cieszysz się z tego, prawda?

Uśmiechnęła się, ale niezbyt przekonująco. Mimo to podeszła i objęła mnie.

- Oczywiście, że się cieszę, Lu! Po prostu mnie zaskoczyłaś.

Kiedy się od niej odsunęłam, dojrzałam w jej oczach coś, co Lily próbowała ukryć. Następnie pojawiły się w nich łzy. Nagle ogarnął mnie gniew. Chciałam, żeby tym razem chodziło o mnie, a nie o to dziecko, które straciła trzynaście lat temu. Pokręciłam głową, odwracając wzrok.

- Przepraszam, Lii, ale muszę już iść - wyrzuciłam z siebie.

- Lucy, nie odchodź. Przepraszam, ja tylko... Rozległ się dzwonek przy drzwiach wejściowych i Lily

szybkim gestem otarła łzy z twarzy. Do sklepu wszedł Ron. Spojrzał na nas i powiedział:

- Och, chyba nie jest dobrze. Co się dzieje?

Lily zbyt gwałtownie podniosła się z miejsca, strącając filiżankę ze stołu, ale zupełnie zignorowała plamę z wody z cytryną na dywanie. W jej oczach ponownie błysnęły łzy.

- Kochanie, Lucy ma nowiny. Zajrzę do pani Flowers - dodała z pośpiechem, i już jej nie było.

Miałam wrażenie, że zaraz zwymiotuję.

- Pokłóciłyście się? - zapytał Ron, podnosząc filiżankę.

Spojrzałam na szwagra. Miał na sobie wyprasowane spodnie koloru khaki i batystową koszulę. Nie zdjął nawet okularów przeciwsłonecznych.

- Nie, ale zdaje się, że może nas to spotkać.

- O co chodzi?

- Jestem w ciąży, Ron.

Powoli zsunął z twarzy ciemne okulary i przez kilka sekund wpatrywał się we mnie w milczeniu.

- A to niespodzianka.

- Właśnie.

- I jej jest z tego powodu przykro?

- Najwyraźniej.

Pokręciłam głową, czując kolejny przyływ złości na moją siostrę.

- Ach, Lucy - powiedział w końcu Ron, wypatrując żony w głębi korytarza, jakby chciał ocenić sytuację, po czym w końcu jego wzrok na powrót spoczął na mojej twarzy. - Nic jej nie będzie. Ale czy ty dobrze się czujesz? Sądziłem, że ciąża nie jest pisana żadnej z sióstr Houston. No więc, jak to jest?

Wzruszyłam ramionami.

- Nieefektywne podwiązanie jajowodów, zdeterminowany mały pływak... resztę sam sobie dośpiewaj.

Ron zachichotał.

- Czy to dobra wiadomość, czy zła? Bo nie wiem, jak mam zareagować.

Wbrew samej sobie się roześmiałam.

- I jedno, i drugie.

- A jak Mic?

- Teraz dobrze. Bardzo się ucieszył.

- W takim razie i ja się cieszę. - Spojrzał mi w oczy i pokiwał głową. - Wszystko będzie dobrze.

- Nie wiem, czego się spodziewałam, Ron. Naprawdę chciałam, żeby Lii ucieszyła się moim szczęściem, ale najwyraźniej ... - Urwałam.

Nadal kiwał głową.

- Lepiej do niej pójde. W porządku?

Czekałam przez kilka minut, dostatecznie długo, by ściany w kolorze czerwonego wina zaczęły coraz bardziej mnie osaczać. Kiedy stało się jasne, że Lily nie wróci, wyszłam ze sklepu.

Czego się spodziewałam? Że Lily będzie nie posiadała się z radości? Wiedziałam, że w dniu, w którym musiała oddać tamtego chłopca, coś w niej pękło. Płakała, ilekroć o tym rozmawialiśmy, więc powinnam była wiedzieć, jak trudny jest to dla niej temat. Ale czy myliłam się, licząc na jej błogosławieństwo? Tak! Najwyraźniej.

Kilka minut siedziałam w samochodzie, po czym zdecydowałam, że zadzwonię do Priscilli i będę miała problem z głowy. Połączyła mnie z nią jej asystentka.

- Mówi Priscilla Houston - odezwała się oficjalnym tonem moja siostra.

- Cześć, Priss.

- Kto mówi?

- To ja, i dobrze o tym wiesz. Dzwonię, żeby cię przeprosić za tę historię z jachtem.

- Serio? - W jej głosie pobrzmiewała teraz nuta sarkazmu.

- Tak. I żeby ci powiedzieć, że jestem w ciąży. - W słuchawce zapadła cisza. - Cóż, to chyba wszystko. Mam naprawdę beznadziejny dzień, więc nie będę ci dłużej zabierać czasu.

- Lucy, zaczekaj, tylko zamknę drzwi! Chcę z tobą porozmawiać.

Usłyszałam trzaśnięcie, a po chwili Priscilla ponownie podniosła słuchawkę.

- Zaczynaj od początku. Dobrze się czujesz?

- Tak. Ale Lily nie.

- Nie przyjęła tego dobrze, co? -Nie.

- Lucy, jak to się stało, że jesteś w ciąży? Czy nie miałaś podwiązanych jajowodów?

- Najwyraźniej w niedostatecznym stopniu albo też jajowody samoczynnie się udrożniły. Coś się wydarzyło, najwyraźniej.

- Chcesz tego? - zapytała Priscilla otwarcie. - Sądziłam, że...

- Tak, Priss. Chcę tego. Chcemy oboje. Nie taki był plan, ale zamierzamy się tego podjąć.

- Naprawdę? Jesteś pewna?

- Priss...

- Przepraszam, słonko, ale czy na pewno? Czy wydarzył się jakiś cud, który zmienił waszą sytuację? Czy Mickey jest wyleczony, czy też nadal jest... ?

- Priscillo, muszę już iść. Chciałam tylko, żebyś wiedziała.

- Rozłączyłam się i rzuciłam telefon na podłogę samochodu. Czego ja się spodziewałam po moich obu siostrach?

Niemal natychmiast rozległ się dzwonek. Przysunęłam aparat stopą ku sobie. Oczywiście była to Priss. Kusiło mnie, by pozwolić jej nagrać wiadomość, ale zmusiłam się, by odebrać.

- Przepraszam, Lucy. Nie tego potrzebujesz. Po prostu zaskoczyłaś mnie... Zupełnie mnie zaskoczyłaś. Jesteś pewna, że dobrze się czujesz? - zapytała i brzmiała zupełnie szczerze.

Miałam ochotę się rozplakać.

- Sama nie wiem. Dowiedziałam się zaledwie kilka dni temu, a Mickeyowi powiedziałam w ostatni weekend na łódce. Dlatego ją zabrałam. Chciałam to zrobić w takim miejscu, z którego nie mógłby uciec.

- Cóż, w takim razie cieszę się, że jacht ci się przydał. Ale jesteś pewna, że wiesz, co robisz?

- Nie, nie jestem. Lecz i tak to zrobię.

- W jak zaawansowanej jesteś w ciąży?

- Wszystko wskazuje na to, że w jedenastym tygodniu. W słuchawce rozległo się westchnienie mojej siostry.

- Martwię się.

- Wiem, i za to cię kocham.

- Ja ciebie też, wiesz o tym. Ale, Lucy, nie jest jeszcze za późno, żeby...

- Muszę już kończyć, Priss.

Rozłączyłam się, przypomniawszy sobie okoliczności, w których po raz ostatni wypowiedziała dokładnie te same słowa.

ROZDZIAŁU

2 lipca 2000

Wkrótce po moim epizodzie maniakalno-depresyjnym, który powinien był odstraszyć Lucy, Priscilla zażyczyła sobie, żebym się z nią spotkał w Colin 's Grill. Bardzo nie lubię, kiedy mi się organizuje czas, ale tym razem wiedziałem, że to, co ma mi do powiedzenia Priss, nie może czekać, więc się zgodziłem. Gdy dotarłem na miejsce, zastałem Priss w narożnym boksie. Nie uśmiechnęła się na mój widok. Usiadłem koło niej.

- Priscillo.

- Cześć, Mickey. Dzięki, że przyszedłeś.

Kelner przyniósł mi coca-cole, której nie zamówiłem. Priscilla podziękowała mu.

- Nie chcemy, żeby nam przeszkadzano - powiedziała. Kelner wręczył jej rachunek i się oddalił.

- Ta heca z moją siostrą nie ma racji bytu. Jestem pewna, że zdajesz sobie z tego sprawę - oświadczyła bez wstępów.

Nie odezwałem się.

- Powinnam była wkroczyć wcześniej, ale pomyślałam, że dość szybko sami do tego dojdziecie. Porządny z ciebie facet, Mickey, więc nie traktuj tego osobiście.

Priscilla zamilkła, ja zaś pozwoliłem, by te ciężkie słowa zawisły między nami bez odpowiedzi. Odchrząknęła.

- Lucy sama nie wie, co robi. Jest młoda i naiwna, a z koki ty, Mickey... - wzruszyła ramionami - masz zbyt wiele problemów. Jeśli naprawdę kochasz moją siostrę, po prostu odejź. Proszę. Ona nie jest gotowa, by się w to zaangażować, i jeśli ty na to pozwolisz, postąpisz wobec niej nie fair.

Pociągnąłem łyk coca-coli, nie przerywając jej. Priscilla zaczęła tracić cierpliwość. Pochyliła się nad stolikiem, by dać wyraz całej niechęci, jaką do mnie żywiła.

- Moja siostra nie jest jeszcze w pełni ukształtowaną osobą, Mickey. Nie ma nawet dwudziestu trzech lat i nie myśli w sposób racjonalny. Wydaje jej się, że chce uczyć w ogólniaku w Brinley. To śmieszne! Skończyła studia z wyróżnieniem, więc warta jest czegoś więcej! - powiedziała z westchnieniem, pocierając skroń. - Lucy nie zdaje sobie nawet sprawy, że istnieje świat zewnętrzny. Musi dopiero dorosnąć i to zobaczyć. To ty musisz być mężczyzną i zrobić to, co należy.

Zbierając się na odwagę, łyknąłem trochę coli.

- Mogę coś powiedzieć? - zapytałem.

- Oczywiście.

- Myślę, Priscillo, że przede wszystkim należy zapomnieć o tej naszej sympatycznej rozmowie.

- Co takiego?

- Mówię serio, Priss. Doceniam to, że jesteś tak oddana

Lucy, ale najwyraźniej zupełnie jej nie znasz. Ani mnie. Czy naprawdę sądzisz, że oboje nie przeanalizowaliśmy tej sprawy pod każdym względem? Przeanalizowaliśmy. Mogę sprawiać problemy, każdy o tym wie. I zapewniam cię, że w przyszłości będziesz pałać do mnie jeszcze mniejszą sympatią niż w tej chwili. Ale jakoś to przeżyję, Priscillo, w końcu to nie z tobą się żenię. Chciałbym, żebyśmy pozostali przyjaciółmi, ale to już zależy od ciebie. Kocham twoją siostrę.

- Więc zostaw ją w spokoju - wysyczała - bo zrujnujesz jej życie.

Przesunąłem się wzdłuż blatu i podniosłem się z miejsca.

- Na mnie już czas, Priscillo. Jesteś dla Lucy kimś bardzo ważnym, więc nie zamierzam jej mówić, o co mnie prosiłaś. Oboje wiemy, że zaszkodziłoby to waszej relacji.

- Zostaw ją, Mickey. Pokręciłem głową.

- Musisz się zająć własnym życiem, a nie życiem Lucy. Odejdę tylko wtedy, gdy ona mnie o to poprosi. Więc chyba musisz sama ją do tego skłonić. Masz na to czas teraz, bo jeśli ośmielisz się wtrącać w nasze sprawy, gdy już będziemy małżeństwem...

- Grozisz mi? Uśmiechnąłem się.

- Nie. Po prostu serdecznie ci radzę, żebyś nie próbowała wchodzić w drogę choremu umysłowo człowiekowi, który bez wątpienia potrafi zniszczyć komuś życie.

Siostra Lucy wpatrywała się we mnie bez słowa. I niech mnie diabli, jeśli po jej policzku nie spłynęła pojedyncza łza,

która niejako skruszyła lody. Westchnąłem i usiadłem tuż przy niej. Przez chwilę żadne z nas się nie odezwało.

- Przerażasz mnie, Mickey, naprawdę -jęknęła.

- To zrozumiałe. - Objąłem ją ramieniem. - Samego siebie też czasem przerażam. Ale niezależnie od tego, jak bardzo się staram, najwyraźniej nie udaje mi się przerazić twojej siostry.

Priscilla postawiła mi spojrzenie, mnie zaś do głębi poruszyła troska, jaką ujrzałem w jej oczach. Przyciągnąłem ją bliżej do siebie.

- Zaopiekuję się nią, Priss, obiecuję - zdołałem wydusić przez ściśnięte gardło.

Gdy znalazłam list Mickeya, wiedziałam, że nie mam odwrotu. Kochałam go, ale nie wiedziałam, jak moja miłość powinna się objawiać w tym strasznym okresie. W szpitalu nie chcieli się zgodzić, bym go zobaczyła, co napełniło mnie takim niepokojem, że z trudem mogłam funkcjonować. Gleason jednak zapewnił mnie, że tak jest najlepiej, gdyż Mickey nadal jest w stanie silnej psychozy. Choć więc nie mogłam go zobaczyć, to codziennie wracając ze szkoły do domu, zaglądałam do szpitala tylko po to, by zostawić mu kilka słów zapisanych na kartce. Brzmiały zawsze tak samo: „Kocham cię. Zadzwoń, gdy dojdiesz do siebie”.

I któregoś dnia tak się stało. W pewnego sensie. Zadzwoił telefon, ale gdy odebrałam, nikt nie odpowiedział, po czym

się rozłączył. Wiedziałam, że to był Mickey, i natychmiast wybrałam numer do pełniacej dyżur pielęgniarki, która powiedziała mi, że Mickey czuje się lepiej, ale jest wycieńczony.

- Mniej niż dwadzieścia godzin snu w ciągu tygodnia, i oto rezultat - orzekła.

Od razu pojechałam do szpitala. Na szczęście był tam Gleason. Objął mnie po ojcowsku i powiedział, że Mickey miał dobry dzień. Upraszczaając całą sprawę przez wzgląd na mnie, określił proces, jakiemu podlegał Mickey, jako spadanie, które trwało już od jakiegoś czasu, ale tak naprawdę zaczęło się siedem czy osiem dni wcześniej, a potem nastąpiło lądowanie, które sprawiło, że Mickey trafił do szpitala. I wreszcie rozpoczęła się jego mozolna wspinaczka do miejsca, z którego zaczęło się spadanie. Gleason oznajmił mi, że czas, jaki zajmie Mickeyowi dokończenie tej wspinaczki, będzie zależał od jego reakcji na leki.

- Mogę go zobaczyć?

- Oczywiście.

Zamierzałam pobyć z nim tylko kilka minut, lecz gdy go ujrzałam, nie mogłam tak po prostu wyjść. Mickey leżał pogrążony w głębokim śnie, okryty cienką spraną kołdrą. Musiał być wcześniej pod prysznicem, bo schyliwszy się, by pocałować jego chłodne czoło, poczułam zapach szamponu. Nawet nie drgnął, gdy delikatnie pogładziłam go po ramieniu i ręce, w której ścisnął przy piersi moje liściki. Musiałam siedzieć przy nim przez jakieś półtorej godziny, może dłużej, wpatrując się w niego. Brakowało

mi go, więc chciałam być przy nim, kiedy otworzy oczy. Ależ miał tydzień! Jakież kontrast z tym, co było wcześniej, stanowiły jego obecny spokój i wyciszenie.

Na korytarzu zadzwonił telefon i ktoś zaczął przywoływać jakiegoś Terrance'a. Trzy razy wywołano to imię, za każdym razem głośniej, więc spiesznie ruszyłam w stronę drzwi, by je zamknąć. Nie chciałam, żeby przeszkadzano Mickeyowi. Ale gdy powtórnie podeszłam do łóżka, już nie spał.

- Cześć - powiedziałam.

Nie poruszył się, tylko rozejrzał wokół rozszerzonymi oczami, w których ujrzałam zmieszanie i strach.

- Mickey? Kochanie?

- Lucy? - wyszeptał.

- Jestem przy tobie, kochanie. - Dotknęłam jego ramienia.

Na jego twarzy odmalował się wyraz takiego zagubienia, że nie bardzo wiedziałam, co robić. Myślałam, że serce mi pęknie, gdy oczy wypełniły mu się łzami.

- Nie mogę uwierzyć, że tutaj jesteś - wyszeptał.

- Dlaczego?

Rozwarł dłoń i pokazał mi moje pogniecione liściki.

- Dzwoniłem do ciebie, ale nie wiedziałem, czy ty... Nie wiedziałem, co powiedzieć.

Pochyliłam się i pogładziłam go po policzku.

- Powiedz po prostu, że nadal mnie kochasz. To chyba najważniejsze.

Mickey obrzucił mnie takim spojrzeniem, jakby nie rozumiał, co do niego mówię. Podźwignął się do pozycji

siedzącej. Musiał być nafaszerowany lekami, bo najwyraźniej wciąż nie miał pewności, że to ja. Badawczo wpatrywał się w moją twarz.

- To naprawdę ty?

Ujęłam jego rękę w obie dłonie.

- Naprawdę. Pokręcił głową.

- Lucy, przecież z nas dwojga to ja mam być wariatem, nie ty.

- Co masz na myśli?

- Napisałem do ciebie list, prawda?

- Tak. Mam go z sobą.

Wpatrywał się we mnie. Na jego twarzy ponownie pojawiła się niepewność. - Wróciłaś?

- Kochanie, ja nigdy cię nie zostawiłam. I nigdzie się nie wybieram.

Mickey pozostał w szpitalu jeszcze przez pięć dni, ja zaś obserwowałam jego odyseję ze stanu głębokiej psychozy do chwiejnej psychicznej równowagi, aż w końcu zaczęłam rozpoznawać dawnego Mickeya. Powiedział mi, że prawie wszystko pamięta i że czuł się tak, jakby nie mógł przebudzić się z koszmaru. Wyjaśnił mi, że w jego przypadku granica oddzielająca chorobę od zdrowia jest cienka i że gdy popada w stan psychozy, zarówno urojenie, jak i prawdziwy świat wydają mu się jednakowo realne.

„Jedyna różnica - dodał - polega na tym, że kiedy jestem przy zdrowych zmysłach, zdaję sobie sprawę z koszmaru, jakim jest psychoza, podczas gdy w stanie psychozy nie mam tej świadomości. Nie wiem też, co się ze mną dzieje, gdy wyzwalając się z jednego stanu, popadam w drugi. To dlatego musi trochę potrwać, zanim zaczynam wierzyć w to, co widzę". Uśmiechnęłam się do niego, lecz on pokręcił głową. Nie wyjaśnił mi jeszcze wszystkiego.

- Nie wiem, Lucy, jak mam ci dziękować.

- Za co?

- Za to, że mi pokazałaś, jak to się robi. Jak się kocha. I jak to jest być kochanym. Lucy, tak naprawdę nigdy tego nie zaznałem. Moja mama nigdy wystarczająco długo nie była wolna od stanów chorobowych. Tata próbował, ale po prostu nie był w stanie. A z kolei mój brat robił wszystko, żeby przeżyć. - Mickey pokręcił głową. - Nie patrz tak na mnie. Nie potrzebuję twojej litości. Po prostu zrozum, że w takiej rzeczywistości wzrastałem. Właśnie dlatego to, co mi dajesz, jest dla mnie czymś tak zupełnie nowym. Jesteś dla mnie opoką, której nigdy nie miałem.

Skinęłam głową.

- Mickey, niezależnie od tego, gdzie trafiasz, gdy masz atak choroby, to - czyli my - jest realne. Zawsze będę na ciebie czekać.

Po tej rozmowie nie było już wątpliwości, że się kochamy. Stwierdziliśmy, że jesteśmy gotowi na to, by się pobrać, i że powinno to nastąpić jak najprędzej, więc zaczęliśmy planować przyjęcie weselne.

Zaprosiliśmy na obiad moje siostry. Mickey piekł steki na grillu i robił sałatkę, my zaś dobrze się bawiłyśmy, siedząc przez większą część wieczoru za stołem w mojej kuchni. Ron i Mickey szybko zostali przyjaciółmi i zaczęli snuć na kolejny czwartek plany wspólnej wyprawy na ryby. Ponieważ Lily i ja miałyśmy do nich dołączyć, Ron zaczął drażnić się z Priscillą, mówiąc, że może się z nami wybrać, ale musi zdobyć osobę towarzyszącą. Priscilli propozycja ta nie rozbawiła.

- Niektórzy muszą pracować - odparowała.

- Dlaczego nie założysz własnej firmy i nie zostaniesz własnym szefem tak samo jak Mic? Wtedy sama mogłabyś sobie dyktować warunki - powiedział Ron.

- Mam nowego wspólnika i powinnam spędzać w firmie trochę czasu. Ale kto wie, może któregoś dnia... Lucy mówiła, że oglądałaś klub w Bridgeport. Kupiłaś go? - spytała Priss Mickeya.

- Nie, daliśmy sobie z nim spokój. Nie chcemy z Lucy, żeby dzieliła nas więcej niż godzina drogi. W ten sposób będziemy się dłużej widywać. A Jared znalazł coś zaledwie o dwie minuty drogi stąd.

- Gdzie? - spytała Lily wyraźnie zaskoczona.

- Jest taki zajazd, tuż naprzeciwko twojego sklepu z antykami.

- Niemożliwe! Mówisz o Brubaker Inn?!

- Właśnie. W zeszłym tygodniu zaproponowaliśmy właścicielom, że przekształcimy ich jadalnię w klub. Myślimy, że będzie przyciągał więcej mieszkańców niż restauracja.

- Słyszałam, że chcą ją zamknąć. Za mało klientów - włączył się Ron.

- To się świetnie składa. Chcemy stworzyć miejsce, w którym można miło spędzić czas, napić się czegoś, rozerwać się, pośmiać. A część lokalu kupimy, więc właściciele skorzystają.

Priscillą skinęła głową.

- Jestem pod wrażeniem, Mickey. W Brinley brakuje takiego miejsca. Masz nosa do interesów. - Powiedziawszy to, wstała i zaczęła sprzątać ze stołu.

Wzięłam od niej talerz i kazałam jej usiąść.

- O co chodzi? - spytała. - Jest późno, a nie chcę zostawiać cię z tym bałaganem.

- To może poczekać. Mamy wam coś do powiedzenia. Spojrzałam na Mickeya, a potem na siostry.

- Pobieramy się! - wypaliłam, nie mogąc zapanować nad głupkowskim uśmiechem.

Lily zapiszczała z uciechy i klasnęła w dłonie.

- Och, Lucy! Kiedy?

- Za sześć tygodni - powiedział Mickey. Ron się zaśmiał.

- Witaj w klubie, przyjacielu.

Przez chwilę napawałam się ich radością, ale po chwili spojrzałam na Priscillę, która nawet nie udawała, że się cieszy. Wstała z miejsca i podeszła ze swym talerzem do zlewozmywaka. Potem opuściła kuchnię. Ron - chwala mu za to - głośno zachichotał.

- Witaj, Mic, również i na planie naszego rodzinnego dramatu - dodał.

Lily pochyliła się nad stołem.

- Nie zwracajcie na nią uwagi. Nie mogło jej to zaskoczyć. Wszyscy martwiliśmy się, kiedy Mickey miał atak, ale oboje sobie z tym poradziliście. A teraz, patrzcie państwo! Tak się cieszę!

- Oboje się cieszymy! - zawtórował jej Ron. - Zwłaszcza ja. Potrzebuję wsparcia.

Lily dała mu sójkę w bok, a Mickey parsknął śmiechem. Zdawał się zupełnie nie przejmować reakcją Priscilli. Pochyliłam się w jego stronę i pocałowałam go, po czym udałam się na poszukiwania mojej źle wychowanej siostry. Zastałam ją na werandzie przed domem. Brała aspirynę. Obrzuciła mnie pozbawionym radości spojrzeniem.

- Naprawdę masz zamiar to zrobić? - spytała.

- Wiesz, że tak. Pokręciła głową.

- Ale dlaczego? Wytłumacz mi, Lucy. Zaledwie trzy tygodnie temu był wariatem, a teraz jest wart tego, by za niego wyjść?

Westchnęłam.

- Zawsze był tego wart.

- Otóż to! Właśnie ta twoja postawa mnie martwi.

- Rozumiem, Priss, twoją troskę i doceniam ją. Ale go kocham.

Priss potarła dłonią skroń niczym sfrustrowany rodzic.

- Miłość to nie lekarstwo, Lucy.

Patrząc na siostrę, pomyślałam o intensywnym kursie na temat psychozy, jaki sobie zafundowałam w ciągu

ostatnich tygodni. I jeśli w ogóle istniała osoba mająca pewność, że takie lekarstwo nie istnieje, to byłam nią ja. I Mickey.

- Dlaczego robisz sceny? Wiedziałaś, że jesteśmy zaręczeni.

- Ludzie wciąż się zaręczają, co nie oznacza, że muszą się pobrać w ciągu sześciu tygodni. Właśnie wyszedł ze szpitala. Po co ten pośpiech?

- Bo go kocham. I zamierzam za niego wyjść. Byłoby miło, gdyby sprawiło ci to radość.

Priscilla wylała przez balustradę zawartość trzymanej w ręce szklanki i wręczyła mi puste szkło.

- Nie licz na to.

To powiedziawszy, wydobyła z torebki kluczyki do samochodu, zeszła z werandy i ruszyła w stronę auta.

Nieco później, gdy właśnie zamierzałam się położyć, nagle zadzwonił telefon.

- Czego chcesz, Priscillo? - spytałam chłodnym tonem, rozpoznawszy w słuchawce jej głos.

- Lucy, nie chciałam ci zepsuć takiego wieczoru.

- I rzeczywiście, nie udało ci się tego zrobić. Powinnaś była zostać. Świetnie się bawiliśmy.

Priscilla odchrząknęła.

- Skoro więc zamierzasz to zrobić...

- Priss, nie zaczynaj wszystkiego od nowa, proszę...

- Nie zaczynam. Chciałam ci tylko powiedzieć, że skoro zamierzasz to zrobić, to przynajmniej zrób to, jak należy. Pozwól mi wszystko zorganizować.

- Co takiego? Nie, Priss, myślimy o czymś kameralnym. Ty i Lii, Ron, tata Mickeya, lunch.

- Och, proszę cię, Lucy. To twój ślub, a nie wczesny obiad w bufecie Chuck-A-Rama.

Wbrew własnej woli musiałam się zaśmiać.

- Pogadam z Mickeyem i dam ci znać.

- W porządku. Postaraj się zdążyć do dziewiątej rano, bo właśnie o tej godzinie zabieram cię na zakupy.

- Priss...

- Proszę, zgódź się. Westchnęłam.

- W porządku, ale jedzie ze mną Lily.

- Już do niej dzwoniłam.

Miałam ubaw. Wszystkie miałyśmy. Pojechałyśmy na Manhattan, gdzie Priscilla umówiła nas w Kleinfeld Bridal. Musiałam przymierzyć dwadzieścia sukien ślubnych, i w końcu wybrałam tę, którą włożyłam pierwszą - projekt Romony Kevezy, co nic mi nie mówiło, ale najwyraźniej bardzo wiele Priss. Jeśli o mnie chodzi, była to po prostu suknia ślubna o kroju A, z podniesionym stanem, na ramionkach, z jedwabiu i tafty - z pewnością najpiękniejsza rzecz, jaką w życiu widziałam. Lily płakała, kiedy wyszłam z przymierzalni. Priscilla zaś stwierdziła, że wyglądam dobrze, ale próbowała namówić mnie na suknię Amalii Carrary, która mnie zauroczyła. Była prześliczna, naprawdę, ale nieco zbyt przytłaczająca. Pokryta koralikami ważyła

więcej niż ja, nie mówiąc już o tym, że kosztowała tyle, że nigdy w życiu nie byłoby mnie na nią stać.

W końcu postawiłam na swoim. Priscilla upierała się, żebym wybrała woalkę, a ponieważ była tak miła, gdy kupowałyśmy suknię, to prawie dopięła swego, ale w końcu stwierdziłam, że nie będę w stanie w niej wystąpić. Zdecydowałam się na opaskę, do której postanowiłam włożyć perły ofiarowane mamie przez ojca w dniu ich ślubu. Lily orzekła, że bardzo mi w tym do twarzy, i Priscilla ustąpiła. Jakby miała inne wyjście.

Ponieważ byliśmy w Nowym Jorku, nie ulegało kwestii, że również Priscilla i Lily muszą sobie kupić sukienki. To był wspaniały i wyczerpujący dzień. Chociaż i tak nie umywał się do następnego, kiedy to Priscilla zaciągnęła mnie do firm organizujących imprezy, dekoratorów, fotografów, drukarza oraz ludzi znalezionych w Internecie, którzy mogli nam ustawić w ogrodzie pokrytą bluszczem altanę w charakterze dekoracji. Priscilla miała umówione spotkanie w Hartford w sprawie tortu weselnego i wydawała się nieco zakłopotana, gdy zasugerowałam, że tutaj, w Brinley, mogłaby go upiec Matilda Hines. Wspomniałam również, że Matilda robi niezłe zapiekanki i że mogłybyśmy powierzyć jej catering imprezy. Priscilla zachichotała, jakbym powiedziała najlepszy dowcip, jaki kiedykolwiek słyszała.

Mickey był bardzo zajęty pracami w swoim domu - uprzątnięcie rozgardiaszu, jakiego narobił w holu, wymagało iście benedyktyńskiej wytrwałości. W końcu udało się go sprzedać, choć kupiec postawił warunek: wykończenie

drewnianej podłogi. Mickey już wcześniej zaczął się przeprowadzać do mnie, gdzie chciał wszystko wywrócić do góry nogami i urządzić na nowo, ale udało nam się osiągnąć kompromis. Postanowiliśmy, że zaczniemy od wyburzenia jednej ściany rozdzielającej na parterze sypialnię i kuchnię, aby stworzyć oficjalny pokój gościnny.

Na szczęście, nigdy nie podlegało dyskusji to, gdzie będziemy mieszkać. Spytałam, czy nie moglibyśmy zostać w Brinley, a on się zgodził. Byłam mu za to dozgonnie wdzięczna.

Dwunastego sierpnia, na dwa dni przed naszym ślubem, wysłuchałam prognozy pogody. Na cały tydzień zapowiadano okresowy wiatr oraz deszcz. Pomyślałam, że to bardzo głupie ze strony Channel 8, że nie skonsultowali się z Priscillą w tej sprawie. Ona nie obawiała się kiepskiej aury. Stoły przywieziono wcześniej tego wieczoru i rozmieszczono na planie okręgu w ogrodzie. W środku ustawiono rzędy krzeseł, każde przewiązane kokardką z białego tiulu. Altana była przepiękna, ale nie mogłam tego głośno powiedzieć, gdyż z początku bez entuzjazmu odniosłam się do tego pomysłu. W ciągu kilku godzin moja kuchnia zapełniła się kartonami z bielizną i kryształami, które wypożyczyła Priscilla. W owym uroczystym dniu dostarczono nam wielkie różowe pudła pełne kanapek, eklerów, makaroników i truskawek w czekoladzie. Na mojej sofie wylądowały skrzynki z szampanem, a kiedy spojrzałam w okno pokoju gościnnego, zobaczyłam przesuwający się wzdłuż framugi czubek tortu. Serdecznie uściskałam Matildę Hines, która

go niosła, i pomyślałam sobie, że w życiu nie widziałam niczego bardziej uroczego. Tort miał cztery kwadratowe warstwy posypane opiłkami białej czekolady, czubek zaś przystrojony był dużymi pomarańczowymi gerberami.

Ceremonię zaplanowano na czwartą. O wpół do drugiej, gdy weszłam do wanny, niebo było błękitne. Ale gdy skończyłam kąpiel, już nie było takie. Wciąż miałam na sobie szlafrok, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

- Proszę wejść! - zawołałam, robiąc toaletę. Myślałam, że to Priscilla, by po raz jedenasty zapewnić

mnie, że nie będzie padało. Tymczasem był to Mickey w towarzystwie mężczyzny, który wyglądał tak, jak zapewne będzie wyglądał Mickey za jakieś czterdzieści lat.

- Cześć, kochanie - powiedział Mickey, całując mnie w policzek. - Nim wszystko się zacznie, chciałbym przedstawić ci tatę.

Nie wiem dlaczego, ale na widok Mickeya w towarzystwie ojca łzy napłynęły mi do oczu. Mickey oświadczył, że ojciec nigdy jeszcze nie odbył takiej podróży, i oto stał teraz przede mną - sympatyczny olbrzym z burzą siwych włosów.

- Tak się cieszę, że pan przyjechał, panie Chandler. Wydawał się nieco onieśmielony, a może po prostu nie

bardzo wiedział, jak się zachować w obecności kobiety w szlafroku. Wyciągnął rękę. Nie zważając na nią, uściskałam go, a wtedy on, i dzięki mu za to, odwzajemnił mój uścisk.

- Mam wrażenie, jakbym już cię znał. Mój chłopak wciąż mówi tylko o tobie.

Pochyliłam się i pocałowałam Mickeya w podbródek.

- Mickey jest wspaniały. Wielka ze mnie szczęściara. Starszy pan skinął głową, a w jego oczach na chwilę pojawił się jakby żal. Mam nadzieję, że Mickey tego nie zauważył.

- Miał pan udany lot? - spytałam.

- Nie najgorszy. Jakoś przeżyłem.

- Tata nienawidzi latać.

- Tym bardziej mi miło, że jest pan tu z nami.

- Nie mógłbym opuścić takiej uroczystości.

W tej samej chwili wpadła Priscilla. Wyglądała niczym królowa w swym srebrnym kostiumie i na wysokich obcasach. Na czubku głowy miała dwa papiloty.

- Lucy! Co ty wyrabiasz?! Wiesz, która godzina? Za pięćdziesiąt jeden minut wychodzisz za mąż! Mickey, nie możesz widzieć panny młodej! Co ty sobie wyobrażasz?! Wynoś się stąd!

- Miło było cię poznać, Lucy - powiedział tata Mickeya. - Mam nadzieję, że nie zmokniesz.

- Ależ nie będzie padało! Chmury przesuwają się w kierunku wybrzeża. Wszystko jest pod kontrolą. Idźcie się ubrać.

Priss wypchnęła panów za drzwi. Zanim zniknął za progiem, Mickey zdążył mi posłać znaczące spojrzenie.

- Powinienem był cię porwać - rzekł przyciszonym głosem.

- Wszystko słyszałam - powiedziała Lily, przekraczając próg łazienki w momencie, gdy mężczyźni wychodzili.

Wyglądała fantastycznie w sięgającej łydek granatowej jedwabnej sukni. Przy ramiączku przypięty miała mały bukiet dzikich kwiatów, w krótko przyciętych włosach tkwiła stokrotka. Siostry pomogły mi włożyć suknię. Każda musiała też wtrącić swoje pięć groszy w sprawę mojego makijażu. Lily zawiesiła mi na szyi perły, które ojciec podarował mamie w dniu ślubu, a Priscilla pomogła mi zapiąć wiszące kolczyki do kompletu. Gdy wpatrywałam się w swoje odbicie w dużym lustrze, Lily objęła mnie ramieniem.

- Tak pięknie wyglądasz, Lu - powiedziała, odgarniając mi włosy z ramienia, a ja zauważyłam łzy w jej oczach.

- Zaraz się rozplaczę, Lily.

- Ja tylko... chciałam ci powiedzieć, że jestem z ciebie taka dumna - oświadczyła, mocno mnie ściskając. - Naprawdę jesteś niesamowita, Lucy, a Mickey jest wielkim szczęściarzem.

Pokręciłam głową.

- Dzięki, Lii, ale to ja jestem szczęściarą.

W końcu Priscilla dokonała ostatniej inspekcji mojej sukni.

- Po prostu śliczna - oświadczyła, podchodząc z nami do lustra.

Lecz już po chwili na jej twarzy pojawiło się przerażenie, gdy nagle zauważyła w swych włosach papiloty. Rozległo się pukanie do drzwi.

- Proszę - powiedziałyśmy jednocześnie.

Była to Jan. Kiedy nas zobaczyła, aż klasnęła w dłonie.

- Patrzcie, państwo!! Wyglądacie zabójczo! Wszystkie trzy!

Podeszła bliżej, chwyciła mnie za rękę i odsunęła na długość ramienia. Po chwili przyciągnęła mnie do siebie.

- Tak bardzo żałuję, że nie może cię widzieć wasza mama. Marzyła o takim dniu.

Uśmiechnęłam się, choć z trudem zapanowałam nad łzami.

- Gotowa? - spytała Jan.

- I to jeszcze jak.

- To dobrze. Już czas. Wszyscy zajęli swoje miejsca. Gra muzyka. Właśnie przyjechał sędzia Doyle. Mamy jeszcze chwilkę, ale powinniśmy zaczynać. Znosi się na deszcz.

- Wcale nie! - zaprotestowała Priscilla.

- Może i nie, ale na wszelki wypadek wniosliśmy tort z powrotem do domu - oznajmiła Jan szeptem.

Spojrzałam na Priscillę, która z okna mego pokoju uważnie wpatrywała się w niebo, i uśmiechnęłam się do siebie. Niezależnie od tego czy będzie padać, dziś wieczorem położę się spać jako pani Chandler. Tylko to się liczyło.

Jan ucałowała mnie w policzek.

- Widzimy się na dole, kochanie - powiedziała i wyszła z pokoju w towarzystwie Lily.

Zostałyśmy tylko ja i Priscilla, która wyglądała, jakby za chwilę miała się rozplakać.

- O co chodzi? - spytałam.

- Wiesz, Lu, że cię kocham.

- Myślę, że dowiodłaś tego chociażby w tym tygodniu. Podeszła do mnie i chwyciła mnie za rękę.

- To prawda... Tylko że, Lucy, jeszcze nie jest za późno, żeby się wycofać.

Mocno przycisnęłam ją do piersi.

- Mylisz się, Priscillo. Zbyt mocno go kocham. A teraz zmykaj stąd.

- Jesteś pewna?

- Byłam od samego początku.

Westchnęła, ujmując w palce okalające moją szyję perły mamy, po czym ucałowała mnie w policzek.

- Zobaczymy się na dole.

Zostałam sama. U progu małżeństwa. Podniosłam zdjęcie rodziców, stojące na mojej nocnej szafce, odkąd byłam małą dziewczynką, i podeszłam do okna. Zobaczyłam Mickeya i Rona rozmawiających koło altany. Śmiali się. Moi najbliżsi przyjaciele, odświętnie ubrani, siedzieli przy stołach. Niektórzy mieli na podorędziu parasole. Moje siostry stały w tle i czekały na bieg wydarzeń. Zawsze będę pamiętać tę chwilę, kiedy tak stałam w oknie, pełna zadumy, w ów dzień, gdy moje życie tak się zmieniło. Spojrzałam na trzymane w dłoni zdjęcie. Tylko ich tutaj zabrakło. Rodziców. Ale i tak czułam ich obecność. Czułam ich błogosławieństwo. Wodziłam palcem po fotografii przedstawiającej ich twarze, a potem zeszłam na parter, gdzie wszyscy na mnie czekali.

W drzwiach pojawił się Harrison Bates, który przez te wszystkie lata zastępował mi ojca. Kiedy mnie ujrzał, łzy napłynęły mu do oczu.

- Harry, jesteś bardzo przystojny. Dziękuję, że zgodziłeś się wystąpić dzisiaj w roli mego taty.

- To dla mnie zaszczyt, kochanie - powiedział z czułością. - Mickey to szczęściarz.

Kiedy usłyszałam, że kwartet zaczyna grać kanon Pachelbela, przeszedł mnie dreszcz. A więc ta chwila nadeszła, pomyślałam.

Ogród za domem wyglądał jak baśniowa sceneria. Priscilla wprost przeszła samą siebie, a Mickey stał przed altanką z podwójną tęczą, która pojawiła się na niebie, w tle. Znakomicie prezentował się koło Rona w swym szarym smokingu: stateczny, elegancki i nieco podenerwowany.

Gdy stanęłam u jego boku, sędzia Doyle uśmiechnął się i powitał zebranych, po czym, odchrząknąwszy, wyrecytował wiersz. Zaledwie zaczął, poczułam na czubku nosa kroplę deszczu. Ocierając ją, z trudem zdołałam opanować śmiech. Potem poczułam następną. I jeszcze jedną. Mickey, który zdawał się lekko pochyłać w przód, chłonąc każde słowo sędziego, ścisnął mnie za rękę. I gdy tak staliśmy, nagle podwoje nieba otwarły się, a ja usłyszałam tylko, jak ktoś przenikliwym głosem zawołał: „Lucy!”.

Priscilla trzymała nad głową przemokniętą serwetkę, a przy niej stała Lily, dusząc się ze śmiechu. Kilkoro gości stłoczyło się pod naszym zadaszonym tarasem. Pokręciłam głową. Kuchnia była pełna jedzenia i pudeł, w salonie piętrzyły się prezenty i ślubne akcesoria. Spojrzałam na Priscillę i rozłożyłam ręce. Moja siostra była totalnie zaskoczona, że jednak się rozpadało, że dopuściliśmy do tego. Zwróciłam się w stronę Mickeya. Że tak właśnie ma być i że tak zapamiętamy ten dzień, rozstrzygnęło się w ułamku sekundy, kiedy Mickey popatrzył na niebo i wybuchnął śmiechem.

- Czy małżeństwo zawarte na deszczu ma moc wiążącą? - spytał sędziego.

- Nie widzę przeciwwskazań.

Mickey zdjął marynarkę i okrył nią moje ramiona.

- A więc kontynuujmy.

Gdy sędzia Doyle otarł deszcz z twarzy, usłyszałam jęk mojej siostry, a potem czyjś stłumiony chichot. Błyskawica przecięła niebo, a sędzia pospiesznie złożył kartkę z wierszem, po czym zwrócił się do Mickeya z sakramentalnym pytaniem:

- Czy bierzesz sobie tę oto kobietę...?

Grzmot zagłuszył kilka kluczowych słów, ale Mickey i tak skinął głową.

- Tak, biorę - odparł.

Teraz sędzia zwrócił się do mnie.

- Lucy, czy bierzesz sobie tego oto mężczyznę za męża i ślubujesz mu miłość, wierność i uczciwość małżeńską. To, że będziesz przy nim w zdrowiu i w chorobie, w bogactwie i w biedzie. I że go nie opuścisz aż do śmierci?

Spojrzałam na Mickeya, a moje oczy zaszyły łzami szczęścia.

- Tak, ślubuję.

Wsunęliśmy sobie obrączki na mokre palce, a sędzia zachęcił Mickeya, by pocałował żonę. Mickey przysunął nieco moją twarz do swojej i złożył na niej pocałunek pośród nawałnicy. Każda kropla deszczu była niczym błogosławieństwo nieba. Nic innego nie miało znaczenia. Ani zrujnowane podwórze, ani nasze wytworne stroje zupełnie

przemoczone, ani wszyscy nasi przyjaciele na gwałt szukający schronienia przed deszczem, ani nawet wściekłość Priscilli wobec zawodu, jaki sprawili jej bogowie pogody. Liczył się tylko on. Zaplotłam mu ręce na szyi, a jego marynarka zsunęła się z moich ramion na ziemię. Deszcz spływał z nas strugami, jakbyśmy stali pod prysznicem. Jedyne, co mogliśmy zrobić, to nie przestawać się śmiać. Mickey objął mnie ramieniem, okręcił wokół własnej osi, a ktoś zrobił zdjęcie, które pojawiło się na pierwszej stronie „Brinley Gazette” (sfotografowano również Priss, przemoczoną do suchej nitki, ona zaś zagroziła, że pozwie gazetę do sądu). Następnie wszyscy tłumnie ruszyli do domu, gdzie przez wiele godzin na stojąco pałaszowali przysmaki zamówione przez Priscillę.

Temat mojego przyjęcia weselnego nieraz powraca w rozmowach i zawsze wywołuje uśmiech na mej twarzy. A co jakiś czas, gdy pogoda jest taka jak w ów dzień, razem z Mickeyem wybiegamy na dwór i tańczymy w deszczu.

ROZDZIAŁ 12

15 czerwca 2011

Na dole koło lampy stoi oprawione w ramki zdjęcie małej dziewczynki siedzącej na kolanach postawnego mężczyzny. Jest roześmiana, ma rozpromienioną twarz, wpróprzymknięte oczy, szeroko otwarte usta, jakby krzyczała. Myślę, że ktoś ją łaskocze. Twarz mężczyzny wyraża miłość i oddanie. Śmiech Lucy zdaje się wciąż rozbrzmiewać, podobnie jak słowa obietnicy jej ojca, że zawsze będzie ją kochał.

Chciałbym mieć takie zdjęcie ze swoim dzieckiem, gdy będzie miało dwa albo trzy lata. Chciałbym zobaczyć na nim taką samą miłość malującą się na naszych twarzach. Jakżebym pragnął być kimś takim jak ojciec Lucy.

Tego popołudnia zamierzałam zrealizować swój wielki plan uprzątnięcia pokoju zawałonego rupieciami, ale gdy tylko dokonałam wstępnej inspekcji, poczułam zmęczenie, podobne do tego, które ogarnęło mnie przed kilku dniami

podczas badań kontrolnych, o czym wspomniałam Charlotte. Wystraszyłam się wtedy, ale teraz już wiem, że było to po prostu wyczerpanie z powodu ciąży.

Weszłam do sypialni. Miałam nadzieję, że Mickey spędził ten dzień lepiej niż ja. Zadzwoiłam do klubu. Odebrał wspólnik Mickeya Jared Timmons. Miał najwyraźniej dobry humor, co nie było zresztą niczym nadzwyczajnym. Trudno było zakłócić jego równowagę ducha, co czyniło go znakomitym partnerem dla mojego męża. Zresztą taka też była od samego początku ich recepta na sukces: Mickey wnosił do tej spółki swoją energię, pomysły, twórczą inspirację, a Jared pozytywne nastawienie, dobrą organizację pracy i konsekwencję. To połączenie żyłki do interesów z inwencją sprawiało, że świetnie im się wiodło. Obecnie byli właścicielami pięciu klubów, które stanowiły dla obydwu swoiste zaplecze. Nawet zaczęli mieć następców.

- Jak on się czuje? - spytałam.

- Chyba świetnie. Dziś rano mieliśmy spotkanie z Connecticut Rotary Club - a w każdym razie z ich szefostwem - i Mic był porażający. Przypuszczalnie zatrudnią nas podczas swojej konwencji, mającej się odbyć wiosną.

- Myślisz, że wrócił do formy?

- Z pewnością jest tego bliski. W tej chwili prowadzi kilka przesłuchań, które odwołaliśmy, kiedy trafił do Edgemont. Szukamy nowego narybku. A tak w ogóle, to o wszystkim mi opowiedział. Będziecie mieli dziecko! Gratulacje, dziewczyno! Moim zdaniem to już najwyższy czas. Dzieci są świetne!

- No tak... Wszyscy tak mówią - wymamrotałam, uświadamiając sobie, że nie jestem jeszcze gotowa na odbieranie gratulacji.

Jared się zaśmiał.

- Powiem mu, że dzwoniłaś.

Zakończyłam rozmowę, chcąc się przespać, zanim Mickey oddzwoni, ale gdy dwie godziny później się obudziłam, miałam wrażenie, jakbym w ogóle nie zasnęła. Przesłałam Mickeyowi wiadomość i przystąpiłam do porządkowania zagraconego pokoju. Przede wszystkim postanowiłam wyjąć drzwi harmonijkowe z szafy. Zamierzałam wykleić tapetą jej wnętrze i umieścić w nim półki oraz wiklinowe kosze na rzeczy dziecka, tak jak to widziałam w ilustrowanym magazynie. Lecz gdy tylko zaczęłam robić porządek, uświadomiłam sobie, że zadanie to jest niewykonalne.

Do jednego worka wsadziłam puste pudełka, papier i inne śmieci, a kolejny - ze starymi butami - postanowiłam zanieść do sieci Goodwill. Uzbierał się też stos swetrów, których nie widziałam od lat. Właśnie kończyłam, gdy moją uwagę przykuła górna półka. Znajdowała się na niej zakurzona skórzana torba, której nie widziałam nigdy przedtem, wypełniona starymi papierami. Pomyślałam, że to prace szkolne z dawnych lat, ale gdy przyjrzałam się im bliżej, stwierdziłam, że były to listy miłosne, które ojciec pisał do mamy.

Odjęło mi mowę. Jeszcze dzisiaj oczyma wyobraźni widzę tatę: śmiejącego się hałaśliwie masywnego mężczyznę z okazałym brzuchem, o silnych, łagodnych dłoniach.

Nosił ciężki pas z kaburą na pistolet oraz srebrną odznakę na piersi. Czyżby pisał też listy miłosne? Usiadłam na podłodze pośród całego tego rozgardiaszu i zaczęłam czytać. Było to tak piękne, że wprost nie mogłam uwierzyć własnym oczom. Znalazłam nawet znajomy wiersz. Nigdy wcześniej go nie czytałam, ale nasza mama, leżąc w malignie - a właściwie tuż przed śmiercią - zaczęła majaczyć i wyrzucać z siebie te piękne słowa. Bez końca powtarzała frazę: „Twój uśmiech jest moją tęczą, twój śmiech jest moim domem, twój dotyk jest moim niebem...”. Teraz zrozumiałam, że cytowała wiersz napisanym przez ojca na kruchym, pożółkłym ze starości papierze.

Wśród wszystkich tych listów natrafiłam na grubą kopertę zaadresowaną do jakiegoś redaktora z Doubleday, z przyklejonym znaczkiem i gotową do wysłania. Otwarłam ją i wygładziłam kartki papieru, które znalazłam w środku. „Anioł dla księżniczek - baśń” autorstwa Jamesa Houstona.

Co takiego? Listy miłosne, poezja, a teraz baśń? Kim był ten człowiek?

Rozpoczęła się tak jak wszystkie baśnie...

Dawno temu żył sobie król. Oczywiście za żonę miał królową piękną nie do opisania. Codziennie budziła się ona z uroczym i zagadkowym uśmiechem na ustach, będącym niezawodną oznaką jej królewskiego majestatu.

Niebawem ogarnęła ją jeszcze większa radość, gdyż oboje z królem wkrótce pobłogosławieni zostali trzema zielonookimi córeczkami. Nikt i nic nie mogło dorównać pod względem

urody tym pięknościami o szmaragdowych oczach: królownie Priscilli, królownie Liliannę i królownie Lulu.

Moje oczy zaszyły łzami. Tak nazywał mnie tata.

Serce króla przepętniał zachwyty, gdy na świat przyszła pierwsza księżniczka, Priscilla. Cóż za piękność, pomyślał. Czyż istnieje ktoś szczęśliwszy ode mnie? Gdy urodziła się druga księżniczka, król z nadmiaru tych dobrodziejstw aż zapłakał - dwie księżniczki! Po czym na świat przyszła jeszcze trzecia księżniczka. Król nie mógł uwierzyć, że obdarowano go takimi skarbami, by ich strzegł i otaczał je miłością. Wkrótce też zaczęła dręczyć go bezsenność z obawy o swoje córki, bo choć był potężnym władcą, był także troskliwym ojcem, który wiedział, że wolałby raczej umrzeć, niż dopuścić, by którąś z nich spotkało coś złego.

Tak więc uczynił coś, co w takich okolicznościach uczyniłby każdy inny król: ogłosił konkurs na opiekuna dla księżniczek, który chroniłby je przed latającymi smokami i paskudnymi czarnoksiężnikami czyhającymi za bramami zamku. Rozgłosił swój zamiar na wszystkie światy strony, przyrzekając zwycięzcy wielką nagrodę. Gdy jednak wszyscy kandydaci zostali odrzuceni, do królewskiej duszy wkradła się zgryzota. Dniem i nocą król stał prośby do nieba i czekał cierpliwie - chociaż z czasem coraz mniej cierpliwie - aż ześle ono odpowiedź na jego prośbę. Trawiony niepokojem nocami przemierzał korytarze zamku. Pił gorące mleko i czytał nudne księgi, a nawet się zastanawiał, czyby nie uraczyć się wywarem,

który podobno sprowadzał sen. Dobra królowa, jego żona, masowała jego królewskie stopy, lecz na nic się to nie zdało. W końcu zapłakał gorzko. I właśnie wówczas, zobaczywszy go w tak rozpaczliwym stanie, zjawił się anioł.

Był to mały psotnik i miał wielkie oczy o barwie, jaką przybiera o północy ocean.

- Jestem Abigail - powiedział anioł.

- Znam cię - rzekł król, choć nie bardzo wiedział skąd. - Czy ty jesteś obrońcą, którego szukam? Czy będziesz potrafił nałożyć na siostry węzeł wzajemnego przywiązania? Czy posiadasz magiczną sztukę uleczenia złamanych serc i kojenia rozpaczy?

Anioł się skłonił.

- Czym mogę służyć Waszej Wysokości?

- Och, mój aniele, pragnąłbym, byś błogosławił moim córkom i je chronił. Natchnij je moją miłością i strzeż pod moją nieobecność. Czy możesz mi to obiecać?

- To dla mnie zaszczyt.

Król przyjrzał się niepozornej postaci anioła, który sprawił, że w jego sercu zagościł spokój.

- Chodź ze mną - powiedział. - Musisz zobaczyć księżniczki, które teraz śpią. Ich dusze najczystsze są w czasie snu.

W pierwszej komnacie spała księżniczka Priscilla z rozrzuconymi w pościeli szczupłymi dłońmi i stopami. Miała grube rzęsy i drobny, nieco zadarty nosek, a malujący się na jej twarzy spokój zadawał kłam kłębowisku myśli, które ją nawiedzały, gdy nie była pogrążona we śnie.

- Oto moja piękna najstarsza córka. Jest już u progu

kobiecości. Jest błyskotliwa, we wszystkim, czemu się oddaje, dąży do perfekcji, lecz zdarza jej się zapominać o dobru - rzekł król. - Aniele, musisz sprawić, by jej dusza nie cierpiała, gdyż mają córkę łatwo zranić, a jej cięty język broni dostępu do czułego serca.

Anioł się uśmiechnął, wiedząc, że takie ukojenie zsyła czas, gdy dopełni się miara cierpień.

W następnej komnacie znajdowały się dwa łóża. Jedno z nich, co osobliwe, było puste. Na drugim leżały splecione ramionami księżniczka Lulu i księżniczka Liliannę, która wślizgnęła się do łóża siostry, niby to chcąc nad nią czuwać. Król wziął na ręce Liliannę i przeniósł na jej posłanie stojące przy oknie. Okrył kołderką jej wiotkie ramiona.

- Ta spośród księżniczek ma najczystsze serce i najmiłszy charakter, lecz nie wierzy we własną szlachetność. Zanadto ulega zmartwieniom, mój aniele. Chciałbym, by częściej się śmiała. Natchnij ją odwagą, by potrafiła działać zgodnie ze swą wewnętrzną prawdą.

- Pomogę jej w odnalezieniu własnej siły - rzekł mądry anioł.

Następnie król podszedł do kolejnego łóża, w którym spała najmniejsza królewna. Jej ciemne loki spływały na poduszkę, a w buzi trzymała swój królewski kciuk. Król ukląkł przy niej i pogładził ją po gładkim czole.

- Ta księżniczka, aniele, tylko wydaje się taka krucha i łagodna, tymczasem ma zahartowanego ducha i pełną determinacji naturę. Kryje w sobie obietnicę, która z pewnością ocali nas wszystkich.

Po obliczu króla spłynęła pojedyncza łza, którą anioł złapał w dłoń. Władca ucałował swą małą córeczkę, po czym rzekł:

- Jest moim pragnieniem, by ta księżniczka odnalazła w naszym niedoskonałym życiu ukrytą radość.

- Po to się narodziła, panie.

Król przypatrywał się urodziwemu cherubinkowi, niewątpliwemu wysłannikowi krainy bogów i snów. Wiedział, że tylko on może ukoić jego udrękę i uwolnić go od trosk. Był o tym przekonany wgłębi swego królewskiego serca, chociaż nie miał pojęcia, skąd wzięło się w nim to przekonanie.

W końcu król życzył Abigail dobrej nocy i wśliznął się do łóżka, obok swej królewskiej małżonki. Dopiero teraz mógł zasnąć.

Usłyszałam skrzypnięcie frontowych drzwi i wołającą mnie po imieniu Lily. Przycisnęłam do serca strony zapisane przez tatę i poczułam dreszcz przebiegający mi wzdłuż kręgosłupa. Mój duży i silny tata w policyjnym mundurze napisał dla nas baśń. Nie mogłam wprost uwierzyć, że tak dobrze wiedział, kim byliśmy wtedy i kim jesteśmy teraz - i że aż tak bardzo nas kochał. Otarłam oczy i włożyłam opowiadanie z powrotem do koperty, czując przyływ tęsknoty, jakiej nie zaznałam już od lat.

Gdy Lily wkroczyła do pokoju, ciągle siedziałam w swoim gniazdku z pierwszą edycją dzieła Jamesa Houstona w dłoni.

- Lucy, znienawidziłaś mnie?

Pokręciłam głową - jakby nienawiść do niej w ogóle mogła wchodzić w grę! - i cały mój gniew zniknął.

Moja siostra stała przez chwilę bez ruchu, lustrując mnie wzrokiem. Wydawała się taka niepozorna. Miała w ręku kolorową paczkę chusteczek higienicznych, a jej dolna warga drżała.

- Lucy, nie mogę uwierzyć, że tak cię potraktowałam. Wskazałam jej dłonią miejsce przy mnie i Lily usiadła.

- Po prostu byłam zaskoczona. Lu, tak mi przykro. Zdaje się, że Lily sporo płakała, bo miała opuchnięte i zaczerwienione oczy i ciekło jej z nosa. Objęła mnie ramionami.

- Wciąż jesteś wściekła? - spytałam, opierając brodę na jej karku.

- Wcale nie chcę być wściekła, Lucy. Bardzo staram się nie być...

- Co mam zrobić?

- Nic. To nie twoja wina. Zamierzam się teraz cieszyć każdą chwilą twojego szczęścia. Choć jeszcze nie jestem na to gotowa. - Pociągnęła nosem. - Po prostu nie zdawałam sobie sprawy, że mimo upływu czasu nadal mam w sobie demona.

- Jakiego demona? O czym ty mówisz? Lily pokręciła głową.

- Po tym, jak straciliśmy dziecko, tygodniami nie wstawałam z łóżka. Nieomal zniszczyłam swoje małżeństwo. Wciąż widziałam tę małą twarzyczkę. - Po policzkach pociekły jej łzy. Z trudem łapała oddech. - Byłaś w szkole, z dala od domu, więc nie wiesz, jak źle było ze mną. Uznałam, że skoro nie mogę mieć tego chłopca, to chcę zasnąć i nigdy się nie obudzić. - Otarła nos wierzchem dłoni.

-Lily...

- To było straszne. Nienawidziłam siebie za to, co robię - Ronowi i sobie. Ale nie mogłam nic na to poradzić. Wiesz, Lucy, staram się nigdy o nim nie myśleć, ale teraz ty... to, co mi obwieściłaś...

Spojrzałam na siostrę. Pomyślałam, że dzielimy się wszystkim, ale nie miałam pojęcia, jak cierpiała, kiedy straciła Jamiego. Do tego stopnia byłam pochłonięta własnym życiem.

Lily otarła oczy z łez.

- Mówię to wszystko bez żadnego podtekstu. Po prostu chcę, żebyś mnie zrozumiała. To nie chodzi o ciebie ani o twoje dziecko. Problem tkwi we mnie.

- Tak mi przykro, Lii. Nie miałam o tym pojęcia.

- Nie chcę, żeby ci było przykro! Po prostu chciałam ci to wyjaśnić.

- Nie musisz niczego wyjaśniać. Jest w porządku. Wszystko się ułoży.

Lily wyswobodziła się z mojego uścisku i spojrzała na mnie z błyskiem gniewu w oczach.

- Jak ci się to udaje? Jak ty to robisz, że zawsze jesteś taka dobra, taka miła? Z tobą jest coś nie tak, Lucy, i bardzo tego w tobie nie lubię.

Zaśmiałam się.

- To nie jest śmieszne, Lucy. Wolałabym, żebyś stawiała mi opór. Byłam dla ciebie nieznośna. Ale ty nigdy się nie skarżyłaś. Budzisz się pewnego ranka, Mickey robi w twoim życiu straszny bałagan, a ty ani słowem się nie

poskarżysz. Mama umiera niespodziewanie, gdy najbardziej jej potrzebujesz, spotykają cię straszne rzeczy, a ty godzisz się ze wszystkim! Twoje najnowsze wieści przyjmuję bez entuzjazmu, a ty nie zrobisz mi nawet awantury. Lucy, co z tobą?

Nie miałam nic do powiedzenia, więc stwierdziłam tylko:

- To wina Priscilli.

- Właśnie, to wszystko jej wina - zgodziła się Lily i roześmiała się.

Obie się roześmiałyśmy. Ilekroć musiałyśmy coś na kogoś zwalić, wybierałyśmy Priscillę.

Lily wręczyła mi prezent, a właściwie dwa prezenty. Były to najmniejsze buty do koszykówki, jakie w życiu widziałam. Chłopięce miały kolor jasnopomarańczowy, a dziewczęce - blad różowy.

Potem popłakałyśmy sobie i pośmiałyśmy się, wypiliśmy herbatę i poczytałyśmy niektóre listy miłosne ojca do mamy, po czym moja siostra poszła do domu, żeby przygotować obiad. Zaprosiła nas na posiłek, a ja obiecałam, że przyniosę sałatkę. Lily naprawdę się starała - starała się cieszyć moim szczęściem pomimo własnego bólu. Zawsze taka była. Zawsze była dziewczynką z baśni mojego ojca, tą łagodną, która zanadto się martwiła i za mało się śmiała.

Nie pokazałam Lily historii ojca. Wpadłam na lepszy pomysł.

Gdy zbierałam do torby wszystkie papiery ojca, usłyszałam, że Jan właśnie wróciła do siebie. Przebiegłam przez ogródek i zapukałam w jej rozsuwane drzwi.

- Proszę! - usłyszałam w odpowiedzi.

Jan stała przy zlewie, płuczac dużą kiść winogron, z torebką zwieszającą się jej z ramienia, w ciemnych okularach zsuniętych na przetykane siwizną włosy. Zakręciła wodę i spojrzała na mnie.

- Witaj, panienko. Masz ochotę na jakiś owoc? Położyła winogrona na kontuarze, a z plastikowej torebki wydobyła pudełko truskawek.

- Usiądź, pogadamy.

Przypatrywałam się jej. Wyglądała jak modelka, która przypadkiem trafiła do domu z piernika. Była zadbana w najdrobniejszych szczegółach, z pomalowanymi na czerwono paznokciami i diamentową bransoletką wokół nadgarstka. Tajemniczo się do mnie uśmiechnęła.

- Wiesz o wszystkim, prawda? - Czekałam, aż zaprzeczy.

- Wiem o czym? - spytała z udawanym zdziwieniem.

- Gdzie teraz byłaś? W sklepie? W Ghosts?

- Wpadłam na chwilę odwiedzić syna... - Uśmiechnęła się ciepło. - Tak się cieszę, kochanie.

- Serio?

- Ależ oczywiście! - Postawiła na stole miskę z owocami i objęła mnie. - Trochę się też martwię, ale dziecko... to wspaniała wiadomość!

Odsunęła mnie na długość ramienia i ujęła moją twarz pod brodę. Ujrzałam w jej oczach niekłamana radość. I obawę. Wiedziała o mojej umowie z Mickeyem. Próbowałam jej podziękować, ale z trudem dobyte głosu przez zaciśnięte gardło.

- Widziałaś się z Lily? -Nie.

- Ma z tym problem.

Skinąwszy głową, Jan oderwała z kiści jedno winogrono.

- Nie wątpię. Bądź dla niej wyrozumiała, kochanie. Po stracie dziecka jej serce pękło na pół.

- Oddałabym wszystko, żeby jej nie ranić.

- Ona o tym wie.

Rozejrzałam się po lśniącej czystością kuchni, w której narożniku Jan urządziła pracownię. Nie dlatego że jej nie miała - mieściła się w korytarzu na dole - ale ponieważ wpadające przez okna kuchni światło było o tej porze roku zupełnie niezwykle. Wprost wymarzone dla portrecisty.

Podeszłam do sztalug i zaczęłam podziwiać surowy jeszcze szkic, zapowiadający wizerunek pięknej młodej kobiety.

- To Jessica Nash - powiedziała Jan.

- Ach tak. Co u niej?

- Zmaga się z nieszczęściem, które ją spotkało. Biedactwo. Ale myślę, że jest szczęśliwa w otoczeniu przyjaciół i dziadków. Przyszła do mnie nazajutrz po pogrzebie, żeby przyjrzeć się moim rysunkom do książki jej mamy, i strasznie się rozgadałyśmy. Nie mogłam się powstrzymać i ją narysowałam.

- Jest piękna. Jan przytaknęła.

- Pytała o twoją mamę. Nie wiedziałam, że zna tę historię.

- Powiedziałam jej na cmentarzu. Pomyślałam, że pewną

ulgę przyniesie jej świadomość, że ktoś inny też przez to przeszedł.

Ponownie odżyło we mnie wspomnienie rodziców. Pamiętałam też, dzięki czemu udało mi się przetrwać. Wyjęłam kopertę z torebki i wręczyłam ją Jan.

- Mam pewną prośbę...

Kiedy wróciłam do domu, zastałam wiadomość od Gleasona.

- Rozumiem, że czas na gratulacje. Mickey wydaje się bardzo szczęśliwy. Przypuszczam, Mic, że spotkamy się w tym tygodniu. Ty, Lucy, też przyjdź - usłyszałam od niego.

W głębi serca zaczęłam odczuwać niepokój. Nie potrafiłam nawet stwierdzić, co takiego Gleason powiedział, że popsuł mi humor. Już wiem. To Mickey. To Mickey do niego zadzwonił. Ale dlaczego? Dlaczego nie mógł poczekać z wiadomością o dziecku do rutynowej wizyty? Czyżby się bał?

Nagle przypomniałam sobie, jak któregoś dnia przed laty siedziałam w poczekalni, wymyślając tę naszą cholerną umowę. Punktu głoszącego „żadnych dzieci” nie było jeszcze wtedy w planach. Pojawił się dopiero po wykryciu u mnie raka i kompletnym załamaniu Mickeya. Czyżby mojego męża ogarnęły wątpliwości?

Wieczór nie przyniósł żadnych zmian na lepsze. Mickey był wkurzony, że Gleason zadzwonił, więc przyszliśmy do Lily cokolwiek nie w formie. Moja siostra też była

niedoświadczone. Cały obiad przebiegł więc w atmosferze sztuczności i niezręczności. Nie mogłam się doczekać, aż stamtąd wyjdziemy.

Wracaliśmy do domu w milczeniu, choć trzymaliśmy się za ręce. Gdy minęliśmy róg Gambol Street i Chestnut, Mickey ścisnął moje palce.

- Wszystko w porządku, Lu? -Tak.

Przyciągnął mnie do siebie.

- Gniewasz się na Lily?

- Jak mogę się na nią gniewać? To był po prostu nieudany wieczór i tyle. Przeżyjemy to jakoś.

Mickey pocałował mnie w czoło.

- Przykro mi z powodu Gleasona. Wkurza mnie, że dzwonił.

- Dlaczego?

- Nie chcę, by ktokolwiek - on czy ty - myślał, że boję się zostać ojcem. Po prostu zadzwoniłem do niego z dobrą wiadomością. Jestem podekscytowany.

- Spojrzałam mu w oczy.

- Jesteś pewien?

- Całkowicie. Tylko że on tak dobrze mnie zna... Mocniej chwyciłam go za rękę.

- Mick, proszę! Niczego przede mną nie ukrywaj. To zbyt poważna sprawa.

- Co masz na myśli?

- To, że jeśli się boisz, chcę o tym wiedzieć. Boisz się? Zaprzeczył ruchem głowy.

-Nie.

- Jesteś pewien?

- Nie dzwoniłem do Gleasona dlatego, że się boję. Zrobiłem to, ponieważ chcę do tego podejść jak należy. Nie chciałbym niczego schrzanić. Nie chcę zawieść ciebie ani małego.

- Więc nie zawieź. Mickey zachichotał.

Resztę drogi przeszliśmy w milczeniu, a gdy dotarliśmy do domu, usiedliśmy na podeście schodów. Noc była spokojna, na niebie widać było mnóstwo gwiazd. Usłyszałam dochodzące z domu Jan i Harry'ego dźwięki z telewizora, a z parku - dalekie odgłosy gry w softball. Głęboko odetchnęłam.

- „Małego”?

- Słucham?

- Dziecko. Nazwałeś je małym.

- Chyba tak.

- To dziewczynka. Mickey spojrzał mi w oczy.

- Charlotte ci powiedziała?

- Nie. Po prostu to wiem.

Na jego twarzy pojawił się wyraz idiotycznego rozbawienia.

- Miniwersja ciebie samej? Jakie ono ma rozmiary? Musnął mnie po twarzy palcem, potem pocałował,

najpierw delikatnie, w końcu bardziej łapczywie. Kiedy zaczął odpywać, w jego oczach pojawiła się tkliwość. Nie

dostrzegałam w nich już cienia strachu, który istniał chyba tylko w mojej wyobraźni.

- Kocham cię, Lu.
- Nie kituj, Michael. Znowu mnie pocałował.
- Rozbierzmy się - wymruczał.
- Cóż za cudowny pomysł...

ROZDZIAŁ 13

7 lipca 2011

Wszystko świetnie się układało i czułem się znakomicie: dziecko i towarzyszące temu podniecenie, najróżniejsze plany, ja i Lucy stający się sobie coraz bliżsi, budujący wspólny dom dla naszej powiększającej się rodziny... Ilekroć widziałem dziecko w wózku, czułem, jak uderza mi do głowy fala szczęścia, i uświadamiałem sobie, że muszę nad nią zapanować. Ilekroć wchodziłem do naszej sypialni i spoglądałem na zakupiony przez nas dziecięcy fotelik, zaczynałem się śmiać, po czym samego siebie za to ganiłem. I nie chodziło tylko o dziecko. Nie mogłem się nacieszyć swoją żoną - dotykaniem jej, wdychaniem jej zapachu, jej widokiem. Ogarnął mnie lęk, że oto cienka granica oddzielająca radość od patologii zaczyna się zacierać i że tańczę na linie rozpiętej nad przepaścią. Zdrowy człowiek nie musi kwestionować natury swego dobrego samopoczucia. Ale osoba z zaburzeniami nastroju, usiłująca znaleźć równowagę, naprawdę musi trzymać rękę na pulsie. Wszystkie te

obsesje sprawiły, że stałem się nerwowy. Porozmawiałem o tym z Gleasonem. Przepisał mi lamictal.

Jedliśmy z Gleasonem Webbem lunch w Deep River Center i odbywaliśmy jednocześnie taką małą improwizowaną sesję. Omówiliśmy już listę lekarstw zażywanych przez Mickeya i niezbędną ilość snu. Teraz Gleason uśmiechał się do nas sponad zamówionej pizzy.

- Czuję się, jakbym miał zostać dziadkiem!

- No cóż, powinieneś się tak czuć, dziadku Gleason! - powiedziałam.

Zaśmiał się.

- A więc oboje jesteście szczęśliwi?

- I to jeszcze jak! - rzekł Mickey, a ja potwierdziłam skinieniem głowy.

- Dobrze to znosicie - stwierdził Gleason, gdy kelnerka ponownie napełniła kieliszki.

Lubiłam to stwierdzenie: „dobrze to znosicie”. Zresztą była to prawda. Pomijając siostry, które nie były pewne, co mają o tym wszystkim myśleć, oraz lekarza, który przeplatał swoje obawy życzeniami pomyślności, od czasu wyjścia Mickeya ze szpitala wszystko dobrze nam się układało. Ostatnią naszą kłótnią była drobna sprzeczka po owym telefonie Mickeya do Gleasona. Od tamtej pory bez reszty pochłonęło nas przygotowywanie pokoju dla naszego dziecka. Nawet po tym spotkaniu-lunchu z doktorem Webbem mieliśmy się wybrać po kilka dodatkowych próbek farby,

by wybrać kolor na jego ściany. A w następnym tygodniu miałam zamiar wyciągnąć Mickeya na wyprzedaż łóżeczek dzieciennych, która miała się odbyć w Baby Depot w New London. Zupełnie mnie zauroczył mały kosztowny zestaw mebelków, na który natrafiłam w katalogu Portery Barn, a który usiłował mi wyperswadować Mickey. Teraz będzie miał swoją szansę.

Tymczasem ciężko pracowaliśmy w dawnej sypialni Priscilli. Byłam zaskoczona ilością nagromadzonych tam rupieci. Zapełniliśmy osiem dużych worków na śmieci oraz sześć pudeł rzeczami, które zamierzaliśmy zanieść do sieci Goodwill. Pęknięty blat i zrolowany dywan przeznaczaliśmy do wyrzucenia. Teraz grunt został oczyszczony. Ściągnęłam nawet stare zasłony z okna wykuszowego, choć przez nie do pokoju wpadło słoneczne światło, uwypuklając wszystkie nierówności na drewnianej podłodze i ujawniając jej opłakany stan. Mickey obiecał ją przeszlifować, ja zaś pomyślałam, że gdy już będzie skończona, poszukam i rozłożę na niej kolorowy dywan z pluszu, wystarczająco miękki, by dziecko mogło po nim raczkować w promieniach słońca... Nagle poczułam szturchnięcie w bok. To Mickey wyrwał mnie z zamyślenia. Byłam nieco zakłopotana.

- Przepraszam, Gleason, ale właśnie wyobrażałam sobie nasz pokój dziecienny. Jeśli chodzi o ściany, to wahamy się między kanarkową żółcią a jasnym różem.

Gleason zachichotał i położył rękę na sercu.

- Cóż, widzę, że przed wami naprawdę fundamentalne decyzje. Mówiłem tylko, że bardzo jestem dumny z was

o bojga. - Kiwnął głową. - Naprawdę myślę, że los się do was uśmiechnął wbrew wam samym. Wiem, że nie planowaliście tego, ale znaleźliście w swoim życiu miejsce również i na to. I wygląda, że dobrze sobie radzicie.

- Owszem - powiedział Mickey. - Mały cud zdarzył się dziwnym zrządzeniem losu i zamierzamy mu zaufać.

Uśmiechnęłam się do niego. Czasem mój mąż sprawiał, że zapierało mi dech w piersiach.

- Dobrze, że tak uważasz, Mic. - Gleason dopił kawę.

- Oboje podejmiecie to wyzwanie, jak zawsze zresztą. I oczywiście możecie na mnie liczyć, gdybyście mnie potrzebowali. - Podniósł się z krzesła. - Mam spotkanie o trzynastej czterdzieści pięć, więc sami zjedzcie resztę. Dzwońcie, jeśli będziecie czegoś potrzebować. Jeśli nie, to widzimy się za dwa tygodnie, a wtedy to wy postawicie mi lunch. - Gleason się uśmiechnął, a na odchodnym poklepał Mickeya po ramieniu.

Mickey spojrzał na mnie.

- Widzisz? On uważa, że dobrze się stało. Pocałowałam go w policzek. To za mało powiedziane.

Gleason miał pewność, że sobie poradzimy, i to dodało mi otuchy.

To niesamowite, jak bardzo podniósł nas oboje na duchu ten wspólny cel. Może stało się tak dlatego, że byliśmy sami prawie przez jedenaście lat, czego zresztą żadne z nas nie uważało za nieszczęście. Teraz jednak czyniliśmy przygotowania godne pojawienia się małej królowny. A radość, jaką przeżywaliśmy, była niczym powtórny stan zakochania

- pośród desek i puszek z farbą.

A już z pewnością było tak owego poranka, gdy Mickey wreszcie znalazł czas, by przeszlifować podłogę. Gdy spod warstwy brudu wydobyliśmy brzozone deski o miodowej barwie, byliśmy tak podekscytowani, że niemal zaczęliśmy tańczyć z radości.

- Ależ to piękny kolor. Wystarczy nałożyć warstwę lakieru bezbarwnego! - zawołałam z entuzjazmem, choć zadyszana, i zakaszlałam. - Tylko że... - dodałam, uśmiechając się kpiąco - jest trochę za jasny jak na kanarkową żółć. Potrzeba nam koloru o większej głębi.

- Ale nie różowego - upierał się Mickey. - Jest zbyt... dziewczynkowaty.

- No cóż...

- Potrzebujemy czegoś pomiędzy, ale nie różu. Poza tym nawet jeszcze nie wiemy, czy to dziewczynka, a nie chcę, żeby mój syn dostał oczopląsu od wpatrywania się w kolor pepto-bismolu. Bo może to jest chłopiec...

- To nie jest chłopiec. Założę się o wszystkie pieniądze na naszej książeczce czekowej, że to dziewczynka.

- Wiesz, że jest na niej tylko sto dwadzieścia dziewięć dolarów. Więc chyba nie masz, żono, wielkiej pewności?

Mickey pokryty był warstwą pyłu, a drocząc się ze mną, zdjął koszulę i otarł nią twarz. Uśmiechnęłam się na widok jego muskularnej piersi lśniącej w promieniach słońca.

- Co robisz? - spytałam, gdy zaczął rozpinąć spodnie.

- Wezmę prysznic, a nie chcę zabierać z sobą na spotkanie ani cząstki tego, co tu robimy. Za pół godziny mamy z Jaredem przesłuchanie jakiegoś nowego talentu.

- Hmm... - mruknełam. - Nie wiedziałam, że masz się z kimś spotkać - stwierdziłam, gdy byliśmy już w łazience.

- Na pewno ci mówiłem.

- Na pewno nie.

Cisnął na podłogę swe bokserki i wszedł do kabiny, opowiadając coś o tym nowym talencie, ale go nie słuchałam. Zaczęłam rozpinąć bluzkę. Kiedy rozsunęłam pokryte parą szklane drzwi, byłam zupełnie naga. Uśmiechnęłam się. Mickey wyszczerzył zęby i uniósł brew.

- Co ty właściwie wyrabiasz, panienko?

- Dopiero zamierzam wyrabiać. Różne brzydkie rzeczy.

- Jakie rzeczy?

- Bardzo brzydkie. Zamierzam sprawić, że spóźnisz się na swoje spotkanie.

- Jakie spotkanie? - spytał Mickey, dotykając mnie namydlonymi rękami.

Kilka tygodni później musiałam wziąć udział w stanowej konferencji nauczycieli, odbywającej się w Hartford. Nie było mnie przez cały dzień, a gdy w końcu wróciłam do domu, zastałam Mickeya siedzącego na werandzie przed naszym domem. Był w szortach i miał bose stopy, z czego wywnioskowałam, że nigdzie się nie wybiera. Wysiadłam z auta. Byłam w dobrym humorze.

- Hej, co robisz dziś domu? - zapytałam, całując go w czoło. - Myślałam, że jesteś w klubie.

- Mam pewien plan, więc wziąłem dzień wolnego.

- Jaki plan? - spytałam, usiłując zapanować nad nutą niepokoju w głosie.

Mickey się zaśmiał.

- Spokojnie. Zamknij oczy i chodź ze mną. Uzyskawszy obietnicę, że nie będę podglądać - co było

raczej niemożliwe, gdyż zasłonił mi oczy swymi dużymi dłońmi - zaprowadził mnie do domu. Spodziewałam się zapachu farby, ale najwyraźniej tym razem nie chodziło o malowanie pokoju dzieciennego.

- W porządku, Lu, możesz popatrzeć.

Wydałam pisk radości. Na samym środku mojego pokoju gościnnego stało łóżeczko dziecięce, które tak mi się spodobało, gdy zobaczyłam je w katalogu. W rzeczywistości było jeszcze piękniejsze niż na zdjęciu. Miało kolor złamanej bieli, grube tralki i można je było przekształcić w podwójne, gdy dziewczynka podrośnie. Spojrzałam na Mickeya i rzuciłam mu się na szyję.

- Jest fantastyczne! Dziękuję ci, kochanie! Bardzo ci dziękuję...

Obsypałam jego twarz pocałunkami.

Wykonał kawał dobrej roboty, składając łóżeczko. Niczego więcej nie potrzebowałam. Wodziłam rękami po ramie i już zaczęłam sobie wyobrażać, jak będzie w nim wyglądać różowa pościel, którą wybrałam, ciemnowłosa dziewczynka śpiąca w różowej pościeli... Cofnęłam się, by mieć lepszy ogląd całości. Następnie roześmiałam się, gdyż łóżko zajmowało sporo miejsca.

- Wiem - powiedział Mickey, czytając w moich myślach.

- Chciałem złożyć je w pokoju dzieciennym. I tak też by się stało, gdyby dostarczono je w przewidzianym terminie - to znaczy w przyszły czwartek. Tymczasem przywieziono je dzisiaj, a ja nie mogłem się oprzeć pokusie. Malowanie urządzimy w ten weekend, kiedy będziemy już wiedzieć, że to chłopiec, i wtedy wniosę je na górę. Pocałowałam go, ściągając buty.

- Jesteś cudownym mężem, nawet jeśli głęboko się mylisz.

Przysiadłam na sofie, żeby podziwiać dzieło Mickeya. Wciąż nie chciał kupować farb, dopóki Charlotte nie przyzna mi racji, więc wyglądało na to, że na razie łóżeczko pozostanie w naszym salonie. Nie przeszkadzało mi to.

- Jadłeś coś? - spytałam, ziewając.

- Nie, czekałem na ciebie.

- A co będziemy jedli?

- Proponuję lasagne. Właśnie zrobiłem. Popatrzyłam na niego i łzy zakręciły mi się w oczach.

- Och, jesteś moim idolem!

W następny weekend to ja zrobiłam niespodziankę Mickeyowi, znajdując na wyprzedaży rzeczy używanych fotel bujany. Był wielki, solidny i bardzo stary, ja zaś dopiero zobaczywszy go, uświadomiłam sobie, że tego właśnie szukam. Zupełnie mnie zauroczył. Wiedziałam, że idealnie będzie nadawał się do tego, by mój wspaniały mąż kołysał w nim do snu naszą córeczkę.

Ulegając naszym usilnym prośbom, Charlotte zgodziła się przeprowadzić w osiemnastym tygodniu mojej ciąży badanie określające płeć dziecka. Tak więc pierwszego sierpnia, w dniu, który na zawsze pozostanie w naszym kalendarzu wyróżniony kolorem, udaliśmy się do jej gabinetu. Założyliśmy się o sto dwadzieścia dziewięć dolarów i umowa ta nadal obowiązywała, choć byłam pewna, że będziemy mieli dziewczynkę. Wiedziałam, że Mickey w głębi duszy też tego pragnie, mimo że co jakiś czas dotykał mojego brzucha ze słowami: „Lu, wydaje mi się, że to chłopiec”.

Tak naprawdę chciałam, żeby poczuł coś, co ja zaczynałam czuć: jakby poruszenia motyli skrzydeł, z początku tak słabe, że zupełnie nie wydawały mi się tym, czym były w istocie - stopniowym ożywianiem się naszego dziecka. Czym prędzej kładłam sobie na brzuchu rękę Mickeya, by też mógł się przekonać, jak mała kopie.

Bev Lancaster poprosiła nas do gabinetu i kazała mi wejść na kozetkę. Dziesięć minut później nadal na niej leżałam z podkasaną koszulą. Zaokrąglony brzuch prezentował się w całej okazałości. Chciałam, by dziecko zaczęło się poruszać. Mickey z zabawnym wyrazem twarzy studiował plastikowy model kanału porodowego, gdy drzwi otwarły się i do gabinetu weszła Charlotte. Pchała przed sobą niewielki wózek, na którym znajdował się monitor. Zauważyłam również białą głowicę na kablu, wyglądającym jak telefoniczny.

- A więc... jak ma się dziś rodzina Chandlerów? - spytała. - Mickey, wyglądasz świetnie. Jak się czujesz?

- Doskonale, pani doktor. Choć trochę się denerwuję.
- Dlaczego?
- Nie znosi tracić pieniędzy - powiedziałam, sięgając po jego rękę.

Charlotte zaśmiała się i podłączyła urządzenie do gniazdka w ścianie.

- W porządku. Spójrzmy, jak to wygląda, i przekonajmy się, kto wygrał zakład.

Wydobyła z pudełka w szafce jakiś żel w tubce i strzyknęła nim na mój obnażony brzuch. Spodziewałam się, że żel będzie zimny, więc czekała mnie miła niespodzianka: poczułam ciepło. Charlotte włączyła komputer, potem uśmiechnęła się do mnie, kładąc mi na dolnej części brzucha głowicę USG.

- Zobaczmy, co tutaj mamy.

Na monitorze komputera natychmiast coś się pojawiło. Nie wiedziałam, na co patrzę. Przypominało to śnieżenie w źle wyregulowanym czarno-białym telewizorze. Spojrzałam na Mickeya, który był bliżej monitora i też usiłował odcyfrować obraz.

- Gdzie jesteś, maleńki? - mruknęła pod nosem Charlotte, powoli przesuwając głowicę na moim brzuchu.

Wydawało się, że coś zaczyna pojawiać się na ekranie, ale musiałam zakaszleć i to coś zniknęło.

- Chcesz wody, Lucy? - spytała lekarka.
- Nie, dzięki. Wszystko w porządku.

Charlotte znów zaczęła przesuwać głowicą po moim brzuchu i już po chwili obiekt na monitorze przybrał określony kształt.

- Tutaj jesteś... - powiedziała Charlotte. - A oto i nasz maluch. Pokręciła jedną z gałek, dzięki czemu obraz stał się ostrzejszy.

- Widzicie główkę?

- W którym miejscu? - spytaliśmy równocześnie.

- O, tutaj - wskazała Charlotte, a wówczas oglądany obraz stał się dla nas bardziej czytelny. - Przy takim zbliżeniu twarz jest niezbyt dobrze widoczna.

- Skąd wiadomo, że to twarz? - spytał Mickey. - Widzę tylko czarne plamy... czy też... co ja właściwie widzę?

- To są oczy twojego dziecka, ale widzisz same oczodoły. Zobaczmy, czy da się uzyskać profil.

Charlotte zakreśliła główką okrąg na moim brzuchu i przycisnęła ją nieco mocniej.

- Czy to jest rączka? Co to takiego? - Mickey puścił moją dłoń i przysunął się do monitora.

- Tak, tu jest jedna rączka, a tam druga. Tutaj jest nóżka, a tu... druga nóżka. Szukam, szukam... - mruknęła pod nosem. - Nie widzę. Nic. Nie, nie wydaje mi się... To nie to.

Poprawiła główkę i ustawiła ją pod odpowiednim kątem. - Przykro mi, Mic, ale nie mogę znaleźć penisa.

- Jest pani pewna?

- No cóż, sam go znajdź. Mamy widok jak przez szybę. Patrzymy pomiędzy nóżki, ale z dołu. Przykro mi, tatusiu. Jeśli to jest chłopak, to wygląda jak dziewczynka.

- Wygrałam! - zapiszczałam z radości.

Mickey spojrzał na mnie, wyszczerzając zęby w uśmiechu.

- Przecież mówiłem, że to dziewczynka - stwierdził, potem pochylił się i złożył na mych ustach namiętny pocałunek. - Miniwersja ciebie... - szepnął zachwycony.

- Nie wyglądasz mi, tatusiu, na zawiedzionego - zachichotała Charlotte.

- No cóż, lepiej bym się poczuł, gdyby miała twarz... - powiedział Mickey ze śmiechem.

Ja też się roześmiałam, a potem rozplakałam - lecz nie dlatego, że mnie to zaskoczyło. Wszystko to nagle stało się tak bardzo realne. Mieliśmy córkę.

Charlotte mrugnęła do mnie.

- Miałaś rację, kochanie.

Nie wiem, skąd to wiedziałam, ale w owej chwili miałam poczucie, jakbym znała ją od zawsze. Moją córkę. Charlotte nie przestawał mówić, pokazując nam na USG komory jej serca, półkule mózgu... Mickey był zafascynowany, więc zadawał wszelkie możliwe pytania, ja zaś, patrząc na niego, miałam wrażenie, że wykradłam tę chwilę z cudzego życia, jakby wszystko przydarzyło się komuś innemu. Nie nam. W żadnym razie. Patrzyłam przez łzy na mojego wspaniałego męża, który przypatrywał się oniemiały zaciśniętej w piąstkę dłoni swej córeczki.

- Spójrz, Lu, widać każdą kostkę jej paluszków. Charlotte wydrukowała nam kilka zdjęć małej. Kiedy

się ubierałam, Mickey powiedział, że pędzi do firmy, żeby przerazić nimi Jareda.

- Jared ma kilkoro dzieci - stwierdziłam. - Takie zdjęcia go nie przerażają.

Mickey pocałował mnie w czoło.

- Tak czy owak, lecę. Ty też przyjdź po wizycie. Zjemy wspólnie lunch.

Przytyłam dwa i pół kilo, co nie wydawało się zupełnie normalne, ale Charlotte zapewniła mnie, że moja waga będzie się zmieniać. Wszystkie pozostałe parametry były takie jak należy: miałam prawidłowe ciśnienie krwi, praca serca też była w normie. Charlotte przeprowadziła rutynowe badanie moich piersi, zupełnie ignorując ich nadwrażliwość. Skupiła uwagę zwłaszcza na lewej i zanim pozwoliła mi się ubrać, stwierdziła, że ponieważ ma odpowiednią aparaturę, zrobi mi ultrasonografię. Charlotte była skrupulatna: najpierw zrobiła badanie lewej, potem prawej piersi, potem znowu lewej. Niewiele się odzywała. Wpatrywałam się w monitor komputera, nie mając pojęcia, na co patrzę.

- Widzisz coś, Charlotte?

- Hmm... Nie wydaje mi się. Głównie obrzęk. Zapewne tak właśnie mają wyglądać piersi przyszłej mamy.

Wyłączyła aparat i podała mi ręcznik.

- Trochę kłopotliwe, ale i tak mniej przykre niż mammografia, co?

- O wiele.

- W porządku, Lucy. Już cię przestaję męczyć. Wpadnij za dwa tygodnie, jeśli się nie odezwę wcześniej. .

- W porządku - powiedziałam, ześlizgując się ze stołu. - Ale tak się nie stanie, prawda?

- Oczywiście, że nie, kochanie. Chyba że zajdzie taka potrzeba. - Charlotte uśmiechnęła się.

Szybkim krokiem szłam ulicą do Brubaker Inn. Klub Mickeya znajdował się po drugiej stronie hotelowego korytarza. Gdy tam dotarłam, Mickey zamówił dla nas kanapki. Pochłaniając je w biurze, które dzielił z Jaredem, wpatrywaliśmy się w zdjęcia USG naszej córki. Doznałam niesamowitego uczucia na myśl o tym, że ta drobna istotka żyje wewnątrz mnie. Jared, który wpadł do biura, poczuł się w obowiązku udać, że też jest pod wrażeniem, a może zresztą naprawdę był. Chwycił w dłoń jedno ze zdjęć.

- Tutaj mała wygląda zupełnie jak ty, Lucy. Zaśmiałam się, lecz mówił całkiem serio.

- Sam zobacz, Mic. To profil Lucy. Nie mam racji? Po czym kazali mi odpowiednio się ustawić. Mickey wpatrywał się w zdjęcie ze zdumieniem.

- Nie do wiary! To twój profil, Lu.

Najchętniej pobiegłabym na drugą stronę ulicy do Ghosts i zapytała siostrę, co ona o tym myśli, ale stwierdziłam, że byłoby to niezręczne albo nawet mogłoby sprawić jej ból. Bardzo mi jej brakowało. Brakowało mi dzielenia się z nią wszystkim. Nie wiedziałam, jak znowu do tego wrócić.

Mickey musiał zauważyć zmianę mojego nastroju, bo zebrał i wręczył mi wszystkie zdjęcia.

- Dobra, mamusiu. Wystarczy tego gapienia się na naszą córeczkę bez twarzy. Musimy jeszcze kupić farbę.

- Miłej zabawy - rzucił Jared, gdy wychodziliśmy z biura.

- W końcu - odrzekłam, podnosząc się z miejsca. Nagle jednak zadzwonił telefon Mickeya. Widziałam, że chce odebrać.

- Zaczekam w holu - powiedziałam.

- Będę za chwilę - obiecał mój mąż.

W przestronnym holu naprzeciwko dużego kominka stała pluszowa sofa. Zaledwie wychyłam zza rogu, zobaczyłam Lily wchodzącą do Brubaker Inn. Nasze spojrzenia się spotkały i przemknęło mi przez głowę, że każda z nas najchętniej udałaby, że nie zauważa tej drugiej. Lily jednak nieznacznie skinęła do mnie i przygryzając wargę, podeszła bliżej.

- Zauważyłam cię, jak wchodziłaś - oznajmiła. - Ja... chciałam się dowiedzieć, co u ciebie.

- Wszystko w porządku, Lii. Cieszę się, że cię widzę. Zamierzałam do ciebie zajrzeć. A w każdym razie myślałam o tym.

- Co nowego?

Łzy napłynęły mi do oczu, gdyż i ją ogarnęło wzruszenie. A ponieważ zdobyła się na odwagę, by mnie poszukać, bez chwili wahania wzięłam ją za rękę i pociągnęłam ku sofie.

- Chcę ci coś pokazać, Lily.

- Co takiego?

Usiadłyśmy tuż koło siebie. Wydobyłam z kieszeni zdjęcia USG.

- Chcę, byś poznała swoją siostrzenicę. Odchrząknawszy, Lily drżącymi dłońmi wyjęła mi z rąk

wydruki. Objęłam ją ramieniem i oparłam głowę na jej ramieniu.

- Na razie niezbyt wiele widać, ale myślę, że jest piękna - powiedziałam.

Skinąwszy głową, zaczęła oglądać zdjęcia. Z jej oczu popłynęły łzy. Przez dłuższą chwilę milczała.

- Jest piękna - szepnęła w końcu. - Ale... co to takiego, Lu? Co jest na tym zdjęciu?

Zaśmiałam się. Lily również zaśmiała się przez łzy.

- To jej profil - wskazałam palcem. - To są nóżki, a to jejmałaj est em dziewczynką. Tutaj z kolei jest jej piąstka.

- Och, ona jest taka piękna! - Lily pokręciła głową. - Aż do tej chwili nie wiedziałam, jak bardzo zawsze chciałam mieć siostrzenicę.

- Naprawdę? - spytałam przez zaciśnięte gardło. Objęła mnie ramieniem.

- Masz dziecko. Dziewczynkę. Jakie to cudowne! - wyszeptała, zatopiwszy usta w moich włosach. - Koniec z tym wzajemnym unikaniem się. Nie zniosę tego dłużej. Nie mogę. Chcę cieszyć się każdym drobiazgiem, każdym dniem. Pozwolisz mi na to?

- No cóż, jest to drugi pod względem urody obrazek, jaki dziś oglądam - usłyszałam nagle głos Mickeya, który właśnie zmierzał w naszą stronę.

Lily uwolniła się z moich objęć i otarła łzy.

- Właśnie miałam przyjemność poznać waszą córeczkę - powiedziała, wstając i obejmując Mickeya. - Dobra robota, Mic. Gratulacje!

- Dzięki, Lily. Wszystko w porządku?

- Jasne. A niech to! Zostanę ciotką! - Pocałowała go w policzek. - Muszę teraz wracać do sklepu. Jestem pewna,

że siostra Muriel właśnie mnie obrabia. Nie należy dać się zwieść jej wiekowi. Ta starowinka potrafi śmigać... - zachichotała Lily, wycierając nos chusteczką. - Po prostu musiałam tu przyjść, kiedy cię zobaczyłam. - Zwróciła się w moją stronę. - Pamiętaj, Lucy: każdym drobiazgiem.

- W porządku - obiecałam, czując ogarniającą mnie falę ulgi.

Siostra pocałowała mnie i wróciła do sklepu. Wtedy Mickey objął mnie od tyłu ramieniem i przyciągnął do siebie.

- To szczęśliwy dzień, Lu - szepnął mi na ucho.

- Owszem. Bardzo szczęśliwy.

ROZDZIAŁ 14

4 sierpnia 2011

Pelen cykl. Znany mi w najdrobniejszych szczegółach. Raz do głosu dochodzę ja sam, a raz moje leki. Już prawie dwa miesiące upłynęły od czasu, gdy wypisano mnie ze szpitala. Uwolniłem się od fazy maniakalnej. Cieszę się, że faza spadania na poziom zero nie nastąpiła ani zbyt szybko, ani zbyt gwałtownie, bo gdy tak się dzieje, mogę przebić się na drugą stronę, sięgając dna depresji, zapadając się w czarną dziurę. Wówczas nic się nie Uczy i na niczym mi nie zależy. Ale na razie nie ma to znaczenia, gdyż życie jest zbyt piękne. A nawet gdyby nie było, moje poważne depresje były nader nieliczne i zdarzały się w znacznych odstępach czasu. Dzieje się tak przypuszczalnie dlatego, że jestem bardzo podatny na leki antydepresyjne - do tego stopnia, że z łatwością mogę popaść w manię. Moja równowaga jest bardzo chwiejna. Usiłuję osiągnąć margines zdrowia psychicznego, zwany bezpieczną krawędzią hipomanii. Jeśli cyklofrenia ma jakąś zaletę, to właśnie tę: ów stan pobudzenia, którego niestety nie można

przedłużyć. Nie jest on statyczny; ma swą dynamikę. Ostatecznie - gdy się go nie zablokuje - prowadzi do czegoś, co Gleason nazywa punktem irracjonalności, kiedy to jestem pogrążony w głębokiej psychozie, lecz o tym nie wiem.

Mój cykl przebiega, jak następuje: drobne zakłócenie snu, mieszanka nastrojów, potem zaburzenie poczucia rzeczywistości, a zakłócenia snu się pogłębiają. Następnie zaczynają płynnie następować jedne po drugich błyskotliwe pomysły, z początku powoli, potem coraz natarczywiej, aż wreszcie przelewają się wezbranym strumieniem przez sito mego mózgu. Usiłuję je wyławiać- tak bardzo są ciekawe - lecz przeciekają mi przez palce jak woda. Zaburzenia snu są coraz większe, nie występuje zmęczenie, przeciwnie: jestem pobudzony. Myśli mam wciąż jasne, ale z wolna zaczynam krytykować własne posunięcia. Swoje postępowanie mogę skorygować właśnie z tego miejsca, lecz nie wtedy, gdy zabrnę w to choćby o krok dalej. Czuję się jednak tak dobrze, pracując jak szatan, bez zmrużenia oka i bez potrzeby snu, tryskając energią, że brak mi tylko kolejnych par rąk, by wszystko zrealizować. Wszystko? To znaczy co konkretnie? Wszystko zaczyna wymykać mi się z rąk. Myśli zaczynają się mącić, ale zdaję sobie sprawę, że tracę panowanie nad sytuacją. Potrzebuję snu, lecz nie mogę teraz spać, ponieważ nie potrafię uspokoić mego umysłu. To właśnie jest owa krawędź. Jeszcze jeden krok i zaczynam spadać, nie uświadamiając sobie tego. Jestem wściekły, gdyż każdy zdaje się mnie krytykować, mówiąc mi, jak mam żyć, co powinienem robić, a co nie. A co oni wiedzą?! Chcę się od tego uwolnić, biorąc pigułki, które z jakiegoś powodu

przestają działać. W tym stanie spotęgowania własnej inteligencji próbuję przechytrzyć jednych, a wyeliminować innych; wszyscy oni są przecież przyczyną tej mojej emocjonalnej spirali. I wciąż jestem jedną nogą na krawędzi zdrowia psychicznego, drugą zaś nad przepaścią.

Znam dobrze ten cykl. Nauczyłem się, że sekret tkwi w zaufaniu. Nie mogę sobie ufać. Zrozumienie tego zajęło mi całe życie. Ale ufam Lucy i Gleasonowi. Również Ron i Jared nigdy mnie nie okłamali. Każdy z nich mówi, bym zaufała pigułkom i że to one pomogą mi wyhamować. I znajdę się ponownie na poziomie zero czy też nieco wyżej, lecz nie niżej -jeśli to w ogóle możliwe. Robię, co mogę, by nie popełnić błędu; by nie pogrążyć się w rozpacz. Choć i to jest częścią cyklu.

Rozejrzałam się po gabinecie Charlotte Barbee, usiłując opanować drżenie rąk. Byłam tu z Mickeyem przed trzema dniami, roztkliwiając się nad zdjęciem USG, które nie wykazało żadnych nieprawidłowości. To nie Charlotte do mnie zadzwoniła tego popołudnia. Kazała to zrobić Bev Lancaster, która stwierdziła, że nie ma pojęcia, dlaczego pani doktor chce mnie widzieć. Aż mi dech zapało. I oto czekałam teraz pełna czarnych myśli. Co takiego stało się w ciągu ostatnich trzech dni, by dać mi powód do obaw?

W końcu Charlotte się pojawiła, zasiadając po drugiej stronie biurka, naprzeciw mnie. Kilka razy odchrząknęła, unikając mojego spojrzenia.

- Dzięki, Lucy, że przyszedłaś.

Splotłam dłonie i znieruchomiałam.

- O co chodzi, Charlotte? Jest jakiś problem? Zaczerpnęła głęboko powietrza.

- Nie wydaje mi się. Tak naprawdę to nie ma, Lucy -przybrała rzeczowy ton, w którym pobrzmiwały optymizm i pewność siebie. - Po prostu porównałam twoje zdjęcia mammograficzne z najnowszym USG. Myślę, że to ostatnie jest... może być nie do końca takie, jak powinno. Wolałabym, żeby jeden z moich kolegów jeszcze raz je sprawdził.

- Dobrze - usłyszałam własny głos.

- Posłuchaj, Lucy. Jestem prawie pewna, że tłumaczy to twoja ciąża. Patrzyłam na te zdjęcia setki razy i... - Pokręciła głową. - Po prostu chcę mieć pewność, że nie mamy powodu do obaw. To tylko tamta historia sprawia... Dlatego wszystko tak często sprawdzamy. Wolę być ostrożna, żeby mieć całkowitą pewność.

- Masz teraz jakieś podejrzenia? - Chciałam mieć w tej kwestii zupełną jasność.

Charlotte zaprzeczyła ruchem głowy, lecz oświadczyła:

- Minimalne. Przesłałam klisze twoich zdjęć z zeszłego tygodnia jednemu z radiologów, bardziej wyspecjalizowanemu w tym zakresie niż lekarz, do którego zwykle trafiają. Po prostu chciałam mieć drugą interpretację. Radiolog zgodził się ze mną, że to, co widzimy, przypuszczalnie tłumaczy twoja ciąża. Spójrz tutaj. - Zawiesiła trzy zestawy zdjęć na białym ekranie za swym biurkiem i podświetliła je. - To są zdjęcia z zeszłego roku, te sprzed dwóch miesięcy, a te sprzed tygodnia.

- Gdzie mam patrzeć?

- Trudno to zauważyć, ale ten obszar tutaj jest nieco ciemniejszy. - Pokazała miejsce. - Widzisz?

Przybliżyłam się do kliszy.

- Chyba tak.

- To prawdopodobnie nic takiego, Lucy. Cięża wywołuje szereg zmian fizjologicznych, które w naturalny sposób powodują rozrost tkanki piersi - zwiększenie gruczołów, poziomu zawartości wody. Ale wszystkie te normalne objawy mogą też utrudnić szacowanie drobnych odstępstw, mogących mieć poważne konsekwencje. Kiedy dwa miesiące temu przyszedł na swoje okresowe badanie i stwierdziłyśmy, że jesteś w ciąży, wyniki nie wykazały niczego niepokojącego. W zeszły poniedziałek zaś zrobiłam drugie USG, ot, dla większej pewności. Oto ono. - Charlotte wskazała trzecią kliszę.

Podniosłam się z miejsca, pochylając się nad jej biurkiem.

- Nie jestem pewna, czy widzę jakąś różnicę.

- Wiem. Ja też nie. Ale badając cię po raz ostatni, wyczułam coś pod palcami.

Kolana mi zmiękły i musiałam usiąść. Ogarnęłam spojrzeniem postać mojej lekarki - jej poważną twarz, energiczne ruchy, biały kitel okrywający czarną płócienną sukienkę.

- Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś?

- Ponieważ naprawdę nie sędzę, by było to coś niepokojącego. Również wyniki twoich badań nie wskazują na istnienie jakiegokolwiek problemu. Nic tak naprawdę na to nie wskazuje, nie licząc twojej historii z rakiem.

Właśnie dlatego potrzebuję opinii jeszcze jednego lekarza. Chodzi o niewielkie zgrubienie. Na zdjęciu jest nim ten ciemniejszy obszar. - Powtórnie wskazała dolną część jednej z klisz. - Posłuchaj, Lucy. Tak jak ci mówiłam: jeśli jest to po prostu rozrost tkanki, to nie ma się czym przejmować. -Ale...?

Charlotte wyłączyła podświetlenie i zwróciła się twarzą do mnie.

- Ale musimy mieć w tej sprawie pewność. Prawda, kochanie?

- No tak, racja - przytaknęłam bez przekonania. - A więc co teraz?

- Wysłałabym cię z powrotem do doktora Stevensa, który badał cię ostatnim razem, ale przeniósł się do Fort Worth, dlatego pošlę cię do doktora Matthews'a, do New Haven. Przyjmuje na onkologii kobiecej, a specjalizuje się w zakresie tego wszystkiego, o czym rozmawiałyśmy. Znam go. To bardzo dobry lekarz.

Wypisała adres na skrawku papieru i wręczyła mi go.

- Możesz się tam wybrać dzisiaj po południu?

- Dzisiaj? Myślałam, że to nic niepokojącego.

- Doktor Matthews jest tam teraz. Zgodził się wyświadczyć mi przysługę i obiecał, że przyjmie cię poza kolejką. Po prostu rzuci okiem na te zdjęcia i cię zbada. Może też zrobi jeden czy dwa testy. Może upłynąć kilka dni, zanim poinformuje mnie o wynikach. A wtedy będziemy mogły głęboko odetchnąć i znów zająć się twoją ciążą. W porządku?

Wpatrywałam się w Charlotte bez słowa. Na jej twarzy nie było uśmiechu. Próbowałam przeniknąć jej myśli.

- Jak sądzisz, Charlotte, czy powinnam o tym powiedzieć Mickeyowi? Czy powinien pójść ze mną?

Twarz Charlotte nie wyrażała emocji.

- To zależy od ciebie.

Wiedziałam, że gdybym zadzwoniła, Mickey rzuciłby wszystko i pojechał ze mną. Byłby tutaj ze mną, gdybym go tylko poprosiła.

Charlotte okrążyła biurko i podeszła do mnie z tyłu. Położyła mi dłonie na ramionach.

- Lucy, to tylko tak, na wszelki wypadek. I nie ma się co martwić na zapas.

Skinęłam głową, ale jakoś nie mogłam dobyć z siebie głosu.

Charlotte wręczyła mi dużą kopertę z manili z moimi zdjęciami USG, ja zaś w jakiś sposób zdołałam opuścić jej gabinet i dotrzeć do samochodu. W głowie wciąż rozbrzmiewały mi jej słowa. W pierwszym odruchu chciałam zadzwonić do Mickeya. Potrzebowałam jego siły. Właśnie teraz. Ale był w tak dobrej formie, zrelaksowany, pełen entuzjazmu. Czy naprawdę musiałam to zepsuć, zanim jeszcze dowiedziałam się wszystkiego? Czyż nie jest to egoizm? Pewnie tylko niepotrzebnie go zdenerwuję.

Oparłam głowę na zagłówku, zamknęłam oczy i usiłowałam opanować drżenie rąk. To nie może przydarzyć mi się po raz drugi. Odtworzyłam sobie w pamięci wszystko, co powiedziała Charlotte, dopowiadając resztę, i jakoś nie przyniosło mi to ulgi.

Siedziałam w samochodzie o zaparowanych szybach, zastanawiając się nad tym, kto mógłby pojechać ze mną do New Heaven. Lily tak samo nie wchodziła w grę jak Mickey, nieomal z tych samych powodów. Przez chwilę myślałam o Ronie. Lepszy szwagier nie mógł mi się trafić. Ron nie był panikarzem ani histerykiem. Był wyluzowany, solidny, rzeczowy, nie zadawałby też żadnych pytań. Po prostu trzymałby mnie za rękę, w milczeniu dzieląc moje obawy związane z wszystkimi potencjalnymi zagrożeniami. Tyle że wtedy musielibyśmy powiedzieć o wszystkim Lily, która mogłaby mieć mu za złe, że okazał się lepszym niż ona kandydatem na powiernika. A do tego dopuścić nie mogłam.

Skończyło się na tym, że do centrum badań onkologicznych w New Haven pojechałam sama. Byłam wszak już dużą i samodzielną dziewczynką. Potężny, składający się z wielu budynków kompleks był w środku sterylny i nieprzyjazny w każdym calu, począwszy od recepcjonistki w budynku D na Oddziale Badań Prenatalnych, oznaczonym numerem 410. Wkroczyłam do zatłoczonej poczekalni i podałam swoje nazwisko dziewczynie w rejestracji, która - spojrzawszy na monitor - oznajmiła mi, że nie jestem umówiona. Odparłam, że doskonale o tym wiem. Dodałam też, że przysyła mnie doktor Charlotte Barbee z Brinley - lecz równie dobrze mogłabym jej powiedzieć, że przybywam prosto z Księżyca. Tina Pulsifer - takie nazwisko widniało na jej identyfikatorze - oświadczyła mi, że jest całkowicie wykluczone, bym tego właśnie dnia zobaczyła się z jakimkolwiek lekarzem.

- Nie ma szans, by choćby na sekundę zostać przyjętym bez rejestracji - oznajmiła, jakbym była u fryzjera.

- Nie chodzi mi o jakiegokolwiek lekarza, ale o Rolanda Matthews.

- Pani żartuje. - Otworzyła usta ze zdumienia.

- Gdyby wiedziała pani, Tino, dlaczego tu jestem, nie uważałaby pani, że żartuję. Doktor Charlotte Barbee rozmawiała już z doktorem. Mogę poczekać, ale niech pani mu powie, że przyszedłem.

Doskonale wykrojone usteczka recepcjonistki ponownie się rozchyliły i wydobyło się z nich ciche westchnienie, kiedy jednak podniosła słuchawkę telefonu.

- Chwilę to potrwa. Doktor Matthews operuje. Ma pani te zdjęcia?

Wręczyłam jej kopertę.

- Operuje? Sądziłam, że jest radiologiem.

- Nie jest radiologiem. Jest ordynatorem.

Panika, wcześniej przytłumiona, na nowo we mnie odżyła.

- Proszę sobie usiąść, pani Chandler. Zaraz go poproszę - powiedziała Tina.

Przysiadłam ociężale na skraju chromowanego krzesła ze skórzanym obiciem. Było ultranowoczesne i niewygodne. I kiedy tak siedziałam, sama nie wiem jak długo, nagle uzmysłowiłam sobie, że głos Charlotte brzmiał dziwnie spokojnie. Jeszcze raz w duchu zrekonstruowałam jej słowa, gdy próbowała mnie przekonać, że nie ma powodów do obaw. Nagle usłyszałam swoje nazwisko. Podniosłam wzrok. Z głębi korytarza szedł w moją stronę wysoki, szczupły chłopak.

- Lucy Chandler? - zapytał.

Skinęłam głową, a chłopak się uśmiechnął.

- Nazywam się Owen Peters. Jestem osobistym asystentem doktora Matthews. Zechce pani pójść ze mną. Zaprowadzę panią na salę zabiegową.

-Co takiego?!

Nagle poczułam się zbyt słaba, by podnieść się z miejsca.

- Nie przyszłam na żaden zabieg.

- No tak, oczywiście, przepraszam... Chciałem powiedzieć, że mam panią zaprowadzić do doktora Matthews. Jest na sali zabiegowej, a chciałby się z panią widzieć - wyjaśnił Owen. Trzymał w ręku moje klisze.

- Jestem wdzięczna doktorowi, że nie kazał mi czekać - powiedziałam, usiłując opanować niepokój.

Ruszyłam za wysokim asystentem lekarza. Weszliśmy do windy i milczeliśmy przez cały czas jazdy na szóste piętro, gdzie mieściły się sale chirurgii. Obserwowałam na gładkiej powierzchni drzwi windy odbicie obojętnej twarzy Owena, zastanawiając się, dlaczego nie jest sympatyczniejszy, bardziej rozmowny, dlaczego nie przeszkolono go tak, by potrafił uspokajać zdenerwowane pacjentki.

Gdy winda stanęła, asystent zaprowadził mnie do gabinetu i oświadczył, że doktor Matthews zaraz się mną zajmie. Rozejrzałam się. Pomieszczenie zdawało się do nikogo nie należeć. Było chłodne, bezosobowe i działało mi na nerwy. Na szczęście spędziłam w nim zaledwie kilka minut, bo wrócił Owen Peters i wykrzywił twarz w nieszczerym uśmiechu.

- Pani Chandler, pozwoli pani ze mną. Doktor Matthews widział pani zdjęcia i chciałby panią zbadać - powiedział.

- Naprawdę? Czy coś znalazł? - zapytałam, próbując dotrzymać mu kroku.

- Nie wiem, proszę pani.

Nagle zaczęłam żałować, że nie zabrałam z sobą Mickeya. Owen kazał mi wejść za parawan i grzecznie poprosił, bym zdjęła bluzkę i włożyła strój szpitalny, po czym znowu zniknął, ja zaś oblałam się potem.

Czekałam w gabinecie prawie pół godziny, wyobrażając sobie niewyobrażalne. W pewnej chwili stwierdziłam, że dłużej nie wytrzymam, i postanowiłam wyjść. Właśnie sięgałam po bluzkę, gdy za parawanem pojawił się niski mężczyzna w zielonym kitlu chirurga.

- Pani Chandler? - zapytał. - Tak, to ja.

- Jestem doktor Matthews. Podał mi rękę.

- Doktor Barbee miała pewne obawy i poprosiła mnie, bym panią zbadał. Nie ma pani nic przeciwko temu?

- Ależ nie.

Doktor Matthews obniżył łóżko szpitalne do odpowiedniego poziomu, następnie zaczął ugniatać lodowatymi dłońmi moje nadwrażliwe piersi. Trzeba przyznać, że był sumienny, lecz nie miał krzty delikatności. Nie był też zbyt rozmowny. W pewnej chwili przeprosił mnie, zauważywszy na mej twarzy grymas bólu, lecz kontynuował badanie, nie zmniejszając nacisku. Zdawał się koncentrować na dolnej

części mojej lewej piersi. Ugniatał ją, przyciskał i obmacywał zręcznymi palcami. Nie pozostało mi nic innego, jak tylko koncentrować się na rytmie jego oddechu. W końcu Matthews westchnął i wypuścił moją pierś z dłoni.

- Hmm... Jest pewien dylemat. - Usiadł na stołku i zdawał się porządkować myśli. - Co u Charlotte?

- Słucham? - spytałam nieco zaskoczona. - Świetnie. Wszystko w porządku. To dobry lekarz.

- Jeden z najlepszych. Studiowaliśmy razem. - Podrapał się w podbródek. - No cóż, rozumiem jej niepokój, biorąc pod uwagę historię pani choroby. Zgadzam się również, że na razie wszystko wydaje się w porządku.

Odetchnęłam z ulgą.

- Ale też nie chcielibyśmy niczego przeoczyć - dodał nieco już innym tonem. - Lucy, skoro pani już tutaj jest, chciałbym zrobić pani biopsję. Biopsję cienkoigłową. Miejmy pewność, że nie ma powodów do obaw. - Podniósł się z miejsca. - Owen panią przygotuje i zobaczymy się za kilka minut.

Bez słowa skinęłam głową, mając wrażenie, jakby pokój nagle się zmniejszył. Gdy Matthews zniknął za parawanem, zrobiło mi się zimno. Poczułam też lekką nieważkość.

Zsunęłam się z kozetki, a gabinet zawirował mi przed oczami. Podeszłam do kosza na śmieci i zwymiotowałam. Nagle ogarnęła mnie fala gorąca, po czym zrobiło mi się słabo. Poczułam wate w kolanach i wiotkość w ramionach. Zdawało mi się, że wykroczywszy poza siebie, zobaczyłam, jak moje ciało osuwa się na posadzkę, podczas gdy zimny

biały pokój kurczy się do rozmiarów
dwudziestopięciocentówki. Było to dziwne uczucie.

Zamknęłam oczy i upadłam.

Nagle ujrzałam nad sobą Owena Petersa i jakąś kobietę, przypuszczalnie pielęgniarkę, którzy głośno z sobą o czymś rozmawiali. Poczulałam ostrą woń amoniaku. Pomogli mi usiąść na wózku szpitalnym.

- Pochyl głowę, kochanie, i weź kilka głębokich wdechów. Czujesz się już lepiej? Wszystko w porządku? - spytała pielęgniarka z troską w głosie.

- Chyba tak. Tak mi przykro. Nie wiem, co się stało.

- Nie ma sprawy. Cała dygoczesz.

Okryła mnie ciepłym kocem, którym szczelnie się otuliłam. Następnie Owen wręczył mi do podpisu formularz zgody.

- Jestem w ciąży i nie chcę brać żadnych leków, które mogłyby zaszkodzić dziecku - powiedziałam.

- Rozumiem - odparł, nie patrząc na mnie. Wwożąc mnie na salę operacyjną numer jeden, osobisty

asystent, coraz bardziej przypominający mi robota, zrobił obszerny wykład na temat miejscowego znieczulenia w mojej lewej piersi. Był dla mnie istnym kompendium wiedzy.

Zostałam umieszczona na stole operacyjnym, następnie całe moje ciało z wyjątkiem lewej piersi okryto prześcieradłem. Wyobraziłam sobie, jak muszę wyglądać z lotu ptaka, i poczułam się całkowicie sprowadzona do tej jednej piersi. Wszystko inne zniknęło. Jakby spowita mgłą podałam jakiejś osobie numer telefonu Priscilli i poprosiłam, by do niej zadzwoniono.

Bezradnie leżąc na owym stole, wyobraziłam sobie, jak pochylałam się nad swoim dzieckiem, biorę je na ręce i chronię swym wiotkim ciałem jak tarczą. Tak bardzo zatraciłam się w kontemplacji tego obrazu, że doktor Matthews musiał dwa razy mi oznajmić, że już po wszystkim. Nagle poczułam ciężar w klatce piersiowej. Lodowate zimno. Czym prędzej przewieziono mnie do innej sali i zostawiono samą. Zamknęłam oczy.

- Czujesz ból, kochanie?

Spojrzałam w ciepłe oczy kobiety, którą uznałam za pielęgniarkę, i pokręciłam głową.

- Może pani usiąść? Mam dla pani trochę soku. Pomogła mi się wyprostować, radząc, bym głęboko

oddychała na wypadek, gdybym znów poczuła się słabo.

- Kiedy po raz ostatni coś jadłaś, kochanie? Jest pani głodna? Sok smakował wybornie.

- Pyszne. Dziękuję pani.

- A teraz kilka krakersów.

Kobieta włożyła mi w dłoń kilka słonych herbatników.

- Chciałaby mnie pani o coś zapytać?

- Jak wygląda moja sytuacja? Pokręciła z politowaniem głową.

- Biedactwo. Ależ musiała mieć pani dzień!

Usiadła i uśmiechnęła się. Na jej identyfikatorze przeczytałam „Gail”. Była przypuszczalnie w wieku Charlotte. Miała blond włosy i w swym niebieskim uniformie wyglądała przyciężko.

- Rozumiem, że pani lekarz wysłał tutaj panią ze zdjęciami. Domyślam się też, że pamięta pani tylko tyle, że robiono pani biopsję.

- No właśnie. Czy coś znaleziono? Gail pokręciła głową.

- Doktor Matthews wykonał dwie biopsje: cienkoigłową i korową. Przeprowadził je na małym obszarze pani piersi, tuż u nasady. Zebrał w ten sposób kilkaset komórek i teraz przeprowadza na nich testy. Doktor będzie w kontakcie z pani lekarzem.

- Dlaczego aż dwie biopsje?

- Doktor jest bardzo skrupulatny. I naprawdę musi mieć jakiś dług wdzięczności wobec pani lekarza, skoro od razu panią przyjął. Jest pani w bardzo dobrych rękach.

- Dobrze wiedzieć.

- Jego asystent to osobna historia. Wszyscy odnoszą wrażenie, że jest zasilany na baterie.

Zachichotałam, a Gail pomogła mi włożyć bluzkę.

- Dziękuję - powiedziałam i moje serce pod wpływem jej słów nagle wypełniła otucha. Zadziwiła mnie ta jej umiejętność. - Naprawdę. Serdeczne dzięki.

- Niech pani zje jeszcze trochę. - Wyłożyła mi w dłoń jeszcze kilka krakersów. - Jeśli w ciągu dziesięciu minut poczuje się pani lepiej, będzie pani wolna.

Siedząc w swej niszy za parawanem, usłyszałam nagle odgłosy poruszenia dochodzące z korytarza. To Priscilla teatralnym szeptem wywoływała mnie po imieniu. Najwyraźniej zaglądała za wszystkie parawany. W końcu mnie odnalazła.

- Lucy, wszystko w porządku?

- Jak najlepszym, Priss.

- Co ty tutaj robisz? Powiedz, co się stało.

- Charlotte coś znalazła. Zobaczyła cień na USG i wysiała mnie tutaj. Ale przyczyną jest przypuszczalnie moja ciąża. To prawdopodobnie nic takiego - usłyszałam własny głos, który nagle się załamał.

Zupełnie się zawiodłam na obietnicach Charlotte. Wpatrywałam się w siostrę bez słowa, z drżącymi wargami i łzami w oczach. Czułam się jak kompletnie bezradna idiotka. Priscilla otoczyła mnie ramieniem.

- Wszystko będzie dobrze, Lucy. Jestem przy tobie - powiedziała.

Jak dobrze było podzielić się z siostrą wszystkimi zmartwieniami. Pozwolić, by choć na chwilę wzięła je na siebie, bym ja mogła się pozbierać. Priss pogładziła mnie po włosach, a ja próbowałam się nie rozpląkać. Byłam wystraszona i wyczerpana, choć w jej obecności i tak lepiej się czułam. Głęboko westchnęłam i zaczęłam ją przekonywać, że już wszystko dobrze. Wygładziła moją sukienkę i szczupłymi palcami przeczesła mi włosy.

- Lucy, jak ty wyglądasz...

- Wiem. Muszę się wziąć w garść, zanim zobaczy mnie Mickey.

Priscilla jęknęła.

- No tak, oczywiście. Gdzie on jest? Jest gdzieś tutaj?

- Nie, nic o tym nie wie.

- Po prostu wspaniale, Lucy! No więc co teraz? Będiesz

udawać, że życie jest cudowne? Czy to kolejna wielka tajemnica, z którą Mickey by sobie nie poradził?

- O czym ty mówisz? Mickeya tutaj nie ma, bo nie chciałam, żeby się martwił.

- Nigdy tego nie zrozumiem. Nigdy. Jaki ma sens...?

- Priscilla, proszę. Nie zaczynaj. Siostra pokręciła głową.

- A ty jesteś w ciąży. Lucy, co ty sobie właściwie myślisz? Ogarnęła mnie złość, że w ogóle poprosiłam ją o przyjazd.

- Myślę, że powinnaś teraz zamilknąć i dokądś mnie zabrać. Chętnie bym coś zjadła.

Priscilla zawsze podkreślała swoje obcesowe stwierdzenia mową ciała: pełnym dezaprobaty wzruszeniem ramion, przeciągłymi spojrzeniami wyrażającymi naganę, wywracaniem oczu. Tym razem jednak na jej twarzy zagościła jakaś nietypowa dla niej miękkość. Priss ujęła moją dłoń i pocałowała ją.

- Przepraszam, kochanie. Nie potrzebujesz w tej chwili wykładu. Cieszę się, że po mnie zadzwoniłaś.

Prosto ze szpitala pojechałyśmy, każda swoim autem, do Olive Garden na tej samej ulicy. Byłam głodna, ale nagle, gdy poczułam zapach włoskiego jedzenia, zrobiło mi się niedobrze. Zamówiłam zupę i pałeczkę chlebową. Powoli sączyłam wodę, którą nam podano, podczas gdy Priscilla flirtowała z kelnerem, błyskając zębami w uśmiechu i bawiąc się kolczykiem. Kopnęłam ją pod stołem, a ona posłała mi zdziwione spojrzenie. Gdy po upływie kilku minut kelner wrócił do naszego stolika z jedzeniem, ewidentnie oczekując

pochwały, zrobiło mi się go żal, ponieważ Priscilla właśnie sprawdzała wiadomość na komórce. Chłopak odszedł bez słowa, wyglądając na zranionego.

Wygłosiwszy rozwlekły monolog na temat niekompetencji - w jej skrzynce czekały aż cztery nieodebrane wiadomości - Priscilla wrzuciła komórkę do torebki i spojrzała na mnie.

- Boisz się, Lu? - zapytała.

- Trochę. Ale zakładam, że wszystko jest w porządku, dopóki Charlotte nie stwierdzi, że jest inaczej.

Siostra obrzuciła mnie przenikliwym spojrzeniem i pokręciła głową.

- Już to przechodziłaś, Lu. Tak samo jak ja. Obie poznałyśmy jałowość zapewnień, że to prawdopodobnie nic takiego. A w tobie aż serce zamiera.

Jej do bólu przenikliwa ocena sytuacji była niczym cios w brzuch i z trudem opanowałam cisnące się do oczu łzy.

- Próbuję nie poddać się strachowi, Priss. W każdym razie nie teraz. Jestem w ciąży i nie chcę się bać!

Priscilla obrzuciła mnie badawczym spojrzeniem.

- Co zamierzasz powiedzieć Mickeyowi? Opuściłam wzrok na nietkniętą zupę.

- Nic. Mam nadzieję, że nic nie będę musiała mu mówić. Siostra popatrzyła na mnie w taki sposób, jakby chciała

coś powiedzieć, ale powstrzymała się i sięgnęła po moją rękę. Jej ciemnozielone oczy przybrały teraz wyraz mający mnie onieśmielić. Ale nie udało jej się to. Zwłaszcza że w to jej lodowate spojrzenie wkradła się czułość.

- O czym rozmyślałaś? - spytała, a w jej głosie pobrzmiwała łagodność.

- Szczerze mówiąc, najczęściej o mamie. Przez całą drogę tutaj myślałam o tym, jak bardzo chciała z nami zostać.

- W dalszym ciągu czasem obwiniam ją o to, że nas opuściła. Westchnęłam.

- Dlaczego to sobie robisz, Priss? Przez całe życie miałaś do niej pretensje. A ona od szesnastu lat nie żyje. Dajże już temu spokój!

- Po prostu jej nie rozumiem. Jak można mieć dzieci tylko po to, żeby zostawić im takie dziedzictwo? Zrobiła nam coś, czego chyba nie da się wybaczyć. Spójrz na nasze życie. Spójrz, przez co musimy przechodzić.

- Widzisz inną możliwość, Priscillo?

- Wiem, wiem. Tylko że ona wiedziała, że członkowie jej rodziny od pokoleń mieli raka, mimo to postanowiła mieć trzy córki.

Pokręciłam głową.

- Przysięgam, że czasem myślę, że jesteś umysłowo chora.

- To nie jest śmieszne. Ale gdyby to była prawda, zapewne również i tę chorobę zawdzięczałabym mamie.

- No cóż, w każdym razie masz więcej szczęścia niż większość biedaczek po menopauzie - zadrwiłam. - Przynajmniej potrafisz dokładnie wskazać osobę odpowiedzialną za wszystkie twoje problemy. Ale jest to niesprawiedliwe, a ty naprawdę jesteś chora, jeśli tego nie widzisz.

- Może i masz rację. Ale wtedy, w owej chwili, której żadna z nas nigdy nie chciałaby przeżyć jeszcze raz, po prostu musiałam zwalić całą winę na coś... na kogoś. Odkrój mi kawałek, Lucy.

Zapadłam się głębiej w krzesło. Miłość mojej siostry wiele mnie kosztowała. Priss zapłaciła rachunek, a gdy wychodziłyśmy na zewnątrz, wzięła mnie za rękę. Skierowałyśmy się do samochodów zaparkowanych obok siebie. Wsiadłam do swojego, a Priscilla spojrzała mi w twarz i ścisnęła moje palce.

- Powiedz mi prawdę, Lucy. Widziałaś ostatnio... ją... tę swoją przyjaciółkę? A może widziałaś ją dzisiaj?

- Nie - zaprzeczyłam.

- Żadnych widm? Obiecujesz?

- Obiecuję.

Przyciągnęła mnie do siebie.

- Zadzwoń jutro.

Ruszyła w stronę swego bmw; wsiadając do środka, zawołała do mnie:

- A tak w ogóle, gówniario, to jeszcze nie mam meno-pauzy!

Pomachałam do niej, a na skrzyżowaniu rozjechałyśmy się każda w swoją stronę. Droga powrotna do Brinley zajęła mi około czterdziestu pięciu minut. Pojechałam od razu do Partners, klubu Mickeya. Po prostu chciałam go zobaczyć, napawać się przez chwilę jego beztroskim uśmiechem. Gdy jednak weszłam do środka, od razu zauważyłam, że ma własne zmartwienia. Wyraz jego twarzy

jednak uświadomił mi, że Priscilla nie przesadziła, mówiąc, że źle wyglądam.

- Co się dzieje, Lucy? Jesteś chora? - spytał głosem, w którym pobrzmiwała irytacja.

Ten ton mnie zaskoczył.

- Być może. Pomijając wszystko inne, chyba dopada mnie grypa - odparłam z wahaniem, kładąc sobie na brzuchu jego dużą dłoń. - Ale poza tym mamy się dobrze. - Stałam na palcach i pocałowałam go w policzek. - Pomyślałam, że wpadnę i dam ci buziaka.

Mickey trochę się uspokoił. Pochyliwszy się ku mnie, uśmiechnął się półgębkiem.

- Dlaczego się nie rozgościsz? Zjemy jakiś obiad. Wygląda na to, że zostanę tu do zamknięcia. Jeden z barmanów wziął wolne z powodu choroby i brakuje nam w dzisiejszym show jednego aktora. Muszę go zastąpić.

- Naprawdę? Nie tryskasz raczej humorem.

Gdy ujrzałam irytację w jego oczach, postanowiłam zmienić temat:

- Gdzie jest Jared?

- Rozmawia przez telefon z tym cholernym barmanem symulantem.

Mickey wyglądał na podenerwowanego i przygnębionego, co stanowiło dla mnie doskonałą wymówkę, by mu nie mówić, gdzie byłam. Postanowiłam, że powiem mu jutro, gdy Charlotte zadzwoni z dobrymi wieściami.

- Zobaczymy się w domu, jak wrócisz z pracy. Wszystko w porządku?

-Tak.

Jeszcze raz pocałowałam swojego dużego rozdrażnionego męża i pojechałam do domu, by mieć ten dzień już za sobą. Wzięłam prysznic, ostrożnie zwilżając gąbką wrażliwą pierś, po czym zrobiłam sobie na nią okład z lodu i położyłam się do łóżka. Gdybym nie spała po powrocie Mickeya, być może powiedziałabym mu o wszystkim. Chociaż nie, raczej bym to zataiła. Opadłam na poduszki, licząc na to, że szybko zasnę. Jednocześnie coś mnie zaczęło dręczyć, jakieś złe przeczucie, nieokreślone i irytujące, mimo to dobrze mi znane. Starłam się je ignorować. W końcu jednak wstałam, poszłam do łazienki i włączyłam światło.

Dotychczas tego unikałam. Aż do ostatniej rozmowy z Priscillą. Teraz zaś stałam przed lustrem, wpatrując się w przestrzeń okalającą zarys mojej twarzy. To przed tym właśnie lustrem tata golił się każdego ranka, to w nim oglądała swą bladą i wychudłą twarz moja mama, a teraz mnie miało ostrzec o tym, co skrywała moja przyszłość, toteż wbiłam w nie wzrok, szukając zwiastunki złych nowin.

Badawczo wpatrywałam się w odbicie, licząc na to, że jej nie zobaczę. Nie teraz, kiedy świat zaczął mi się wydawać piękny, a moją przyszłością stała się mała dziewczynka. I nie zobaczyłam jej - nie widziałam jej nawet wówczas, gdy byłam chora. Ale po raz pierwszy od czasu, gdy zobaczyłam śmierć w dzieciństwie, nawiedziło mnie przeczucie, że wyruszyła po swe żniwo. Ta świadomość spłynęła na mnie niczym lodowata noc w ogrodzie. Im dłużej tak stałam, tym bardziej się ona we mnie umacniała. Przesunęłam dłonią

po twarzy, która nagle oblała się zimnym potem. Chyba popadam w paranoję, pomyślałam.

Zgasiałam światło i wróciłam do łóżka. Podrapałam się po nabrzmałym brzuchu. Wszystko to są urojenia, stwierdziłam. Tak, bez wątpienia. Nagle z moich oczu puściły się łzy. Spływały niepowstrzymanym ciepłym strumieniem po policzkach, skapując na włosy. Ze wszystkich sił starałam się nie poddać złym przeczuciom i w końcu zapadłam w sen w znacznie delikatniejszym, przyjemniejszym miejscu, które pachniało świeżo wykąpanym niemowlęciem. W tle zaś niczym muzyka rozlegało się dziecięce gaworzenie.

ROZDZIAŁ 15

5 sierpnia 2011, godz. 8.00

W niektórych przypadkach w celu stabilizowania stanu pacjenta pomiędzy epizodami manii lub depresji stosuje się lamictal. Cieszyłem się, że lek najwyraźniej działa. Nadal jednak czułem się nieco pobudzony, a z nocy na noc spałem coraz krócej. Musiałem się tym zająć. Wczoraj padłem wyczerpany na sofę po drugiej, a już około piątej brałem prysznic. Czułem się świetnie, skupiony, w mojej głowie panował idealny porządek bez żadnych wyskakujących znieńcka, przypadkowych konceptów. Podobało mi się to. Lucy wciąż spała, ja zaś byłem gotów do rozpoczęcia dnia, ale ponieważ było zbyt wcześnie, żeby iść do pracy, wydobyłem laptopa i odłożone gazety. Jedną z tych rzeczy, które pomagają mi się wewnętrznie uspokoić, jest śledzenie moich inwestycji. Lubię obserwować sytuację na rynku akcji, analizować indeks Dow Jones czy NASDAQ. Lubię przedstawiać te procesy w formie wykresów; lubię czerwoną linię łączącą rozmaite wartości na doskonale białej kartce papieru. Moim zdaniem wyraża ona

sferę ładu w gospodarczym chaosie. Lucy martwi się trochę, kiedy zaczynam ją rysować, ale wbrew temu, co ona sądzi, to tylko takie moje hobby, niekoniecznie zapowiedź ataku.

Gdy się obudziłam, uświadomiłam sobie, że Mickey już wziął prysznic i zszedł na dół. Zastanowiło mnie, o której wrócił do domu. To jego wczesne wstawanie na pierwszy rzut oka nie wydaje się niczym złym, ale kiedy Mickey zaczyna potrzebować mniej snu, to jest to raczej niepokojąca oznaka. Odrzuciłam kołdrę i przetałam oczy. W łazience spryskałam sobie twarz zimną wodą i odepchnęłam od siebie myśli o nieproszonych gościach. Miałam na głowie większe zmartwienia niż rozmyślanie o tym, co zaszło - a co nie - w mojej łazience zeszłej nocy. Czułam silne mdłości.

Choć zupełnie nie miałam czym, zwymiotowałam, potem umyłam zęby i zeszłam do kuchni. Mickey już tam siedział. Przed nim leżała rozpostarta gazeta, a z małego telewizora stojącego na kontuarze dobiegał przyciszony głos prezentera serwisu MSNBC. Ucałowałam w czoło mego męża, który spojrzał na mnie znad gazety lekko zakłopotanym wzrokiem.

- Wcześniej dziś wstałem.

- Wiem.

Podniósł się z miejsca, strącając ze stołu czerwone pióro.

- Wiesz, Lucy, nie wyglądasz najlepiej. Sięgnęłam po krakersy. Wzięłam ich pełną garść.

- Zaraz wrócę do formy.

Mickey wziął mnie w ramiona, a ja pomyślałam, że najchętniej pozostałabym w nich już na zawsze.

- Wszystko w porządku, Lu?

- Niespecjalnie lubię te poranne mdłości, ale poza tym... Mickey odsunął mnie na długość ramienia i spojrzał mi w oczy.

- Przepraszam cię za ostatni wieczór, Lucy. Wściekłem się na barmana, a odreagowałem na tobie.

- Naprawdę?

- Tak mi się wydawało. I pomyślałem, że nadal jesteś wkurzona. A nie jest tak? Gniewasz się z powodu tego?

- spytał, wskazując wzrokiem leżące na stole kartki papieru, czerwony marker i pokaźny stos gazet. - Nie masz powodów do obaw, Lu. Byłem po prostu ciekaw sytuacji

- powiedział. - Już od dość dawna jej nie analizowałem.

Skinęłam głową, wydobywając się z jego objęć i nalewając wody do czajnika.

- Nie baw się ze mną w kotka i myszkę, Michael. Powinnam się czegoś obawiać?

- No co ty!

Mickey znowu zasiadł nad papierami. Kiedy się nakręcał, jego „ciekawość” dotycząca gospodarki musiała zostać natychmiast zaspokojona, a jego nastrój uzależniony był od liczb. Gdy indeksy szły w górę, ogarniało go podniecenie, które tłamsiło zdrowy rozsądek. A gdy opadały, entuzjazm ustępował miejsca strachowi i przeczuciu katastrofy. Bywało, że Mickey sprawdzał wskaźniki Dow Jones więcej niż sto razy. Nie było jeszcze jednak powodów, by wpadać

w panikę, stwierdziłam, zastanawiając się, czy Mickey bierze lekarstwa. Z udaną beztróską spytałam go o to, przygotowana na ewentualny wybuch, czyli najbardziej nieomylny znak, że dzieje się coś złego. Ale Mickey tylko na mnie spojrzał i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Wszystko w porządku, Lu. Dziś po południu mam badanie stężenia leków we krwi.

Nie skomentowałam tego, on zaś wstał z krzesła i podchodząc do lodówki, zmierzwił mi włosy.

- Nie udawaj, że nie czujesz ulgi - zachichotał. Dobrze mnie znał. Rzeczywiście ulżyło mi na myśl o tym,

że od wyjścia z Edgemont jego stan zasadniczo nadal był stabilny. Mimo to mniejsza potrzeba snu zwykle zapowiadała pogorszenie, więc postanowiłam baczniej go obserwować.

Mickey zawsze czuł kompulsywną potrzebę robienia różnych dziwnych rzeczy - gorączkowego śledzenia tygodniowej prognozy pogody w całym kraju albo fluktuacji cen gazu i biletów lotniczych. Czasem liczył różne rzeczy: żdźbła trawy, które przywarły mu do butów po skoszeniu trawnika, liczbę reklam wyświetlanych w półgodzinnym sitcomie, czerwone samochody na drodze. Ilekroć jednak jego mania się nasilała, wyhamowywał ją, toteż te idiosynkratyczne zachowania nie zawsze były wiarygodnymi wskaźnikami jego stanu. Ale gdy objawy kompulsji nasilały się tak dalece, że na przykład liczył czerwone samochody prowadzone przez krótko ostrzyżone kobiety z kólkami w uszach, wiadomo było, że nadszedł czas na skorygowanie dawki leku. Mogło być znacznie gorzej. Siedemdziesiąt pięć procent czasu wypełniają mu interesy,

pomyślałam. Kochasz właśnie takiego faceta. I musisz po prostu żyć ze świadomością, że pozostałe dwadzieścia pięć procent zajmują rzeczy, które mogą go zepchnąć nad krawędź przepaści.

Wygładziłam szlafrok na nadwrażliwej piersi, uznając, że muszę mu o tym powiedzieć, mimo że może go to pograżyć.

- Wszystko w porządku? Wyglądasz na zmartwioną.

- Mickey sięgnął po moją rękę, całując mnie w nadgarstek.

- Ze mną wszystko dobrze. Naprawdę, Lu. Ale jeśli dziś w nocy nie zasnę, zadzwonię po Gleasona.

- I za to cię kocham.

Siedząc i czekając, aż ustąpią mdłości, obserwowałam, jak Mickey sporządza wykres gospodarczej aktywności Amerykanów. Przypomniałam sobie, że kilka lat wcześniej cofnął się w swej analizie do ostatniego roku kadencji prezydenta Reagana.

Usłyszawszy gwizd czajnika, otworzyłam paczkę herbaty mandarynkowo-cynamonowej i pograżyłam się w myślach. Cóż dobrego może wyniknąć z powiedzenia Mickeyowi o wczorajszym, skoro sama jeszcze nie miałam pewności, że w ogóle jest o czym mówić? Przypuszczalnie nic. Ale złożyliśmy sobie kiedyś tę cholerną obietnicę, że nigdy nie będziemy wzajemnie przed sobą ukrywać żadnych problemów. Chociaż już jedną obietnicę złamaliśmy - z pozytywnym skutkiem... Włożyłam do kubka torebkę herbaty i zaczęłam układać sobie w myślach małą przemowę, sformułowaną w najdelikatniejszych słowach, na jakie mnie było stać: „Nie byłam wobec ciebie do końca szczerą, kochanie. Tak

naprawdę nie czuję się najlepiej. Zobaczyłam coś w łazience zeszłej nocy. Charlotte natrafiła na jakieś zgrubienie na mojej piersi, które na USG ma formę cienia, więc wysłała mnie do doktora Matthews, który uznał je za podejrzaną, więc zrobiono mi biopsję. Wyniki poznamy za kilka dni, ale muszę ci powiedzieć, że jestem tym wszystkim trochę przerażona. Dlatego nie czuję się dziś najlepiej, Mic, ale na pewno przyniosło mi pewną ulgę podzielenie się tymi wszystkimi troskami właśnie z tobą - moim dużym, silnym, wspaniałym mężem".

Zaczerpnęłam łyk herbaty dla kurażu.

- Mic, kochanie, muszę z tobą porozmawiać, zanim...

Nagle rozległ się dzwonek telefonu bezprzewodowego, przerywając moje wyznanie. Naszemu sąsiadowi z naprzeciwka, Harry'emu, rozładował się akumulator. Nim zdążyłam głębiej zaczerpnąć powietrza, Mickey już był na dworze, by pomóc mu uruchomić auto. Pół godziny później, gdy Jared zadzwonił z jakimś innym problemem, nastrój Mickeya tak gwałtownie się zmienił, że już zaczęłam wątpić w trafność swego wcześniejszego rozumowania. Wypadł z domu, obiecując, że porozmawiamy, gdy wróci z pracy. Spędziłam więc cały poranek, wybierając dywanik do pokoju dziecięcego. I choć ta sprawa nadal mnie martwiła, tego samego wieczoru już zdecydowanie straciła na znaczeniu.

Nakrywałam do stołu, gdy tylnymi drzwiami wszedł do domu Mickey. Nie wyglądał dobrze.

- Kochanie - zagadnęłam. - Wszystko w porządku? Staął tuż za mną i oparł twarz na mojej szyi, co błędnie odczytałam jako zapowiedź jakichś błazeństw.

- Co robisz? - zachichotałam, lecz po chwili poczułam, że drży na całym ciele. - Mickey? Coś się stało?

Przez chwilę stał w milczeniu.

- Lucy, masz mi coś do powiedzenia? - spytał. Poczułam lekkie mrowienie i znów zaczęłam szukać

w myślach czegoś, co usprawiedliwiłoby fakt, że nie wspomniałam mu o sprawie wczoraj, ale i tym razem mnie to ominęło, bo oto nagle drzwi wejściowe się otwały, a ja usłyszałam Lily wołającą mnie po imieniu. Mickey wypuścił mnie z objęć, a moja siostra wkroczyła do kuchni.

- Ron pojechał po kurczaka, a ja mam z sobą jakieś resztki obiadu. O, cześć, Mic! Mam nadzieję, że wam nie przeszkadza, że zwalimy się na kolację... - Lily przerwała, patrząc na milczącego Mickeya. - Wszystko w porządku?

- Mickey? - spojrzałam na męża. Wyglądał na przygnębionego.

- Dzwoniła Charlotte - oznajmił. Znowu przeszły mnie ciarki.

- Co powiedziała? - spytałam.

- Coś nie tak? - włączyła się Lily.

Przez kilka sekund wpatrywaliśmy się w siebie w zupełnej ciszy, w końcu od strony drzwi rozległ się dzwonek. Minęłam Lily i poszłam otworzyć. Gdy na progu zastałam Charlotte, miałam wrażenie, że jakaś niewidzialna ręka zacisnęła mi się na gardle.

- O co chodzi, Charlotte?

- Cześć, kochanie - odpowiedziała mi tonem pozbawionym zwykłej śpiewności.

Weszła do środka.

- Charlotte...?

Obdarzyła mnie nieszczerym uśmiechem, po czym spojrzała na Mickeya i Lily, którzy wraz ze mną przeszli do pokoju.

- Usiądźcie, proszę - zwróciła się do nich. - Muszę przez chwilę pomówić z Lucy na osobności.

Wzięła mnie za łokieć i zaprowadziła do kuchni.

- Co się dzieje, Charlotte?

Lekarka głęboko zaczerpnęła powietrza.

- Mam wiadomości od doktora Matthews.

- O Boże - wymamrotałam, czując, że nogi się pode mną uginają.

Charlotte położyła mi ręce na ramionach.

- Och nie! To nie to, co myślisz. Matthews ma pewne obawy, dlatego przyszedłam, żeby porozmawiać z tobą i Mickeyem. To nawet dobrze się składa, że Lily też tutaj jest. - Charlotte skinęła głową, mocniej chwytając mnie za ramię. - Nie mówiłaś Mickeyowi o wczorajszym, prawda?

- Nie... - wychrypiałam. - Miałam taki zamiar, ale...

- To dobrze. Chciałam cię prosić, żebyś mi pozwoliła powiedzieć wam wszystkim kilka słów na ten temat. Zróbmy to teraz. Nie masz nic przeciwko?

- Jest aż tak źle? - spytałam łamiącym się głosem.

- Jeszcze tego nie wiemy, kochanie, ale musimy porozmawiać.
- W porządku - zgodziłam się.

Charlotte wzięła mnie za rękę i zaprowadziła do pokoju gościnnego, w którym Lily i Mickey siedzieli bez słowa. Nie jestem pewna, czy w ogóle oddychali.

- Co się dzieje? - zapytała Lily roztrzęsionym głosem. Charlotte usadziła mnie na sofie, sama zajęła miejsce

koło mnie i gestem wskazała, by z drugiej strony usiadł przy niej Mickey. Lily wybrała uszaty fotel, odchylając się na nim, by móc nas widzieć spoza ustawionego pod ścianą dziecięcego łóżeczka.

- Chodzi o to, co było wczoraj? - spytałam, spojrzawszy na moją lekarkę.

Skinęła głową.

Nagle, jak gdyby znikąd, po mojej twarzy popłynęły łzy, a dłoń Charlotte zacisnęła się nieznacznie na moim ramieniu.

- Co się stało wczoraj? - równocześnie zapytali Lily i Mickey.

Ręce bezwładnie opadły mi wzdłuż tułowia, gdy Charlotte odchrząknęła, zamierzając zabrać głos.

- Proszę, byście oboje postarali się zachować spokój.

- Znów głęboko wciągnęła powietrze i spojrzała na mnie.

- Chciałabym zacząć od samego początku, bo wiem, że ty, Lucy, tego nie zrobiłaś.

Zajrzała mi w oczy, spodziewając się w nich wyczytać jakiś znak aprobaty. Skinęłam głową. Charlotte popatrzyła na Mickeya, a potem na Lily.

-Wysłałam wczoraj Lucy do znajomego lekarza. Zrobiłam to, ponieważ badanie USG zrobione pięć dni temu wykazało pewne zmiany w stosunku do jej ostatniej mammografii. Zdjęcie USG mogło wskazywać na drobne nieprawidłowości, więc chciałam, żeby Lucy zbadał ktoś bardziej kompetentny niż ja.

- Co takiego? - zapytał Mickey ze zdumieniem. Również Lily wydała jęk zgrozy, ale Charlotte nie zwróciła na to uwagi. Wpatrywała się we mnie.

- Doktor Matthews wykonał wczoraj biopsję i wykrył pewne nietypowe komórki. W obecnej sytuacji więc mamy więcej pytań niż odpowiedzi.

- O nie - znów jęknęła Lily.

- Martwię się o Lucy, która taką już ma naturę, że próbuje się każdym z was opiekować... - Charlotte wskazała na moją siostrę.

- Wcale nie chcę cię straszyć, Lily. Chcę ci stworzyć okazję, byś i ty mogła nam pomóc. - Następnie posłała przeciągłe spojrzenie Mickeyowi, po czym ponownie zwróciła się w moją stronę, obdarzając mnie uściskiem dłoni.

- To nawrót? - spytałam szeptem. - Charlotte, bądź ze mną szczerą.

- Na razie jest za wcześnie, byśmy mogli to stwierdzić, Lucy.

Lily pociągnęła nosem. Charlotte znowu spojrzała na Mickeya, zupełnie mi go zasłaniając.

- Badając piersi Lucy, natrafiłam na pewną drobną odmienność od normy. Byłam niemal pewna, że ma to

związek z jej ciążą, ale chciałam wykluczyć jakiegokolwiek wątpliwości, więc posłałam ją do doktora Matthews'a.

Mickey wyrwał dłoń z ręki Charlotte, wychylając się zza niej na tyle, by móc spiorunować mnie wzrokiem.

- I nic mi o tym nie powiedziałaś?!

- Nie chciałam cię straszyć! - odrzekłam słabym głosem.

- Mic, nie gniewaj się na nią - poprosiła ze spokojem Charlotte. - Lucy wiedziała, jak cię przestraszy ta wiadomość. Wiem, że po prostu chciała ci tego oszczędzić. Musisz uwierzyć, że taki wynik badań jest ostatnią rzeczą, jakiej ktokolwiek by się spodziewał. - Poklepała go po ręce, ale nie mogłam zobaczyć jego reakcji. - Jeszcze wczoraj braliśmy pod uwagę tylko pozytywne scenariusze i nie sądziłam, że są jakiegokolwiek podstawy do obaw. Naprawdę myślałam, że jeszcze jedno badanie rozproszy wszystkie moje wątpliwości. Więc to do mnie możesz mieć pretensje, nie do Lucy. Nie przedstawiłam jej sprawy w czarnych barwach. Jestem pewna, że właśnie dlatego o niczym ci nie wspomniała. - Charlotte westchnęła. - Dziś jednak nie mamy wyboru. Mickey, musisz stanąć na wysokości zadania, i wiem, że cię na to stać. - Po tych słowach zwróciła się w stronę mojej siostry. - Nie miałam pojęcia, że cię tutaj zastanę, Lily, ale to samo, kochanie, dotyczy ciebie. Mogę sobie wyobrazić, ilu cierpień przysparza ci ciąża Lucy, ale musisz o nich, kochanie, teraz zapomnieć. Twoja siostra cię potrzebuje. Ron będzie musiał łagodzić sytuację, ilekroć będzie to konieczne, a jest w tym naprawdę dobry.

Mickey odchylił się na siedzeniu i wsunął palce we włosy. Przez dłuższą chwilę siedział w bezruchu, wpatrując się w podłogę. Żadne z nas się nie poruszyło. W końcu utkwił we mnie spojrzenie. W jego oczach kłębiły się różne emocje - strach, gniew, zaskoczenie. Jestem pewna, że w moich ujrzał to samo. Podniósł się z miejsca i usiadł koło mnie.

Charlotte zwróciła się teraz do nas obojga:

- Roland natrafił na pewne nietypowe komórki, które zbada dokładniej. Na razie wiemy tylko tyle.

Rozejrzałam się wokół. Obok mnie siedziała Lily, usiłując powstrzymać łzy, Mickey, wczepiony we mnie jak w ostatnią deskę ratunku, i Charlotte, która ścisnęła moją dłoń. Poczulałam piekące łzy w oczach.

- Co teraz zrobimy? - spytałam głosem zachrypniętym z emocji.

- Doktor Matthews będzie musiał przeprowadzić kilka testów, by móc stwierdzić, z czym mamy do czynienia.

Skinęłam głową.

- Kiedy? - zapytałam.

- W poniedziałek będzie mógł pobrać próbkę. Wtedy będziemy dokładnie wiedzieć, co to takiego.

- A co z moim dzieckiem? Charlotte posłała mi twarde spojrzenie.

- Nie będziemy teraz zajmować się dzieckiem.

- Nie będziemy?

Pokręciła głową i ucałowała mnie w czoło. To sprawiło, że przebiegł mnie dreszcz i ogarnęły złe przeczucia. -Charlotte...?

- Kochanie, najważniejsza jesteś teraz ty. I musimy zająć się tobą.

Pomyślałam, że zaraz zemdleję, i zwiesiłam głowę. Co ona do mnie mówi? Co ona właściwie chce przez to powiedzieć?

Mickey położył mi dłoń na karku, po czym usłyszałam jego głos:

- Charlotte, czy moglibyśmy porozmawiać w kuchni?

- Naturalnie - odparła doktor Barbee i razem z Mickeyem wyszła z pokoju.

Siedziałam na sofie bez ruchu, a Lily utkwiała we mnie bezradne spojrzenie. Gdy oczy wypełniły mi się łzami, moja współczująca siostra zbliżyła się do mnie i wzięła mnie w ramiona. Chciałam być silna przez wzgląd na nią - kolejny nawrót mej choroby był jej najczarniejszą zmorą - ona jednak mnie zaskoczyła, choć tak się przecież bała wszelkiej niepewności.

- Ulżyj sobie, Lu - szepnęła mi z czułością na ucho.

- Nie musisz być dziś taka twarda. Po prostu się wypłacz. To przyniesie ci ulgę.

I tak też zrobiłam. Nie z powodu strasznej wizji drugiej rundy zmagania z tym potworem, wizji drugiej rundy zmagania z porażającym strachem Mickeya czy nawet na myśl o najczarniejszym ze scenariuszy, to znaczy własnej śmierci

- gdyż wszystkie te widma były mi dobrze znane. Płakałam nad kruchą istotką, której życie było zagrożone przez zdradliwą chemię mego organizmu. Łzy puściły mi się z oczu nieprzerwanym strumieniem, jakby straszne słowa Charotte: „Nie będziemy teraz zajmować się dzieckiem” -już rozsnuły przede mną całun śmierci.

ROZDZIAŁ 16

6 sierpnia 2011 (wczesny ranek)

Nie mogę spać. Dopiero w kuchni w pełni do mnie dotarło znaczenie słów, które nigdy nie powinny były paść, a które mnie tak poraziły, że zacząłem się trząść. Trzęsę się do tej pory. Charlotte posłuchała mej prośby i wyszliśmy z salonu. Ujęła w dłonie moje ręce.

- Dobrze się czujesz, Mickey - powiedziała. Nie było to pytanie.

- Charlotte, nie mogę tego spieprzyć. - Spojrzałem na nią i nieomal zacząłem ją prosić, żeby mnie okłamała. Tak bardzo chciałem usłyszeć to kłamstwo. Tak bardzo chciałem usłyszeć od niej, że moja żona wydobrzeje. Zabrakło mi tchu. Potrząsnąłem głową i wyszeptalem: - Nie mogę się teraz załamać, ale obawiam się, że nie potrafię się powstrzymać.

- Owszem, potrafisz - odparła z mocą Charlotte. Ujęła moją twarz w dłonie i zmusiła mnie, bym na nią spojrzał.

- Nie możemy pogarszać sytuacji, Mic. Wiemy tylko, że

potrzebujemy więcej informacji. Nie powinniśmy snuć czarnych wizji. Odetchnij głęboko. - Skinęła głową. - Wierzę w ciebie, Mickey. Wiem, że się boisz. Ale wiem też, że Lucy boi się jeszcze bardziej. Dlatego musisz pokonać ten swój lęk. Zrób sobie wolne, trochę pobiegaj, weź się w garść. Twoja żona cię potrzebuje. Musisz być silny. Słyszysz? Spójrz na mnie. Musisz być silny, musisz dodawać jej otuchy, być dla niej oparciem. Tego jej trzeba. Jeśli będzie chciała się wyplakać, pozwól jej na to. Jeśli będzie chciała krzyczeć, pozwól jej się wykrzyczeć. Stać cię na to, Mickey. Wiem o tym.

Gdy Charlotte wyszła, nikt z pozostałych niczego nie powiedział i gdybym nie była tak pogrążona w myślach, to nasze milczenie mogłoby stać się krepujące. Byłam jednak tak zaprzątnięta sobą, że nawet nie zwróciłam uwagi, kiedy Lily poszła do domu i czy uściskała mnie na odchodne. Dlaczego? - to jedyne pytanie rozbrzmiewało mi w głowie wespół z niemą prośbą, by owo coś nie okazało się tym, czym okazać się mogło. Nie tym razem. Nie potrafiłam tego ogarnąć wyobraźnią. Oparłam się o Mickeya, a on wziął mnie w ramiona.

- Razem stawimy temu czoło, Lu - powiedział łamiącym się głosem.

- Naprawdę? -Tak.

- Nie sędzę, by znów mi się to udało - wychrypiałam. - Nie mogę cofnąć się do etapu, w którym już raz byłam. Znowu być chora. Po prostu nie mogę.

Mickey nic na to nie powiedział, a ja wiedziałam, że myśli to co ja. Zaczerpnęłam głęboko powietrza i wyzwoliłam jedną rękę z jego objęć.

- Przepraszam, że ci nie powiedziałam. Naprawdę chciałam to zrobić, ale Charlotte uznała, że to nic poważnego. Wiem jednak, że powinnam była ci o tym powiedzieć.

- Czy naprawdę jestem takim inwalidą, Lu, że nie mogłaś mi zaufać?

- Nie o to chodzi. Daję słowo.

- A więc o co?

- Nie chciałam pozbawiać nas złudzeń - powiedziałam obcesowo.

W oczach Mickeya ujrzałam teraz czułość.

- Tkwimy w tym razem, Lucy. Musiałaś stawić temu czoło, a ja powinienem był stać przy tobie. Musisz mi zaufać.

- Wiem, kochanie. Przepraszam.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu, po czym Mickey podniósł się miejsca.

- Lu, nie masz nic przeciw temu, bym poszedł pobiegać? To rozjaśni mi w głowie. - Skinęłam głową. - Jesteś pewna?

- Zostanę tutaj - odparłam, nie czując się nieszczęśliwa, że Mickey teraz wychodzi.

Chciałam zostać sama z własnymi myślami. Nie z jego myślami, myślami Lily czy nawet Charlotte. Chciałam wsłuchać się we własny głos. Ale gdy Mickey wyszedł i miałam ku temu okazję, nagle się okazało, że nie mam sobie do powiedzenia nic interesującego.

Podciągnęłam kolana pod brodę. Pokój tonął w przytłumionym świetle lampy. Rozejrzałam się wokół. Tutaj dorastałam. To właśnie tutaj przy chybotliwym stoliku karcianym ojciec grywał w pokera. To tutaj przyłapałam kiedyś obściskujących się Lily i Rona, gdy byli jeszcze w ogólniaku. Tutaj też Priscilla otrzymała od naszej płaczącej mamy błogosławieństwo na dalszą drogę życia. Te ściany były świadkiem tego wszystkiego: dziejów mojej rodziny. Tak bardzo pragnęłam również tutaj któregoś bożonarodzeniowego poranka ujrzeć zachwyt w oczach mojej córeczki, podczas gdy Mickey nagrywałby wszystko kamerą. Moja dziewczynka zasługiwała na to, by dorastać w tym starym, skrzypiącym, przytulnym domu przesyconym historią. A ja, u licha, zasługiwałam na to, by ją tutaj wychowywać!

Nieomal już zasnęłam na sofie, gdy usłyszałam delikatne pukanie do drzwi; zbyt ciche, by mógł to być Mickey. Drzwi otworzyły się z wolna i do domu wkroczył Harry Bates okutany szlafrokiem i w bawełnianej piżamie. Nie odezwał się słowem. Ojciec Rona był taki sam jak syn - spokojny, silny, wytworny. A jego pewność siebie udzielała się innym nawet wówczas, gdy było oczywiste, że właśnie udaje się na spoczynek.

- Cześć, Harry - powiedziałam.

Uśmiechnął się i usiadł na sofie obok mnie. Spojrzał na mnie bez lęku, bez owej irytującej przesadnej troski w oczach. Był twardzielem.

- Co mogę dla ciebie zrobić, dzieciaku? - spytał przyciszonym głosem.

Nie wiedziałam, co mu odpowiedzieć, więc tylko położyłam mu głowę na ramieniu.

Harrison Bates wszedł do mojej rodziny, gdy miałam pięć lat, żeby nam pomóc, i nigdy nie próbował aspirować do roli ojca, co z łatwością bym od razu dostrzegła. Tak jak zresztą i teraz. Ale gdy tak patrzyłam na niego, ogarnęła mnie tęsknota za tatą. Pokręciłam głową.

- Bądź tą jedyną osobą, która nie przyjmuje za pewnik, że umrę.

- Myślę, że mogę to dla ciebie zrobić - odparł Harry, biorąc mnie za rękę.

Westchnęłam.

- Co tutaj robisz? Jest po północy.

- Twoja siostra nadal jest w naszym domu, naradzając się z Jan. Zmęczyło mnie to i chciałem się sam przekonać, czy jest z tobą tak źle, jak mówi Lily.

Uśmiechnęłam się wbrew sobie.

- Jeszcze nie zapadł na mnie wyrok.

- Więc dlaczego wszyscy płaczą? - spytał Harry i mnie objął. - Gdzie jest Mic?

- Poszedł pobiegać.

- Mam go poszukać?

- Nie. Myślę, że potrzebuje trochę czasu. To musi być dla niego trudne ponownie usłyszeć taką diagnozę.

- A co z tobą?

Kiwnęłam tylko głową, nie mogąc dobyć głosu. Siedzieliśmy w milczeniu jeszcze przez kilka minut. Gdy poczułam, że zaczynają ciążyć mi powieki, powiedziałam

Harry'emu, że muszę się położyć. Ucałował mnie w głowę i jeszcze raz zaproponował, że poszuka mego nieobliczalnego męża. Ale w tej samej chwili, jakby na umówiony znak, w drzwiach stanął Mickey. Wyglądał strasznie. Miał zapuchnięte oczy i mokre włosy. Musiał biec jak oszalały. Skinął Harry'emu głową na powitanie, lecz nie odezwał się słowem. Tamten, kierując się do wyjścia, poklepał go po ramieniu.

- Dbajcie o siebie, dzieci - powiedział na odchodnym.

Mickey spojrzał na mnie z drugiego końca pokoju. Przez dłuższą chwilę patrzyliśmy na siebie w milczeniu. Następnie mój mąż podszedł do sofy i bez słowa wziął mnie w ramiona. A gdy oboje przestaliśmy płakać, zaniósł mnie na piętro.

Trzymaliśmy się z Mickeyem za ręce, siedząc w gabinecie Rolanda Matthews'a i czekając, aż lekarz się zjawi i z nami porozmawia. Mickey był w marnym nastroju. I choć starał się to ukryć, to jego głębokie westchnienia i nerwowe zaciskanie szczęk i tak go zdradziły. Miał kiepską noc, Choć zażył podwójną dawkę ambienu. Wyciągnęłam rękę i pogładziłam go po policzku, on zaś zmusił się do uśmiechu. Mimowolnie zaczęłam fantazjować, wyobrażając sobie mężczyznę, który wyglądał zupełnie jak Mickey i - głaszcząc mnie po twarzy - zapewniał, że wszystko będzie dobrze. Roiałam też sobie, że mu wierzę.

Rozejrzałam się po zimnych, gołych ścianach gabinetu. Owego ranka znana mi już antypatyczna recepcjonistka

najpierw wykonała telefon, a przystępując do tej standardowej procedury, przybrała ten sam denerwujący ton, jakim powitała mnie kilka dni wcześniej.

- Tylko proszę się pospieszyć, pani Chandler - napomniała mnie. - Doktor znów przyjmuje panią poza kolejką, choć ma dziś wielu pacjentów.

I oto siedzieliśmy z Mickeyem w tym doskonale bezosobowym gabinecie już prawie od czterdziestu pięciu minut, a mój mąż był tak spięty, że z trudem mogłam usiedzieć na miejscu. Wreszcie drzwi otwały się gwałtownie i do środka wpadł lekarz ze wzrokiem utkwionym w mojej karcie, którą trzymał w dłoni.

- Jak się pani dzisiaj czuje, pani Chandler? - spytał. Zdobyłam się jedynie na kiwnięcie głową. Doktor

Matthews posłał mi przepaszające spojrzenie, po czym podał rękę Mickeyowi.

- Jest pan zapewne mężem - stwierdził.

Doktor Matthews był tęgim, łysiejącym mężczyzną, ale i tak zadawał szyku w świeżo wyprasowanej białej koszuli i spodniach z zaszewkami. Wydzielał ostry zapach wody kolońskiej, który uderzył w nasze nozdrza, gdy usiadł tuż przed nami. Przeglądał moją dokumentację, a małe okulary bez oprawek zsunięte miał na koniec nosa.

- Jeśli moje obliczenia są prawidłowe, oznacza to, że jest pani w dziewiętnastym tygodniu ciąży, prawda? - spytał, podnosząc na mnie wzrok.

Skinęłam głową.

- Znieczulenie ogólne stanowi niewielkie zagrożenie dla

płodu na tym etapie rozwoju. Będzie pani bardzo skrupulatnie monitorowana i zrobimy, co w naszej mocy, by nie zaszkodzić dziecku. Wiem, Lucy, że to dla pani trudne.

Wręczył mi formularz zgody do podpisu. Omiotłam go wzrokiem, zdając sobie sprawę, że uwalnia on Matthewsą od wszelkiej odpowiedzialności. Poczulałam ucisk w gardle.

- Nie można tego zrobić przy znieczuleniu miejscowym?

- Nie wiem, na co natrafię, a nie chciałabym, by coś mnie ograniczało, jeśli znajdę więcej, niż się spodziewam. Dokonam chirurgicznego cięcia, by móc oszacować skalę problemu. Przewiduję, że zabieg będzie dość skomplikowany. - Matthews pokręcił głową. - W tych okolicznościach po prostu nie chciałabym podlegać ograniczeniom wiążącym się z zastosowaniem znieczulenia miejscowego.

- Podpisz to, Lucy - powiedział Mickey ostro, po czym przeprosił za swój ton i zaczął zadawać pytania.

Usłyszałam większość odpowiedzi Rolanda Matthewsą, ale nie dotarł do mnie ich sens. Pamiętam, że Mickey mnie pocałował, ja zaś chciałam się do niego przytulić i prosić, żeby zabrał mnie do domu. Pamiętam, że próbował dodać mi otuchy, ale miał zbyt roztrzęsiony głos, by mogło mu się to udać. Zabrano mnie do drugiego pomieszczenia, w którym się rozebrałam i włożyłam strój szpitalny. Jakaś dziewczyna, wyglądająca najwyżej na dwanaście lat, pobrała mi trzy fiołki krwi, po czym ktoś inny zrobił mi zastrzyk. Było mi zimno, a kiedy znalazłam się na wózku szpitalnym, ktoś okrył mnie ciepłym kocem, ale nie wydaje mi się, by człowiek ten odezwał się do mnie. Następnie przewieziono

mnie na salę operacyjną. Głaskałam swój brzuch, po czym straciłam przytomność.

Gdy tylko opadła spowijająca mnie mgła, chciałam sięgnąć ręką do brzucha, ale nie byłam w stanie. Skądś mi znany miły kobiecy głos przywrócił mnie do pełnej przytomności. Należał do pielęgniarki, która poczęstowała mnie krakersami, gdy byłam tu ostatnim razem.

- Co z dzieckiem?... - zdołałam z siebie wykrztusić.

- Przez całą operację monitorowaliśmy akcję serca. Wydaje się, że z dzieckiem wszystko w porządku.

Zaproponowała mi kilka kostek lodu. Spojrzałam na nią ponaglająco. A co ze mną? Czy również ze mną wszystko wydaje się w porządku? Kobieta odwróciła wzrok i coś mi wstrzyknęła, a wtedy znów poczułam przytłaczający ciężar.

Po jakimś czasie odzyskałam przytomność. Byłam sama w ładnym pomieszczeniu. Wciąż miałam ciężką głowę - z powodu leków - ale mogłam spojrzeć w stronę korytarza, skąd, jak mi się zdawało, dobiegł mnie głos Mickeya. Upłynęła chwila, nim zobaczyłam wyraźnie jego twarz. Razem z nim były też Lily i Priscilla, a także Ron i doktor Matthews. Mickey stał odwrócony do mnie plecami. Wyciągnął rękę z kieszeni i zaczął masować się po karku. Robił tak zawsze, ilekroć był niespokojny. Lily poklepała go po ramieniu, po czym zobaczyłam, że mój mąż kryje twarz w dłoniach. Słuchając lekarza, Priscilla ocierała z policzków łzy. Ron musiał poczuć na sobie mój wzrok, ponieważ się odwrócił i jego spojrzenie powędrowało w moją stronę. Gdy nasze oczy spotkały się, nie wyczytałam w nich dobrych wieści.

Przez dłuższą chwilę patrzyliśmy na siebie, po czym Ron opuścił głowę.

Poczułam łzy pod powiekami i obraz mojej rodziny się zamazał. Zaczęłam myśleć o mamie i o tym, że tak spokojnie zaakceptowała straszną prawdę. Nagle ogarnęła mnie wściekłość na nią. Pograżyłam się we wspomnieniach. Właśnie myłam zlew, rysując na jego dnie fantastyczne wzory z piany, gdy zadzwonił telefon. Matka, która czyściła niewielką szybę w tylnych drzwiach domu, ściągnęła żółtą gumową rękawiczkę i sięgnęła po słuchawkę. Dzwoniła Charlotte. Przerwałam pracę, ale nie śmiałam spojrzeć na mamę. Nawet gdy oznajmiła: „Będziemy za piętnaście minut”. Tydzień wcześniej poddano ją kilku testom i właśnie nadeszły wyniki. Musiałyśmy pojechać do gabinetu Charlotte. Była sobota. Odkładając słuchawkę, mama ściągnęła z ręki drugą żółtą rękawiczkę i powiedziała powoli, zwróciwszy się w moją stronę: „A więc to tak”. Pamiętam, jak wolno wspinała się po schodach. Pamiętam, że mogłam się jedynie wpatrywać w leżącą na podłodze rękawiczkę.

Zamknęłam oczy, dystansując się wobec prawdy o własnej sytuacji. Z najwyższym wysiłkiem sięgnęłam do brzucha i namacałam pod sukienką twarde wybrzuszenie. Później - nie pamiętam dokładnie kiedy - po prostu nie znalazłam w sobie dość energii, by zareagować na poszturchiwania Mickeya, a może kogoś innego, kto próbował przywrócić mnie do rzeczywistości. Nie byłam gotowa na przyjęcie tego, co czekało na mnie po tamtej stronie snu, więc wolałam pozostać tam, gdzie byłam, spowita w złudzenia dopóty,

dopóki było to możliwe. Gdy w końcu ośmieliłam się rozewrzeć powieki, ujrzałam Mickeya, który wpatrywał się w przestrzeń zaszklonymi od łez oczami. Poczułam ucisk w sercu. Nie mogłam patrzeć, jak mój mąż znów przechodzi ze mną przez to piekło. Nie miałam na to siły. On też nie.

Była noc. Sala pogrążona była w ciemnościach, nie licząc fluorescencyjnego światła docierającego z korytarza. W oddali słychać było głosy - pielęgniarka zamawiała przez telefon obiad dla nowo przyjętych pacjentów, przebywający z wizytą w pomieszczeniu obok omawiali wyniki gry w kręgle, ktoś chciał coś do picia. Ale w mojej sali zalegała grobowa cisza.

- Mic? - wychrypiałam.

Pochyliwszy się nade mną, dotknął mego ucha.

- Hej, ślicznotko. Już myślałem, że masz zamiar tak spać bez końca. Zaczynałem się martwić.

Podniósł się z miejsca i delikatnie ucałował mnie w usta. Wyglądał na przygnębionego, ale na jego wargach błąkał się słaby uśmiech, który - byłam tego pewna - musiał go wiele kosztować.

- Miałam sen - powiedziałam.

Mickey wziął mnie za rękę. Palce naszych dłoni splotły się w uścisku.

- Śniło mi się, że lekarz miał dla nas złe wieści. Mickey stał tuż nade mną. Był bliski rozpłakania się.

Pociągnął nosem i odsunął koc. Potem usiadł na moim łóżku i wziął mnie w ramiona. Czułam, że drży.

- Powiedz mi, Mic - wyszeptałam.

Długo milczał, nim zdołał dobyć głosu, ale już samo to milczenie stanowiło odpowiedź. W końcu jednak przemówił:

- Nie wszystko zrozumiałem, ale wiem, że natrafił na jakiś guz. Jest też... - Mickeyowi ścisnęło się gardło - jest też przerzut do płuca...

Jego słowa wstrząsnęły mną i zupełnie mnie załamały. Guz? Przerzut? Do płuca? Poczułam, jak bezgłośnie łzy spływają mi po twarzy i skapują na koszulę Mickeya, który trzymał mnie w objęciach.

Jakiś czas potem, jeszcze tej samej nocy, do mojego pokoju zajrzał Roland Matthews. Mickey poszedł do domu, żeby wziąć prysznic, ale najwyraźniej nie był to przypadek, że ten zajęty lekarz pojawił się u mnie właśnie wtedy, gdy byłam sama. Przez dłuższą chwilę lustrował mnie wzrokiem, a jego smutne spojrzenie było aż nader wymowne. Gdy wreszcie przemówił, jego ton był na wskroś rzeczowy, choć nie niemiły. Pobrano drobną część owego guza, który miał wielkość około sześciu centymetrów. Guz miał nietypowy kształt: był płaski i wyrósł na ścianie mojej klatki piersiowej, na tyle daleko od samej piersi, że mammografia nie mogła go wykryć, póki nie osiągnął swych obecnych rozmiarów. Uczucie ciężkości i dyskomfort, jakich doświadczałam, stanowiły identyczne objawy z całkowicie naturalnymi dla ciąży, co dodatkowo utrudniło jego wykrycie. Krótko mówiąc, Roland Matthews oznajmił mi, że ten wyjątkowy zbieg okoliczności sprawił, że guz mógł się aż tak rozwinąć. Doszło też do przerzutów.

W owej chwili uświadomiłam sobie, że wbrew temu, co długo przyjmowałam za pewnik, najbardziej przerażającym słowem w języku angielskim wcale nie jest „rak”, lecz „metastaza” - przerzut. Rozbłysło ono w mym umyśle niczym kawałki szkła ryjące w mózgu ślady niepozostawiające złudzeń. Jak gdyby zatrzymało czas, gdy doktor Matthews zaczął snuć swe wywody na temat markerów patologicznych i stopni zaawansowania choroby, nie mówiąc już o zupełnie zbędnej litanii na temat wyników moich badań laboratoryjnych. Co osobliwe, prowadzone od tak dawna badania krwi nie wykazały żadnego wzrostu markerów CA. Dziś jednak wykryto marker, który ponad wszelką wątpliwość potwierdza diagnozę o obecności przerzutów raka w obrębie płuca. Właśnie to, wyjaśnił lekarz, tłumaczy mój denerwujący, sporadyczny kaszel.

To było dużo informacji jak na jeden raz. Matthews nie przestawał paplać, ja zaś po prostu wycofałam się w siebie, aż w końcu kotłowanina myśli w mej głowie zupełnie go zagłuszyła. Słyszałam go jednak wyraźnie, gdy przedstawiał czekające mnie formy leczenia - chodziło o brutalny reżim polegający na naświetlaniu i chemioterapii. Nietypowy nowotwór na mojej piersi nie nadawał się do operowania i mogłam jedynie liczyć na to, że ulegnie remisji. Lekarz wyciął, co tylko mógł, by zrobić patologię, ale nawet dokonując radykalnej mastektomii, nie dałoby się w pełni wyeliminować uszkodzonych tkanek. Matthews zaczął coś mówić na temat małej odległości dzielącej guz od płuca, co brzmiało niemal tak, jakby opisywał pojedynczy guz mający przerzuty

w dwóch miejscach. Poinformował mnie również, że jutro pojawi się jego kolega, który dokładniej mnie zbada, po czym - zupełnie niepotrzebnie - zaczął mnie przeproszać, że wykryte uszkodzenie płuca znajduje się na obszarze, którego zbadanie wykracza poza jego kompetencje.

- Jestem pewien, że doktor Gladstone zgodzi się, że jak najprędzej musimy rozpocząć intensywną chemioterapię i naświetlanie - zakończył swą przemowę.

Wpatrywałam się w tego człowieka, który w tak grzecznych słowach i bez emocji sformułował porażającą diagnozę. Zdawał się nie zauważać faktu, że jego retoryka nie zrobiła na mnie najmniejszego wrażenia, gdyż pochłaniało mnie co innego. To, co mówił, nie miało żadnego znaczenia. Wszystko to już słyszałam. Znałam to z czasów, gdy jako mała dziewczynka towarzyszyłam mamie w trakcie wizyt w szpitalach. Po raz kolejny zaś usłyszałam je przed siedmioma laty, gdy zdiagnozowano raka u mnie. Ale niezależnie od tego, jak bardzo się starałam, nie mogłam pojąć, dlaczego spotykało mnie to właśnie teraz. Kiedy akurat byłam w ciąży. Dlaczego nie w zeszłym roku? Albo za sześć miesięcy?

- Nie! Nie zrobię tego! - krzyknęłam w pełni świadoma tego, że mój sprzeciw musi się wydawać czymś infantylnym.

Matthews głęboko westchnął.

- Naturalnie zrobimy wszystko, co w naszej mocy - oznajmił, nie odważając się spojrzeć mi w oczy.

- A co z moim dzieckiem? - zapytałam przez zaciśnięte zęby.

Lekarz milczał przez chwilę, długą niczym wieczność, po czym nasze spojrzenia wreszcie się spotkały.

- Muszę przeprowadzić aborcję terapeutyczną, Lucy. Ma pani raka piersi w zaawansowanym stadium, z przerzutem do płuc. Rokowania są niepewne. A szanse będą zerowe, jeśli już teraz nie podejmiemy intensywnego i inwazyjnego leczenia. Jeśli wszystko się powiedzie, być może później przyjdzie pora na dziecko.

- Nie, nie. - Z trudem rozpoznałam własny głos.

- Przykro mi, Lucy.

Gdy nie pozostało już nic do dodania, doktor opuścił mnie, bym miała czas ogarnąć wszystko to, co mi oznajmił.

Pomimo wzbierającej we mnie furii byłam na skraju paniki. Ale zanim w pełni jej się poddałam, nagle usłyszałam słowa ojca. Spowiły mnie one namacalne niczym całun. Znowu miałam pięć lat, on zaś klęczał u wezłowania mego łóżka. Czułam na twarzy jego ciepły oddech i usłyszałam tę samą powagę brzmiącą w jego głosie, pokładając tę samą co wtedy niewzruszoną ufność w jego słowach: „Śmierć nie jest kresem, Lulu. Śmierć nie boli. A jeśli nie boisz się śmierci, możesz jej wypatrywać i przygotować się na nią.

Tylko że ja się bałam.

Nagle ogarnęła mnie furia. Nie potrafiłam powstrzymać kłębiących się we mnie emocji. Słyszając głośny szloch dobiegający z mego pokoju, jakaś przechodząca pielęgniarzka zajrzała do mnie, by sprawdzić, czy wszystko w porządku. Długo płakałam, co w końcu zupełnie mnie wyczerpało, lecz nawet gdy już opadłam z sił, serce nadal łomotało w mej

piersi. Gdy w końcu się uspokoiło, wyobraziłam sobie, że tata kładzie mi na czole swą delikatną, spokojną dłoń. Myśl o nim niemal ukoła cały mój smutek. Mój oddech stał się spokojniejszy i omiotłam całą salę spojrzeniem swych zapłakanych, zapuchniętych oczu, stwierdzając, że ona, owa powabna persona, jeszcze nie nadeszła. To dobrze, pomyślałam. Z pewnością dobrze wie, że nie byłaby dzisiaj mile widzianym gościem.

ROZDZIAŁ 17

9 sierpnia 2011

Spowija mnie martwota, z trudem się poruszam. Czuję się ociężały, jakbym był sparaliżowany. Może to cisza przed burzą. A może to właśnie zdrowy symptom - może w taki sposób normalni ludzie przechodzą kryzysy. Ale chyba nie tym razem. Gdy padło to straszliwe słowo, poczułem wstrząs jak człowiek porażony prądem i zachowywałem się jak porażony, dopóki szok nie minął. Czulem dławiący ciężar. Byłem zdolny do najróżniejszych strasznych myśli; byłem w stanie przyjmować wszelkie najstraszliwsze informacje. Nie mogłem tylko wykrzesać z siebie emocji, które powinny były we mnie one wywołać. Potrafiłem ogarnąć myślą całe okrucieństwo losu, że stało się to właśnie teraz, gdy miało narodzić się dziecko, gdy byliśmy tacy szczęśliwi. Ale wszystkie te myśli unosiły się tylko na powierzchni martwoty, nie przenikając przez jej skorupę. Może owa martwota była błogosławieństwem, gdyż nic nie było w stanie przez nią przeniknąć, by mnie zranić? Docierały do mnie tylko słowa: Etap czwarty, guz nie nadaje

się do operacji, przerzuty, kiepskie rokowania, sytuacja jest poważna. Aborcja. Aborcja. Aborcja. Lucy dokona aborcji naszej córki. Potem chemia. Naświetlania. Operacja. Po tym wszystkim być może stan Lucy się poprawi. Lekarz powiedział, że szansa nie jest duża. Ale i tak musimy się jej uchwycić... ? Jest to sytuacja zakładnika: jeśli będziemy stosować się do reguł i robić dokładnie to, co się nam każe, wówczas istnieje -powiedział lekarz - znikoma szansa, że stan Lucy znów się poprawi. A wtedy kto wie, może poszczęści nam się z kolejnym dzieckiem, którego tak naprawdę w ogóle nie powinno być.

Może się poszczęści. Choć raczej nie.

Wszystkie te myśli krążyły mi po głowie, gdy rozmontowywałem dziecięce łóżeczko stojące w naszym pokoju.

Gdy mieszkasz w małej miejscinie, wśród ludzi, którzy od zawsze cię znają i od zawsze interesują się twoim losem, nie istnieje nic takiego jak tajemnica. Wszystko zaczęło się od tego, że Elaine Withers zauważyła, że Jan i Lily płaczą w narożnym kącie restauracji Damian's. Kolejny etap w rozpowszechnianiu plotek był pokłosiem wyjaśnień, jakich Mickey udzielił Jaredowi, tłumacząc się, dlaczego nie przyszedł do pracy. A kiedy Ron przywiózł inkrustowany kredens z mahoniu zakupiony w Ghosts przez Muriel Piper, Muriel wierceła mu dziurę w brzuchu dopóty, dopóki nie dał za wygraną i nie powiedział jej wszystkiego. Od tej chwili wieści na temat mojego stanu roznosiły się niczym rozsiewane przez wiatr.

Gdy Mickey przywiózł mnie do domu zaledwie dwa dni po operacji, w naszym pokoju gościnnym nie było już dziecięcego łóżeczka, ale za to pełno kwiatów od różnych ludzi. Lainy Withers zostawiła zupę na kuchence, a Jan okryła moje łóżko nową kołdrą. Diana Dunleavy położyła na ganku powiazaną sznurkiem paczkę bestsellerów, a Nathan Nash podrzucił płyty DVD z *Władcą pierścieni*, którego obejrzenie zajęłoby dziewięć godzin. Zostałam też liściki i kartki z życzeniami oraz dodające otuchy wiadomości na sekretarce. Priscilla, by móc mieć na mnie oko, przeniosła się nawet na łódkę, gdzie pracowała, korzystając z laptopa i telefonu komórkowego. A ja tkwiłam bez ruchu na sofie. Tego dnia Mickey obsypał mnie chyba setką pocałunków. Całował mnie po rękach, głowie, policzkach, nadgarstkach. Czemu nieodmiennie towarzyszyła deklaracja, że wszystko się ułoży. Ale mój mąż kłamał. Jak wszystko mogło się ułożyć, skoro mieliśmy stracić nasze dziecko? Mickey nie mówił o niej. I również mnie nie pozwalał o niej mówić.

Przyjaciele i rodzina otoczyli mnie troskliwą opieką, a Mickey stał się ponury, wyglądał na przestraszonego i... wściekłego. Niewiele spał, tak samo zresztą jak ja, co oczywiście sprawiło, że oboje staliśmy się podatni na irytację. Którejś nocy mieliśmy straszliwą awanturę, przy czym oboje zdaliśmy sobie sprawę, że w ten sposób każde z nas jedynie daje wyraz swej rozpacz. Ale to nas nie powstrzymało. Było już późno, gdy oszalały z wściekłości Mickey wypadł z domu, ja zaś, choć wstyd mi się do tego przyznać, usłyszawszy trzask drzwi z moskitierą po raz

ostatni uderzających o drewnianą futrynę, poczułam niewysłowioną ulgę.

Kiedy tak siedziałam w półmroku, napawając się ciszą, poczułam delikatne poruszenia mojej córeczki. Poczułam ją i pomyślałam, że nigdy jeszcze tak nie cierpiałam. To, co mnie - nas - czekało, zupełnie mnie przerastało. Zakochaliśmy się w niej. A teraz...

Przyszła mi wtedy na myśl pewna noc sprzed lat, gdy nie umarłam, choć mogłam umrzeć. Choroba już niemal rozpostarła skrzydła nad moim grobem, a doktor Barbee, choć nie prowadziła mnie na onkologii, była z nami, by opiekować się moją rodziną. Wiem, że przygotowała nawet na najgorsze Mickeya i Lily. Mimo to nie umarłam. Cudowne zdolności regeneracyjne ciała wyjaśnić można jedynie magicznymi sztuczkami samego Boga, który z jakiegoś powodu zmienił nagle zdanie. Wiele czasu upłynęło, zanim ozdrowiałam po owej próbie morderstwa, jakiego nieomal dokonał na mnie rak. Lecz dzisiejszej nocy niemal żałowałam, że tak się stało, gdyż wówczas nie musiałabym stawać w obliczu utraty tego największego skarbu, jaki zesłał nam los.

Kochałam to dziecko z całego serca. Mickeya darzyłam równie wielką miłością. I owej nocy moje serce pękło na pół.

Po upływie godziny z okładem Mickey wrócił wreszcie do domu. Sprawiał wrażenie zranionego, cierpiącego człowieka.

- Kochanie - powiedziałam, podchodząc do niego. Objął mnie, a ja odwzajemniłam uścisk. Przez chwilę było dobrze, ale zanim zdążyłam się zorientować, zaczął

mnie całować z niepokojącą natarczywością, łapczywie, namiętnie i nachalnie. Nagle przywarł do mnie ciałem, aż poczułam ból. Próbowałam oswobodzić się z uścisku, lecz on tylko wzmocnił uchwyt.

- Przestań - powiedziałam mu prosto w twarz. - Przestań, Mickey! Przestań! - krzyknęłam i odepchnęłam go.

- Jezu, co ty wyrabiasz!?! - rzuciłam, dotykając obolałych ust.

Mickey z całej siły zaczął trzeć oczy dłońmi, a z jego gardła dobył się straszny jęk. Przez dłuższą chwilę obserwowałam go bez słowa. Obserwowałam, jak się wiję, przeklina i płacze. Jego cierpienie było czymś niemal namacalnym. W końcu spojrzał na mnie udreńczonymi oczami, robiąc krok w moją stronę. Cofnęłam się.

- Nie zbliżaj się do mnie.

Stał w miejscu, dotkliwie zraniony.

- Możesz przestać zadawać nam ból? - powiedziałam.

- Co ty robisz?

- Lucy, nie mogę cię stracić. Po prostu nie mogę. Nie umiem bez ciebie żyć - załkał.

Bez sił osunęłam się na ścianę, mając wrażenie, że młyńskie koła ścierają na proch każdą z moich kości.

- Może będziesz musiał, Mickey - stwierdziłam brutalnie. - Taka jest prawda i musimy jej stawić czoło. Ale nie nastąpi to dziś w nocy. Czy tym razem to ja nie mogę po prostu potrzebować ciebie?! - krzyknęłam. - Wybacz, ale nie zamierzam w tej chwili roztaczać nad tobą opieki. Jestem zmęczona, Mickey, i jeśli nie możesz przez minutę

stać prosto, tak bym mogła się do ciebie przytulić, to jaki w ogóle, do ciężkiej cholery, mogę mieć z ciebie pożytek?!

Jego piękną twarz wykrzywił grymas bólu, a mnie na ten widok ścisnęło się serce, ale wypowiedzianych słów już nie mogłam cofnąć. Po chwili milczenia z twarzy Mickeya zniknął strach i pojawił się na niej wymuszony spokój. Mickey wydał spazmatyczne westchnienie i skinął głową. Nic nie powiedział i sama nie wiem, co robił potem, ponieważ poszłam na górę.

Zawsze starałam się unikać Mickeya, gdy miał chandrę, ale tym razem byłam w rozterce. Mogłam jedynie zejść mu z drogi, podczas gdy on staczał wewnętrzną walkę. Jego chorobie umysłowej towarzyszyła niecierpliwość, teraz zaś wszystko zabarwiły gniew i lęk przed nieuchronną utratą. Mickey zawsze miewał niczym niesprovokowane ataki złości, za które szybko przeproszał, dlatego też nie reagowałam na nie, wiedząc, że za tą fasadą kryje się człowiek podejmujący rozpaczliwe wysiłki okazania siły. Oceniałam te jego wysiłki na piątkę. Jak zawsze.

Bez końca powtarzał, że wszystko będzie dobrze. To było w jego stylu. W chwili kryzysu zawsze koncentrował się na jednej rzeczy, której mógł się uchwycić, na jednej pewnej rzeczy, będącej, jak mu się wydawało, remedium na wszystko. Ostatnim razem, gdy wykryto u mnie raka, czymś takim było moje leczenie. Wszystkie swoje nadzieje Mickey zaczął wtedy wiązać z bardzo intensywną chemioterapią, której się poddałam. Trzymał mnie za rękę i obserwował - niczym pomyłony spekulant giełdowy

- wzrost i spadek poziomu limfocytów T w moim organizmie. I w ostatecznym rozrachunku nie doznał zawodu. Tym razem uczepił się myśli o aborcji, którą zaplanowano na najbliższy czwartek. Ona wszystko załatwi, Mickey był tego pewien. Gdy nie będę musiała zmagać się z ciążą, znów będzie można bezpiecznie stosować wszelkie możliwe strategie walki z rakiem - i oczywiście wyzdrowieję. Do takiego wniosku doszedł, usilnie starając się zapomnieć o miłości, jaką już zdążył obdarzyć naszą córkę.

Jeśli chodzi o mnie, to ilekroć zaczynałam o tym myśleć, ogarniało mnie odrętwienie. Musiał być jakiś inny sposób. Jakże mogłam stracić to dziecko, sama wychodząc z tego cało? Nie miałam pojęcia, więc postanowiłam w ogóle o tym nie myśleć. Nie chciałam myśleć o tym, co przyniesie przyszłość, choćby kolejna godzina, gdyż wiedziałam, że po jej upływie o godzinę przybliży się do mnie to, co i tak mnie czeka. Gdy zaczynało mnie to przytłaczać, w ramach obrony głąskałam się po swym wydatnym brzuchu. Ale wtedy Mickey unosił moją rękę, wkładał w nią swoją i opiekuńczym - a zarazem władczym - gestem splatał palce obu naszych dłoni.

Zabijałam czas jakimiś mechanicznymi czynnościami, nie chcąc przyjąć do wiadomości, co się wokół mnie dzieje. Ludzie przychodzili i odchodzili, dzwonili i mówili mi miłe rzeczy, obsypywali mnie dowodami ciepłych uczuć, dodawali otuchy. Moja twarz niezmiennie przybierała taki wyraz, jakiego w danej chwili oczekiwano. Instynktownie znajdowałam też słowa niezbędne, by zmniejszyć dyskomfort

odczuwany przez tych, którzy mnie otaczali. Najwyraźniej nikt z nich mnie nie przejrzał. Ale mogłam grać tę komedię tylko do momentu, gdy zajechaliśmy na parking kliniki aborcyjnej. Oczywiście nie tak się nazywała. Miała inną, mniej drastyczną nazwę: Centrum Zdrowia Kobiety w Montrose. Lecz kiedy Mickey, obszedłszy samochód, otworzył mi drzwi, rzeczywistość poraziła mnie niczym oblicze diabła i nie byłam w stanie wysiąść z auta. Mickey pochylił się nade mną.

- Lu, kochanie, spóźnimy się.

Chwycił mnie za ramię, a ja spojrzałam mu w oczy.

- Nie mogę tego zrobić.

- Lucy, chodź. To potrwa tylko chwilę.

Kłamał, ale nie miałam siły, by się z nim sprzeczać. Wsiadłam z samochodu.

W poczekalni kliniki było ciemno. Stały w niej pluszowe sofy ze skórzanymi obiciami, leżały też najnowsze numery wielu ilustrowanych czasopism. Usiadłam na jednej z kanap, podczas gdy Mickey mnie zarejestrował. Jediną siedzącą w poczekalni osobą była młoda dziewczyna, która czytała magazyn „People”, strzelając z balonówki. Miała na sobie modne buty i ani razu na mnie nie spojrzała.

Podniosłam wzrok na Mickeya, który podpisywał formularze ubezpieczeniowe i zgarbiwszy się nad ladą, intensywnie coś studiował. Budził zaufanie, jakby mógł przenieść mnie na rękach przez cały stan bez choćby jednej kropli potu na czole. Jego wspaniałe włosy wciąż były wilgotne po porannej kąpieli, był też świeżo ogolony. Miał na sobie niebieską koszulę

z kołnierzem z guzikami, spodnie od garnituru i krawat. Myślę, że to ten krawat wyzwoli! we mnie jakby element ufności. Mickey zawsze gustownie się ubierał, ale ilekroć czekała go jakaś przykra konfrontacja, wkładał krawat.

Kiedy załatwił formalności, usiadł koło mnie na sofie. Nie patrzyliśmy na siebie. Wpatrywaliśmy się po prostu tępo przed siebie, antycypując ten najsmutniejszy dzień naszego wspólnego życia, aż pielęgniarka wywołała mnie po nazwisku. Wtedy podniosłam się z miejsca. Mickey również się podniósł i mnie uściskał. Przywierając do niego, poczułam na twarzy bicie jego serca.

- Wszystko się ułoży, Lu. Kocham cię.

Skinęłam głową i weszłam za pielęgniarką na salę zabiegową numer trzy. Na tacce na instrumenty medyczne znajdowały się biała gaza, przewód zasysający i duża miska. Reflektor dający ostre światło umieszczony został bezpośrednio nad miejscem, w którym miałam się położyć z rozsuniętymi nogami. Pielęgniarka z miłym uśmiechem na ustach wręczyła mi papierowy fartuch.

- Proszę się nie denerwować, pani Chandler. To naprawdę nie jest aż takie straszne.

Poklepała mnie po ramieniu, a wyraz jej twarzy świadczył o tym, że wypowiadała te słowa tysiące razy.

- Proszę włożyć ten fartuch i położyć się na stole. Proszę zdjąć z siebie wszystko poza stanikiem. Doktor Hale będzie gotowy za minutę. Wszystko w porządku, kochanie?

Przytaknęłam bez słowa, nie będąc w nastroju do rozmowy.

Zdjęłam T-shirt, ostrożnie ściągnając go z zabandażowanej piersi, i zrzuciłam sandały. Papierowy fartuch był sztywny i niewygodny, a ja wciąż nie mogłam uwierzyć, że naprawdę mam go na sobie - że naprawdę leżę na tym przeznaczonym do aborcji stole i że dziecka, które stało się czymś najważniejszym w moim życiu, wkrótce już nie będzie. Zostanie wessane i ciśnięte do misy z nierdzewnej stali, a gdy już się upewnią, że nic z niego we mnie nie zostało, wrzucone do stalowego zlewu.

Widziałam każdy obraz mojej córki, jaki wyobraziłam sobie w ciągu tych kilku tygodni. Widziałam jej wielkie ciemne oczy. Czulałam na dłoniach dotyk jej jedwabistych włosów, a na policzku - jej miękkiej cieplej skóry.

Rozległo się ciche pukanie, po czym w szparze uchylonych drzwiach ukazała się głowa siwego mężczyzny, który zapytał, czy jestem gotowa. W milczeniu skinęłam głową.

- Jestem doktor Hale. - Wyciągnął do mnie rękę i się uśmiechnął. - To pani jest Lucy?

Ponownie skinęłam głową.

- Rzućmy na to okiem. Z dokumentacji wynika, że jest pani mniej więcej w dwudziestym tygodniu ciąży. Nie mylę się?

-Nie.

- I jak rozumiem, przeprowadzamy terapeutyczną aborcję zarządzoną z powodu zdiagnozowanego raka. Bardzo mi przykro z tego powodu.

- Dziękuję.

- Taak - wybąkał, siadając. - Czy ma pani jakieś pytania?

- Nigdy wcześniej nie miałam z tym do czynienia. Nie wiem, o co pytać.

Doktor Hale znowu się uśmiechnął. Był trochę za wesoły jak na mój gust.

- No cóż, więc zacznijmy od początku - odchrząknął i poprosił, żebym się położyła.

Czułam jego zimne ręce, gdy coś tam badał, marszcząc brwi. Pomrukiem wyraził niepokój z powodu znacznych rozmiarów płodu.

- To może chwilę potrwać - stwierdził, a następnie objaśnił cały zabieg, jakby recytował prognozę pogody.

Zresztą nie zwracałam na to uwagi. Liczyłam płytki na suficie. Kiedy skończył, sięgnął po moją kartę.

- Pani lekarz przesłał wyniki pani badań laboratoryjnych, więc nie musimy ich tutaj powtarzać - oznajmił z zadowoleniem.

Skinęłam głową.

- Sprowadziłem naszego technika, żeby zrobił zastrzyk, a potem zaczniemy. - Doktor Hale wstał i splótł dłonie. - Zaraz wracam - oświadczył, po czym wyszedł.

Chwilę później niski człowieczek w białym kitlu wszedł na salę z butelką kroplówki w dłoni oraz czymś, co wyglądało jak pusta wielometrowa rurka.

- Przykro mi, że musi pani czekać, skarbie - powiedział wysokim tonem. - Dzisiaj trochę nie nadążamy.

Obnażył moje ramię, szukając żyły, w którą mógłby się wkłuć.

- Przepraszam, że cię zabolalo, skarbie - rzucił, błędnie interpretując łzy, które nagle puściły mi się z oczu.

Zabezpieczył wkłutą w żyłę igłę chyba trzydziestoma centymetrami taśmy, paplając o czymś, co miało związek z jej rozszerzeniem. Nie słuchałam go. Modliłam się o przebudzenie z tego koszmaru. Mężczyzna poklepał mnie po ramieniu i powiedział, że zaraz przyjdzie pielęgniarzka z jakimś lekiem, który zapoczątkuje cały proces. Potem opuścił pokój.

Wbiłam wzrok w ścianę, czując poruszenia mego dziecka. Przez te ostatnie dni była bardzo aktywna, a ja zastanawiałam się dlaczego. Nie mogąc się powstrzymać, zaczęłam głośno płakać. Wiedziałam, że ta straszna aborcja jest konieczna, choć niczego nie gwarantuje, ale każdy oddech był dla mnie udawką, gdyż czułam w sobie poruszenia mojej córki. Dzisiaj ruchy dziecka były tak znaczne, że również Mickey mógłby je poczuć. Była silna, z każdą chwilą silniejsza i niejako coraz bardziej namacalnie stawała się moją córką. Naszą córką. Wiedziałam, że muszę przestać o niej myśleć. Ze muszę przygotować się do walki. Mojej walki. Musiałam wygrać. Dla Mickeya. A potem być może...

Wyrzuciłam tę myśl z głowy i postanowiłam nie poddawać się beznadziei. Doktor Matthews wypowiedział najpiękniejsze z kłamstw: być może na dziecko przyjdzie czas później. Nie wierzyłam mu ani wtedy, ani teraz, gdy jego słowa rozbrzmiewały w moim umyśle. Zacisnęłam powieki, zanurzyłam dłonie we włosach i zaniósłam się szlochom. Wszystko, co zagrzebałam pod warstwą otępienia, wypłynęło nagle na powierzchnię. Wszystkie uczucia związane z dzieckiem. Strach przed nawrotem choroby.

I to, co ponad wszelką wątpliwość wiedziałam o sobie. A wiedziałam, że niezależnie od tego wszystkiego, co mnie tu dzisiaj sprowadziło, nigdy już nie będę tą samą osobą, którą byłam wcześniej. Opuszczę to straszne miejsce, poniosłszy stratę, której nie da się powetować.

- Nie mogę tego zrobić - płakałam. - Nie mogę.

I gdy tak leżałam porażona cierpieniem, coś zatrzepotało tuż przy mych powiekach. Z trudem wciągnęłam powietrze w płuca. W kłębowisku mych emocji było to nieledwie ciche westchnienie, nieznaczące i ledwo słyszalne niczym dźwięk wydany przez usta przytknięte do skóry. To była ona. I w mgnieniu oka wyzwoliłam cały swój strach czy też wyzwoliłam się spod jego władzy. Ale wtedy jej obecność we mnie nabrała jakiegoś straszliwego, nowego sensu: dziecko umiera! Oczywiście, zaraz ukaże się śmierć! Moje dziecko umiera...

Ale to moje rozumowanie zaraz zostało poddane wewnętrznej krytyce, jak gdyby napotkało jakieś kontrargumenty z zewnątrz: Co takiego? Upłynęła chwila, zanim w pełni zaufałam temu doznaniu, a wtedy zyskałam niewzruszoną pewność. Moje dziecko nie może umrzeć. Nie mogę do tego dopuścić. Nie wolno mi dokonać tej aborcji.

Przestałam płakać i moje zrozpaczone serce wreszcie się uspokoiło. Przez chwilę napawałam się tym poczuciem całkowitej pewności, pełnej ulgi. Tylko że... skoro śmierć nie przyszła po moją córkę, to dlaczego owo widmo trzyma mnie w objęciach niczym opiekuńczy rodzic, uspokajający dziecko, któremu przyśnił się koszmar?

I wtedy zrozumiałam.

Jeśli otworzę oczy, ujrzę tę samą istotę, która patrzyła mi w oczy, gdy miałam pięć lat, a teraz przypatrywała się mej dorosłej duszy, tej duszy. Otworzyłam je. I oto najdelikatniejsze, najmniej wyczuwalne ze wszystkich widm wpatrywało się we mnie i napełniło mnie czystym poznaniem. Miałam wrażenie, jakby sens całego świata, całego bez wyjątku stworzenia został mi objawiony w mgnieniu oka, ja zaś nie tylko go pojęłam, ale wręcz doznałam mglistego poczucia, że zawsze go ogarniałam. Wiedziałam też, że nie ma to znaczenia. Żadna z rzeczy, które miały rzekomo ocalić mi życie, nie mogła tak naprawdę tego zrobić. Nie tym razem. I gdy już niewiele brakowało, bym zatraciła się w owej emocji, zstąpiła na mnie mądrość ojca, sprawiając, że zatrzymałam się nad przepaścią: „Śmierć nie jest kresem, Lulu, i jeśli się nie boisz, możesz jej wypatrywać i przygotować się na nią...”.

Wypatrywać i przygotować się.

Usiadłam i rozejrzałam się wokół po tym okropnym pomieszczeniu, z trudem oddychając. Nie powinnam była tu się znaleźć. Nie powinnam tego robić. Poczułam, jak ona dodaje mi odwagi, i jeszcze raz się załamalam. I gdy tak trwałam w jej objęciach, ujrzałam jak na dłoni własną przyszłość, której tak niewiele mi jeszcze zostało, wejrzałam w nią z podniesionym czołem.

Miałam umrzeć. To ja miałam umrzeć. Ja. Nie moja córka.

Nie powinnam była zająć w ciąży. Podwiązanie jajowodów przeprowadzone przed wieloma laty. Węzeł, który

teraz w jakiś cudowny sposób nie zapobiegł temu, co się stało... Miałam dziecko, którego w ogóle nie powinno być. Mimoto... z jakiejś przyczyny dostąpiliśmy cudu i musimy temu zaufać. Zaufać. Zaufać cudowi.

Nie wahałam się ani chwili dłużej. Zdarłam plaster przyklejony do mojego przedramienia i z grymasem bólu wyrwałam tkwiącą w żyłę igłę.

ROZDZIAŁ 18

17 sierpnia 2011

Jak ona mogła to zrobić?! Jak Lucy mogła nie zgodzić się na aborcję? Jak mogła nie zgodzić się na leczenie - jakiegokolwiek leczenie, mogące ocalić jej życie - aż do chwili narodzin dziecka?! Co z jej obietnicami? Jak mogło do tego dojść? Wykrzychałem niebu tę zdradę, odbywając samotny bieg; biegnąc coraz szybciej i wydłużając krok. Biegłem ile sił w nogach, ale moja wściekłość była coraz większa. Nie byłem w stanie nad nią zapanować. Biegłem niemal godzinę, a moje serce było niczym żelazna sztanga łomocząca w mej piersi, mimo to ten splot nieznośnych emocji dodawał mi energii.

Już prawie świtało, a ja biegłem wiejską drogą oddzielającą Brinley od Ivoryton. Oddech miałem urywany i chrapliwy. Zwolniłem kroku i nabrałem powietrza w płuca, a wściekłość zaczęła mnie opuszczać. Oddychałem wolno i głęboko, a wtedy poczułem, jak do mego wnętrza przenika to, co tak naprawdę kryło się za całym moim gniewem i co bolało jak diabli.

Tak to właśnie działa: czasami udaje mi się uwolnić od gniewu, lecz nigdy nie potrafię uwolnić się od strachu.

Mickey wyszedł jeszcze przed nastaniem świtu. Był na mnie wściekły i żadne moje słowa nie mogły poprawić mu samopoczucia, więc się poddałam. Zrezygnowałam z wyjaśnień. Zrezygnowałam z prób dodania mu otuchy. Zrezygnowałam z obietnic, że poddam się bez szemrania wszystkim zaleceniom specjalistów - gdy już urodzi się dziecko. Nie sądzę, by wierzył, że będę żyła aż tak długo. W jego oczach zobaczyłam paniczny strach.

Wyszedł z domu przed świtem rzekomo po to, by poćwiczyć. Nie spałam. Ilekroć zamykałam oczy, nieodmiennie widziałam jeden z dwóch obrazów: przerażający szary elastyczny przewód do zasysania płodu albo wyraz twarzy Mickeya, kiedy mu powiedziałam, co zrobiłam - czy raczej czego nie zrobiłam.

Tego ranka czułam się, jakby nasypano mi w oczy papieru ściernego. Wiedziałam też, że wyglądam jak siedem nieszczęść. Ale mało mnie to obchodziło. Nie zamierzałam wstawać z łóżka. Miałam zamiar w nim pozostać, skończyć plan pracy najstarszej klasy, no i cieszyć się ciążą. Na myśl o tym znowu zaczęły mnie piec oczy. Rzuciłam na podłogę papiery i naciągnęłam kołdrę na głowę. Tkwiłam tak pod nią, aż usłyszałam wściekłe łomotanie do drzwi wejściowych. Zupełnie mnie to nie obeszło. Ktokolwiek to był, w końcu

przestanie i sobie pójdzie, pomyślałam. Nie będzie miał innego wyjścia, bo nie ruszę się z miejsca.

Ale walenie nie ustawało. Najwyraźniej ktoś nie zamierzał dać za wygraną. Musiała to być któraś z moich sióstr. Jeszcze głębiej zagrzebałam się w pościeli, lecz już po chwili Priscilla stała pod oknem mej sypialni, wrzeszcząc, bym wpuściła ją do domu. Jako dodatkowego argumentu użyła piachu, który całymi garściami ciskała w szyby.

Znosiłam te grubiaństwa, dopóki byłam w stanie, a potem popędziłam po schodach na parter i gwałtownie otwierałam drzwi wejściowe. Następnie wkurzona wskoczyłam na sofę. Ramiona skrzyżowałam na piersiach, a na twarz przywołałam nieprzyjemny grymas. Priscilla była sama, nie miałam zamiaru silić się na grzeczności.

Z hukiem zatrzasnęła drzwi i stanęła przede mną z rękami na biodrach. Wyczekująco tupiała nogą, jakby spodziewała się wyjaśnień.

- Masz zaraz przestać! - krzyknęłam. - Po raz ostatni weszłaś bez zaproszenia do mojego domu, przybierając taką postawę! Czego chcesz?

- Co ty wyrabiasz, Lucy? Dlaczego nie poddałaś się aborcji? Jęknęłam.

- Czy nie mogę mieć w całym swoim życiu choć jednej sprawy, do której nikt nie będzie wścibiał nosa?

- Nawet jeśli, to nie w związku z tym dzieckiem. I nie po tym, jak wyszłaś za Mickeya.

Obrzuciłam siostrę wzrokiem. Wyjątkowo denerwujące w Priss było to, że zawsze zdawała się cała lśnić niczym

nowa moneta - zawsze, w każdej sytuacji. Było jeszcze wcześniej - dochodziła dziewiąta - a ona już prezentowała się w pełnej krasie: włosy, makijaż, wąskie dżinsy, błyszczące paznokcie obutych w sandały stóp. Aż zbierało mi się na wymioty.

- Kiedy zadzwoniłaś do Mickeya?

- Dzięki tobie to on zadzwonił do mnie bladym świtem i uprosił mnie, żebym z nim porozmawiała.

Było to poświęcenie ze strony ich obojga, gdyż ledwie się tolerowali. Przez wzgląd na mnie obwieścili zawieszenie broni. Ale żeby Mickey do niej zadzwonił? Przesunęłam dłońmi po splątanych włosach. Nieco ochłonawszy, spojrzałam na Priss, która przestała tupać.

- Czego chciał?

- A jak myślisz? Mickey chce, żebym cię namówiła, byś wróciła do tej kliniki. Co ty chcesz mu zrobić, Lucy? Ten człowiek panicznie się boi, że cię straci. A ty wyrzekasz się życia z powodu tego dziecka? Zabijasz faceta. Wiesz o tym, prawda?

- Nie mogę tego zrobić, Priss - powiedziałam chrapliwym głosem.

Zamknęłam oczy i zobaczyłam nieszczerzy uśmiech doktora Hale'a, poczułam też szelest papierowego fartucha - fartucha wielokrotnego użytku...

- Nie mogę tego zrobić.

- Ależ oczywiście, że możesz! Nie jest to aż tak trudne. To prosty zabieg.

Wpatrywałam się w nią ze zdumieniem.

- To jest dziecko, Priscillo. Moje dziecko.

- To tylko trochę komórek, Lucy, a nie żadne dziecko. Dorośnijże wreszcie! Stawką jest twoje życie. Co ty, u licha, sobie wyobrażasz?

Priscilla wpatrywała się we mnie z niedowierzaniem, które z pewnością i ja miałam w tej chwili w oczach.

- A teraz idź pod prysznic - zakomenderowała, powoli kierując mnie w stronę łazienki, jakbym była dzieckiem. - Odwiozę cię do kliniki. Och, przestań na mnie tak patrzeć. Gdy będziesz to miała za sobą, pójdziemy na lunch. I po sprawie. To całkiem proste.

Poczułam falę gniewu.

- Jak proste, Priss?

Moja piękna siostra spojrzała na mnie zwięzonymi oczami.

- Nie podoba mi się ten ton, Lucille.

- Odpowiedz mi, proszę. Jak prostą sprawą jest dokonanie aborcji? Muszę to wiedzieć. Przeprowadź mnie, mistrzu, przez ten proces. Podziel się wiedzą - rzuciłam śpiewnie tonem, w którym wyraźnie pobrzmiwał sarkazm.

Twarz Priscilli poczerwieniała, a w kącie jej oka dostrzegłam nerwowy tik. Już po chwili jednak zarówno pąs, jak i tik zniknęły bez śladu.

- Nie tym tonem, Lucille. Przestań odwracać kota ogonem. Powinnaś skupić się na mężu. Przysięgam, że po raz pierwszy nawet mnie jest go żal. On sobie robi coś złego, jeśli znowu zachorujesz. Mam nadzieję, że zdajesz sobie z tego sprawę.

- To nie twoja rzecz! - wybuchnęłam.

- Czyżby? Musisz spojrzeć prawdzie w oczy. Niepozbycie się dziecka w takich okolicznościach jest egoizmem. - Priss opadła na fotel, patrząc mi prosto w twarz. - Chcę wiedzieć, co się zmieniło. Co się stało z twoją postawą sprzed kilku miesięcy? Cudowne dziedzictwo DNA, jakie przekazała nam mama... Czyżbyś zapomniała, że to właśnie dlatego nigdy nie planowałaś dziecka? Czyżbyś straciła głowę, ponieważ teraz masz to... to...

- Chcesz pewnie powiedzieć „dziecko”, Priss.

- Lucy! To tylko pasożyt! Nic więcej!

- Och, Priscillo - westchnęłam, nie potrafiąc jej tego wytłumaczyć. - Może idź już do domu.

- Trzeba się go pozbyć, Lucy - powiedziała Priscilla z nagłą czułością w głosie. - A tak w ogóle, to wcale go nie pragniesz. Pamiętasz? Lucy, rusz głową. To nie jest warte ofiary z twojego życia.

- Nie mogę tego zrobić.

- Możesz umrzeć.

- Wiem. Ale nigdy w życiu, ani przez chwilę bym sobie tego nie wybaczyła.

- Lucy, czy ty w ogóle masz pojęcie, jak infantylnie to zabrzmiało?

Wpatrywałam się w siostrę, nie rozumiejąc jej.

- Czy te argumenty do ciebie trafiają, Priscillo? Bo sprawiasz wrażenie osoby niezwykle doświadczonej.

Z wyrazu jej twarzy mogłam wyczytać, że trafiłam w czuły punkt. Lily i ja zawsze snułyśmy domysły, że nasza siostra musiała mieć problem z Trentem Rosenbergiem

jeszcze w ogólniaku. Była to przyczyna potężnego rozdźwięku między nią i mamą. Ale oczywiście żadna z nas nie zdobyła się na odwagę, by poruszyć ten temat w rozmowie z którąś z nich. Wiedziałyśmy tylko, że cokolwiek się wydarzyło, zrujnowało ich relację. Potem Priscilla zniknęła.

- Nie mówimy o mnie, Lucy. To, co ja zrobiłam i czego nie zrobiłam, nie ma tu nic do rzeczy.

- Co proszę?

- Nie przesłyszałaś się. Możesz stracić życie, Lucy. Możesz umrzeć!

- Nie poddam się aborcji, więc możesz, Priscillo, iść do domu.

- Lucy, zwariowałaś?

- Jestem pewna, że będziecie o tym dyskutować jeszcze długo po mojej śmierci.

- Więc rusz głową. Proszę cię. Zadzwoń do tej kliniki. Sama cię tam zawiozę.

- Priscilla, przestań! Będę miała to dziecko. Przeciagnałam dłońmi po spoconej twarzy i włosach.

- Ale dlaczego? Podaj choć jeden sensowny powód, Lucy.

Skuliłam się, nie chcąc się rozplakać, ale i tak już poczułam cisnące się do oczu łzy, więc tylko potarłam je dłońmi.

- Nie znasz ani jednego, prawda? Nie istnieje ani jeden powód, by tego nie robić.

- Widziałam ją! - zawołałam.

W końcu Priscilla zamilkła. Spojrzałam na nią.

- Widziałam moją córeczkę. Jest śliczną ciemnowłosą, ciemnooką dziewczynką. - Usiadłam na sofie, a moje ręce instynktownie powędrowały ku brzuchowi. - Czułam ją.

- O czym ty mówisz?

- Wiem dokładnie, jak ona wygląda. I masz rację, Priss, w tym momencie moja córka tylko z grubsza przypomina dziecko. Ale jest dla mnie kimś tak rzeczywistym jak ty. Bije we mnie jej serce. Czuję jej poruszenia. Miewa czkawkę. I wiem, że dokonanie na niej aborcji w niczym nie różniłoby się od uduszenia jej poduszką już po narodzeniu albo wrzucenia jej do jeziora w dniu trzecich urodzin lub zastrzelenia jej, gdy będzie miała dwanaście lat.

Priscilla opadła na sofę.

- Och, Lucy.

- Nie ma znaczenia, co powiesz, Priscillo. To dziecko jest dla mnie rzeczywistą osobą. Nie mogę tego zmienić tylko dlatego, że takie mam prawo, czy dlatego, że to niewłaściwy czas na dziecko. Nie mogę tego zrobić. I nie zrobię. I nawet gdybym mogła, Priss, jakaś częśćka mnie wie, że nigdy potem nie mogłabym spojrzeć w oczy...

- ...Bogu? - przerwała mi Priscilla. - To chciałaś powiedzieć, Lucy? - Wyrzuciła z siebie słowo „Bóg”, jakby na jej języku usiadł jakiś owad.

- Zamierzałam powiedzieć „mamie i tacie”, ale Bóg też może być.

Priscilla otworzyła usta, ale milczała. Świdrowała mnie wzrokiem, aż w końcu w jej oczach pojawiły się łzy.

- Lucy, proszę. Rozumiem, że jesteś zakochana w swoim dziecku. Ale poza tobą ona nic nie znaczy. Nie istnieje naprawdę. Nie jest rzeczywista dla nikogo z nas. To ty jesteś rzeczywista, Lucy. Nie rozumiesz tego? Pokonałaś chorobę wcześniej i możesz ją pokonać teraz, ale musisz powalczyć. Jak możesz nie podjąć tej walki? Jak możesz nie zrobić tego dla Mickeya, dla Lily... dla mnie? Lucy, masz zamiar umrzeć?!

- Owszem, Priss - odparłam, patrząc jej głęboko w oczy.

- A więc musiałaś zobaczyć... - moja siostra wstrzymała oddech.

Skinęłam głową.

- Nie, Lucy. Nie możesz być tego pewna. Podniosłam się z miejsca i wzięłam ją w ramiona.

- Jestem pewna. Ja to wiem.

- Co takiego? - Przez chwilę siedziała bez ruchu, lecz zaraz odsunęła się ode mnie. - Nie, nie, nie... Nie zostawimy tego przecież jakiemuś urojeniu, widmu. Lucy! Nie chcę tego słuchać!

Wytrzymałam jej spojrzenie i obiecałam jej to samo, co Mickeyowi:

- Zamierzam urodzić to dziecko, Priss - powiedziałam spokojnie. - A potem zrobię wszystko, żeby uratować siebie. To najlepsze, co mogę zrobić.

Priscilla otworzyła usta, po czym je zamknęła, pokonana. Nie poruszyłam się.

- A więc to już postanowione, Lucy? Na tym stanęło? A co, jeśli się mylisz? - Pokręciła głową. - Jeśli umrzesz...

Obserwowałam ją, jak usiłowała zapanować nad cjami.
- Jeśli umrzesz, Lucy, nigdy ci tego nie daruję.
Nie odezwałam się.
Priscilla wstała i wyszła z domu.

ROZDZIAŁ 19

23 sierpnia 2011

Ułynęło wiele czasu, zanim zupełnie straciłem nad sobą kontrolę. Ale to znowu nadchodzi. Czuję to. Kiedy jestem w takim stanie, tylko Lucy potrafi mnie uspokoić. Tyle że teraz nie rozmawiamy z sobą.

Gleason nie chce wczuć się w moje położenie. Oskarżył mnie o to, że traktuję swój stan jako wytłumaczenie niewłaściwego zachowania. Mówi, że smutek, który odczuwam, nie jest niczym patologicznym. To po prostu życie. I że nie ma sensu, bym brał leki, żeby z tego wyjść. „Wstyd mi za ciebie - oznajmił. - Czy naprawdę nie masz do zaoferowania Lucy nic poza tym?”. A ja tylko siedziałem, pozwalając, by jego słowa bombardowały mnie jak spadające z nieba kamienie. „Złaź ze sceny, przyjacielu - powiedział. - Tu nie chodzi o ciebie ani o cyklofrenię. Jesteś tym, czym byliby wszyscy inni w tej smutnej sytuacji - tylko widzem zmuszonym do stawienia czoła tragedii. To, co w tej chwili robisz, wynika z twojego charakteru, Michael, a nie z patologii. Nie możesz tłumaczyć

własnych grzechów diagnozą. Jeśli coś popchnie cię do autodestrukcji, nie będzie to utrata Lucy, lecz twoje zachowanie".

Byłem tak wściekły, że nie chciałem dokończyć tej sesji i wypadłem z gabinetu Gleasona, trzaskając drzwiami. Poszedłem do Colby's na drinka. Potem wróciłem do domu i odbyłem awanturę z Lucy, jedyną osobą, której za żadne skarby nie chcę skrzywdzić, a której mimo to sprawiaam tyle bólu.

Gdy straceńcza wiara w posiadane przez Priscillę zdolności perswazyjne zupełnie go opuściła, Mickey nie miał wyboru i musiał się na mnie wściec. Ale - i chwała mu za to - starał się zachować formy, stłumić w sobie narastający gniew. Podejmował nawet nieszczerze próby udzielenia mi psychicznego wsparcia. Wyglądało to jednak tak, jakby ktoś próbował wprawić w ruch transatlantyk, wiosłując łyżeczką.

Czasami udawało mi się go przyłapać na ukradkowym spojrzeniu. Widziałam wtedy w jego oczach łzy potępienia. Wytrzymał mój wzrok dostatecznie długo, by dać mi do zrozumienia, co myśli, po czym odwracał głowę. Czasami też podchodził do mnie z tyłu, by objąć mnie w talii. A gdy już zaczynałam się zastanawiać, czy mu przeszło, z gniewnym jękiem wypuszczał mnie z objęć. To był jego kolejny sposób na to, by zakomunikować mi swoje zdanie.

Było to znacznie gorsze niż poprzednim razem. Gdy dowiedziałam się wtedy o raku, strach i rozpacz Mickeya były czymś przytłaczającym. Ale przytłumiła je nieco jego

wiara w skuteczność leczenia, bardzo zresztą trudnego do zniesienia. Mogłam umrzeć z powodu setek komplikacji, lecz jego przekonanie było niewzruszone, ponieważ z wielką energią walczyłam o życie. Tym razem jednak było inaczej.

Największą pretensją Mickey miał do mnie o to, że nie poddałam się aborcji. Tak więc boczyliśmy się na siebie, bo też i nie mogło być inaczej.

Kilka tygodni później wróciłam właśnie do domu z zebrania nauczycieli i zastałam Mickeya siedzącego na skraju łóżka z głową w rękach. Wyciągnęłam dłoń w jego kierunku, ale on tylko się odsunął.

- Co robisz, Mic?

- Rozmyślam.

- Byleby cię głowa od tego nie rozboleła. Nie roześmiał się, więc usiadłam przy nim.

- Przepraszam - powiedziałam.

- Kochasz mnie, Lucy? - zagadnął ze wzrokiem wbitym w podłogę.

- Oczywiście, że cię kocham. Co to za pytanie?!

- Jak bardzo? Pokręciłam głową.

- Bezgranicznie, Mickey. Dobrze o tym wiesz.

- Wcześniej tak myślałam.

Ujęłam w dłonie jego twarz i przysunęłam ją do swojej twarzy. Zauważyłam, że wcześniej musiał płakać.

- Co to znaczy, że wcześniej tak myślałeś?

- Bądź ze mną szczerą, Lucy. Czy kochasz to dziecko bardziej niż mnie?

- Nie. Oczywiście, że nie.

- Nie wierzę ci.

- Nie mów tak, Mickey. Kocham je tak samo jak i ty. To nasza córka.

Mickey odepchnął moją ręką i wstał.

- Nie kocham jej tak jak ciebie. Nie zrezygnowałbym z ciebie przez wzgląd na nią. Nie zostawiłbym ciebie dla niej.

Westchnęłam.

- Dlaczego to robisz?

Przysunął twarz do mojej i wrzasnął:

- Po prostu chcę, żebyś była uczciwa, Lucy! Tu nie chodzi o mnie! Byłem ważny prawie przez jedenaście lat, ale teraz masz już swoje cenne dziecko, nawet jeśli będzie cię to kosztować życie! Tylko na niej ci zależy. Nie wiem, co ty sobie wyobrażasz... Jak myślisz, co się stanie po tym, jak...

- Po tym jak...?

- Spójrz na mnie, Lucy! Czyja ci naprawdę wyglądam na dobry materiał na samotnego ojca?

- Mickey...

- Nie mogę... Po prostu nie zniosę tego...

- Mickey, daj spokój.

Prostując się, sięgnął po krawat leżący w nogach łóżka.

- Wychodzę. Dobrej nocy.

- Mickey, zaczekaj... Nie w ten sposób...

Za późno. Zbiegł już ze schodów, a sekundę później usłyszałam trzaśnięcie drzwi frontowych.

Drzemałam właśnie na sofie, czekając na jego powrót, gdy nagle zadzwonił. Mówił niewyraźnie, ale nie mogłam się zorientować, czy pil, co zdarzało mu się rzadko, czy też zażył zbyt dużą dawkę klonopinu, który stosował, ilekroć czuł niepokój.

- Mickey, wracaj do domu. Jest już późno. Zrobię ci jajecznicę.

- Dziś nie mam na to ochoty, Lucy. Nie chcę już więcej wracać do domu i patrzeć, jak umierasz. Mam tego dość. Nie wiem, kiedy wrócę, więc nie czekaj na mnie. - Co powiedziawszy, rozłączył się, ja zaś przez długą chwilę wpatrywałam się w słuchawkę, zanim rzuciłam ją o ścianę.

Nie chce już patrzeć, jak umieram? Podniosłam telefon z podłogi i zadzwoniłam do firmy Partners.

- Brian, jest tam jeszcze Mickey? - spytałam barmana.

- Dzisiejszego wieczoru go nie widziałem - odparł.

- Kiedy wyszedł?

- W ogóle go dzisiaj nie widziałem.

- Serio?

- Wszystko w porządku, Lucy?

- Tak. A czy możesz zadzwonić na moją komórkę, jeśli go zobaczysz?

- Dziś jest nas w pracy kilku. Chcesz, żebym go poszukał? Powiedz tylko słowo...

- Brian, jesteś kochany. Wystarczy, jak zadzwonisz.

- Nie ma sprawy.

Rozłączyłam się i popędziłam na piętro, by ściągnąć piżamę i przebrać się. A niech go! Było już po północy.

Jak on może?! I gdzie się podziewa?! Wkładałam swoje największe dzinsy i właśnie zapinałam bluzkę, gdy usłyszałam trzaśnięcie tylnych drzwi domu. Podeszłam do szczytu schodów i usiadłam na stopniu. Mickey miotał się po kuchni. Usłyszałam odgłos szklanki stłuczonej w zlewie, a potem jego przekleństwa. Przeczesałam ręką włosy i czekałam na ciąg dalszy.

W końcu Mickey znalazł się u podnóża schodów. Obrzucił mnie wzrokiem, potem wycelował we mnie palec wskazujący.

- Doszedłem do wniosku, że jesteś, Lucy, największą egoistką, jaką znam - wybełkotał. Pokonał kilka stopni. - Rozmawiałam dziś z pewną kobietą. Powiedziała, że wyglądam na przygnębionego, więc opowiedziałem jej wszystko o sytuacji naszej małej rodzinki, a ona zauważyła, że to ty dyktujesz warunki. A ja, jak stwierdziłaś, jestem wystarczająco żaloszny, by ci na to pozwolić.

Chwiejnym krokiem pokonał kilka kolejnych stopni.

- Stwierdziła, że jestem ofiarą twoich zachcianek. Tak się właśnie wyraziła. Bystra kobieta.

- A powiedziała, że jesteś idiotą? Obrzucił mnie twardym spojrzeniem.

- Nie, Lucy. Uraczyła mnie wieloma epitetami, ale nie takim.

- A czy ty jej powiedziałaś, że jest idiotką i że powinna pilnować swoich spraw?

- Bynajmniej. Dość dobrze się bawiłem w jej towarzystwie.

- Gdzież więc odbyła się ta pobudzająca konwersacja?

- Już ci mówiłem. To była klientka.

- Nie mówiłeś.

- Owszem.

- W takim razie już nie wiem, co mam myśleć, bo Brian powiedział mi, że tego wieczoru wcale cię nie widział.

Zobaczyłam napięcie na jego twarzy, po czym Mickey rąbnął pięścią w poręcz schodów.

- Sprawdzasz mnie, Lucy?

- Zdaje się, Michael, że nie mam wielkiego wyboru.

- Wspaniale. Po prostu wspaniale.

- Dlaczego płacze ci się język?

- A jakie to ma znaczenie, do cholery?

Stał teraz tuż przede mną. Spojrzałam mu w oczy.

- Nie rób tego. Nie zaczynaj awantury. Nie wygaduj tych wszystkich głupot, które przychodzą ci do głowy.

- Głupot? Na przykład że jesteś egoistką? Albo że myślisz tylko o sobie? - Podniósł głos. - Zawsze chodzi tylko o ciebie, Lucy! Żadnych dyskusji! Jak czegoś nie chcesz zrobić, to nie robisz, i basta! Do diabła ze mną. Któż by się mną przejmował, do cholery!

Zamierzał mnie wyminąć, ale podniosłam się, a wtedy stracił równowagę i nieomal spadł ze schodów. Złapałam go, lecz mnie odepchnął, a sam przykucnął na podłodze.

- Zostaw mnie, Lucy. Zostaw mnie już, do diabła.

- Czego ode mnie oczekujesz?

Powoli podniósł głowę i nasze spojrzenia się spotkały. Jego twarz wyrażała niewiarygodny smutek, a z oczu znikła nagle cała wrogość. Był w nich strach.

- Poddaj się aborcji - odparł znużonym tonem.

Osunęłam się na podłogę, przytrzymując się tralki. Wpatrywałam się w swego męża, który przycupnął nieopodal w bezruchu. Tak bardzo go kochałam. Wystarczyło, że wyciągnęłabym do niego rękę. Mogłam jeszcze wszystko zmienić. Przywrócić go do życia. Wystarczyłoby, że zrobiłabym to, o co prosił. Ale kochałam go zbyt mocno, by zabić to dziecko - kochałam go zbyt mocno, by zostawić go samego.

- A zresztą zapomnij o tym, Lucy - powiedział nagle, wstając.
- To bez znaczenia. I tak już podjęłaś decyzję.

Wpatrywał się we mnie dostatecznie długo, bym nabrała pewności, że odgadł moje myśli. Westchnęłam z wysiłkiem.

- Mickey, proszę cię, nie rób tego. Nie zaprzepaszczaj z powodu swego gniewu tego czasu, który nam pozostał. Nie będziesz mógł wybaczyć sobie tego potem, kiedy...

- Potąd mam już tego, że na wszystko masz gotową odpowiedź - rzekł z pogardą. - Mam tego naprawdę dosyć. I to się nie zmieni, póki nie zmienisz zdania.

Oderwał się od poręczy i ruszył ku łazience. Powinien był się ostrzyć i ogolić. Koszulę, która wystawała mu ze spodni, zupełnie wyjął.

- Biorę prysznic - oznajmił na odchodnym.

- I tak umrę, Mickey - powiedziałam łagodnie, odwracając głowę.

Nie byłam pewna, czy mnie słyszy, ale przystanął. Czułam na sobie jego świdrujące spojrzenie.

- To bez znaczenia, czy poddam się tej aborcji. I tak

umrę, Mic. I ty o tym wiesz. Niezależnie od tego czy będę miała chemioterapię, naświetlania, operację czy dożylnie wstrzykiwane miliony witamin... To i tak nastąpi. Nie wiem kiedy - mam nadzieję, że za wiele miesięcy - ale tego nawrotu na pewno nie przeżyję.

Spojrzałam w jego stronę. Twarz miał zaciętą, obojętną.

- Musimy stawić temu czoło, przestać się wzajemnie ranić i cieszyć się tym, co nam pozostało - dodałam, a w moim głosie zabrzmiała jakaś nierzeczywista nuta spokoju.

Byłam z siebie dumna, że się nie rozplakałam, ale gdy z zaciśniętego gardła Mickeya dobył się szloch, nie mogłam już dłużej powstrzymać łez.

- Proszę - szepnęłam.

W jego oczach widziałam przez chwilę jakąś miękkość i wydało mi się, że Mickey chce coś powiedzieć, lecz zamiast tego pokręcił tylko głową i poszedł do łazienki.

Znów przysiadłam na podłodze koło schodów. W całym moim ciele wezbrał smutek. Nie czułam się na siłach, by wstać i nad ranem ponownie się z tym zmagać. Chciałam zapaść w sen trwający rok i obudzić się tam, gdzie ani Mickey, ani ja nie bylibyśmy już chorzy; w świecie, w którym mielibyśmy przed sobą długą przyszłość.

I siedząc tak pośród łez, usłyszałam szept jakiejś dobrze mi znanej, kochanej istoty. Doznanie to z wolna zaczęło się rozlewać po całym moim ciele, aż w końcu poczułam się, jakby zagarnęła mnie czyjaś łagodna ręka. Serce przestało mi łomotać, a łzy obeschły. Otworzyłam oczy, nie zobaczyłam jej, ale nie miało to już znaczenia. Wiedziałam, że jest

gdzieś w pobliżu, gdyż czułam towarzyszący jej spokój. Siedziałam tak jeszcze przez kilka minut, napawając się tym doznaniem, póki nie zniknęło, pozostawiając po sobie jedynie niewzruszoną pewność, że nie istnieje nic, czego należałoby się bać.

Z łazienki nie dobiegał już odgłos prysznicza i tylko słyszałam, jak Mickey przetrząsa szafkę w poszukiwaniu bielizny. Gdy i to ucichło, wstałam z podłogi i poszłam do pogrążonego w ciemnościach pokoju. Ściągnęłam ubranie i wślizgnęłam się do łóżka. Mickey odwrócił się do mnie plecami, więc zaczęłam wpatrywać się w sufit, napawając się darem, który właśnie otrzymałam. Gdy tak leżałam, poczułam ruchy dziecka. Były one bardziej wyraziste niż owe delikatne poruszenia i drgnięcia w ostatnich tygodniach. Teraz wyczuwałam je pod dłonią, co wprowadziło mnie w niesamowite podniecenie.

- Mickey?

- Nie mam już siły się kłócić, Lucy. Chodźmy spać.

- Mickey! Daj rękę.

- Jestem zmęczony, Lucy.

- Proszę.

Mickey niechętnie obrócił się w moją stronę, a ja wzięłam go za rękę i położyłam ją sobie na brzuchu. Przez dłuższy czas nasza córeczka leżała nieruchomo. Myślałam też, że Mickey w końcu zasnął. Nagle jednak dziecko drgnęło, a Mickey stężał z napięcia.

- Co to było? - szepnął.

Znowu coś poczuliśmy. Był to żwawy, dość mocny kopniaczek. Mickey wyrwał rękę z mej dłoni i usiadł w pościeli.

- Co to takiego?

- To ona - odparłam.

Jeszcze raz wzięłam jego dłoń i położyłam ją na brzuchu. Dziecko znowu się poruszyło, a potem jeszcze raz. Mickey usadowił się w wygodniej.

- Czy to naprawdę dziecko?

- To nasza córka.

Usłyszałam, że Mickey zaczyna płakać. Sięgnąwszy dłonią do jego pograżonej w ciemnościach twarzy, zaczęłam ją głaskać. Po chwili mąż objął mnie ramieniem.

- Nie jestem w stanie przeżywać tego bez ciebie - powiedział przez łzy.

Nie miałam dlań żadnego małego cudu, więc modląc się o odroczenie tego, co nieuniknione, głaskałam go po głowie, póki nie zasnął. Nazajutrz, zanim wstał z łóżka, złożył pocałunek na moim brzuchu i spojrzał na mnie z czymś na kształt zdziwienia, którego nie widziałam w jego oczach od czasu, gdy mu zakomunikowałam, że jestem w ciąży. Zobaczyłam w nich też czułość i skruchę.

Niestety, nie zapobiegły one nadciągającemu epizodowi depresyjnemu, odciskającemu się piętnem goryczy na jego twarzy, gdy próbował zrozumieć własny stosunek do tego maleństwa. Wiedział, że kocha tę dziewczynkę, lecz miał również świadomość, że jej przyjście na świat jego żona musi przypłacić życiem.

ROZDZIAŁ 20

29 sierpnia 2011

Pierwsze objawy mojej choroby psychicznej, jakie pamiętam, pojawiły się na dwa lata przed zdiagnozowaniem u mnie cyklofrenii. Leżałem właśnie na łóżku i słuchałem, jak mama umiera z udreki w sąsiednim pokoju. Jej ton wydawał mi się kwintesencją beznadziei. Tak bardzo pragnąłem, żeby przestała. Tak bardzo pragnąłem, żeby się uśmiechała, kochała mnie i była moim najlepszym przyjacielem, jak mama Jonathana. Jego mama często się śmiała i przytulała go. Sprawdzała jego ortografię, ale też i moją, gdy akurat byłem u niego. Chciałem, żeby moja mama też taka była.

Tej nocy wstałem z łóżka z całkowicie logicznym planem realizacji tego pragnienia w głowie. W niektóre noce matka wykrzykiwała swe modlitwy tak głośno, że byłem pewien, że sąsiedzi doskonale wiedzą, że jest szalona. Mój brat David zawsze przynosił jej wody i kazał jej brać pigułki. Tata zaś uspokajał ją dopóty, dopóki potrafił to znieść, po czym wychodził i wracał do domu nocą. Owego wieczoru, gdy

i we mnie zaczęło dojrzewać szaleństwo, byłem przekonany, że jeśli zaniosę prośby Boga, spełni On moje życzenie. Ale ponieważ było jasne, że On nie słyszy matki, a więc mnie również nigdy nie usłyszy, napisałem moją modlitwę w notatniku do nauk społecznych. Miałem pewność, że ją zobaczy, gdyż Bóg widzi wszystko. Pisałem, póki nie rozboleła mnie ręka. Strawiłem na tym całą noc. Było to tylko jedno słowo: „Proszę”. Zapisane 9871 razy.

Najbardziej typowym objawem raka płuc jest kaszel. Dowiedziałam się, że dzieje się tak, ponieważ zmiana na płucu wywołuje podrażnienie komórek dróg oddechowych. Kaszlałam przez kilka tygodni, a Charlotte ostrzegła mnie, że być może trzeba będzie w pewnej chwili odciągnąć z mojego płuca płyn, który zgromadził się w nim w reakcji na guzy. Rozumiałam to. Wystarczająco dużo wiedziałam, by rozumieć, że bez takiej ingerencji zmiany w dolnym płacie mojego lewego płuca nadal będą się pogłębiać. Gdybym tylko zaczęła odczuwać bóle piersi, mieć zadyszkę albo gdybym zaczęła kaszleć krwią - miałam od razu powiedzieć o tym Charlotte. Domyślałam się, że wszystko to były sygnały, że zaczyna dziać się źle.

W sprawie mojego stanu Charlotte radziła się doktora Gladstone'a, którego zaczęłam traktować jako swego konsultanta od spraw płucnych. Widywałam go w szpitalu, a w kolejnym tygodniu miałam z nim umówione spotkanie, żeby mógł ocenić, jak dalece mój stan odbiega od normy.

Miał też przeprowadzać wszelkie operacje po urodzeniu dziecka. Aż do tego momentu miał monitorować mój stan.

Na razie jednak Charlotte raczyła mnie witaminami, sokami bez domieszek i wizualizacjami płodu. Według Priscilli był to czysty nonsens, ale wiedziałam dostatecznie dużo o odżywianiu, by się zgodzić, że wszystko, co wzmacnia zdrowe komórki mojego ciała, jest korzystne. Poza tym czułam się całkiem dobrze, więc nie narzekałam.

Gabinet Charlotte stał się moim schronieniem, jedynym miejscem, w którym potrafiłam zebrać myśli. To tam mogłam studiować dane, empiryczne świadectwa, i napawać się czystymi abstrakcjami, unikając jednocześnie świata bardziej niejednoznacznego, na który składały się interpretacje i opinie mojej rodziny. Czas wypełniało mi ślęczenie nad zalegającymi półki gabinetu czasopismami i szperanie w Internecie. Czytałam wszystko, co mogłam znaleźć na temat raka piersi z przerzutami w czasie ciąży. Zapamiętywałam sobie studia przypadków i cyfry wyrażające poziom śmiertelności niemowląt uwarunkowany stresem z powodu choroby ich matek. Analizowałam terapię hormonalną i wszystkie późniejsze czynniki związane z chemioterapią, poszukując tego jednego, który mógłby wyeliminować chorobę, nie szkodząc dziecku. Rozpoznawałam nazwy wielu najnowszych leków cytotoksycznych. Dowiedziałam się też, że mogłam rozważyć stosowanie niektórych z nich, choć trudno było z całą pewnością stwierdzić, by były całkiem bezpieczne dla nienarodzonego dziecka. Czytałam wszystko, co tylko mogłam znaleźć, na temat

trastuzumabu i gemcytabiny, adriamycyny i paklitakselu. Poznałam różnicę między antracyklinami i taksonami; z zapartym tchem śledziłam obiecujące studia, na które natrafiłam w cyberprzestrzeni, i byłam głęboko rozczarowana potencjalnym wpływem tych specyfików na płód. Aplikację niektórych leków przeciwnowotworowych uznano za stosunkowo bezpieczną na późnym etapie ciąży. Ostatecznie jednak po prostu zwątpiłam w sensowność przyjmowania każdego preparatu, którego działanie polegało na niszczeniu zarówno komórek zdrowych, jak i rakowych.

Cały czas jednak prosiłam Boga o cud. Nie jakiś cud spektakularny. I tylko jeden. Chciałam po prostu urodzić zdrową dziewczynkę. Chciałabym móc potrzymać ją na rękę, poczuć jej zapach i zobaczyć jednocześnie pierwszą reakcję Mickeya. Potem Charlotte i jej asysta mogliby zacząć mi wstrzykiwać leki w każdą żyłę, gdyby tylko mieli takie życzenie. Mogliby pompować we mnie całe litry płynów przeciwdziałających rakowi, przypalać i naświetlać to cholerstwo. Byłam na wszystko gotowa - ale dopiero po urodzeniu zdrowego dziecka.

Do tego czasu byłam zdeterminowana, by prowadzić życie jak najmniej odbiegające od normy. Choć mnóstwo czasu spędzałam przy komputerze Charlotte, pracowałam również nad programem dla mojej klasy na kolejny rok szkolny. Miałam za sobą długie lato i nie mogłam się już doczekać powrotu do pracy, nawet jeśli martwił mnie nieco mój spadek energii. Przeprowadziłam szczerą rozmowę ze swoim szefem Douglasem Bunnellem, który

oczywiście już wiedział o mojej chorobie, ale i tak nie potrafił powstrzymać łez, gdy mu o niej powiedziałam. Wymyślił jednak znakomite rozwiązanie. Miriam Brady wkrótce miała odejść na emeryturę i chciała pracować jedynie na część etatu. Douglas zasugerował więc - i chwalała mu za to - byśmy połączyły siły. A w szczególności nie zamierzał wnikać dopóty, dopóki program szkolny byłby realizowany. Miriam zaproponowała, żebyśmy wymieniały się co tydzień, co uznałam za świetne rozwiązanie.

Cudownie będzie znowu zacząć pracę. Uwielbiałam swoich uczniów i w drugim tygodniu września miałam wrócić do normalności i mego ukochanego zawodu. Ale nawet gdybym była całkiem zdrowa, nie pracowałabym dłużej niż do przerwy bożonarodzeniowej, gdyż dziecko miało się urodzić trzeciego stycznia. Ten pierwszorzędny, jak mi się zdawało, plan, spotkał się oczywiście z krytyką mojej rodziny, która uważała, że jedynym odpowiednim dla mnie rodzajem aktywności jest odpoczynek.

Mniej więcej na tydzień przed rozpoczęciem szkoły Lily zobaczyła mój samochód zaparkowany przed gabinetem Charlotte i też tam zajrzała, by zapytać mnie o samopoczucie. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności, pojawiła się w samą porę, by potrzymać mnie za rękę podczas badania USG, które robiono w piątym miesiącu ciąży - Mickey stchórzył i mi nie towarzyszył. Tymczasem wszystko było w porządku. Dziecko rosło, a Charlotte stwierdziła, że wygląda świetnie. Ale nawet w owej chwili szczęścia czułam dreszcz. Przypominały mi się po kolei wszystkie powody,

dla których razem z Mickeyem postanowiliśmy, że nigdy nie będziemy mieć dzieci. Obawiając się wszystkiego, co dziewczynka może po mnie odziedziczyć, wyobraziłam sobie, że skieruje przeciw mnie cały irracjonalny gniew, jaki Priscilla czuła wobec naszej matki. Z trudem zaczerpnęłam powietrza.

Charlotte objęła mnie ramieniem.

- Mała ciemnowłosa, ciemnooka dziewczynka. Tak mówiłaś, prawda? - powiedziała, uśmierzając moje lęki.

Zdołałam zapanować nad łzami.

- Będzie drobna tak samo jak ja, ale podobna będzie do Mickeya. - Po omacku chwyciłam rękę Lily. - A jeśli będzie chora? - spytałam zdławionym głosem.

Charlotte pokręciła głową.

- To, że jej matka jest chora, nie oznacza jeszcze, że ona też musi - powiedziała Lily.

- Łatwo ci mówić, Lii.

- Bez przesady. Przecież w moim przypadku to prawda. Zapamiętaj to sobie, Lu.

Po pięknej twarzy Lily znów popłynęły łzy. Miała rację. Była zdrowa... odpukać w niemalowane. Tak samo jak Priss, mimo że przez te wszystkie lata tak bardzo się bała. Lily ucałowała mnie w czoło i wszystkie przeżyliśmy chwile prawdziwej radości, wypełnione łzami szczęścia.

W gruncie rzeczy byłam wdzięczna Mickeyowi za to, że nie przyszedł. Gdyby był z nami, zauważyłby moje wątpliwości i zinterpretowałby je na moją niekorzyść. Kiedy jeszcze tego wieczoru powiedziałam, że z jego córką

wszystko w porządku, zanadto był nadąsany, by czytać między wierszami. Sfrustrowana poszłam do łóżka. Ale po północy obudził mnie odgłos uderzeń piłki do koszykówki dobiegający z dziedzińca na tyłach domu. Gdy wyjrzałam na zewnątrz, Mickey i Harry w blasku księżyca grali jeden na jednego. Chwała ci za to, Harrisonie Bates, pomyślałam. Później, gdy jeszcze raz wyjrzałam, obaj siedzieli przy stole piknikowym z nogami na blacie, pogrążeni w rozmowie.

Nie wiem, co mojemu emocjonalnie rozchwianemu mężowi powiedział Harry, ale to zadziałało, bo gdy Mickey przyszedł w końcu do łóżka, objął mnie.

- Dupek ze mnie, kochanie - wyszeptał.

- Naprawdę?

- Naprawdę. I przepraszam. Zamierzam się poprawić. Łatwo mnie podejść przeprosinami, zwłaszcza mojemu

Mickeyowi, więc odwróciłam się w jego stronę i długo i namiętnie zaczęłam go całować za tę skruchę. Potem mieliśmy całkiem udany - biorąc pod uwagę całokształt sytuacji - seks, a wkrótce zasnęłam, podczas gdy Mickey gładził mnie po włosach.

Ale zawieszenie broni było krótkotrwałe. Niebawem Mickey zaczął coraz mniej spać, a przez wiele nocy w ogóle nie kładł się do łóżka. Pewnego ranka obudził mnie odgłos prysznicza i zanim zdążyłam wstać, Mickey był już umyty i ubrany. Weszłam do łazienki. Jedną ręką zaczesywał mokre włosy, drugą mył zęby. Gdy - przepłukawszy usta - splunął

do umywalki i spojrzał na mnie, zobaczyłam w jego oczach gotowość do dalszej kłótni. Ponieważ się nie odezwałam, sprawdził w lusterku swoje użębienie, jeszcze raz splunął i beznamiętnie pocałował mnie w nos. Wszystko to zajęło mu trzydzieści sekund.

- Jestem spóźniony, Lu! - zawołał przez ramię. - Zostawiłem na dole bałagan, ale potem się tym zajmę.

Jego głowa zniecka pojawiła się w drzwiach łazienki.

- I nie świruj na widok tego, co tam zastaniesz. To nic takiego - rzucił zaczepnie.

Poczułam niespokojne bicie serca, ale zanim zdążyłam coś powiedzieć, już go nie było. Zbiegł po schodach po dwa stopnie i trzasnął drzwiami, zanim znalazłam się na półpiętrze. Mniej spał i więcej niż kiedykolwiek pracował - a w każdym razie częściej pokazywał się w swoich klubach. Nie było też niczym dziwnym, że Mickey przestał się pojawiać na spotkaniach z Gleasonem, wskutek czego ci wszyscy, którzy go otaczali, pozostawali bezsilni wobec tego, co miało się wydarzyć. A coś wydarzyć się musiało, gdyż Mickey ukrył przede mną swoje leki - sam je sobie teraz dawkował.

Spojrzałam w lustro i westchnęłam. Czułam, że to będzie ciężki dzień, a przecież dopiero co wstałam z łóżka. Przygotowałam się na owo „nic takiego”, które miałam zastać na dole.

Gdy zobaczyłam kuchnię, nieomal się rozplakałam. Najwyraźniej Mickey w środku nocy miał ochotę na kruche ciasteczka z czekoladą. Rozsypał mąkę na podłodze

i kilkakrotnie po niej przeszedł. Rozbił kilka jajek, ale nie trafił do miski, a na drzwiach kredensu widniała smuga zaschniętego białka z żółtkiem. Choć pod ręką była puszka pełna cukru, Mickey - zapewne zębami - otworzył nową dzie-sięciokilogramową torbę, która leżała teraz przewrócona. Mój mąż najwyraźniej użył wszystkich posiadanych przez nas misek, a także wszystkich blach do pieczenia, z których każda była wysmarowana specyfikiem tłuszczowym crisco i przygotowana do pieczenia. Ale na żadnej nie było ciasteczek, tylko porzucony kopczyk mąki z wetkniętą weń drewnianą łyżką.

Pośród strzępów gazet i czasopism leżała na stole opróżniona do połowy paczka czekoladowych chipsów. Wszędzie porozrzucane były markery, klej, taśma klejąca i spinacze do papieru. Zobaczyłam też papierową teczkę z dwiema kieszeniami od wewnętrznej strony. Otworzyłam ją, a w środku znalazłam kartki papieru - co najmniej tuzin - zapisane obustronnie tylko jednym słowem: „proszę”. Mickey bez końca ciął i kleił kawałki papieru z nim, aż w końcu stronice gazet były całkowicie nim wypełnione. „Proszę” we wszelkich rozmiarach. Mickey pociął nawet okładkę książki dla dzieci zatytułowanej *Proszę, nie każ mi wracać do domu z księżycą*, by ukraść z niej „proszę”.

Siedząc w zrujnowanej kuchni i patrząc na rozbity świat mego męża, poczułam coś więcej niż strach. Dotykałam posklejanych kartek, których spreparowanie kosztowało go bez wątpienia wiele pracy. Postarał się. Nie pozwolił sobie na taką dekoncentrację jak przy „wypieku” ciasteczek.

Ślęczał nad owymi jedenastoma stronami - a nawet dwudziestoma dwoma, jeśli liczyć obustronnie. „Proszę”. Do kogo Mickey adresował tę swoją prośbę? Do mnie? Do Boga? Do samego siebie? Proszę, nie umieraj. Proszę, nie żyw do mnie nienawiści. Proszę, uczyn mi spójną całością. Proszę, pomóż mi. Proszę, uzdrów moją żonę. Proszę, poddaj się aborcji. Podczas gdy ja próbowałam analizować to, co nie podlegało analizie, ocean owych „proszę” zmieszał się z potokiem mych łez.

Jak długo potrwa ta spirala? Wstyd mi było, że myślę w ten sposób, ale musiałam być zdolna do wskrzeszenia w sobie nadziei, że będę miała dość czasu. Mogły upłynąć trzy miesiące, zanim Mickey odleci w inny wymiar, i tyle samo mógł trwać jego powrót do rzeczywistości. Jeśli będziemy mieli szczęście, jego stan ustabilizuje się na kilka miesięcy lub tylko kilka tygodni. Czasem trwa to dłużej niż rok.

Ponownie rozejrzałam się po kuchni, po czym ukryłam twarz w dłoniach. Tym razem chodziło o coś więcej niż choroba Mickeya. Z nią bym sobie poradziła. Ale w połączeniu z jego poczuciem beznadziei zupełnie mnie pokonała. Nie zdołałam tym razem wykrzesać z siebie wystarczająco dużo miłości. Więc tylko zacisnęłam zęby, gotując się na to, co miało nadejść.

ROZDZIAŁ 21

2 września 2011

Nikommu nie mówię o koszmarach, które miewam. Osaczają mnie na jawie, pustosząc mnie, wyczerpując i zawstydzając. Jestem w nich oszalały i zrozpaczony - i zupełnie sam. Bóg upomniał się o Lucy i lituje się nad porzuconym, zagubionym wariatem. Biegnę, bo taki już mam nawyk, przeświadczony w swym popapranium, że odnajdę żonę niezależnie od tego, gdzie Bóg ją ukrył. Że odnajdę ją i znowu odzyskam siebie.

Potem zaczynam to słyszeć, ten cichy jęk, który góruje nad każdym innym hałasem. Ona się materializuje w moich ramionach, drobna, bezbronna, a ja wpatruję się w nią przez szybę łez zrodzonych z udreki i wściekłości. Myślę, że mógłbym ją znienawidzić - jest złodziejem, który skradł życie swej matki. Moje życie. Nie chcę jej. Nie chcę jej pragnąć. Chcę, żeby Bóg ją zabrał i zwrócił mi żonę. Z głębi mych trzewi krzyczę ku temu bezsilnemu dziecku, a krzyk mój jest namacalny i tak głośny, że kruszeją od niego skały, których odłamki spadają deszczem na nas dwoje, na mnie i na moją córkę. Oboje krwawimy, a ja

przyciągam ją do siebie, pełen daremnej skruchy, lecz ona krwawi jeszcze bardziej. Potrzebuje mnie, ja zaś czuję zupełną niemoc, której się wstydzę. Delikatnie stawiam ją na ziemi, tę dziewczynkę, która tak ufnie wpatruje się we mnie, niczego nie oczekując, odwracam się plecami do niej i - wzgardziwszy jej zaufaniem - uciekam. Biegnę, nieomal wzbijam się w powietrze, lecz nie potrafię odbiec dostatecznie daleko ani biec dostatecznie szybko czy dostatecznie długo, by jej nie słyszeć.

Uwalnianie się od tego koszmaru zajmuje mi coraz więcej czasu, a obrona przed nim kosztuje mnie zdecydowanie zbyt wiele pigułek. Nawet kiedy wydaje mi się, że trzymam się w bezpiecznej odległości od tego strasznego doświadczenia, nadal nęka mnie naga rzeczywistość, niezmienna bez względu na to, ile biorę leków: nie jestem w stanie stawić jej czoła samemu. Nie jestem w stanie stawić jej czoła bez żony.

Weekend, na który przypada Święto Pracy, zawsze jest w Brinley hucznie fetowany. Najpierw w sobotni poranek dzieci paradują w centrum miasteczka na udekorowanych rowerkach, podczas gdy orkiestra szkoły średniej Midlothian dumnie kroczy wśród kakofonii dźwięków wydawanych przez bębny i trąbki. Karnawałowe platformy i balony poprzedzają strażaków rzucających cukierki z najstarszego w Brinley wozu strażackiego. Następnie w Pier Park odbywa się turniej softballa. O piątej na przystani odbywa się festiwal sztuki i wtedy jest też czas na wydarzenie wieńczące całe wakacje: regaty z okazji Święta Pracy.

To wydarzenie ściąga gości z całego stanu. Gdy byłam małą, moja matka i Jan tygodniami pracowały nad wykończeniem karnawałowej platformy, na której siedziały potem wszystkie dzieci, a tata, jako szef lokalnej policji, utrzymywał porządek za pomocą wielkiego megafonu. To wspomnienie ożywa we mnie każdego roku.

Powiedziałam Priss, że podjadę po nią o dziesiątej trzydzieści i razem pojedziemy do parku oglądać mecz. Dotarłam do zjazdu na Cascade, gdzie zostawiłam auto, po czym ruszyłam Foster Pier Road w stronę przystani. Swą śliczną siostrę zastałam siedzącą na pokładzie naszej żaglówki ze zwieszonymi z burty nogami. Miała na sobie płócienny żakiet i podkreślającą jej kształty koszulkę na ramiączkach. Spojrzała na mnie znad okularów przeciwsłonecznych, szacując wzrokiem dzielącą nas odległość.

- Hej, Priss.

Rzuciła okiem na mój zaokrąglony brzuch i kiwnęła głową, następnie wstała i zeszła z łodzi. -Hej.

Wcześniej gadałyśmy chwilę przez telefon, ale nie wspomniałyśmy o ostatniej kłótni, więc teraz nadszedł czas na badanie gruntu. Niezręczna atmosfera jednak prysła, gdy Priscilla podeszła do mnie i wzięła mnie w ramiona. Wydobywszy się z jej objęć, ścisnęłam ją za rękę.

- Mam się dobrze, Priss. Naprawdę.

- Kłamczucha - powiedziała z westchnieniem.

Był cudowny, rześki wrześnieowy poranek. Temperatura oscylowała wokół dwudziestu sześciu stopni przy

bezhmurnym niebie i wietrze od morza, ale tak słabym, że jedynie przypominał o bliskim sąsiedztwie oceanu. Technicy testowali system nagłaśniający, by występujący mogli zawładnąć estradą przez najbliższe dwa dni. Brodziłyśmy wśród rozrzuconych pudełek, stołów, skrzynek i kawałków brezentu, z których robiono właśnie stoiska. Priscilla ujęła mnie za rękę i mocno ścisnęła.

- Przepraszam, Lucy. Nie miałam prawa ci mówić, jak masz żyć.

- W porządku - oświadczyłam szczerze zdziwiona, że o tym wspomina. - Nie ma o czym mówić. - Spojrzałam na swoją dużą niesamowitą siostrę.

- To dobrze, bo muszę ci coś powiedzieć.

- Co takiego?

- Zgadnij, z kim jadłam w zeszłym tygodniu obiad.

- Z New England Patriots.

- Bardzo zabawne. Z Nathanem Nashem.

- Naprawdę? Co u niego?

- Dochodzi do siebie. Cięży mu samotność. Miło spędziliśmy czas, jak dwoje przyjaciół. Rozmawialiśmy wiele godzin.

- Bądź dla niego miła, Priscillo. To jeden z moich ulubieńców.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Wzruszyłam ramionami, ciesząc się, że już doszliśmy do parku.

- Czy on jest tutaj?

Priscilla spojrzała w stronę trybun.

- Jego syn gra w szkolnej drużynie, więc i on przypuszczalnie gdzieś się tutaj kręci.

Zacząła się rozglądać wśród tłumu. Szłam za nią. Znalazłyśmy miejsca w najwyższym rzędzie trybun, a moja siostra nie przestawała lustrować okolicy w poszukiwaniu Nathana Nasha.

Softballowa drużyna Mickeya, Loopers, w której skład wchodził wyłącznie przedsiębiorcy z centrum Brinley, typowana była jako zdecydowany faworyt mający zmiażdżyć konkurencję - Mózgowców z Midlothian, czyli uczniów z mojej szkoły, Niebiański Chór, złożony z rozmaitych przedstawicieli kleru z Brinley, oraz Dzieciaki Marnotrawne, skupiające tych mieszkańców miasteczka, którzy się z niego wyprowadzili, ale wrócili specjalnie na ten weekend.

Ron grał w drużynie Loopers jako miotacz, Lily i Mickey byli łapaczami. Ćwiczyli tygodniami, a treningi w znacznym stopniu wymuszały na moim mężu koncentrację. Jego chwiejne nastroje kosztowały drużynę utratę innego, piekielnie utalentowanego zawodnika pierwszej bazy. W każdym razie Ron i Jared wciąż zajęci byli uspokajaniem sytuacji, którą zaogniał Mickey. Spojrzałam z trybuny i dostrzegłam Lily wymachującą kijem, który zdawał się ważyć prawie tyle co ona. Miała na sobie bardzo obszerną koszulkę, sięgającą jej niemal do kolan. Ron udzielał jej ostatnich porad; a może zresztą było na odwrót. Jej spojrzenie pobiegło w stronę Priscilli i mnie, a wówczas pomachała nam ręką. Pokazałam jej, że trzymam kciuki.

Turniej zaczął się z chwilą, gdy Muriel Piper i Oscar Levine, zapewne najstarsi mieszkańcy Brinley, odśpiewali hymn narodowy. Potem rozległy się gwizdy i zaczęto robić zakłady (w tym kilka na duże sumy) co do wyniku meczu. Ja postawiłam oczywiście na swoją ulubioną drużynę, choć byłam prawie pewna, że wygra zespół Midlothian. Gdy rzut monetą rozstrzygnął, po której stronie będą grali loopersi, zaczęłam obserwować, jak moja rodzina i przyjaciele zajmują miejsca na boisku.

Mickey włożył czapkę baseballową daszkiem do tyłu i robił wrażenie przejętego. Wyglądał niesamowicie w swym stroju. Patrząc na niego, trudno się było domyślić jego choroby. Nadal uważał, że znakomicie funkcjonuje, a jednocześnie narastała w nim pewność, że każdy ma jakieś powody, by weń wątpić. Niestety, ta paranoiczna podejrzliwość obejmowała również mnie i Gleasona. Mickey nie pragnął niczego innego, jak tylko bujać w obłokach, zapominając o naszej sytuacji, i na ogół tak właśnie się zachowywał. Znajdowałam jego leki i śledziłam dawkowanie depakote wystarczająco uważnie, by się zorientować, że zmniejszył dawkę, podczas gdy przepisany mu prozac już prawie zniknął. Jeśli Mickey nie był w głębokiej depresji, prozac zazwyczaj wywoływał u niego hipomanię. Kiedy go o to zapytałam, zjeżył się. Później przeproszał, ale nie chciał przyznać, że manipulował swymi nastrojami poprzez leki, wywołując u siebie taką pobudliwość, że na tym etapie mogło się wydarzyć wszystko.

Obserwowałam więc teraz swojego męża w jego workowatych szortach i koszulce loopersów, ściskającego rękawicę

i szczerzącego do mnie zęby w uśmiechu, zdumionego, że wszystko wydaje się w porządku. Pomachał do mnie, a ja przesłałam mu pocałunek.

- Jakież to urocze - powiedziała z sarkazmem Priss.

Rozległ się gwizdek i zaczęły się rozgrywki. Po jednej nieudanej akcji drużyna Niebiańskiego Chóru przeprowadziła szybki atak. Następnie pierwszych trzech zawodników Loopers zaliczyło bazę, po czym Mickey uzyskał pierwszy *home run* dla swego zespołu. Na monitorze zajaśniały cztery punkty. Potem przyszła kolej na Lily, a my z Priss, wrzeszcząc i gwizdząc, kibicowałyśmy jej. Wycelowała w krótkowzroczną Gladys Finney, która uczyła w letniej szkole biblijnej. Gladys wzięła zamach, ale nie trafiła w piłkę, a Lily okrążyła drugą bazę, zanim ta wiekowa zawodniczka zdążyła do niej dopaść i przechwycić piłkę.

Od tego momentu Chór zaczął zmierzać ku klęsce i ostatecznie loopersi wygrali 35:5, eliminując lokalny kler z rozgrywek. Po meczu Mickey na chwilę przybiegł do mnie na trybuny po należną mu porcję pochwał. Tych mu nie szczędziłam, a Priscilla uraczyła go pełnym aprobaty uśmiechem. Jakaś stojąca dwa rzędy niżej ładna kobieta z kucykiem grubości nadgarstka wpatrywała się w mego męża z podziwem.

Następnie loopersi ograli Mózgowców. Był to długi wyrównany mecz. Było mi gorąco i niewygodnie, więc wierciłam się tak bardzo, że Priscilla zaczęła komentować moją nerwowość. Byłam zdziwiona, że w ogóle mnie zauważała - zwłaszcza teraz, kiedy dostrzegła siedzącego kilka rzędów

dalej Nathana Nasha. Oboje zaczęli wymieniać spojrzenia niczym para nastolatków na zajęciach z literatury angielskiej.

Loopersi wygrali o włos i ludzie zaczęli zmierzać w stronę budek z jedzeniem. Priss i ja zaczekałyśmy na Mickeya, Rona i Lily pod trybunami, gdzie dołączył do nas Nathan. Uściskał mnie.

- Dobrze wyglądasz, Lucy - powiedział, ale biorąc pod uwagę to, jak się czułam, uznałam, że kłamie.

Byłam zadowolona, że jest przerwa na lunch, gdyż miałam już dość upału i wysiadywania na twardych deskach. Wolałam, żeby Mickey zabrał mnie z powrotem do auta.

- Jesteś pewna, kochanie? Może chcesz tylko coś zjeść?

- Nie. Jestem zmęczona. Muszę się zdrzemnąć. Przyjdę później i wtedy możemy wspólnie zjeść obiad. Może tak być? - Pocałował mnie, ale niezbyt czule. - Przepraszam, kochanie. Nie gniewaj się.

- Wcale się nie gniewam, Lu. Pomyślałem tylko, że możemy mieć dzisiaj trochę rozrywki.

- I mamy. Byłeś świetny. Chwilę sobie odpocznę, a potem wrócę i zrobimy sobie całonocne party.

- Co tylko zechcesz - powiedział, unosząc mnie w ramionach.

- A co by powiedziała moja zmęczona żoneczka, gdybym ją zaniósł do auta?

Mickey postawił mnie na ziemi dopiero przy samochodzie.

- Zadzwoń do mnie, Lu, kiedy się obudzisz, a wtedy pomyślimy, co chcemy robić.

Pocałowałam go namiętnie w usta, ale nie smakowały mi zbyt dobrze.

Prowadząc, miałam pustkę w głowie. Chciałam tylko spać. Gdy weszłam do domu, byłam przekonana, że krótki odpoczynek na sofie jest wszystkim, czego mi trzeba. Ale gdy tak leżałam, zaczęłam odpływać myślami i przypomniała mi się ostatnia wiosna, kiedy Mickey obiecał, że na urodziny zabierze mnie na Hawaje. W przyszłym tygodniu kończyłam trzydzieści cztery lata i w gruncie rzeczy nie wierzyłam w tę wycieczkę. Leżąc jednak tak na kanapie, wyobraziłam sobie, jak by to było cudownie znaleźć się w samolocie. Dotrzeć autem na lotnisko i wsiąść do samolotu. Wiedziałam, że Jared zapewne zachęcałby Mickeya, żeby wziął sobie wolne. Mogłam pogadać z Gleasonem o receptach i zabrać z sobą wszystko, co uznałby za konieczne do uzupełnienia terapii lekowej. Równie dobrze przecież jego stan mógłby się stabilizować na słonecznej plaży w Waikiki, na której spędzałby cały dzień. Chwyciłam za telefon. Dlaczego nie mielibyśmy tego zrobić? W końcu sam mi obiecał. A nie zapowiadało się, żebyśmy mieli dostać jeszcze jedną szansę.

Ze snu wyrwał mnie dzwonek do drzwi. Cienie w pokoju gościnnym wydłużyły się w zachodzącym słońcu i musiało upłynąć kilka chwil, zanim zorientowałam się w sytuacji. Usiadłam na sofie, obolała od snu w niewygodnej pozycji. Była za kwadrans osiemnasta, a ja spałam jak zabita.

Wstałam i ruszyłam w stronę drzwi. W progu stała Charlotte Barbee ze swym charakterystycznym uśmiechem, w którym była także troska. Ziewnęłam.

- Hej - powiedziałam.

- Cześć, kochanie. Zobaczyłam twój samochód na podjeździe i pomyślałam, że podrzucę ci te witaminy. Przyszły wczoraj i chciałam, żebyś od razu zaczęła je zażywać.

- Wejdz. Właśnie odpoczywałam.

- Wiem. Przed chwilą rozmawiałam z Lily. Nie chciałam cię budzić.

- W porządku. I tak za długo spałam.

Charlotte weszła za mną do kuchni, gdzie zaproponowałam jej coś do picia. Odmówiła. Wzięłam sobie snapple, po czym usiadłyśmy przy stole. Otwarłam przyniesioną przez nią buteleczkę witamin i wzięłam jedną tabletkę na dłoń. Była to specjalna mieszanka zamówiona u zielarza w San Francisco. Miała obrzydliwy zapach.

- To jak pigułki dla konia. Charlotte się zaśmiała.

- Weź jedną teraz, a od jutra zażywaj jedną rano i jedną na noc.

Przełknęłam pigułkę, popijając sokiem z kiwi i limonki i strasznie się krzywiąc. Miała paskudny smak.

- No więc co u ciebie? - spytała Charlotte.

- Wszystko w porządku. Mam na myśli samopoczucie. Wciąż bym tylko spała. Ale poza tym... - Wzruszyłam ramionami. - Myślę o wyjeździe na wakacje.

- Naprawdę?

- A czy mogę latać samolotem?

- Latać?

- Chciałabym polecieć na Hawaje, Charlotte - oświadczyłam.

Charlotte przez chwilę milczała, ale zauważyłam, że ten pomysł ją zaniepokoił.

- To znaczy... czy mogłoby mi to zaszkodzić? - brnęłam dalej.

- Gdybym miała z czymś problem... Chyba na Hawajach są jacyś lekarze, prawda?

- Myślę, że tak. - Charlotte założyła kosmyk włosów za ucho. - Ale co ty właściwie planujesz, Lucy?

- Co planuję? Sama nie wiem. Mickey obiecał, że mnie tam zabierze w moje urodziny. A chociaż nigdy nie sądziłam, że naprawdę nam się to uda, teraz chciałabym tam pojechać. Chcę go zaskoczyć. Czy to szalony pomysł?

Charlotte oparła głowę na dłoni.

- Nie uważam tego za szaleństwo. A co ze szkołą? Czy zmieniłaś zdanie w sprawie swego powrotu?

- Nie. Ale poszłam na mały kompromis. Opowiedziałam jej o swym zamiarze pracy co drugi

tydzień, wymiennie z Miriam Brady, oraz o tym, że Miriam wybrała ten pierwszy tydzień.

- Dlatego też myślę, że to się uda. Będzie to również dobre dla Mickeya - zakończyłam.

Charlotte musiała dostrzec nadzieję w moich oczach, bo przypatrywała mi się bez słowa. W końcu powiedziała:

- Poszperam w sieci i poszukam ci jakichś lekarzy. Na wszelki wypadek.

- Dzięki - uśmiechnęłam się z ulgą.

Wakacje. Pomimo danej Mickeyowi obietnicy, że i tak pojedę - z nim czy bez niego - nie planowałam żadnego wyjazdu, odkąd stwierdziłam, że jestem w ciąży. Teraz

jednak nie mogiam sobie wyobrazić nic bardziej uroczego i spontanicznego aniżeli ucieczka z własnym mężem - ucieczka od wszystkich problemów gdzieś bardzo daleko.

Na szczęście Charlotte wyraziła zgodę, bo już wcześniej zadzwoniłam do Adama Pipera. Wnuk Muriel był właścicielem Piper's Planet, jedyne biura podróży w Brinley. Powiedziałam mu, co mi chodzi po głowie, i podałam mu numer swojej karty kredytowej. Zapewnił, że wszystko załatwi od ręki.

ROZDZIAŁ 22

3 września 2011

Nie spałem aż do cholernej trzeciej w nocy!

Małe korepetycje: cechą charakterystyczną pogranicznego zaburzenia osobowości jest niestabilność nastrojów, które oscylują między euforią a depresją. Bywają okresy, kiedy zjawiają się jednocześnie mania i depresja, przybierając najgorszą formę obu tych skrajności - towarzyszy temu ogromna energia i owa pożałowania godna skłonność do irytacji. W tym właśnie punkcie się znajduję: na etapie hiperpobudzenia. Niech mnie Ucho, świetna sprawa, nie ma co! Nie śpię w wyniku życiowych kłopotów i koszmaru na jawie, jestem roztrzęsiony i zachowuję się źle. Wiem, że tak jest, i nie dbam o to. Nie wiem, na jakim etapie choroby się znajduję, ponieważ tym razem okoliczności nie są wytworem mojej wyobraźni - moja żona naprawdę jest poważnie chora. I rzeczywiście na świat ma przyjść dziecko, a ja siedzę w samym środku tego wszystkiego i jednocześnie chciałbym od tego uciec.

Gleason twierdzi, że być może tym razem to tylko szalona rzeczywistość, a nie moja choroba psychiczna. Może tak być, ale ostatnio nie widywałem się z nim, więc nie potrafię tego stwierdzić. Gleason czasami trochę mnie irytuje i doszedłem do wniosku, że jest to powodem mojego kolejnego stresu, z którym nie chcę się w tym momencie zmagać. Mam wystarczająco dużo na głowie! Zostawcie mnie, do cholery, w spokoju! Będę zażywał leki i wszyscy będą szczęśliwi, chociaż ja sam nie sądzę, by miały one jakikolwiek wpływ na mój nastrój. Ale ostatecznie nastrój nie jest najważniejszy. Chodzi o ból. Bólu nie da się wyleczyć, podobnie jak strachu.

I jeszcze wstyd. Jeśli Gleason ma rację i moja choroba nie wyjaśnia wszystkiego, oznacza to, że naprawdę jestem zdolny do okrucieństwa.

Kiedy nie mogiam się skontaktować z Mickeyem, zadzwoniłam do Lily, żeby sprawdzić, co wszyscy porabiają, ale włączyła się automatyczna sekretarka. Wtedy przypomniałam sobie, że ona i Ron mieli w planach sprzedawanie hot dogów. Zadzwoniłam do Priss, lecz mi powiedziała, że nie widziała Mickeya od czasu, kiedy jego drużyna wygrała zawody.

- Musi być wycieńczony - powiedziałam. - Trzy mecze jednego dnia.

- Świetnie sobie radził. Nasza mała Lily także. Lepiej się czujesz, Lu?

- Tak, w porządku. Muszę tylko odpocząć.

- To przyjeźdź, spotkajmy się i pojedziemy poszukać twojego męża. Musi gdzieś tu się kręcić.

- Tak sądzisz? - zapytałam, lecz wzdłuż kręgosłupa przebiegł mi dreszcz.

Była dziewiętnasta trzydzieści, a on nie dzwonił i nie odbierał telefonu. To nie mogło zapowiadać nic dobrego.

Przeczesałam włosy, włożyłam bluzę i pojechałam na Foster Pier Road. Musiałam zaparkować auto dwie ulice dalej, więc kiedy spotkałam się z Priscillą u wejścia, dochodziła dwudziesta.

- Widziałaś go?! - krzyknęłam, kiedy zbliżyłam się do niej na tyle, by mogła mnie usłyszeć.

- Nie, ale Ron widział go przed godziną. Próbowełaś go złapać w klubie?

- Jeszcze nie.

Wyjęłam telefon komórkowy i wybrałam numer. Przełączono mnie do Jareda, który - wyjątkowo - osobiście obsługiwał klientów w Partners, żeby jego pracownicy mogli uczestniczyć w uroczystościach. Nie widział Mickeya od ostatniego meczu.

- Spodziewasz się go dzisiaj wieczorem? - zapytałam.

- Tak, ale dopiero kiedy tu, na przystani, ustanie ruch. Skinęłam głową.

- Cóż, w takim razie musi tu gdzieś być. Gdybyś się z nim widział, powiedz mu, proszę, że go szukam.

- Jasne, Lucy.

Włożyłam telefon do kieszeni i chłonełam światła rozbłyskujące wokół mnie. Tysiące migoczących światełek nadawały

festiwalowi atmosfery jakiegoś parku rozrywki. Hałas i muzyka stanowiły dowód, że wszyscy świetnie się bawią.

- Co chcesz robić, Lucy? Wsunęłam siostrze rękę pod ramię.

- Powłóczmy się. On musi tu gdzieś być.

Szłyśmy obok stoisk, gdzie handlowano wszystkim, co tylko można było sobie wyobrazić. Były tam ręcznie farbowane sukienki, krówki domowej roboty, biżuteria, drewniane zabawki. I mnóstwo dzieł sztuki, a wszystkie wykonane przez artystów z Brinley. Odnalazłyśmy budkę Jan i kolejny raz zadziwiło mnie, co ta kobieta potrafi zrobić farbą olejną. Jan ścisnęła mnie za ramię.

- Hej, skarbie - powiedziała, kładąc mi rękę na brzuchu. - Wyglądasz tak uroczo. Jak tam nasz mały króliczek?

Choć jej słowa i wyraz jej twarzy były pełne optymizmu, na dnie jej oczu widziałam troskę.

- Króliczek ma się dobrze - odrzekłam, rozglądając się wokół.

- Ależ tłum, prawda?

- To chyba rekord - odpowiedziała Jan.

- Szukam Mickeya. Nie widziałas go czasem?

- Był tu koło siedemnastej czy jakoś tak - stwierdziła Jan, spoglądając na męża. - Ale od tamtej pory go nie widzieliśmy.

Cmoknęłam ją w policzek.

- Jeśli będzie przechodził, powiedz mu, żeby mnie poszukał.

- Powiem, skarbie. A jeśli się zmęczysz, wróć tu i posiedź ze mną chwilę. Każ jej usiąść, Priss.

Harry pogroził nam palcem, przedrzeźniając żonę, a następnie pochylił się i pocałował mnie w czoło.

- Słyszałaś szefową.

Ruszyliśmy w stronę stoiska z hot dogami prowadzonego przez Lily i Rona, ale nie zaszliśmy daleko, bo przeraźliwy głos Muriel Piper - która krzyknęła na nas zza swojej olbrzymiej wystawy kap, rozciągniętych na trawniku przed jej domem - osadził nas w miejscu. Muriel podeszła i oplótła mnie swoimi ptasimi ramionami.

- Jak się czujesz? - zaszcebiotała. - Mieliśmy nadzieję, że przyjdiesz dzisiaj wieczorem. Wszystko w porządku?

- Całkiem nieźle.

- I Priscilla! Na niebiosy, wyglądasz jak gwiazda filmowa. Te słowa najwyraźniej sprawiły Priss przyjemność.

- Chodźcie, chodźcie obie. Siadźcie z nami. Mamy dla ciebie niespodziankę, Lucy.

Muriel nalegała, bym usiadła na jej krześle ogrodowym, i rzeczywiście miło było chwilę odpocząć. Priss przysunęła sobie skrzynkę stanowiącą część wystawy, ale najwidoczniej gospodarze nie mieli nic przeciwko temu.

- A teraz zamknij oczy. Bez oszukiwania. Ty też, Priscillo. W porządku, Wandy, przynieś to - szcebiotała Muriel.

Usłyszałam szelest i szepty kilkorga przyjaciół, a następnie Wanda Murphy powiedziała:

- Dobrze, możesz otworzyć oczy.

Oczywiście, była to kapa. Piękna różowa kapa dziecięca.

- O rany - powiedziała Priscilla. - To chyba najbardziej urocza rzecz, jaką kiedykolwiek widziałam.

Kapa stanowiła układankę wszelkich możliwych odcieni różu, tworzących obraz kobiety trzymającej za rączkę małą dziewczynkę. Cudowne różowe słońce świeciło w jej rogu i musiałam się zgodzić z siostrą - to było bardzo piękne.

- Podoba ci się?

- Nie wiem, co powiedzieć.

- Zamierzamy wystąpić z nią na konkursie za dwa tygodnie. Potem będzie twoja - powiedziała Muriel. - Co sądzisz?

- Jestem zachwycona! Kocham cię i ciebie też. - Ucałowałam Muriel i Wandę, dwie najbliższe przyjaciółki mojej mamy.

Nadszedł Oscar Levine w spodenkach khaki i niebieskim swetrze. Wszedł do namiotu z tacką hot dogów w ręku i butelką wina. Priss i ja wstałyśmy, zamierzając wyjść, ale Oscar nalegał, żebyśmy zostały. Powiedział, że Lily już nas zauważyła i przygotowała kilka hot dogów, tak jak lubimy. Cóż więc miałyśmy zrobić? Zostałyśmy. Nawet Priscilla, która zazwyczaj nie spoufalala się z ludźmi, po kilku papierowych kubkach wina wyraźnie się rozluźniła.

Zadzwoiła moja komórka i siostra rzuciła mi uważne spojrzenie, kiedy ją odbierałam.

- Halo?

- Lucy? Przepraszam, że przeszkadzam. Tu Jared.

- Cześć.

Słyszałam muzykę i hałas w Partners - o tej porze w klubie panował największy ruch.

- Sądzę, że byłoby dobrze, gdybyś tu przyszła. Mickey

jest tutaj. Widziałem go kilka minut temu. Pije i nieźle się bawi. Jest tu też jakaś kobieta, która nie chce zostawić go w spokoju. Powiedziałem jej, żeby się odczepiła, ale nic to nie dało. Lepiej tu przyjeźdź. Może zabierz z sobą Rona.

Przełknęłam głośno ślinę i spojrzałam twardym wzrokiem na Priscillę.

- Dzięki, Jared. Zaraz tam będę. - Rozłączyłam się. Dużo czasu upłynęło, odkąd ostatni raz wzywano mnie,

bym przywołała męża do porządku. Zwykle obecność i przyjazne napomnienia ludzi znających Mickeya wystarczały, by trzymał pion - przynajmniej publicznie.

- Musimy iść - powiedziałam, wstając.

Uściskałam moich przyjaciół i jeszcze raz im podziękowałam, mając nadzieję, że te serdeczności sprawią, że nie będą zadawać pytań. Kiedy już byliśmy poza zasięgiem ich uszu, Priscilla ujęła mnie pod ramię.

- No i co?

- Jest w klubie. Z jakąś kobietą. Priscilla zatrzymała się i pokręciła głową.

- Żartujesz sobie ze mnie, Lucy? Ten głupi...

- Priss, potrzebuję twojej pomocy, nie tego.

Uniosła ręce w teatralnym geście kapitulacji, nie spuszczając jednak z mojej twarzy surowego spojrzenia. Spodziewając się złośliwego komentarza, czułam, jak ciarki przechodzą mi po plecach.

- Priss, tak naprawdę to nie jest Mickey, i ty dobrze o tym wiesz. Po prostu ma teraz niewiarygodnie ciężki okres z powodu tego wszystkiego, przez co musi przechodzić.

Priscilla westchnęła.

- Wszyscy mamy trudny okres - powiedziała z nietypową dla siebie rezygnacją.

Ludzie zaczęli zamykać budki na noc. Odnalazłyśmy Rona wyrzucającego śmieci do wielkiego kontenera przygotowanego dla sprzedawców. Uśmiechnął się, kiedy do niego podeszłyśmy.

- Hej, dzięki za całą waszą pomoc - zażartował. - Był dziki tłum i doceniamy z Lii, że użyczyłyście nam dodatkowej pary rąk. - Ale kiedy zobaczył nasze miny, zapytał:

- Co się stało, Lucy?

- Chodzi o Mickeya. Możesz pojechać z nami do klubu? Nie wahał się ani chwili. Jak zwykle zresztą.

- Jasne, tylko zamknę interes. Co zrobił?

- Jeszcze nie wiem, ale jest tam jakaś kobieta. Pokręcił głową.

- To niedobrze.

- Ostatnio jest taki nieprzewidywalny - odrzekłam.

- Nie wiem, co tam zastaniemy.

Lily wychyliła się z okna przyczepy, skinąwszy głową. Słyszała naszą rozmowę. Podeszliśmy do niej.

- Będzie dobrze - powiedziała. - Wszyscy pojedziemy do klubu i razem się z nim uporamy.

Ron podrzucił mnie i Priscillę do samochodu, który nadal był zaparkowany na Foster Pier Road. Stamtąd pojechaliśmy za nimi do Loop. Kiedy znaleźliśmy się w pobliżu Partners, usłyszeliśmy dudnienie. To muzykował jakiś zespół na dziedzińcu przy klubie. Nie było gdzie zostawić auta,

więc zatrzymałam się przed samym hydrantem przeciwpożarowym. Ron stanął obok.

- Idź do środka, Lucy. Zaparkuję przy Ghost i przyjdę do was. Lily wyglądała na zdenerwowaną, ale skinęła głową.

Priss i ja przecisnęłyśmy się przez tłum do baru. Natychmiast zauważył mnie Jared i przywołał do siebie gestem. Rozmawiał z Chadem Withersem, który spojrzał na mnie z troską w oczach.

- Wiesz, gdzie on jest? - zapytałam.

- Chwilę temu był na zewnątrz - odrzekł Chad. - Zdaje się, że ostro pije, Lucy. A ta kobieta ciągle go podkręca.

Wyszłyśmy na dziedziniec, gdzie dudnienie muzyki rozlegało się w mojej głowie niczym walenie młotem. Parkiet roił się od tańczących i niemal zgubiłam Priss w tym tłumie. Minęłam kilkoro znajomych, którzy najwyraźniej wiedzieli, dlaczego tu jestem. Dotarło do mnie, że prawdopodobnie powinnam odczuwać większe zażenowanie, ale szybko zdusiłam tę myśl. Jaki miałyby to sens? Każdy, kto znał Mickeya i mnie, wiedział, jak jest naprawdę. A ci, którzy nas nie znali, się nie liczyli.

Kiedy okazało się, że na dziedzińcu nie ma śladu po Mickeyu, przeszłyśmy ponownie przez zatłoczony parkiet. Spojrzałam na moją siostrę i ogarnął mnie strach.

- Mam złe przeczucia, Priss.

Znalazłyśmy się z powrotem w holu. Ron i Lily właśnie weszli do klubu.

- I co? Jest tutaj? - zapytała Lily.

- Nie możemy go znaleźć. - Priss spojrzała na Rona. - Chodź ze mną. Lily niech zostanie z Lucy. Zaraz wrócimy.

Zniknęli, a ja pomyślałam, jak wielką siłę ma w sobie moja siostra, i byłam jej za to wdzięczna. Kiedy czekałyśmy, Lily wplotła palce w moje, a ja oparłam głowę na jej ramieniu.

Cory Brubaker, właściciel pubu i nasz przyjaciel, przecisnął się przez całą salę i powiedział Priss, że kobieta, z którą był Mickey, jest gościem w hotelu. Nazywa się Hilary Wellington i przebywa w pokoju 216. Zamówiła wyszukaną kolację dla dwóch osób, która została dostarczona jakieś dwadzieścia minut temu. Na nalegania Priscilli, Cory dał jej klucze do pokoju.

Kiedy Ron i Priss wrócili do holu, upierałam się, że teraz poradzę już sobie sama, ale i tak wszyscy towarzyszyli mi w drodze na drugie piętro, gdzie z ociąganiem przyłożyłam ucho do drzwi. Może to był telewizor, ale odgłos czyichś jęków podziałał na mnie niczym cios między oczy. Spojrzałam na Lily. Przyłożyła ucho do drzwi i również to usłyszała. Zamknęłam oczy i zapukałam.

Natychmiast odezwał się kobiecy głos:

- Proszę przyjść później. Jeszcze nie skończyliśmy.

- No pewnie, że nie - wysyczała Priss, wkładając klucz do zamka.

Zanim się zorientowałam, znaleźliśmy się w pokoju twarzą w twarz z piękną kobietą. Zdawało mi się, że kojarzę ją z porannego meczu softballu. W jej niebieskich oczach widać było przerażenie. Miała na sobie luźno

związany jedwabny szlafrok, a jej gęste włosy niedbale opadały na ramiona. Mickey siedział na krawędzi łóżka bez podkoszulka, a jego ręce zwisały bezwładnie wzdłuż tułowia. Spodnie miał rozpięte. Na moment zapomniałam o tym, żeby oddychać. Usiłowałam zrozumieć coś z tego, na co właśnie patrzyłam. Czułam, że gniew walczy we mnie ze zmieszaniem.

- Co... co ty tu robisz? Mickey!

Kiedy Mickey spojrzał na mnie i w jego oczach nie było żadnego śladu, że mnie widzi, poczułam przede wszystkim strach. Coś było z nim nie w porządku. Zrobiłam krok w jego kierunku, ale on nadal nie reagował.

- Co ty robisz? - wyrzuciłam z siebie. - Co się tu dzieje? Przeniosłam wzrok z męża, który zdawał się nie wiedzieć, gdzie jest, na kobietę.

- Co pani zrobiła?

Strach na twarzy Hilary Wellington nagle ustąpił miejsca irytacji.

- Jak pani śmie? - powiedziała ostro. - Proszę natychmiast wyjść z pokoju albo dzwonię na policję!

- Zamknij się, ty dziwko - wtrąciła Priscilla, dwoma krokami pokonując przestrzeń dzielącą ją od kobiety. - Po prostu się zamknij!

Próbowałam ogarnąć wzrokiem pokój. Spojrzałam też uważnie na mojego półnagiego męża, całkiem otepiałego. Sprawiał wrażenie, jakby się zapadł w sobie. Wyglądał naprawdę żałośnie, a ja byłam zła, że aż tak. Na nocnym stoliku stała otwarta butelka wina, kolejna widniała na stole w rogu,

pośród pozostałości po intymnej kolacyjce dla dwojga. Koszula i buty Mickeya leżały na podłodze, a choć łóżko było posłane, pościel była całkiem zmięta. Spojrzałam na kobietę, a potem z powrotem na męża, starając się ogarnąć i zrozumieć sytuację. Mickey trzymał coś luźno w pięści, a kiedy rozwarłam mu dłoń, znalazłam pustą buteleczkę po lekach.

- Och, Mickey.

Ujęłam jego twarz w dłonie i usiłowałam sprawić siłą woli, by mnie zobaczył, lecz gdy oczy uciekły mu w głąb czaszki, zadrżałam.

- On to jadł jak cukierki - skomentowała kobieta.

- Ile tego wypił?! - krzyknęłam, unosząc butelkę stojącą nieopodal.

Rzuciłam nią o ścianę. Czerwone szkło rozprysło się na kawałki. Kobieta aż podskoczyła.

- On nie może pić! - krzyknęłam znowu. - Jest na lekach!

- To nie przeze mnie!

- Jasne! - warknęła Priscilla.

Cała drżąc, zwróciłam się do Mickeya.

- Ile wzięłeś pigułek?! - krzyknęłam. - Mickey, coś ty narobił?!

Miałam ochotę go uderzyć i krzyczeć na niego, rozłupać mu głowę na kawałki, ale trzęsłam się tak bardzo, że nie byłam w stanie myśleć. Ron chwycił mnie za nadgarstek.

- Skup się, Lucy. Zabierzmy go stąd.

Skinęłam głową i przyklęknęłam, by pomóc Lily, która w milczeniu zaczęła go ubierać. Była taka delikatna,

ostrożnie wkładając stopy Mickeya do butów. Bez reszty pochłaniała ją ta czynność.

- No dalej, stary, pomóż nam - powiedział Ron do Mickeya, kiedy usiłowaliśmy go podnieść.

Podczas gdy my zajmowaliśmy się moim mężem, Priscilla krzyczała, że kobieta to niezłe ziółko. Mickey próbował się odwrócić w stronę hałasu, ale nie mógł wykrzesać z siebie wystarczającej energii, a głowa opadała mu na bok. Bałam się, że za chwilę straci przytomność.

- Zostań ze mną, Mic. Zostań ze mną! - szeptałam gorączkowo.

Choć był bliski stanu nieświadomości, w jego oczach ujrzałam niesłychany ból. Nie wiedziałem, co to oznacza. Miałam ochotę jednocześnie płakać i okładać mego męża pięściami. Co on tu w ogóle robił?

- Priscillo, chodźmy już! - zawołała Lily od drzwi, które dla nas otworzyła.

- Weź jej torebkę, Lily - warknęła Priscilla.

Moja siostra spojrzała na Priss, a następnie na mnie i wzięła do ręki torebkę Louis Vuitton, leżącą na fotelu obok innych przedmiotów.

- Zabierz jej portfel - rozkazała Priss.

Lily wyjęła portfel z torebki, a kiedy Hilary Wellington rzuciła się ku niej, Priscilla zatrzymała ją w miejscu, chwytając za szlafrok. Jedwab zsunął się z jej ładnego ramienia i odsłonił jedną ładną pierś, którą kobieta usiłowała zakryć, równocześnie próbując odebrać Lily swoją własność.

- Co my właściwie robimy? - zapytała Lily.

Niemal doszliśmy z Mickeyem do drzwi, lecz mój mąż nagle potknął się o własne nogi, tracąc równowagę. Pospieszyłam, by mu pomóc, a wtedy dostrzegłam, jak bardzo rozszerzone ma żrenice.

- O Boże, Mickey - powiedziałam i ogarnęła mnie panika. - Priscilla, musimy iść. Musimy go zawieźć do szpitala.

- Zaczekajcie! - krzyknęła Hilary. - Dokąd się wybieracie z moim portfelem?

Lily zrobiła krok w jej kierunku.

- Zobacz, co zrobiłaś mojej siostrze! Ona jest w ciąży! Priscilla potrząsnęła portfelem przed twarzą kobiety.

- Będziesz mogła go odzyskać, kiedy zrobisz sobie test krwi. HIV. Rzeżączka. Opryszczka. Nie mamy pojęcia, jak wielka z ciebie dziwka, więc musisz zostać sprawdzona przez naszą lekarkę - doktor Barbee - tu na miejscu, w Brinley. Znajdziesz jej numer w książce telefonicznej!

- Nie możesz tego zrobić! Za kogo się uważasz?

- Jestem jej siostrą!

Ron i ja podtrzymywaliśmy Mickeya.

- Priss, wychodzimy - rzuciłam.

Ledwo minęliśmy próg, kiedy Mickey niemal przeleciał nam przez ręce i zwałił się całym ciężarem na ziemię. Priscilla błyskawicznie pojawiła się u mego boku. Zwolniła mnie i wsunęła się pod ramię Mickeya. Wyjęłam jej portfel spod pachy. Kobieta ponownie wykonała krok w jego kierunku, ale tym razem Lily stanęła naprzeciwko niej.

- Powiedziałyśmy ci, co masz zrobić. Zadzwoń do Charlotte Barbee.

Na dole Ron usadził Mickeya w fotelu i szukając kluczyków, rzucił:

- Podjadę od frontu.

W tym samym momencie co ja zdał sobie sprawę, że Lily nie ma z nami, i czym prędzej po nią wrócił, ale ona była już na schodach.

- Co się stało? - zapytał. - Wszystko w porządku?

- Tak. Ona chciała mi coś powiedzieć. - Lily spojrzała na mnie. - Nie uprawiali seksu. Chciała, żebyś to wiedziała, Lu. Nic się nie wydarzyło.

- Tak, jasne - burknęła Priscilla.

- Wiem o tym - stwierdziłam ze znużeniem. - Lily, daj to Cory'emu. Niech jej to zwróci.

- Co takiego? Skąd to wiesz? - powiedziała Lily oniemiała, zabierając portfel.

Spojrzenia wszystkich członków rodziny spoczęły na mnie.

- Wierzcie lub nie, ale tej granicy Mickey nigdy by nie przekroczył. I żeby się upewnić, że tego nie zrobi, wziął leki. To jego ochrona. - Pokręciłam głową.

Rozwiążność seksualna stanowiła znak rozpoznawczy wielu chorych na cyklofrenię, ale miałam to szczęście, że nie wyszłam za człowieka tego pokroju. Nie... ta kobieta stanowiła ostatnie z moich zmartwień, lecz mój mąż mógł umrzeć w wyniku swych absurdalnych czynów, jeśli się nie pospieszymy. Patrzyłam na Mickeya, bezwładnie leżącego w fotelu. Katastrofa rozgrywała się na moich oczach, ale nie mogłam zrobić nic, by jej zapobiec.

ROZDZIAŁ 23

Brak daty - dyktowane dla Gleasona

Patrzyłem na samego siebie biorącego tabletki, jedną po drugiej, czasem dwie naraz, popijałem winem, którego nie powinienem pić. Patrzyłem na samego siebie w pełni racjonalnym okiem umysłu. Patrzyłem, ale nie przestałem robić tego, co robiłem. Oczywiście, że nie. Musiałem coś zrealizować, byłem tego pewien. Ale w miarę zażywania leków coraz trudniej było mi sobie to przypomnieć. Wszystko to jest częścią planu. Wszystko jest częścią planu. Ale jakiego planu? Dziecko. No tak. Dziecko. Dziecko? Wszystko się z sobą mieszało. Lucy znowu jest chora. Ma słabe rokowania. Nie przeprowadzi aborcji. Kolejna pigułka, kolejny łyk wina. Po prostu wymieszać wszystko. Jakiż dobry miałem pomysł, by po prostu przespać cały ten ból. Pomieszać. Po prostu pomieszać. Kolejna pigułka, jeszcze więcej wina. To już prawie koniec, pomyślałem. Prawie koniec. A potem panika. Co? Wszystko się miesza. Zaczekaj. Wszystko się miesza...

Dobry Boże, myślałem, pomóż mi. Co ja najlepszego... I to jest ostatnia rzecz, jaką pamiętam, że myślałem.

Kiedy w końcu pozwolono mi zobaczyć męża, lekarz, którego nigdy wcześniej nie widziałam, osłuchiwał mu klatkę piersiową. Gdy skończył, zawiesił sobie stetoskop na szyi i przedstawił się. Doktor Harwood wyglądał na zmęczonego, ale miał miły uśmiech. Oznajmił mi, że testy krwi Mickeya wykazały mnóstwo benzodiazepiny oraz alkoholu. Wyjaśnił, że choć sam klonopin niekoniecznie musi zagrażać życiu, połączenie tych dwu substancji może bardzo źle się skończyć. Skinęłam głową, wiedziałam o tym. Nie rozumiałam tylko, dlaczego Mickey miałby to zrobić. Jedyne raz, kiedy usiłował popełnić samobójstwo, nastąpił wtedy, gdy miał bardzo silną fazę psychotyczną i był tak dalece pozbawiony jasności umysłu, że pragnął jedynie ulgi. Ale dzisiejszego wieczoru było inaczej. Po prostu nie mogłam uwierzyć, że naprawdę chciał umrzeć.

Jeśli rzeczywiście tego pragnął, to wybrał dobry sposób, poinformował mnie doktor Harwood. Powiedział, że przedawkowanie leków zamroczyło centralny układ nerwowy i znieczuliło go tak bardzo, że nie otrzymywał bodźców, by oddychać. Podłączono go do respiratora, żeby się nie udusił. Lekarz jednak był pewien, że jego zdolność oddychania wróci, kiedy organizm oczyści się z toksyn. Podłączył mu dożylnie kroplówkę i cewnik, żeby jak najszybciej wypłukać te substancje z organizmu.

Kiedy stan Mickeya się ustabilizował, doktor przeniósł go na oddział intensywnej terapii. Ron, Lily i Priscilla pojechali już do domów, ale tylko dlatego że nie zostali tam wpuszczeni. Weszłam wyłącznie ja. I obiecałam, że nie zostanę długo. Stało się to ponad dwie godziny temu, a nadal nie mogłam wyjść. Po prostu nie mogłam pojąć tego, co uczynił Mickey. Kobieta? Przedawkowanie? Nigdy wcześniej coś takiego się nie zdarzyło. Miałam ochotę potrząsnąć nim tak, by się obudził, i zmusić go do wyjaśnień.

Ale on spał nieprzytomny. Wyglądał tak spokojnie mimo zielonych rurek przyczepionych do twarzy. Można powiedzieć, że był teraz spokojniejszy niż kiedykolwiek w ciągu ostatnich tygodni, a mnie nagle ogarnęła czułość.

Kiedy tam stałam zatopiona w myślach, poczułam miękki dotyk dłoni na ramieniu. Odwróciłam się i zobaczyłam stojącą obok mnie Lily.

- Myślałam, że pojechałaś do domu. Pogłaskała mnie po włosach.

- Wróciłam. Musiałam się upewnić, że u ciebie wszystko w porządku.

- Wszystko gra. Jak się tu dostałaś?

- Powiedziałam pielęgniarce, że się o ciebie martwię i że przyjechałam, żeby cię zabrać.

- Wychodzę za kilka minut.

- Czemu ci nie wierzę?

Pocałowała mnie w czoło, a następnie jej wzrok spoczął na Mickeyu. Patrzyła na niego długo, kręcąc głową.

- Czy on dojdzie do siebie, Lu?

- Tak.

Oparła się o ramę łóżka i z autentyczną troską wpatrywała się w mojego śpiącego męża. Była tak delikatna i daleka od oceniania... Ścisnęła delikatnie nadgarstek Mickeya.

- Przez co ty musisz przechodzić... - powiedziała do mnie łagodnie. - Nie wiem, jak ty to robisz, Lucy.

- Po prostu noga za nogą, Lii. Nie ma w tym żadnej magii.

Pogłaskałam męża po policzku i cofnęłam się myślami do owego dnia sprzed wielu laty, kiedy Gleason powiedział mi, jak będzie wyglądało moje życie z Mickeyem. Wkrótce potem zrozumiałam, co miał na myśli. Rozbite szkło. Właśnie teraz boso na nim tańczyliśmy; na istnym morzu rozbitego szkła. I Mickey dobrze wiedział, że jeśli tylko będę w stanie, będę z nim tańczyć zawsze, choćby z krwawiącymi stopami.

- Tak bardzo go kocham, Lii, ale jestem też na niego taka wściekła. Dlaczego to zrobił? Dlaczego teraz?

- Może on czuje dokładnie to samo wobec ciebie. Spojrzałam na moją uroczą, mądrą siostrę i nie mogłam powstrzymać łez.

- Zabiorę cię do domu, kochanie.

- Muszę jeszcze raz porozmawiać z lekarzami, a potem wychodzę.

Lily spojrzała na mnie uważnie, jakbym kłamała.

- Lucy, proszę, nie zostawaj tu całą noc.

- Nie zrobię tego, obiecuję. - Pocałowałam ją w policzek.

Okolo trzeciej piętnaście młody internista - nie nosił plakietki z nazwiskiem i nie raczył się przedstawić - o twarzy poranej bliznami po trądziku skontrolował objawy czynności życiowych Mickeya. Następnie wyłączył respirator i sprawdził, jak Mickey oddycha bez aparatu. Najwyraźniej nie był zadowolony z parametrów, ponieważ z powrotem go włączył, wpatrując się w monitor, dopóki nie zobaczył, że Mickey znowu jest prawidłowo dotleniany.

- Panie Chandler, słyszy mnie pan? Panie Chandler - przemówił głośno i obrzucił mnie spojrzeniem. - Dojdzie do siebie.

Skinęłam głową.

- Wie pan, że mój mąż cierpi na chorobę afektywną dwubiegunową?

- Nie wiedziałem o tym, proszę pani - odrzekł, zajęty stukaniem w komputer stojący przy łóżku Mickeya.

- A więc chciałam państwa o tym poinformować, ponieważ kiedy odzyska przytomność, może wpaść w straszny gniew.

- Naprawdę? - zapytał doktor o chłopięcym wyglądzie, spoglądając na mnie znad papierów.

- Naprawdę. Właściwie to nie wiem, czy próbował się ostatniej nocy zabić ani ewentualnie dlaczego to uczynił, ale cokolwiek zrobił i jakiegokolwiek miał powody, przypomni sobie o wszystkim, gdy tylko odzyska przytomność. Będzie na siebie wściekły i prawdopodobnie będzie czuł się upokorzony, a niezbyt dobrze to znosi.

- Będziemy go pilnować, proszę pani.

Kiwnęłam głową, mając nadzieję, że zrozumiał moje ostrzeżenie.

- Od ponad miesiąca był w stanie hipomanii. I łatwo popadał w irytację. Sam dawkował sobie leki. Przekazałam ich listę pielęgniarce na dole. Chciałam tylko pana poinformować.

- Dziękuję, pani Chandler. Powiem o tym, komu trzeba.

- Jeśli potrzebują państwo jakiegoś potwierdzenia, proszę zadzwonić na oddział psychiatryczny. Dobrze go tam znają. Jego psychiatra to Gleason Webb. Dzwoniłam do niego już w drodze do szpitala, ale nie było go w domu, więc zostawiłam wiadomość. Może zechcą państwo spróbować jeszcze raz.

Internista oderwał kartkę papieru i zapisał sobie numer Gleasona, a potem wyszedł z pośpiechem. Kiedy zniknął, oparłam się o ramę łóżka, wpatrując się w równomierny, automatyczny oddech Mickeya. Chciałabym móc go teraz nienawidzić, ale nie byłabym w stanie. Było mi naprawdę przykro na myśl o tym, z czym będzie się musiał zmierzyć, gdy odzyska przytomność. Kiedy się obudzi, przekona się, że jego demony go zdradziły - po raz kolejny. A wtedy zsinieje z gniewu. Nie potrafię sobie wyobrazić nic bardziej druzgocącego dla niego niż ujrzenie własnego odbicia w lustrze - po tym, jak zrobił się coś takiego drugiej osobie. Wiedziałam też, że moje rozczarowanie, smutek i zmęczenie tylko pogłębią jego ból, a może nawet powtórnie go skłonią do próby zrobienia sobie krzywdy. Pochyliłam się nad ramą łóżka i ucałowałam go w czoło, na chwilę zastygając w bezruchu.

- Kocham cię, skarbie. Ale nie będzie mnie tutaj, kiedy się obudzisz.

Wychodząc, przystanąłam koło dyżurki i powtórzyłam pielęgniarce to samo, co powiedziałam interniście.

- Na waszym miejscu pilnowałabym go - oznajmiłam.

- Kiedy zacznie dochodzić do siebie, może trzeba będzie go unieruchomić. Bywało tak w przeszłości.

Pielęgniarka spojrzała na mnie znad dokumentacji medycznej, którą właśnie czytała, i zapewniła, że już się tym zajęła. Miałam nadzieję, że rzeczywiście.

- Zadzwoń za kilka godzin, żeby zapytać, jak się miewa

- oświadczyłam.

- Proszę dzwonić o każdej porze, pani Chandler - powiedział internista, kiedy wychodziłam.

Gdy dotarłam do domu, była już prawie czwarta rano. Było tak cicho, jakby wszystko, co żyje, nagle wstrzymało oddech. Nawet moje miękkie kroki na ścieżce prowadzącej do domu wydawały się profanacją ciszy. Przysiadłam na schodach frontowych i przymknęłam oczy, napawając się tym absolutnym bezruchem. Powietrze miało idealną gęstość i temperaturę i działało jak balsam na moje zmysły. Wydało mi się, że noc całkowicie mnie pochłoneła. Westchnęłam jak najciszej.

Dziecko we mnie przeciągnęło się energicznie. Choć stanowiłam dla córeczki tak niedoskonałe schronienie, miałam wrażenie, że jest silna i duża. Pogłaskałam stwardniały brzuch i dokonałam bilansu zdarzeń: Mickey był bezpieczny, dziecko aktywne, a ja w końcu byłam w domu.

Wstałam i ziewnęłam, wyciągając z kieszeni klucz. Gdy otworzyłam drzwi, znalazłam w przedsionku dużą kopertę, którą ktoś musiał wrzucić przez otwór na listy. Patrzyłam na nią, wiedząc doskonale, co w niej jest. Wydałam stłumione westchnienie, następnie podniosłam z ziemi bilety lotnicze na Hawaje. Nagle wpadłam w irracjonalny gniew. Przecież obiecał! „Pojedziemy na twoje urodziny”, zapewniał. „Będę w porządku”, powiedział. „Nie zawiodę cię, Lu”. Powlokłam się na górę z kopertą w rękę.

W sypialni opadłam na łóżko, wpatrując się w nagle rozmazany sufit, a moje wzburzenie rosło z każdą minutą. Nie posiadając się z wściekłości, postanowiłam ze swej strony dotrzymać słowa i zaczęłam pakować walizkę.

Na lotnisku w Los Angeles, gdzie miałam przesiadkę, ogarnęły mnie wątpliwości. Co ja tu robiłam bez Mickeya? Autentycznie zaczęłam się zastanawiać, czy nie zawrócić i nie złapać następnego samolotu lecącego do Connecticut. Ale tego nie zrobiłam. Znalazłszy swój fotel, zobaczyłam, że jest on okryty gustowną marynarką, której właściciel pieczołowicie umieszczał swoje rzeczy w luku bagażowym. Kiedy mnie zobaczył, przeprosił w ujmujący sposób, że chwilowo pozbawił mnie miejsca siedzącego, a ja wślizgnęłam się na zwolnione siedzenie i zapięłam pasy. Modliłam się, żeby w trakcie lotu fotel między nami nie został zajęty, i uśmiechałam się sztywno do tego wysokiego i szczupłego pana, pachnącego niczym guma owocowa.

Nagle zadzwonił jego telefon komórkowy, a wtedy mój sąsiad odebrał ze słowami: „Cześć, skarbie”. Przez chwilę słuchał, po czym zachichotał.

- A więc znalazłaś je. To dobrze. - Przez chwilę potakiwał. - Daj mi go do telefonu... Okej, ja też cię kocham. - Zerknął na mnie, zawstydzony. - Scotty?... Cześć, stary, pamiętasz, co powiedziałem, prawda? W tym tygodniu to ty jesteś głową rodziny. Liczę na ciebie. Nie sprawiaj mamie żadnych przykrości i nie strasz dziewczyn opowieściami o lotach. Pamiętaj o naszej umowie: jeśli się dobrze sprawisz, wtedy tylko ty i ja... no wiesz. Ja też nie mogę się doczekać. Muszę kończyć. Bądź grzeczny. Kocham cię.

Wyłączył telefon i zerknął na mnie z łagodnym uśmiechem.

- Dzieci.

- Wygląda na to, że ma pan ich pełen dom - powiedziałam.

- Czwórkę.

- O kurczę. - Pogłaskałam mój brzuch. - Ja ledwo mogę sobie wyobrazić siebie z jednym.

- No tak, to praca na cały etat. - Uśmiechnął się. - Właściwie tylko mój chłopak to praca na pełen etat.

Pochyliłam się w jego stronę, dobrze czując się w jego towarzystwie.

-A więc co pan i Scott będziecie robić, jeśli będzie grzeczny?

- Poprobujemy paralotniarstwa - zaśmiał się. - Prawdę mówiąc, po części mam nadzieję, że będzie niegrzeczny. W ten sposób oszczędzi mi tego.

Asystent lotu poprosił nas o uwagę, pokazał wyjścia awaryjne i poinstruował, jak mamy się zachować w przypadku lądowania na oceanie. Nie słuchałam. Stałam u wejścia do domu nowo poznanego mężczyzny i podglądałam jego rodzinę. Jego żona wydawała się urocza - mówiła pierwsza „kocham cię” - z łatwością też mogłam sobie wyobrazić gromadkę dzieci. Położyłam głowę na oparciu fotela i pomyślałam o Mickeyu. Widziałam, jak rozmawia z córką dokładnie tak jak ten mężczyzna. Podobnie lekkim tonem mówi jej, żeby była grzeczna i że jeśli położy się do łóżeczka o stosownej porze, sprawi jej niespodziankę.

Mickey. Znowu zastanowiłam się, co ja właściwie robię. Odkąd dwa dni temu wyszłam ze szpitala, nawet nie poszłam go odwiedzić. Po prostu nie mogłam tam wrócić. Nie po tym, jak Gleason powiedział mi, że wszystko, co przewidziałam, się ziściło. Gdy Mickey wywołał piekło na oddziale intensywnej terapii, Gleason przeniósł go na oddział psychiatryczny i kazał pilnować, tak jak się pilnuje samobójców. Nazwał przyjęcie przez Mickeya benzodiazepiny i alkoholu świadomą próbą pozbawienia się życia, choć natychmiast dodał, że nie rozmawiał z nim jeszcze i że niczego nie potwierdził. Nie oponowałam, gdy stwierdził, że zapewne nie chciałabym widzieć swojego męża w obecnym stanie pobudzenia i agresji. Zamiast tego spakowałam rzeczy, częściowo w napadzie złości, czując, że to moje oburzenie jest całkowicie usprawiedliwione. I tak było aż do teraz.

To, że nie miałam siły ani chęci spotkać się z Mickeyem przed swym wyjazdem, nagle wydało mi się czymś

bezwzględny. Zaledwie strzęp rozmowy telefonicznej tego mężczyzny sprawił, że nagle się zawstydziałam własnego zachowania. Ale Mickey przedawkował, to był fakt, a ja nie wiedziałam, jak to pogodzić z tym wszystkim, co było między nami. „Już raz przez to przeszliśmy, Lucy - powiedział Gleason. - On odzyska równowagę”. Miałam nadzieję, że tak będzie. Ale byłam na niego taka zła, że nie starczyło mi cierpliwości, by obserwować ten proces. Tak więc skorzystałam z elektronicznego biletu, który Adam Piper dla mnie zostawił, i nie przejęłam się wymówkami moich sióstr, kiedy zadzwoniłam do nich z lotniska. Teraz znajdowałam się na wysokości ponad dziesięciu tysięcy metrów nad Oceanem Spokojnym i pogrążałam się w poczuciu winy oraz wątpliwościach.

Poczułam, że ktoś trąca mnie w ramię.

- Chce pani czegoś do picia? - spytał mój sąsiad, a ja dopiero teraz zauważyłam lekko zniecierpliwioną stewardesę.

- Poproszę o wodę z dużą ilością lodu.

Kobieta podała mi szklankę i butelkę evian, a kiedy odeszła, mężczyzna zwrócił się do mnie z pytaniem:

- Dobrze się pani czuje?

- Chyba tak. Czemu pan pyta?

- Wygląda pani na odrobinę... zasmuconą.

- Naprawdę? Nie, wszystko w porządku. No, prawie wszystko.

Mężczyzna się uśmiechnął - miał niezwykle miłe spojrzenie.

- Nazywam się Thomas Worthington - powiedział, wyciągając do mnie dłoń.

- Lucy Chandler. Miło mi pana poznać.

Przez chwilę prowadziliśmy beztroską pogawędkę. Zapytałam go, gdzie pracuje, i z przyjemnością dowiedziałam się, że od lat jest psychologiem szkolnym i prowadzi również gabinet w miejscowości zwanej Alpine w stanie Utah. Napisał poradnik *Jak wychować odpowiedzialne dziecko w nieodpowiedzialnym świecie* i miał też wygłosić referat na krajowej konferencji dla terapeutów w Honolulu. Jak łatwo przewidzieć, byłam pod wrażeniem. Był tak uprzejmy, że zareagował entuzjazmem na wiadomość, że uczę w liceum. Dodał, że podziwia wszelkiej maści nauczycieli. Uśmiechnęłam się.

- Utah, tak? Jest pan mormonem?

- Przyznaję się. - Na jego twarzy znów pojawił się uśmiech. - Ale mam tylko jedną żonę w przeciwieństwie do tego, co może widziała pani w telewizji.

- Zanotuję to sobie.

Thomas Worthington spojrzał mi prosto w oczy.

- A więc, Lucy Chandler, co oznacza pani sformułowanie, że „prawie wszystko jest w porządku”?

Cień bladego uśmiechu przemknął przez moją twarz i wyobraziłam sobie, jak to, co miałam do powiedzenia, wpłynęłoby na Thomasa Worthingtona, człowieka, który cieszył się swym małżeństwem i idealnymi dziećmi: „Cóż, panie Worthington, mój mąż poprzedniej nocy próbował popełnić samobójstwo, więc wyjechałam, ponieważ

jestem w ciąży i mam raka, a on obiecał, że zabierze mnie na Hawaje. Wiem, że muszę sprawiać wrażenie ostatniej z ostatnich, skoro go opuszczam, ale cóż, widzi pan, musi pan zrozumieć...". Spojrzałam na niego, gotowa udzielić mu jakiejś uprzejmej i niewiele znaczącej odpowiedzi, ale z jakichś powodów zaczęłam płakać. Nie był to żaden wybuch żalości. Po prostu kilka łez spłynęło mi po twarzy.

Thomas Worthington nie odwrócił wzroku. Podał mi serwetkę ze swojej tacki i powiedział:

- Co mogę dla pani zrobić?

Jego troska wydała mi się tak nieodparta, że słowa popłynęły mi z ust nieprzerwanym strumieniem. Opowiedziałam mu o Mickeyu. Opowiedziałam nawet więcej, niż powiedziałabym komukolwiek innemu, a on wydawał się szczerze zafascynowany moją relacją z mężem - pewnie dlatego, że był terapeutą. Patrząc na mnie z namysłem, powiedział:

- Czy możesz sobie wyobrazić życie swojego męża, gdyby cię nigdy nie spotkał? To prawdziwy szczęściarz.

Nie odpowiedziałam od razu.

- Nigdy o tym w ten sposób nie myślałam - stwierdziłam w końcu. - Myślałam tylko o tym, jakie szare i przewidywalne byłoby moje życie bez niego.

- W to akurat łatwo uwierzyć - zachichotał Worthington.

- Kiedy go poznałam, od razu wiedziałam, że odnalazłam coś, o czym nawet nie wiedziałam, że tego szukam. Kilka razy usiłował mnie ocalić przed tym małżeństwem. Ale sądzę, że oboje po prostu wiedzieliśmy, że jesteśmy sobie pisani.

Thomas Worthington skinął głową.

- To naprawdę jest cud, kiedy spotykamy swoją drugą połowę - tę jedyną osobę, która sprawia, że nasze życie staje się pełne, choć niepozbawione również mniej pięknych rzeczy.

- To prawda. A teraz nie potrafię sobie wyobrazić życia bez niego.

Odwrociłam głowę, by wziąć się w garść. Co ja tu w ogóle robię? Nie chciałam być nigdzie bez Mickeya. Ani na Hawajach, ani we własnym domu, ani nigdzie tam, gdziekolwiek będzie podążać moja dusza. Nie chciałam być bez niego

- i ta myśl nagle przeszła mi serce.

Przez dłuższą chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Obróciłam się znowu w stronę Thomasa Worthingtona.

- Wierzy pan w życie po śmierci? - zapytałam zdumiona, że czynię to tak bezpośrednio, a równocześnie - nie wiedzieć czemu - pewna, że mogę tak zrobić tylko wobec tego jednego człowieka.

Ani chwili nie zwlekał z odpowiedzią.

- Tak, zdecydowanie.

- Naprawdę? A jak pan je sobie wyobraża? Przez chwilę się namyślał.

- Jako miejsce idealne. Urocze ponad wszelki opis. Zaludnione przez tych wszystkich, którzy są nam bliscy. A wszystkie te osoby cieszą się doskonałym zdrowiem

- odparł z emfazą.

- To by było cudowne, prawda?

Przypatrywał mi się przez chwilę, a następnie zapytał:

- A ty wierzysz w życie po śmierci, Lucy?

Przez chwilę się zastanawiałam.

- Kiedyś, kiedy byłam małą, mój ojciec opowiedział mi o śmierci. Że nie jest ona końcem i że nie boli, i żebym się nie bała, gdyż przed jej nadejściem dostanę ostrzeżenie. Przez całe moje życie słowa te były moim talizmanem.

- Twój ojciec musiał być wspaniały. Uśmiechnęłam się i milczałam, aż nie zyskałam pewności, że się nie rozpłaczę.

- Zaledwie kilka dni po tej rozmowie został zabity. To było tak, jakby wiedział i chciał, żebym również i ja wiedziała, że wszystko, co mówił, jest prawdą.

- To niezwykła historia. Skinęłam głową.

- Też tak sędzę. Moja matka umarła, kiedy miałam siedemnaście lat. I wszystko się powtórzyło. Jakbym poznała tajemnicę śmierci, jakbym poznała odpowiedź, klucz, umożliwiający zniesienie tego wszystkiego, co trzeba znieść, gdy umiera ktoś, kogo się kocha. A teraz po prostu w to wierzę, gdyż w przeciwnym razie nasze życie nie miałoby sensu. A może po prostu boję się w to nie wierzyć - tak wielkie poczucie bezpieczeństwa daje mi ta wiara. Nie wiem, która z obu wersji jest prawdziwa.

W zamyśleniu pokiwał głową.

- Sędzę, że to właśnie rozstanie ze zmarłym sprawia, że się boimy.

- Ja też tak sędzę.

Chciałam powiedzieć Thomasowi Worthingtonowi o rozwijającym się w moim ciele raku, którego od pewnej

chwili przestano badać. Chciałam wyjaśnić mój irytujący kaszel, ale z jakichś powodów łącząca nas relacja wydała mi się zbyt krucha, by przywoływać te brutalne realia, więc milczałam.

Kiedy wylądowaliśmy w Honolulu, miałam ochotę uściskać mego towarzysza podróży, gdyż nie przychodził mi do głowy żaden inny sposób, by wyrazić wdzięczność za jego dobroć. Ale nie zrobiłam tego; zażartowałam tylko, że zapewne go zanudziłam i niechybnie żałuje, że w ogóle mi się przedstawił. Thomas Worthington popatrzył wtedy na mnie z taką powagą i szczerością, że byłam trochę zaskoczona.

- Ależ, Lucy! Za nic w świecie nie straciłbym okazji odbycia lotu w twoim towarzystwie. - Uśmiechnął się do mnie.

- Żyję wystarczająco długo, by wiedzieć, że przypadki me istnieją. Podróżuję cały czas. Nie bądź zdziwiona, jeśli pewnego dnia zjawię się w Midlothian tylko po to, żeby zobaczyć, jak ci się wiedzie. - Podał mi swoją wizytówkę.

- Jeśli będziesz miała ochotę kontynuować naszą rozmowę, po prostu do mnie zadzwoń.

Wzruszona serdecznie mu podziękowałam. Kiedy wyciągnął telefon komórkowy, pożegnałam się i ruszyłam do kasy, by kupić bilet powrotny.

Najwcześniejszy lot, na który były wolne miejsca, miał się odbyć dopiero za dwa dni, wzięłam więc autobus do Hyatt Regency, gdzie miałam zarezerwowany pokój, po czym zadzwoniłam do szpitala, by sprawdzić, co u Mickeya. Chciałam tylko wiedzieć, czy jest bezpieczny. Pielęgniarka, która

miała nocną zmianę, oświadczyła mi, że z Mickeyem jest znacznie lepiej i że jako potencjalny samobójca nadal jest pod kontrolą. Wzięłam długi prysznic, zamówiłam kanapkę z żytniego chleba z indykiem i niemal zasnęłam, czekając na nią. Kiedy następnego ranka obudziła mnie obsługa hotelowa, śniłam właśnie o kobiecie i mężczyźnie po trzydziestce. Mężczyzna był szczupły i żyłasty, miał na sobie mundur, a jego twarz wydała mi się znajoma. Kobieta była niska i miałam wrażenie, że płacze. Były tam również dwie dziewczynki, niemowlę i kilkulatka. Dziecko miało twarz mojej matki. Po przebudzeniu obrazy rozplynęły się, aż w końcu pamiętałam tylko mężczyznę w mundurze. Byłam pewna, że to mój dziadek i że nie przypadkiem mi się przyśnił.

Przywołałam konsjerżę i zapisałam się na wycieczkę, która miała się odbyć tego samego dnia. Strasznie żałowałam, że Mickey nie może mi towarzyszyć. Następnie zadzwoniłam do Edgemont. Peony powiedziała, że Mickey zaczął się uspokajać - jego skłonność do irytacji zmaląła, co oznaczało, że niebawem pogrąży się w depresji. W tej chwili miał sesję z Gleasonem, więc poprosiłam, by powiadomiła go o moim telefonie i o tym, że znów zadzwonię. Rozłączyłam się, czując ogarniającą mnie falę tęsknoty.

Nie jestem pewna, czego się spodziewałam po wycieczce na Pearl Harbor. Od dzieciństwa wiedziałam, że mój dziadek zginął na USS West Virginia. Ale to była jedynie

twarz w albumie fotograficznym, która nigdy nie budziła we mnie jakiegoś szczególnego sentymentu - aż do teraz. Usiadłam na plastikowym krześle na pokładzie promu o nazwie Adventurer V i stwierdziłam, że przestaję panować nad emocjami. Wkrótce zupełnie oniemiałam, usłyszawszy barwny opis owego grudniowego poranka 1941 roku, kiedy Japończycy uderzyli zniebawiająca na amerykańską Flotę Pacyfiku. Słuchałam jak zaklęta, podczas gdy obrazy krwawej jatki i chaosu kłębiły mi się w głowie. Poruszyło mnie zwłaszcza wspomnienie o West Virginii.

Myślałam o nim. William Dean Butler. Dwadzieścia sześć lat. Co on tam robił? Jaka była jego pierwsza myśl, gdy zdał sobie sprawę z tego, co się dzieje? Czy wspomniął swoją ukochaną żonę, dom w Massachusetts i dwie córeczki - moją mamę i ciocię Gwen? Czy gdy wydawał ostatnie tchnienie, myśl o nim przeszła serce babci? Zginął w wieku dwudziestu sześciu lat. Jeśli nic, co dzieje się na świecie, nie jest pozbawione sensu, to jaki sens miała jego śmierć?

Pomnik upamiętniający USS Arizonę był upiorny i poruszający. Kupiłam książkę, w której wymieniono nazwiska tysiąca stu mężczyzn, jacy poszli na dno wraz z tym ogromnym okrętem. Każdy z nich miał jakieś życie, jakąś przeszłość, jakieś marzenia. I nagle wszystko się skończyło. Wszystko to wydawało się bezsensowne. Wszyscy oni nagle byli martwi: w pół zdania, w połowie oddechu i z niedopowiedzianym słowem na ustach.

Nie potrafiłam sobie wyobrazić, że moje życie też się skończy. Nie potrafiłam sobie unaocznic, że już nigdy nie

będę mogła przytulić Mickeya, nigdy nie będę czuła jego rąk głaszczących mnie po włosach, jego ust dotykających moich. Nie potrafiłam sobie wyobrazić tego, że już nigdy nie będę śmiała się razem z siostrami, że nie będę szła przez Loop, a mogłabym to zrobić z zamkniętymi oczami. I nie potrafiłam sobie wyobrazić, że nie poznam dziewczynki, która we mnie dojrzewa. Nie będę mogła scałowywać łez z jej policzków, bandażować stłuczonego kolana, nie będę mogła zrobić jej zdjęcia w pierwszy dzień szkoły, w dniu, w którym wyjdzie za mąż. Myśl o całym tym życiu, które nadal będzie toczyć się beze mnie, była dla mnie udręką. „To nie koniec”, usłyszałam słowa taty.

- To nie koniec - powiedziałam z głębokim westchnieniem.

To musi być prawda. Tak bardzo pragnęłam, by tak było. Nasze życie z pewnością ma jakiś wyższy cel niż danie życia nowemu pokoleniu, którego się już nie będzie znało. Nasze życie musi być kontynuacją i musi przechodzić w coś innego - jeśli tak nie jest, jaki sens ma śmierć dwudziestosześcioletniego męża i ojca w wyniku ataku przypadkowego bombowca nurkującego? Jaki sens ma to, że trzydziestoczteroletnia kobieta w ciąży umiera na raka? Już kiedy zadawałam to pytanie, czułam uspokajającą dłoń na moim sercu i słyszałam zapewnienie ojca.

To ciche pocieszenie stanowiło wspaniały prezent urodzinowy.

ROZDZIAŁ 24

9 września 2011

Zrobiłem to dla niej. Powinienem opisać to wszystko ze szczegółami, zapisać, by wiedziała. Ale siedzenie, trzymanie długopisu, kreślenie nim po papierze - wszystko to pochłania zbyt dużo energii, a może nawet całą moją energię. Leżę więc tu, wpatruję się w sufit i zastanawiam się, czy było jakieś inne wyjście. Nie sądzę. Człowiek ma do dyspozycji tylko to, co jest jego własnością, nawet jeśli jest to obciążone defektem. Ja wykorzystałem to, co do mnie należy. Musiałem. Dla niej.

Zadzwoiłam do Gleasona z lotniska, czekając na lot powrotny do domu. Powiedział mi, że stan Mickeya zasadniczo się stabilizuje, ale mój mąż nie dał za wygraną i potrzebował dodatkowych leków na depresję.

- Gleason, bądź ze mną szczery. Czy on nadal ma myśli samobójcze?

- O tym nie mówi. Ale toczy jakąś wewnętrzną walkę,

która mnie martwi. Będę podawał mu spore dawki leków, aż poziom litu w jego organizmie się wyrówna.

- Rozumiem.

- Włączyłem także pewien stary lek, który dawniej działał.

- Sądzisz, że wkrótce osiągnie psychiczną stabilność?

- Liczę na to, Lucy. Z pewnością na to zasługujesz.

Westchnęłam ponownie.

- Mój samolot ląduje w Hartford około południa. Czy mogę zobaczyć się z Mickeyem, kiedy wrócę do domu?

- Nie widzę przeciwwskazań.

- Dzięki, Gleason. Dzięki za wszystko.

- Nie ma za co. Bezpiecznej podróży, Lucy. Wkrótce się zobaczymy.

Kiedy mój kolejny samolot w końcu wylądował na Hartford/Springfield, byłam cała zeszywniała i źle się czułam. Częściową przyczyną musiały być drzenie maszyny podczas lotu i panująca w niej duchota, ale z pewnością też bezustanne rozmyślanie o Mickeyu. Nasze spotkanie rodziło we mnie strach i ekscytację. Strach, ponieważ nie wiedziałam, czego się spodziewać, a ekscytację, bo bardzo się już za nim stęskniłam. Tęskniłam za nim od tygodni. Zapłaciłam za długoterminowe parkowanie samochodu, cisnęłam koszule w kwiaty, które kupiłam na lotnisku, na tylne siedzenie i ruszyłam w kierunku autostrady międzystanowej.

Podczas mojej krótkiej nieobecności nadeszła jesień. Powietrze było ostre, a niebo pochmurne - Mickey

powiedziałaby, że jest to nastrojowy dzień. Padało przez całą drogę do Brinley, a kiedy dotarłam do Edgemont, lało już jak z cebra. Kiedy zjawiłam się na trzecim piętrze w dyżurce pielęgniarek, dostrzegłam na twarzy Peony Litman uśmiech, który mówił: „Biedna dziewczyno”.

- Kochanie - powiedziała pielęgniarka - nasz Mickey nie ma się zbyt dobrze. Chcę cię tylko przygotować. Wiesz, że doktor Webb podał mu ciężkie leki.

Skinęłam głowę.

- Gleason mi mówił.

Peony wskazała mi koniec korytarza, a ja poszłam do męża.

Na Oddziale Psychiatrii Ogólnej i Leczenia Uzależnień są dwa długie korytarze, a w każdym mieści się inna specjalizacja. Wszystko, co dzieje się na korytarzach, dobrze widać z dyżurki pielęgniarek, więc ciągle czułam na sobie wzrok Peony. Sala Mickeya znajdowała się na psychiatrii ogólnej. Mijając kolejne sale, łapałam się na odruchowym zagłądaniu do środka przez otwarte drzwi. W jednej z nich chudy człowieczek chodził w kółko, mruczając coś pod nosem. W innym kulila się na krześle jakaś kobieta, która obrzuciła mnie spojrzeniem dziecka. Kiedy dotarłam do sali Mickeya, zwolniłam kroku i zaczerpnęłam głęboko powietrza. Nie wiedział, że mam przyjść. Nie widziałam go od pięciu dni i oto nagle uświadomiłam sobie, że niechętnie wkraczam na nieznaną teren. Kiedy dosłownie na chwilę przystanąłam przed jego drzwiami, usłyszałam płacz - łagodny, żalony i rozdzierający serce. Płacz męczyzny

to chyba najbardziej poruszający z dźwięków. Dobiegał z łóżka ustawionego pod ścianą, ale sala była pogrążona w półmroku i nie mogłam rozpoznać jego twarzy.

Kolejne łóżko stało za drzwiami. Natychmiast też zobaczyłam swego męża, który zmierzał w kierunku płaczącego. Poruszał się wolno, ostrożnie, nieco zgarbiony pod wpływem leków i zwrócony do mnie plecami. Miał na sobie stary rdzawoczerwony szlafrok, który podrzuciłam do szpitala dzień po tym, jak tu trafił.

- Już dobrze, John. Nie płacz - powiedział śpiewnie, chcąc uspokoić tamtego. Jego głos był odrobinę schrypnięty. Dotarł do łóżka lamentującego i usiadł na pościeli. - Dobrze już, dobrze, stary. Nie bój się. Chcesz trochę wody?

Patrzyłam, jak drżącą dłonią chwyta styropianowy kubek z szafki. Delikatnie unióś z poduszki głowę swego kompana. Choć uronił trochę wody, zdołał wetknąć leżącemu słomkę do ust. Zobaczyłam, że mężczyzna był luźno przywiązany pasami unieruchamiającymi, które sprawiały, że nie mógł się podnieść z łóżka ani z niego wypaść. Również Mickeya, gdy znajdował się w stanie psychozy, zabezpieczano w ten sposób, by nie mógł chodzić.

Teraz mój przystojny mąż w niczym nie przypominał faceta, któremu płacono za to, by był pewny siebie i wszystkich bawił. Mickey był delikatny, dobry i wyciszony, a w tej chwili był wybawcą innego pacjenta. Owszem, jego umysł uległ zaburzeniu wskutek defektywnej rekombinacji DNA, nie wspominając o lekach mających przeciwdziałać owemu

zaburzeniu. Nie można było zawsze ufać jego myślom, a jego zachowanie często było efektem błędnych domysłów i źle przetworzonych informacji. Ale to był właśnie on, Mickey: człowiek o wielkim sercu i zdolności empatii, który właśnie próbował uśmierzyć lęki mającego.

Obserwowałam, jak odkłada kubek i ujmuje w drżącą dłoń rękę tamtego mężczyzny, spoczywającą w błagalnym geście na pościeli.

- Już dobrze, John. Nie jesteś sam, bracie.

- Nie zostawiaj mnie - usłyszałam zdesperowany i rozdzierający serce głos Johna.

- Dokąd miałbym się wybierać, John? Na potańcówkę? Nigdzie się stąd nie ruszam.

Mickey siedział tak ze swoim przerażonym kolegą przez jakiś czas. Niewidzącym wzrokiem wpatrywał się w ścianę i nieobecnym gestem poklepywał swego towarzysza po ręce. Po pewnym czasie powoli wstał, by okryć Johna kocem po samą szyję, a wtedy jęki ucichły na dobre. Kiedy skończył, odwrócił się i... ujrzał mnie. Był zaskoczony, jakby zupełnie się mnie tutaj nie spodziewał. Nie ruszałam się z miejsca, nie mając pewności, czy Mickey życzy sobie mnie tutaj widzieć, ale wtedy w jego oczach błysnęło coś na kształt uśmiechu.

- Cześć, skarbie - powiedział.

- Cześć.

Wyciągnął ręce, a ja powoli zbliżyłam się do niego i wtuliłam się w jego ramiona: tylko tam czułam się jak u siebie. Westchnęłam jednak, przypomniawszy sobie dziewczynę z hotelu.

- Bałem się, że już nie wrócisz, Lu - szepnął. Stałam na palcach i zajrzałam mu w twarz. W jego oczach zobaczyłam smutek. Mickey wyglądał na starszego niż jeszcze pięć dni temu.

- Pocałuj mnie, Mickey. A potem powiedz mi, co się stało.

Ujął moją twarz w wielkie drżące dłonie i pocałował mnie. Sprawiał wrażenie, jakby rzeczywiście wkładał w to całe serce. Kiedy w końcu się ode mnie odsunął, wziął mnie za rękę i zaprowadził do swojego łóżka.

- Dlaczego tak drżysz?

- Gleason martwił się, więc dał mi na kilka dni lek przeciwpsychotyczny. Kiedyś go zażywałem.

- Masz psychozę?

- Nie wiem. Zdaje się, że miałem. Wydawało mi się, że wszystko to jest niczym zły sen.

Nie wiedziałam, co powiedzieć, więc rozejrzałam się wokół, unikając jego wzroku. Moje spojrzenie spoczęło na hafcie przedstawiającym anioła. Był perfekcyjnie wykonany, w stonowanych kolorach. Wzięłam go do rąk. Podpis brzmiał: ŚWIĘTA KRYSTYNA MISTYCZKA. Haft był bardzo stary.

- Przynieśli mi to Muriel i Oscar. Najwyraźniej to jest patronka szaleńców. Znaleźli ten haft w antykwariacie w Greenwich i od razu stwierdzili, że powinienem dostać go w prezencie. - Roześmiał się z wysiłkiem. - To nawet niezłe. Nie wiedziałem, że jest jakiś patron szaleńców.

- Ja również. To trochę przerażające.

Odłożyłam świętą z powrotem na stół obok kartki i malej roślinki.

- A to od Treiga i Diany. Przyszli wczoraj. Spojrzałam na niego.

- Popularny z ciebie facet.

- Są po prostu miłymi sąsiadami.

- Tęskniłam za tobą.

- Nie dotrzymałem obietnicy - powiedział. - Przegapiłem twoje urodziny.

- Wiem.

Przez dłuższy czas milczeliśmy, a potem Mickey szepnął:

- Kocham cię, Lucy. Wiesz o tym, prawda?

- Chyba tak. Ale nie mam pojęcia, co ty wyrabiasz.

- Wiem. Przepraszam. Zachowałem się jak wariat.

- Tylko się tak zachowałeś?

- No, może nie tylko. Chodzi o to, że tym razem to jest coś innego.

- Co masz na myśli?

- To, że tym razem nie uważam, że jest ze mną tak źle, jak wszystkim się wydaje.

- Nie jestem pewna, czy w to wierzę. Mickey wbił spojrzenie w podłogę.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Pokręcił głową i odwrócił wzrok. -Co?

- Gleason to świetny lekarz, ale nie zawsze potrafi odróżnić moje szaleństwo od frustracji płynącej z tego powodu, że jestem szalony.

- Nie rozumiem.

Pozbawione życia, smutne oczy Mickeya wpatrzyły się we mnie.

- Boję się ciebie stracić... Ja po prostu nie wiem, jak mam bez ciebie żyć. I w tej chwili jest to traktowane jako szaleństwo. - Twardo na mnie spojrzał. - Żałuję, że nie jestem silniejszy i że tak słabo sobie z tym radzę. - Ucałował wnętrze moich dłoni. - Ale tak już jest. Gleason może mnie faszerować lekami przez cały dzień, ale to niczego nie zmieni. Nie zmieni tego, co się dzieje z tobą. Z nami.

Nie miałam na to żadnej odpowiedzi i zdaje się, że Mickey wyczytał to z mojej twarzy, bo uniósł moją głowę i spojrzał mi w oczy.

- Porozmawiaj ze mną, Lu.

- Nie wiem, co powiedzieć.

- Powiedz, że rozumiesz.

- Nie rozumiem. Byłeś z inną kobietą.

- Nie, nie byłem. To się nie liczyło. I ty to wiesz.

- Zażyłeś wszystkie swoje lekarstwa. Próbowaleś się zabić. - Mickey nic nie odpowiedział. - Prawda? Tak właśnie było. Nie mam racji?

- Nie wiem. Trudno mi to wyjaśnić. Może. Jestem pewien, że właśnie dlatego dostaję teraz te dodatkowe leki i uczestniczę w dodatkowej terapii.

- To znaczy?

- Lucy, nie wiem.

- Mickey, rozumiem, że to, co się z nami dzieje, jest

cholernie niesprawiedliwe, ale musimy sobie z tym poradzić. Musimy, ponieważ w grę wchodzi coś znacznie ważniejszego niż my sami. Czy nie potrafisz tego zrozumieć?

Jego twarz skrywał półmrok, ja zaś miałam nadzieję, że skrywa on również moją twarz. Nie chciałam, by Mickey widział moje rozczarowanie.

- Mam mętlik w głowie, jeśli chodzi o tamtą noc, i oczekuję jasnej odpowiedzi. Co się wydarzyło? Czy naprawdę próbowałeś się zabić?

- Tak - odparł. - Wiem, że nie był to odpowiedni moment, ale tego właśnie pragnąłem. Nie mogłem nic zrobić. Nie miałem siły, by temu przeciwdziałać.

Patrzyłam na niego. Posłyszałam jakąś fałszywą nutę w tej trochę za szybko udzielonej odpowiedzi. Była zbyt gładka, zbyt wyćwiczona. Kiedy się nad tym zastanowiłam, zdałam sobie sprawę, że nie chodzi tylko o jego słowa. Byłam taka głupia! Chodzi o to, że nigdy nie wyczułam śmierci przy Mickeyu. Jeśli miłość mojego życia rzeczywiście miała umrzeć, nie miałam wątpliwości, że bym o tym wiedziała! Przedawkował, ale ona nie dała mi żadnego znaku, żadnego ostrzeżenia. Gdyby to zrobiła, nigdy nie wyleciałabym na Hawaje.

Odsunęłam swoje ręce od dłoni Mickeya i splotłam je na kolanach. Nie spuszczałam zeń wzroku. Przypatrywałam się jego pooranej bruzdami, zmęczonej i niewiarygodnie udręczonej twarzy.

- Coś jest nie tak. Okłamujesz mnie.

- Co takiego?

- Okłamujesz mnie, Mickey, a ja chcę wiedzieć dlaczego. Nie wiem, co wyczyniałeś tamtej nocy, ale nie sądzę, żebyś usiłował skończyć z sobą. Co to za gra?

Z gardła Mickeya wydobył się głuchy jęk. Przez chwilę nie mógł nic powiedzieć.

- Możesz mi wierzyć albo nie, Lucy. Ale jest tak, jak ci powiedziałem.

- Nieprawda. A co z dzieckiem?

Teraz Mickey zaszlochał. Przez chwilę nie był w stanie nic dodać. Zgarbił się tylko i widziałam jego rozpacz.

- Kocham to dziecko - wyrzucił z siebie. - I nienawidzę go. Bez ciebie... - Głowa mu opadła i zakrył twarz dłońmi.

- Czy nie rozumiesz? To się nie liczy! Ja nie potrafię!

- Mickey, nie masz wyboru.

- Przestań, Lucy! Nie słuchasz mnie. Mam wybór. Skorzystałem z niego tamtej nocy.

Wstałam. Twarz Mickeya zdradzała skrajne wyczerpanie, zapadał się w sobie i był tak znekany jak nigdy przedtem. Pozwoliłam, by jego słowa wybrzmiały w mojej głowie, a wówczas aż zatkało mnie pod wpływem nagłego olśnienia. Byłam taką idiotką! Teraz, kiedy naprawdę na niego patrzyłam, widziałam wszystko wypisane na jego twarzy. Jak mogłam tego nie zauważyć?

Mężczyzna myślący racjonalnie skrył się w cieniu szaleństwa Mickeya. To on dbał, by Mickey poruszał się we właściwym kierunku, nawet kiedy ogarniało go szaleństwo. Nie zawsze wygrywał, ale ten człowiek - ten głos

- stanowił ostatnią rzecz, którą Mickey sobie odpuszczał,

kiedy upadał, i pierwszą, po którą sięgał, kiedy wstawał. Mickey go słuchał. Zacisnęłam powieki i usiłowałam to wszystko rozwikłać krok po kroku.

Tym razem jednak coś poszło inaczej. Nigdy wcześniej nie było żadnej kobiety, co powinno stanowić dla mnie pierwszą wskazówkę. I dlaczego pojawił się z nią wśród ludzi? Tam, gdzie tak łatwo było ich znaleźć? W jakim celu to zrobił? Powoli wszystko zaczęło mi się układać w całość. Kiedy wreszcie zaczęłam rozumieć, gwałtownie zaczerpnęłam powietrza.

-Lucy?

Pokręciłam głową. Wszystkie kawałki łamigłówek zdawały się do siebie pasować. Działania Mickeya tamtego feralnego wieczoru były jak najbardziej celowe, co więcej - starannie wykalkulowane. A co z samobójstwem? Podobnie jak wszyscy inni przyjąłam to, co widziałam, ponieważ dla niewprawnego oka wyglądało to na prawdziwą próbę targnięcia się na swoje życie: mój mąż wpasował się w odpowiednią rolę - człowieka pogrążonego w żalu, spustoszonego chorobą dwubiegunową inwalidę. Zaaranżował idealną scenę, by zademonstrować kompletny brak rozsądku. I wybrał idealną aktorkę, aby dodać blasku i nowego wymiaru całemu przedstawieniu. A uczynił to wszystko, żeby uwolnić siebie od odpowiedzialności, której nie był w stanie udźwignąć.

- Lucy?

- Nic nie mów, Mickey.

Byłam tak głupia! Byłam tak skupiona na przeżywaniu swojego pogarszającego się stanu, że zupełnie przeoczyłam

to, jak bardzo zdesperowany jest mój mąż. Widziałam jego rozpacz, ale nie potrafiłam jej odpowiednio ocenić. A więc Mickey przekazał mi swój komunikat poprzez przedawkowanie.

- Muszę iść, Mickey.

- Co takiego? Dokąd?

- Chcę być z dala od tego, co zrobiłeś.

Jeszcze bardziej się zgarbił i zapadł w sobie, jakby coś podmywało go od środka. Oparł się o ścianę.

- To było udawane - syknęłam. - Niby to ją poderwałeś, żeby móc przedawkować, by znaleźć się na granicy śmierci, nie przekraczając jej. A wszystko po to, aby pokazać światu, że nie można ci powierzyć dziecka. Chodzi o dziecko, prawda? Udałeś wszystko ze względu na nią?

Spojrzał na mnie, ale nie zaprzeczył.

- Złamałeś obietnicę!

- Jaką obietnicę?

- „Mickey nigdy nie będzie udawał, że stracił kontrolę"! W jego oczach zjawily się ból i upokorzenie.

- Powiedz, że to nieprawda, Michael.

- Musiałem to zrobić!

- Musiałeś? Dorośnij, Mickey! Masz czterdzieści trzy lata! - niemal krzyczałam, ale pohamowałam się, choć współlokator Mickeya wcale się nie poruszył. - Nie mogę, do diabła, nic poradzić na to, co się ze mną dzieje. Jestem chora. Ale ty... Spodziewamy się córki, i to, właśnie to, co zaprezentowałeś, jest najlepszą rzeczą, na jaką cię stać?! Chcesz odgrywać mi tu jakąś broadwayowską szmire? Nie

zasługujesz na nią. I jest pewne jak dwa a dwa to cztery, że przynajmniej ja zasługuję na coś lepszego!

Obróciłam się, żeby wyjść, ale Mickey złapał mnie za rękę.

- Zniszczę ją, do diabła! Nie rozumiesz tego? Ona powinna uczyć się od kogoś lepszego. Potrzebuje znacznie więcej, niż mogę jej dać. Wiem, jak to jest dorastać pod opieką niepoczytalnego rodzica. Nie zrobię jej tego! My, my razem moglibyśmy jej dać to, czego potrzebuje. Ale nie potrafię zrobić tego w pojedynkę!

Jego słowa poraziły mnie niczym kula z pistoletu. Walczyłam ze łzami. Drżącym głosem powiedziałam:

- Nie jesteś jak twoja matka! A jeśli do tej pory tego nie zauważyłeś, w takim razie rzeczywiście jesteś stuknięty!

- Niedbale otarłam łzy. - Wybrałam ciebie, Mickey. Wybrałam ciebie, ponieważ wierzyłam w ciebie, i nigdy tego nie żałowałam. Nigdy! Twoja córeczka cię potrzebuje!

Mickey pociągnął mnie za rękę.

- Proszę, wysłuchaj mnie! Nie jestem inny niż ty, Lucy. Ty poświęcasz swoje życie dla niej i ja robię to samo.

Zbulwersowana spojrzałam na niego.

- To zupełnie co innego. Ja uczyniłabym wszystko

- wszystko! - żeby tu zostać, żeby móc ją przytulić, żeby móc ją uczyć, żeby całować jej twarzyczkę i zachwycać się nią w każdym dniu mego życia. Ty natomiast manipulujesz wszystkimi, którzy cię otaczają, bylebyś tylko mógł ją porzucić. Nie obrażaj mnie. Nie jesteśmy tacy sami.

Wbiłam weń rozplómiennie spojrzenie i przez dłuższą chwilę piorunowałam go wzrokiem, a następnie wyrwałam swoją rękę z jego dłoni.

Idąc korytarzem, usłyszałam jeszcze, jak woła mnie po imieniu, ale nie zawróciłam. Nie zatrzymałam się nawet, gdy Peony zapytała mnie, jak poszło. Kroczyłam przed siebie i byłam już prawie przy samochodzie, gdy całkowicie się załamalam. Wypłakałam chyba z pół litra łez, aż doszłam do wniosku, że jest tylko jeden człowiek, do którego mogę się udać. Gleason. Moja komórka padła, ale postanowiłam zaryzykować. Pojechałam do Deep River, wbrew wszelkiemu rozsądkowi licząc na to, że zastanę go jeszcze w gabinecie. Właśnie wyjeżdżał. Nacisnęłam hamulec i zatrąbiłam. Zapewne śmiertelnie go przestraszyłam, ale zatrzymał się. Nadal padało. Puściłam się pędem, mimo to - znalazłszy się przy jego samochodzie - byłam przemoczona do suchej nitki.

- Lucy! Co ty tu robisz?! - zawołał Gleason przez otwarte okno od strony pasażera.

- Muszę z tobą porozmawiać.

- No to wsiadaj. Co się stało?

- On to wszystko udał! - warknęłam. - Mickey udaje, że jest świrem, żeby nie musieć...

- Zwolnij, Lucy - powiedział Gleason, ściągając marynarkę i narzucając mi ją na ramiona. - Zaczynaj od początku.

Zrelacjonowałam mu wszystko, co powiedział Mickey. O naszej kłótni i o tym, że udaje, że jest niepoczytalny, ponieważ uważa, że nie może beze mnie żyć; a także o tym, jak w pewnej chwili zaczęłam krzyczeć i że wtedy Mickey powiedział, że jesteście tacy sami, a ja wyszłam. Gleason nie przerwał mi ani razu. Słuchał i kiwał głową. Zdawało się, że to, co mówię, go zasmuca. Kiedy skończyłam, poklepał mnie po ręce.

- Lepiej już?

Był cały wymięty, a jego rzadkie włosy przywierały do mokrej głowy. Jego twarz miała zatroskany wyraz, jaki widuje się u rodziców.

- Nie powinnam była się z nim spotykać. - Potarłam czoło. - To było straszne! Mickey bywał wcześniej egoistyczny, ale nigdy do tego stopnia.

- Boi się, że cię utraci. Kiedyś to już się niemal stało i teraz jest przerażony.

- Tu nie chodzi o mnie, chodzi o dziecko.

- Lucy, on na razie nie potrafi dojrzeć tego dziecka. Widzi tylko to, że cię traci. Córeczka jest dla niego mglistą ideą. Z pewnością nie jest dla niego tak realna jak dla ciebie. Niepokój, że straci ciebie, przesłania wszystko inne.

- I co w związku z tym? Dostaje glejt na swoje wyszukane... wystąpienia?

- Myślisz, że jemu się coś upiekło, Lucy? Nie upiekło mu się. Nie zapominajmy, że ta rzekoma manipulacja niemal zatrzymała bicie jego serca. Za daleko by się chyba posunął, chcąc jedynie coś udowodnić, nie sądzisz? On jest chory, Lucy. Cokolwiek zrobił, chociaż potem to sobie zracjonalizował, wynikało z jego choroby. Zdajesz się o tym zapominać.

Westchnęłam i ukryłam twarz w dłoniach.

- Nie zapominam. Po prostu jeszcze nigdy nie dał się poznać od tej strony. - Potarłam skronie, tracąc nagle cały impet. W końcu podniosłam wzrok. - Gleason, sądzisz, że on jest na to zbyt chory? Czy on naprawdę jest niepoczytalny w takim stopniu, że nie może być ojcem?

- Aż tak niepoczytalny? Nie. Tak mi się przynajmniej wydaje. A czy jest przekonany o tym, że jest aż tak niepoczytalny? Prawdopodobnie tak. I to wydaje się w tej chwili większym problemem. - Gleason zwrócił się jeszcze bardziej w moją stronę, co było nie lada wyczynem w tak małej przestrzeni. - Mickey dowiódł czegoś racjonalnego, posługując się swą niepoczytalnością.

- A więc co mam teraz robić?

- Przetrywaj to, Lucy. Tak jak zawsze. Mickey urządził wielkie przedstawienie, żeby ci powiedzieć, że chce dla córki czegoś lepszego niż to, co on miał, i nie wie, czy jest zdolny, by jej to zapewnić.

- A czy on jest do tego zdolny? A może to ja jestem wariatką, skoro sądzę, że tak?

Gleason zastanawiał się nad tym przez chwilę.

- Wydaje mi się, że Mickey jest zdolny do tego, by być zdolnym: Ale to jest jeszcze bardziej skomplikowane. W tym momencie jego choroba, przepełniająca go strach i gniew, a także fakt, że jesteś chora - wszystko to kłębi się w jego irracjonalnym umyśle, sprawiając, że zachowuje się tak, a nie inaczej.

Westchnęłam, drżąc.

- Chyba zapomniałam, że tak właśnie to działa. Gleason uśmiechnął się ponuro.

- Doprowadzanie się na skraj śmierci, aby coś udowodnić, jest tak irracjonalne, jak się wydaje. Ale głowa do góry, Lucy! Nasz Mickey nadal gdzieś tam jest, w samym oku tego cyklonu. Musimy usunąć szaleństwo, a wtedy zobaczymy, z czym mamy do czynienia.

Przez dłuższą chwilę wpatrywałam się w szare niebo i deszcz bębniący o szybę.

- Byłam wobec niego okrutna - powiedziałam łagodnie. Gleason ścisnął mnie za rękę.

- Najprawdopodobniej zasłużył sobie na to. Ale wróć tam i napraw to, Lucy. Wasz czas jest zbyt cenny, żebyście go marnowali na zadawanie sobie bólu.

Skinęłam głową, a moje oczy znowu wypełniły się łzami. Gleason poklepał mnie po ręce.

- Jeśli to ma jakieś znaczenie, Lucy, to wiedz, że myślę, że Mickey podoła wyzwaniu. Nie jest to jednak opinia lekarska. Po prostu liczę, że tak będzie.

Spojrzałam na osobę, która znała mojego męża lepiej niż ktokolwiek inny.

- Powiedz szczerze, czy myślisz, że tego dożyję? Czy Mickey będzie musiał najpierw mnie stracić?

Gleason Webb zmarszczył brwi i milczał przez straszliwie długą chwilę, a następnie ponownie ścisnął mi rękę.

- Sądzę, że będzie musiał najpierw cię utracić, Lucy. Nie będzie wiedział, do czego jest bez ciebie zdolny, póki nie zostanie sam.

Wybuchnęłam płaczem i Gleason, ta dobra dusza, po prostu pozwolił mi na to. Żadnych komunałów, tylko ojcowska dłoń na moim ramieniu, gdy wyrzucałam z siebie wszystkie nagromadzone emocje.

Po tej rozmowie długo jeszcze jeździłam po okolicy, czując w piersi straszny ból. Co ja robiłam? Co uczyniłam swojemu mężowi? Mógł umrzeć z mojego powodu! „Po prostu zrób to! Zgódź się na aborcję!” - krzyczałam, a mój głos rozlegał się piskliwym echem w samochodzie. „Po prostu zrób to! Zabijasz go!”. Gwałtownie nabrałam tchu. „Nie! Nie!”. Miałam wrażenie, że zaczynam się dusić, więc zjechałam na pobocze i otworzyłam okno. Poczułam na skórze krople deszczu. Oparłam głowę o kierownicę. Aborcja by mi w niczym nie pomogła, ale to nie miało znaczenia, i tak nie byłam w stanie tego zrobić. Posłaniec był prawdziwy i dostarczył wiadomość - usunięcie córeczki nie ocaliłoby mi życia. Wiedziałam o tym teraz, tak jak wiedziałam o tym wtedy: w ostatecznym rozrachunku nie przeżyję tego. Ale to nie dawało odpowiedzi na trudne pytanie: kiedy to nastąpi?

Pojechałam z powrotem do szpitala i poszłam do sali Mickeya. Siedział w nogach łóżka ze zbolałym wyrazem twarzy. Na mój widok wstał i ostrożnie zrobił krok w moim kierunku.

- Przepraszam, skarbie - powiedział. Jego oczy zasnuły łzami.

Pokręciłam głową.

- To ja sprawiłam, że sytuacja cię przerosła.

- Przerosła nas oboje.

Podeszłam do niego i objęłam go w pasie.

- Mickey, ponieważ przyszłość jest pełna niewiadomych

- szepnęłam - czy możemy przez chwilę w nią nie patrzeć?

Możemy po prostu przyglądać się temu, jak rośnie nasza córka, i z dnia na dzień sycić się swoją miłością?

Mickey pocałował mnie w czoło, ale nic nie powiedział. Ścisnął mnie tylko mocno; tak mocno, jak pozwalało mu na to dziecko, które było między nami.

W strugach deszczu skierowałam się w stronę do domu, żałując, że Mickey nie mógł pojechać ze mną. Pragnęłam tylko, byśmy usiedli razem na kanapie, trzymając się za ręce. Położyłabym głowę na jego ramieniu. Może za kilka dni

- westchnęłam, skręcając w swoją ulicę i jadąc w tunelu jak gdyby obrębionym koronkami starych drzew. Za cztery, pięć tygodni ta ulica będzie tonęła w liściach koloru topazu, rubinu i starego pergaminu. Wtedy, tuż przed Halloween, a może trochę później, Harry, Mickey, Drew Murphy i Treig Dunleavy wywiozą te liście półciązarówką do ogrodu Treiga. Jak zwykle zjawią się małe dzieci, które będą się bardziej bawić, niż pomagać. Kiedy ich ojcowie ostatni raz zawołają na nie, żeby zeszły z kupy, Treig uroczyście zapali zapalniczkę. Gdy ognisko zapłonie na dobre, siądziemy naokoło z cydrem z chili w dłoni i będziemy wpatrywać się w płomienie. Uwielbiałam to jeszcze w czasach, gdy byłam małą dziewczynką. Uwielbiałam rozkoszować się zapachem

dymu, którym przesiąkało moje ubranie, jeszcze długo po naszym rozejściu się do domów.

Z pewnością za cztery, pięć tygodni Mickey będzie miał się lepiej. Ubierze się ciepło, włoży koszulę flanelową i będzie miał na sobie te zabawne mitenki. Będę się z niego śmiała, gdy będzie wrzucał dzieci w kopy liści. Za kilka lat będzie ciskał na ich miękką stertę własną córeczkę. A ona będzie zagarniać liście i śmiać się bez końca z oczami błyszczącymi z ekscytacji i zaróżowionymi policzkami. Widziałam ich tak wyraźnie jak własny dom tuż przede sobą.

Kiedy wjechałam na podjazd, niebo rozświetliła błyskawica. Z duszą na ramieniu popędziłam na ganek. Zanim tam dotarłam, byłam zupełnie przemoczona. Przetrzęsając kieszenie w poszukiwaniu kluczy, usłyszałam dźwięk klaksonu. Odwróciłam się i ujrzałam swoją siostrę machającą do mnie z auta. Lily wyskoczyła z samochodu i ruszyła biegiem przez trawnik z pochyloną głową, by schronić się przed ulewą. Jej skórzana torebka furkotała za nią jak skrzydło.

- Lucy! - krzyknęła. - Jesteś w domu! - Zarzuciła mi ręce na ramiona. - Tak się cieszę, że wróciłaś. Jak się masz?

Odsunęła się, by mi się przyjrzeć, a potem jeszcze raz mnie uściskała. Nad nami rozległ się grom, a sekundę później kolejna błyskawica rozdarła mroczne niebo.

- Wejźmy do środka! - krzyknęłam wśród ulewy. - Zaparzę herbaty.

Na zewnątrz szalała burza, a my piłyśmy zioła przy kuchennym oknie.

- A więc, Lu, jak było? Jak tam Hawaje? - zapytała Lily, opierając się na łokciach.

- Było pięknie. Bez Mickeya to żadna frajda, ale Hawaje są cudowne. Spałam kamiennym snem i wybrałam się nawet na Pearl Harbor.

Lily uśmiechnęła się smutno.

- Dosyć przygnębiające, co?

- Nawet bardzo.

Sięgnęła ku mnie i ujęła moją dłoń.

- Jak się czujesz? Tylko szczerze!

- To był długi dzień, ale jest w porządku.

Lily przyjrzała mi się uważnie, jakby szukała w moich oczach kłamstwa, lecz w końcu się poddała.

- Widziałaś się już z Mickeyem?

- Pierwsze, co zrobiłam po powrocie, to wizytą w Edgemont.

-No i...?

Wzruszyłam ramionami, nie chcąc znowu się w to zagłębiać.

- Ma się lepiej, niż kiedy go widziałam ostatnim razem.

- Tak, to chyba prawda. - Lily pokręciła głową. - Jesteś zbyt dobra. Czy on chociaż wie, jakim jest szczęściarzem?

- O tak, cały czas o tym rozmawiamy.

- Ja powtarzam mu to przez cały tydzień. Tak samo Jan.

- Dzięki, że miałyście na niego oko. Lily pogłaskała mnie po policzku.

- W końcu to niemal mój brat, prawda? Oczywiście, że

się nim opiekowałyśmy. Ron przychodził każdego ranka i brał go pod prysznic. A po pracy odwiedzaliśmy go oboje. Oniemiałam.

- A co myślałaś? Ze pod twoją nieobecność po prostu o nim zapomnieliśmy? - zapytała Lily z niedowierzaniem w głosie.

- Nie wiem, co sobie myślałam. Nigdy wcześniej go nie opuszczałam. Jesteście wspaniali - powiedziałam autentycznie wzruszona.

Pomyślałam o płynącym z dobroci serca podarunku - podobiznie niesamowitej świętej patronki i o kartce od Dunleavych stojącej na szafce przy łóżku Mickeya.

- Jesteście po prostu wspaniali.

- Wiedziałaś, że Priss poszła wczoraj wieczorem go odwiedzić?

- Co takiego? - Wpatrywałam się w Lily z otwartymi ustami. - Mówisz poważnie?

- Wpadłam w Mosley na Lainy Withers. Powiedziała, że przywiozła Mickeyowi trochę ciasteczek, ale była u niego Priscilla, więc Lainy długo nie zabawiła.

Poczułam pieczenie pod powiekami.

- Widziałaś się z nią, Lii? Dzwoniła do ciebie?

- Nie. Pewnie po prostu przyjechała i zaraz wróciła. Może chciała się zobaczyć z Nathanem.

- Mickey nie wspomniał o tym ani słowem. Wstałam, by włączyć ogrzewanie. Zanim usiadłam, Lily

położyła obie dłonie na moim brzuchu i pochyliła się, by go ucałować.

- Jak ma się mała? - zapytała bez czułości w głosie.

- Prawdę mówiąc, jest dzisiaj trochę agresywna. - Zaśmiałam się. - Strasznie kopie.

Lily uśmiechnęła się z rozrzewnieniem.

Usiadłam i przez chwilę tylko patrzyłyśmy, jak pada deszcz. Piec coraz bardziej ogrzewał wewnątrz i pierwszy raz od miesiący mój dom wypełnił zapach zwiastujący nadejście nowej pory roku. Wiedziałam, że to tylko pył, ale ten zapach zawsze oznaczał oficjalny koniec lata - i początek szkoły. Jakby czytając w moich myślach, Lily powiedziała:

- Chyba nie wracasz do pracy, prawda?

- W poniedziałek rano.

Jej ramiona gwałtownie opadły.

- Jesteś pewna, że dobrze to przemyślałaś? Nie powinnaś po prostu odpoczywać?

-Nie.

- Ależ, Lucy...

- Nie ma żadnego „ależ, Lucy”. Nie mogę po prostu siedzieć beczynn timer i czekać.

Kiedy w oczach Lily pojawił się smutek, sięgnęłam po jej dłoń. Przez dłuższą chwilę żadna z nas nic nie mówiła, w końcu Lily zwróciła się ku mnie i uśmiechnęła się mimo zmartwienia.

- Nie wiem, czy kiedykolwiek podziękowałam ci za to, że byłaś przy mamie, kiedy była taka chora.

-Co?

- Tak dobrze się nią opiekowałaś. Ty zrobiłaś wszystko,

Lucy. Ja byłam w szkole, Priss dopiero co zaczęła tę pracę w Bostonie. Ty zajmowałaś się wszystkim, a ja ci nigdy nawet nie podziękowałam. Pokręciłam głową.

- Dużo ostatnio o niej myślałam. Czy mówiłam ci, jakie były jej ostatnie słowa? Powiedziała mi, że nie ma się czego bać.

- Och, Lucy.

- Nadal słyszę je w głowie. Oczy Lily zasły łzami.

- Nigdy nie zapomnę tej chwili, kiedy do mnie zadzwoniłaś, Lucy. Twój głos był takim spokojny, jakbyś nad wszystkim panowała. Miałaś siedemnaście lat, a powiedziałaś mi: „Lii, kochanie” - tak właśnie się do mnie zwróciłaś: kochanie - „mam złe wieści”. I wtedy powiedziałaś mi, że mama nie żyje i że po mnie przyjedziesz. Ty byłaś tą silną. Ty zawsze byłaś tą silną.

- To nie jest prawda, Lii.

- Owszem, to prawda. Nigdy nie zdarzyło się nic, czego byś nie mogła udźwignąć. Nigdy nie widziałam, żebyś się zachwiała. Nawet wtedy, kiedy byłyśmy dziećmi i zginął tata; kiedy mama umarła; ani w owych niezliczonych sytuacjach, kiedy Mickey zachowywał się... no wiesz, jak to Mickey. Ani wtedy, kiedy, tak jak ostatnio, byłaś chora.

- Wiesz, że to nieprawda, Lily.

- Owszem, prawda. Nie mówię, że nigdy nie byłaś sfrustrowana albo że się nigdy nie bałaś. Nie twierdzę, że nigdy nie rwałaś sobie włosów z głowy. Mówię tylko, że nigdy

nie upadłaś. Nie można cię pokonać, Lucy. Po prostu nie można - szepnęła.

Patrzyłam na siostrę, na moją jasną, zielonooką, pełną nadziei siostrę. Patrzyłam, jak zмага się z myślami, usiłując przekonać samą siebie, że moja siła zatriumfuje nad rozpadem, jaki we mnie postępował. Przytuliłam się do jej ręki, a wzrok Lily spoczął na mojej twarzy.

- Obyś miała rację - szepnęłam.

Chrząknęła, a widoczne na jej twarzy zgnębienie zniknęło i pojawiła się na niej maska, pod którą nie było widać niczego poza opanowaniem. Wypuściła moją rękę z dłoni i wyjęła serwetkę z pierścienia stojącego na stole. Wydmuchała nos. Przez chwilę milczałyśmy.

- Jestem naprawdę podekscytowana powrotem do pracy - oświadczyłam, nie kryjąc się ze swymi uczuciami. Chcę żyć tak normalnie, jak tylko się da i dopóki tylko się da. I zanim się obejrzymy, dziecko pojawi się na świecie.

- A wtedy będziesz mogła zacząć chemię... Skinęłam głową.

- Taki jest plan, Lii.

ROZDZIAŁ 25

21 września 2011

Gleason mówi, że mój stan się stabilizuje. Ale ja nie mam wrażenia, że jestem stabilny - czuję się tylko okietznany. Nowe leki sprawiają, że strach nie przechodzi w panikę, i pomagają mi jasno myśleć. Więzą moje szaleńcze myśli jakby w puszce, gdzie w końcu umierają, co chyba jest dobre. Nie jestem jednak pewien, czy leki eliminują je całkowicie. Chyba nie, bo czasem wydaje mi się, że widzę raka mojej żony. Niemal potrafię go dojrzeć, jakby to była inna kobieta żyjąca tam, pod skórą Lucy. Patrę, jak przejmuje władzę nad moją żoną, aż Lucy nie może już znieść bólu. I nienawidzę samego siebie, bo nie mogę zrobić nic poza patrzeniem. Lucy nie ma wyboru, jak tylko się temu poddać i to przetrwać, a w końcu owa straszliwa rakowa wiedźma rozluźnia swój uścisk. Wtedy Lucy próbuje się uśmiechać i udawać, że nie jest tak źle, jak sądzę.

Zapytałem Charlotte, co oznaczają te ataki. Mówi, że rak postępuje. Ja kiwam głową i biorę kolejną pigułkę.

Tak jak obiecałam, wróciłam do pracy. Drugiego tygodnia września przyszykowałam się i przeszłam przez sprawiające cudownie normalne wrażenie drzwi liceum Midlothian. Nigdzie indziej atmosfera nie jest tak przesycona duchem egotyzmu jak na korytarzach liceum. Dzięki temu jako osoba chora mogłam przemknąć pod murami szkoły niemal niezauważona.

Oczywiście Miriam Brady poinformowała o mojej sytuacji uczniów, ale te wiadomości najwyraźniej wywołały u nich jedynie coś w rodzaju chwilowego zaambarasowania, które szybko zniknęło. Dla mnie było to nader korzystne. Pobyt w klasie stanowił balsam dla mej duszy, a także umacniał fikcję, że nie jestem chora.

Kiedy Mickey kilka dni po moim powrocie z Hawajów opuścił Edgemont i przywędrował do domu pieszo, zaczęliśmy od początku, tak jak zawsze to czyniliśmy. Na początku traktowaliśmy się z pewną rezerwą. Szybko jednak wpadliśmy w nurt codzienności i dla postronnych wyglądaliśmy zapewne na zwykłą parę załatwiającą różne sprawy związane z przyjściem na świat dziecka.

Przez kilka tygodni radziliśmy sobie całkiem dobrze. Ale pewnej nocy pod koniec października obudziłam się z uczuciem strasznej paniki. Nie mogłam oddychać. Nie mogłam zaczerpnąć tchu, jakby ktoś zacisnął mi na twarzy mokrą dłoń. Ten paraliżujący atak nadszedł zupełnie niespodziewanie. Dysząc, uderzyłam Mickeya, żeby go obudzić. Chciałam, żeby mnie uratował i usunął ciężar przytłaczający mą pierś.

Natychmiast zerwał się z łóżka i zapalił nocną lampkę. Kiedy zobaczył, że rozpaczliwie usiłuję nabrać tchu, chwycił mnie za ramiona i zaczął mną potrząsać tak mocno, że moja głowa poleciała bezwładnie do tyłu. Zdaje się, że wykrzykiwał coś do Boga, podczas gdy ja miałam wrażenie, że zaczynam się dusić. Musiał jednak coś tam we mnie odblokować i nagle powietrze znalazło dostęp do moich płuc, dostęp wąski jak słomka, ale na tyle szeroki, bym mogła odetchnąć. Lecz straszny ból nie ustał, jakby w mojej klatce piersiowej powstała nowa rana. Nie mogłam też przestać się trząść.

Czy to było to? Czy to właśnie się działo? Byłam tak przerażona, że pozwoliłam, by Mickey wziął mnie w ramiona, i objęłam go tak mocno, jak tylko potrafiłam. Przez wiele dni udawałam - nawet w domu - że czuję się lepiej niż w rzeczywistości, i oto, gdzie mnie to doprowadziło: druga trzydzieści nad ranem, ja cała pokryta zimnym potem, z walącym sercem i z poczuciem, że umieram.

Nawet w tym stanie jakaś część mnie obmyślała sposób, aby jakoś złagodzić cały ten epizod, jakże kłopotliwy dla mojego męża. Nie mogłam jednak tego zrobić. Nie miałam siły na nic więcej poza przytulaniem się do podkoszulka Mickeya i drzeniem w jego potężnych ramionach. Poczułam uspokajający uścisk jego mocnych ramion zamiast śmiertelnego uścisku rozpacz, do którego tak przywykłam. Kołysał mnie, jakbym była małym dzieckiem, cały czas mamrocząc słowa napawające mnie otuchą: „Wszystko w porządku. Po prostu oddychaj, Lu. Po prostu oddychaj”. W jego głosie

nie było cienia hysterii. Wiedział, co robić i co mówić. I pośród mojego spanikowania jakże dobrze było poczuć jego dłoń głaszczącą mnie po plecach! Kiedy zaczęłam się odprężyć, rozluźniłam dłoń zaciśniętą na podkoszulku Mickeya i spojrzałam na niego. Pocałował mnie w czoło, a wtedy zobaczyłam w jego oczach łzy i strach, których nie usłyszałam w jego głosie. Drżącą dłonią pogłaskałam go po policzku.

- Zadzwoń po Charlotte? - spytał szeptem.

- Nie, wszystko w porządku - odparłam stanowczo, wiedząc, że Charlotte wyśle mnie do szpitala.

- Przynieść ci coś? Wody?

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, już wyskoczył z łóżka. Zszedł na dół po lód i przyniósł opakowanie dropsów wiśniowych, które wydobył z mojej torebki.

- Może to coś da - zastanawiał się, rozrywając papier.

- Dzięki, kochanie - powiedziałam schrypniętym głosem.

- Lu, może powinniśmy zadzwonić do doktora Gladstone'a?

Skrzywiłam się bezwiednie.

- Możesz wrócić do łóżka i jeszcze na chwilę mnie przytulić?

Przez chwilę rozważał tę prośbę, po czym powiedział:

- Zdaje się, że mogę to zrobić. Ale jeśli to się powtórzy, dzwonię po pomoc.

- Czuję się już dobrze - powiedziałam wyczerpana. - Chcę się po prostu położyć.

Przez kilka sekund wpatrywał się we mnie, upewniając się, czy rzeczywiście wszystko ze mną w porządku, po czym wyłączył lampę i przywarł do mnie, a jego dłoń powędrowała do mojego brzucha. Dziecko było aktywne, choć biorąc pod uwagę, przez co właśnie przeszłam - względnie spokojne. Splotłam na brzuchu swoje palce z jego palcami i czułam pod dłonią ruchy małej. Wsłuchując się we własne wdechy i wydechy - pracę jakże zawodnego już układu oddechowego - zapatrzyłam się w pełni księżycą jakby oprawioną w ramę naszego okna. Jeszcze bardziej wtuliłam się w obejmujące mnie ramiona Mickeya.

- Jestem tutaj - szepnął w moje włosy spokojnym głosem, który ledwie rozpoznałam.

Przewróciłam się na drugi bok. Światło księżycą padało na twarz wpatrującego się we mnie męża. Pocałowałam go w podbródek. Przytulił mnie i patrzyliśmy na siebie przez dłuższy czas, po czym Mickey powiedział:

- Lucy, jak sądzisz, czym to jest tak naprawdę? Mam na myśli śmierć.

Powiodłam palcem po jego dolnej szczęce.

- Chciałabym to wiedzieć. Niewiele mi zostało, Mic. Chciałabym wiedzieć, co jest potem.

- Ja też - wyznał Mickey, a jego oczy lśniły w świetle księżycą.

- Powinnam była być bardziej religijna - szepnęłam. - Teraz wydaje mi się to strasznym błędem, jakbym coś przegapiła, jakbyśmy oboje coś przegapili, coś bardzo ważnego. Wiem, że Bóg istnieje. Ale jest tyle rzeczy do ogarnięcia:

czym On jest, czym jest życie, wieczność i śmierć. Mężczyzna, którego poznałam w samolocie... On coś wiedział, Mic. - Przygryzłam wargę na to wspomnienie. - Rozmowa z nim sprawiła, że poczułam się, jakbym od roku nie czytała gazety i nie wiedziała o rzeczach, o których wiedzą inni.

- Przestań.

- Nie mogę. Przez całe swoje życie trzymałam się nadziei opartej na tym, co powiedział mi tata, gdy byłam małą dziewczynką. - Przepelniona wdzięcznością, że Mickey jest na tyle odważny, by otworzyć te drzwi, nabrałam tchu. - Nigdy w to nie wątpiłam - zaznaczyłam z naciskiem. - Przez całe życie nigdy nie wątpiłam w to, co mi powiedział, Mic. Ale co to właściwie znaczy? Czy śmierć to tylko kolejny krok w jakieś inne życie? Czy będę pamiętała wszystkich tych, których kocham? - Nagle zniżyłam głos do szeptu. Miał on dziwnie wysoki ton.

- Chciałbym w to wszystko wierzyć - powiedział Mickey. - Może wtedy to by tak bardzo nie boleło.

- To właśnie mam na myśli. Może powinniśmy byli to zgłębić, Mic. Powinniśmy byli znaleźć coś trwałego, w co moglibyśmy wierzyć. Byłoby nam wtedy o wiele łatwiej.

Ponownie pomyślałam o tym, co powiedział Thomas Worthington w samolocie - i nie zawahał się przy tym ani na chwilę. Wiara w przyszłe życie w otoczeniu ludzi, których kochamy - „i w doskonałym zdrowiu” - była dla niego czymś oczywistym.

Milczeliśmy przez dłuższą chwilę, aż w końcu mąż ujął mnie pod brodę i spojrzał mi w oczy.

- To nie ma znaczenia, gdzie się przebywa, Lucy. Tutaj, tam czy gdziekolwiek. Ja po prostu nadal będę cię kochał. Wiem już, że zawsze tak będzie.

- Ja też, kochanie - powiedziałam, a wtedy Mickey czule mnie pocałował.

- Kochaj się ze mną, Mickey - szepnęłam.

- Lu, nie. Nie możemy.

- Owszem, możemy.

- Nie wiem - odrzekł, a jego głos zrobił się nagle jakiś chropawy.

- Ciii... - powiedziałam, delikatnie kęsając jego dolną wargę.

Wtedy pocałował mnie, bardzo ostrożnie, wyczuwałam jednak, że mnie pragnie, i westchnęłam, zagłębiając się w jego usta. Byłam gotowa pójść za nim wszędzie.

Przez te wszystkie lata uprawialiśmy różnego rodzaju miłość - w przeciwieństwie do powszechnego przekonania choroba dwubiegunowa ma też i dobre strony. Czasem wydawało mi się, że w moim mężu zagnieździł się cały tłum namiętnych mężczyzn, czyniąc mnie - jestem o tym przekonana - chyba jedną z najbardziej usatysfakcjonowanych seksualnie kobiet na świecie. Ale kiedy Mickey wziął mnie w ramiona tej nocy, doznałam tego, co lubiłam najbardziej.

Jakby w obawie, że może zrobić mi krzywdę, Mickey kochał się ze mną powoli, rozbijając i niewiarygodnie czule. W środku byłam cała obolała i miałam wrażenie, że moje ciało jest niesprawne. Dlatego z początku jego dotyk wydawał mi się obcy. Ale im dłużej Mickey mnie dotykał, tym wyżej wznosiłam się ponad ból i bunt fizyczności, aż zupełnie pogrążyłam się w doznaniach. Mickey pieścił moje okaleczone piersi i opuchnięte miejsca ostrożnie i bez pośpiechu, a ja w ciągu tych wszystkich lat naszej miłości chyba nigdy nie reagowałam na jego dotyk

takim oddaniem. To była najczystsza rzecz, jakiej zaznałam, i nie chciałam, żeby kiedykolwiek się skończyła. Poprzez nasze ciała połączyły także się nasze dusze.

A potem chyba oboje zdaliśmy sobie sprawę, że to zapewne nasz ostatni raz.

Pod koniec weekendu nastąpił kolejny incydent. Mickey pochylał się nade mną i niańczył mnie, niechętnie się godząc, żebym wychodziła z łóżka. Ale w poniedziałkowy poranek byłam wprawdzie wycieńczona, lecz oddychałam, więc było w porządku.

A raczej sądziłam, że jest w porządku.

To nadeszło zupełnie niespodziewanie. Jechałam do szkoły i nagle zaczęłam kaszleć. Miałam wrażenie, że moja klatka piersiowa rozdarła się w środku. Odgłos ten był przerażający, jak z trudem dobywające się z gardła szczeknięcia, wilgotne i zdesperowane. Nie mogłam oddychać. Ogarnęła mnie panika i zaczęłam się modlić, żebym nie straciła przytomności i nie spowodowała wypadku. Na szczęście dojechałam jakoś na parking. Pot wystąpił mi na czoło i poczułam pieczenie na twarzy. Kiedy zakaszlałam w dłonie, zorientowałam się, że pluję krwią. Zaczęło

mi walić serce. Nakazałam sobie spokój, ale nie mogłam złapać tchu. Dziecko! Nie mogłam oddychać! Pamiętam, że zaczęłam grzebać w torebce w poszukiwaniu telefonu, ale nie pamiętam, żebym wykręcała jakiś numer...

Buczenie monitorów wdarło się do mojej świadomości, a zaraz potem usłyszałam nad sobą znajome głosy. Leżałam na twardym łóżku, które nie było moim; czyjeś zimne dłonie badały mi puls. Byłam w szpitalu. Uświadomienie sobie tego powinno wywołać u mnie niepokój, ale tak się nie stało. Nie kaszlałam i nie chwytałam spazmatycznie powietrza. Ktoś się o mnie zatroszczył. Stwierdziwszy to, pozwoliłam sobie ponownie zapaść w ciężki sen.

To zdarzyło się kilka razy - dokładnie to samo, ten sam ciąg myśli, uświadomienie sobie sytuacji, ten sam wniosek - aż wreszcie byłam na tyle blisko powierzchni, że odzyskałam przytomność. Całym wysiłkiem woli zmusiłam się, by unieść powieki, a i to ledwo ledwo. Ktoś trzymał mnie za rękę, głaskał ją, ale to chyba nie Mickey. Wydobyłam z gardła głos, cichy jęk, który równie dobrze mógłby być krzykiem, tyle mnie kosztował wysiłku.

- Lucy? Skarbie?

Miałam wrażenie, że to głos Priscilli. Poczułam na twarzy długie chłodne palce.

- Lucy, obudź się. Otwórz oczy.

Obróciłam głowę w jej stronę i uniosłam powieki. Na mojej twarzy coś było i kiedy usiłowałam to coś odepchnąć, zorientowałam się, że nie mogę ruszyć ręką. Próbowałam się poruszyć, ale byłam unieruchomiona. Zdałam sobie sprawę, że zostałam przypięta do łóżka.

- Lucy, wszystko w porządku.

Moja siostra stała nade mną. Jej oddech ogrzewał mi policzek.

- Dzieeekoo - tylko tyle byłam w stanie wydobyć z zaschniętego gardła.

- Z dzieckiem wszystko w porządku. Poczułam ciężar dłoni Priscilli na swoim brzuchu. Nagle Mickey zjawił się po drugiej stronie łóżka. Całował mnie po twarzy, namawiając, bym otworzyła oczy.

- No, kochanie, spójrz na mnie.

Jęknęłam i Mickey się roześmiał. W jego głosie wyraźnie słychać było ulgę.

Wieczorem tego samego dnia Charlotte wyjaśniła, że miałam płyn w płucach, co utrudniało mi oddychanie. Medyczny termin tej dolegliwości to wysiękw jamie płucnej spowodowany nowotworem złośliwym. Ten problem w połączeniu z kaszlem, który odbierał mi dech w piersiach, spowodował, że straciłam przytomność. Kiedy byłam na sali pogotowia ratunkowego, do obydwu moich płuc zostały założone dreny, aby wydobyć pryn.

- Gdybyś nie była w ciąży - powiedziała mi Charlotte - doktor Gladstone usunąłby ci lewe płuco. Zanim to się skończy, najprawdopodobniej będziesz musiała przejść operację, Lucy.

Na twarzy miałam maskę tlenową, ale widziałam, że Charlotte zauważyła, że stężałam. Ujęła moją dłoń.

- Wiem, jak się czujesz. Wszyscy się tak czujemy. Ale musisz zrozumieć - na tym etapie usiłujemy tylko zachować cię przy życiu, Lucy. Podawaliśmy ci środek uspokajający przez ostatnie trzy dni, żebyś mogła być mechanicznie dotleniana, a twój przepracowany organizm zyska! trochę wytchnienia.

- A co z dzieckiem?

- Cały czas je monitorujemy. Ma się dobrze. To o ciebie się martwię.

Przez chwilę, kiedy patrzyłam jej w oczy, przeszył mnie strach. Potrzebowałam więcej czasu. Ścisnęłam jej rękę i Charlotte nie odwróciła wzroku - spokojnego, silnego, prawdomównego.

- Charlotte - szepnęłam. - Cokolwiek musicie zrobić, żeby to dziecko się urodziło, zróbcie to.

Skinęła głową.

- Dobrze.

ROZDZIAŁ 26

1 listopada 2011

Zeszłej nocy śniło mi się, że Lucy umarła, a mnie nikt o tym nie powiadomił. Przyszedłem do domu z klubu i po prostu jej nie było. Przebudziłem się z tego koszmaru w lodowatej panice. Serce biło mi jak młotem i musiałem sobie przypomnieć, dlaczego jestem sam w łóżku: Lucy wciąż była w szpitalu. Usiadłem i usiłowałem się uspokoić. Dopiero po chwili zadzwoniłem, żeby sprawdzić, jak ona się czuje. Pielęgniarka zapewniła mnie, że Lucy spokojnie odpoczywa. Roztrzęsionym głosem wydobyłem z siebie podziękowania. Kiedy nie mogłem ponownie zasnąć, zszedłem na parter i po cichu otworzyłem drzwi do pokoju dziecięcego - lub raczej pokoju, który miał nim być. Nie włączałem światła, ale widziałem go bardzo wyraźnie w świetle księżyca. Ściany nie były pomalowane, parkiet niewykończony, pusta szafka, w której miały wisieć sukieneczki.

Rozejrzałem się po czymś, co miało być królestwem małej dziewczynki, miejscem pełnym zabawek i książeczek.

Zbudowałbym jej dwupiętrowy domek dla lalek, który stałby wrogu. Wystrugałbym kształtne mebelki, wyłożyłbym papierem każdy pokoi. Zrobiłbym to wszystko... zrobiłbym. Znajomy ból przeszył mi serce, kiedy świetlany obraz naszej rodziny - Lucy, mnie i naszej córeczki - rozmazał mi się we łzach. To do mnie nie należało. Już nie.

Minęło kilka dni i byłam zdumiona, że czuję się tak dobrze. Nawet niczego nie udawałam. Nie było potrzeby. Nagle mogłam oddychać bez bólu w klatce piersiowej. Moje płuca poszerzały się, a kaszel znowu został zredukowany do zwykłej niedogodności. Zapytałam o to doktora Gladstone'a, kiedy przyszedł wypisać mnie ze szpitala. Pokręcił głową z ponurym wyrazem twarzy. Peter Gladstone miał imponującą sylwetkę i jasną czuprynę. Jego twarz poorana bruzdami dodawała mu powagi, sprawiając, że wyglądał na zagniewanego, nawet jeśli taki nie był.

- Przykro mi, że muszę ci to powiedzieć, ale to czasowe, Lucy. Osuszyliśmy ci płuca, ale niestety płyn zjawi się w nich ponownie.

- Kiedy?

- Masz może tydzień lub dwa, a może tylko kilka dni. Nie jesteśmy w stanie tego przewidzieć. Mogę jedynie stwierdzić, że choroba postępuje. Zrobiłem ultrasonografię i twoje lewe płuco jest w o wiele gorszym stanie niż prawe. Nie jestem pewien, czy kolejnym razem wystarczy zwykły drenaż.

Skinęłam głową.

- Zamierzam sprowadzić tu terapeutę oddechowego. Wyposaży cię w butlę tlenową i kaniulę, która dostarczy tlen do nosa. Od tej pory będziesz często tego używać.

- W porządku - powiedziałam drżącym głosem.

- Bądź ze mną w kontakcie, Lucy. - Doktor Gladstone spojrział na mnie twardo, a ja skinęłam głową. - Chcę cię widzieć w swoim gabinecie pojutrze.

- Z pewnością się zjawię.

Obrócił się i odszedł. W tej samej chwili na salę weszła młoda dziewczyna w białym kitlu. Ciągnęła za sobą zielony zbiornik na kółkach. Miała plakietkę z napisem „Daphne” i uśmiech Julii Roberts.

- Cześć - powiedziała.

- Witaj.

- Najlepsi lekarze to tacy poważni ludzie - zaśmiała się, kładąc mi do rąk małe urządzenie.

Przedstawiła się jako terapeuta oddechowy i poinformowała mnie, że - cokolwiek to oznacza - sprawdzała mój poziom nasycenia.

- Zeszłej nocy, kiedy odłączyliśmy tlen, był w normie. Sprawdźmy, czy nadal się utrzymuje.

Po chwili Daphne skinęła głową z zadowoleniem.

- Dobrze.

Następnie przysunęła sobie krzesło i zaczęła coś notować na diagramach. Kiedy pisała, instruowała mnie, jak korzystać ze zbiornika z tlenem, a jej rady widniały słowo w słowo na kartce z instrukcją, którą mi dała. Daphne zapisała również numer pagera jej oddziału.

- W razie jakichkolwiek kłopotów dzwoń do nas nawet w środku nocy.

Skinęłam głową.

- Masz jakieś pytania? - dodała, dopiero teraz nawiązując kontakt wzrokowy.

Chrząknęłam.

- Czy znasz historię mojej choroby? Wiesz, że osuszano mi już płuca?

- Tak, wiem.

- Ile to zwykle trwa? Na podstawie twojego doświadczenia. Ile czasu mija, zanim...

Daphne Boyd wstała i przechyliła się przez ramę mojego łóżka.

- Niedługo. To może być kilka dni, a może tydzień. Gdybym była na twoim miejscu, korzystałabym z tej krótkiej chwili wytchnienia. Od teraz będzie ciężko. Zdajesz sobie sprawę, że rak postępuje.

-Tak.

- W takim razie nie trać ani chwili. - Uśmiechnęła się ze smutkiem.

- Dziękuję, że jesteś ze mną szczerą.

Daphne wyciągnęła rękę i dotknęła mojego nadgarstka.

- Zadzwoń, gdybyś mnie potrzebowała.

- Zrobię to - zapewniłam, mając nadzieję, że to ona będzie na dyżurze, kiedy tu wrócę.

Gdy Daphne odwróciła się, by wyjść, zdałam sobie sprawę, że na salę weszła Lily. Jej oczy błyszczały smutno i ze zrozumieniem.

- Cześć - powiedziałam.

- Cześć. Jak się czujesz? - Jej ton był zbyt grzeczny, udawany. Zdobyła się nawet na uśmiech.

- Dobrze. Naprawdę dobrze. Doktor Gladstone powiedział, że mogę wyjść do domu.

- Niemożliwe!

Lily rzeczywiście nie dowierzała i musiałam przyznać, że ja również się nie spodziewałam, że wyjdę tak szybko. Ale bynajmniej nie zamierzałam się temu sprzeciwić.

Lily przysunęła krzesło blisko łóżka i usiadła.

- Coś niecoś z tego słyszałam - powiedziała, skinąwszy w kierunku drzwi. - Czy to kolejna lekarka?

- Nie. Przyszła, żeby nauczyć mnie, jak korzystać z tlenu.

- Słyszałam, jak mówiła, że twój rak postępuje. Co zamierzasz w tej sprawie zrobić?

- Zdaje się, że zrobią, co w ich mocy, Lii. Spojrzała na mnie z miłością i smutkiem, a następnie

ujęła moją dłoń i ucałowała ją. Kiedy już wiedziała, że się nie rozplacze, zapytała:

- A więc kiedy będziesz mogła wyjść?

- Pielęgniarka powiedziała, że mogę wziąć prysznic. Miałam zamiar powiedzieć Micowi, żeby przyjechał za godzinę.

- Albo ja mogę cię odwiedzić. Zadzwoń do niego. A ty weź prysznic.

Lily obniżyła ramię w moim łóżku, a ja z zaskakującą zręcznością zeskoczyłam z niego. Czułam się tak dobrze, że roześmiałam się na głos.

- Zapytaj go, czy chce spotkać się z nami na lunchu.
- Żartujesz, prawda? - powiedziała siostra.
- Nie. Umieram z głodu.

W ten weekend Ron i Lily zaprosili Mickeya i mnie na spaghetti. Priscilla przyjechała z Hartford - trzeci raz w tym tygodniu - i również została. Mickey chciał pokonać ten kawałek samochodem, bo było trochę chłodno, ale uparłam się, żebyśmy włożyli swetry i poszli piechotą. Było to trochę ambitne zamierzenie, ale mieliśmy do pokonania nie więcej niż dwie przecznice, a wiedziałam, że być może już niedługo nie będę w stanie pójść piechotą do domu mojej siostry. Więc się uparłam, a Mickey uległ.

Był czwarty listopada. Zima jeszcze nie zawitała w Brin-ley. Gdzieś na gankach stały jeszcze słomiane kukły, łądygi kukurydzy i zwiędłe wydrażone dynie po Halloween. Wszystko to straciłam. Straciłam zbieranie liści i ognisko u Dunleavych, straciłam cydr z chili. Mickey musiał zauważyć zmianę na mojej twarzy, ponieważ zatrzymał się zaalarmowany i zapytał mnie, co się dzieje.

- Och, nic takiego - powiedziałam tonem skargi. - Tylko straciłam ognisko. To wszystko.

- Ja też.

- Przykro mi.

Włożył moją rękę pod swoje ramię, po czym poklepał mnie po niej, a ja wtuliłam się w niego. Odkąd wróciłam ze szpitala, Mickey był taki cudowny.

- Co byś powiedziała, gdybym zrobił dla nas własne ognisko?
- Toby było cudownie - stwierdziłam, ściskając jego ramię.

Wieczór był skrzypiący od lekkiej bryzy niosącej chłód od rzeki. Mickey objął mnie i pocałował w głowę. Spojrzałam na niego.

- Kocham cię, Michaelu Chandlerze.

- Ja ciebie również, skarbie.

-1 kocham to miejsce - dodałam, patrząc raz na jedną stronę ulicy, raz na drugą.

Widok ten mógłby stanowić temat obrazu Thomasa Kinkade'a. Stanowił to wszystko, czego kiedykolwiek potrzebowałam - miejsce, gdzie dzieci mogły bawić się na dworze, a mamy siedziały na gankach, patrząc na nie. To było miejsce, gdzie twój trawnik w tajemniczy sposób zostawał skoszony lub śnieg z twoich ścieżek ogrodowych odgarnięty, jeśli byłeś chory, wyjechałeś albo po prostu byłeś zbyt zajęty. Mickey i ja byliśmy już po obu stronach tej zależności.

Kiedy zjawiliśmy się przed domem Lily i Rona - małym domu w stylu wiejskim, o oknach jaśniejących ciepłym i złotym światłem - byłam już mocno zmęczona i próbowałam to ukryć. Zanim Mickey zastukał do drzwi, pocałował mnie i wziął w swoje wielkie ramiona. Cudownie było stać tak w samym środku miłości i nie chciało mi się rezygnować z tej chwili. Ale Priss musiała nas usłyszeć, bo otworzyła drzwi, śmiejąc się.

- Gdzie wasz samochód?

- Moja ukochana chciała pójść pieszo, a moja ukochana dostaje wszystko, czego zapagnie - odrzekł Mickey.

- Jesteście walnięci! Jest naprawdę zimno - powiedziała, wciągając Mickeya i mnie do środka.

Moja siostra wyglądała zachwycająco. Miała na sobie śnieżnobiałe spodnie, czarny kaszmirowy sweter, który pięknie podkreślał jej sylwetkę. Objęła moją twarz dłońmi i delikatnie założyła mi włosy za uszy.

- Całkiem dobrze wyglądasz, Lu. Jak się czujesz?

- Nie narzekam.

- Świetnie sobie radzi - wtrącił Mickey, mrugając do mnie.

Priscilla położyła dłoń na jego ramieniu i cmoknęła go w policzek.

- Wygląda na to, że otaczasz ją bardzo dobrą opieką, Michael.

Mickey i ja wymieniliśmy zakłopotane spojrzenia i podążyliśmy za moją siostrą do jadalni, gdzie szybko wyjaśniła się przyczyna jej dobrego humoru. Przystojny Nathan Nash pomagał Ronowi rozpalić w kominku.

- Zagadka rozwiązana - mruknął mój mąż. Uszczypnęłam go ostrzegawczo w ramię właśnie wtedy,

kiedy Ron go po nim poklepał, a Nathan uścisnął mnie serdecznie.

- Cześć, ślicznotko. Słyszałem, że miałaś ostatnio ciężki okres. Zbyłam jego słowa machnięciem ręki.

- To było wiele dni temu. Teraz jest znacznie lepiej.

- Jesteś pewna? - zapytał, odsuwając się ode mnie, żeby spojrzeć na mój brzusek w całej jego oczywistości i chwale. - Jesteś pewna, że możesz wychodzić?

- Oczywiście. Czuję się dobrze - plotłam. - Naprawdę.

Pomyślałam, że Nathan wygląda na odrobinę zawstydzonego, i nie wiedziałam, czy to z mojego powodu, czy może z powodu znalezienia się tu w towarzystwie mojej siostry.

- Jak dzieci?

- Jess bardzo się o ciebie martwi. Zdaje się, że usłyszała w szkole, co się stało.

- No tak, że też zawsze muszę odstawić jakieś przedstawienie. Przykro mi.

Dopiero teraz się zastanowiłam, w jaki sposób zostałam odnaleziona po tym, jak straciłam przytomność.

Poczułam dłoń Rona na ramieniu i obróciłam się do niego, żeby pocałować go w policzek.

- Mam nadzieję, że jesteście głodni. Lily ma tam taką ilość spaghetti, że mogłaby nakarmić całą okolicę.

Roześmiałam się i poszłam do kuchni sprawdzić, czy mogę pomóc. Zastałam siostrę wędną nad parującym garnkiem z makaronem.

- Co mogę zrobić? - zapytałam, rozglądając się.

- Zanieś chleb czosnkowy, dobrze? - powiedziała Lily, obracając się do mnie i posyłając mi całusa.

W moim mniemaniu również ona, podobnie jak Priscilla, była nadmiernie wystrojona - w sweterek w kolorze morskim i pasującą do niego spódnicę.

- Cóż, zdaje się, że nikt mi nie powiedział, jak powinnam się ubrać na dzisiejszy wieczór - poskarżyłam się.

- Rzeczywiście, chyba masz rację - rzuciła Priscilla, lustrując moją dżinsową sukienkę i kozaki. Kroiła rzodkiewkę, więc podeszłam do blatu i trąciłam ją biodrem.

- Nooo i...? Uśmiechnęła się. -Co?

- Jak długo się z nim spotykasz?

- Kilka tygodni. To nic wielkiego. Po prostu rozmawiamy, przyjaźnimy się.

- Tak chyba powinno być - wtrąciła Lily, wlewając sos marinara do miski. - Minęło zaledwie ile? Tylko rok od śmierci Celi...

- Mam tego świadomość, Lilianne - przerwała jej Priscilla lodowatym tonem.

- Tylko się upewniam - powiedziała Lily niewzruszona.

- Sądzę, że będziemy gotowe, jak tylko skończysz sałatkę

- obwieściła, wychodząc z kuchni z ogromną miską makaronu.

- Mała zołza - mruknęła Priscilla. - Oczywiście, że o tym wiem!

- No cóż - wzruszyłam ramionami. - W każdym razie wyglądasz olśniewająco.

- Prawda? I nie musiałam nawet nad tym pracować. Roześmiałam się i włożyłam chleb do koszyka. Mężczyźni siedzieli już wokół dużego mahoniowego

stołu, a ja zatrzymałam się, rozpoznawszy go.

- Lii, czy to jest stół ze sklepu?

- Tak! Nie mogłam go sprzedać. Ron jęknął.

- Mieliśmy na niego trzech kupców, ale nie pozwoliła mi go sprzedać.

Lily uśmiechnęła się z zakłopotaniem.

- Po prostu zakochałam się w nim. To rozkładany stół w stylu Jerzego III, o wiele za duży na ten pokój, ale nie obchodzi mnie to.

Nathan Nash pogładził drewno.

- Ile jest wart?

- Około osiemnastu patyków. Więc błagam, nie zachłapcie go sosem - zadrwił Ron.

Nathan był autentycznie zaskoczony. Widząc jego minę, głośno się roześmiałam.

- Właściwie nie jest aż tyle wart - pospieszyła z wyjaśnieniem Lily. - Jego stan nie jest idealny.

- Fiu-fiu - powiedział Nathan, dochodząc do siebie. Lily postawiła miskę z makaronem na środku i poprosiła

Rona, żeby przyniósł sos. W jednej chwili Priscilla podeszła z sałatką i wszyscy usiedliśmy. Rozejrzałam się wokół, czując autentyczną wdzięczność za atmosferę tego małego zgromadzenia. Siostry ukradkiem mnie obserwowały. Byliśmy wszyscy razem, na stole stało przed nami mnóstwo włoskiego jedzenia. Po prostu nie mogło się zdarzyć nic lepszego. Ron pochwycił moje spojrzenie. Zdawał się czytać w moich myślach. Uśmiechnął się do mnie i podał mi sałatkę.

To była długa, spędzona na pogawędkach kolacja, wypełniona wspomnieniami. Opowiadaliśmy, jak Priscilla i Trent zatrzasnęli się w liceum w łazience po meczu koszykówki

- moja siostra oblała się szkarłatnym rumieńcem, kiedy Mickey zapytał, co tam robili. I o tym, jak Lily i Ron odnaleźli kryjówkę, w której mama schowała prezenty na gwiazdkę, i powiedzieli Priss i mnie, co dostaniemy. Mama w jakiś sposób się o tym dowiedziała. Oddała wszystkie te rzeczy i w zamian za to dostaliśmy buty, piżamy i bieliznę. Śmiałam się tak, że niemal straciłam dech w piersiach, kiedy Ron opowiadał Mickeyowi, w jaki sposób oświadczył się Lily.

- Włamał się do naszego domu - wtrąciła się Priscilla.

- Myślałam, że to złodziej, i niemal go zastrzeliłam, a raczej zrobiłabym to, gdybym miała przy sobie wiatrówkę.

Mickey się zaśmiał.

- Nie wyobrażam sobie, po co byłaby ci broń, Priss. Zawsze kładłaś innych trupem samą swoją wymową.

- Potraktuję to jako komplement. Dziękuję ci bardzo

- zaszczębiotała Priss.

- Właśnie takie było moje zamierzenie. - Mickey uśmiechnął się, a następnie pochylił nad stołem. - W porządku, moja kolej. Nathan, jak się mają sprawy między tobą a Priscillą?

Widelczyk z ogromnym kawałkiem ciasta czekoladowego zastygł w połowie drogi do ust mojej siostry i widziałam, jak jej policzki zalewają się krwawym rumieńcem. Moje ciastko dotarło do ust bez żadnych utrudnień. Wymieniłyśmy z Lily uśmiechy przez stół.

Nathan jednak nie dał się zbić z pantałyku.

- Jak to ująć? Powiedziałbym, że sprawy mają się bardzo dobrze. - Zwrócił się z uśmiechem do mojej zakłopotanej siostry i uniósł szklanę. - Za Priss, moją dobrą przyjaciółkę. I dobrą przyjaciółkę mojej żony.

Tylko wtedy i tylko na chwilę na naszej lekkiej rozmowie położył się pewien cień. Ale Priss tylko wzruszyła ramionami.

- Chętnie za to wypiję. Albo jeszcze lepiej: wypijmy za Celię.

Potem włożyliśmy naczynia do zlewu i zagraliśmy w pokera, teksański klincz, na jednocentówki. Lily dodała nam trochę motywacji, nakładając obowiązek mycia naczyń na tego, kto przegra. Skopałam im tyłki. Kiedy skutecznie wyeliminowałam Mickeya i Nathana doskonałym blefo-waniem, zostali wysłani do kuchni z nosami na kwintę. Ale gdy gra już się dawno skończyła, a oni nadal tam byli, zajrzałam do nich.

Zastałam mojego męża i Nathana rozmawiających po cichu na jakiś poważny temat i od razu wiedziałam, że chodzi im o mnie. Stałam tak, by mnie nie widzieli, i słyszałam, jak Mickey mówi:

- Po prostu nie rozumiem, co się stało, Nathan. Chodzi o to, że nie rozumiem, jak to się dzieje, że ona praktycznie nie choruje, a nagle zupełnie niespodziewanie dostaje ataku, który niemal ją zabija. O co tu chodzi?

- Nie jestem onkologiem, Mic. Zajmuję się kośćmi, a nie rakiem - odrzekł Nathan. - Ale zdaje się, że guzy rozrastają się i wpływają na wydolność jej płuc.

- I oni nie mogą zrobić nic, żeby to spowolnić? Nathan Nash westchnął.

- Och, chłopie, nie wiem. Zaawansowany rak płuc to ciężka sprawa. Jedyne, co mogą zrobić, to prowadzić agresywną chemię i naświetlania, a Lucy nie zgodzi się na to na tym etapie. Kiedy dziecko się urodzi...

- Ale czy ona dotrwa tak długo, Nathan? Słyszałam desperację w głosie Mickeya, lecz słyszałam także racjonalnego mężczyznę dzielnie zadającego trudne pytania.

- Chciałbym to wiedzieć, Mic. Rozmawiałeś z lekarzami? Mickey westchnął.

- Rozmawiałem. Po prostu nie podobają mi się ich odpowiedzi.

- Och, człowieku, tak mi przykro.

- Nie rozumiem, jak to się dzieje, że wydaje się taka normalna. To znaczy, jest zmęczona, ale spójrz tylko na nią.

- To dlatego, że nie przechodzi chemioterapii. Chemia to piekło. Bez niej, cóż, to dosyć niewiarygodne, jak długo można chodzić z rakiem. Ale wtedy nagle...

- Tak. Nagle... - powtórzył Mickey.

W drodze powrotnej do domu zapytałam Mickeya, o czym on i Nathan rozmawiali w kuchni. Zachnął się.

- O Priscilli.

- Och, naprawdę?

- Utrzymuje, że są tylko dobrymi przyjaciółmi. Mam nadzieję, że to prawda, bo bardzo lubię Nathana.

Szturchnęłam męża w bok.

- Bądź miły.

Oplótł mnie ramieniem i pocałował w czoło. Po chwili milczenia zapytał:

- Jak się trzymasz?

- Czuję się nieźle, to był wspaniały wieczór. Tak się cieszę, że udało się go zorganizować.

Daphne ostrzegła, że to chwila wytchnienia, i nie zamierzałam jej marnować. -Mickey? -Tak.

- Co powiesz na to, żebyśmy pomalowali jutro pokój dziecięcy?

-Och...

- Myślę po prostu, że powinniśmy się o to zatroszczyć. Czuję się dobrze, a poza tym mamy coraz mniej czasu. - Zdawszy sobie sprawę, że to, co powiedziałam, zabrzmiało trochę za gładko i fatalistycznie, dodałam: - Dziecko pojawi się na świecie, zanim się obejrzymy.

- Owszem, to prawda - zgodził się Mickey, nie patrząc na mnie.

- Mickey?

- Zobaczymy, Lucy. Nie chcę teraz rozmawiać o pokoju dziecięcym.

- W porządku - odrzekłam, nie chcąc na niego naciskać.

Równie dobrze jak ja pamiętał, że wszystkie nasze przygotowania smutno i milcząco zamarły w sierpniu, kiedy to Charlotte złożyła nam brzemienną w skutki wizytę. Tamtej nocy zamknęłam drzwi do pokoju dziecinnego

i od tego czasu ani ja, ani Mickey tam nie weszliśmy. Zamknięte puszki z farbą stały na środku pokoju. Parkiet został wycyklinowany, ale wciąż nie był polakierowany. Jak długo mogliśmy jeszcze czekać? Córeczka miała pojawić się na świecie w ciągu siedmiu tygodni.

Mickey spojrzał na mnie z dziwnym wyrazem twarzy, ponurym i odrobinę napiętym.

- Musimy porozmawiać o pewnej rzeczy, Lu.

- Dobrze.

- Myślę o tym od pewnego czasu i nie możemy dłużej odkładać tej rozmowy.

- O co chodzi?

- Chodzi o dziecko, Lu.

Zaczerpnęłam głęboko powietrza i przystanęłam. Mickey również się zatrzymał.

- Co z nią?

- Lucy, wiesz, że istnieje szansa... istnieje możliwość, że kiedy dziecko się urodzi, ty nie będziesz...

- Wiem - odrzekłam, ledwie słysząc własny głos. Mickey pokręcił głową i słyszałam, jak przełyka ślinę.

- Lucy, zrobiłem wszystko, co przychodzi mi do głowy, by przygotować się do tego, co nadchodzi... co może nadejść. Ale po prostu nie ma takiej możliwości. I chcę tylko, żebyś mnie ten jeden raz wysłuchała, Lu. Nie potrafię tego zrobić. Nie potrafię wychowywać jej sam.

- A ja nie potrafię w to uwierzyć, Mickey.

Jego oczy napełniły się łzami, ale nie spuścił ze mnie wzroku.

- Nie słuchasz mnie, Lucy. To jest takie trudne.

- Przepraszam. Mów dalej.

- Lucy, nie mówię o jakimś okresie albo o etapie do czasu, aż przywyknę. Nie jestem na tyle silny ani dobry, aby nie nawalić wobec niej przez moje odchylenie. Przecież wiemy, jakie mam ograniczenia.

Oboje wstrzymaliśmy oddech.

- Lucy, chcę oddać dziecko.

Patrzyłam na tego dużego mężczyznę, który nagle wydał mi się obcym człowiekiem, z trudem rozumiejąc, co do mnie mówi.

- Co takiego?

Wtedy niemal się posypał i w mrokach nocy widziałam miażdżący ciężar, który go przytłaczał.

- Błagam cię, nie patrz na mnie w ten sposób, Lucy. Nie chodzi o to, że jej nie kocham, ani o to, że jej nie chcę.

- Jego oczy były przepełnione bólem; zbliżyłam się do niego.

- Lucy, musisz mi uwierzyć. Oddałbym wszystko, żeby być innym człowiekiem... dla niej. - Jego oddech był urywany.

- Każdego ranka patrzę w lustro, mając nadzieję, że ujrzę kogoś, kogo da się wyleczyć, kto jest w stanie to wszystko zrobić, kto jest silny. Do diabła, zgodziłbym się nawet na kogoś, kto tylko przeżywa straszny okres, ale kiedyś dojdzie do siebie. Ale nie takiego człowieka widzę. Widzę tego samego rozpadającego się człowieka, którym zawsze byłem. - Ujął moje dłonie. - Wieki temu powiedziałaś mi, że nie potrafisz mnie naprawić, ale że możesz kochać mnie takiego, jakim jestem - rozbitego. Pamiętasz?

Skinęłam głową.

- Nie sądziłem, że naprawdę możesz mnie przyjąć takim, jakim jestem, i pokochać wszystkie kawałki. Nigdy się nie dowiem, co takiego zrobiłem, by zasłużyć na ten dar, ale to dzięki tobie miałem życie, o którym nawet nie marzyłem. Czasem, nawet teraz, kiedy jadę samochodem do domu, łapię się na tym, że nie mogę uwierzyć, że naprawdę czekasz tam na mnie. Ty, Lucy. Że ja, Mickey Chandler, mogę spędzić z tobą moje życie.

- Mickey. - Sięgnęłam dłońmi do jego twarzy, a on pocałował ich wewnątrz.

- Ale nadal jestem rozbity, Lu - wyszeptał. - Nadal jestem rozbity, a moje rozbicie, kiedy będę w pojedynkę, może tylko skrzywdzić naszą córkę. Nie mogę jej tego zrobić. Nie zrobię tego.

- Och, Mickey.

Cofnęłam się myślą do mojej rozmowy z Gleasonem. Nie będzie wiedział, na co go stać bez ciebie dopóty, dopóki nie zostanie bez ciebie, powiedział. I kiedy patrzyłam na mojego drżącego męża, zdałam sobie sprawę, jak wróżebne były to słowa. Przyciągnęłam Mickeya, a on objął mnie. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, że będę musiała go zostawić. Co Bóg sobie myślał?

Resztę drogi pokonaliśmy w milczeniu, a kiedy dotarliśmy do domu, Mickey był tak niespokojny, że poprosiłam, żeby zażył dwie pigułki ambienu. Rozmawialiśmy, aż w końcu koło drugiej nad ranem zasnął w moich ramionach. Ale długo po tym, jak zaczął cicho chrapać, ja nadal wpatrywałam się w sufit,

trawiając jego słowa. Mijały godziny, a mój umysł zmagał się z tym, co robić dalej. Kończył mi się czas i sposoby na przekonanie Mickeya, że jego ograniczenia nie czynią go bezwartościowym. Ale to nie było tak, że Mickey tylko i wyłącznie bał się odpowiedzialności, jaka wiąże się z wychowaniem dziecka. On po prostu chciał dla naszej córki jak najlepiej i nie przychodziło mu do głowy nic innego poza oddaniem jej. Moje oczy ponownie napełniły się łzami. Jeśli nie mogłam powierzyć mu naszego dziecka, to po co ja to wszystko robiłam? Odpychał od siebie właśnie to, co mu zostawiałam.

Ponownie zastanowiłam się, jak to się stało, że znalazłam się w takim punkcie: beznadziejnie zakochana w rozbitym mężczyźnie, spodziewająca się jego dziecka, umierająca, a teraz mierząca się z myślą, że trzeba je będzie komuś oddać, by kołysał je do snu wieczorem.

Nie było odpowiedzi. Nie mogło być.

Nie wybrałam Mickeya Chandlera na męża po to, żeby teraz wszystko potoczyło się w taki sposób. Wybrałam go, ponieważ był wojownikiem. Każdego dnia walczył, by dawać z siebie wszystko, co najlepsze, mimo swej choroby. Nie zawsze mu się udawało - a kiedy się potykał, konsekwencje mogły być rujnujące - ale walczył. A ponieważ to robił, dobre dni zdecydowanie przeważały nad tymi złymi. Owszem, były okresy, kiedy był zagrzebany w swojej chorobie. Ale w środku był dobrym, godnym podziwu człowiekiem, który byłby wspaniałym ojcem.

Miałby tyle do przekazania córce. I moja rodzina mogłaby ją tyle nauczyć. Jak los mógłby być tak okrutny, by

nie pozwolić Lily być kochającą ciocią, Ronowi nauczyć małą cichej dobroci, a Priscilli - pracowitości? Nie. Oni wszyscy mieli tu swoją rolę do odegrania. Musiałam tylko te role przestawić.

Przemyślenie tego zajęło mi trochę czasu i nie byłby to mój pierwszy wybór, ale kiedy sobie to wyobraziłam, wiedziałam, że może się udać. To może się udać. To jedyne możliwe rozwiązanie i skoro nie mogło być tak, jak pragnęłam, to plan B nie był taki zły.

ROZDZIAŁ 27

9 listopada 2011

Dzisiaj zadzwoniłem do ojca. Jakiś czas z nim nie rozmawiałem, a nie widzieliśmy się od świąt Bożego Narodzenia dwa lata temu. Nie jestem pewien, dlaczego to zrobiłem, o wiele lepiej szło mi wysyłanie krótkich listów, ale ojciec po brzmieniu mojego głosu rozpoznał, że coś jest nie tak.

- Co się stało, synu?

- Ona umiera, tato - wykrztusiłem.

- Poczekaj, wyłączę telewizor, Mic. Zaczynaj od początku. I zrobiłem to. O większości wiedział, ponieważ Lucy pisała maile - nie wiedziałem, że wysłała mu nawet zdjęcie USG dziecka. Będę musiał następnym razem powiedzieć mu, że nie zatrzymam dziecka, teraz jednak po prostu nie mogłem tego zrobić - wydawał się tak podekscytowany tym, że będzie miał wnuczkę. Tak naprawdę to zadzwoniłem do niego, żeby zapytać, jak on to zrobił - jak zdołał przeżyć stratę mojej matki. Ojciec nie namyślał się długo nad odpowiedzią.

- Jesteś okaleczony. Odmieniony. Ale żyjesz.

Ta odpowiedź mnie zaskoczyła. Kiedy byłem dzieckiem, wydawał mi się taki obojętny.

- Będiesz myślał o niej codziennie do końca życia. Inie zawsze będzie ci to sprawiało ból, choć przeważnie tak będzie. Nie jestem pewien, czego oczekujesz, Mic. Ale kiedy kochasz kobietę, jakby była powietrzem, którym oddychasz - tak jak ty kochasz Lucy, tak jak ja kochałem twoją matkę -przestawienie się może zająć całe życie.

Zamilkł, lecz gruda w gardle sprawiła, że nie mogłem wykrztusić żadnej odpowiedzi.

- Może nie wiedziałeś, że tak bardzo kochałem twoją matkę. Nie byłbym tym zdziwiony. Nie byłem w tym zbyt dobry. Ale miłość zawsze tam była, Mic. W whisky i w złamanym sercu. Nie jestem silnym mężczyzną i dużo czasu zajęło mi pogodzenie się z tym, że kocham kobietę, która wołałaby być martwa, niż być dla mnie żoną. Ale nie zadzwoniłeś po to, żeby wysłuchiwać żalów złamanego serca. Ty poradzisz sobie lepiej niż ja, synu, ponieważ będziesz miał lepsze wspomnienia, które będą dla ciebie pocieszeniem. To będzie piekielnie bolało, nie będę cię okłamywał. Ale Lucy jest jedna na milion i dała ci dużo rzeczy, których możesz się uchwycić. No i oczywiście będziesz miał córeczkę, która pomoże ci to przetrwać.

Zerwałam się ze snu, kiedy z mojego gardła dobył się suchy, rżący kaszel. Mickey poruszył się i przekreślił na bok, ale się nie obudził. Kaszel od razu mnie zaalarmował i przestraszył. Wiedziałam, co to jest. Nie miałam

ataku od dnia, w którym straciłam przytomność, ale nie zapomniałam doznania, jakie go poprzedzało.

Nie chcąc alarmować Mickeya, wstałam z łóżka i zesłam na parter do łazienki. Ale kiedy pochyliłam się nad umywalką i spojrzałam w lustro na swoją bladą twarz, nic się nie zdarzyło. Nie wyczuwałam w ustach smaku krwi, prawda? A mój oddech - czy był bardziej wysilony niż zazwyczaj? Nie, był w porządku. Wszystko ze mną było w porządku.

Niemal przekonałam samą siebie, że doświadczyłam tylko łaskotania w gardle i niczego więcej, ale wtedy chwyciło mnie na poważnie. Bez żadnego ostrzeżenia.

Zaniosłam się ciężkim, chropawym kaszlem. Usiłowałam zachować spokój, nabierać powietrza nie haustami, lecz powoli, bez panikowania. Usiadłam na toalecie i przyłożyłam chusteczkę do ust, starając się stłumić dźwięk. Ulżyło mi, kiedy chusteczka okazała się zasadniczo czysta - dostrzegłam na niej zaledwie kilka kropel krwi. Nie było powodów do obaw.

I po chwili wszystko ustąpiło. Atak skończył się tak szybko, jak się zaczął. Zmoczyłam ręcznik i owinęłam go sobie wokół szyi, oddychając powoli przez usta. Po kilku minutach wyłączyłam światło i przeszłam do skąpanej w świetle księżycy kuchni. Nalałam sobie do szklanki wody z kranu i usiadłam, by popatrzeć przez okno. Było tak spokojnie, tak cicho. Słyszałam jedynie dudnienie serca w moich uszach. Od mojego powrotu ze szpitala do domu minęło sześć dni. Przecież moje wytchnienie z pewnością się jeszcze nie kończyło.

W czwartek rano Mickey zawiózł mnie do doktora Gladstone'a na moją drugą w tym tygodniu wizytę. Pielęgniarka uśmiechnęła się i wskazała nam gabinet badań. To było krótkie spotkanie. Ja oddychałam, podczas gdy Peter Gladstone osłuchiwał moje płuca przez stetoskop. Mruknął coś pod nosem i zrobił notatkę w mojej karcie. Nałożył mi na palec niewielkie urządzenie, przekazujące stopień nasycenia mojej krwi tlenem do jego małego komputera, który trzymał w dłoni. Do tej pory lekarz był zadowolony. Teraz zmarszczył brwi.

- Opada. Saturacja opadła aż do osiemdziesięciu siedmiu procent, więc chcę, żebyś miała podpięty tlen cały czas. Jak sypiasz?

- Nieźle. Trochę niespokojnie.

- Nic dziwnego. Jakieś ataki?

- Jeden niewielki w nocy kilka dni temu - przyznałam, widząc, jak oczy Mickeya stają się okrągłe z przerażenia.

- Jakaś krew? -Nie.

- Jesteś w lepszym stanie, niż się spodziewałem, ale dzisiaj słyszę jakieś szelesty, a więc płyn znowu zaczyna się gromadzić.

Skinęłam głową, unikając wzroku Mickeya. Doktor Gladstone westchnął.

- Byłbym spokojniejszy, gdybyś była bliżej terminu porodu, Lucy. Ale sytuacja jest, jaka jest, i musimy utrzymywać cię dotlenioną w takim stopniu, w jakim tylko się da. Kiedy dziecko się urodzi, zaczniemy agresywną walkę.

Skinęłam głową. Ilekroć Peter Gladstone wspominał o tym, co będzie „potem”, napawało mnie to nadzieją. Miał poważną minę, gdy podłączył przezroczystą rurkę do gniazda, które znajdowało się w ścianie, po czym ujął w palce małą tarczę. Na końcu rurka tworzyła pętlę, której długość można było regulować. Zaczepił ją o moje uszy i delikatnie włożył jej odnogi do moich nozdrzy.

- Zobaczmy, jaki poziom saturacji osiągniesz za pięć minut.

- Dobrze - odpowiedziałam, kiedy mój nos wypełnił podmuch powietrza.

Lekarz wyszedł z gabinetu, a Mickey podążył za nim.

Przez jakiś czas siedziałam tam i rozglądałam się. Szelesty? Cokolwiek to było, najwyraźniej nie wróżyło niczego dobrego. Zauważyłam telefon wiszący na ścianie i namyślałam się tylko przez chwilę - podniosłam słuchawkę i wybierałam numery, aż wyszłam na miasto. Wiedziałam, że Harry miał wrócić do Brinley wczoraj wieczorem i że Jan prawdopodobnie powiedziała mu, że usiłowałam się z nim skontaktować. Zadzwoiłam do nich i po drugim sygnale odebrała Jan.

- Cześć - powiedziałam.

- Cześć, kochanie.

- Słuchaj, czy Harry jest dzisiaj w swoim biurze?

- Nie, kotku. Dzisiaj i jutro jest w New Haven, a w piątek ma rozprawę sądową w Hartford. Jego samolot nie wylądował przed dwudziestą trzecią wczoraj, inaczej by zadzwonił. Czy to może zaczekać?

- Nie sądzę.

- W takim razie zadzwoń do niego do New Haven. Znajdzie czas.

- Dzięki. Słuchaj, Jan, jestem u lekarza, więc nie mogę się rozgadywać.

- Wszystko w porządku?

- Tak, to tylko rutynowe badanie. Zadzwonię do ciebie później.

Rozłączyłam się. Kusilo mnie, żeby od razu zadzwonić do New Haven, ale usłyszałam doktora Gladstone'a i zdecydowałam, że nie będę ryzykować. Za chwilę on i Mickey wrócili do gabinetu. Mickey wyglądał na przygnębionego, ale starał się stłumić swoje emocje. Lekarz ponownie włożył mi klips z miernikiem na palec i z zadowoleniem pokazał mi pulsujące dziewięćdziesiąt trzy na małym ekranie.

- W porządku, pomaga. Chcę, żebyś jak najczęściej była na tlenie, Lucy. Możesz odłączać go tylko na krótko.

Skinęłam głową.

- Pojaw się tutaj w poniedziałek i ponownie zbadamy sytuację.

- Dobrze.

Zapisał coś w mojej karcie, a następnie obrócił się do Mickeya i poklepał go po ramieniu, po czym wyszedł. Najwyraźniej Mickey nie chciał o tym rozmawiać, więc jechaliśmy do domu w milczeniu. W końcu zapytał mnie, czemu nie powiedziałam mu o ataku.

- Przepraszam. To zdarzyło się raz. Wszystko się uspokoiło, kiedy napiłam się trochę wody.

Mickey obrócił się do mnie.

- Chcę wiedzieć, gdyby to się zdarzyło następnym razem.

- Dobrze.

Po chwili Mickey uniósł moją dłoń do swoich ust i napięcie zniknęło. Kiedy dotarliśmy do domu, wyłączył silnik, ale nie zrobił żadnego ruchu, by otworzyć drzwi. Odwrócił się do mnie i zapytał, czy jestem zmęczona.

- Trochę.

- To może odpocznij chwilę, podczas gdy ja załatwię kilka spraw.

- Dokąd jedziesz?

- Muszę pojawić się w East Lyme, żeby przeprowadzić rozmowę kwalifikacyjną z nowym menedżerem, a potem mam badanie krwi. Mam się zobaczyć z Gleasonem o pierwszej.

- Dobrze. Zdrzemnę się, a potem chyba wyskoczę na miasto i kupię sobie pizzę.

- W porządku. Zadzwoń, kiedy skończę. Mogę przywieźć kolację. Albo wypożyczę film.

- Dobrze.

Pochyliłam się do niego, żeby dać mu buziaka, ale skończyło się na dłuższym pocałunku.

- Kocham cię - szepnęłam. - Zobaczymy się niebawem. Wsiadłam z samochodu i powoli poszłam na ganek,

ale kiedy się obróciłam, Mickey nadal na mnie patrzył. Uniósł rękę, jakby chciał mi pomachać, ale nie uruchamiał silnika. Spoglądaliśmy na siebie przez dłuższą chwilę, po

czym otworzyłam drzwi i weszłam do domu. Dopiero po dłuższej chwili usłyszałam odjeżdżające auto.

Nie znosiłam tego. Nie znosiłam tego ciężkiego, dręczącego tempa, jakie nabrało nasze życie. Nie znosiłam bólu w każdym spojrzeniu, strachu w każdym oddechu, udawania. Prawdopodobnie właśnie to miał na myśli ojciec, kiedy mówił, że śmierć to ta łatwa część. Umieranie to już inna historia.

Byłam zmęczona, to prawda, ale nie było to tego rodzaju zmęczenie, które mógłby uleczyć sen. I podczas gdy nadal chciałam wycisnąć coś znaczącego z oddechów, jakie mi jeszcze zostały, nie miałam chęci ich marnować na to, by usiłować zasnąć. Spojrzałam na zegar wiszący w kuchni. New Haven było oddalone zaledwie o trzydzieści pięć minut drogi, a jeśli Harry znajdzie czas, żeby się ze mną zobaczyć, będę w domu, zanim Mickey skończy załatwiać swoje sprawy.

Opuszczając gabinet Harry'ego, nie czułam się dobrze i kiedy wychodziłam z budynku, oblałam się zimnym potem. Obawiałam się, że jeśli zaraz gdzieś nie usiądę, zemdleję. Wiedziałam, że na parterze jest kawiarnia, więc wróciłam do środka, szukając jej. Kiedy usiadłam, poprosiłam kelnerkę o szklankę wody i powiedziałam, że czekam na kogoś i żeby zostawiła mnie w spokoju. Ale gdy ode mnie odeszła, byłam tak przerażona i poczułam się tak bezradna, że niemal krzyknęłam za nią, by ze mną została.

Wiedziałam, co zaraz się stanie, i przygotowałam się na ból w okolicy żeber, ale wkrótce zdałam sobie sprawę, że to coś innego. Tym razem nie odebrało mi tchu w piersiach. Moje mięśnie dosłownie rozrywały się na części. Czułam pieczenie, a w samym środku mnie zrobiło się tak gorąco, że aż zgięłam się wpół nad stolikiem. Wstrzymałam oddech i zawisłam w uścisku bólu.

Byłam jego więźniem dopóty, dopóki nie zelżał, a kiedy zniknął, wypiliśmy wodę i otarłam zimny pot z twarzy serwetką. Gdybym właśnie prowadziła samochód, rozbiłabym się. To zdarzenie tak jaskrawo kontrastowało z tym, jak dobrze czułam się tego ranka, że ogarnęły mnie złość i rozczarowanie. Wiedziałam, co to oznaczało. Zaczęłam grzebać w torebce w poszukiwaniu dropsów, które zwykle łagodziły pieczenie w gardle. Wolno wdychałam powietrze i jeszcze wolniej je wydychałam, aż w końcu mogłam się wyprostować. Myśl o jeździe samochodem jednak wywoływała we mnie niepokój, więc usiadłam wygodniej i czekałam, aż nabiorę wiary w to, że jestem w stanie wrócić do domu.

Niemal godzinę później, stając przed swoim domem, odczułam taką ulgę, że niemal się rozplakałam. Dzięki Bogu nie było Mickeya, więc nie musiałam robić przy nim dobrej miny do złej gry. Od razu poszłam na piętro, żeby się położyć, i pierwszą rzeczą, na jaką natknęłam się w sypialni, był zbiornik z tlenem stojący w rogu. Wyglądał jak pocisk, stary i wyszczerbiony, ładowany do lufy czołgu i wystrzeliwany we wroga. Zdaje się, że to nawet pasowało do sytuacji.

Podłączyłam rurkę do odpowiedniego zaworu i włożyłam jej niewielkie odnogi na twarz. Potem ustawiłam odpowiednią moc i położyłam się na łóżku. Tak się cieszyłam, że jestem w domu.

Spoczywając na dwóch poduszkach i podpięta pod niewidzialną siłę życiową, nakazywałam sobie zaśnięcie, ale serce nadal biło mi szybko. Pół godziny później, gdy kolejny atak jednak nie nastąpił, powlokłam się na dół, żeby znaleźć sobie jakieś zajęcie. Chciałam odwrócić uwagę od tych myśli. Robiłam dla Mickeya ciasto i zastanawiałam się, co mu powiem. Kiedy wszedł z pieczonym kurczakiem, stół był już nakryty, świeceki zapalone, a ja czułam się znacznie lepiej. Uśmiechnął się do mnie dziwnie. Pocałowałam go i zapytałam, gdzie się podziewał cały dzień.

- Powiem ci później - obiecał, wciąż się uśmiechając.

- A więc to niespodzianka?

- Zobaczysz.

Uśmiechnęłam się i zajęłam nakładaniem kurczaka i ziemniaków na półmisek. Następnie wlałam sos do miseczki i wrzuciłam lód do szklanek. Nie spieszyłam się, ponieważ wciąż byłam podpięta do tlenu. Kiedy wszystko było już gotowe, wyłączyłam górne światło i usiadłam. Dobrze było w końcu usiąść.

Mickey patrzy! na mnie przez dłuższy czas w blasku świec.

- Jesteś piękna, kochanie.

- Przeglądałam się w lustrze, a ty nie jesteś zbyt dobry w kłamaniu.

Ale i tak pochyliłam się do niego i go pocałowałam.

- Kocham cię, Lu.
- Daj spokój, Michael. Mickey wbił widelec w kurczaka.
- A więc odpoczęłaś sobie?
- Właściwie to poszłam się zobaczyć z Harrym.
- Co u niego?
- W porządku. Rozmawiałam z nim o adopcji. Mickey spojrzał na mnie.

- Adopcji podzielonej na trzy osoby.
- Nie mam pojęcia, co to znaczy. Odłożyłam widelec.
- Myślałam o tym od naszej wczorajszej rozmowy, a Harry powiedział, że to nie jest niemożliwe.

Mickey pochylił się ku mnie.

- Zamieniam się w słuch.
- Ty, Ron i Lily będziecie wspólnie mieć prawo do opieki nad naszą córką.

Wstrzymałam oddech i patrzyłam na Mickeya spowitego blaskiem świec. Kiedy nic nie odpowiedział, sięgnęłam po jego rękę i ścisnęłam ją.

- Co o tym myślisz?
- Nie chcę o tym rozmawiać, Lu.
- Wiem, skarbie, ale musimy to zrobić. Tak czy inaczej, to tylko na wszelki wypadek - uspokajałam go. - W ten sposób ona będzie dorastała tutaj, w Brinley, czego oczywiście pragnę ponad wszystko. Będzie знаła swojego cudownego ojca, a ty będziesz się angażował tylko na tyle, na ile będziesz się czuł na siłach. Lily i Ron będą nas zastępować i będą

wspaniałymi rodzicami. Wszyscy będziecie. Zastanów się nad tym, Mic. To najlepszy z pomysłów. Nikt na tym nie straci.

Patrzyłam, jak oczy Mickeya wypełniają się najróżniejszymi emocjami. Z początku nie spodobał mu się ten pomysł. W pewnym momencie powiedział nawet, że lepiej byłoby zerwać z dzieckiem wszystkie więzi, co mnie wydawało się niewyobrażalne.

- Po prostu sędzę, że w ten sposób byłoby łatwiej, Lu. Pogłaskałam go po głowie. Im dłużej mówiłam o Ronie

i Lily jako prawowitych opiekunach i nim samym, angażującym się w takim stopniu, w jakim będzie chciał, tym bardziej Mickey zdawał się oswajać z tą myślą.

- A więc...? - zapytałam na koniec.

Mickey pokręcił głową i przez dłuższą chwilę nic nie mówił. Następnie wstał i pocałował mnie w czoło.

- Nie potrafię sobie wyobrazić, że będę patrzył, jak oni wychowują moją córkę - powiedział i wyszedł z kuchni.

- A co potrafisz sobie wyobrazić?! - zawołałam za nim, ale już go nie było.

Zdmuchnęłam świece i przez długi czas siedziałam w ciemnościach. Gdy później sprzątałam ze stołu, Mickey zszedł d mnie. Wyjął mi talerz z ręki i objął mnie. Musiał wziąć prysznic, bo jego włosy były mokre i pachniały szamponem.

- Wyobrażam sobie, jak ciężkie było dla ciebie to spotkanie. Samo słuchanie o tym jest trudne.

- Wiem.

- Nie chcę o tym więcej myśleć, Lu. Dzisiaj wieczorem udawajmy, że ten temat nie istnieje. Urodzisz nasze dziecko, a wtedy zrobisz wszystko, co każą ci lekarze... - Wzruszył ramionami. - A twoja wizyta u Harry'ego okaże się niepotrzebna.

- Jasne. Poszłam do niego tylko na wszelki wypadek. Mickey skinął głową.

- Chcę ci coś pokazać.

Zaprowadził mnie do salonu i kiedy podniosłam na niego oczy, zauważyłam, że się uśmiecha. Posadził mnie na kanapie, następnie podsunął mi podnózek i położył na nim moje stopy. Przyniósł z kuchni zbiornik z tlenem, który odłączyłam przed kolacją, i podłączył mnie do niego. Kiedy przykrył mnie kocem, usiadł obok i wręczył mi prezent.

-Co to jest?

- Wszystkiego dobrego z okazji urodzin.

- Przegapiłeś moje urodziny.

- Drobny szczegół. Otwórz.

To była książka. Wielka czerwona książka z napisem „Mickey kocha Lucy” wydrukowanym złotymi literami, które rozmazały się pod nagłym przypiływem łez. Spojrzałam na niego.

- Co ty zrobiłeś?

- Tylko małą kompilację.

To była gruba książka zawierająca naszą historię. Nie mogłam uwierzyć w to, że wyglądaliśmy tak młodo, kiedy zaczęliśmy się spotykać. Było tam zdjęcie nas całujących się na przyjęciu z okazji moich dwudziestych pierwszych

urodzin w Colby's, które zrobiła Lily. Zrobiła też jedno w dniu zakończenia przeze mnie studiów, kiedy Mickey mi się oświadczył i zawiązał mi frędzel od biretu wokół palca. Była też fotografia nas obojga w totalnym bałaganie, kiedy rozwalaliśmy podłogę w tym domu. Ja miałam na sobie pas z narzędziami Mickeya i kask ochronny. Kolejne zdjęcie przedstawiało nas mokrych i wirujących wokół własnej osi w dniu ślubu, a inne - Priscillę usiłującą ocalić tartinki przed rozpułnięciem się. Na następnym zobaczyłam Lily, Rona, Jan i Harry'ego. Zostało zrobione w trakcie rejsu, w który popłynęliśmy tuż przed tym, jak pierwszy raz zachorowałam na raka. Jedno przedstawiało nas, dziewczyny, w maseczkach. Jedno naszych wspaniałych mężczyzn. I piękne zdjęcie mnie i Mickeya całujących się w świetle księżyca.

- Och, to była wspaniała wycieczka. - Spojrzałam na męża, który kiwał głową, starając się powstrzymać łzy napływające mu do oczu.

Przypomniało mi się, że przez cały rok był zdrow jak ryba. A później zachorowałam na raka. Mickey zrobił mi wtedy tylko jedno zdjęcie, podczas pierwszego etapu walki z chorobą. Śmiałam się. Straciłam większość włosów i Priscilla kupiła mi szkaradną perukę. To była kiepska podróbka fryzury Farrah Fawcett, a ja tak bardzo schudłam, że wyglądałam bardziej jak dwunastoletnia prostytutka niż jeden z aniołków Charliego. Nawet Priss tak uważała.

Było tam też zdjęcie ojca Mickeya i mnie na gruzach tego, co było jego domem, zanim zaatakował huragan Katrina. Usłyszeliśmy o jego skutkach i poleciliśmy tam pierwszym

samolotem, jakim nam się udało. Kiedy zjawiliśmy się na jego zniszczonej werandzie, ojciec Mica płakał, ale odmówił wyjazdu z nami. Miał małą restaurację niedaleko Bourbon Street i nie zamierzał jej porzucać. Ja zrobiłam kolejne zdjęcie, na którym ojciec obejmował Mickeya w dniu naszego powrotu. Jeśli można sportretować wdzięczność, to miałyby ona twarz tego staruszka. Każda fotografia wiązała się z jakimś wspomnieniem. Nasze pierwsze święta, kiedy przewróciła się choinka. Zdjęcie z kolejnych świąt, kiedy choinka była za duża, żeby się zmieścić w domu. Mnóstwo zdjęć nas na łódce. Jedno Mickeya zanurzonego po uszy w liściach tuż przed ogniskiem. Jedno z Cancun, gdzie jakiś mały dzieciak zaplótł nam na włosach warkoczyki za pięć dolarów. Ten album to był najlepszy prezent, jaki Mickey kiedykolwiek mi podarował.

- Jakież mieliśmy cudowne chwile - powiedziałam, gładząc okładkę. A skoro byliśmy w tak optymistycznym nastroju, dodałam: - Chcę kolejny za jedenaście lat.

Mickey zmierzwił mi włosy.

- Umowa stoi.

Otworzyłam album i zaczęłam od początku. Jeszcze raz.

Po tym wydarzeniu weekend mógł być tylko lepszy. W sobotni poranek właśnie wyszłam spod prysznicza, kiedy Mickey przyniósł mi telefon.

- Jan chce z tobą rozmawiać - powiedział, całując mnie w czoło.

- Cześć, Jan.

- Jak się ma moja mała przyszła mama?

- Nieźle - powiedziałam na lekkim bezdechu.

- Sądzisz, że mogłabyś tu zajrzeć? Muszę popatrzeć na twój nosek.

Zaśmiałam się.

- Wiem, że to głupie, ale właśnie kończę portret na okładkę twojej bajki i chcę się upewnić, że dobrze uchwycę nos.

Kiedy włożyłam dzinsy i wysuszyłam włosy, poczułam, że przydałaby mi się drzemka. Nagle miałam wrażenie, że najmniejsze zadania mnie wykańczają. Ale zamierzałam odpocząć później.

- Mic! - krzyknęłam. - Niedługo wrócę! Zajdę tylko na chwilę do Jan.

- A co z twoim tlenem, panienko?

- Będę za dwie minuty.

I tak właśnie planowałam, dopóki nie zaszłam do Jan i nie zastałam w jej domu niemal wszystkich naszych sąsiadek. Kobieca energia sprawiała, że u mojej przyjaciółki panował istny chaos. Jan uściskała mnie i powiedziała:

- Witam na twoim *baby shower*, słodziutka! Rozdziawiłam usta.

- No, najwyższy czas, żebyś się tu zjawiała - rzekła Lily, obejmując mnie.

- Co wyście wykombinowały? - zapytałam, próbując to wszystko ogarnąć.

Góry ciastek były od Matildy Hines. Kołderka dla dziecka była złożona w salonie Jan, a stos prezentów widniał

na stoliku. Wszystko było w różowym kolorze. Balony, wstążki, a nawet małe karteczki z napisem „To dziewczynka”. Miałam ochotę się rozplakać. Choć Diana Dunleavy wyraźnie była pogrążona w smutku, usiłowała się uśmiechnąć. Chwyła mnie za rękę i poprowadziła do krzesła. Muriel Piper włożyła mi poduszkę pod plecy i ucałowała mnie w policzek. Charlotte pogłaskała mnie pod brodą.

- Jak się czujesz, skarbie?

- Jestem oszołomiona. Całkowicie oszołomiona.

Za chwilę przyszedł Mickey z tlenem i panie zaczęły na niego pohukiwać. Ale on tylko się uśmiechnął i powiedział, że wymagało trochę odwagi, żeby wejść do domu tak wypełnionego hormonami i perfumami. Następnie przybrał wilczy wyraz twarzy i spojrzał na Wandę Murphy.

- Ale to właśnie kocham. Podłączył mi rurki i pocałował mnie.

- Baw się dobrze.

Lainy Withers podała mu talerzyk ze słodkościami i wysłała go do domu. Lily przyniosła mi trochę soku i muffinkę, a Priss, która robiła zdjęcia, podała aparat Jan.

- Zrobisz nam jedno?

- Oczywiście!

Priss usiadła na oparciu mojego fotela, a Lily na jej kolanach i pochyliła się - wszystkie się uśmiechnęłyśmy. Byłam najszczęśliwszą dziewczyną na tej planecie, posiadając takie przyjaciółki i siostry. Lily pocałowała mnie w policzek.

- Co mogę ci podać?

- Mam już wszystko, Lii. Czy to ty przygotowałaś?
- Wszystkie to przygotowałyśmy.
- To wspaniale.

Rozejrzałam się i upajałam tym wszystkim, całym tym otaczającym mnie uroczym gwarem, zażawionymi od troski spojrzeniami i łagodnymi uściskami. A te prezenty! Nigdy w życiu nie miałam tak uroczych rzeczy. Nie miałam wyboru, jak tylko ronić łzy szczęścia w imieniu mojej córeczki. Dostała wszystko, czego mała dziewczynka mogłaby potrzebować, a nawet więcej. Muriel zrobiła dla niej na drutach mikroskopijny różowy sweterek z perełkami jako ozdobą i niemal zwałam ją z nóg, kiedy ją za to uściskałam. Jan zaś dała nam całą stertę bajeczek dla dzieci. Kiedy został już tylko jeden prezent, Lily powiedziała:

- Ten jest ode mnie i od Priss.

Rozdarłam opakowanie i otworzyłam pudełko. Prezent otoczony był bibułą. Odchyliłam ją i ponownie zaczęłam płakać, kiedy ostrożnie uniosłam najpiękniejszą sukieneczkę na chrzest, jaką kiedykolwiek widziałam. Mierzyła ponad metr, była koronkowa, misternie uszyta i absolutnie wyjątkowa. W komplecie była nawet pasująca do niej opaska na główkę z dużą jedwabną stokrotką. Przytuliłam sukienkę i wyobraziłam sobie, jak by to było przytulać moją córeczkę w nią ubraną. Moje siostry płakały. Ja płakałam. Muriel sięgnęła po chusteczkę, a Jan i Charlotte pociągały nosami. Spojrzałam na to zebranie troskliwych kobiet i zobaczyłam jak na dłoni, jak wielkie mają serca. Czy kiedykolwiek dowiedzą się, ile dla mnie znaczą?

- Kocham was wszystkie - wyszłochałam. - Bardzo wam dziękuję!

Nie chciałam, żeby to brzmiało jak pożegnanie, ale tak było. Priss podeszła do mnie i pocałowała mnie w głowę, przebijając na szczęście bańkę smutku, którą wytworzyłam.

- Chciałybyśmy być warte tylu emocji, Lu. Ale prawda jest taka, że miałyśmy ochotę na przyjęcie, a ty stanowisz świetną wymówkę.

W końcu rozległ się śmiech, choć delikatny, i ja również zaśmiałam się z ulgą. Priscilla mnie ocaliła - ocaliła nas wszystkie przed zbyt baczny przyglądaniem się temu, co się tak naprawdę dzieje.

ROZDZIAŁ 28

14 listopada 2011

Gleason mówi, że zanim przewróci się góra, najpierw spadają kamienie. I to jest ostrzeżenie. Jeśli to jest prawda, moje pierwsze ostrzeżenie otrzymałem lata temu, kiedy Lucy pierwszy raz powiedziała mi o raku, który jest plagą jej genów. Po pięciu krótkich latach naszego małżeństwa zdiagnozowano u niej straszny zwiastun tego, co działo się teraz. Przynajmniej teoretycznie. Z całą pewnością wiem tylko, że każda wypełniona zmartwieniem lub strachem myśl stanowi kolejny kamień. Na razie stoję całkowicie skryty w cieniu góry, która wkrótce zwali się na mnie. Doktor Gladstone przedstawia tak niewielką dozę optymizmu, że jawi się ona niczym kłamstwo. To się stanie, mówi wyraźnie - tyle że nie wie kiedy. Staram się więc zachować równowagę w obliczu tej męki i usiłuję skupiać się na przeżywanej chwili. Poddaję się woli lekarzy, którzy sugerują, bym nie wyglądał poza najbliższą przyszłość, abym trzymał się mocno pejzażu, na który składa się tu i teraz. Moim zadaniem jest kochać moją żonę tak mocno, by

czuła to przez wieczność. A przede wszystkim muszę być silny. Będzie mnóstwo czasu na to, by się załamać... po wszystkim. Na razie gromadzę każdy znużony śmiech, każdy słabnący dotyk, każdy smutny pocałunek - one wypalają znamię w moim sercu.

Wyłączyłam silnik i spojrzałam w górę na ścieżkę wiodącą do grobów moich rodziców. Odległość ta wydawała mi się onieśmielająco duża i przez chwilę rozważałam to, by wcale się tam nie wspinać. Nie czułam się dobrze. Różnica między dniem dzisiejszym a wczorajszym i przedwczorajszym była tak duża, że miałam wrażenie, że dzielą je całe lata świetlne. Kaszlałam całą noc, a kiedy obudziłam się dzisiaj rano, byłam już inną osobą - nie dało się zaprzeczyć, że jestem chora. Spędziłam poranek u Charlotte. Mickey przemierzał nerwowo poczekalnię, podczas gdy ona mnie badała i kręciła głową. Ale z dzieckiem było wszystko w porządku, i tego się trzymałam.

Oparłam czoło o kierownicę i zbierałam siły, żeby wyjść z samochodu. Przynajmniej dobrze, że byłam sama i nie musiałam nikogo przekonywać, że czuję się okej. Mickey wierzył w moje zapewnienia. Potrzebował ich. Z Lily było tak samo. Ale ta gra, w której zgodziłam się uczestniczyć, miała swoją cenę. Byłam wyczerpana i wiedziałam, że nie wytrzymam już długo. Nawet już tego nie pragnęłam.

Nie byłam tu od jakiegoś czasu, więc przywiozłam bukiet i sekator. Wzięłam nawet jakieś szmatki i windex. Kiedy

wysiadłam z samochodu, poczułam ciepło listopadowego słońca. Promienie były wspaniałe mimo chłodnej bryzy. Zabrałam akcesoria z auta i poszłam żwirową ścieżką w górę, ciągnąc za sobą zbiornik z tlenem. Po raz tysięczny pomyślałam sobie o tym, że zawsze oddychanie wydawało mi się oczywiste. Nigdy wcześniej ani przez chwilę nie odczuwałam wdzięczności za cudowną możliwość wypełniania klatki piersiowej powietrzem. Teraz było inaczej. Już zawsze miałam mieć świadomość mechanizmu wciągania tlenu do płuc. Och, jak łaknęłam westchnienia - głębokiego, niewymagającego myślenia, odmładzającego. Wiedziałam jednak, że drogo bym za nie zapłaciła, gdybym uległa pokusie.

Okres wytchnienia oficjalnie dobiegł końca i nie robiłam niczego, co mogłoby być zbyt wyczerpujące dla mojego zszarganego układu oddechowego. Inaczej powietrze utykało gdzieś między wdechem a wydechem i odmawiało ruszenia się w którąś ze stron. Wtedy zaczynam kaszleć, co tylko bardziej pozbawiało mnie zdolności oddychania. Zeszłej nocy kaszlałam tak bardzo, że modliłam się, żeby umrzeć, i nie miałam z tego powodu nawet wyrzutów sumienia. Ten atak był na razie najgorszy i sprawił, że byłam krańcowo wyczerpana i bardzo bałam się o dziecko. Zorientowałam się, że moje życie zredukowało się do unikania tych napadów. Każda myśl obracała się wokół podtrzymania płynnego i ciągłego oddychania. Więc pokonując ten krótki dystans do grobów moich rodziców, byłam niezmiernie ostrożna. Poruszałam się powoli, wdychałam skąpą ilość powietrza i starałam się o tym nie myśleć.

Gdy dotarłam do marmurowej ławki pod wiązami, serce waliło mi, jakbym przebiegła maraton. Musiałam usiąść i oddychać powoli przez zęby, żeby się uspokoić, ale wkrótce doszłam do siebie. Rozejrzałam się. Byłam sama i stwierdziłam, że przebywanie jedynie w towarzystwie zmarłych działa na mnie niewiarygodnie kojąco. Zawsze działało. Nawet kiedy byłam mała, nie żywiłam wobec tego miejsca żadnych obaw.

Pewnego dnia, niedługo po śmierci mojego ojca, przyszłam tutaj po szkole, żeby mu poczytać - żeby poćwiczyć składanie liter. Utrata naszego porannego rytuału była niemal prawie tak samo bolesna jak utrata jego samego. Tak więc któregoś razu moja mała osóbka zdecydowała się po prostu pojechać po szkole dwa przystanki autobusowe dalej i pójść samotnie na nasz mały cmentarz. Rozłożyłam sweterek na trawie przed grobem, usiadłam po turecku i zaczęłam czytać. Musiałam zupełnie zatracić się w tej czynności, bo nie zauważyłam wozu policyjnego, który stanął przy krawężniku, ani mojej mamy, ani Deloya Rosenberga idących ścieżką. Pamiętam, że gdy mnie tam odnaleźli, byłam trochę zdumiona ich reakcją. Siedzenie tam i czytanie ojcu wydawało się nie być warte tylu łez. Po śmierci mamy chodziłam tam jeszcze częściej.

Priscilla oczywiście uważała, że to jest niezdrowe tyle czasu spędzać na cmentarzu. Poprosiła Charlotte, żeby ze mną o tym porozmawiała, i Charlotte spotkała się ze mną tutaj jednego popołudnia. Była wczesna jesień, dzień podobny do dzisiejszego, kiedy powietrze jest chłodne, ale

słońce wciąż grzeje. Wtedy pierwszy raz dowiedziałam się, że Charlotte i ja podobnie odczuwamy obecność moich rodziców. Wyrecytowała mi z serca słynny sonet Johna Donne'a *Śmierci, próżno się pysznisz**. Słyszałam go wcześniej, ale nigdy tak naprawdę go nie rozumiałam, aż do dzisiaj. „Ze snu krótkiego zbudzi się dusza człowieka / W wieczność, gdzie Śmierci nie ma"... Nie myślałam o tym wierszu przez całe lata, ale tego popołudnia radykalne uwagi Donne'a brzmiały tak pokrzepiająco.

Otrząsnęłam się z zadumy, uklękłam i zaczęłam usuwać brązową trawę, zaśmiecającą ziemię wokół grobów rodziców. Usiłowałam użyć sekatora, by uporządkować podstawę kamienia, ale byłam na to zbyt słaba. Kiedy klęczałam, mój brzuch ciężowy miał punkt oparcia i mogłam nabrać trochę więcej powietrza, nie wywołując żadnej negatywnej reakcji. Więc po prostu oparłam głowę o chłodny kamień nagrobka rodziców i zamknęłam oczy.

Skoro i tak byłam na kolanach, zaczęłam się modlić o siłę, która była mi potrzebna, żeby przetrwać kolejnych kilka minut. I choć zwykle nie rozmawiałam w tak prosty sposób z Bogiem, miałam wrażenie, że to, co musiało Nim być, odpowiedziało na moją małą prośbę. Odpowiedź spadła na mnie jak chmura czegoś miękkiego, czegoś, czemu mogłam na chwilę zaufać. To było wspaniałe i dziwne i pomyślałam, że to jasne, że ten spokój to przekaz od moich rodziców.

*** Przełożył Stanisław Barańczak.**

Myślę, że zostałam tam cały dzień, ale usłyszałam za sobą trzaśnięcie drzwiczek samochodu. Otworzyłam oczy i ujrzałam Rona idącego pospiesznie ścieżką. Zdałam sobie sprawę, że cała ta scena musiała wyglądać tak, jakbym upadła i nie mogła wstać.

- Lucy! Co się stało?

- Nic - odpowiedziałam, chwytając jego wyciągniętą rękę. - Tylko trochę się modliłam.

Kiedy stanęliśmy twarzą w twarz, zapytał:

- Nie czujesz się dobrze, prawda, Lucille?

- Bywało lepiej.

Otrzepałam trawę z kolan i oparłam się na jego ramieniu.

- Usiądź ze mną, Ronaldzie, i potrzymaj mnie za rękę. Mam ci coś ważnego do powiedzenia.

- „Ronaldzie”? To musi być coś naprawdę poważnego - powiedział, kiedy podeszliśmy do ławki i usiedliśmy na niej.

Spojrzałam na swojego przystojnego szwagra. Był w dzinsach i niebieskim golfie. Siedząc tak blisko niego, zauważyłam, że gdzieś tam ma już siwe włosy.

- Co mogę dla ciebie zrobić, Lucy?

Spojrzałam na nagrobek rodziców, dopiero co wyczyszczony i błyszczący w słońcu.

- Umieram, Ron.

Nic nie odpowiedział, ale uściśnął mi lekko ramię. Zacerpnęłam w płuca powietrza tylko na tyle, na ile mogłam.

- Jestem zmęczona udawaniem, że tak nie jest.

- Przy mnie nie musisz niczego udawać, Lucy.

- Dlatego cię kocham, Ron. - Ujęłam jego dłoń w swoje obie dłonie. - Dziękuję, że się tu dzisiaj ze mną spotkałeś. Muszę cię o coś poprosić.

- Proś o cokolwiek - powiedział bez wahania.

- Wiesz, jak bardzo kocham Lily - zdołałam w końcu wykrztusić.

Skinął głową.

- Ona zawsze była dla mnie wszystkim, Ron. Wszystkim. Ron skinął głową, a jego oczy błyszczały na znak zgody.

- Byłaby doskonałą mamą. Taką, jaką ja chciałabym być, gdyby to wszystko się nie działo.

- Wiem.

Przez chwilę milczeliśmy, a ja próbowałam znaleźć właściwe słowa. W końcu poddałam się i po prostu powiedziałam to, co krążyło mi po głowie.

- Ron, widziałeś, jak moje życie wisiało na włosku, a potem znowu wróciło do normy. Widziałeś, co wtedy działo się z Mickeyem.

Skinął głową.

- Wiesz, że to nigdy nie będzie dla niego łatwe.

- Nie wyobrażam sobie, przez co musi przechodzić.

- Ty i Lily musieliście myśleć o moim dziecku.

- Myślimy o was wszystkich cały czas. - Głos Rona przeszedł w szept.

Ścisnęłam jego rękę.

- Musicie wiedzieć, jak ważni zawsze będziecie w jej życiu. Jak ważna będzie Lily.

- Do czego zmierzasz, Lu?

Spojrzałam na swojego uroczego szwagra.

- Ron, mój czas dobiega końca, a Mickey uważa, że nie będzie w stanie sprostać temu beze mnie.

- Sprostać czemu?

- Wychowaniu naszej córki.

- Ach tak.

- Mam do was olbrzymią prośbę.

- Lucy...

- Nie, posłuchaj. My, Mickey i ja, chcemy, żebyście z Lily adoptowali nasze dziecko. Ale to jest trochę skomplikowane.

- Lucy, o czym ty mówisz?

- Mówię o czymś bardzo wyjątkowym i rzadkim, Ron. O sprawowaniu opieki nad dzieckiem przez troje ludzi - ciebie, Lily i Mickeya.

- Och...

- Wiem.

- Lucy, jesteś pewna, że musimy o tym rozmawiać już teraz?

- Mój czas się kończy, Ron. I chciałam porozmawiać o tym najpierw z tobą, ponieważ będę potrzebowała twojej pomocy. Chcę, żebyś przedyskutował to z Lily. - Pociągnęłam nosem. - Setki razy w myślach odbywałam z nią tę rozmowę i nigdy nie przebrnęłam przez tę część, kiedy komunikuję jej, że naprawdę umieram. - Przejechałam rękoma po twarzy. - Nie mam złudzeń, Ron, ale sądzę, że możliwe, że Lily nadal może je żywić. Nie jest gotowa, by usłyszeć, że mój czas dobiega końca, a tymczasem decyzja w tej sprawie musi zapaść.

Ron ścisnął mnie za ramię.

- Ciii... Coś wymyślimy.

- Musimy coś wymyślić teraz, a ty jesteś jedyną osobą, na którą rzeczywiście mogę liczyć, więc, proszę, nie spławiaj mnie.

- Wytarłam nos i starałam się powściągnąć rozedrgane emocje.

- W porządku. Jak to w ogóle jest możliwe? Dlaczego Mickey miałby oddać własne dziecko? Nawet nam?

- Od czego mam zacząć?

Długo patrzyłam na swojego szwagra, mając na końcu języka wyjaśnienia co do uprzedzeń Mickeya, ale w końcu pokręciłam głową.

- On uważa, że jest zbyt chory, by być dla niej ojcem. Chciałam coś dodać, ale zaczęłam kaszleć i po chwili

rzeziłam tak bardzo, że modliłam się, by spłynęło na mnie to samo pocieszenie co przed chwilą - by zstąpiło i mnie uratowało. Starając się nie wpadać w panikę, zaczęłam grzebać w torebce w poszukiwaniu wody i wlałam niewielki strumień do palącego gardła. Ron nic nie mówił. Po prostu trzymał delikatnie dłoń na moich plecach, a spokojny i zrównoważony dotyk działał na mnie kojąco.

Pochyliłam się do przodu, podczas gdy on gładził mnie po ramieniu. Nie mówił mi żadnych komunałów, za co byłam mu niezmiernie wdzięczna. Po chwili mogłam znowu oddychać.

- A więc?

- Nie sądzę, bym potrafił to zrobić, Lucy. Już raz odebrano nam dziecko, pamiętasz? To było piekło.

- Oczywiście, że pamiętam. Ale to nie to samo. Mickey tego chce. Kocha swoją córkę, a to jest najlepszy sposób, jaki przychodzi mu do głowy na okazanie jej tego.

- Po prostu nie mogę w to uwierzyć, Lucy.

- Owszem, możesz. Znasz Mickeya.

- Znam, mimo to...

- Chciałabym, żeby sprawy miały się inaczej, Ron, ale cuda się nie zdarzają. Mickey pozostanie Mickeyem, i to, że ja absolutnie wierzę, iż on potrafi ją kochać, nie ma znaczenia, gdyż on w to nie wierzy. - Pokręciłam głową, walcząc z cisnącymi mi się do oczu łzami. - On tak bardzo się stara, Ron. Zresztą wiesz. Ale w jego umyśle sukces to absolutna kontrola nad chorobą, a on nie zawsze potrafi nad nią zapanować. Umie ją tylko hamować na dłuższe okresy. Lecz nawet kiedy robi wszystko tak jak trzeba, miewa te swoje odpały. Najbardziej zdroworozsądkowy głos w jego głowie przekonał go, że nie może pozwolić, by ta niewinna istotka była od niego zależna.

Ron nic nie powiedział, ale widziałam w jego oczach współczucie.

- Nie rób takiej miny. Proszę, tylko nie ty. On robi wszystko, na co go stać.

- Wiem, że tak jest - rzekł Ron.

Przez chwilę milczeliśmy, po czym szepnęłam:

- Tak bardzo go kocham. Myślę, że pokochałam go w chwili, gdy go ujrzałam. To może brzmieć absurdalnie, ponieważ w ciągu tych lat było tyle szaleństwa, ale nie to utrwaliło mi się w pamięci. Ludzie patrzą na mnie, jakbym

była kimś wyjątkowym, ponieważ Mickey jest Mickeyem, a ja przez cały czas z nim wytrzymuję. Lecz jedyną wyjątkową rzeczą we mnie jest to, że Mickey mnie kocha. - Pokręciłam głową i spojrzałam w stronę rzeki. - Choć to jasne, że Mickey nie jest taki jak ty czy ja, Ron, i nie wiem, co się będzie z nim działo po tym, jak odejdę.

- Lucy...

Otarłam łzy z twarzy.

- To poświęcenie, jakiego Mickey chce dokonać, to jest najlepszy jego odruch i najbardziej racjonalny. Rozumiesz to, prawda?

Mój szwagier nie odzywał się bardzo długo.

- Rozumiem. Ale żaden mężczyzna nie powinien tracić żony oraz dziecka. Co z nim będzie, kiedy to się stanie? - Zapatrzył się na grób moich rodziców i widziałam, jak jego broda drży. - To po prostu nie jest w porządku, Lucy.

- Wiem. Ale w ten sposób przynajmniej będzie ją znał. A ona będzie znała jego. I będzie bezpieczna, i kochana przez was wszystkich.

Obrócił się, by na mnie spojrzeć.

- Ron, chcę, żebyście z Lily zaopiekowali się moim dzieckiem, ponieważ wiem, że pozwolicie Mickeyowi uczestniczyć w jej życiu. Wiem, że pozwolicie, by był jego częścią.

- To oczywiste. Zrobimy, co tylko będziesz chciała, Lucy. Ale czy to wszystko nie jest trochę przedwcześnie? Co powiesz na to, żebyśmy z Lii zaopiekowali się dzieckiem,

podczas gdy ty będziesz dochodzić do zdrowia? Ustalmy tyle, skoro nie wiemy, co się wydarzy.

- To dobry pomysł - zgodziłam się. - Ale kiedy to, co ma się zdarzyć, rzeczywiście się zdarzy, adoptujecie ją?

W jego oczach pojawił się prawdziwy ból i łzy.

- Zrobicie to? Skinął głową.

Było jeszcze tyle do powiedzenia, ale byłam zbyt zmęczona. Ron zwrócił się do mnie i delikatnie przycisnął moją twarz do swojej klatki piersiowej.

- Och, Lucy.

Trzymał mnie w ten sposób przez chwilę, a kiedy umilkłam, uniósł mi głowę.

- Wiesz, że będziemy ją kochać, jakby była naszą córką. Obiecuję ci, że od początku będzie wiedziała, kim są jej rodzice.

To było wszystko, co moje serce pragnęło usłyszeć. Znałam swoją siostrę i byłam przekonana, że Ron sprawi, że to się uda. Żadna kobieta bardziej nie pragnęła być matką niż Lily. Teraz mogłam jej to ofiarować. Będzie za mnie kochać moje dziecko. I będzie opiekować się moim Mickeyem. Pozwoli mu kochać naszą córeczkę i nigdy nie będzie się czuła przez to zagrożona. A ponadto będzie ją chronić, gdyby tego kiedykolwiek potrzebowała.

- Porozmawiasz z Lily? - szepnęłam. - Powiesz jej, że tego właśnie pragnę?

Mój drogi szwagier chrząknął, ale i tak usłyszałam stłumiony szloch. Skinął głową.

- Dziękuję ci, Ron. Dziękuję.

Nie było nic więcej do powiedzenia. Pogłaskałam brzuch, a moje dziecko zareagowało, kopiąc. Dziewczynka była zdrowa i silna, co do tego nie miałam wątpliwości. Ujęłam dłoń Rona i położyłam na swoim brzuchu. Ona kopnęła znowu, a po policzku Rona spłynęła łza.

Wieczorem tego samego dnia usiłowałam nie zasnąć, czekając na Mickeya. Niechętnie zgodził się przyjechać do Partners, gdy barman zadzwonił z pogotowia, gdzie szyto główkę jego córeczce. Obiecał, że wróci jak najszybciej. To było dwie godziny temu, a ja drzemałam właśnie przy *Conanie Barbarzyńcy*, kiedy do drzwi zapukała Lily. Weszła, zanim zdążyłam otworzyć. Płakała, jakby świat się właśnie kończył. Miała czerwony nos i niewiarygodnie zapuchnięte oczy. Podeszła do mnie, a jej oczy napełniły się kolejnymi łzami. Uklękła przede mną. Jej cierpienie było namacalne i widziałam, że w końcu pogodziła się z tym, że to wszystko naprawdę się dzieje. Pogłaskałam ją po jej krótkich włosach.

- Lucy - załkała. - Błagam cię, nie umieraj.

- Dobrze - odpowiedziałam, również płacząc.

Następnie przez jakiś czas milczałyśmy. Kiedy spojrzałam w jej oczy, nie potrafiłam sobie wyobrazić, jaka byłabym, gdyby to właśnie ona nie była moją siostrą. Nie potrafiłam sobie wyobrazić swego życia bez niej. Lily była powierniczką moich sekretów i marzeń, odkąd byłyśmy dziećmi. Miałyśmy się razem zestarzeć.

Potrząsnęła głową, walcząc ze łzami.

- Nie sędę, żebym mogła znaleźć się w tym miejscu - powiedziała, a jej wargi drżały.

- Jakim miejscu, Lii?

- Miejscu, w którym w końcu będę mogła mieć dziecko.. . ale tylko wtedy, jeśli stracę siostrę.

- Wiem. Przykro mi.

- Jesteś pewna, że tego właśnie chcesz?

- Nie mogę mieć tego, czego chcę, Lii, więc to należy do ciebie. Będiesz wspaniałą matką. - Ujęłam ją pod brodę i wytarłam jej łzy.

Przytuliła się do mojej dłoni.

- Nie wiem, co bez ciebie pocznę. Nigdy się nie dowiem.

- Właśnie myślałam o tym samym.

- Lu, pamiętasz jak utknełaś na drzewie?

- Utknełam na drzewie? Lily pokiwała głową.

- To było w parku. Było mnóstwo ludzi, ale nie pamiętam, co to był za dzień, może Shad Bake. Miałam siedem lat, tak sędę. Byłaś mała i było tam mnóstwo innych dzieci. Bawiłyśmy się i straciłam cię z oczu. Zdawszy sobie z tego sprawę, wpadłam w panikę. Wszędzie cię szukałam, a kiedy nie mogłam cię znaleźć, zaczęło mi się ścisnąć serce. Jakoś zdołałam się przyznać do tego przed tatą, który się przestraszył i zaczął cię wołać. Mama też wołała. Wszyscy cię szukali. Wtedy z jakiegoś powodu spojrzałam w górę. Byłaś tam, siedziałaś na drzewie i patrzyłaś na mnie z góry, na nas wszystkich. Pamiętam, że zaczęłam płakać z ulgi

- mówiła schrypniętym głosem. Pokręciła głową. - Nie zniknęłaś, a ja mogłam znowu oddychać - szepnęła. - Nikt nie wiedział, jak się tam dostałaś, to był istny cud, że nie spadłaś i sobie czegoś nie złamałaś. Kiedy tata cię ściągnął, oczywiście przetrzepał ci tyłek, bo napędziłaś mu stracha. A ty spojrzałaś tylko na niego z całą mądrością trzylatki i powiedziałaś: „Nie zniknęłam, po prostu wy mnie nie widzieliście”.

Skinęłam głową, mgliście to sobie przypomniawszy.

- Nigdy tego nie zapomnę - powiedziała Lily. - Nie zniknęłaś, po prostu my nie mogliśmy cię zobaczyć. Właśnie w ten sposób zamierzam to przetrwać, Lucy. Ty po prostu nie znikniesz.

- Nie zniknę - powtórzyłam.

ROZDZIAŁ 29

17 listopada 2011

Teraz już wiem, na czym polega różnica między smutkiem a depresją. Depresja kliniczna nie posiada konkretnego źródła - ona po prostu jest. Nieukojony smutek nie ma nic wspólnego z synapsami, chemią mózgu czy elektrolitami -po prostu z czegoś wynika. Jest spowodowany poczuciem niesprawiedliwości i bezsilności. Przypuszczam, że można go łagodzić, ale on i tak w człowieku jest, gdy leki przestają działać, niczym intruz, który włamał się do twojego domu i jest przy tobie każdego ranka, gdy się obudzisz.

Mając wybór, wolałbym już depresję. Z depresji udawało mi się wyjść.

Priscilla przyjechała do miasta i poinformowała mnie, że zostanie z nami kilka dni. Tak w każdym powiedziała - kilka dni. Było zbyt zimno, by mieszkała na łodzi, a zamiast pokoju gościnnego w domu Lily, z którego zawsze

korzystała, wybrała pobyt u mnie i możliwość kręcenia się w pobliżu. Byłam zbyt zmęczona, by oponować. A poza tym takie rozwiązanie okazało się dobrą odmianą dla Mickeya, który bardzo tego potrzebował.

Mój stan zdrowia w jakiś sposób sprawił, że Priss i Mickey zdołali się wznieść ponad wzajemne animozje. Priscilla zachowywała się w owe dni zupełnie inaczej niż wcześniej. Była delikatna. I byłam niemal pewna, że wpływało to z głębszych przyczyn niż wyłącznie moja choroba. Odniosłam wrażenie, że po prostu zmęczyło ją i zniesmaczyło to ciągle obnoszenie się z własnym gniewem. Miałam nadzieję, że nie zmienię tego, gdy jej powiem, dlaczego ją poprosiłam o spotkanie z Harrym, jeszcze przed jego pojawieniem się i wystąpieniem w oficjalnej funkcji, z dokumentami, które wszyscy mieliśmy podpisać.

Wstałam, umyłam zęby, potem jednak wróciłam do łóżka. Był to trudny dzień, ja zaś o czternastej trzydzieści wciąż jeszcze nie byłam ubrana. Priscilla zaglądała do mnie co kilka minut, a gdy weszła do pokoju po raz trzeci, w końcu postanowiłam usiąść i powiedzieć jej, że chcę z nią porozmawiać. Siedziała teraz w nogach łóżka, czekając, aż przestanę kaszleć. Nie muszę dodawać, że forma, w jakiej przekazałam jej to, co miałam do zakomunikowania, miała w najlepszym razie charakter czysto informacyjny. Nie takie było moje zamierzenie.

- Lily? Oddajesz swoje dziecko Lily?

-Tak.

Priss wbiła wzrok w sufit.

- Nie wiem, co powiedzieć.
- Powiedz, że będziesz dobrą ciotką.
- No wiesz, byłabym dobrą mamą.
- Jestem o tym przekonana - oświadczyłam, ciesząc się, że zabrzmiało to szczerze.

Na jej twarzy pojawił się grymas. Zauważyłam, że czuje się naprawdę zraniona.

- A czy w ogóle brałaś mnie pod uwagę? Ponieważ milczałam, przeszła mnie wzrokiem. Nie

wiedziałam, co powiedzieć. Gdybym postąpiła tak, jak się upierała, mojego dziecka już by nie było. Ale nie mogłam jej o tym przypomnieć teraz, kiedy miała łzy w oczach.

- Chodzi o Brinley - odrzekłam. - Wiesz, że kocham to miejsce. Dlatego chcę, żeby moja córka właśnie tutaj dorastała.

Po pełnej napięcia chwili milczenia Priss rozkrochmała się i wzruszyła ramionami.

- Lily będzie świetną mamą - przyznała z niechęcią.

- Owszem. Ale nie tylko o to chodzi. Chcę, żeby Mickey był jak najbardziej zaangażowany w wychowanie naszej córki, a temu razem byście raczej nie podołali. Poza tym chciałabym, żebyś mogła zastąpić któreś z nich, gdy zajdzie taka potrzeba. Wiesz, Priss, dzięki temu mała będzie mieć tylko jedną ciocię. Zdajesz sobie sprawę, że w takiej sytuacji możesz ją oficjalnie rozpieszczać? To bardzo odpowiedzialna rola.

Skinęła głową, przejęta.

- Pewnie to wszystko prawda. - Obrzuciła mnie twardym spojrzeniem. - Chciałabym cię jednak o coś spytać.

- Śmiało.
- Chcę znać prawdę, Lucy.
- Słucham.
- Gdybyś wtedy wiedziała, że sprawy wezmą taki obrót, czy wtedy także nie poddałabyś się aborcji?
 - Tak - odparłam bez wahania. - Nawet gdybym to wszystko wiedziała, i tak postąpiłabym tak, jak postąpiłam. Nie mogłabym tego zrobić Mickeyowi. A to, że nie poznam swej córki tu i teraz, nie musi oznaczać, że nigdy jej nie poznam.
 - O czym ty mówisz?
Złapał mnie kaszel, więc tylko machnęłam ręką.
 - Niczego nie żałuję - wykrztusiłam w końcu. Priscilla podała mi wody, a gdy atak minął, dotknęła mego policzka.
 - Wiedziałam, że to powiesz. Ale chciałam to usłyszeć, żeby mieć pewność - oznajmiła.
 - Co chciałaś usłyszeć? - spytał Mickey, wchodząc do sypialni.
 - Chyba przyniosę nam coś do zjedzenia - oświadczyła Priscilla, prędko wstając z łóżka.
 - Dunleavy dostarczyli właśnie duży kocioł zupy i gorący chleb - rzekł Mickey. - Przyszedłem spytać, czy nie jesteście głodne.
Poklepałam go po ręce.
 - Może później.
 - Mój mąż pocałował mnie w czoło i kiedy - pochyliwszy się nade mną - na chwilę zastygł w bezruchu, poczułam, że

zaczyna drzeć. Kątem oka dostrzegłam, że Priscilla opuszcza pokój, przyłożywszy dłoń do ust. Żałowałam, że nie mogę nic zrobić, by uśmierzyć te emocje, które wymknęły się spod kontroli, ale byłam zbyt zmęczona. Mickey przysiadł koło mnie na łóżku i przywarł twarzą do mej szyi.

- Tak bardzo cię kocham - wyszeptalam, gładząc go po nieogolonej brodzie.

Obudziłam się kilka godzin później, zastając Priscillę na krześle przy moim łóżku, zatopioną w lekturze mojej książeczki dla dzieci. Oznajmiła mi, że Mickey poszedł spotkać się z Gleasonem, co mnie zdziwiło, gdyż wiedziałam, że nie miał umówionej wizyty.

- To dobrze - powiedziałam. - To musi być nudne takie ciągle czuwanie przy mnie... Lepiej rób to samo co ja.

- Przyniosłam ci trochę soku jabłkowego - rzekła Priss, przytykając mi filiżankę do ust.

Sok miał wspaniały smak. Zaczepnęłam spory łyk, nim ponownie opadłam na poduszkę. Potem poprosiłam siostrę, by przygotowała mi kąpiel. Chciałam zaskoczyć Mickeya odświeżona i w czystej pościeli, bo tylko na to było mnie dzisiaj stać. Miałam do dyspozycji prawie trzy godziny przed umówionym pojawieniem się Harry'ego.

Priss dołożyła wszelkich starań, by zapewnić mi optymalną temperaturę. Gdy moja obolała skóra zetknęła się z wodą, poczułam się cudownie. Zanurzony w pianie odchyłoną do tyłu głowę, doznałam wrażenia, jakby całe

moje ciało znalazło się w zagłębieniu namydlonej dłoni. Po jakimś czasie rozległo się pukanie. W uchylonych drzwiach łazienki pojawiła się głowa Priscilli.

- Mam się o ciebie martwić?
- Myślę, że świetnie sobie radzę.
- Masz dopływ tlenu? -Tak.
- Chcesz, żebym, umyła ci plecy?
- To byłoby cudowne - westchnęłam.

Priscilla namydliła mały ręcznik, sadowiając się na krawędzi wanny. Pochyliłam się, odsłaniając plecy. Usłyszałam cichy jęk zgrozy, który usiłowała zamaskować kaszlem.

- Wybacz, powinnam cię była ostrzec. Nie jest to piękny widok.

- Lucy, jak to możliwe, że jesteś taka chuda? - W jej głosie pobrzmiwało przerażenie.

Potem usłyszałam, jak pociąga nosem, i już wiedziałam, że płacze.

- Umyjesz mi w końcu te plecy?

Priscilla przeciągnęła ręcznikiem wzdłuż mego kręgosłupa tak łagodnie, że powiedziałam jej, żeby się nadmiernie nie przejmowała.

- Trzyj porządnie! Nie zranisz mnie.
- Jesteś pewna?
- Najzupełniej.

Gdy w końcu na serio wzięła się do roboty, poczułam się cudownie. Potem oblała mi plecy wodą, rozpuściła mi włosy i zmoczyła je. Nie prosiłam jej o umycie głowy, ale

nie protestowałam. W rzeczy samej byłam w siódmym niebie, czując delikatny masaż jej szczupłych palców. Jej łagodność, delikatność i uprzejmość sprawiły, że zaczęłam płakać. Czułam, jak łzy płyną mi po twarzy, ale nie przeprosiłam.

Gdy Priscilla owinęła moją szyję ręcznikiem, wzięłam ją za rękę i złożyłam na niej pocałunek. Zobaczyłam, że Priss też płacze. Ponownie się zanurzyłam i jeszcze raz wynurzyłam - cała w pianie. Ale nawet teraz mój brzuch sterczał niczym jakaś śliska wyspa. Priss smutno się uśmiechnęła. Była bez makijażu i miała spięte włosy.

- Wszystko będzie dobrze, Priscillo - powiedziałam łagodnie.

Jej oczy znów zaszklily się łzami, ale nie odwróciła głowy.

- To ja powinnam cię o tym zapewniać. Nigdy nie masz dosyć opiekania się nami wszystkimi, Lucy? Czy nigdy nie ogarnia cię gniew na to wszystko?

- Ostatnio owszem. I to bez przerwy. Denerwuje mnie zwłaszcza to, że mój mały problem zjawił się właśnie teraz.

- Tylko ty nazywasz to małym problemem. Pokręciłam głową.

- Nie jestem jeszcze gotowa, Priss.

- Nikt z nas nie jest, kochanie.

Po chwili dłużącej się ciszy powiedziałam:

- Mama też nie była gotowa. Myślę, że rozumiem, jak się czuła. Nie zrobiła wszystkiego, co zamierzała. Miała ważne sprawy, które chciała doprowadzić do końca.

- Na przykład?

- Chciała dokończyć wychowywanie mnie. Zobaczyć, jak Lily i Ron się pobierają. I naprawdę chciała się z tobą pogodzić.

- Co takiego?

- Myślisz, że to dla niej nic nie znaczyło? - zapytałam. - Wiesz, że cię kochała.

- Nie wiem, jak to możliwe. Byłam kompletnie beznadziejna.

- No cóż, to prawda - przytaknęłam zgryźliwie. - Mimo wszystko...

Priscilla wzruszyła ramionami jak mała dziewczynka.

- Zrobiłam coś strasznego i mama nigdy mi tego nie wybaczyła.

- Jestem pewna, że się mylisz.

- Zaszłam w ciążę.

Jej słowa na kilka sekund zawisły między nami.

- Wiem.

- Skąd? Powiedziała ci?

- Nie. Domyśliłam się, kiedy dorosłam. Podałaś się aborcji. Czy to dlatego sądzisz, że mama nigdy ci nie przebaczyła?

- Nie. Pragnęłam tego dziecka. Trent i ja - to było dziecko Trenta - zamierzaliśmy się pobrać. Mieliśmy po siedemnaście lat i wiedzieliśmy, z czym się to wiąże. Ale potem je straciłam. Wtedy wszystko się skończyło. Byłam wściekła. Na wszystko i wszystkich. Wiem, że mama umarła, czując do mnie nienawiść.

- Jak możesz być taka mądra, a jednocześnie taka głupia?

Priss pokręciła głową.

- Wiesz, Lucy, byłam taka popaprana. Ale wiem, że to właśnie dlatego nigdy nie miałam odwagi, by doprowadzić coś do końca. Wszystko straciło sens. Wszystko odpuściłam.

- O czym ty mówisz?

- Kiedy byłam dzieckiem, nie mogłam zrozumieć, jak Bóg może odbierać mi, nam, babcię. Potem tatę. Potem moje dziecko. A gdy zachorowała mama, na myśl o Bogu czułam nienawiść. - Priscilla ukryła twarz w dłoniach i na chwilę zamilkła. - Kiedy przed laty natrafiłam u siebie na ten guz - wtedy gdy Kenny Boatwright wrócił do żony - po prostu się poddałam...

- Już dobrze, kochanie.

Pojedyncza łza popłynęła po policzku mojej siostry.

- Tak bardzo dbam o to, by niczego nie stracić, że nic nie mam. - Priscilla westchnęła. - A teraz czeka mnie kolejna utrata. I nie mam na to najmniejszego wpływu.

- Nigdy go nie mamy, Priscillo. Mama też go nie miała. Moja siostra spojrzała na mnie przenikliwie.

- Możesz w to nie wierzyć, i gdybym była w innym nastroju, przypuszczalnie nigdy bym się do tego nie przyznała, ale zawsze źle mi było z tym, że jestem takim utrapieniem.

- No i dobrze. Powinno być ci z tym źle. -I jest!

- W każdym razie mama dobrze o tym wiedziała. Martwiła się tobą, bo wiedziała, jaka jesteś delikatna. Najdelikatniejsza z nas wszystkich. Tak powiedziała.

- Nie powiedziała tak.

- Owszem. Mówiła, że to ty jesteś tą wrażliwą, a Lily jest tą, która ma najprzyjemniejszy charakter.

- A co mówiła o tobie?

- Nie pamiętam. Zdaje się, że uważała, że jestem silna. Priss przytknęła dłoń do ust i się nie odezwała.

- Ona cię znała, Priss. Przypuszczalnie lepiej, niż ty kiedykolwiek znałaś samą siebie. Mawiała, że jeśli ktoś kiedyś dokopie się do twojego wnętrza, to będzie to musiał być bardzo cierpliwy człowiek i że zajmie mu to dużo czasu.

- Nie powiedziała tego - stwierdziła cicho i bez przekonania Priscilla.

- Owszem, powiedziała. Mówiła też, że kiedy ten ktoś już tego dokona, będzie najszcześniejszym człowiekiem na świecie.

Moja siostra zaczęła szlochać.

- Nie wierzę, że mama kiedykolwiek tak o mnie mówiła.

- A powinnaś. Ona wiedziała o wszystkich tych ważnych rzeczach, o których wiedzą mamy. Wiedziała nawet, że któregoś dnia ty i ja przeprowadzimy taką rozmowę.

- Jasne.

- Oczywiście, że tak! Była już bardzo chora - zdarzyło się to na kilka dni przed jej śmiercią - i opowiadała mi o tym wszystkim, czego nie dożyje. I powiedziała: „Wiesz, Lucy, któregoś dnia Priss będzie chciała o mnie porozmawiać, a wtedy jej powiesz, że nigdy nie przestałam jej kochać i nigdy nie uwierzyłam, że ona przestała kochać mnie”. - Aby wymownym spojrzeniem podkreślić te słowa,

chciałam popatrzeć w oczy Priscilli, ale nie byłam w stanie. -
No i proszę. Nie pomyliła się.

Siostra podciągnęła kolana pod brodę, nieomal składając się
wpół. Wyglądała jak mała dziewczynka, bezbronna i pełna
nadziei.

- Naprawdę tak powiedziała?

- Co do słowa.

Wbiła wzrok w podłogę i długo milczała. Przyszły mi na myśl
owe straszne ostatnie dni życia mamy, która tak bardzo cierpiała,
ale wciąż dzielnie się trzymała. Jeszcze nie zakończyła
wszystkiego, co zamierzała. Dobrze wiedziałam, jak musiała się
czuć. Nawet kiedy śmierć już po nią przyszła, a jej straszliwa
obecność w pokoju była wyraźnie wyczuwalna, mama myślała o
czymś, co chciała mi jeszcze powiedzieć; ale z jej ust dobywały
się tylko jakieś niewyraźne, nedorzecznie brzmiące zdania i
strzępki ostatnich pouczeń wypowiedzianych w delirium. Nic, co
byłoby racjonalne - choć na sam koniec odzyskała jasność
umysłu.

Drzemałam w fotelu taty, trzymając ją za rękę. Nie wiem, jak
długo spałam, ale zbudził mnie dźwięk nadjeżdżającego pociągu.
Mama wpatrywała się we mnie tak samo jak za dawnych lat. Jej
zasnuty zazwyczaj mgiełką cierpienia i stepiony od leków wzrok
był teraz zupełnie bystry. Wydała mi się tak bardzo odmieniona,
że przez chwilę myślałam, że śnię. Wyglądała tak jak przed swoją
chorobą. Całkowity spokój wymazał z jej twarzy głębokie
bruzdy. A ja wiedziałam już, że jej czas nadszedł. Ona również to
wiedziała. Chwyła mnie za rękę i przyciągnęła

do siebie. „Lucy, taka dobra z ciebie dziewczynka - wyszeptała. - Kochanie, nigdy nie poddawaj się strachowi, bo nie istnieje nic, czego należałoby się bać”.

Nie wiedziałam, co ma na myśli, lecz zanim zdążyłam o cokolwiek spytać, poprosiła mnie, bym jej przyniosła odrobinę lodu. Pamiętam swoje wahanie. Nie chciałam wychodzić z pokoju, gdyż była tam Śmierć. Z jej znanego mi już spojrzenia wyczytałam, że gdy wrócę, zastanę matkę martwą. Ale wiedziałam też, że tego właśnie chciała mama, więc pocałowałam ją w policzek i zeszłam do kuchni po lód.

Zaczęłam kaszleć. Już po chwili Priscilla była przy mnie.

- Wychodź z wanny. Pewnie zmarzłaś.

Podawała mi ręcznik i pomogła wstać. Ponownie westchnęła na widok moich wychudzonych nóg, rąk i nieproporcjonalnie dużego brzucha pokrytego sinymi żyłkami. Przepasałam się ręcznikiem.

- Zapewne będziesz mieć teraz koszmary.

- Zapewne - odparła, nie całkiem żartobliwie. Pomogła mi włożyć świeżą piżamę, po czym zasiadłam

w obszernym fotelu niegdyś należącym do ojca. Zaczęłam kaszleć w ręcznik, a moja siostra wysuszyła mi włosy. Nigdy wcześniej nie sądziłam, że kiedykolwiek będę żywić wobec Priscilli taką czułość. Kiedy skończyła, usiadła na skraju łóżka i wzięła mnie za rękę.

- Lucy, jest tyle rzeczy, o których powinnam była powiedzieć mamie. Nie chciałabym tym razem popełnić tego samego błędu.

Gdy jej oczy wypełniły się łzami, przysunęłam sobie do ust jej dłoń.

- Kocham cię, Lucy.

- Wiem o tym, kochanie. Zawsze wiedziałam.

Nacieralam wysuszoną skórę balsamem, gdy tymczasem Priscilla zmieniała mi pościel. Bardzo pieczołowicie założyła nową poszwę, a nawet strzepnęła kołdrę przed rozłożeniem jej na materacu. Następnie ją uniosła i pomogła mi wejść do łóżka. Obiecałam, że będę w nim leżeć, dopóki nie pojawi się Harry.

Natychmiast zapadłam w coś w rodzaju snu, zarazem niejasno uświadamiając sobie dochodzący jakby z zewnątrz odgłos własnego oddechu, szmer aparatu tlenowego i dźwięk dzwonka przy drzwiach wejściowych. Pamiętam, że Lily całowała mnie i dotykała mojej twarzy. Miała takie smutne oczy.

- Lu - powiedziała zdławionym głosem. - Czy jesteś pewna, że właśnie tego chcesz?

- Tak. Chcę dać jej ciebie - odparłam, a wtedy z piersi mej siostry dobył się cichy szloch, ja zaś usiłowałam ucisnąć jej rękę, lecz znowu straciłam przytomność.

Następną rzeczą, jaką zapamiętałam, była zgromadzona w pokoju cała moja rodzina - Ron i Lily, Harry, Priscilla i Mickey, który klęczał przy łóżku. Znowu płakał. Zdaje się, że wszyscy płakali. Mickey gładził mnie po policzku i przesiewał przez palce moje włosy.

- Jesteś pewna? - spytał.

Wiem, o co pytał. Patrzyłam na niego, po czym przeniosłam wzrok na siostry, a później na Rona.

- Będzie tak, jak mówiliśmy, prawda? - spytałam, a Ron skinął głową.

Lily - po której twarzy spływały łzy - również przytaknęła. Zwróciła się w stronę Mickeya, unosząc rękę do jego ramienia.

- Jesteś pewien?

- Tak - odparł szeptem.

Pomógł mi usadowić się na posłaniu, po czym obok mnie zasiadł Harry z dokumentami.

- Proszę cię bardzo, dzieciaku - powiedział, otwierając tekturową teczkę.

Wręczył mi wydobyte z kieszeni pióro. Następnie, używając brzucha jako stołu, umieściłam na dokumentach swój podpis, czyniąc adopcję mej córki oficjalnym faktem.

ROZDZIAŁ 30

19 listopada 2011

Pierwszą rzeczą, jaką każdego ranka robi Lily, jest teraz pomoc przy porannej toalecie Lucy: czesanie jej włosów, wcieranie odżywki w skórę dłoni, wkładanie skarpetek. Również i ja mogłem robić to wszystko, ale dla Lily dopuszczenie jej do tych wszystkich intymnych czynności ma chyba wielkie znaczenie. Kiedyś obserwowałem, jak powoli i delikatnie wkłada w rękaw swetra jedną wychudzoną rękę Lucy, po czym robi to samo z drugą. Gdy Lily skończyła zapinać sweter, pochyliła się i złożyła pocałunek na czole mojej żony. Lucy podniosła na nią wzrok i próbowała się uśmiechnąć. Żadna z nich nie powiedziała ani słowa, lecz jakże wymowna była ta chwila!

Od czasu jak Lily urządziła w klubie Colby's urodzinowe przyjęcie dla Lucy, wiedziałem, że obie siostry łączy szczególna więź. Pamiętam, że Lily była wtedy szczupła, niebrzydka, choć niepozorna. Nadal zresztą taka jest, ma jednak w sobie głębię zrodzoną z cierpienia i przejawiającą się w niezwyklej delikatności i wielkoduszności. Przed laty, gdy planowaliśmy

owo przyjęcie, dużo opowiadała mi o Lucy - o tym wszystkim, co tak bardzo w niej podziwiałam. Były to najrozmaitsze cechy: począwszy od jej młodości, wytrwałości i niezawodności, a na cierpliwości, zdolności do wybaczenia, spokoju i graniczącej z dziwactwem niezłomności skończywszy. Lily właśnie tak to określiła: „niezłomność granicząca z dziwactwem”, a ja uśmiechnąłem się do siebie na to wspomnienie. Bez wątpienia również i dzisiaj opisałaby Lucy tymi samymi słowami, mimo że było kiepsko.

Lucy przez całą noc źle się czuła. Miała mokry kaszel i z trudem łapała powietrze. Doktor Peter Gladstone znalazł czas, by się z nami spotkać, więc wszedłem do sypialni z zamiarem nieznacznego przyspieszenia naszego wyjazdu. Poczulem się jednak jak intruz bezczeszczący święte miejsce. Zastane Lily siedzącą z głową Lucy opartą na jej ramieniu. Obie trzymały się za ręce, wpatrując się w dal, a na ich twarzach malowały się miłość i oddanie. Łącząca je więź zdawała się nie znać żadnych granic. Po raz pierwszy, oderwawszy się od własnego cierpienia, wejrzałem w złamane serce Lily. To był widok trudny do zniesienia, więc musiałem wyjść z pokoju.

19 listopada w Brinley sypał śnieg. Jak gdyby na skinienie zmieniła się pora roku: niespieszna jesień, długa, spokojna i mieniąca się barwami, ustąpiła miejsca zimnu, słońcu i szarudze, które spowiły świat w posępną beznadzieję. Razem z Mickeyem byliśmy właśnie w drodze do szpitala, by spotkać się z Peterem Gladstone'em, mnie zaś było

na duszy tak ciężko, jak ciężki był cały ten dzień. Przede wszystkim było mi zimno. Mimo że w samochodzie strumień gorącego powietrza dmuchał mi prosto w twarz, byłam przemarznięta do kości. Oddychałam z trudem i czułam ostry ból w całym ciele. Mickey pociągnął mnie za rękę, wybudzając z półdrzemki.

- Hej, dobrze się czujesz?

Nie otwierając oczu, przytaknęłam, choć była to nieprawda. Próbowałam tylko zagłuszyć rżący, świszczący dźwięk dochodzący z mych płuc, kiedy oddychałam. Mickey ścisnął palce mej dłoni, ja zaś starałam się odwzajemnić ten uścisk, lecz nie byłam w stanie zdobyć się na podobny wysiłek. Moje płuca ponownie wypełniły się płynem i miałam dzisiaj wrażenie, jakbym próbowała chwycić powietrze przez nasączony wodą ręcznik. Byłam wręcz w stanie dosłyszeć plusk wody w swoim organizmie, a może była to tylko moja wyobraźnia.

Byłam skrajnie wyczerpana. Nie wiedziałam już, co to wytchnienie; a w każdym razie nie w sytuacji, gdy każdy oddech musiał być dobrze przemyślany i zaplanowany. I czułam ból. W całym ciele. Jego fale zalewały mnie, jakby miały zupełnie mnie pochłonąć. Nie potrafiłam stwierdzić, gdzie cierpienie się zaczynało ani gdzie kończyło; wiedziałam tylko, że pulsuje i przenika cały mój organizm, jakby spływając gdzieś z tyłu, po nogach. Każdy mięsień uczestniczący we wdechu zdawał się buntować, podobnie jak każdy mięsień uczestniczący w wydechu.

- Jestem pewien, kochanie, że doktor Gladstone będzie

w stanie coś zrobić, żeby poprawić twoje samopoczucie - powiedział Mickey bez większego przekonania.

Skinęłam głową, zgadzając się przez czystą uprzejmość i z wdzięcznością, że o tym pomyślał. Ale, prawdę mówiąc, zaczynałam już tracić głowę. Choć i to nie do końca było prawdą. Prawda była taka, że traciłam chęć, żeby to ciągnąć. Po spotkaniu z Harrym i podpisaniu dokumentów poczułam się tak, jakbym dotarła do jakiejś linii granicznej, i nieco się rozluźniłam. Dziwne to było. Gdy owego wieczoru wszyscy opuścili moją sypialnię, miałam wrażenie, jakby - pomijając to, że miałam urodzić dziecko - ostatnie z czekających mnie zadań zostało odfajkowane. Wszystkimi innymi sprawami, wszystkimi owymi naglącymi rzeczami ciężącymi na mnie wcześniej już ktoś się zajął albo też straciły na znaczeniu. Po prostu przestało mi na nich zależeć, gdyż wiedziałam, że wszystkie bezpiecznie trafią do cudzego kajetu.

W tej samej chwili, w której zajechaliśmy na szpitalny parking, zaniosałam się kaszlem, a związany z tym wysiłek sprawił, że nie utrzymałam moczu. Zaczęłam płakać, czując ciepło między nogami. Byłam w beznadziejnym stanie. Mickey musiał wszystko już wcześniej przemyśleć, bo gdy po zatrzymaniu auta otworzył drzwi, żeby pomóc mi wysiąść z samochodu, czym prędzej pobiegł po wózek inwalidzki. Czas oczekiwania na jego powrót wydał mi się wiecznością, podobnie jak czas dojazdu owym wózkiem do samego szpitala i izby przyjęć.

Przy kontuarze zapytałam pielęgniarkę pracującą z doktorem Gladstone'em, czy nie miałaby dla mnie jakichś rzeczy

na zmianę, bo zdarzył mi się przykry incydent. Promień jej uśmiechu przeniknął do mojego wnętrza, potrącając jakąś czułą strunę. Byłam zbyt obolała, by poczuć upokorzenie.

- Chodź ze mną, kochanie, zaraz się tym zajmiemy - powiedziała do mnie i poprosiła Mickeya, żeby usiadł.

Na imię miała Sadie, a mnie w owej chwili wydało się, że jest to najsympatyczniejsza istota na świecie. Pomogła mi dostać się do maleńkiej toalety. Oparłam się o ścianę, podczas gdy ona przetrząsała jakąś szafkę.

- Bardzo proszę. Włóż, proszę, ten strój szpitalny. Jest bardzo wygodny. Co jakiś czas sama je podkradam - dodała konfidencyjnym szeptem.

Pomogła mi zdjąć płaszcz.

- Poradzisz sobie?

Skinęłam głową, mając nadzieję, że tak będzie, i pielęgniarka zostawiła mnie samą. Usiadłam na sedesie, usiłując zdjąć buty bez schylania się. Gdy mi się to udało, ściągnęłam ciężowe dzinsy i kopnęłam je w kąt. Kosztowało mnie to tyle wysiłku, że cała oblałam się potem. Nie mogłam złapać tchu i miałam wrażenie, jakby świat wokół mnie nagle się skurczył.

- Och, proszę, proszę... - wyszeptałam błagalnie. Ponownie usiadłam, usiłując nie zemdleć i podnosząc

jak najwyżej swoją maskę tlenową. Poczulałam w nozdrzach silniejszy strumień tlenu i zdobywając się na odwagę, głęboko zaczerpnęłam powietrza. Mobilizując wszystkie swoje siły, spróbowałam się skoncentrować. Zamknęłam oczy i jeszcze raz wciągnęłam powietrze w płuca. Powoli i spokojnie.

Musiałam jeszcze tylko zdjąć bieliznę i włożyć strój szpitalny. Wiedziałam, że mogę to zrobić. Podniosłam się, spojrzałam w lustro i przestraszyłam się. Byłam tak blada, wychudzona, tak niepodobna do siebie. Moje oczy napełniły się łzami, gdy założyłam za uszy kosmyki swych pozbawionych wszelkiego życia włosów. Byłam wydrażoną skorupą, martwą i odrażającą. I kiedy tak stałam, kontemplując swój żalosny widok, nagle ujrzałam w lustrze ją. Stała za moimi plecami. Patrząc jej prosto w oczy, zastanawiałam się, czy podświadomie jej nie pragnę, choć jednocześnie miałam jej za złe, że znowu się pojawiła.

- Jeszcze nie czas - powiedziałam łamiącym się głosem. Gdy jej łagodne spojrzenie skrzyżowało się z moim,

nie mogłam oderwać od niej wzroku. Nie byłam zresztą pewna, czy tego chcę. Nie miało tej pewności ani serce, ani głowa, a w głębi duszy poczułam wręcz coś w rodzaju wdzięczności. Tyle że potrzebowałam jeszcze trochę czasu.

- Nie jestem jeszcze gotowa - poinformowałam ją. Gdy poczułam łzy pod powiekami i obraz w lustrze

uległ zamazaniu, przetałam oczy. Włożyłam w to całą swą energię, i kiedy ponownie spojrzałam w lustro, już jej nie było. Opuściłam majtki i kopnęłam je w kąt, tam, gdzie bezładnie leżały moje dzinsy, a wtedy moje spojrzenie przykuł zaskakujący widok.

W pierwszej chwili nijak nie mogłam pojąć, na co właściwie patrzę. Czerwona bielizna? Nie miałam przecież na sobie żadnej czerwonej bielizny.

Tępo wpatrywałam się w tę czerwień, jakby to było coś żywego, nadal nie chwytając sensu tego, co widzę. I gdy tak stałam, pozerając wzrokiem coś, co nie wydawało się realne, poczułam, jak coś ścieka mi po nogach. Nie mogłam tego zobaczyć z powodu nabrzmiałego brzucha, ale wiedziałam, że stoję w coraz większej kałuży. Powoli z niej wyszłam i spojrzałam pod nogi. Krew. Krwawy ślad stopy na posadzce. Czerwona bielizna! Gdy w końcu dotarł do mnie sens tego, co widzę, serce zaczęło mi walić jak miotem. Uświadomiłam sobie, że z każdym jego uderzeniem uchodzi ze mnie coraz więcej ciepła. Krew! Trzydzieści cztery tygodnie. I śmierć w lustrze... Czyżby nie przyszła po mnie?

W obronnym geście osłoniłam brzuch rękami i zaczęłam krzyczeć ile sił w płucach, z trudem łapiąc oddech. Przy którejś z kolejnych prób, oparta o ścianę, osunęłam się na posadzkę, nie będąc w stanie dłużej utrzymać się na nogach. Zaczęłam zamykać się w sobie i zapadać w siebie, jakbym spadała w głąb otchłannej studni.

Temu, czego doświadczyłam później, przypatrywałam się niczym postronny obserwator, uwięziony w centrum wydarzeń. Mój umysł zarejestrował Sadie, a potem jeszcze jedną pielęgniarkę, stłoczone w maleńkiej łazience. Ubrały mnie w strój szpitalny, a ja pomyślałam: „Jak dobrze, że się mną zajmiecie - kobietą w zupełnej ruinie. A ja zajmę się resztą, czyli moją małą, która nagle znalazła się w niebezpieczeństwie”. Każda moja komórka, każdy impuls mego układu nerwowego nakierowane zostały na ochronę jej

życia. Zmobilizowawszy resztki sił witalnych organizmu, mój mózg rzucił się do walki o życie mojej małej córeczki.

Rzecz zastanawiająca, pomimo paniki poczułam, jak przestaje się utrzymywać na powierzchni. Spodziewałam się znów ujrzeć Śmierć, ale jej nie dostrzegłam. Na myśl o tym poczułam otuchę, postanowiłam jednak, że nie będę tracić swych cennych rezerw na pertraktacje z nią. Po prostu nie pozwolę jej zabrać mojej córki! I tyle.

Nagle do ciasnego pomieszczenia wpadł Mickey. Dźwignął mnie, jakbym była szmacianą lalką, przejmując inicjatywę.

- Dokąd?! Dokąd mam ją zanieść?! - ryknął, gorączkowo dysząc.

Biegając, całował mnie w głowę, ja zaś, czując rytm jego kroków, przez cały czas byłam świadoma uchodzącej ze mnie krwi.

- Za mną! Szybko!!! - wrzasnęła Sadie. - Nie wiem, gdzie jest wózek inwalidzki. Mam ją wziąć na ostry dyżur?! - krzyknęła w stronę jakiegoś człowieka. - Albo na górę? Zadzwoń na górę i powiedz, że zaraz tam będziemy! - zawołała ponownie.

Takiego rozwoju wydarzeń z pewnością nikt się nie spodziewał i każdy był mocno zaskoczony, lecz Mickey mocno trzymał nas w ramionach i wiedziałam, że mnie z nich nie wypuści.

Musiałam zapaść się w niebyt, bo jakiś czas później obudziłam się, choć może nie jest to najlepsze słowo. W każdym razie ponownie wróciłam do przytomności. Leżałam

w jasnej sali. Tak jasnej, że widziałam tę jasność nawet przez zamknięte powieki, które mimo moich największych wysiłków nie chciały się rozewrzeć. Słyszałam mnóstwo ludzi, którzy wykrzykiwali jakieś alarmujące informacje, jak „deceleracja późna”, „kryzys metaboliczny”, „rozsiane wykrzepianie śródnacyniowe”. Ale najgorsze było to: „Musimy wydobyć to dziecko! Natychmiast!”.

Ktoś chciał wiedzieć, gdzie, do cholery, jest człowiek podający znieczulenie zewnątrzoponowe, a ktoś inny krzyknął:

- Tracimy ją! Ciśnienie sześćdziesiąt sześć na czterdzieści!

- Przewróć ją na bok! - zawołał jakiś męski głos, a po chwili poczułam na plecach zimny podmuch.

Ale nie ból. W ogóle nic mnie nie bolało. Było to dziwne.

Mickey miażdżył mi dłoń w uścisku i nie zamierzał wyjść, choć lekarze najwyraźniej prosili go o to kilka razy. Wiedziałam, że nigdy by mnie nie opuścił, on jednak chyba nigdy by się nie domyślił, jak bardzo ciągle szeptanie mi na ucho: „Trzymaj się, kochanie, trzymaj się” - pomaga mi utrzymać się na powierzchni. Zapewne też nie wiedział, że gdyby nie on, pochłonałby mnie chaos rozgrywających się wokół wydarzeń.

Nagle poczułam na twarzy zimną dłoń i wiedziałam już, że przyjechała Charlotte. Pochyliła się nade mną i wyszeptała mi na ucho:

- Co ty najlepszego wyrabiasz, maleńka? Chciałam się rozpłakać, ale nie mogłam otworzyć oczu.

- Jak się ma nasza dziewczynka? Dobrze się nią opiekujesz? - zapytała Mickeya.

- Robię co w mojej mocy - odpari łamiącym się głosem.

- Czekamy na panią, pani doktor - powiedział ktoś stojący nade mną z drugiej strony.

- Co chcecie zrobić? - spytał Mickey tonem przestraszonego dziecka.

- Zamierzamy sprawić, by urodziła się pańska córka. Poczułam, że silne, zręczne ręce Charlotte ściskają mnie

za ramię, i raz jeszcze usłyszałam przy uchu jej niski głos.

- Zostań ze mną, młoda damo - powiedziała z mocą. - Jeszcze z tobą nie skończyliśmy.

Następnie zostałam bezceremonialnie odwrócona na bok i choć próbowałam być pomocna, po prostu nie czułam własnego ciała. Gdy ułożyli mnie we właściwej pozycji, czekałam, aż ktoś mi każe przeć, ale nikt nic nie powiedział. Nawet Charlotte.

Ilekcóż jest to możliwe, Charlotte przyjmuje porody swoich pacjentek. I choć podejrzewałam, że jej obecność na sali oznacza, że przyjmie również i mój, Charlotte wydawała się jedynie częścią zajmującego się mną większego zespołu. Jakiś inny lekarz wszystkim kierował. Kazał sobie podawać narzędzia, pytał o parametry życiowe, sprawdzał, czy Mickey nie mdleje, gdy szybkimi, wprawnymi ruchami rozcinał moje ciało.

Zapanowała taka cisza, że rozpaczliwie chciałam zobaczyć, co się dzieje. Nawet Mickey wstrzymał oddech. Dosłyszałam czyjeś mamrotanie, ale nie mogłam uchwycić słów, póki nie usłyszałam:

- Jest malutka. Waży kilogram czterysta gramów. Ale

kruszyńka... No, dalej, kochanie, zacznij oddychać. A zacznijże oddychać, do diabła!

Gdy tak się nie stało, na sali wszczął się ruch. Usłyszałam dźwięk zasysanego powietrza i słabiej przytłumiony kaszel. Potem padło dziwne słowo „Apgar”, po czym ktoś powiedział: „Trzy w pierwszej minucie”, co nie wiedzieć dlaczego sprawiło, że salę wypełniła jeszcze bardziej gorączkowa krzątanina.

- Co się dzieje? - spytał miękko Mickey, a potem puścił moją rękę i głośniejszym głosem powtórzył swoje pytanie.

Nikt mu nie odpowiedział.

- Charlotte! - krzyknął Mickey głosem, w którym pobrzmiwała histeria. - Coś nie tak z dzieckiem? Co się dzieje? Dlaczego nie oddycha?

ROZDZIAŁ 31

19 listopada - nieco później

Kiedy ją poznałem, miała tylko dwadzieścia jeden lat. Przerażała mnie. Setki razy podnosiłem słuchawkę telefonu i po chwili wahania odkładałem ją na widelki. Marzyłem o niej. Nikt nigdy nie zwracał się do mnie tak jak ona - bez politowania. Lucy zawsze oczekiwała, że dorosnę do sytuacji, czasem pozwalala sobie nawet na nieco prowokacyjny ton. „Jeśli chcesz spróbować ze mną szczęścia, to jestem tutaj”, mawiała. Ja miałbym spróbować z nią szczęścia! Na pewno nie to miała na myśli. Nie mogła.

Tamtej nocy wcale nie zamierzałem jechać, żeby ją zobaczyć, ale i tak pojechałem. Potem przesiedziałem w samochodzie przed jej domem chyba ze dwie godziny, wewnątrz rozdarto. Nie pamiętam, bym kiedykolwiek ośmielił się pragnąć czegoś lub kogoś tak bardzo jak jej, a jednocześnie byłem śmiertelnie przerażony, że ona mnie zobaczy - mnie! - i się wycofa.

Przejechałem więcej niż połowę drogi do domu, zanim zrozumiałem, że odrzucam największą szansę swego

życia. W mojej głowie rozbrzmiewało wiele głosów, ale ostatecznie zagłuszył je wszystkie jeden, który przekonał mnie, że będę głupcem, jeśli nie pozwolę jej na to, by mogła mnie pokochać. Mimo to, gdy już dotarłem na miejsce i zobaczyłem ją siedzącą na skraju płaskiego dachu swego domu, zdobyłem się tylko na to, by ją obserwować. I już zamierzałem odjechać, gdy wstała z miejsca i ruszyła w moim kierunku. Na jej twarzy malował się strach, który był odbiciem mojego strachu. Ale również nadzieja. W jej oczach ujrzałem zaufanie, na które niczym sobie nie zasłużyłem. I obietnicę.

Jak ona to robiła? Jak jej się udawało przemawiać do mojej duszy, i to właśnie takim językiem, jaki moja dusza mogła rozumieć?

Dziś w nocy, gdy moja żona umiera, zdumiewa mnie f o, jak bliski byłem wtedy odejścia od niej i jak ubogie byłoby moje życie, gdybym tamtej nocy nie podjechał pod jej dom. I chociaż mam ją stracić, jeszcze większą trwogą napawa mnie myśl o tym, że mógłbym nigdy z nią nie być.

„Jest w śpiączce”, „Nie reaguje na bodźce”, „Umiera” - słowa te wzbijały się w powietrze wokół mnie w trakcie nerwowej, pełnej łez rozmowy toczonej przez obecnych na sali. Usiłowałam się poruszyć, przemówić, zrozumieć sytuację. Mickey gładził moje palce, a ja wyczuwałam jego strach. Wiem, że gdybym tylko mogła uścisnąć jego rękę, pocałować go w policzek, z pewnością poczułby się lepiej.

Próbowałam w pełni się przebudzić, odzyskać przytomność, by spełnić powtarzające się jego prośby:

- Lucy, kochanie, otwórz oczy. Obudź się. Proszę, obudź się.

Słyszałam własny oddech, głośny i wilgotny, ale, rzecz zastanawiająca, nie czułam wysiłku, jaki musiał towarzyszyć moim próbom zaczerpnięcia tchu. Ponownie starałam się przemówić, dobyć z siebie słowa. Dziecko. Dlaczego nikt nie mówił o dziecku? Poczulałam nagły strach i po raz kolejny zmobilizowałam wszystkie swe siły, które zdawały się sparaliżowane, by się przebudzić. Ale nadal nie mogłam otworzyć oczu.

Jej obecność uświadomiłam sobie w tej samej chwili, w której dotarło do mnie, że mówią o mnie. Widmo znów tam było, choć nieco na uboczu, więc nie mogłam wyraźnie go zobaczyć. Czułam je jednak. Czułam na sobie jego spojrzenie.

- Moje dziecko? - spytałam je bez słów.

Nie odpowiedziało, a cały ciężar smutku, w jakim pogrążona była moja rodzina, przytłoczył również i mnie.

- Nie możesz mieć nas obu. To by ich zabiło - powiedziałam. - Czy już nadszedł czas? - spytałam, starając się sprawić, że usłyszysz moje myśli.

- Już wkrótce - odparła Śmierć.

Zirytowana bezsilnością, jaka stała się mym udziałem, skupiłam się na rzeczywistości poza moim ciałem. Skoncentrowałam się na ręce trzymającej moją dłoń. Tam właśnie byłam. Musiałam tylko przeniknąć przez barierę oddzielającą mnie od świata zewnętrznego.

- Lu? - powiedział Mickey zdławionym głosem. - Kochanie? Otwórz oczy. Proszę.

Usłyszałam Petera Gladstone'a, który przechadzał się po sali i z każdym rozmawiał. Z każdym prócz mnie. Powiadomił moją rodzinę o formularzu podpisanym przeze mnie przed dwoma tygodniami - moim testamencie życia. Stanowił on, że nie życzę sobie sztucznego dotleniania, chyba że miałyby to ocalić życie mojemu nienarodzonemu dziecku. W owym czasie doktor Gladstone wyjaśnił mi, jak wedle jego przewidywań będzie wyglądała ostatnia faza mojej choroby. Poinformował mnie, że choć będę podtrzymywana przy życiu za pomocą środków mechanicznych, to w niczym nie zmieni to skutków raka. Gladstone twierdził również, że jeśli niezbędny stanie się respirator, będzie on jedynie przedłużał cierpienia moich bliskich. Wyobraziłam sobie tę scenę ze wszystkimi szczegółami: wszyscy ci, których kocham, otaczają moje łóżko, skrajnie udręczeni. Podpisałam dokument bez chwili wahania, czym prędzej odpychając od siebie obraz Mickeya czepiającego się tej mnie, która już nigdy więcej się nie obudzi.

Teraz te ponure wieści przekazane zostały mojej rodzinie w sposób nie tyle beznamiętny, ile raczej bez należytej delikatności. Peter Gladstone zawsze zachowywał się nieco sztywno i nie porzucił tej formy również dzisiaj, więc już wkrótce usłyszałam, jak Mickey płacze, pociągając nosem. Priscilla wpadła w gniew i oznajmiła:

- Bzdury!

Lily zaś z rozpaczą w głosie powiedziała:

- Więc to wszystko? Nie możemy już nic dla niej zrobić? Ona nie może oddychać!

- Lucy nie chciała, byśmy za wszelką cenę usiłowali ją zatrzymać - oświadczył lekarz. - Nie życzyła sobie stosowania przez nas środków mogących jedynie odsunąć w czasie to, co nieuchronne. Wszystko jest jednoznacznie wyjaśnione w tym dokumencie.

- Jak długo, doktorze Gladstone? Jak długo to potrwa? - spytał Ron spokojnym głosem, który jednak drżał z emocji.

- Chciałbym to wiedzieć. Lucy zaskakiwała mnie na każdym kroku, więc może i teraz mnie zaskoczy. Myślę jednak, że niedługo.

Spojrzałam w te oczy, znane mi, odkąd byłam dzieckiem. Zwróciłam się w ich stronę, wiedząc, że tylko ona może uśmierzyć mój strach.

- Niedługo?

- Już wkrótce - odparła Śmierć.

Nieco później widmo skinęło do mnie i wyciągnęło rękę. Poczułam, jak coś we mnie pęka, ale zdołałam nad tym zapanować.

- Nie mogę odejść bez pożegnania - powiedziałam, gdyż nie było to w moim stylu.

Śmierć skinęła głową i nagle poczułam, że wychynęła mnie na powierzchnię; bo tylko tak mogę to opisać. Obudziłam się, a wtedy od razu poczułam ból i doznałam strasznego wrażenia, że się duszę. Otwarłam oczy i stwierdziłam, że leżę

w pokoju pogrążonym w półmroku, rozpraszanym jedynie przez światło lampy stojącej przy moim łóżku. Mickey oparł głowę na tuż przy naszych splecionych w uścisku dłoniach.

- Mic? - wychrypiałam.

Podniósł na mnie wzrok i błyskawicznie zerwał się na nogi. Oczy miał zapuchnięte od łez.

- Hej - wyszeptał.

Pocałował mnie i dotknął mej twarzy szorstką dłonią. W jego oczach dojrzałam ulgę i jakąś irracjonalną nadzieję. Ponownie mnie pocałował.

- Udało ci się, kochanie.

Chciałam spytać, jak ona się ma, ale słowa nie mogły mi przejść przez gardło. Nie miało to jednak znaczenia.

- Jest cholernie dzielna, Lu. Tak samo jak ty. Jeszcze nie oddycha samodzielnie, ale niewiele brakuje. Zajmuje się nią naprawdę miła lekarka. - Mickey podszedł bliżej i ujął mą twarz w dłoń. - Jest piękna, Lu. Świetnie się spisałaś.

- Mic... - Byłam taka zmęczona, a każdy oddech kosztował mnie nadzwyczajny wysiłek. - Kocham cię - powiedziałam drżącym głosem. - Tak bardzo cię kocham.

- Ja ciebie też - odparł Mickey.

Wiedziałam, że nigdy nie przestanę go kochać. Nagle pojęłam, co miała na myśli moja matka, mówiąc mi, że nie istnieje nic takiego, czego należałoby się lękać. Próbowałam zaczerpnąć tchu.

- Mickey... nie bój się.

- Daj spokój - odparł, próbując przemówić takim tonem, jakby to on był tutaj szefem.

Posłałam mu przeciągłe spojrzenie. Więcej niż połowa jego gęstych, cudownych włosów była teraz zupełnie siwa. Na gwałt domagały się strzyżenia. Próbowałam wyciągnąć rękę i je pogładzić, ale nie byłam w stanie. Chwycił mnie za dłoń i ją pocałował.

- Boli cię, Lu? Potrzeba ci czegoś, kochanie? Czegóż mi było trzeba? Czegóż jeszcze mogłam w tej

ostatniej chwili potrzebować poza tym, czego i tak nie mogłam mieć? Nie umiejąc mu odpowiedzieć, spojrzałam tylko w jego smutne oczy, aby móc unieść z sobą ich wspomnienie. Potem poprosiłam mego dobrego męża, by przyniósł mi więcej lodu.

- Lodu? Jasne, kochanie. I powiem pielęgniarce, że odzyskałaś przytomność.

Złożył pocałunek na moim czole, na moich spieczonych ustach i podniósł się z miejsca. W jego zaszklonych łzami oczach zobaczyłam bezgraniczne cierpienie.

- Zaraz wracam - powiedział, po czym wyszedł z pokoju i zostałam sama.

Nie czekałam dłużej. Z trudem zaczerpnąwszy powietrza w płuca, wyciągnęłam rękę do tej, która dała mi znak skinieniem. Gdy to uczyniłam, piękne i przerażające widmo nagle się zmaterializowało.

- A więc to ty - załkałam.

- Tak, kochanie. To ja.

ROZDZIAŁ 32

Jeszcze zanim wróciłem z tym lodem, wiedziałem już, że odeszła. Zupełnie nie mogłem złapać tchu. Ze ściśniętym sercem wpatrywałem się w moją piękną żonę, która wyglądała tak, jakby po prostu spała. Przypatrywałem się jej w milczeniu, ale nie mogłem wejść do tego pokoju. Panował w nim półmrok. Było ciepło. Dwie rośliny doniczkowe i nieotwarte pudełko z talią kart na szafce, i jeszcze karafka na wodę, zapewne wypełniona kostkami lodu, czego wcześniej nie zauważyłem, specjalne łóżko dla chorej, ułożone w pozycji półleżącej, by dało się na nim siedzieć- wszystko to wydawało mi się tak obce.

W końcu udało mi się odetchnąć. Ciemne włosy Lucy rozsypane były na poduszce. Powiedziałem sobie, że moja żona po prostu śpi, i powtarzałem to sobie tak długo, aż w końcu w to uwierzyłem. Ona po prostu odpoczywa, powiedziałem sobie, czekając, aż przyniosę lód. Usiądę na łóżku, a wtedy ona otworzy oczy. Włożę do jej spierzchniętych ust łyżkę z jedzeniem, a ona się uśmiechnie, jakby zaczynała czuć się lepiej.

Dziecko jest już razem z nami i fakt ten sprawi jej wielką radość. To ona tego dokonała. Teraz będzie mogła zacząć zażywać wszystkie te lekarstwa, których nie chciała przyjmować do momentu narodzin córeczki, a które uratują jej życie. Wszystko było na właściwej drodze, powiedziałem sobie. Gdy jednak wolno podszedłem do jej łóżka, moje drugie ja wzdrygnęło się z litości w obliczu tych wszystkich kłamstw, którymi się karmiłem.

- Lu? Kochanie? Lucy?

Usiłowałem opanować łzy. Musiałem być silny, bytem jej to winien. Nie chciałem, żeby zobaczyła, jak się rozklejam. Nie teraz, kiedy miała za sobą najtrudniejszy dzień swego życia. Ale i tak po twarzy popłynęły mi łzy. Ująłem jej dłoń i powiodłem kciukiem po kostkach jej ciepłych jeszcze paków. Na twarzy Lucy nie matował się już wysiłek: każdy jej mięsień był rozluźniony, zniknął też grymas bólu przejawiający się wcześniej w gniewnym uniesieniu brwi. Zacząłem ją błagać, żeby zaczęła oddychać, i wpatrywałem się w jej nieruchomą pierś, głuchą na moje modlitwy.

- O Boże, tylko nie to. Proszę.

Opadłem na krzesło. Wiedziałem, że to wszystko na nic. Odeszła. Wiedziałem o tym, a jednocześnie nie mogłem tego ogarnąć.

- Lucy...

Nie byłem gotów. Nie dzisiaj. Dzisiaj widziałem, jak wydaje na świat córkę bez towarzyszącego temu aktowi bólu, radości ani poczucia triumfu. Nigdy jednak nie wyobrażałem sobie, że naprawdę może mnie opuścić; że naprawdę przestanie oddychać.

Nie mogłem oderwać od niej oczu. Nie mogłem oderwać oczu od kobiety, której każdy uśmiech, każdy dotyk podtrzymywały mnie przy życiu. Po prostu nie mogłem. Nie wtedy, gdy Ron objął mnie ramieniem. Ani nawet wtedy, gdy Lily i Priscilla, a z czasem również inni ludzie stłoczyli się wokół mnie, by płakać razem ze mną. Nie potrafiłem oderwać od niej wzroku, bo jestem pewien, że gdybym to zrobił, to bezpowrotnie bym ją utracił.

Gdy w końcu tak właśnie się stało, poczułem się, jakby moje serce przestało bić. Ktoś zadzwonił do domu pogrzebowego. Wkrótce też pojawili się, występując w swej oficjalnej roli, Earl i Chad, by zabrać moją żonę. Moja ręka nie chciała wypuścić jej ręki. Chad musiał rozewrzeć nasze splecione palce i zrobił to tak delikatnie... Obaj pracowali w milczeniu, ostrożnie spowijając moją Lucy całunem. Unieśli ją i posadzili na wózku inwalidzkim, a Earl poklepał mnie po mokrym od łez policzku. Następnie wywiózł ją z pokoju. Gdy zniknęli mi z oczu, poczułem, że zaczynam się rozpadać. Było to potworne. Spojrzałem na jej puste łóżko i kolana pode mną ugięły, lecz Harry mnie podtrzymał. Złapałem go za szyję niczym dziecko. Wstrząsnął mną szloch. Jan przesunęła dłonią po moich włosach.

- Uspokój się, kochanie. Zabierzemy cię do domu -powiedziała przez łzy.

Pamiętam, że mnie podtrzymywali. Każde z nich wzięło mnie pod ramię, i tak mnie prowadzili. Przez chwilę wszystko wydało mi się nierzeczywiste, jakbym pogrążony był w psychozie, choć jednocześnie byłem boleśnie przytomny i trzeźwy.

Moja żona była martwa, a ja nie mogłem w to uwierzyć. Harry przez cały czas mówił rzeczy w rodzaju: „Jesteś silniejszy, niż ci się wydaje, Mic. Potrafisz z tym żyć, jesteśmy z tobą”, a Jan próbowała się nie rozplakać, choć miała ściśnięte gardło, gdy powtarzała bez końca: „Moja kochana dziewczynka, moja kochana dziewczynka... Ona tak cię kochała, Mickey”.

W przestronnym korytarzu oswobodziłem się z ich objęć i podziękowałem im za ich oddanie. Byli mi jak rodzice w każdym sensie tego słowa, potrzebowałem jednak samotności i oderwania się od ich smutku, gdyż i bez tego przepelniała mnie rozpacz.

- Poradzę sobie - skłamałem. - Pojadę do firmy i powiem o wszystkim Jaredowi. I muszę zadzwonić do taty.

W odpowiedzi na ich zatroskane spojrzenia skinąłem głową na znak, że świetnie sobie poradzę, i to tak przekonująco, że mógłbym dostać nagrodę za tę rolę.

- Zadzwonisz do nas? - spytali.

- Jasne - obiecałem.

Po czym ruszyli w swoją stronę, a ja w swoją. Poszedłem do firmy. Jared, mój dobry przyjaciel, rozplakał się, gdy mu o wszystkim powiedziałem.

- Weź tyle wolnego, ile potrzebujesz - oświadczył. - Ile tylko chcesz, stary. Kiedy pogrzeb?

- Jeszcze nie wiem. Jak się dowiem, zadzwonię.

- Przyjdziemy wszyscy, Mic. Będziemy tam razem, by uczcić pamięć Lucy.

Potem pojechałem do domu, ale gdy byłem już blisko, poczułem ciężar na piersiach i już wiedziałem, że nie będę

w stanie wejść do środka bez niej. Toteż skierowałem się na przystań i wpatrywałem się w czarny nurt rzeki Connecticut. W Nowym Orleanie była dziesiąta trzydzieści i było dość prawdopodobne, że tata jest jeszcze w łóżku. Wykręciłem jego numer, Ucząc na to, że nie odbierze. Kiedy włączyła się automatyczna sekretarka, powiedziałem: „ Cześć, tato, to ja. Mam złe wieści i przepraszam, że zostawiam je na sekretarce”. Tutaj mój głos się załamał. Odzyskałem go dopiero po minucie. „ To stało się... dziś w nocy, tato. Lucy odeszła, a ja... ja mam córeczkę”. Miałem mu jeszcze powiedzieć, że jej opiekunami mają być przede wszystkim Ron i Lily, ale nie zdołałem wykrzesać z siebie energii, by zrobić to teraz, więc tylko go poprosiłem, żeby zadzwonił do Davida, jeśli to możliwe, bo ja nie mam jego telefonu. David to mój brat.

Nie wiem, która była godzina, nie wiem też, jak długo siedziałem w samochodzie, zanim zdołałem otworzyć drzwi. A wtedy moim oczom ukazała się przystań otulona grubym, miękkim jak puch płaszczem śniegu. Brnąłem w nim, kierując się do slipu, przy którym nasza żaglówka była o tej porze roku wyciągana na ląd. Stała na podporach, więc musiałem posłużyć się koszem na śmieci, by dostać się na pokład. W pewnym momencie poślizgnąłem się i rozdarłem okrywający go brezent. Potem musiałem się doczołgać do drzwi kambuza. Ciekaw byłem, czy w tym stanie ducha uda mi się znaleźć w pamięci szyfr do kłódki, ale jakoś sobie poradziłem. Otworzyłem drzwi i zatrzasnąwszy je za sobą, zwałem się w dół, jakbym był w sztok pijany. Przez dłuższy czas siedziałem w ciemnościach na ostatnim stopniu schodów, a następnie

usadowilem się na łóżku. Nie wiem, czy spałem, ale nawet jeśli, to bardzo marnie.

Mogła upłynąć godzina albo cały dzień, gdy pojawił się Ron, a wtedy, ujrawszy przerażenie w jego oczach, zacząłem się zastanawiać, czy nie wyrosła mi druga głowa. Odwożąc mnie do swojego domu, ani na chwilę nie przestawał przeproszać. Następnie dał mi do zjedzenia owsiankę, a nawet, jak mi się zdaje, sam mnie nią nakarmił. Zaprowadził mnie pod prysznic, a następnie ubrał w mój ciemny garnitur, gdyż moje ręce i nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Potem zawiózł mnie do domu pogrzebowego na wystawienie ciała. Gdy byliśmy na miejscu, czułem na sobie wzrok wszystkich obecnych, a kiedy ujrzałem swoją żonę w trumnie, jakiś człowiek uwięziony w mojej piersi zaczął krzyczeć, zanosić się szlochem, domagać się, bym wypuścił go na zewnątrz. Ale pierś nie pękła i ten człowiek nie mógł się wydostać - ani ten jego głos, ani jego łzy.

Wpatrywałem się w moją piękną Lucy, tak bardzo pragnąc, by się obudziła i do mnie wróciła, ale ona pogrążona była we śnie, a ja obserwowałem ją bez słowa. Mógłbym tak się jej przypatrywać przez resztę życia, ale Earl powiedział, że musi zamknąć trumnę, a jego słowa były dla mnie pustym dźwiękiem, dopóki rzeczywiście tego nie zrobił. A wtedy ten człowiek we mnie po prostu się ulotnił.

Jedyne, co pamiętam z pogrzebu Lucy, to to, że narobiłem dużo hałasu i musiałem wyjść. Ron także wyszedł i zajął się mną. Wyszedł również Gleason, tak samo Harry. Tak czy owak to był straszny dzień. Od strony rzeki dął zimny wiatr,

wszędzie wirowały tumany śniegu. Jak gdyby to, co miało nastąpić tego dnia, było zbyt straszne; jak gdyby sama aura się przed tym broniła.

Przyjęli mnie do szpitala. Nie mieli wyboru. Szalałem z bólu, byłem agresywny i hałaśliwy. Mogłem w takim stanie zrobić krzywdę któremuś z tych najdroższych mi ludzi, jakich miałem w życiu. Dzięki Bogu tak się nie stało, ale by temu zapobiec, Gleason musiał przez cały czas mocno trzymać mnie za ramię. Gleason jest całkiem silny jak na takiego starego faceta.

W końcu mój stan się ustabilizował. Siedziałem w izolatce szpitala psychiatrycznego. Wcześniej wstrzyknięto mi kilka dawek haldolu, które mnie przymuLily, lecz nie na tyle, by tamto nie mogło wrócić. Nie było już ju^y.

Nie miałem pojęcia, ile przesiedziałem w tej ponurej norze. Wiedziałem tylko, że Lucy nie żyje, i świadomość ta zupełnie mnie przytłoczyła. Gleason wpadł do mnie na chwilę, ale nie rozmawialiśmy. Pod wpływem leków stałem się potulny, więc gdy sobie poszedł, dwaj gburowaci pielęgniarze poprowadzili mnie korytarzem do zwykłej sali szpitalnej. Tutaj śpię, a w każdym razie leżę na łóżku, tępo wpatrując się w ścianę. Kilka razy wpadł do mnie Ron, ale - prawdę mówiąc - nie jestem pewien, czy odwiedzał mnie przez kilka dni, czy może kilka razy tego samego dnia. Tutaj czas nic nie znaczy, a zimowe ołowiane niebo za moim oknem chyba już na zawsze miało pozostać ciemne i ponure.

Od personelu szpitala zażądałem tylko jednego: żeby nikomu nie pozwolono mnie odwiedzać. Peony zapewniła mnie,

że tak się stanie, ale że zakaz nie obejmie najbliższej rodziny, mającej prawo do wizyt. Tak więc przychodzi Ron, a także Lily i, co ciekawe, Priscilla. Lily zawsze płacze. Czasami udaje, że śpię, byleby sobie poszła. Lily mówi, że chce nadać dziecku imię, ale nie chce tego robić bez mojego udziału. Ze wstydem muszę wyznać, że jest mi to zupełnie obojętne.

Dziś wieczór przyszła wcześniej niż zwykle, ja zaś znów miałem zamknięte oczy. Nie dała się jednak nabrać. Znów zaczęła mnie prosić, bym przyszedł zobaczyć swoje dziecko. Choć głos jej się łamał, nie przestawała trajkotać, opowiadając o imionach, o miłym lekarzu opiekującym się małą, o tym, że dziewczynka nadal nie oddycha o własnych siłach. Ale wszelkie jej starania, by uśmierzyć mój ból, nie odniosły skutku, a to głównie dlatego, że pożerał ją własny smutek. Słyszałem go w jej głosie. Gdybym otworzył oczy, ujrzałbym go na jej twarzy. Chciałem, by sobie poszła. W końcu poczułem jej dłoń na ramieniu.

- Mickey, wiem, że mnie słyszysz. Zostawiam ci coś. Obejrzyj. Jan zrobiła to dla Lucy. - Tutaj jej głos załamał się, ja zaś czułem, że zaraz sam się rozpłaczę, ale się nie poruszyłem. - Lucy natrafiła na tę baśń, którą nasz tata napisał o nas, gdy byliśmy dziećmi, Jan dodała do niej swoje niesamowite ilustracje, a ja pomyślałam, że z przyjemnością je obejrzysz. Nie wiem, jak jej się to udało, ale właśnie tak wyglądałyśmy, gdy byliśmy małe. Tak czy inaczej... - Lily pocałowała mnie, przez chwilę mi się przypatrując. Potem wyszła.

Musiało być już późno, gdyż wszędzie zalegała cisza. Usłyszałem, jak na korytarzu Lily żegna się z pielęgniarką,

potem rozległo się szczęknięcie magnetycznego zamka przy drzwiach. Leżałem tak, czekając, aż pochłonie mnie cicha noc. Zapadłem w sen, z którego zbudził mnie ucisk w pęcherzu. Zwlokłem się z postania, włączyłem lampę na nocnym stoliku i mrużąc oczy, poszedłem do łazienki. Gdy spojrzałem w lustro, ogarnęło mnie przerażenie. Wyglądałem strasznie. Jak gdyby w moje rysy przyoblekła się Lucy, i oto teraz, gdy jej już nie było, pozostała po niej sama twarz: obwisła, nabrzmiała, zupełnie zrujnowana. Z trudem się rozpoznałem. Wróciwszy do pokoju, usiadłem na łóżku ze zwieszoną głową. Nie miałem pojęcia, jak uda mi się to wszystko przeżyć.

Na stoliku przy łóżku znalazłem książkę. Wyglądała jak bajka dla dzieci. Była kolorowa i miała duży format. Ująłem ją drżącą dłonią. Na okładce widniał namalowany jaskrawymi barwami wizerunek trzech księżniczek - dwóch blondynek, między którymi stała drobniutka Lucy o kasztanowych włosach. Każda z nich miała koronę na spletanym lokach i każdą łatwo było zidentyfikować jako młodą panią Houston. Łzy, nad którymi zdołałem zapanować w obecności Lily, popłynęły teraz niepowstrzymanym strumieniem, a serce nieomal mi pękło na widok niezmaconej radości malującej się na trzech twarzyczkach i łobuzerskiego błysku w ich dużych zielonych oczach, tak dobrze uchwyconego przez Jan. Otworzyłem książeczkę na pierwszej stronie, na której widniała dedykacja.

Kochana Lily

Lucy natknęła się na tę opowiadkę, napisaną przez Waszego Tatę, i poprosiła mnie, bym opatrzyła ją ilustracjami. Chciała Ci zrobić niespodziankę, ja zaś ciężko pracowałam, by spełnić to Jej ostatnie życzenie, lecz nie zdążyłam tego uczynić przed Jej śmiercią. Teraz uświadomiłam sobie, że nie miał to być prezent dla Lucy, lecz dla Ciebie i Priss. Ot, drobiazg, który po Niej został na otarcie łez. I wspaniałe przesłanie z za grobu od Waszego Ojca, który tak bardzo Was kochał.

Zacząłem przewracać kolejne strony książki i oto, pólżąc w łagodnym świetle lampy stojącej u wezglowia łóżka, zatraciłem się w świecie człowieka, który uwielbiał swoje córki. Stowa bajki rozmazywały się przed moimi oczami pod wpływem łez, gdy ten niepozorny człowiek, występujący jako król, tak bezbłędnie charakteryzował swoje dzieci. Bez końca powracałem na stronę, na której śpiąca Lucy ssła kciuk. Opis mojej żony i jej siostry występującej w roli anioła stróża, obydwu obserwowanych przez ich zatroskanego ojca, niemal sprawił, że moje serce przestało bić. Mogłem się tylko domyślać, jak bardzo ten człowiek, którego nigdy nie poznałem, kochał córki, jak bardzo się o nie niepokoił, że gotów był oddać wszystko, by je chronić. Nie potrafiłem sobie przypomnieć, by ktokolwiek tak bardzo kochał mnie w dzieciństwie. Przeszedłem na ostatnią stronę, gdzie anioł łapie w dłoń łzę, która spłynęła po policzku króla. Ilustracja do tekstu przedstawiająca anioła była zaskakująca i ukazywała

go jako niemowlę wyczarowane dzięki modlitwie. Król błagał go, by dał księżniczkom swoją miłość: „Och, mój aniele, pragnąłbym, byś błogosławił moim córkom i je chronił. Natchnij je moją miłością i strzeż pod moją nieobecność. Czy możesz mi to obiecać?”. W wypełnionej ciepłą ciszą mego szpitalnego pokoju rozległ się nagle głos anioła z książeczki: „To dla mnie zaszczyt”. I kiedy anioł składał swą obietnicę królowi, niemal go słyszałem. Miał na imię Abigail. Abigail - strażnik miłości.

Była prawie czwarta trzydzieści nad ranem, gdy ruszyłem w głąb korytarza, na którego końcu znajdował się telefon. Igdy usłyszałem w słuchawce głos Lily, zaspany, lecz zaniepokojony, powiedziałem tylko: „Abigail. Chcę, żeby miała na imię Abigail”.

ROZDZIAŁ 33

Siedziałem w nogach łóżka, patrząc bezmyślnie przez okno, kiedy do pokoju weszła Lily.

- Nie śpisz-powiedziała miękko, wydając coś w rodzaju westchnienia. - Mickey, jesteś taki chudy.

Obciągnąłem piżamę, by ukryć to, że od wielu dni nie jadłem.

- Cześć, LU.

Przyciągnęła sobie krzesło i usiadła na wprost mnie.

- Jak leci, kochanie?

Łzy napłynęły mi do oczu. Wyciągnąwszy, dłoń chwyciłem ją za rękę. Nie znajdując odpowiednich słów, przez dłuższą chwilę siedzieliśmy w milczeniu zjednoczeni w bólu. W końcu Lily przemówiła:

- Mickey, nie wiem, jak to wszystko urządzić. -Ani ja.

- Martwię się o ciebie. Co mogę dla ciebie zrobić?

- Lily, masz złamane serce tak samo jak ja.

- To prawda, Mic, ale się nie ukrywam. Zauważyłem, że usiłuje się nie rozplakać.

- *Wszyscy straciliśmy Lucy - wychrypiła. - Nie możesz zostać w tym pokoju na zawsze. Masz córkę.*

Zamknąłem oczy.

- *Mickey. Chodź ze mną na oddział noworodków. Nawet jej nie widziałeś.*

- *Nie mogę.*

Wypuściłem z dłoni jej rękę i znów odwróciłem się twarzą do okna. Lity jeszcze przez chwilę próbowała mnie namówić, żebym z nią poszedł, ale w końcu się poddała. Ukrywałem się. Wiedziałem o tym, ale nic innego nie przychodziło mi do głowy. Wcześniej, tego samego ranka Gleason poprosił mnie, bym opisał, co czuję. Nie było co opisywać: czułem tylko ciężar, przytłaczający niczym ołów smutek, który zupełnie mnie unieruchamiał. Lucy odeszła, a ja bez niej nie byłem w stanie nic zrobić.

Chciałem być martwy, ale również i na to nie umiałem się zdobyć. Zamknąłem oczy i w odruchu ucieczki odepchnąłem od siebie cały świat.

Obudziły mnie natarczywe szturchnięcia czyichś kościstych palców i ciężki aromat Chanel No. 5. Była to Pńscilla. Delikatnej siostrzyczce Lucy nie udało się mnie zbudzić, więc sięgnęła po broń ciężką. Przewróciłem się na drugi bok, twarzą do ściany, ona jednak nie dała za wygraną i nadał mnie szturchała.

- *Nie wyjdę, dopóki nie wstaniesz, Mickey.*

Jej ton był beznamiętny, jakby pozbawiony życia i bezgranicznie smutny. Próbowałem się nie odzywać, dopóki było

to możliwe, lecz również i ona była uparta. W końcu wyprostowałem się i oparłem o ścianę. Moja nieogolona, pokryta siwym zarostem twarz musiała przybrać pochmurny wyraz, bo siostra Lucy wymierzyła mi siarczasty policzek.

- Nie waż się tak na mnie patrzeć.

Oddałbym jej, sprząłbym ją na kwaśne jabłko, gdybym tylko mógł unieść rękę.

- Odejdź, Priscillo.

- Ani myślę. I zresztą nie mam dokąd pójść, więc mogę poświęcić cały dzień na urządzenie ci piekła.

Spodziewałem się wybuchu furii, którą w sobie tłumilem, ale nawet on okazał się ponad moje siły.

- Czego chcesz?

- Chcę, żebyś włożył buty i poszedł ze mną na oddział noworodków.

- Nie.

- Tak.

- Idź do diabła, Priscillo.

- Może później. Teraz idziemy zobaczyć twoją córkę. Priscilla usiadła na łóżku i pochyliła twarz ku mnie, tak że niemal połączył nas pocałunek.

- A teraz posłuchaj uważnie! Nie będziesz zgrywał wariata, Mickey. Nie teraz. Nie w sytuacji, gdy nie mogą sobie na to pozwolić pozostali - mówiła przez zaciśnięte zęby. - Nie obchodzi mnie ani twoje zdrowie umysłowe, ani twój smutek. Wszyscy straciliśmy Lucy. Wszyscy musimy sobie z tym poradzić. Nawet ty! A teraz wstawaj - wysyczała przez zaciśnięte zęby.

Szarpnęła mnie za ramię, a ja ku własnemu zaskoczeniu nie próbowałem stawić jej oporu. Posłusznie usiadłem, kompletnie skołowany pośród tej ruiny, w jaką zmieniło się moje życie, zwiesiłem głowę i ukryłem twarz w dłoniach. Przytłaczające, powracające falami poczucie utraty zaczęło mi rozsadzać pierś, tak że niemal nie mogłem złapać tchu. Prawdę mówiąc, zazdrościłem Priscilli jej pasji, energii i zdolności odreagowywania wszystkiego gniewem.

- Wstawaj - powtórzyła.

Spojrzałem na nią, i przez dłuższą chwilę mierzyliśmy się wzrokiem. Ja miałem w oczach żal, ona - nietajoną wściekłość.

- Nie mogę się ruszyć, Priscillo.

- Załóżmy, że jest pożar. No, dalej.

- Śmierć w płomieniach byłaby moim wyzwoleniem.

- Och, nie chrzań już, Mickey.

Zacząła mnie popędzać, a mnie stać było jedynie na to, by siedzieć na łóżku z nieszczęśliwym wyrazem twarzy.

- Przestań, słyszysz? Natychmiast przestań. Nie bądź żaloszny. Daj tę szansę komuś innemu - dodała po chwili milczenia nieco spokojniejszym tonem i z drżeniem w głosie.

I wtedy zobaczyłem, że ona cierpi tak samo jak ja, że również i jej ból nie zna granic - z tą tylko różnicą, że w przeciwieństwie do mojej jej udręka znajdowała ujście. Priscilla uświadomiła sobie, że ją przejrzałem, i z głębokim westchnieniem porzuciła swoją - mocno niesympatyczną - maskę. Z rezygnacją usiadła na łóżku koło mnie i zaczęła wpatrywać się w ścianę. Sięgnąłem po jej rękę.

- Jestem taka nieużyta i tak bardzo mnie to męczy -jęknęła.
- To prawda, jesteś nieużyta.

Priscilla zaczęła bezgłośnie płakać, wcale nie starając się ukryć swoich łez i nie przestając wpatrywać się w ścianę. Przyglądałem się jej przez chwilę, po czym również wlepiłem wzrok w ścianę.

Długo u mnie siedziała i choć nigdy bym jej tego nie powiedział, cieszyłem się, że została. Przebywanie z kimś, kto kochał Lucy tak samo jak ja, było dla mnie swoistym ukojeniem. Nagle zacząłem tęsknić za ludźmi tak bardzo, że nawet obecność Priscilli wydała mi się błogosławieństwem.

Jeszcze długo po jej wyjściu siedziałem na skraju łóżka, aż w końcu zaczęły cichnąć szpitalne odgłosy i gasnąć światła. Siedziałem tak dopóty, dopóki na korytarzu i na całym mym oddziale nie zapanowała cisza, a wszyscy pacjenci nie otrzymali leków i nie zostali wysiani do łóżek. Peony wetknęła głowę w szczelinę uchylonych drzwi, by sprawdzić, jak się czuje. Biel jej uniformu ostro kontrastowała z jej skórą barwy czarnej lukrecji.

- Jak się masz, Michael? Nie odpowiedziałem.
- Mam tu twoje popołudniowe leki i pigułkę na sen.
- Mogę zażyć je później?
- Chyba tak. Wrócę za godzinę.

Skinąłem głową. Peony nie zawsze była taka zgodna. Zwykle powarkiwiała niczym sierżant podczas musztry, który potrafi uporać się z tobą jedną ręką, mając drugą związaną za plecami.

Ale śmierć mojej żony zupełnie ją rozbroiła i żadne z nas nie wiedziało, jak ma się zachowywać w stosunku do drugiego. Wyszła z mojego pokoju i znowu noc przytłoczyła mnie swym mrocznym ogromem. Resztką sił podniosłem się z miejsca. Moje ciało ciążyło mi niczym worek cementu. Stałem tak przez minutę, nieco oszołomiony, zapewne wskutek leków, a może też i dlatego, że dawno nic nie jadłem. Chcąc pozbyć się pielęgniarek, pozbyłem się zawartości tacy z jedzeniem, a jabłka i pomarańcze podawane mi przy każdym posiłku ukryłem w dolnej szufladzie szafki. Nie jadłem od wielu dni.

W łazience chwyciłem się zlewu i zaczerpnąłem kilka głębszych wdechów, a następnie wyczyściłem zęby i przyczesalem włosy. W lustrze ujrzałem twarz człowieka pokonanego, o zmęczonych oczach w głębi oczodołów. Najwyższy czas się ogolić, pomyślałem, ale nie chciano dać mi brzytwy, a resztką mej godności nie pozwalała mi na to, by mnie niańczono jak małe dziecko. Spryskałem więc sobie twarz wodą i poczułem się nieco lepiej. Potem wyszedłem z pokoju.

Przechodząc koło dyżurki pielęgniarek, natrafiłem na początek drugiej zmiany. Peony spojrzała na mnie z troską, przerywając odczytywanie raportu swej zmienniczce.

- Wszystko w porządku, Michael?

- Czy mógłbym się przejść?

- Jest już późno. Kawiarnia jest zamknięta, czynne są tylko automaty.

- Wiem.

- Rzućmy okiem na notatkę doktora Webba. Zdaje się, że nie wolno ci opuszczać oddziału. - Peony zerknęła w moją

kartę choroby i potem, spoglądając na mnie, sama sobie przytaknęła. - Wybacz, Michael. Może jutro.

- Mogę skorzystać z tego telefonu ? - spytałem, podnosząc słuchawkę i wybierając numer, który znałem na pamięć.

- Późno już. Jeśli go zbudzisz, będzie na ciebie.

Nie zwracając na nią uwagi, przytknąłem słuchawkę do ucha w chwili, gdy Gleason odebrał.

- Czy mogę pójść na spacer, jeśli obiecuję ci, że nie odbiorę sobie życia? - zapytałem.

- Jesteśmy cywilizowanymi ludźmi, Mickey, i witamy się, zanim o coś poprosimy.

- Cześć, Gleason. Mogę się przejść?

- A czy powinno mnie martwić to, dokąd się wybierasz?

- Nie. Wszystko w porządku.

- Wybierasz się na piąte piętro?

- Możliwe.

- Zadzwoń, jak wrócisz. Powiesz mi, jak było. I poproś do telefonu Peony.

- Dzięki. - Wsunąłem słuchawkę w wyciągniętą po dłoń pielęgniarki.

Zadzwiećcał brzęczyk w drzwiach naszego oddziału i Peony wpuściła mnie na zewnątrz. Ruszyłem w stronę windy. Nie okłamałem Gleasona, mówiąc, że nie wiem, czy się wybieram na piąte piętro. Ale tam właśnie zmierzałem. Nie wiem, dlaczego byłem tak przestraszony. Miałem wrażenie, że moja klatka piersiowa znalazła się w imadle.

Wysiadłszy z windy, zamarłem w bezruchu. Korytarz szpitalny pogrążony był w półmroku. Przede mną widniała

na drzwiach tabliczka z napisem „Oddział intensywnej terapii noworodków” i strzałką wskazującą w lewo. Skręciłem w lewo. Rolety na oddziale były opuszczone, mimo to nie zawróciłem. W panującej tu ciszy słyszałem tylko dwie kobiety w szpitalnych strojach rozmawiające o czymś w dyżurce pielęgniarek. Nie zwróciły na mnie uwagi. Nadstawiłem ucha, ale nic poza tym do mnie nie dotarło - żaden płacz dziecka, nic. Pomyślałem, że może Lily jest za tymi roletami. Siedzi przy mojej córce. Lecz jakoś nie mogłem zdobyć się na odwagę, by to sprawdzić. Stałem więc tak w milczeniu, a moje złamane serce waliło jak oszalałe.

Nie wiem, jak długo to trwało, zanim zza drzwi z tabliczką wyszła w zielonym stroju jakaś lekarka czy może pielęgniarka. Spojrzała na mnie tak, jakby wiedziała, kim jestem, i podeszła.

- Chciałby pan wejść na oddział, panie Chandler? Poczulem nagle ścisnięcie w gardle i napływające do oczu

łzy. Mogłem jedynie potrząsnąć głową. Zrobiłem krok w tył jak dziecko wzbraniające się przed przyjęciem prezentu tylko po to, by postawić na swoim. Kobieta splotła dłonie.

- Nazywam się doktor Sweeny. Spotkaliśmy się w zeszłym tygodniu.

Nazwisko to brzmiało mi znajomo, ale twarzy nie mogłem sobie przypomnieć.

- Właśnie spędziłam trochę czasu przy pana córce. Jest pan pewien, że nie chce wejść i przy niej posiedzieć?

- Nie wydaje mi się - wybełkotałem.

- No cóż... może później. Chciałby pan o coś zapytać?

- Jak ona się czuje?

- *Wciąż nie może oddychać o własnych siłach i jest pod naszą stałą opieką. W tym tkwi cały szkonuł z wcześniakami. Są trochę leniwe. Ale ta mała dziś ma się już lepiej niż wczoraj. Chce pan, żebym podniosła nieco roletę, by mógł ją pan zobaczyć?*

Spojrzałem na lekarkę niewidzącym wzrokiem i przytaknąłem w milczeniu.

- *Zaraz wracam - oznajmiła, znikając za drzwiami oddziału.*

Po chwili roleta uniosła się, a ja ujrzałem za szybą jasną i pełną salę. Ellen Sweeny podeszła do dziecięcego łóżeczka i poprawiła malutką kroplówkę. Następnie zmieniła nieco położenie monitora, bym lepiej widział. Maleńki noworodek leżał w przezroczystym pojemniku, odrobinę podobnym do akrylowej trumny. Odsunąwszy się od szyby, zacząłem się wpatrywać w swoją córkę. Wydawało mi się, że miała gęste czarne włosy, a do jej piersi przyczepiono tyle przewodów, że wyglądała niczym porzucona marionetka. Była najmniejsza ludzką istotą, jaką kiedykolwiek widziałem. Była strasznie mała - z pewnością zbyt mała, by przeżyć - a przecież jej akcję serca ukazywał monitor majaczący nad jej łóżeczkiem. Serce to biło mocno i regularnie, nie to co moje.

Wcześniej widziałem ją tylko raz, tuż przed śmiercią jej matki, kiedy spieszenie wracałem z łodem do łóżka Lucy. Wtedy owa drobna istotka wyglądała niczym maciupeńki twór lędźwi dwojga ludzi. Teraz jednak wydawała się znacznie większa. Była tym wszystkim, co mi pozostało i co miało dla mnie jakiegokolwiek znaczenie. Nie wiem, co się ze mną działo,

kiedy tak stałem, ogarnięty nagłym uczuciem wdzięczności i przytłoczony zarazem. Miała sześć dni; tyle, ile upłynęło od śmierci jej matki. Wcześniej miałem straszne sny, w których pogardzałem tym dzieckiem, i od tygodni się bałem, że są to moje prawdziwe uczucia wobec niego. Krzyczałem na Lucy, gdy upierała się, by zachować ciążę, gdy tymczasem ja chciałem ocalić tylko ją. Błagałem ją, by zgodziła się na aborcję. A teraz zwiesiłem ze wstydu głowę i zapłakałem.

Tak dalece zatraciłem się w rozpacz, że nie zobaczyłem, jak Ellen Sweeny wychodzi z oddziału noworodków - nie byłem świadom jej obecności, dopóki nie poczułem na ramieniu jej dłoni.

- Jak mogę panu pomóc, panie Chandler? - zapytała ledwo słyszalnie.

Przez chwilę wstrząsał mną rozpaczliwy, przerywany szloch, którego opanowanie kosztowało mnie trochę wysiłku. Ale gdy w końcu mi się to udało, poprosiłem lekarkę, by pozwoliła mi podejść do córki.

Doktor Sweeny kazała mi włożyć fartuch lekarski i umyć ręce, po czym przysunęła dla mnie krzesło do ogrzanego łóżeczka dziecięcego, w którym leżała moja córka. Spojrzałem na nią z najwyższym zdumieniem. Wyobraża kto sobie tak drobne ciało z tak maleńkimi kosteczkami, paznokietkami i rzęskami... ? Była tak krucha, że wydawało się, że głaszcząc ją, zdarłbym jej naskórek. Jak gdyby czytając w mych myślach, doktor Sweeny poinformowała mnie, że owszem, mogę dotknąć swego dziecka, a nawet mnie do tego zachęciła.

- A skoro już przy tym jesteśmy, może pan do niej przemówić

- stwierdziła. -Iproszę się jej nie bać. Ona wie, kim pan jest
- powiedziała z uśmiechem.

Podniosłem wzrok na tę młodą kobietę, zbyt młodą na lekarkę, tak bardzo dla mnie miłą.

- wie, kim jestem?

- Oczywiście. Zadziwiające, ale to prawda. Pomimo takiej liczby osób odprawiających nad nimi istne modły i kibicujących ich dokonaniom, bezbłędnie odróżniają swoich rodziców od całej reszty. Przypuszczam, że to zdolność wrodzona.

Ellen Sweeny uśmiechnęła się, zostawiając mnie samą z moją córeczką. Na różowej karteczce przyklepionej do wezglowia łóżeczka widniało: CHANDLER, DZIEWCZYŃKA. URODZONA o 2:26 W NOCY, 19 listopada, 34. TYDZIEŃ, WAGA -1,55 kg. Wyraz DZIEWCZYŃKA przekreślony był na czerwono, a obok dodano: ABIGAIL.

Abigail. Abby. Nie mogłem odwrócić od niej wzroku. Nie mogłem przestać myśleć o tym, że przed sześcioma dniami znajdowała się w brzuchu mojej Lucy. Pomijając jej rozmiary, była śliczna. Pochyliłem się nad nią, by przyjrzeć się rysom jej twarzy. Zadarty nos jej mamy w miniaturze, długie rzęsy tego samego koloru co włosy. Maleńkie usteczka. Niewyczerpana, wydawałoby się, rzeka łez przestroniła mi ten obraz, a ja, nie czując wstydu, pozwoliłem im płynąć. Lucy tak bardzo by ją kochała. Odkąd znałem swoją żonę, zawsze chciała być mamą. Przez jakiś czas na samym początku mieliśmy w planach powiększenie rodziny, ale potem Lucy zachorowała, a ja nie wróciłem do zdrowia, więc uzgodniliśmy, że dzieci nie wchodzi w grę, co jednak nigdy nie wykorzeniło tamtego

pragnienia. Pragnienia, które stało się jeszcze intensywniejsze w chwili, gdy Lucy dowiedziała się o tym maluchu. Mieliliśmy zapomnieć o naszym planie. Wszak Bóg dał nam dziecko. Kimże byliśmy, by go nie przyjąć? Rzecz jasna było tak aż do chwili, w której Bóg nas opuścił. Wyplakałem niemal wszystkie swoje łzy z tego powodu. Ale kiedy łzy obeschły, zachwył nad tym niemowlęciem znów niemal odebrał mi dech w piersiach. Obserwowałem, jak śpi, jak jej szczupła, drobna pierś faluje w rytm oddechu czy podczas prób jego złapania. Chciałem jej dotknąć, ale się bałem. Dwa razy moja ręka zawisała nad nią, lecz cofnąłem ją zbyt niespokojny, zbyt przestraszony. Potem jednak wydarzyła się rzecz nie da pomyślenia i dziecko znieruchomiło. Patrzyłem przerażony na jej pierś, która przestała się unosić. W tym samym momencie zapiszczał monitor. Natychmiast wyciągnąłem dłoń i położyłem ją na tej kruchej małej piersi. Dziewczynka się przestraszyła. W następnej chwili była już przy niej jakaś pielęgniarzka i doktor Sweeny, lecz na monitorze znów pojawiły się wcześniejsze wykresy.

- A nie mówiłam? - stwierdziła Ellen Sweeny. - Jest leniwa. Oddychanie jest trudne i dziewczynka nie wie, że może po prostu zaczerpnąć powietrza. - Uśmiechnęła się do mnie. - Ma pan instynkt.

- Słucham?

- To właśnie robimy - oświadczyła pielęgniarzka, wystukując coś na komputerze. - Po prostu sięgamy ręką i lekko nią potrząsając, wprawiamy w ruch mechanizm, który się zaciął.

Westchnąłem. Byłem pewien, że przez koszulę widać, jak bije mi serce. Moje dłonie spoczywały teraz zaciśnięte na spodniach, jakby uczyniły coś złego. Nie mogłem wprost uwierzyć w to, że instynkt - instynkt ojcowski - kazał mi zrobić właśnie to, co zrobić należało.

- Dobrze się pan spisał... tatusiu... - powiedziała pielęgniarka, oddalając się.

Doktor Sweeny poklepała mnie po ramieniu.

- Gdyby nas pan potrzebował, to jesteśmy w pobliżu.

- Dzięki - odpadem, a mój wzrok ponownie spoczął na dziecku.

Nie mogłem uwierzyć, że naprawdę zareagowała na mój dotyk. Wciąż przenosiłem spojrzenie z monitora - niewiele się różniącego od tego, który znajdował się w sali jej matki - na piękną twarzą dziecka. Poglądziłem te jakże miękkie policzki jednym palcem i powiodłem nim aż do wygięcia rozprostowanego ramienia, docierając do dłoni nie większej niż guzik mojej marynarki od garnituru.

Pochyliłem się nad nią.

- Cześć, Abbie. Chcesz, żeby ktoś z tobą pogadał, co? Myślisz, że nie musisz pracować, tak? No dobra, maluchu, lepiej zacznij oddychać, bo teraz zostajesz ze mną. Koniec już z tym krążeniem między mną i mamą.

Słyszałem swój głos i z trudem rozpoznawałem go jako własny, nie mogłem też uwierzyć, że kłębiące się we mnie uczucia są moimi uczuciami. To była moja córka, a fakt, że wciąż przebywała na tym świecie, zawdzięczała jedynie czujnym opiekunkom, które pilnowały, żeby oddychała.

W chwili gdy to pojąłem, stała się dla mnie kimś absolutnie nieodzownym, kimś droższym ponad wszelkie wyobrażenie. Jeśli kiedykolwiek się obawiałem, że odrzucę to dziecko, to bardzo się myliłem. Dręczący mnie koszmar, że okażę się niezdolny, by dać jej miłość, prysnął po czasie nie dłuższym niż ten, jakiego potrzebowało moje serce, by naprawdę zacząć bić. Ale wkrótce w jego miejsce zjawilo się nowe zmartwienie. Ten wcześniak był całkowicie niesamodzielny. Ponieważ byłem bez wątpienia najmniej odpowiedzialną i najmniej godną zaufania istotą pod słońcem, Ron i Lily mieli przejąć rolę rodziców malej. Myśl ta przeszła mnie niczym sztych. Ale taki był plan. Decyzja zapadła. Nie miałem być ojcem Abby, nie miałem niezbędnych ku temu predyspozycji. Ilucy o tym wiedziała. Tygodniami wbijałem jej to do głowy. Skąd więc ten straszny ból?

- Lucy - wyszeptałem. - Potrzebuję cię. Nie możesz mnie tak zostawić.

I nagle usłyszałem dobywający się z głębi mego złamanego serca głos żony, jasny i dobrze mi znany, silny i niemal wyraźnie uchwytany: „Nie jesteś sam, mój kochany”.

I w tejże chwili poczułem, jak czyjaś mała rączka zaciska się wokół czubka mojego palca. Serce zamarło mi w piersi. Wążąca nieco ponad kilogram mizerna istotka przywarła do kogoś takiego jak ja! Od tej chwili byłem stracony i nigdy wcześniej, nawet jeśli chodzi o utratę żony, nie byłem bardziej przerażony.

Trudno wyjaśnić, co tak naprawdę przydarzyło mi się owej pierwszej nocy spędzonej przy córce. Wróciłem do izolatki z uwielbieniem w sercu, wiedziałem jednak, że nie jestem jej godny. Wyobrażanie sobie własnego przywiązania do Abigail było mrzonką. Nic się nie zmieniło. Będę dalej mieszkał w domu przy Chestnut, gdzie będzie mnie mogła odwiedzać, lecz ze mną nie zamieszka. Ron będzie jej ojcem, ponieważ ma lepsze kwalifikacje, by się nią opiekować. Pod wpływem tych myśli zamknąłem się w sobie. Całymi dniami nie chciałem się z nikim widzieć - oprócz dziecka. Ale tamta noc, gdy zostałem z nią sam, była czymś wyjątkowym. Później już zawsze była przy niej Lily, a ja nie mogłem się zmusić, żeby ją odwiedzić. Kocham Lily, ale po prostu nie mogłem znieść jej widoku przy mojej córce. Pogodzenie się z tym przyjdzie z czasem, myślałem, lecz na razie potrzebowałem przestrzeni. Gleason kręcił głową i powtarzał rzeczy w rodzaju: „Dostajemy to, czego chcemy, Michael”.

Powiedziałem mu, że nadal będę robił to, co robiłem przez całe życie. Będę się cholernie starał pozostać przy swoich dawkach. Nie będę sam siebie okłamywał, gdy wcześniej je zmienię. I bardzo będę się starał - z myślą o mojej córce, choć prawdą jest, że zawsze bardzo się starałem przez wzgląd na jej matkę, ponieważ chciałem, by miała do czynienia z tym, co we mnie najlepsze. Lucy była dla mnie czymś w rodzaju sieci zabezpieczającej, ale w żadnym wypadku nie mogłem oczekiwać tego samego od córki. Tak więc Lily i Ron mieli zostać rodzicami Abby. Tyle mogłem dla niej zrobić przez wzgląd na miłość do niej.

Po kilkudniowej walce wewnętrznej racjonalna część mego umysłu skapitulowała i pogrążyłem się w rozpacz. Lucy nie żyła; dziecko było poza moim zasięgiem. Położyłem się do łóżka i nie wstawałem. Jeszcze nigdy nie miałem tak silnej depresji. Chciałem umrzeć, ale nie mogłem się zabić, gdyż moja córka by się o tym dowiedziała, i to sprawiło, że postanowiłem uczepić się życia.

Kiedy leki zawiodły, Gleason odesłał mnie do grupy wsparcia sponsorowanej przez szpital. Uzależnił moje wizyty na oddziale noworodków od uczestnictwa w tych spotkaniach. Tak więc przywilej zobaczenia córki stał się dla mnie jedyną motywacją, by przeżyć każdy kolejny dzień. Zwlokłem się z łóżka i poszedłem na terapię. Ustawiłem sobie krzesło w kręgu smutnych ludzi, z których każdy pochłonięty był poniesioną przez siebie stratą, zwiesiłem głowę i odmówiłem uczestnictwa w zajęciach. Nie mogłem jednak nie wysłuchać tego, jak pewna znacznie mądrzejsza ode mnie kobieta opisuje ze szczegółami to, co czułem ja sam. Kobieta owa straciła dwoje dzieci w wypadku na łodzi, i teraz nieomal można było zobaczyć, jak bardzo obolała jest jej dusza. Powiedziała coś bardzo głębokiego: że jej smutek jest jakby studnią bez dna i że każdego dnia coraz bardziej pogrąża się w swym poczuciu utraty jak w owej studni.

To właśnie czułem się ja sam. Podniosłem wzrok i przyjrzałem się jej. Mogła być w wieku Lucy, ale rozpacz zupełnie ją spustoszyła, niemal zniekształcając jej rysy. Jej udęczone spojrzenie też było mi znane: już wcześniej widziałem je w lustrze. Gdy spotkanie dobiegło końca, podszedłem do niej,

a ona mnie pozdrowiła, jakbyśmy byli pokrewnymi duszami. Ale ani ona, ani ja nie mogliśmy dobyć z siebie słów, więc w milczeniu padliśmy sobie w ramiona i przez kilka minut płakaliśmy złączeni wspólnym cierpieniem.

Następnego dnia podzieliłem się z Gleasonem analogią do spadania, nie mogąc o niej zapomnieć.

- Nie mam nic, od czego mógłbym się odbić - powiedziałem. - Jest tylko bezgraniczny smutek. Wciąż słyszę głos Lucy. I spadam. Przypominam sobie jej dotyk, jej śmiech, jej miny i - nie przestaję spadać. To prawda: ta studnia jest bezdenna.

Gleason pokręcił głową, a w jego oczach pojawiło się współczucie.

- Mickey, przyjacielu, tak ci się teraz wydaje, bo cierpisz. Ale życie toczy się dalej. W końcu jednak, nawet sobie tego nie uświadamiając, natrafisz na coś trwałego, co jakoś uśmierzy twój ból. A wtedy, zapewniam cię, wszystko stanie się łatwiejsze. A póki to nie nastąpi, póty masz jeszcze - tak jak planowała Lucy - swoją córkę, dzięki czemu zdołasz przez to wszystko przejść.

- Moja córka nie jest ze mną. Jest z Ronem i Lily.

- Ponieważ nie chcesz być jej ojcem.

- Ponieważ nie mam prawa nim być! Nie w sytuacji, gdy tamci są zdrowymi, ustatkowanymi, miłymi, wspaniałymi ludźmi. Adoptowali ją. Koniec historii. Tego właśnie chciała Lucy.

Gleason odchylił się na krześle, lekko drapiąc się po brodzie ołówkiem.

- Michael, wiesz dobrze, że Lucy postąpiła tak z konieczności. Zadałeś sobie wiele trudu, by ją przekonać o własnej indolencji, i w rezultacie nie miała wyboru. Nie tego jednak sobie życzyła. Poświęciła własne życie za tego malucha na górze, by móc oddać go w twoje ręce. Zostawiła ci córkę, by dać ci motywację do wstawania z łóżka i zmagania się z każdym kolejnym dniem. W tym właśnie pomagają nam dzieci.

- Nie wiem, co sobie myślała. Ale wiem, że się myliła - wymamrotałem.

- Czyżby? - Ton Gleasona zmienił się tak bardzo, że już zacząłem się zastanawiać, czy coś mi umknęło. - W czym jeszcze się myliła? - przyciskał mnie Gleason.

- Słucham?

Obrzucił mnie twardym spojrzeniem.

- Jakoś nie przychodzi mi do głowy żadna inna równie ważna sprawa, w której Lucy rzeczywiście się pomyliła. Czy omyliła się w swej miłości do ciebie? Pomyliła się, wychodząc za ciebie? Aż dreszcz mnie przechodzi, przyjacielu, na myśl o tym, kim byłbyś dzisiaj, gdybyś nie spotkał tej dziewczyny. Lucy kochała cię, i był to jej wybór. Została twoją żoną, ponieważ nie widziała powodów, by nią nie zostać. Została z tobą, ponieważ nie wyobrażała sobie lepszego człowieka. Takie wybrała życie, a jeśli chodzi o moje zdanie, to uważam, że jeśli byłeś wystarczająco dobry dla tej zadziwiającej kobiety, to jesteś też wystarczająco dobry dla jej córki.

- Ależ ja jestem w zupełnej ruinie!- wykrzyczałem łamiącym się głosem. - Spójrz na mnie!

Gleason przysunął sobie krzesło i usiadł tuż obok mnie.

- Owszem, masz defekt, Mic, ale nie inaczej rzecz ma się z każdym innym rodzicem na ziemi. Znasz na wylot naturę swoich zaburzeń. Dobrze wiesz, jak zachować równowagę. Znasz wszelkie oznaki zbliżającego się epizodu manii lub depresji i wiesz, co wtedy robić.

-A więc? Gleason westchnął.

- A więc uspokój się, Mickey. Nie bardzo mnie obchodzi, gdzie mieszka twoja córka. Ale obchodzi mnie, żeby wiedziała, że jesteś jej ojcem, a nie jakimś gościem, który może się pokazać światu tylko wtedy, gdy jest w dobrej formie.

ROZDZIAŁ 34

Myślałem o tym, co powiedział Gleason, ale tego nie kupiłem. Abby to moja ucieczka. A ponieważ cierpiałem i nie radziłem sobie z moim cierpieniem, była moim środkiem uśmierzającym. Nie mogłem przy niej siedzieć, nie myśląc o jej matce. Lecz moja mała córeczka sprawiła, że jakoś zacząłem sobie ze wszystkim radzić i że na chwilę mogłem znaleźć przy niej zapomnienie.

Korzystałem z tych nielicznych okazji, gdy nikt przy niej nie siedział. Nie lubiłem ukrywać się przed Lity, ale też nie chciałem już więcej dzielić się Abby z kimkolwiek. Tak więc zazwyczaj czekałem, aż Lity pójdzie do domu. Potem jednak Lily zaczęła zostawać przy Abby do późna w nocy i już nie dało się jej uniknąć.

Nie powiedziałem szwagierce o swojej rozmowie z Gleasonem. Wkrótce miało dojść do adopcji, a ja nie miałem żadnych wątpliwości, że to słuszne rozwiązanie. Lity z zadziwiającą łatwością weszła w rolę matki. Martwiła się jak młoda mama, gaworzyła jak młoda mama i tak samo towarzyszyła wiecznie dziecku. Aż przykro było patrzeć. Ron nie adorował tak

ostentacyjnie Abby, przynajmniej w mojej obecności, i wydaje mi się, że to dlatego, że zobaczył coś w mojej twarzy-jakaś nową przymieszkę cierpienia, którego nie udało mi się ukryć pod maską dotychczasowego smutku i depresji. Pochwyciłem jego wzrok, gdy obserwowałem Lily, i zastanawiam się, na ile czytelne było dla postronnych oczu to, co wówczas czułem.

Którejś nocy siedziałem przy córce na oddziale rehabilitacji dla noworodków, o których życie nie trzeba już walczyć, gdy pojawili się Ron i Lily. Widziałem, że Lily czuje to samo co ja, coś w rodzaju zazdrości o czas spędzony sam na sam z dzieckiem. Swe zakłopotanie jednak pokryła uśmiechem, obejmując mnie niezbyt szczerze. Obserwując ją, widziałem jej niekłamaną miłość do Abby i nie mogłem jej tego żałować. Zresztą nie chciałem. Wstałem z miejsca.

- Najwyższy czas, żebym zażył lekarstwa, więc się zmywam.

- Jesteś pewien? Nie byłeś zbyt długo.

- Przyjdę później.

Pochyliłem się, żeby musnąć wargami delikatne czołko Abby. Oczy miała otwarte i dałbym głowę, że patrzyła wprost na mnie - na moją ruinę. Postąłem nad nią chwilę; chwilę wystarczająco długą, żeby zaniepokoić Lily.

- Wszystko w porządku, Mic?

- Tak. Doktor Sweenypowiedziała mi coś ciekawego.

- Co takiego?

- Powiedziała, że Abby wie, kim jestem. Wie, że jestem jej ojcem. I sprawiła mi tym dużą radość.

Odwróciłem się, by ujrzeć na twarzy Lily wyraz bolesnego zdziwienia. A ponieważ jestem idiotą i nie wiedziałem, jak

rozładować sytuację, po prostu patrzyłem na jej zakłopotanie, po czym wzruszyłem ramionami.

- Do zobaczenia później.

- Na razie, stary - odparł Ron, nie dając po sobie poznać, czy zauważył którąś z reakcji Lily.

Twarz mojej szwagierki wykrzywiła się w uśmiechu, który znikł, gdy tylko przeniosła wzrok na Abby. Ta zaś ponownie zasnęła.

- Hej, Mic! - zawołał Ron, gdy zabierałem się do wyjścia. - Rozmawialiśmy o sprawie i mamy dla ciebie pewną propozycję.

Przystanąłem.

- Chcielibyśmy, żebyś z nami pomieszkał, kiedy cię wypiszą. To znaczy, tak byłoby najlepiej. Dopóki nie będziesz gotów, żeby mieszkać samemu.

- Naprawdę?

- Ależ oczywiście - zapewnił Ron. - To coś jak wakacje. Spędźmy je razem, a kiedy poczujesz się gotów, pomożemy ci z całą resztą.

Podszedłem, żeby mu podać rękę, ale on serdecznie mnie uściskał. Jego wspaniałomyślność mnie onieśmieliła, a Lily miała łzy w oczach, przytakując jego propozycji.

- Naprawdę, LU?

- Zdecydowanie. Jesteśmy twoją rodziną. Chcemy, żebyś z nami zamieszkał.

- Nie wiem, co powiedzieć. Ale przyjmuję zaproszenie - odparłem, wiedząc, że nie ma co marudzić.

Oczywiście, że z nimi zamieszkam. W końcu będzie tam moja córka.

Abby spędziła w szpitalu trzy tygodnie. Ja - dwadzieścia dziewięć dni. Nie był to długi pobyt, ale i tak bardzo mi się nudziło. Tak jak zaplanowaliśmy, po moim wyjściu ze szpitala Ron i Lily zabrali mnie do siebie. Jednak to, co z początku wydawało się dobrym pomysłem, z czasem okazało się błędem. Po upływie kilku dni poczułem się u nich jak intruz. W żaden sposób nie dawali mi odczuć, że jestem nieproszonym gościem, wręcz przeciwnie. Ale ja czułem się tam obco -jakbym przypatrywał się przez szybę ich nowemu życiu, ich nowej rodzinie. Było zupełnie oczywiste, że uwielbiają Abby, która rozkwitała pod słońcem ich nieustannej opieki. Lily była dla mnie równie miła jak zawsze, a Ron jeszcze miłszy. I z powodu tej ich uprzejmości trudno było stwierdzić, co właściwie się dzieje. Ale coś się działo tuż pod powierzchnią tej pozornej sielanki.

Odnosiłem takie wrażenie zwłaszcza w stosunkach z Lily. W gruncie rzeczy nie była zaborcza, jeśli chodzi o Abby, ale ilekroć chciałem wziąć małą na ręce, czułem się prawie tak, jakbym ją musiał wydrzeć siłą z jej objęć. Zawsze kręciła się gdzieś w pobliżu, czekając tylko, aż jej ją oddam. Przypuszczalnie była to moja wina, ponieważ w szpitalu Lily nigdy nie miała okazji się przekonać, że wiem, jak trzymać dziecko albo jak je opatulać w ten sposób, by myślało, że wciąż jest w łonie matki. Nie pozostawiłem Lily żadnego wyboru: musiała przyjąć, że nie bardzo wiem, co robię. Iprawdę mówiąc, gdy po raz pierwszy Abby uspokoiła się dzięki mojej interwencji, Lily wydawała się naprawdę zdumiona i trochę urażona.

Pewnej nocy, gdy dziecko było szczególnie nieznośne - było takie przez całe popołudnie - Lily była kompletnie zagubiona, lecz nie chciała się do tego przyznać. Na jej czole pojawiła się głęboka pionowa zmarszczka, która nie zniknęła godzinami, ofuknęła też Rona, gdy ten chciał jej pomóc, toteż z początku i ja trzymałem się na dystans. Ale gdy Abby zaczęła się jeszcze bardziej złościć, a w Lily narastał stres, nagle opanowało mnie pragnienie, by wziąć swoją córkę na ręce. Trudno uwierzyć, że takie malepłucka mogą kogoś wyprowadzić z równowagi, ale faktem jest, że mogą i że właśnie tak się stało. Toteż niewiele się namyślając, wstałem od stołu i wzięwszy z ramion Lucy płaczącą córkę, przytulilem ją do swej piersi. Następnie poszedłem do pokoju dziecinnego, coś tam mruczając jej do ucha.

I oto odniosłem wrażenie - co zdarzało mi się dość często, gdy trzymałem ją na ręku - że na świecie istniejemy tylko ja i moja córka. Być może na dźwięk mego głosu, a może słysząc uderzenia mego serca, dziewczynka niemal natychmiast się uspokoiła, ja zaś przytulilem ją jeszcze mocniej i ucałowałem w główkę. Usiadłem w staroświeckim bujanym fotelu, który Ron i Lily przywieźli do domu z Ghosts, i zacząłem się kotysać, trzymając ją w ramionach, póki nie usnęła. I tak siedzieliśmy w słabym świetle padającym na różowe ściany, a ja pożerałem ją wzrokiem - tę miniaturkę Lucy.

Nie wiem, jak długo to trwało, ale gdy w pewnej chwili podniosłem wzrok, ujrzałem Lily i Rona stojących w drzwiach pokoju. Na twarzy Lily malował się jakiś nieokreślony wyraz, mnie zaś nagle przepętniła pewność siebie. Szwagierka nie odezwała się słowem, tylko usiłowała się uśmiechnąć mimo

bólu malującego się w jej oczach. Gdy uświadomiła sobie, że nie jest w stanie ukryć swoich uczuć, skapitulowała i po prostu wyszła, zostawiając wszelkie usprawiedliwienia Ronowi.

- Po prostu jest zmęczona - powiedział, wchodząc do pokoju.

- Wiem.

- Boże, Mic. Naprawdę masz dar. Śpi jak zabita.

- Taa... dopóki nie położę jej w łóżeczku. Ron zachichotał.

Przez dłuższą chwilę wpatrywałem się w Abby, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć.

- Wiesz, Lily przyjdzie do siebie - oświadczył Ron głosem, w którym brzmiało skrajne wyczerpanie.

Podniosłem na niego wzrok.

- Skoro tak mówisz... Ale i tak przepraszam, Ron.

- Za co?

- Za wszystko. Powinienem wracać do domu i przestać wtrącać się do waszego życia.

- Zostaniesz, aż będziesz gotowy, niezależnie od tego, ile to potrwa.

Pokręciłem głową.

- Sam wiesz, Ron, że nigdy nie będę gotowy, by zamieszkać samemu. - Spojrzałem na swoje dziecko. - Więc chyba wrócę do siebie w ten weekend. W sobotę.

Ron zakaszłał, maskując śmiech, jakby usłyszał dobry dowcip. Ja jednak wcale nie żartowałem.

- To będzie Wigilia - powiedział. - Nie możesz tego zrobić.

- Nie będzie łatwo, nie przeczę, ale nie mam wyjścia.

-Ale dlaczego? Dlaczego akurat w Wigilię?

- Ponieważ Lucy ją uwielbiała. Naprawdę ją uwielbiała

- powiedziałem i zaczęły we mnie odzywać wspomnienia.

- Zdaje się, że to właśnie wtedy wszystkich poznałem.

Zaczelismy dopiero co na serio z sobą chodzić i Lucy zaprosiła mnie na przyjęcie świąteczne do siebie do domu. To wtedy zafascynował mnie jej świat. Pomyślałem, że to takie wspaniałe, że jej mama zapoczątkowała taką tradycję, gdy były jeszcze dziećmi, gromadząc w ich małym domku wszystkich sąsiadów... Zdaje się, że ten wieczór był Lucy bliższy niż samo Boże Narodzenie.

Ron skinął głową.

- To prawda. To zawsze było ogromne przyjęcie.

- Dlatego tak sobie myślę, że jak wrócę do siebie właśnie wtedy, potem będzie mi już tylko łatwiej. Muszę ci jednak powiedzieć - tu spojrzałem na Abby - że trudno mi sobie wyobrazić, że ją zostawiam. Wiesz, Ron, nawet w najśmielszych fantazjach nigdy nie przypuszczałem, że tak się będę czuł. Zupełnie tego nie przewidziałem. - Nic nieważące drobne ciało Abby, które tuliłem w ramionach, sprawiło, że moje serce zabiło mocniej. - Ale Lucy to przewidziała - dodałem łamiącym się głosem. - Ona знаła mnie tak dobrze.

Ron milczał. Podniosłem wzrok i napotkałem jego baczne spojrzenie.

- Jesteś pewien, Mic, że nie masz nic przeciwko... temu wszystkiemu?

Znał moją odpowiedź; wyczytałem to z jego smutnego wejrzenia.

- Oczywiście. To jedyne rozwiązanie. Ty i LU jesteście wspaniali. Abby będzie z wami bezpieczna.

Twarz Rona wyrażała smutek i wyczekiwanie.

- Byłaby bezpieczna również z tobą, Mickey. Nigdy w życiu nikogo nie skrzywdziłeś. Więcej wiary w siebie!

Wsunąłem palec pod małą rączkę Abby, która delikatnie zacisnęła na nim swe paluszki.

- W każdym razie nigdy nie skrzywdziłbym jej rozmyślnie. To pewne.

- Posłuchaj, Mickey. Wiem, co znaczy utracić dziecko. Mieć je, a potem je stracić. To piekło. Trudno jest człowiekowi uwierzyć, że w ogóle sobie z tym poradzi.

Spojrzałem na niego; na tego mojego przyjaciela tak spokojnie stojącego w podkoszulku i flanelowych spodniach, gotowego udać się na spoczynek. Był całkowicie bezbronny.

- Tylko że ty sobie poradziłeś. Mam rację? - spytałem.

- Zdaje się, że tak. Ale nie wiem, czy można to nazwać porażeniem siebie, skoro wciąż o tym myślę, wyobrażając sobie, jak on wyglądałby dzisiaj, mając trzynaście lat. Wyobrażając sobie, gdy zadzwoni telefon, że może to on, zupełnie dojrzały, dzwoni z zapytaniem, czy rozmawia z Ronaldem Jerome'em Batesem i czy pamiętam, że kiedyś przez chwilę miałem dziecko, chłopca. - Ron wzruszył ramionami i wbił wzrok w podłogę. - On tam jest, Mic, a ja zawsze się zastanawiam, czy właśnie go nie minąłem, idąc chodnikiem, albo czy nie stoi obok mnie w kolejce. Ta myśl nigdy nie znika.

Spojrzałem na Rona zdumiony. Nie miałem o tym bladego pojęcia.

- Po prostu nie chciałbym, żeby ktokolwiek przeżywał to co ja. A już zwłaszcza ty, Mic.

Tej samej nocy usłyszałem płacz Lily. Ściany ich domu są cienkie i choć nie mogłem rozpoznać słów, niewątpliwie był to płacz. Tamtego wieczoru nie wyszedłem z pokoju dziecinnego. Kiedy Ron, pożegnawszy się ze mną, poszedł spać, powiedziałem mu, że za chwilę wracam do siebie, ale nie zrobiłem tego. Teraz zaś miałem poczucie, że nie mogę się stąd ruszyć. Nie były to odgłosy kłótni. Nie słyszałem krzyków, jedynie przyciszony szloch kobiety i głos męczyzny, który starał się ją uspokoić. Abby przeciągnęła się w moich ramionach i wkrótce zaczęła kwilić. Przesunąłem ją sobie na ramię i zacząłem masować jej plecy, co tylko sprawiło, że zaczęła drzeć się wniebogłosy. Położyłem ją na przewijaku i sięgnąłem po pieluchę, ale nic to nie dało. Gniewne kwilenie wkrótce przeszło we wściekłe wrzaski, a twarz dziecka stała się purpurowa. Już miałem zejść na dół, żeby przygotować mleko, gdy do pokoju weszła Lily z butelką w ręce. Jej oczy były zaczerwienione i zapuchnięte, ale i tak miała uśmiech na twarzy.

- Jakby była zaprogramowana - powiedziała. - Można by regulować według niej zegarek.

- Przykro mi, że cię zbudziliśmy. Ale trochę wolno orientuję się w sytuacji.

- Wcale mnie nie obudziłeś, Mickey.

- LU... - Wyciągnąłem do niej wolną rękę, ale ona się cofnęła.

- *Daj spokój, Mickey. Jest w porządku.*
- *Tak strasznie mi przykro, Lity. Przygryzła wargę.*
- *Niepotrzebnie. Do wszystkiego potrafię się przystosować.*

Spojrzeliliśmy na Abby, bo tylko tak każde z nas mogło ukryć swoje zmieszanie.

- *No cóż -powiedziała w końcu Lity. - Wygląda na to, że masz wszystko pod kontrolą. Chyba wrócę do łóżka.*

- *Dlaczego jej nie nakarmisz, LU? Trochę bolą mnie już plecy.*

Lity uśmiechnęła się do mnie, a łzy ponownie napłynęły jej do oczu. Przez chwilę na mnie patrzyła, jakby szacując moją propozycję, po czym pochyliła się i pocałowała mnie w policzek.

- *Dzięki, Mickey.*

Umieściłem Abby w jej ramionach, obserwując nasze kapryśne dziecko, które tym razem uspokoiło się dzięki LU.

- *Zdaje się, że owinęła nas sobie oboje wokół palca - stwierdziła.*

- *To samo sobie pomyślałem - powiedziałem, wręczając jej butelkę.*

Nie spałem zbyt dobrze tej nocy, a następnego dnia zadzwoniłem do gabinetu Gleasona, żeby umówić się na wizytę. Nie miał kiedy mnie wcisnąć, ale mógł się ze mną spotkać w porze lunchu, więc umówiliśmy się w Crab Shack w Woodbury. Gdy mnie zobaczył, zrobił to, co robił

zawsze: podszedł i mnie uściskał. Niby nic wielkiego. Każdy ojciec zrobiłby to dla swego syna będącego w trudnej sytuacji.

- Dzięki, że znalazłeś dla mnie czas -powiedziałem.

- Wiesz, że nie potrafię się oprzeć pokusie, gdy ktoś stawia mi lunch. No więc, co się dzieje?

Usiadłem i przeczesałem włosy dłońmi.

- Właściwie to nie wiem. Kocham swoje dziecko, ale źle znoszę pobyt w domu Rona i Lity, więc cała ta sytuacja, która miała stopniowo się poprawiać, z każdym dniem staje się coraz trudniejsza.

- Spokojnie, Mickey. Spojrzałem na niego.

- Było mi łatwiej, kiedy mi się wydawało, że nie potrafię jej pokochać.

- Twojej córki? Możesz to powiedzieć, Mickey. - Świdrował mnie wzrokiem.

- Mojej córki-przytaknąłem, ale już po chwili odwołałem te słowa. - Nie, nie, nie. Nie rób mi tego. Ona należy do Rona i Lity, a ja stawiam ci lunch, żebyś mi powiedział, jak mam sobie z tym wszystkim poradzić.

- No dobrze. A więc przynajmniej zacznijmy tak, jak należy. Kochasz ją.

- Tak, kocham ją.

- A Lity i Ron będą ją wychowywać, ponieważ ją kochasz.

- Owszem. Właśnie dlatego.

- To bardzo szlachetne, Mickey. A gdzie jest twoje miejsce w tym wszystkim?

- Jeszcze nie wiem.

- Jesteś jej ojcem. Powinieneś wiedzieć.

W ciągu kolejnych trzech dni zbierałem się na odwagę, żeby móc się wyprowadzić. Naprawdę zamierzałem zrobić to, co zapowiedziałem Ronowi - wyprowadzka w Wigilię albo kompletna porażka. Ale kiedy na serio zacząłem myśleć

O powrocie do domu, stwierdziłem, że wolę chyba kompletną porażkę. Myśl o tym, że zostanę sam, przerażała mnie. A to oznaczało, że nic już nie oddziela mnie od otchłani.

Co stwierdziwszy, zdecydowałem się opuścić dom Lily,

I to szybko, ponieważ zaczynałem czuć, że moja córka staje się czymś w rodzaju gruntu pod moimi stopami. I Lily może to zauważyć.

Najwyraźniej nie miało znaczenia, czy przewijam Abby, przygotowuję jej kąpiel, czy też zmagam się z jednym z jej napadów złości. Lily zawsze mnie obserwowała, a ja miałem wrażenie, że wkraczam na cudzy teren.

Miarka się przebrała piątkowej nocy. Lily właśnie karmiła małą. Abby znów zapomniała zaczerpnąć powietrza, a gdy to w końcu zrobiła, mleko wpłynęło jej nie tam, gdzie trzeba, i zaczęła się krztusić. Było to upiorne doświadczenie, bardziej przypominając rżenie niż kaszel, i na ów dźwięk serce niemal zamarło mi w piersi. Lily wpadła w panikę. Zdaje się, że nawet zaczęła krzyczeć, ja zaś miałem wrażenie, że oglądam tę straszną scenę jakby w zwolnionym tempie. Zarejestrowałem butelkę wypadającą z dłoni Lily i odbijającą

się od podłogi. Nagle poczerwieniała, a potem siną Abby. Lily powtarzając bezradnie: „O, Boże. O, Boże”. Potem widziałem, jak moje ręce same wyciągają się po córkę i zaczynają nią potrząsać, klepiąc ją po plecach. Potem rozległ się kaszel, płacz dziecka i poczułem, że wszystko, co zjadła, ścieka mi po ręce. Upokorzenie, jakie ujrzałem oczach Lily, ustąpiło miejsca gniewowi.

Nieco później, gdy w rozmowie telefonicznej z doktor Sweeny wspólnie rozważaliśmy ewentualność kolki u Abby, Lily obrzuciła mnie tym samym twardym spojrzeniem. Zastanawiałem się po prostu, czy mleko bez żelaza mogłoby sprawić, że dziecko stałoby się mniej wrzaskliwe - coś takiego wyczytałem w Internecie - ale najwyraźniej po raz kolejny zrobiłem coś niewybaczalnego. Tak więc zostawiłem Lily, żeby sama radziła sobie z naszym nieznośnym brzdącem, oświadczając, że jadę do Partners, żeby pogadać z Jaredem.

Nasze miasto ciągnie się prawie przez trzy kilometry, począwszy od przystani, a na centrum Brinley skończywszy. Byłem zaskoczony, że tak dobrze się poczułem, znalazłszy się poza domem. Przez cały wieczór sypał śnieg, i oto teraz świat był rześki i czysty i cały zdawał się należeć do mnie, gdyż pierwszy odcisnąłem ślad stopy w okrywającym ziemię puchu. Idąc wzdłuż głównej ulicy, uświadomiłem sobie, jak to dobrze móc mijać ludzi z sąsiedztwa, znanych mi od tak dawna; od czasu, gdy poślubiłem Lucy. Wyobraziłem sobie wszystkie rozmowy toczone w zaciszu ich domów. Znałem ich historie, a oni z pewnością znali moją. A wielu z nich tak czy owak bardzo mnie lubiło.

Sięgnąłem pamięcią do owego wieczoru, kiedy razem z Lu wracaliśmy z proszonego obiadu u Lily (podano spaghetti). Powiedziałem wtedy żonie, że nie chcę mieć dziecka, nigdy jednak jej nie zdradziłem, że zamierzam opuścić Brinley. Ostatecznie liczyłem się z tym, że może umrzeć, a gdyby to nastąpiło, chciałem odejść stąd, porzucić wszystko, co przypominałoby o niej, i zatracić się w szaleństwach, które najrychlej przywiodłyby mnie do zagłady.

Ale potem pojawiła się Abby - i wszystko się zmieniło.

Rozejrzałem się po tej cichej ulicy, otoczonej szpalerem domów pełnych ludzi, których nauczyłem się darzyć sympatią. Moja córka będzie dorastać w tym wspaniałym miasteczku i będzie powszechnie lubiana, gdyż powszechnie lubiano jej mamę. Jak mogłem sobie kiedyś wyobrażać, że odejdę stąd i przestanę być częścią tego wszystkiego?

Pogrążony w rozmyślaniach dotarłem do centrum. Wyglądało na to, że zajazd Brubaker Inn cienko przedzie, co nie było niczym dziwnym, zważywszy na świąteczny okres. Zamierzałem pogadać z Jaredem, ale teraz, gdy byłem już na miejscu, wydawało mi się, że mam mu niewiele do powiedzenia. Wiedziałem, że mogę wrócić do Partners w każdej chwili. Do diabła, gdybym tylko chciał, mógłbym tam wejść i zacząć pracę choćby od teraz. A tymczasem ruszyłem w powrotną drogę do Rona i Lily, wzdłuż Chestnut, przy której stał mój dom.

Oczywiście był całkiem pusty i pogrążony w ciemnościach, ale był mój. Może i byłem wystarczająco silny, żeby wejść do środka, ale tylko stałem i wpatrywałem się w okna, próbując w myślach sprawić, by nagle zapa Lily się wszystkie

światła, a w otwartych drzwiach ukazała się Lucy. Nic takiego jednak się nie wydarzyło. Dom był opustoszały i nic się w nim nie zmieniło od owego poranka, gdy Lucy zbudziła się chora i obolała, każąc mi zadzwonić po lekarza. Podąłem jej wtedy odrobinę soku jabłkowego, którego nie wypła. Wciąż jeszcze stał na blacie. Łóżko nie było posłane, na suszarce wisało pranie, a w domu nie było mleka. Jak to możliwe, że nic się nie zmieniło, skoro jednocześnie i w sposób trudny do pojęcia nic już nie było takie samo jak przedtem?

Śnieg okrywał dach i podjazd co najmniej trzydziestocentymetrową warstwą. Wahąłem się tylko przez chwilę, po czym okrężną drogą podszedłem do drzwi garażu, których nigdy nie zamykałem na klucz, i wyciągnąłem łopatę. Biały puch wbrew pozorom był ciężki i wysiłek fizyczny dobrze mi zrobił. Pomimo gorących łez spływających mi po twarzy, czułem przenikliwy ziąb, ale przyjemnie było się zmęczyć, przyjemnie było czuć własne bijące serce, a w gardle - haust zimnego powietrza. Kiedy skończyłem odśnieżać własny podjazd, zabrałem się za podjazd sąsiadów i byłem mniej więcej w połowie pracy, gdy podjechał samochód Harry'ego.

Jan wysiadła z auta.

- Mickey, kochanie, co ty właściwie wyrabiasz? Zachnąłem się, wyswobadzając z jej objęć.

- Byłem na spacerze.

Jestem dorosłym człowiekiem, ale muszę powiedzieć, że dzięki tej kobiecie zaznałem takiego matczynego ciepła, o jakim marzyłem, będąc dzieckiem.

- Już dobrze. Koniec na dzisiaj -powiedziała stanowczo.

- Harry jutro zrobi resztę. Wejź do środka. Musisz być przemarznięty na kość. A chodźże już, zjemy zupę albo napijemy się herbaty. A może gorącej czekolady? Harry wyjął mi z rąk łopatę.

- Nie ma sensu się sprzeczać, Mic. Ona i tak da ci herbaty, zupy czy co tam jeszcze wymyśli, więc może po prostu wstąp do środka.

Klepnął mnie lekko po plecach i pomyślałem, że nie mam wyboru.

Znalazwszy się w ich domu, uświadomiłem sobie, jak bardzo zmarzłem. Jan wzięła mój płaszcz i powiesiła go przy kominku, następnie zarzuciła mi na ramiona gruby afgański pled. Gdy tak siedziałem przy jej kuchennym stole, pozwalając im pytlować do woli, nagle coś we mnie eksplodowało i rozplakałem się. Jan od razu roztoczyła nade mną matczyną opiekę. Harry nieco przycichł. Siedział tylko i nakrył moją dłoń swoją.

-Już dobrze, synu. Wypłacz się. Nie uświadamiałem sobie w pełni skali własnego bólu. Wiedziałem tylko, że płacz przynosi mi niewypowiedzianą ulgę i że muszę dać upust wszystkim emocjom, jakie w domu Lily trzymałem na wodzy. Sporo musiało się ich nagromadzić, bo minęło trochę czasu, nim ucichły. Gdy w końcu się uspokoilem, powiedziałem Jan i Harry emu, że już od dawna czułem potrzebę takiego oczyszczenia. Wiele łez wylałem w ciągu ostatnich miesięcy, lecz nigdy jeszcze nie dotarło do mnie z taką mocą, jak bardzo jestem nieprzygotowany, by żyć bez Lucy.

Dzięki nim w końcu się jakoś pozbierałem. Było dziesięć po jedenastej. Potem zjedliśmy zupę i trochę upieczonego przez Jan chleba na zakwasie z masłem miodowym, wypiliśmy też sok jabłkowy wyciśnięty z ich własnych jabłek. Wszystko wydało mi się pyszne, a przecież już tyle czasu minęło, odkąd czułem prawdziwy głód i w ogóle jadłem ze smakiem. Później Harry nalegał, że mnie odwiezie do domu, ale powiedziałem mu, że chętnie się przejdę.

- W takim razie obiecaj, że zobaczymy się w Boże Narodzenie na śniadaniu - powiedziała Jan.

- Obiecuję. Inie przestraszcie się, kiedy wyjrzycie przez okno i zobaczycie, że się u mnie świeci. Jutro wracam do domu.

- Już jesteś gotów, kochanie?

- Nigdy nie będę gotowy, Jan, ale najwyższy czas, żeby to zrobić.

- W Wigilię? Jesteś pewien?

- Tak, jestem pewien. Jeśli zrobię to jutro, później będzie mi już tylko łatwiej.

Jan nachyliła się i pocałowała mnie w policzek.

- Wiesz, gdzie nas szukać. Skinąłem głową.

- No cóż, weź przynajmniej to. - Harry wcisnął mi na głowę czapkę narciarską. - Skoro nie chcesz, żebym cię podwiózł, to niech ci chociaż będzie ciepło.

- Dzięki. Dzięki za wszystko.

Spojrzałem mimo nich na gigantyczną sosnę zajmującą połowę salonu. Iskrzyło się na niej mnóstwo lampek w różnych kolorach, już teraz przydając pokojowi wyjątkowej atmosfery

święta Bożego Narodzenia. I doświadczyłem czegoś w rodzaju pocieszenia.

Wyszedłem na zewnątrz, gdzie panował przenikliwy ziąb. Znowu padał śnieg i była pełnia. Pomyślałem o swojej żonie i po raz pierwszy ból z powodu jej utraty nie przeszył mnie tak boleśnie jak dotychczas. Zaskoczyło mnie to, więc odważyłem się na więcej. Pomyślałem o naszych pierwszych wspólnie spędzonych świętach. O przekrzywionej choince, której nijak nie dano się ustawić prosto, i o tym, że gdy mimo wszystko próbowałem ją wyprostować i gałąź unieruchomiła mnie, Lucy tak bardzo się śmiała, że aż ją zatykało, i nie mogła mi pomóc wydostać się z opresji. To musiał być komiczny widok: duży facet uwięziony pod jeszcze większym drzewem. Myślałem o owej nocy, która wydała mi się tak odległa w czasie, a której każdy szczegół jawił mi się jako pełen znaczeń i treści. Zacząłem myśleć o tym serdecznym, dobywającym się jakby z głębi trzewi śmiechu Lucy z taką intensywnością, że prawie go usłyszałem. Brzmiał jak muzyka.

ROZDZIAŁ 35

Przez cały dzień krzątałem się jak mogłem, wynajdując sobie różne sprawy, żeby się czymś zająć i maksymalnie odsunąć w czasie powrót do domu. Uprałem swoje rzeczy. Uprałem rzeczy Abby. Wysprzątałem w łazience. Pościłem łóżko. I ilekroć było to możliwe, brałem na ręce córkę. Być może dlatego, że nadal u nich byłem, a może udzielił jej się świąteczny nastrój - w każdym razie Lily była dziś niezwykle wyciszona. Gdy kołysałem Abby, zajęła się pakowaniem prezentów i przystrajaniem choinki, na której od tygodnia nie pojawiła się ani jedna ozdoba. I tylko raz, gdy wieszala skarpety z prezentami, zauważyłem, że uległa emocjom.

Zawiesiła swoją i Rona, po czym sięgnęła po trzecią. Obserwowałem, jak zanurza dłoń w skarpecie, a gdy podniosła wzrok, nasze spojrzenia się spotkały.

- Chyba ci tego nie pokazywałam - powiedziała, ukazując wnętrze skarpety.

Zobaczyłem scenę przedstawiającą niemowlę śpiące pod choinką. Wyglądała jak malowidło, lecz w rzeczywistości był to niesamowicie drobny haft - koronka igłowa czy

coś w tym rodzaju. Nawet z takiej odległości zauważyłem, że koronka jest stara i że ma swój niepowtarzalny styl jak wszystko w tym domu. Lily uchwyciła ją w pałce.

- Przypuszczam, że jest to robótka jakiejś świeżo upieczonej mamy, która wyszywała ją w wolnych chwilach, gdy jej pociecha spała, albo jakiejś babci. Wyszywanekę wykonano zapewne przy oknie, przy dobrym świetle dnia, a może przy lampie, tak czy owak jest to dzieło prawdziwej miłości. - Lily pokręciła głową. - Ponieważ haft wykonany został z myślą o jakiejś uwielbianej przez kogoś dziewczynce, pomyślałam, że doskonale nada się na prezent dla twojej Abby.

- Skąd wiesz, że była to dziewczynka? Lily zbliżyła się do mnie.

- Ponieważ widać bransoletkę wokół jej nadgarstka.

Mój wzrok podążył za szczupłym palcem Lily, która wskazała mi ten szczegół na obrazku. Faktycznie, wokół nadgarstka dziecka, niemal ukrytego pod gałązkami choinki, dało się wypatrzeć cienki srebrny ścieg bransoletki. Nigdy bym go nie zauważył, ale Lily miała rację. Był tam.

- Jak sądzisz, ile lat może mieć wyszywanka?

- Jest data. Zobacz, jest bardzo drobna i ścieg się trochę wystrzepił, ale wygląda mi to na rok 1872... a może 1878. Całość doskonale się zachowała. Przypuszczalnie była to cenna pamiątka rodzinna, dopóki nie trafiła na kogoś, kto był bardziej zainteresowany czterystoma osiemdziesięcioma pięcioma dolarami, bo za tyle kupiłam ją na eBayu.

-A to dopiero! Trudno uwierzyć, by ktoś chciał się z tym rozstać.

Lily odwróciła się w stronę choinki.

- Coś, co dla jednego jest skarbem, dla kogoś innego nic nie znaczy.

Przewiesiła skarpetę przez poręcz krzesła i gdy sięgała ręką do pudełka z ozdobami na choinkę, zastanawiałem się, dlaczego nie powiesiła jej razem z innymi. Ale wtedy uświadomiłem sobie, że postąpiła tak przypuszczalnie z myślą

O mnie. Doceniłem ten gest.

Kiedy wyjrzałem przez szerokie okno, zobaczyłem, że zaczyna się zmierzchać, i uzmysłowiłem sobie, że oficjalnie opóźniłem całą akcję o jeden dzień. Abby spała mi na ręku. Uniósłem ją nieco i ucałowałem w główkę. Stałem tak, wdychając jej zapach. Gdy podniosłem wzrok, napotkałem spojrzenie wpatrzony we mnie Lily. Jej oczy, podobnie jak

I moje, były wilgotne z powodu tego, co miało nastąpić, ale żadne z nas nie odwróciło głowy. Trzymałem w ramionach całą swój świat i uświadamiając to sobie, poczułem, że na mojej twarzy zaczyna się malować przerażenie. Nie wiedziałem jednak, co z tym począć.

Lily podeszła do mnie i łagodnie wyjęła mi Abby z ramion.

- Zostawmy ją z Ronem - powiedziała szeptem. - Musimy iść na grób Lucy.

- Och, Lii, ja...

- Już czas, Mickey. Dla nas obojga.

Pojechaliśmy na cmentarz, nie zamieniając po drodze ani słowa. Nikogo nie zastaliśmy, choć bez wątplenia w tym tygodniu cmentarz odwiedziło wiele osób. Na grobach umieszczano gałązki ostrokrzewu, przemarznięte gwiazdy betlejemskie,

nawet miniaturowe choinki. Lily zatrzymała wóz na poboczu wąskiej ścieżki prowadzącej do miejsca, w którym pochowana była Lucy, i wyłączyła silnik. Przez kilka minut siedzieliśmy w milczeniu, obserwując płatki śniegu, bo znów zaczęło padać. W końcu Lily otworzyła drzwi od strony kierowcy.

- Nie spiesz się, Mickey - powiedziała, wysiadając z auta. Zabrała z tylnego siedzenia kilka doniczek z sosenkami

i biodrem zamknęła drzwi. Oczekałem chwilę i też wysiadłem. Było mi zimno. Wiatr przewiewał moją kurtkę, gdy wspinałem się na wzgórze za moją szwagierką.

Od dawna tutaj nie byłem i ogarnął mnie wstyd, że straciłem pogrzeb Lucy. Na szczycie zatrzymaliśmy się przed marmurową ławką i oto wpatrywaliśmy się w niewielką grupę nagrobków. Nagrobek rodziny Lucy stanowiła płyta z granitu barwy koralowca, która zdawała się ich zamykać. Niewielki biały pomnik babci Lucy był przekrzywiony. Ku swemu zdumieniu zobaczyłem, że Lucy pochowano obok. Zdaje się, że ponieważ byłem do niczego nieprzydatny, Ron i Lily przejęli moje obowiązki. Wybrali dla mojej żony nagrobek z czarnego granitu, grubo ociosanego po bokach, a z przodu gładkiego jak lustro. Przykucnąłem przed mogiłą, nie mogąc zapanować nad emocjami. Nagrobek był piękny. Przesunąłem ręką po jego gładkiej powierzchni, wodząc palcami wzdłuż wyrytych liter imienia zmarłej.

- Podoba ci się? - spytała Lily, klękając przy mnie.

- Bardzo - odparłem łamiącym się głosem.

- Myślę, że jest piękny. Zupełnie niesamowity. Jak ona. Ponownie dotknąłem wyrytego na nagrobku imienia Lucy.

- *LU, tak bardzo ją kochałem.*

- *Wiem.*

- *Brakuje mi jej.*

- *Mnie też.*

Pomyślałem o tym, jak to Lucy oświadczyła kiedyś, że Bóg nie mógłby wlać w jej serce miłości do mnie, a potem tej miłości jej odebrać. Chciałem w to wierzyć. Skoro miłość była czymś tak fundamentalnym, to dlaczego Bóg pozwolił mi cieszyć się nią tylko po to, by mi ją odebrać? A jeśli mi jej nie odebrał, czy oznaczało to, że miłość - miłość Lucy - przekracza wszystko to, co jestem w stanie zrozumieć? Co za myśl! Gdyby to było prawdą, to sądzę, że mógłbym znieść wszystko.

Tuż po dziewiętnastej Ron zajechał pod mój dom. Od Chestnut Street biła łuna światła. Serce zamarło mi w piersi, gdy uzmysłowiłem sobie, że wracam do siebie: do pustki i ciemności, i szklanki z sokiem jabłkowym, który musiał już wyparować.

Lily zdawała się czytać w mych myślach.

- *Jeszcze możesz zmienić zdanie, Mic.*

- *Poradzę sobie, LU - skłamałem.*

Zauważyłem spojrzenie, jakie wymieniła z Ronem, ale nie domyśliłem się jego znaczenia. Gdy w polu widzenia znalazł się mój dom, usłyszałem chichot Lily.

- *O, kurczę. A to co takiego? - zdziwiłem się na widok tego, co nagle ukazało się moim oczom.*

Cały dom tonął w świetle i przez chwilę pomyślałem nawet, że wjechaliśmy w niewłaściwą uliczkę. Ale był to mój dom

przystrojony z okazji świąt Bożego Narodzenia. Lucy zawsze kochała zwykłe lampki z bezbarwnego szkła i mieliśmy ich całe narecza. I teraz ktoś wydobył je z piwnicy i wszędzie rozwiesił. W oknie zobaczyłem choinkę ozdobioną jeszcze większą liczbą owych lampek i teraz całe drzewko jaśniało świątecznym blaskiem. Poczulem falę nagiego wzruszenia. Mój dom wyglądał tak jak w każde święta, odkąd w nim zamieszkałem. Mogłem sobie niemal wyobrazić swoją żonę siedzącą w naszej kuchni i czekającą na mój powrót z prezentem w postaci biletów last minute, co stało się niemal równie nieodzownym elementem świątecznej tradycji jak choinka.

- O mój Boże! - zawołałem.

Głos mi się łamał i brzmiał niezupełnie jak mój. We wstecznym lusterku zobaczyłem spojrzenie Rona. Chichocząc, wjechał na podjazd i zaparkował samochód.

- Zaskoczony? - spytała Lily ze śmiechem. - Wesółych świąt, Mickey.

- A cóż wyście zrobili najlepszego?!

- Chcieliśmy ci dać trochę radości!

Byłem tak oszołomiony, że kilka minut zajęło mi rozpięcie pasów od fotelika dziecięcego Abby. Pomogła mi Lily, która wprawnie owinęła koc wokół główki malej - dokładnie tak, jak ja bym to zrobił - by ochronić ją przed zimnym wiatrem znad rzeki.

Sądzę, że mój stan martwił Rona, bo gdy szliśmy podjazdem, złapał mnie za ramię. Lecz ja czułem się dobrze. Gdy Lily obiadowała mnie zakupami, które wydobyła z bagażnika, zacząłem przetrząsać kieszenie w poszukiwaniu kluczy. Te jednak otwarte

się same i oto stał w nich Harry ubrany w komiczny sweter z motywem reniferów, ten sam, w jakim paradował we wszystkie święta Bożego Narodzenia, odkąd się poznaliśmy. Otworzył drzwi jeszcze szerzej, by mi pokazać przesycony świąteczną atmosferą pokój z dobiegającą skądś muzyką, nieziemskim zapachem pieczonego indyka i moimi kochanymi sąsiadami.

Spojrzałem na Harry'ego, by znaleźć w jego twarzy potwierdzenie, że nie śnię, i ujrzałem na niej uśmiech. Wpatrywałem się w całe to zgromadzenie skrajnie zdumiony i nagle spokorniał. Jan pierwsza podeszła do mnie, pocałowała mnie w policzek i objęła. Odwzajemniłem uścisk wolną ręką, łapiąc ją jak człowiek tonący, a gdy wyswobodziłem się z jej objęć, zobaczyłem, że przytyka dłoń do ust i próbuje zapanować nad łzami.

Harry wziął ode mnie fotelik dla dziecka, więc mogłem dać się unieść tej niesamowitej fali życzliwości. Charlotte Barbee poklepała mnie po piersi, mówiąc, że dobrze wyglądam. Diana Dunleavy ujęła moje dłonie i pocałowała je. Earl Withers w geście solidarności położył dłoń na moim ramieniu. Każda interakcja jak gdyby pogłębiała iluzję, że Lucy też jest tutaj. Wśród panującego zgiełku usłyszałem Abby i próbowałem do niej dotrzeć. Wiedziałem, że wkrótce rozlegnie się histeryczny płacz zapowiadający porę karmienia. Chciałem wziąć ją na ręce, ale Ron dyskretnie wydobył skądś butelkę z pokarmem i z dzieckiem na ręku zasiadł na sofie, gdzie po chwili przysiadły się doń Muriel Piper i Elaine Withers. Rozczulały się tak, jakby nigdy wcześniej nie widziały niemowlaka, a ja rozluźniłem się na myśl, że Abby jest pod dobrą opieką.

I znowu napawałem się przejawami sympatii: głaskano mnie po twarzy, szeptano miłe słówka, całowano w policzki, czule klepano po plecach. Zewsząd dolatywały mnie strzępki rozmów: „Dobrze wygląda...”, „ Wygrzebie się z tego...”, „Stracił na wadze, biedaczek...”, „Mała wygląda zupełnie jak Lucy, jest po prostu urocza”. Wszystko to było nieco przytłaczające, ale aż wzdrygnąłem się na myśl, że mogłaby mnie ominąć choćby cząstka tego.

W drugiej części pokoju widziałem LU pomagającą Jan w ostatnich przygotowaniach do świątecznego obiadu, mającego odbyć się w jadalni. Zdumiony byłem, że mimo całej frustracji wzięła udział w tej niespodziance, będącej prezentem dla mnie. Lecz właśnie wtedy rozległ się dzwonek u drzwi i kiedy Harry je otworzył, ujrzeliśmy stojących w progu Priscillę i Nathana. Właśnie przestali się całować i wyglądali na nieco zmieszanych. Nathan wskazał na okap, z którego zwisała duża gałąź jemioły, a Harry zaśmiał się, szerzej otworzył drzwi i wziął płaszcze od nich. Moja szwagierka natychmiast mnie dostrzegła, a zebrani w pokoju zaczęli się rozstępować, gdy ruszyła w moją stronę. Wyglądała fantastycznie w krótkiej czerwonej sukience i szpilkach, ale przystanąwszy przede mną, posłała mi spojrzenie zadające klam jej chłodnemu obejściu.

- Mickey - odezwała się szeptem, ściskając mnie. - Wesółych świąt, kochanie. Wszystko u ciebie w porządku?

- Jakoś zaczyna się układać - wyznałem jej do ucha. Drzwi ponownie się otworzyły i do pokoju wkroczył Gleason

Webb okutany w grubą parkę z kapturem.

- Och, jakież uroczy z pana człowiek, że jechał pan taki

kawał, by dzisiejszy wieczór spędzić razem z nami! - rzuciła Jan, całując go w policzek.

- Usłyszałem, że dają tu jeść, więc musiałem wpaść-zarechotał i poszukał mnie wzrokiem, po czym ruszył przez tłum w moim kierunku. - To chyba najlepsze, co może ci się teraz zdarzyć, no nie, Mic? - powiedział, gdy już do mnie dotarł.

- Zdaje się, że masz rację.

W pobliżu kuchni Harrison zaczął uderzać tyżką w szklankę i wszyscy ucichli. Odchrząknął i w ogóle robił znacznie mniej śmieszne wrażenie, niż powinien, zważywszy na jego sweter w renifery.

- Chciałbym powitać wszystkich obecnych na przyjęciu bożonarodzeniowym u Chandlerów. Szczególnie serdecznie chciałbym powitać Mickey a, który wreszcie wrócił do domu. Dłużyło nam się tu bez niego. - Tutaj zadrżała mu warga,^ ale obrzucił mnie twardym spojrzeniem, próbując opanować emocje. - Dobrze znów widzieć cię w domu, synu.

Wszyscy zamarli i oto wydało mi się, że słyszę, jak każdy wstrzymuje oddech pod wpływem nieodpartej myśli: „Biedny Mickey”. Stałem tam i robiłem co w mej mocy, by nie zapaść się pod ziemię, lecz zanim zdołałem dobyć głos, musiałem wbić wzrok w podłogę. Podnosząc oczy, uniosłem też szklankę.

- Cóż ja bym zrobił bez przyjaciół? Dziękuję wam. Dziękuję wam za wszystko. I dziękuję w imieniu Lucy. Wiecie, z jaką przyjemnością spędziłaby z wami ten wieczór.

Jakby na komendę Abby wydała przeciągłe beknięcie, które wdarło się w krepującą ciszę, rozładowując niezręczną atmosferę. Wybuchnąłem śmiechem.

- To moja dziewczynka. Idziemy coś zjeść? Umieram z głodu.

Potem przyjęcie zaczęło się rozkręcać. Każdy ustawił się w kolejce, żeby samemu się obsłużyć. Goście siadali, gdzie popadło, nawet na schodach i podłodze. Rozejrzałem się wokół i ogarnęło mnie zdumienie. Nawet gdybym żył następnych sto lat, nie zdołałbym należycie im podziękować. Nie potrafiłbym też wynagrodzić im owego będącego zwieńczeniem wieczoru aktu życzliwości, kiedy to Oscar Levine wziął mnie za rękę ze słowami:

- Niektórzy z nas złożyli się na mały bożonarodzeniowy prezent dla ciebie, Mic. Może byś tak poszedł na górę i rzucił okiem?

Podążyłem za Oscarem i aż nogi ugięły się pode mną, gdy zajrzałem do swojej sypialni. Chyba się rozplaczę, pomyślałem. Ale zrobię to dopiero potem, gdy zostanę sam. Nie bacząc na moją chwilę słabości, Oscar wprowadził mnie do starej sypialni Priscilii i włączył światło. Usłyszałem dźwięk dobiegający z głębi mojej piersi, jakby przeciągły jęk bóleści i jednocześnie okrzyk zachwyty, który bez wątpienia dobrze wyrażał to, co w owej chwili czułem. Patrzyłem na wspaniałą pokój dziecinny. Moi przyjaciele podjęli nasze dzieło w miejscu, w którym ja i Lucy przerwaliśmy je, i przekształcili ten pokój w coś zupełnie bajkowego. Ściany były barwy ciepłego rózu wybranego przez Lucy, a wszystkie elementy wystroju wykonane z materiału - zasłony, poduszki i koce - miały odcień pastelowej zieleni i żółci. Lucy byłaby zachwycona.

Wszedłem do środka, usiadłem na nowo obitej kanapie przy oknie i ogarnąłem spojrzeniem cały pokój. Mógłby się znaleźć w katalogu, taki był piękny. Oczywiście wszędzie unosił się duch Lucy. Jestem pewien, że był właśnie taki, o jakim marzyła, choć efekt końcowy całej tej zbiorowej pracy znacznie przekraczał najśmielsze oczekiwania.

- Kto to zrobił?

- My wszyscy - odparł Oscar. - Treig i ja pomalowaliśmy go, Ron wykończył podłogę, Earl i Chad przerobili kanapę.

- A fotel na biegunach to prezent od Lucy - dodał Treig ze smutnym uśmiechem. - Kupiła go ode mnie zeszłego lata. Uważała, że będzie tu doskonale pasował. Muszę przyznać, że miała rację.

Pokręciłem głową i nagle poczułem ból w piersi.

- Jan, rzecz jasna, wykonała malowidła na ścianach, a dziewczyny uszyły falbany i inne takie - dodał spieszenie Oscar, żeby mnie czymś zająć.

Malowidło pędzla Jan pokrywało całą jedną ścianę. Przedstawiało soczyście zielony las, w którego głąb przeniknął promień słońca i padł na trzy zielonookie dziewczynki pijące herbatę na pniu drzewa. Dziewczynki byty zaskakująco podobne do księżniczek z książki, którą Lity przyniosła mi do szpitala. Gdy rozpoznałem w jednej z nich swoją żonę, dałem ujście łzom, które czułem pod powiekami przez całą poprzednią noc. Jan weszła do pokoju i ucałowała mnie w czoło.

- Nie mogłam się oprzeć pokusie. Mam nadzieję, że może tak zostać.

- To fenomenalne.

Dzieło Jan wywarło równie wielkie wrażenie na Priscilli, która z płaczem przywarła do ręki Lily. Miała otwarte usta, lecz nie dobywały się z nich żadne słowa.

Teraz do pokoju wszedł Ron z Abby na rękę.

- Ico sądzisz, Mic? Pięknie, co nie?

- Niewypowiedzianie-przyznałem, biorąc od niego córkę. Abby była zupełnie wybudzona i wpatrywała się w sufit, cicha, grzeczna i zupełnie nieświadoma faktu, że wszystko to jest dla niej. Pocałowałem ją w główkę.

- To twój nowy pokój - szepnąłem z ustami przytkniętymi do jej włosów. A w każdym razie będzie to jej pokój, gdy ja się nią będę opiekował. Na myśl o tym poczułem ukłucie w sercu.

Po wszystkich okrzykach i westchnieniach zachwytu obecni zaczęli schodzić do salonu, gdzie podano deser. Wkrótce Lily, Priscilla i ja zostaliśmy sami. I nagle siostry Lucy wydały mi się młode i bezbronne. Priscilla sprawiała wrażenie niemal zaszokowanej tym, co zobaczyła, i z każdą chwilą poddawała się coraz większemu wzruszeniu. Po policzkach spływały jej wielkie łzy, więc objąłem ją wolnym ramieniem.

- Daj spokój, zrujnujesz sobie makijaż - powiedziałem, próbując udąć, że jeszcze nie jest na to za późno.

Priscilla dała upust całej swej żalości i kilka razy głośno pociągnęła nosem.

- Tak beznadziejnie to wszystko rozegrałam, Mickey. Kompletna ze mnie idiotka. Tak strasznie mi przykro.

- Z jakiego powodu?

- Z powodu wszystkiego. Z powodu ciebie. Z powodu Lucy. A najbardziej z powodu tego aniołka - oświadczyła, wyjmując mi z rąk Abby. - Sama nie wiem, co sobie wyobrażałam.

- No cóż - wyrzuciłem z siebie. - Ja też nie wiem, co sobie wyobrażałem.

Nagle uzmysłowiłem sobie, do czego usiłowałem nakłonić swoją żonę. Patrzyłem, jak Priscilla z czułością przyciska szyjkę Abby do swej twarzy, na której malował się głęboki żal. Doskonale to rozumiałem.

Priss podeszła z Abby do ściany i zaczęła uważnie przyglądać się każdej z dziewczynek. Lily jednak zachowywała pełen dystans. Stała jak urzeczona nie tyle tym, co zobaczyła w pokoju, czy nawet z powodu załamania Priscilli, ile z powodu mojej osoby. Wpatrywała się we mnie w taki sposób, jakby przyszło jej do głowy coś ważnego.

- Wszystko w porządku, LU? - spytałem. Niedostrzegalnie skinęła głową i przeniosła wzrok na ozdobioną fałbanami kołderkę w dzieciennym łóżeczku.

- Prześliczne, nieprawda? - powiedziała z ledwie wyczuwalnym drżeniem w głosie.

- Po prostu urocze - wymamrotała Priscilla, a ja spojrzałem w jej stronę. - Jan idealnie uchwyciła naszą trójkę. Wprost nie do wiary.

Przytaknąłem i odwróciłem wzrok w stronę Lily, ale jej już nie było.

Mniej więcej godzinę później nadał mi nadzieję, że moi przyjaciele uznają za oczywiste, że wciąż są mile widzianymi gośćmi, i zostaną w moim domu tak długo, jak im się będzie

podobało. Przez całą noc. Przez całą zimę. Ale poczułem ulgę, gdy wszyscy zaczęli się żegnać, a każdy proponował, że mnie jutro nakarmi. Nie odrzuciłem ani nie przyjąłem żadnego z zaproszeń. Podziękowałem wszystkim, że o mnie pomyśleli, napawając się ich ofertami. Wanda Murphy ujęła w swe zimne ręce moją twarz, przysuwając ją do własnej.

- Bóg cię kocha, Mickey, i kocha też tę małą - oświadczyła, całując mnie w czubek nosa.

Wzruszyła mnie troskliwość okazana przez Gleasona, który zaofiarował się, że przez całe święta nie wyłączy swego telefonu komórkowego. Po tych słowach uściskałem go czulej, niż zamierzałem.

- Wszystko się ułoży - zapewnił mnie. - Któregoś dnia. A na razie pamiętaj, że to musi potrwać. W razie czego dzwoń.

- Zadzwonię.

Ron umieścił opatuloną Abby w jej foteliku na siedzeniu samochodu. Na główce miała małą czapeczkę naciągniętą prawie na oczy, które były szeroko otwarte i - dając słowo - wpatrywały się wprost we mnie. Pochyliłem się, by ją pocałować. Dzięki wysiłkowi woli udało mi się nie rozkleić. Za pięć minut wszyscy sobie pójdą. Tyle mogłem poczekać.

Ron położył mi dłoń na ramieniu.

- Dobrze się czujesz, Mic?

Stałem tak i tylko kiwałem głową, nie odważając się przemówić z nadmiaru emocji. W końcu powiedziałem:

- Wszystko w porządku. Do zobaczenia jutro.

Lily zajęta była zapinaniem ogromnej torby ze wszystkimi rzeczami Abby. Nosila ją z sobą wszędzie. Nie Uczęc Lity,

Harry i Jan byli ostatnimi gośćmi pod moim dachem. Jan mówiła mi właśnie o wszystkich artykułach żywnościowych, jakie znajdują się w moim domu, gdy koło nas już chciała się przecisnąć Lity. Wymknęłyby się z domu bez słowa, gdybym nie chwycił jej za ramię.

- LU?

Spojrzała na mnie.

- Tak?

Otwarłem usta. Zdaje się, że miałem jej do coś powiedzenia, ale jakoś nic nie przychodziło mi do głowy. Zdobyłem się na wysiłony uśmiech i podziękowałem jej za wszystko, co dla mnie zrobiła. Przysunęła się, żeby pocałować mnie w policzek. Wyglądała tak, jakby zaraz miała się rozplakać.

- Widzimy się jutro rano, Mic.

- W porządku.

- Wiesz, jeśli samotność to dla ciebie problem, możesz wrócić do domu razem z nami.

- Poradzę sobie, LU. Dzięki za propozycję. Wyszedłem z nimi na dwór i stałem, patrząc, jak Ron

zapina fotelik z Abby pasami. Gdy ruszyli z podjazdu, Ron pomachał mi na pożegnanie. Jan ucałowała mnie w policzek.

- Nie zamykam tylnych drzwi na wypadek, gdyby ci się miała przydać moja sofa - oznajmiła.

Harry wziął żonę pod rękę i oboje zaczęli brnąć w kopnym śniegu zalegającym podwórze przed moim domem. Stałem tak na werandzie jeszcze przez kilka minut, patrząc na oddalające się sylwetki moich przyjaciół. Potem wszedłem do środka.

ROZDZIAŁ 36

Zamknąłem drzwi na zamek i przez chwilę stałem jak skamieniały, nasłuchując, czy nie pojawi się echo dźwięków, jakie wypełniały mój dom przed kilkoma minutami. I nic. Byłem sam. Pogrzeżyłem się w samotności i byłem zaskoczony, a nawet odrobinę zadowolony, że nie wywołuje to we mnie żadnych emocji. Wszedłem do kuchni, żeby napić się wody. Ale to pomieszczenie nie wyglądało już jak moja kuchnia. Jan i jej załoga idealnie ją wysprzątały - każdy drobiazg był na swoim miejscu. Błat stołu, na którym wcześniej leżała cała żywność, okrywał teraz obrus w szkocką kratę, na samym środku tkwił koszyk z szyszkami; przez chwilę nawet nie rozpoznałem, że to nasz koszyk. Krzesła zostały ustawione symetrycznie wokół niego, nigdzie nie było ani jednej plamki, zlewozmywak aż lśnił.

Nie odpowiadało mi to. Było zbyt schludnie. Nazbyt pedantycznie. Wyjąłem z szafki trzy łyżeczki i nóż, po czym rzuciłem je na blat. Następnie wyjąłem jabłko i rzuciłem je na stół. Potoczyło się po blacie i zatrzymało tuż przed krawędzią, ale nawet gdyby spadło, nie podniósłbym go. Puściłem wodę

i naląłem sobie do szklanki, ale nie wypilem. Postawiłem szklankę na kontuarze. Kiedy wychodziłem z kuchni, o kilka centymetrów przestawiłem krzesło. A gdy wyłączyłem światło, odczułem niepokój. Ale niezbyt silny.

W salonie poczułem się lepiej - tam łatwiej było mi się zrelaksować. Koc afgański był krzywo przewieszony przez oparcie sofy, jedna z poduszek leżała na ziemi. Aleja niczego nie zmieniałem. Zawsze lubiłem ten pokój. Był bardzo przytulny. Zazwyczaj zastawałem w nim Lucy zwiniętą w fotelu stojącym w rogu; czytała lub spała z otwartą książką na piersi. Usiłowałem sobie przypomnieć, co czytała, gdy nagle dowiedziała się o wszystkim... Gdybym odnalazł tę książkę, przeczytałbym ją. Muszę ją odnaleźć. Gdzie ona jest?

Ciarki przeszły mi po plecach i zacząłem się trząść, po czym opadłem się o ścianę, by uspokoić oddech. Z początku tylko drżałem, ale wkrótce serce zaczęło mi walić jak młotem i całe moje ciało zaczęło dygotać.

Stojąc przy ścianie, osunąłem się na podłogę i ukryłem głowę w kolanach. Wiedziałem, czym jest panika. I choć nie byłem pewien, czy to właśnie jej doświadczam, miałem nadzieję, że to wkrótce minie. Nie minęło. Trwało dobrą chwilę i zdaje się, że nie było w tym nic złego. Nie było tu nikogo, kto mógłby mnie ocenić, nikogo, komu musiałbym oszczędzić mojego dramatu. Powtarzałem sobie spokojnie: „Potrafię to zrobić. Wiem, że potrafię”. Zgodnie z tym, co mówił mi Gleason, nie ma innego sposobu, jak po prostu to wszystko przetrwać, tak więc siedziałem tam i wstrząsały mną fale smutku, strachu i niepewności.

Nie wiem, jak długo to trwało, ale kiedy w końcu mogłem wstać, odetchnąłem głębiej i chwiejnym krokiem poszedłem do kuchni, żeby wypić wodę, którą zostawiłem na ladzie. Włożyłem jabłko do lodówki.

W łazience znalazłem swój żeglarski worek - Ron musiał go tam położyć - i powoli poszedłem na górę. Nie słyszałem żadnych dźwięków. Cisza dudniła mi w uszach, które nieomal mnie od tego rozboleły. Rozejrzałem się wokół i próbowałem wywołać w głowie dźwięki, które dawniej wypełniały ten korytarz, ten dom. Kiedy się skoncentrowałem, ogłuszająca cisza znów w jakiś niewiadomy a dobroczynny sposób wypełniła się słowami i wspomnieniami rozmów z moją żoną. „Nie waż się wychodzić bez pocałowania mnie”. „Kupisz mleko w drodze powrotnej do domu i może jeszcze czarne rajstopy w małym rozmiarze? Proszę. Będę ci za to dozgonnie wdzięczna”. „Widziałeś gdzieś może książeczkę czekową?”. „Zażyłeś lekarstwa?”. „Nic do mnie nie mów, jestem na ciebie wściekła”. „Znów wypożyczyłem Weekend u Berniego”. „Co? Znowu?”. „Owszem, znowu. Zamierzam to z tobą obejrzeć sto razy, a to dopiero nasz czterdziesty pierwszy”. „Kocham cię, Mic”. „Kocham cię, Mickey”. „Kocham cię, Michael”. Swobodny przepływ wspomnień uspokoił mnie i doszedłem do wniosku, że chyba zrobię sobie krzywdę, gdy już nie będę słyszał tego jej głosu w swojej głowie. Zdecydowałem także, że już nigdy nie obejrzę Weekendu u Berniego. Ani Francuskiego pocałunku czy Martwego farciarza. A może zacznę oglądać je jeden po drugim i będę to robił do końca życia.

Otworzyłem drzwi sypialni i włączyłem lampę. Tutaj również panował idealny porządek. Odciski szczotki od odkurzacza na dywanie stanowiły smutny dowód, że ktoś usunął wszelkie ślady jej stóp. Stóp Lucy. Westchnąłem i poszedłem do łazienki, gdzie także nie było żadnego znaku jej obecności. I sam już nie wiedziałem, co jest gorsze - natrafianie na jej ślady wszędzie czy też ich zupełny brak.

Opróżniłem torbę i wysypałem jej zawartość na podłogę, szukając siedmiu buteleczek z przepisаныmi lekarstwami. Kiedy je odnalazłem, umieściłem je tam, gdzie zwykle było ich miejsce - na półce za sedesem. Trzy spośród nich, zawierające leki, które zażywałem rano, umieściłem oddzielnie. Trochę z boku stały fiołki ze specyfikami, które aplikowałem sobie tylko w razie potrzeby. Miały uśmierzać niepokój. Otworzyłem jedną z nich i wysypałem na dłoń dwie pomarańczowe pigułki. Wpatrywałem się w nie tak długo, aż obraz rozmazał mi się przed oczyma. Facet, który we mnie siedział i który na jakiś czas jakby zniknął, dziś znów się pojawił. Słyszałem wyraźnie jego głos napominający mnie, że jeśli znów zacznę brać leki w związku z żalem po stracie Lucy, nigdy nie przestanę.

Wszedłem pod prysznic i stojąc tak w strugach wody, nagle postanowiłem, że nie wyjdę, póki się nie wyplaczę. Ale gdy upłynęło niemal pół godziny, zrobiło mi się zimno. Przesunąłem dłońmi po twarzy. Czulem pulsowanie w skroniach. Ociekając wodą i trzęsąc się, popatrzyłem na swoje odbicie w lustrze. Serce ścisnęło mi się na widok człowieka, którego ujrzałem. Był w opłakanym stanie.

Wyszedłem spod prysznic i obwiązałem sobie ręcznik wokół bioder. Głęboko zaczerpnąłem powietrza i powoli odetchnąłem. Mógłbym się ogolić, potrzebowałem tego, ale dłonie nadal mi drżały.

Ponownie przeciągnąłem nimi po twarzy i włosach. Znów głęboko odetchnąłem i pomyślałem, że jednak jest jakiś postęp. Nieco później, już w dresie, wpatrywałem się w swoje czyste, idealnie posłane łóżko. Byłem wyczerpany, bolała mnie głowa, ale wiedziałem, że po prostu nie mam jeszcze na tyle siły, by się położyć.

Elektroniczny zegarek na szafce wskazywał 22:58. Prawie dwudziesta trzecia. Czy jest już za późno, żeby zadzwonić i sprawdzić, jak się ma Abby? Pewnie tak. Wziąłem poduszkę i poszedłem do jej pokoju. Stałem w bezruchu, z wahaniem wpatrując się w ciemnościach w to małe miejsce dla nieobecnego dziecka. Zamiast górnego światła zapaliłem lampkę, która stała na biurku. Dawała łagodne światło, idealne, by móc zajrzeć do śpiącego malucha bez budzenia go. Podeszedłem do wielkiego bujanego fotela, który miał być prezentem od Lucy dla mnie. Został tak odnowiony, by pasował do łóżeczka. Poglądziłem oparcie. Lucy. Zasiadłem w fotelu i pozwoliłem, by kołysanie złagodziło pulsację, jaką odczuwałem w całym ciele. Lucy miała rację - było mi bardzo wygodnie. Rozejrzałem się. Moja żona uwielbiałaby ten pokój. Wyobraziłem sobie jej reakcję, gdyby Oscar zrobił jej taką niespodziankę. Śmiałaby się i całowała wszystkich wokół. To był mały raj. Idealny pokoik dla dziewczynki mieszkającej dwie ulice dalej.

Dwudziesta trzecia piętnaście. Lily pewnie ją teraz karmi.

Przymknąłem oczy i odchyliłem głowę, usiłując sprawić, by przestała boleć. Nigdy mnie nie bolała, chyba że leki nie działały. Na razie jednak działały - zgodnie z badaniami laboratoryjnymi, jakie zrobiono mi dwa dni temu. Musiałem się tylko uspokoić i pójść spać. Sądziłem, że łatwiej będzie mi tu zasnąć niż w moim pokoju, ale w końcu postanowiłem, że położę się na dole, na kanapie, przy kominku, że będę pilnował ognia i może włączę telewizor, by się czymś zająć.

Wydobywałem właśnie koldrę z szafy na korytarzu, kiedy wydało mi się, że słyszę pukanie do drzwi. Z początku je zlekceważyłem, sądząc, że to tylko moja wyobraźnia, ale wtedy pukanie rozległo się ponownie. Ruszyłem schodami w dół, chcąc sprawdzić, któż to się o mnie martwi. Otworzyłem drzwi, ujrzałem w progu Lily w długim płaszczu i czerwonej włóczkowej czapce.

- Co się stało, LU? Czy Abby...

Pokręciła głową. W jednej ręce trzymała fotelik samochodowy, w drugiej dużą torbę.

- Co ty robisz, LU?

- Mogę wejść?

- Oczywiście. Przepraszam...

Przeszła obok mnie, położyła torbę na podłodze i podeszła do kanapy. Położyła na niej Abby, rozpiąwszy podtrzymujące dziecko pasy. Spojrzałem na szwagierkę i ogarnął mnie jeszcze większy niepokój.

- Lily?

- Daj mi chwilkę - powiedziała.

Nie wyjmując dziecka z fotelika, odwinęła jeden z kocyków, którymi było opatulone. Stałem bez ruchu w drugim kącie pokoju, bojąc się ponownie zapytać Lity, co się dzieje. Byłem zdezorientowany. Lity podniosła na mnie oczy. Były wypełnione łzami.

- Mickey, ja... Podeszedłem do kanapy.

- Lity, o co chodzi? Co ty robisz?

Zdjęła czapkę z głowy i przesunęła dłonią po krótkich włosach.

- Usiądź.

Uśluhałem, zerkając ostrożnie na śpiącą córkę. -Lii, chcesz zdjąć płaszcz?

- Nie. To zbyteczne.

- W porządku...

Zwróciła do mnie swą twarz i ujęła moje dłonie w swoje lodowate ręce.

- Mickey... - Odetchnęła głęboko. - Mickey.

- Lity, przerażasz mnie.

Pokręciła głową i wbiła wzrok w podłogę.

- Wiem, wiem. - Ponownie głęboko zaczerpnęła powietrza. - W porządku. - Skinęła głową. - Mickey, obserwowałam cię przez ostatnich pięć tygodni jak mikroba pod mikroskopem. Obserwowałam cię bardzo uważnie i z początku nie miałam wątpliwości, że będzie lepiej, jeśli to ja będę się nią zajmować. - Wypuściła z rąk moje dłonie, żeby otrzeć łzy płynące jej po twarzy. - Ale właśnie wtedy wróciłeś stamtąd. Tak jak przewidywała Lucy. Pomyślałam wtedy: „No i co

z tego? Jest jeszcze niegotowy. Jest za słaby". Ale to również nie była prawda. Sądziłam, że jeśli tylko dostatecznie długo będę szukać, znajdę powód - a wystarczyłby tylko jeden - dla którego nie powinieneś mieć swojej córki u siebie. Gdyby mi się to udało, wtedy mogłabym żyć długo i szczęśliwie jako jej mama.

- Lily...

- Zaczekaj. Jeszcze nie skończyłam. Naprawdę bardzo się starałam znaleźć jakiś niezbity dowód na to, że się nie nadajesz. Wstydzę się tego, Mickey. I bardzo, bardzo cię przepraszam. - Lily pokręciła głową. W jej oczach były łagodność i cierpienie. - Ale nie znalazłam takiego powodu, Mic. Abby należy do ciebie. W głębi serca wiem o tym. I niezależnie od tego, jak bardzo jej pragnę - a bardzo pragnęłabym ją mieć u siebie - jej miejsce jest tutaj.

- Lily, nie rozumiem.

- Owszem, rozumiesz. Będziesz wspaniałym ojcem.

- Nie. Nie! - Wstałem. - Co ty robisz?

Lily ponownie ujęła mnie za rękę i pociągnęła z powrotem na kanapę, sadzając przy sobie. Z nagłym spokojem w głosie powiedziała:

- Kocham to dziecko całym sercem, ale ona nie należy do mnie i gdybym ją zatrzymała, już zawsze miałabym poczucie, że cię zdradziłam. I co gorsza, że zdradziłam swoją siostrę. Lucy tego właśnie pragnęła. Pragnęła tylko i wyłącznie tej jednej rzeczy.

Serce waliło mi i przez chwilę nie mogłem dobyć z siebie głosu.

- Lily, nie. Mylisz się.

- Naprawdę bardzo chciałabym się mylić, Mickey. Ale tak nie jest. - Sięgnęła do bocznej kieszeni fotelika i wydobyla przedartą na pół kartkę papieru. - To dla ciebie -powiedziała, ponownie przedzierając ją na pół.

Była to ostatnia strona naszej przydługiej umowy adopcyjnej, na której widniały wszystkie nasze podpisy. Spojrzałem na Lily.

- Mówisz poważnie?

Skinęła głową, wskazując dokumenty.

- Umowa dotyczyła współdzielenia opieki, ale Abby zawsze należała do ciebie. Jej miejsce jest przy tobie. Ron i ja zawsze, ale to zawsze będziemy cię wspierać.

- Ale co, jeśli zachoruję?

Lily objęła mnie i przez chwilę myślałem, że serce wyskoczy mi z piersi.

- Mickey, posłuchaj. Jestem dostępna przez całą dobę. I zawsze będę. Pod naszą wspólną opieką Abby nic się nie stanie. To musi się udać.

- Lily...

Wstała i podeszła do miejsca, w którym zostawiła torbę.

- Tu są niektóre jej rzeczy. Jakiś tuzin pieluszek. Jutro przyniosę więcej. A tutaj są trzy butelki z gotowym pokarmem, wystarczy dodać trochę wody. Tu jest mleko w proszku. Niedawno ją nakarmiłam, więc nie powinna być głodna aż do drugiej trzynastki. - Lily umilkła, wyjmując coś z torby.

Przycisnęła to do piersi. Były to stare świąteczne skarpety, które pokazywała mi wcześniej. Podeszła do kominka

i przesunęła palcami pod gzymsem, chcąc namacać haczyki, które umieścił tam jej ojciec, gdy była dzieckiem. Kiedy znalazła ten właściwy, powiesiła je.

- Właśnie tu powinny wisieć-powiedziała cicho. Następnie z kieszeni płaszcza wyjęła kopertę, ucałowała ją i wsunęła do skarpety. - Przeczytasz to pewnie ze sto razy, ale później mi to zwróć.

Podeszła do mnie i pocałowała mnie w czoło. W jej oczach ujrzałem łzy, ale nie było w nich niepokoju, który ostatnio zagościł w nich na dobre. Uklękła i wydobyła Abby z fotelika. Przez chwilę czule ją tuliła. Następnie ucałowała jej małą główkę i łagodnie umieściła dziecko na moich rękach.

- Dzwon, jeśli tylko będziesz mnie potrzebować, Mic. Ale sądzę, że doskonale sobie poradzisz.

- Lily...

- Wszystko będzie dobrze - rzuciła już w drzwiach. Po chwili jej nie było.

Byłem oszołomiony, jakbym śnił i zbyt szybko się obudził. Rozejrzałem się wokół. Panowała ta sama cisza co wcześniej, tyle że słyszałem bicie własnego serca. Wokół też nic się nie zmieniło, pomijając kilka nowych elementów: torby dla dziecka, pustego fotelika i pogrążonej w głębokim śnie dziewczynki w moich ramionach. Poruszyła się, ale nie płakała.

Nie tak miało być. Nie taki był plan.

Przycisnąłem dziecko mocniej do siebie i przyłożyłem policzek do jego delikatnej główki. Moja córeczka. Moja Abby. Pomyślałem o mężczyźnie, którego dzisiaj zobaczyłem,

wychodząc spod prysznic. Zrujnowany, zapewne bez nadziei na uzdrowienie. Ale nadal jakoś się trzymałem, prawda?

Łzy uwieźły mi w gardle i zwiesiłem głowę w obliczu czegoś nieprawdopodobnego, co właśnie stało się moim udziałem. Patrzyłem na spoczywające w moich ramionach dziecko. Na główkę z czarnymi włoskami, na nieskazitelne małe ciało. Córeczka Lucy. Jej dar dla mnie. Przypomniał mi się list, który Lily włożyła do skarpetki Abby. Podszedłem do kominka i sięgnąłem po niego. Kiedy zacząłem czytać, nagle łzy wypełniły mi oczy i musiałem usiąść. Rozpoznałem odręczne pismo Lucy.

Najdroższa Lilianne

Kocham Cię. Bóg z pewnością miał nade mną pieczę, kiedy uczynił właśnie Was moimi siostrami. Jesteś moim sercem, a ja jestem Twoim, i chcę, żebyś o tym pamiętała, kiedy będziesz czytać ten list.

Moje ciało jest zupełnie zrujnowane, ale nadal tu jestem i mój umysł wciąż działa niczym żyrandol u sufitu walącego się budynku. Chcę przez to powiedzieć, że mój czas dobiegi końca, ale wciąż myślę jasno. Zeszłej nocy Harry - uroczy Harry - dostarczył mi ram prawnych niezbędnych, bym uczyniła ciebie i Rona rodzicami mojej córeczki, i jestem na dziewięćdziesiąt dziewięć procent pewna, że tak właśnie miało być.

Ale, Moja Ukochana Siostrze, jest jeszcze ów jeden procent i chciałabym, żebyś mnie dobrze zrozumiała. Otóż jest niewielka szansa - bardzo niewielka - że Mickey zmieni

zdanie. Czasem tak postępuje. Nie jest żadną tajemnicą, że tego właśnie najbardziej bym pragnęła, ale decyzja nie należy do mnie. Mic stanowczo twierdzi, że nie podoła obowiązkowi, jakie nakłada ojcostwo, ale podszeptał mu to ów złośliwy głos, który sączy mu do ucha same kłamstwa. Wiem to, ponieważ ten sam głos kiedyś podpowiadał mu, że nie może zostać moim mężem. Cóż, ten głos się wtedy zasadniczo mylił, teraz też jest w błędzie.

Lily, znam serce Mickeya. Jest to bardzo dobre serce. Moja córeczka już teraz jest szczęściarą, że ma takiego ojca. Co więcej, ona go potrzebuje. Potrzebuje go tak bardzo jak on jej. Owa potrzeba jest właśnie tym, co Bóg ofiarowuje nam, niedoskonałym ludziom. Jest to szansa, jaką dostajemy codziennie, by żyć dla kogoś innego i ulepszać własne życie. Przypatruj się uważnie. Mickey udowodni, że mam rację.

Lily, znam to obolałe, wrażliwe miejsce w Twoim sercu, w którym wciąż mieszka Twój synek. I wiem, że to, o co Cię proszę, ponownie Cię zrani. Ale, Moja Kochana Siostrze, z pewnością wiesz, że w życiu mojej córki zawsze będziesz pełnić rolę matki. To Ty będziesz obsypywać ją pocałunkami, kiedy się skaleczy; będziesz powierniczką wszystkich jej tajemnic. Miłość, jaką żywię do tego małego aniołka, będzie jaśnieć w Twoich oczach. Ja to wiem, Ty to wiesz, a rola Mickeya nigdy nie pomniejszy Twojego znaczenia w jej życiu. Konkluzja, do której zmierzam, jest taka: jeśli Mickey sprostą sytuację, chcę, żebyś mu na to pozwoliła, Lii.

Mickey ma wspaniałe cechy, których istnienia nawet się nie domyślasz. Owszem, jest w znacznej mierze rozbity,

ale może właśnie dlatego te inne zalety rekompensują jego ułomności. Zapewniam Cię, Lily, że Mickey nigdy nie skrzywdzi naszego dziecka, choć zapewne on sam tak właśnie sądzi. Będzie mu jednak potrzebna ogromna pomoc, ponieważ prędzej czy później upadnie. I nie podoła temu wielkiemu zadaniu, jeśli nie wesprą go inni. Będzie potrzebował Ciebie, Rona, Harry'ego i Jan, Charlotte i Priss. Nie ulegaj złudzeniu, potrzebna będzie cała wasza „grupa wsparcia”, gdyż taka jest natura tej choroby. Ale też z każdego upadku się podźwignie, bo taka jest natura tego człowieka.

Lily, jesteśmy bliźniaczkami, które dzielą cztery lata różnicy wieku - stanowimy jedną duszę. Dlatego wiem, że nie jesteś zaskoczona niczym, o czym tutaj piszę. Znasz moje pragnienia i tylko Ty będziesz wiedziała, czy ich realizacja będzie możliwa, a ja ufam Ci jak zawsze.

Jestem zmęczona, Lily, więc zostawiam to wszystko (wiem, że to niesprawiedliwe) w Twoich rękach, Kochana.

Kocham Cię, Moja Droga Siostrze. Kocham Twojego Rona jak własnego brata, którym zawsze był dla mnie, i wiem, że oboje będziecie wspaniałymi rodzicami, w razie gdybym się omyliła w swoich kalkulacjach co do decyzji Mickeya.

Niezależnie od tego, jaką rolę będziesz miała do spełnienia - mamy czy cioci - proszę Cię, Lii, opowiedz o mnie mojej córce. Powiedz jej, że nawet kiedy ciało zawiodło mnie, i ta resztką, którą miałam jej do zaoferowania, z dnia na dzień zaczęła więdnąć, moja miłość do niej nie

przestała wypełniać całego świata. Zapewnij ją, że będę ją zawsze kochała. Powiedz jej, żeby się nie bała. Ani życia, ani śmierci. Powiedz jej, że nawet jeśli nigdy nie będę miała możliwości przytulenia ani ucałowania jej twarzyczki, i tak wiem, że kiedyś będzie mi to dane. Powiedz jej, Lii, że jest moim małym cudem. I powtarzaj jej codziennie, jak bardzo kochałam jej ojca.

Lily, pokochałam Mickeya od pierwszego spotkania, a wybrałam właśnie jego, gdyż nie znałam innego człowieka, który miałby w sobie taką siłę - a ta siła jest w stanie pokonać największe przeszkody. Nie pozwól mu nigdy o tym zapomnieć. A gdy osunie się w mrok i ciemność, przypomnij mu, że musi walczyć i że nie wolno mu przestać, póki nie przejdzie na drugą stronę, gdzie jest jasno i bezpiecznie; gdzie jest światło, spokój... i jego córeczka.

Michael Chandler zawsze był moim ulubionym bohaterem. A teraz musisz pozwolić, by stał się bohaterem również dla niej.

Z miłością dla tych wszystkich, których kocham

Lucy

Czytałem ten list tyle razy, że mogłem niemal usłyszeć głos Lucy unoszący się nad papierem. Boże, jak ja ją kochałem. Bóg jeden wie, co by się ze mną stało, gdyby ta dwudziestojednolatka nie pojawiła się w moim życiu. Lucy mnie odnalazła i uwierzyła we mnie. Kochała mnie. Kochała mężczyznę, o którym wiedziała, że jest wystarczająco silny, by wychować

naszą córkę, nawet jeśli ja nie dość dobrze znałem samego siebie, by w to nie zwątpić.

Abby przeciągnęła się w moich ramionach. Mój mały aniołek był bezcennym darem, jaki ofiarowała mi Lucy. Jej wiara we mnie to kolejny dar. Patrzyłem na moją córeczkę, na jej piękną twarzyczkę. A ona spozierała na mnie oczami, które tak bardzo przypominały oczy jej mamy.

*- Kocham cię, maleńka - wyszeptalem przez zaciśnięte gardło.
-I jeśli miłość wystarczy, uda nam się.*

Przytulilem ją do siebie, wiedząc, że nigdy nie wypowiedziałem prawdziwszych słów.

EPILOG

Wyszedłem z Damian 's, gdzie spotkałem się z Gleasonem na lunchu, i ruszyłem chodnikiem przez Brinley Loop, kierując się ku drodze prowadzącej na cmentarz. Czuję się nieźle, bo wyniki moich badań znów wskazywały normę. Byłem stabilnym facetem i Gleasona bardzo to cieszyło. Ale tak naprawdę wcale nie potrzebowałem wyników badań krwi, by to wiedzieć. Mój stan był stabilny już od ponad roku, co mniej więcej zbiegało się w czasie z tym, kiedy ostatni raz korygowałem - jak powiedziała Lucy - dawki swoich leków. Spotykałem się z Gleasonem dwa razy w tygodniu - raz na terapii, drugi raz na kolacji (lub lunchu), czasem grywaliśmy w koszykówkę, a potem szliśmy na hamburgera. Gleason przeszedł na częściową emeryturę, ale zrobił to, by odpocząć od psychiatrii, a nie ode mnie. Obiecałem mu, że nie będę jak ten dzieciak na plakacie filmu Co z tym Bobem? - i słowa dotrzymałem. Lecz nawet przy niezawodnym wsparciu Gleasona potrzebowałem trochę czasu, żeby osiągnąć etap, na którym byłem teraz.

Mówi się, że najgorszy jest pierwszy rok po poniesieniu jakiegóż wielkiej straty. Niezupełnie tak jest - taka strata to

również rodzaj niepoczytalności i nie ma od niej wytchnienia. Nie istnieje żadna droga na skróty: jedynym sposobem na uporanie się z żalobą jest przejście przez nią. Musisz wstawać codziennie rano i czekać, aż będziesz mógł położyć się wieczorem, a potem znowu wstawać rano i robić to wszystko jeszcze raz. Aż pewnego dnia zaczniesz czuć grunt pod stopami. W końcu moje spadanie się skończyło. Smutek przestał mnie pustoszyć. To był straszny rok. Ale zdołałem trzymać się z daleka od szpitala, z wyjątkiem czterech dni w listopadzie, kiedy Abby miała pierwsze urodziny i była pierwsza rocznica śmierci Lucy. To Abby mnie wtedy ocaliła. A może lepiej byłoby powiedzieć: to fakt, że jestem ojcem Abby, mnie ocalił. Dokładnie tak jak przewidywała Lucy.

Skreśliłem w drogę wiodącą na cmentarz River's Peace. Wiał łagodny wietrzyk, panowała cisza, a niebo było niebieskie niczym morze. Nie byłem tutaj od dwóch lat, od czasu owej pamiętnej Wigilii, kiedy przyprowadziła mnie tu Lily. Aż do śmierci Muriel Piper. Po jej pogrzebie zebrałem się w sobie, wymogłem na Ronie obietnicę, że zaczeka w samochodzie, i w końcu przyszedłem na grób Lucy. I było tak, jakby ona sama już na mnie czekała. Spodziewałem się porażającego bólu, a odnalazłem pokrzepiającą ciszę i takie ciepło, jakbym znów poczuł jej dłoń w swojej. Nie do końca oczywiście, ale miałem wrażenie, jakby była gdzieś blisko mnie.

Teraz już łatwiej było mi tu przychodzić. Czyniłem tak w specjalne okazje albo gdy byłem w stanie wymyślić jakiś pretekst. Tak jak dzisiaj. Na kalendarzu wiszącym w mojej kuchni dzisiejszy dzień zaznaczony był na różowo i niebiesko.

To właśnie tego dnia poznałem swoją córkę; wtedy też odbyło się badanie USG. To w ten dzień razem z Lucy kupiliśmy różową farbę, która już zawsze będzie mi się kojarzyć z kolorem ścian w pokoju Abby. Kiedy przychodzę tutaj, wspominając tamten czas, mówię sobie, że Lucy również to pamięta.

Wszedłem na wzgórze i gdy zatrzymałem się nad grobem żony, złożyłem pocałunek na palcach dłoni i przycisnąłem je do jej imienia na nagrobku.

- Cześć, kochanie - powiedziałem. Ponieważ na grobie leżały białe róże, wywnioskowałem, że w zeszłym tygodniu była tu Priscilla. Zawsze je przynosiła. Lity zostawiała zwykle stokrotki, a czasem lilie. Z kolei Abby najróżniejsze rzeczy - wypchaną małąkę, klucz, rysunki nie do odszyfrowania, co do których zaklinała się, że przedstawiają mamusię, tatusia i ją. Ja zostawiałem rozbite szkło.

Swój ostatni dar wotywny umieściłem na nagrobku tuż obok innych. Dzisiaj ciemnoczerwony, prawdopodobnie ze starego pływaka z sieci rybackiej. Rozbite szkło. Dla naszego małżeństwa miało ono symboliczne znaczenie, ale dla mnie symboliczne było w dwójnasób przez wzgląd na naszą miłość. Lucy mawiała, że kocha mnie tak bardzo, że mogłaby bez końca tańczyć ze mną na rozbitym szkle. Liczyłem na to.

Tak bardzo pochłonęły mnie rozmyślenia, że nawet nie zauważyłem pojawienia się auta Lily. Podjechała do krawężnika, zaparkowała i wypuściła małą pasażerkę. I dopiero śmiech Abby wyrwał mnie z zadumy. Moja córka to dwuipółletnia miniatura swojej mamy, tyle że ma moje oczy. Ma czuprynę czarnych loków, które uwielbiam czesać,

i nieustanny uśmiech na twarzyczce, znikający tylko wtedy, gdy każe jej jeść groszek.

Dzisiaj miała na sobie białą sukieneczkę i różowe japonki, które starała się utrzymać na stopach, wspinając się prowadzącą na cmentarz żwirową ścieżką. Ale kiedy dostała się już na wzgórze, od razu ruszyła w moją stronę, a gdy znalazła się w zasięgu moich rąk, chwyciłem ją w ramiona i porwałem w górę. Nigdy mi się nie znudzi uczucie, jakiego doznaję, trzymając w objęciach jej drobne ciało. Lily pomalowała jej paznokcie u stóp, a Abby wyjaśniała mi, w jaki sposób to zrobiła, gestykulując zamasyście i robiąc wygibasy całym ciałem. Śmiałem się, podczas gdy Lily szła do nas, niosąc dzbanek ze stokrotkami. Postawiła go na nagrobku.

- Chyba tu była Priss.

- Na to wygląda. - Uśmiechnąłem się.

Lily również miała ciężki okres. Ale wspólnie przeżywaliśmy tę żalobę, czując dzięki temu pewną ulgę. Usiadłem na marmurowej ławeczce, a Abby zeszła mi z kolan i stanęła przy ciotce.

- Mama?

Lily skinęła głową.

- Mama.

Schyliła się, by wyjąć stokrotkę z dzbanka, i wsunęła ją Abby za ucho. Następnie Lily usiadła tuż przy mnie.

- Jak się miewasz?

- Dobrze, LU.

Przez chwilę milczeliśmy, wpatrując się w Abby, która - kucnąwszy - wodziła paluszką po umieszczonym na nagrobku imieniu swej mamy.

- *Więc jak tam głównodowodząca ? - zapytałem.*

- *Wybornie, jak zwykle.*

- *Czy możesz zająć się nią wieczorem? Lily skinęła głową.*

- *Po prostu podrzucić ją po drodze do Ghosts. Razem zamkniemy sklep.*

- *Będę około szóstej - powiedziałem, zerkając na zegarek.*

Westchnąłem. - Chodź, Abs. Pójdziemy do Moselyś.

- *Na cukierki?*

- *Tylko jeśli będziesz grzeczna.*

Abby truchtem podbiegła do ciotki, żeby ją pocałować.

- *Do widzenia, myszko! - zawołała za nią Lily. - Do zobaczenia później.*

- *Idziesz, LU?*

- *Jeszcze nie teraz. - Na jej twarzy pojawił się uśmiech. -*

Chyba posiedzę trochę przy siostrze.

Przez moment wpatrywaliśmy się w siebie w milczeniu. Utrata Lucy bardzo nas zbliżyła. Skinąłem głową.

- *Myślę, że byłaby zadowolona.*

Wziąłem córeczkę na ramiona i ruszyliśmy zwirową ścieżką po zboczu.